



CATHERYNNNE M. VALENTE

OPOWIEŚCI SIEROTY

TOM 2

UCZTA WYOBRAŹNI

CATHERYNNNE M. VALENTE

OPOWIEŚCI SIEROTY

W MIASTACH MONET I KORZENI
(THE ORPHAN'S TALES. IN THE CITIES OF COIN AND SPICE)

TOM II

Przełożyła: Maria Gębicka-Frać

Wydawnictwo
MAG

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2009

Tytuł oryginału:
The Orphan's Tales: In the Cities of Coin and Spice

Copyright ©2006 by Catherynne M. Valente

Copyright for the Polish translation
© 2009 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Maria Rawska

Korekta:
Magdalena Górnicka

Projekt graficzny serii:
Piotr Chyliński

Ilustracja i opracowanie graficzne okładki:
Damian Bajowski

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-133-1
Wydanie I

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63,
04-082 Warszawa tel./fax (0-22) 813 47 43
e-mail: kurz@mag.com.pl
<http://www.mag.com.pl>

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. (22) 721-30-00
www.olesiejuk.pl

Druk i oprawa:
drukarnia@dd-w.pl

*Dla Sarah,
która, kiedy była starsza,
chciała mieć cały Świat*

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Księga burzy](#)

[W ogrodzie](#)

[W ogrodzie](#)

[W ogrodzie](#)

[W ogrodzie](#)

[W ogrodzie](#)

[Poza ogrodem](#)

[W ogrodzie](#)

[W ogrodzie](#)

[Księga popiołu](#)

[W ogrodzie](#)

[W ogrodzie](#)

[W ogrodzie](#)

[W ogrodzie](#)

[W ogrodzie](#)

[W ogrodzie](#)

[Poza ogrodem](#)

[Podziękowania](#)

KSIĘGA BURZY

W OGRODZIE

Ścieżki ogrodu były mokre od spadłych jabłek i czerwone od ich spękanych skórek. Trawa barwy wyblakłej zieleni falowała w podmuchach wiatru obszarpańca; szkarłat wybuchał na stojących w długich rzędach rozkołysanych drzewach, aż wszystkie upodobniły się do bukietów krwawych kwiatów o wysokich czarnych łodygach.

Tę porę roku dziewczynka lubiła najbardziej – jedzenie znajdowała bez trudu, w powietrzu dniami i nocami rozbrzmiewał łopot i szum skrzydeł, gdy wrony zataczały kręgi przed odlotem na południe, a gęsi szykowały się do jeszcze dalszej podróży ku ciepłemu brzuchowi świata. Jesienią podolek jej sukienki zawsze pęczniał od granatów i jaj gwarków, a choć powietrze stało się zimniejsze, kolor liści nie kłamał i ogrzewał ją niczym ogień pod przysadzistym żelaznym garnkiem.

Z płonących gałęzi cynamonowca zaglądała przez wysokie okna do kobiecych komnat w pałacu. Dłonie miała oprószone drobinami aromatycznej kory i gdy zlizywała z palców resztki porannego złotego zółtka, czuła smak przyprawy. Schowana za kiściami liści, patrzyła przez łukowe okno na siedzącą wewnątrz kobietę, z plecami prostymi niczym stylisko siekiery, nadzwyczaj nieruchomą, choć wokół niej pomykały liczne dłonie, a głosy szemrały i trajkotały w jej ślicznych uszach.

Służki podnosiły jej długie czarne włosy i powoli, z bezgraniczną cierpliwością nizały maleńkie białe perły na atramentowe pasma, jedną po drugiej, jakby była naszyjnikiem w pracowni złotnika.

Dinarzad wychodziła za mąż.

Co roku kilka córek sułtana brało ślub i dziewczynka poświęcała im mniej uwagi niż rodzinie gołębi, które co wiosnę wracały na tę samą gałąź – ale o tych zaślubinach nie mogła nie wiedzieć. Ogrodnik i jego pomocnicy nie mówili o niczym innym, zajęci pielęgnowaniem kwiatów długo po porze kwitnienia, naginaniem gałęzi drzew w baldachy, układaniem owoców w stosy wielkie jak wielobarwne zaspy i wysyłaniem ich, wóz za wozem, do kuchni, skąd wracały na dziedziniec w postaci ciast i placków, konfitur i ciastek – Dinarzad bowiem zapragnęła wziąć ślub w ogrodzie.

Zaślubiny bez dachu nad głową były rzeczą niesłychaną, ale się uparła, nawet płakała, i w końcu zdecydowano, że dach drzew w swej naturze nie odbiega od dachu z drewna, i gałęzie młodych kasztanowców przed wielkim dziedzińcem miały zostać związane, splecione i naciągnięte, by nadać kępie kształt małej, wąskiej kaplicy. Z drabin, nakłaniając i przycinając drzewa do stanu świętości, ogrodnicy szeptali do dziewczynki, że powinna zachować wyjątkową ostrożność, by nikt jej nie zobaczył, bo pałac wyciekał z murów dla kaprysu rozpieszczonej amiry.

Siedząc na pulchnych niebieskich poduszkach, Dinarzad patrzyła w lustro uparcie, wzrokiem pustym jak płótno, gdy służki obwieszały ją perłami na ucztę zaręczynową – a dziewczynka patrzyła na księżniczkę. Nieruchoma niczym sowa, przyglądała się kobietom z rękami pełnymi białych pereł,

przyglądała się Dinarzad przyozdobionej jak wysokie lustro, aż służki poprowadziły po kamiennych schodach swoją podopieczną, której włosy wyglądały niczym skrawek nieba usiany gwiazdami. Mimo woli dziewczynka dotknęła własnych włosów, nie mniej czarnych niż włosy amiry, ale splątanych i przybranych łupinkami orzechów laskowych.

Drzewo pod nią nagle się zatrzęsło, co przerwało jej rozmyślenia o nieporuszonej twarzy Dinarzad. Spojrzała na zasłaną jabłkami ścieżkę i zobaczyła, że patrzy na nią chłopiec. Uśmiechał się do niej nieśmiało, ale ze zmęczeniem przyczajonym w kącikach ust, które przez to przywodziły na myśl brązowiejącą cząstkę pomarańczy. Dziewczynka zwinnie zsunęła się z pnia i obdarzyła go uśmiechem małym jak dziecięcy sekret. Chłopiec, wystrojony na ucztę, wyraźnie czuł się nieswojo w sztywnym złotogłowie i zielonych jedwabiach, zakłopotany zwłaszcza cienką opaską porfiru na rękę. Bransoletka oznajmiała wszystkim, którzy dbają o takie znaki, że nosi ją dziedzic sułtanatu.

Dziewczynka o to nie dbała, choć musiała przyznać, że kamień ma ładny odcień fioletu.

– Jak się wydostałeś? – zapytała cicho. – Z pewnością wszyscy będą chcieli cię uścisnąć i powiedzieć, jaki piękny mężczyzna pewnego dnia obejmie rządy.

Chłopiec parsknął jak dorastający byczek.

– W czasie zaślubin dziewczyna na podium jest jedyną osobą, którą wszyscy chcą obściskiwać. Tak samo jest na każdej wieczery do ślubu.

– Kto ją poślubi? – Dziewczynka nie chciała okazywać zainteresowania. Mówiła sobie, że to jej nie interesuje.

– Skąd mam wiedzieć? – Chłopiec kopnął noskiem pantofla zgniłe jabłko. – Jakiś książę albo żołnierz, albo książę, który był żołnierzem, albo żołnierz, który został księciem. Nawet nie pamiętam ich imion. Wszyscy przychodzą ze skrzyniami opali, z koszami szkolonych ptaków śpiewających, związanych wstążkami w jej ulubionym kolorze, i z mechanicznymi złotymi kogutkami, które pieją, gdy nakręci się je za ogony – to mi się nawet podoba. Ktoś wybrał jednego z nich, być może ona sama. Wiem, że nie będzie jego pierwszą żoną; już ma dwie, ale bez dzieci. Musiał przywieźć w beczkach coś bardzo ładnego, nie mam pojęcia co, wiem tylko, że to nie ten z kogutkami. – Chłopiec ściągnął brwi i szarpnął kołnierzyk. – Musiałem wystroić się jak lalka po to tylko, by patrzeć, jak Dinarzad spożywa wieczerzę – burknął. – Na domiar złego ten strój nie ma kieszeni, nie będę mógł nic ci przynieść.

– To nigdy nie było konieczne, przecież wiesz – powiedziała dziewczynka. – Mam dość, zawsze miałam dość, jeśli nawet moje dość i twoje dość tak się różnią, jak słoń i minaret.

Spojrzała ku ziemi i z powrotem na chłopca. Delikatnie ujęła go za rękę i poprowadziła z dala od otwartych ścieżek w głąb ogrodu, za marmurowe ławy i fontanny, za sady ogołoczone z owoców i za winnice, z których zebrano i wyciśnięto ostatnie grono, do skupiska kamieni tak gęsto omszałych, że wyglądały jak truchła martwych od dawna tygrysów albo lampartów, wciąż porośniętych futrem, choć z nich samych już nic nie zostało. Dzieci odetchnęły w długich cieniach głązów. Dziewczynka chuchała w dłonie, żeby ogrzać bezkrwiste palce, a rosa i stary deszcz moczyły rąbki szat chłopca. Nie zwracał na to uwagi – skubał strojną kamizelkę i z zaciekawieniem patrzył na swoją towarzyszkę.

– Wiesz – zaczął nieśmiało – chyba mógłbym przynieść ci suknię.

Dziewczynka parsknęła śmiechem.

– Mam tuziny sióstr z setkami sukien – dodał. – Nie zauważą, gdy jedna zaginie. Będzie cieplejsza i delikatniejsza niż te stare łąchmany.

Dziewczynka spojrzała na wystrzępioną płachtę, która udawała jej spódnicę, i pokręciła głową.

– Co zrobiłabym z taką strojną suknią? Równie dobrze możesz wpleść perły w moje włosy. Nie, jeśli zmarznę, mam koce liści i moje ptaki. Nie jestem jedną z nich, głupio byłoby stroić wielbłąda w koronki, dzwonki i klejnoty. Zrobiłbyś to tylko, żeby śmiać się z biednego stworzenia.

Milczeli przez chwilę i chłopiec się zawstydził. Widział wprawdzie gęsią skórkę na jej ramionach i siny kolor zmarzniętych palców stóp, lecz wiedział o dumie młodych dziewcząt wystarczająco dużo, żeby nie kłócić się o sukienkę. Niebo ciemniało ku wieczorowi, szare i żółte nad feerią barw ogrodu, światło powoli uciekało z chmur.

– Czy... czy jest więcej? – zapytał w końcu, bawiąc się bransoletką.

– O tak. – Dziewczynka się roześmiała. – Zawsze jest więcej. Oparła głowę o wilgotny mech i zamknęła oczy, ukazując barwiące je plamy, pełne i ciemne jak zawsze. Zaczęła mówić półszepem jak tchnienie szklanego fletu.

– Opowiem ci historię ze zmarszczki prawego oka.

Dawno temu był długi, samotny brzeg, szary, jak tylko może marzyć szarość, i ów samotny brzeg okalał samotne jezioro, którego wody były tak czarne, że ich czerń nie mogłaby wzbudzić większego strachu u bieli. A na tym jeziorze daleko

od brzegu leżała mroczna, lesista wyspa. Był tam rozklekotany pomost, który wychodził na płyciznę, i prom, nie lepszy od jesionowej tratwy, pchany długą tyczką po srebrnej wodzie przez wysokiego mężczyznę w szorstkim brązowym płaszczu – a raczej mężczyznę, który mógłby być wysoki, gdyby nie garb skryty pod płaszczem. Do tego promu, do tego pomostu, do tego jeziora, do tej wyspy i do tego drugiego, samotnego brzegu przybył zatroskany młodzieniec, który miał tylko jedną rękę, chudą i ziemistą, i który był siódmym synem siódmego syna, więc naturalnie miał na imię Siódemka...

OPOWIEŚĆ O PRZEPRAWIE

Kamienista plaża była mokra i zimna, szare kamienie lśniły od deszczu, jeziora i mgły. Nic tam nie rosło z wyjątkiem zielonej pleśni na skraju wody, brodźce nie szukały na brzegu larw ani robaków, pałki wodne nie stukały na przejmującym, bezwonnym wietrze. Dwie postacie czerniały na tle ciężkiego wełnistego nieba, z którego przygaszone, ponure światło ciekło jak pot wyżymany z odzienia. Niczym się nie wyróżniały, wyjąwszy wygięte w łuk grzbiety – jedna garbata, z pokrzywionymi kośćmi, a druga zgięta pod ciężarem worka. Powoli jedna zbliżała się do drugiej, aż w końcu z dali wyglądały jak jeden duży czarny kształt. Dwaj mężczyźni spotkali się i jęli rozmawiać.

Młodszy mężczyzna patrzył na przewoźnika, którego twarz była pocięta liniami jak mapa konstelacji, choć oczy i włosy miał czarne, jakby się urodził ledwie zeszłej zimy. Mimo skrzywionego kręgosłupa budził respekt, gdy wspierał się na mocnej tyczce i spod ściągniętych brwi patrzył na cienie sunące po słonawej wodzie.

– Jeśli chcesz się przeprawić, trzeba zrobić to teraz, synu. Burza nadciąga trzy razy dziennie, a ostatnia wieczorna wichura zacznie się prędzej, niż chciałbyś to wiedzieć.

Młodzieniec sięgnął prawą ręką w rękaw – bo lewy rękaw był pusty. Palcami wyciągnął z niego połataną sakiewkę i

niezdarnie wyłuskał monetę. Przytrzymał ją na dłoni stwardniałym kciukiem, trzymał ją, jakby ważyła więcej niż żelazo: mała, wyblakła moneta, pożółkła od obracania, z wybitą pieczęcią, jakby siedmioramienną gwiazdą skreconą z pajakami. Potarł ją kciukiem i wciągnął nosem zimną mgłę. Podsunął monetę przewoźnikowi z wyzywającym spojrzeniem, jakby go prowokował, żeby odmówił przyjęcia.

Przewoźnik nie wyciągnął ręki po pieniążek. Spojrzał na jego pusty rękaw i proponowaną przez niego zapłatę. Wreszcie westchnął, a był to lekki, zgrzytliwy dźwięk, jakby tarły się ptasie skrzydła.

– Wiem, chłopcze, co to takiego. Siódemka parsknął.

– Wystarczy, starcze?

– O świat więcej niż dość i o niebo za mało. Ale przyjmę zapłatę. Siódemka niechętnie rozstawał się z monetą, jeszcze raz potarł ją kciukiem, zanim ją oddał. Wsiadł na prom, balansując na deskach, które dostosowywały się do jego ciężaru. Gdy się usadowił, spojrzał na zgarbionego przewoźnika, który sięgał po tyczkę. Wyświechtany płaszcz poruszył się wraz z nim i Siódemka pomyślał, że widzi – tylko przez chwilę, rzecz jasna – zielono-czarny błysk szponu pod wystrzępionym płótnem, które z ledwością okrywało pierś starca. Siódemka pokręcił głową i nazwał się głupcem z mgły. Oparł plecy o prowizoryczny maszt z żaglem tak podartym i zniszczonym, bezużytecznym jak koń o dwóch nogach, że przewoźnik najwyraźniej go nie używał i przywiązał do drzewca.

Starzec gładko pchał tratwę przez rozległe jezioro, choć toń wydawała się zbyt wielka, a tyczka za krótka, by sprostać temu

zadaniu. Przez jakiś czas płynęli w milczeniu, przewoźnik i pasażer. W końcu starzec głośno spytał:

– Skąd masz tę monetę? Nie powinieneś mieć czegoś takiego, nie w twoim wieku.

Woda ślizgała się wokół tyczki niczym stary olej. Siódemka zaśmiał się, jego chichot przypominał zgrzytliwe kasłanie. Oczy miał puste, zmęczone.

– Nie jestem taki młody.

– Jezioro jest szersze, niż myślisz – rzekł przewoźnik. – Woda zakrzywia odległość jak złożone lustro. Mamy czas, a ja nie jestem ani niemy, ani głuchy. Zwą mnie Idyllą, ci, którzy weszli w nawyk zwracania się do mnie po imieniu. Chciałbym wiedzieć, skąd chłopak ani nie szlachetniejszy, ani nie wyższy od hodowcy przepiórek ma dhheibę. – Ostatnie słowo, wyplute jak złamany ząb, zawisło między nimi, lśniące i jaskrawe.

– Skąd człowiek bierze pieniądze? – Siódemka westchnął, patrząc na szarą wodę i czuby nagich drzew w oddali. – Zapytaj, skąd pochodzą adzańskie trojaki. Odpowiedź jest oczywista. Zapytaj, gdzie zostało wybite szadukiańskie srebro – odpowiedź masz w pytaniu. Zapytaj o moją dhheibę – musi być jasne, co odpowiem. Byłem w mieście Szpiku i wyszedłem żywy...

OPOWIEŚĆ O DWUNASTU MONETACH

Wszyscy moi bracia byli dorośli, potężni jak byki i gorliwi jak trawa, gdy się urodziłem. Ledwo ich znałem, ale matka tuliła mnie, jakby nigdy nie miała innego syna, jakby sześcioro innych ust nie szukało jej piersi, jakby dwanaście innych czerwonych rączek nie ciągnęło jej za włosy. Ojciec nadał mi liczbę zamiast imienia i wrócił do swoich kielichów.

Oczywiście, jako chłopiec nie rozumiałem niczego poza tym, że matka mnie kocha, a ojciec nie – moje małe serce nie mogło pojąć, że jej uściski i jego topione w winie milczenie zrodziły się jednego dnia, tego dnia, który zapadł się pod nimi niczym dół w miękkiej ziemi. Nie mogłem wiedzieć, że przez dziewięć miesięcy modlili się o dziewczynkę, że jedli tłuczone trzewia węża i myli brzuch mojej matki w ukrytych źródłach. Ale łono wydało na świat kolejnego syna, choć oboje zawsze byli pobożni i uczciwi jak mrówki.

Wśród mego ludu siódmy syn siódmego syna jest znakiem łaski, a za łaskę trzeba podziękować, za łaskę trzeba zapłacić. W siódme urodziny chłopiec jest kładziony na zboczu wzgórza, przywiązywany do pięciu kołków z białego drewna i zostawiany na łasce Gwiazd. Siódmy syn płaci za ósmego i dziewiątego syna, i za pierwszego wnuka, i za piątą wnuczkę.

Uczciwy układ, nie sądzisz? Jedno dziecko za tuziny, za całe tuziny, wszyscy oni w kolejce czekają na narodziny, podczas gdy mały chłopiec leży na pagórku, trzęsąc się w deszczu.

Zawsze tak było i jeśli jakaś chata pełna ubogich rolników odmówiła wypełnienia należnego niebu obowiązku, to nie moja.

Ojciec nie chciał na mnie spojrzeć, więc matka musiała sama przywiązać mnie do ziemi, daleko od naszych pól. Ręce jej drżały, gdy wbijała kołki w miękką ziemię i wiązała sznury, a ja jej mówiłem, że nie musi tego robić, że możemy powiedzieć wszystkim, iż przede mną był inny syn, urodzony martwy, że wystarczy Gwiazdom, jedno szare, martwe dziecko jest dla nich dość dobre, że wcale nie jestem siódmym synem, jestem ósmym, dobrym chłopcem, że nie musi mnie zostawiać w miejscu, gdzie jest tak ciemno, tak ciemno i zimno. Płakała, gdy po raz ostatni pocałowała mnie w czoło, niezdarnie kładąc się przy moim rozpostartym ciele, próbując mnie objąć. Jej łzy toczyły się po mojej twarzy, wpływały do ust i były jedyną wodą, jaką miałem. Powiedziała mi, że nikt nie wie, co się dzieje z siódmymi synami – może coś cudownego, coś wyjątkowego. Ale jej oczy były martwe i nie mogłem na nią patrzeć, gdy kłamała.

Po jakimś czasie odeszła, a ja spojrzałem w Gwiazdy, które, jak wierzyłem, wcale nie są żywe – czy mógłbym myśleć inaczej? Niedorzeczny pomysł. Czy Gwiazdy mogły potrzebować chłopców do jedzenia? Albo, jeśli nie na kolację, do ciągnięcia wozów, zrywania wiśni lub innych obowiązków, jakie mają Gwiazdy? Gwiazdy, żywe Gwiazdy występowały tylko w bajkach dla dzieci, a ja nie byłem dzieckiem. Nikt nie zostawiłby dziecka na pustkowiu, musiałem więc być

mężczyzną. A mężczyźni są dzielni, nawet w ciemności i na zimnie.

Chyba zasnąłem – musiałem zasnąć, bo pamiętam, że się zbudziłem. Otaczał mnie zapach płonących lamp i płonącej trawy, i było tam światło, światło już gasnące we wspomnienie srebra, a obok mnie na trawie leżały rozwiązane moje pęta. Usiadłem i tarłem zdrętwiałe, mokre od deszczu ręce i nogi, aż wróciło do nich życie i mogłem się podnieść.

Nie utrzymałem się na nogach.

Potężny wicher dmuchnął przez dolinę i przewrócił mnie na ziemię, wicher tak silny i szybki, że zamknął mi oczy jak oblepione śniegiem okna, aż zwilgotniały pod powiekami, i smagał moją skórę, wysysając pot co do kropli, dopóki nie wyschłem na wiór. Nie mogłem otworzyć oczu, nic nie widziałem, ale zdawało mi się, że ręce chwytają mnie w ciemności, drą moje ubranie, podnoszą mnie w ramionach, jakich nawet nie próbowałem sobie wyobrazić. Ciemność wędrowała przez ciemność i czas upływał w milczeniu.

I choć nikt nie chciałby zasnąć w takim czasie, zbudziłem się z suchym gardłem i z ręką innego dziecka na twarzy. Była chuda i koścista, sam łokieć. Gdy wróciłem do zmysłów, zrozumiałem, że leżę na innym ciele, nie mniej wychudłym niż pierwsze. Spojrzałem w górę przez sieć kończyn i dostrzegłem nad nimi grube kraty ze szkła pokrytego lodem. Wiatr nieco osłabł, jak huragan przechodzący w burzę piaskową, nie stając się mniej dokuczliwy. Przemykał przez klatkę i warczał wśród splecionych kończyn.

Gdy z trudem przedzierałem się w górę, niektóre śpiące dzieci pojękiwały przez sen i przewracały się na drugi bok, inne, zbudzone, usuwały się z drogi – wszystkie były prawie

nagie, odziane w strzępy, które niegdyś mogły być szatami i sukniami, i żadne nie próbowało okryć nagości, kiedy niechcący zadzierałem ich odzienie. Dotarłem na szczyt stosu ciał – pomyślałem, że jest nas około dwudziestu, wrzuconych do klatki jak stos krowich żeber – i ujrzałem świat zniszczenia.

Uzbrój się w cierpliwość, proszę – próbuję opisać miejsce, którego nigdy nie zobaczysz.

Łzy wyciśnięte przez wiatr spływały mi po twarzy, gdy patrzyłem na coś w rodzaju rynku. Dokoła stały domy, były tam fontanny, a nawet wieża dzwonna, lecz nie widziałem drewna ani kamienia. Wszystko w tym miejscu zrobione było z tego, co nagromadził wiatr – z papieru i ości, z ciał pechowych ptaków, ze strzępków futra i kawałków tynku, z łupinek jabłek, skórek cytryny, nasion daktyla, starych sukien, butów bez podeszew, podeszew bez butów, wystrzępionych lin i strzaskanych bloczków. Ale większą część śmieci miasta, większą część tego miasta śmieci, stanowił papier. Fontanny wyrzucały w powietrze arkusze, pisma i płachty gazet, a wichura z nich budowała: nieustający wiatr zespalał niezliczone kartki, tworząc ściany, schody i spadziste dachy. Wystarczy najkrótsza przerwa w burzy, pomyślałem, a całe miasto obróci się w nicość.

Szklana klatka wisiała na żelaznej ramie na podwyższeniu pośrodku placu. Nad nami łopotały strzępy baldachimów, nici z rozpiętych na ramach łachmanów spływały niemal do ziemi. Wszędzie widniały dziury, rozdarcia i szczeliny, a pod ich wątpliwą opieką wiatr zachowywał się jak nieposłuszne dziecko, które kuli się ze strachu, ale próbuje dopiąć swego, kiedy nikt nie patrzy. Mieszkańcy chwiejnym krokiem chodzili po tym szeleszczącym placu, dźwigając beczki, skrzynie i tace –

stworzenia o smukłych, cienkich rękach i nogach, z głowami na wygiętych szyjach łabędzi, z wielkimi brzuchami, wydętymi jak u brzemiennej kobiety, która dodatkowo spożyła wielką ilość mięsa i wina. Od czasu do czasu jedno z nich zdierało nawianą kartkę ze szcudłowatych łydek. Księżyc prześwitywał słabo przez podarty baldachim niczym kość przez rozdartą skórę.

Nikt nie zwracał uwagi na nas, godzinami siedzących w klatce, drżących, przywierających jedno do drugiego w ślepym poszukiwaniu ciepła. Blisko świtu chwyciłem czyjąś rękę, żeby się podeprzeć, i usłyszałem najcichszy krzyk – wtedy ujrzałem ją po raz pierwszy. Niewiele starsza ode mnie, ale znacznie chudsza, chudsza niż jelonek u dna studni zimy, patrzyła na mnie ogromnymi czarnymi oczyma, ciemne włosy miała nierówno przycięte, jak pokutnica, blisko skóry – widziałem nierówne łaty i łyse placki. Usta miała blade, spękane, jakby od wielu dni nie piła wody. Jej drobny nadgarstek zadygotał z bólu w mojej dłoni. Jej oczy przesunęły się na istoty wędrujące po placu, a z nich z powrotem na mnie. Puściłem ją, jakby mnie sparzyła – i sparzyła mnie, naprawdę – te czarne, bardzo czarne oczy parzyły niczym żagiew. Wyciągnąłem rękę, żeby wydobyć ją z tej studni rąk i nóg, ale pokręciła głową i wkuliła się w nie z powrotem. Delikatnie oparłem się o nią; lekko pokasływała. Wtedy pierwszy raz ją dotknąłem, a kaszel był pierwszym dźwiękiem, który usłyszałem z jej ust.

Wreszcie wzeszło słońce, szare i wyblakłe za wysokimi, gnanymi wiatrem chmurami, i zbliżyła się jedna z długoszyich istot. Jednym szybkim ruchem otworzyła drzwi klatki i odstepiła na bok, żeby nie spadły na nią wytaczające się dzieci. Bez słowa, szturchając, popychając z siłą, o jaką jej nie podejrzewałem, rozdzieliła nas, aż skupiliśmy się po obu

stronach podwyższenia, gdzie inni mieszkańcy miasta ustawili nas w dwa drżące szeregi. Ich skóra, blada i srebrzysta, jakby tuż pod nią przepływała woda, w dotyku była chłodna i sucha.

Odetchnąłem z ulgą, ujrawszy, że dziewczynka trafiła do mojego rzędu, znacznie krótszego niż drugi. Staliśmy ramie w ramie, ona i ja, czekając. Dzieci po drugiej stronie zostały powiązane, ręka do ręki, sznurem bledszym niż skóra. Patrzyły na nas bezradnie, szczękając zębami, z sinymi palcami stóp. Potem ich chudoręki strażnik przeciągnął je na naszą stronę i podał smycz ostatniemu dziecku w szeregu. Musiał trącić je szorstko, bo nie rozumiało, a w końcu włożył mu sznur do ręki i zamknął na nim jego palce. Stworzenie, które otworzyło klatkę, chwyciło dłoń pierwszego dziecka i poprowadziło nas wszystkich. Wiedzeni instynktem, trzymaliśmy się za ręce, jakbyśmy szli na piknik za spódnicą matki. Dziewczynka delikatnie ścisnęła moją dłoń. Wyszliśmy z placu na ulice brukowane kogucimi kośćmi i skamieniałymi gałęzmi, które trzaskały pod naszymi stopami, aż stanęliśmy przed wysoką budowlą z solidnymi, porządnymi drzwiami w ścianie ze śmieci. Niegdyś mógł to być kościół, bazylika o strzelistych wieżach. Teraz, jak większość zabudowań miasta, budulcem fabryki – miałem się bowiem dowiedzieć, że to fabryka – był przede wszystkim papier. Mogłem odczytać wiele drukowanych słów, ale nakładały się jedno na drugie albo przeplatały w nieodgadnionym bełkocie:

TUTAJ ZACZYNA SIĘ KSIĘGA KLAUNA, WŁAMYWACZA,
PRZESTĘPCZEGO DOBROBYTU SZPIKU I WSZYSTKIE
TARGOWISKA ZAMKNIĘTE NA MOCY ZARZĄDZENIA
KOZINA – DWIE PORCJE BRAK KIELICHÓW BŁĘKITNYCH,
ŻÓŁTYCH, CZERWONYCH JEDWAB MIERZONY ŁOKCIEM

WŁAŚCICIELA NIE KLIENTA WILCZA ZUPA GORĄCA I
SMACZNA KARAT WAŻY W TEN SPOSÓB ZOSTAŁ
POGRZEBANY KIEDY BYŁ DZIECKIEM, KTÓREGO TWARZ
OSTRZEGA: SPRZEDAŻ ZARAŻONEJ PSZENICY CAŁE
BOGACTWO DLA ZŁODZIEJE CHRYZOPRAZU ZOSTANĄ
OSĄDZENI Z NAJWYŻSZĄ SUROWOŚCIĄ...

Słowa wiły się wokół nadproża i po ścianach jak fryz, wypisane na pergaminie, welinie, zwyczajnym papierze i płótnie, białe i złote, czarne i szare, nawet szkarłatne, z jasnozieloną pleśnią lśniąca na rogach. Dzieci, najpierw te nie związane, potem te związane, jęły wchodzić przez drzwi – i wtedy wydało mi się dziwne, że prawdziwe drzwi wstawiono w stronice tutaj, ale nigdzie indziej. Cisza niczym stos kamieni naciskała na nasze ramiona, zbyt wielka do udźwignięcia. Gdy tylko ostatni ze związanych przestąpił próg, opuściłem swoje miejsce w szeregu, ciągnąc za sobą dziewczynkę, i skoczyłem w dół schodów, na omiataną wiatrem ulicę z kości i gałęzi.

Jedno ze stworzeń dopędziło nas z łatwością – na tych pajęczych nogach są szybkie jak koszarne ostrygi. Chwyciło mnie za włosy w osłoniętym przed wiatrem zaułku. Skinęło głową w kierunku fabryki i próbowało poprowadzić nas wychudłymi pacami. Stałem uparcie, dziewczynka przysunęła się bliżej mnie.

– Gdzie jesteśmy? – syknąłem. Syk zabrzmiał niczym wrzask w cichej, pustej uliczce.

Istota nie kryła zaskoczenia.

– Nie powinieneś się do mnie odzywać – rzekła urywanie.

– Nie możemy przestrzegać praw, o których nikt nas nie powiadomił.

– Teraz już wiesz. Chodźcie do środka i bądźcie posłuszni.

– Nie powinniśmy słuchać praw, z którymi się nie zgadzamy. Nie jesteście naszymi rodzicami – powiedziała dziewczynka i wtedy po raz pierwszy usłyszałem jej głos. Był niski, zachrypły, miękki jak leśne runo.

– Ona ma rację – poparłem ją. – Powiedz nam, gdzie jesteście. Dokąd posłaliście wszystkie inne dzieci?

Istota stała, zmieszana, przenosząc spojrzenie z drzwi, w których jej towarzysze już znikli z ostatnimi dziećmi, na nas i z powrotem. Przeszła z jednej szczudłowatej nogi na drugą.

– Zostanę ukarana – zaskowyczała w końcu.

Dziewczynka potarła ogoloną głowę.

– Słuchaj, czy inne dzieci próbowały z tobą rozmawiać?

– Nigdy.

– W takim razie nie możesz wiedzieć, czy zostaniesz ukarana. Ale kara na pewno cię nie minie, jeśli wrzasnę, a on ucieknie. Jeżeli odpowiesz na nasze pytania, będziemy grzeczni i pójdziemy, dokąd każesz. – Spojrzała na mnie, jej ciemne oczy płonęły jak ostrza. – Obiecujemy.

Istota odetchnęła głęboko i otuliła skąpym płaszczem wielki brzuch. Usta miała bardzo szerokie, niemal od ucha do ucha, i sznury sinawych włosów spływały jej na policzki.

Chrząknęła przeciągle.

– Niech... niech będzie...

OPOWIEŚĆ NADZORCZYNI

Jeśli chcecie wiedzieć, jestem Vhummimą ze Szpiku, trzecią córką Orrisy, która była stryjeczną wnuczką siedemnastego chryzopraza, bo tak tytułowali się nasi władcy w dniach przed Wyniszczeniem. Ze zdegenerowanego bogactwa tamtej martwej od dawna osobistości Orrisa-moja-dobrodziejka odziedziczyła wózek jabłek i kram z fetyszami. Gdy przyszła moja kolej, przejęłam ten majątek i dodałam rożen do pieczenia mięsa. Wśród bogaczy nie byłam bogata, ale za baldachimami Asaadu, Wielkiego Targu, zazdrozczono mi złota pod szyją i jedwabiu na stopach. Tacy wszyscy byliśmy, zazdrośni i wzbudzający zazdrość, ku chwale Szpiku-który-był.

W dzieciństwie Asaad stanowił serce mego serca i pod tym względem nie byłam wyjątkowa. Jakże wysoko łopotały jego baldachimy, jak jaskrawe były te podniebne oranże, te zielenie, te głębokie błękity! Kadzidło, gęste i brązowe, wrzało w wysokich kotłach, owce o czarnych pyskach meczały w zagrodach, złoto odmierzano w czarnych sakiewkach, dużych i małych. Jakże słodko brzmiało poskrzypywanie wózków, głosy targujących się, brzęk bitych monet w dłoni! Błogosławione niebo nad Asaadem zawsze było błękitne, polerowane kamienie placu nieodmiennie lśniły. Co do mnie, chętnie sprzedawałam nasze jabłka i nasze małe figurynki, i byłam taka dumna, gdy weszłam w posiadanie rusztu do pieczenia i szczypiec do węgla,

by pomnożyć majątek rodziny. Wszyscy obywatele handlowali w Asaadzie albo na jednym z mniejszych rynków w okolicy, jeśli kogoś nie było stać na czynsz za wynajęcie kramu w centrum miasta. Uchylenie się od wnoszenia obowiązkowego wkładu w rozwój gospodarki miasta było przestępstwem, karano je piętnowaniem podbicia stopy gorącym żelazem. Dlatego codziennie rano całe miasto – przynajmniej miasto, które się liczyło – zbierało się pod baldachimami, żeby brać udział w wielkiej paradzie handlu.

Moje jabłka chrupały w setkach zębów, moje posążki z nefrytu, onyksu i granatów przynosiły potrójny zysk: niedźwiedzie, węże, pająki i bociany, słonie i wrony, i niezliczona groteskowa różnorodność Gwiazd. Nacieralam włosy, chlubę mojego piękna, najdroższym olejkiem ze szmaragdów – wyciskanie oleju z kamieni jest nadzwyczaj skomplikowane, ale kiedyś wiedzieliśmy, jak to robić. Moja głowa lśniła zielonkawą czernią, szyję miałam krótką, uda krągłe. Byłam nawet lekko pulchna, czego niełatwo uniknąć w Asaadzie, gdzie każdemu smakowi odpowiada dwanaście bardziej wyrafinowanych smaków. Swego czasu uwielbiałam węże nadziewane daktylami, skropione różanym lukrem. Po brodach moich sióstr spływał sos z zapiekanych w pieprzu orzesznic i z zacieranych w miodzie skorupki ślimaków, zmielonych na proszek drobniejszy niż diamentowy pył. Małe ptaszki śpiewające w cukrze malinowym ze skrzydełkami pszczoł lepiły palce moich braci. W dzielnicy sprzedawców owoców pakowano w skórki granatów maleńkie jadalne rubiny, tak małe, że topiły się na języku niczym drobiny cukru. Jeszcze bardziej skomplikowany jest proces wytwarzania żywności z surowych bogactw, ale też opanowaliśmy go w tych czasach,

gdy wiedzieliśmy wszystko. Kiedyś zjadłam topaz wielkości pięści mego ojca, skórka rozpękała się w moich zębach jak jabłko z mojego wózka. Słońce tego dnia było takie ciepłe, że myślałam, iż prześwituje przeze mnie. Ojciec zachęcał mnie delikatnie, wsuwając złoto w me usta. Miało smak spieczonej przez lato pszenicy i najbledszych brzoskwiń.

W Asaadzie jedliśmy wszystko, co mogliśmy kupić, a kupić mogliśmy wszystko. Nic nie mogło zaspokoić naszego głodu, nic nie miało za wysokiej ceny.

Po raz pierwszy usłyszałam o tym w czasie trzeciej zmiany obiadowej – targowisko nie mogło zostać zamknięte tylko dlatego, że zgłodnieliśmy w środku dnia. Jedliśmy na przemian, dzięki czemu handel nigdy nie ustawał. Tego dnia odpoczywałam na sofie pod fiołkowym baldachimem usianym srebrnymi półksiężycami, pijąc korzenną czekoladę w kielichu z czystego złota. Byłam wówczas młoda, nie mogłam wymagać niczego więcej. Skórka cytryny pływała w moim napoju i trącałam ją długim, lukrowanym paznokciem, gdy sprzedawczyni pigwy szepnęła:

– Słyszałaś? Teraz cała droga do sklepów Rhukmini.

Nadzwyczaj korpulentny kupiec, który parę lat wcześniej wyhodował zdumiewającą i wielce popularną krzyżówkę śliwki z ametystem, ziewnął i ruchem ręki odpędził opalizujące muchy od swego kielicha.

– I co? Zamkną ulicę, a my zajmiemy się swoimi sprawami. Rhukmini to nędzna dzielnica handlarzy ryb, stara meloniarka, marginesowy cień Asaadu. Ja zwę to wydarzenie zrzędzeniem opatrności. Koniec z podciąganiem nogawek, żeby nie

pobrudziły się w atramencie kałamarnicy i skrzepłej od lodu krwi dorsza.

Hodowca śliwek hołdował najnowszej modzie szczepienia obcych członków na własnym ciele – twarz miał szarą, z nosem wydłużającym się w niewielką trąbę słoniową, która spadała na wąsy. Był dumny z tego dodatku i dopilnował, żeby wszyscy w Asaadzie wiedzieli, iż pod koniec sezonu będzie on znacznie większy. Koniec końców, był człkiem słusznej postury.

– Co się stało? – spytałam zaciekawiona. Wygładziłam lśniąca grzywkę. Ciepło połączyło pot z olejem z klejnotu i parę zielonych strumyczków grzało mi kark.

Handlarka pigwami odwróciła się w moją stronę, błysnęły kółka w jej nosie.

– Zniknęło bez śladu – oznajmiła triumfalnie. – Całe Rhukmini. – W naszej gospodarce drugie miejsce zaraz po bogactwach zajmuje znajomość plotek, w czym miała wyraźną przewagę. Jej krótkie włosy lśniły od granatów i nigdy się nie pocila.

– Zniknęło? – Sztuka prowadzenia konwersacji nigdy nie była moją mocną stroną.

– Cóż, niezupełnie – mruknął hodowca śliwek, gładząc kciukiem wąs natarty lazurytem i wodząc palcem wskazującym po rosnącej trąbie. – Kawałki zostały, roznoszone przez wiatr. Ale przypuszczam, że nieprędko ktoś będzie tam suszył ośmiornice.

Musiałam rozdziawić usta – kto by nie rozdziawił? Tatuowane agatem zęby (tylko jedna ze sztuk w mieście, w którym istniały wszystkie możliwe sztuki) ukazały się pomiędzy moimi grubo pomalowanymi wargami. Widziałam, jak hodowca śliwek jawnie kalkuluje, czy moje zęby pobiją jego

trąbę w hierarchii przepychu, zmieniającej się wraz z każdym nowym procesem, alchemią albo mechaniką Asaadu. Chyba zdecydował, że jego mały szary wyrostek zajmuje bezpieczną wyższą pozycję.

– Może pójdziesz na stronę Rhukmini i zobaczysz na własne oczy? Każę moim chłopcom przypilnować twojego wózka, są uczciwi jak stado chytrych lisów, co znaczy, że nieszczególnie, ale sprzedają równie dobrze, jak kradną, a czego więcej można wymagać od młodych?

Ściągnęłam brwi. Prawda, jego synowie będą kraść, lecz mieli obrotne języki, a ja byłam dość młoda, by ciekawiło mnie miasto poza baldachimami, dość młoda, by uważać, że skradanie się zaułkami pełnymi pustych odnóży krabów i sprzeczących się mew znad rzeki może być warte straty paru jabłek i kawałków mięsa.

Poszłam – kto by nie poszedł?

W OGRODZIE

Chłopiec zadrżał.

– Nie podoba mi się ta historia – szepnął. Wiatr szumiał cicho w ogrodzie, grzechocząc gałęziami i przemieniając więdnące kwiaty w tańczących derwiszów. – Wolałbym o piratach.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Nie mogę zmienić tego, co jest napisane na mojej skórze, tak jak nie mogę zmienić skóry.

Błękitna mgła wieczoru toczyła się po ogrodowych ścieżkach niczym regiment odziany w gwiazdne światło. Dziewczynka skubnęła gęsty mech i spojrzała w stronę pałacu, pełnego jak zawsze światła i głosów. Czubki palców miała bezbarwne. Mówiła jakby z daleka, z kryjówki za ścianą z marmuru i szkła.

– Gdyby nie te moje znaki, gdybym nie była szopem-demonem grzebiącym w resztkach bogactwa ogrodu, mogłabym zwać się Dinarzad, nosić perły we włosach i wyjść za mężczyznę, który miał złote kogutki. Bardzo dziwnie jest o tym myśleć.

Chłopiec zmarszczył czyste czoło.

– Nie sądzę, że spodobały ci się mężczyzna z kogutkami.

Dziewczynka uśmiechnęła się jak zając, który wie, że powiodła mu się ucieczka.

– Nie jestem głupia. Przez większość czasu cieszę się, że nie mam na imię Dinarzad. Ale zimno czasami przypomina

umieranie i wtedy myślę, że życie amiry nie byłoby takie złe.

Chłopiec patrzył na nią wzrokiem młodego kota, który chwyta swoją pierwszą mysz.

– A jak masz na imię, przyjaciółko? Wstydzę się, że nie spytałem wcześniej!

Dziewczynka spojrzała na mech i swoją marznącą rękę, obcą tutaj jak śnieć na pszenicy. Postarała się, by twarz mieć spokojną, nieruchomą jak woda, niewzruszoną jak gwiazdy, żeby nie wyczytał z niej goryczy twardej niczym kora głogu.

– Skąd mam znać swoje imię? Kto woła mnie po imieniu, zwie inaczej niż demonem, urwisem, szopem? Jeśli dano mi imię, to ktoś musiał schować je w jakiejś dziwnej sakiewce i moje oczy nigdy go nie widziały.

Zawiedziony chłopiec też skierował spojrzenie na pałac i oboje przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Podawanie własnego imienia uznał za niestosowne, gdyż dziewczynka nie miała się czym zrewanżować. Nie chciał po raz kolejny pokazywać, że on ma to wszystko, czego jej brakuje.

Pierwsze martwe liście rozstawały się z drzewami, bezszelestnie spadając na wilgotne kamienie. Gdzieś za plecami dziewczynka słyszała cichy szmer sadzawki, w której chłopiec przyłapał ją w kąpielu, przyłapał ją pod księżycem. Wokół ich kopca skał rosły niskie dzikie róże, ale wiatr z deszczem odarły je z kwiatów i teraz płatki leżały u stóp dzieci jak podarte stronice.

– Jeśli chcesz, żebym przestała...

– Nie! – powiedział szybko chłopiec, szeroko otwierając ciemne oczy. – Nie podoba mi się, ale nie zniósłbym, gdybym

nie wysłuchał do końca. Opowiedz mi o tym strasznym miejscu.

Dziewczynka przesunęła ręką po oczach, dotykając miękkiego czarnego miejsca, gdzie dawno temu zapisane zostały wszystkie te historie. Nie po raz pierwszy pomyślała, że czuje płonący w sobie kształt liter. Wreszcie podjęła opowieść, a jej głos niósł się po zielonych skałach niczym plusk wody w pustej studni.

– Vhummima, pożeraczka klejnotów, poszła na stary targ rybny, gdzie spowiał ją zapach gnijących małżów i strzaskanych muszli...

OPOWIEŚĆ NADZORCZYNI, CIĄG DALSZY

Rhukmini było piękne na swój sposób – diamentowe zbiorniki tłumiły dźwięk srebrnych młotków rozbijających skorupy krabów i klekotanie homarów. Były tam markizy ze skóry narwala, niebieskie jak nowy atrament, i wózki o kółkach z fiszbinów. Był tam mały pawilon, gdzie ciekawi mogli spróbować wody morskiej ze wszystkich oceanów świata i stwierdzić, że smak soli zmienia się z fali na falę.

Wszystko zniknęło – nie zniknęło, zostało zniszczone.

Straszny wiatr hulał po długiej alei, gdzie kiedyś było targowisko Rhukmini, i niósł wspomnienie zapachu lodu pływającego w rybiej krwi – ale tak naprawdę pachniał kurzem, niczym więcej niż kurzem. Targ leżał w ruinie, zostały tylko kawałki muszel i papieru, mięsa, drutu i skóry, jakby mściwy olbrzym rozdarł wszystko na strzępy. Wiatr zachował te szczątki w przybliżonym kształcie dawnej ulicy, z jednej strony piętrząc ryby, a z drugiej papierowe opakowania.

Miejsce przypominało Szpik, który was otacza – tylko było nowe i surowe, wilgotne i broczące jak jasna rana na starym ramieniu miasta. Kolory pozostały żywe, gdzieniegdzie widziałam smugi, które mogły być mątwą albo łososiem – a

równie dobrze sklepikarzem lub klientem szukającym malachitowej ikry.

Może nie powinnam przyglądać się dokładniej. Wylot ulicy był wyraźnie oznakowany i zatarasowany wybielonymi sosnowymi deskami; to była logiczna reakcja. Kończyna, która zgniła? Odciąć ją, założyć opaskę na kikut i zająć się sprawami żywych. Ale byłam ciekawa – kto wśród nas nie był ciekaw? Dlatego przecisnęłam się pomiędzy deskami na zniszczoną, zrujnowaną ulicę Rhukmini – i nagle spadłam przez warstwy odpadków, rybich szkieletów i papieru, ogromnych ilości papieru, w ciemność głęboką i twardą jak zaciśnięta pięść.

Pod miastem światło wpadało w poszarpanych kłaczkach w miejscach, gdzie części ulic i placów poszły w ślady Rhukmini. Nie spadałam długo, jak może myślicie, ale mimo to nie mogłam dosięgnąć do trzepoczących szarych strzępów targowiska, żeby się wyciągnąć. Dlatego ruszyłam przed siebie – kto zrobiłby inaczej? Upadek nie był długi, ale wędrówka daleka. Czulałam zapach własnego potu zmieszanego z olejem szmaragdowym we włosach – nie wiecie, że szmaragdy pachną limetami i kadzidłem? Tak, tak, dobrze pamiętam, jak uwielbiałam ten zapach, mój zapach.

Podbrzusze miasta było wielkie, czarne i puste. Powietrze, ciepłe, prawie gorące, poruszało się leniwie wokół moich kostek. Kamienne kolumny wwiercały się w przesiąkniętą wilgocią łoże ziemi – kiedy myślę o tym teraz, uważam, że musiały być korzeniami Szpiku, granitowymi i marmurowymi korzeniami banków, wież i uniwersytetów, kamiennymi korzeniami kamienic i fabryk, złotymi korzeniami pałaców złotników. Każda budowla wciskała w ziemię dziwne, tajemne

palce stóp, a ja wędrowałam przez ten las z kamienia. Wbrew sobie zaczęłam szukać korzeni Asaadu – o ile piękniejsze, o ile bogatsze i jaśniejsze musiały być ich kamienie od wszystkich pozostałych! Myśl ta chroniła mnie przed strachem na tych niskich, tajemnych ścieżkach, pełnych pajaków i pleśni. Chciałam znaleźć Asaad, który, czego byłam pewna, wyniesie na powierzchnię swe dziecko.

Nie znalazłam splątanych korzeni Asaadu. Po przejściu przez parę kolejnych smug światła, które sączyło się chorobliwie w głąb miasta korzeni, dotarłam do wielkiego sękatego cedru – prawdziwego drewna wśród niezliczonych kamieni. Ziemia zamykała się szczelnie wokół masywnego czerwonego pnia, więc nie mogłam zobaczyć, jaki gmach zapuścił takie macki w mroku. A zza tych sękatych urwisk dobiegało chrzączenie, zgrzytanie, trzeszczenie, jakiego nie zapomnę nigdy, do końca życia.

Ruszyłam w tamtą stronę. Kto by nie ruszył?

Z początku nic nie widziałam w mrocznych cieniach. Ostry zapach cedru wypełnił mój nos jak woda. Potem dostrzegłam błysk bieli – za korzeniami, coraz dalej i dalej, błysk bieli migoczący w mroku.

– Jest tam kto? Nazywam się Vhummima, jestem córką Orrisy. Zabłądziłam! – wołałam. Mój głos był słaby i drżący. Czyj byłby silniejszy, bardziej pewny?

W odpowiedzi usłyszałam głośniejszy chrząst, głośniejsze zgrzytanie, jakby obracało się koło oselki.

– Znasz drogę wyjścia? – szepnęłam.

– Ja jestem drogą wyjścia – odszepnął niski, buczący głos. – Przeze mnie znowu możesz znaleźć światło.

Coś podpełzło bliżej, na brzuchu, jak czołgający się pies, i spojrzało mi w oczy. Stworzenie złożone wyłącznie z zębów. Cztery nogi były mieszaniną trzonowych, przedtrzonowych, siekaczy. Błysnęły oczy: wilcze kły pożółkłe ze starości. Wielki płaski cios słonia tworzył kręgosłup, a długie kły tygrysie zakrzywiały się w żebra. Stopy były kopytami z zębów; zuchwa zwisała łakomie otwarta, biała i żółta. Twarz delikatna: rząd po rządzie mlecznych ząbków, perłowych i bladych. Stwór nie miał w sobie niczego, co nie byłoby zębami – pomiędzy zgrzytającymi trzonowcami widziałam pustkę.

Bałam się, oczywiście. Kto by się nie bał?

– Kim jesteś?

Istota zrobiła krok w bok, do tyłu i do przodu. Trzonowce lewej stopy zostawiły odcisk w cieplej, wilgotnej glebie.

– Jestem Gołód, Ten, który Połyka.

– Pokażesz mi drogę wyjścia, Gołodzie?

– Jesteś ładna i przyjemnie pachniesz. – Jego ostre oczy obróciły się w szkliwie oczodołów. – Przybyłem do tego miejsca, szukając ładnych, przyjemnych rzeczy...

OPOWIEŚĆ O GŁODNYM PANU

Czy wiesz, że miasto może umrzeć równie łatwo jak człowiek? To prawda, daję słowo. Umiera w ten sam smutny, samotny sposób jak ludzie: nóż w sercu gubernatora, szybkie zatrucie rzek. Jest też rak, który zaczyna się powoli, ukłucie w księgarni w zakurzonej zaułku, grudka w rynnie usłanej żółtymi liśćmi. Kto zauważyłby taki drobiazg ukryty w mieście kolumn, śliwek i pióropuszy? Albo miasto może stać się pożywieniem, co jest nieuchronnym losem wszystkich rzeczy. Może zostać pożarte, ulica po ulicy – może zostać połknięte przez większe miasta, przez armie, przez mieszczan zbyt głodnych chudego mięsa latarni, ogrodów botanicznych i posągów upamiętniających wojnę. Albo przez coś, co polubiło jego smak.

Przypuszczam, że możesz nazwać mnie rakiem, guzem utkniętym w burzowcu, ale trafniej jest zwać mnie apetytem.

Chcesz posłuchać o mojej rodzinie? Za każdym razem, gdy spotykam jednego z was, pawi zjadających klejnoty, natychmiast mi mówicie, kim jest wasza matka, kim jest wasz ojciec albo stryjeczny dziadek po kądzieli. Powinienem zrewanżować się tym samym. Nie miałem matki, nie miałem ojca. Czy mój rodowód nie jest idealny?

W lesie daleko stąd żył kiedyś pewien człowiek. Człowiek ten cierpiał na wielki głód, cierpiał na głód jak inni na

wyniszczającą chorobę albo z powodu strzały w stopie. Człowiek ten był zamożny, przed atakiem głodu niebrzydki i dobrze ożeniony. Jego żona, piękniejsza niż rok samych kwietniów, miała czarne włosy i oczy. On zwał się Maciej, ona Małgorzata.

Dzięki korzystnemu ożenkowi z Małgorzatą, Maciej został panem sporej liczby dzierżawców, których przez jakiś czas traktował na tyle dobrze, na ile możliwe to u dziedzica – co znaczy, że nie dbał o nich wcale, wyjąwszy porę żniw, bo w żniwa wszyscy panowie cierpią głód, w porównaniu z którym ten Madejowy wydawał się skromny i umiarkowany. Ale zdarzyło się, że przez trzy lata z rzędu ziemia była okrutna i twarda, i wydała ledwie dość, by wykarmić tych, którzy ją uprawiają, więc dwór na wzgórzu musiał sprzedawać gobeliny i tym podobne rzeczy, żeby kupić jabłka, świninę i kapustę.

Czwartej zimy nie było wcale zbiorów. Wiatr wył po polach, nagich i najeżonych jak głowa nowego mnicha. Maciej i jego piękna żona patrzyli na pusty stół, podobnie jak wszyscy inni, którzy obrabiali ziemię. Nastaly ciężkie czasy. Ostatnie krowy mleczne zostały zabite; ostatnie nioski zostały ogryzione do kości. Nie chcę ci mówić, co robili najbardziej nieszczęśni, by przeżyć.

W środku zimy Macieja dopadł wielki głód, poczęty w nim niczym dziecko w łonie niewiasty. Jego brzuch burczał, ściskany skurczami; zaślepiony głodem pan darł draperie na strzępy, by zapchać łaknącą dziurę. Ale szczęście czasami uśmiecha się do cierpiącego. Nastala wiosna łaskawa, bogata, zielona, pełna nowych owiec, pola były obsiane, łąki pełne par zwierząt rozplodowych, które przysłali współczujący krewni Małgorzaty zza wzgórz. Maciej jadł i jadł. Krążył po swoich

salonach, jego żołądek wyżerał w sobie jaskinie, pochłaniając jabłka, świninę i kapustę – ale nieszczęsny pan nie zdołał go nasycić. Co dziwne, nie obrastał tłuszczem, bo równie szybko, jak zjadał, znów robił się głodny, jego ciało płonęło tak gorące i jasne, że w nocy rolnicy nie potrzebowali świeczek: dwór na wzgórzu jarzył się głodem pana.

Wreszcie, gdy znów nadeszły żniwa i wraz z nimi to, co należne panu, Małgorzata myślała, że mąż się w końcu nasyci. Do jego ust trafiał cydr i piwo, orzechy laskowe i sarnina, jabłka, porzeczki i udźce jagnięce. Do jego brzucha trafiały kabaczki, pasztety i wrzeszczące kurczęta; do jego gardzieli trafiały udźce wołowe, grzyby i świnie – całymi wozami. Kiedy dzierżawcom nie zostało już nic, co mogliby dać dworowi na wzgórzu bez narażenia się na śmierć głodową, piękna Małgorzata, o czarnych włosach i oczach, poszła do nich i błagała, by oddali swoje zwierzęta mężowskiemu głodowi, który spotęźniał tak wielce, iż same warzywa i owoce przestały mu wystarczyć. Wszystko zostanie odpłacone, obiecała – czy jej krewni nie wsparli ich na wiosnę po najsroźszej zimie? Dzierżawcy zrozumieli, że jakoś przetrwają zimę.

Najpierw dali wołu i kurczaka, kozę i gęś, a nawet konia i psa. Wszystko to Maciej zjadł przy jęczącym stole, do kości i kopyta – wszystko z wyjątkiem zębów, których nawet on nie mógł strawić. Zęby rzucał w kąt sali po wyssaniu szpiku z kości ich właścicieli i stos rósł z dnia na dzień. Niekończąca się uczta nie sprawiała mu żadnej radości, nie mógł zapełnić brzucha, nie mógł nawet wstać od trzeszczącego stołu. Płakał, gdy jadł, nie mógł bowiem przestać, i nienawidził smaku chrząstki i kości – ale nie mógł przestać. Głód w nim płonął.

Nie minęło wiele czasu, a w obejściach dzierżawców zapanowała cisza, nic nie chrząkało ani nie pobekiwało. Małgorzata posłała do dalekiego krewnego z prośbą o jeszcze większe i bardziej egzotyczne stworzenia: słonie, tygrysy i wilki znikwały we dworze na wzgórzu, który nocami świecił na całe mile, gdy Maciej siedział przy stole, jedząc i płacząc, jedząc i płacząc. Jego szczęki miażdżyły kości lamparta i lwa, gryfa i nawet dziwnego jednorożca. Nie czuł ich smaku, ale je pożerał, i dwór na wzgórzu się jarzył.

Jednak nawet ta obfitość nie mogła trwać długo – krewny Małgorzaty odmówił przysyłania kolejnych zwierząt. Dzierżawcy stracili wszystko, więc już nic nie można było im zabrać, a we dworze zdarto nawet draperie, żeby nakarmić nieszczęsnego pana. Maciej jął żuć gzymsy i boazerie; jego łzy spływały po kopcach zębów, gdy się na nie wspinał, próbując ssać reliefy dorodnych winogron, które zdobiły sufit.

Z wrodzoną delikatnością Małgorzata ściągnęła go na dół i usadziła przy stole, który stał się kołem tortur łamiącym jego kości. On podniósł na nią udręczone oczy, czerwone jak zaraza i dwakroć bardziej puste. Patrzył na nią, zawstydzony, z głodem wypisanym na twarzy.

– Nic nie szkodzi, mężu. Wiedziałam, że ten dzień nadejdzie.

Położyła ręce na stole, gładkie i opalone po dniach trzepania koców na słońcu i błagania o inwentarz od progu do progu. Rozpostarła palce na poplamionym sokiem drewnie.

– Kobieta może dawać swoje ciało wedle woli, a dziedziczka winna dać nie mniej, niż dają jej poddani. Pan bierze po równo, wszystko od wszystkich. Weź tylko moje ręce i przysięgnij mi, że je zastąpisz.

Z początku się wzbraniał, udając zgrozę na samą propozycję – ale na stole leżały jej ręce z szeroko rozpostartymi palcami i śliska pociekła mu do ust. Ona nie powiedziała słowa, ale też nie zabrała rąk. Po chwili Maciej przyniósł nóż i z płaczem odciął w nadgarstkach brązowe dłonie żony.

Małgorzata nie zapłakała.

Maciej nie chciał jeść na oczach żony, dlatego przycupnął w kącie pod górą zębów jak wychłostany pies, wysysając ciało z kości. Kiedy skończył, z wielką czułością złożył ogryzione kosteczki w relikwiarzu z miedzi i opalu, delikatnie kładąc palce na zielonej poduszce.

Przez jakiś czas był nasycony. I dotrzymał słowa, i zrobił dla żony nowe, dziwne ręce – był bowiem zmyślnym człowiekiem, zanim pożarł go głód. Utkął ręce z witek, z leszczyny i z wikliny, z zielonej i giętkiej wierzby. Przywiązał je rzemieniami do sinych kikutów i przypiął gałązki do pasa pięknym cienkim łańcuszkiem, który wił się w pętelkach i zawijasach po jej spódnicy, żeby mogła poruszać rękami równie szeroko jak wcześniej. Oczywiście, ruszała nimi dziwnie, długie wiklinowe palce grzechotały o talerz i policzek, lecz w znacznej mierze była taka jak dawniej, a dwór na wzgórzu wreszcie ściemniał i przycichł.

Nadszedł czas, gdy głód się znów odezwał. Maciej skrywał go długo, ale w końcu upadł przed swoją panią, straszne światło wrzało w nim, gdy konał z głodu. Piękna Małgorzata, o czarnych włosach i oczach, podniosła go i powiedziała:

– Lepiej żebym ja straciła kończynę, niż żeby lud wiejski jeszcze raz utracił wszystko. Weź tylko moje stopy i przysięgnij, że mi je zastąpisz.

Tym razem się nie sprzeciwił; natychmiast przyniósł nóż do krojenia mięsa, wyszczerbiony i stępiony na stawach niezliczonych stworzeń, i odciął stopy żony w kostkach. Jak wcześniej, nie chciał jeść na jej oczach, dlatego kucnął w kącie pod górą zębów, wysysając ciało z kości. Kiedy skończył, pieczołowicie złożył ogryzione kości w relikwiarzu ze srebra i malachitu, delikatnie kładąc palce stóp na błękitnej poduszce.

Przez jakiś czas był nasycony. I dotrzymał słowa, zrobił żonie nowe, dziwne stopy – był bowiem zmyślnym człowiekiem, zanim pożarł go głód. Utkął stopy z witek, z leszczyny i z wikliny, z zielonej i giętkiej wierzby. Przywiązał je rzemieniami do sinych kikutów i przypiął gałązki do pasa pięknym cienkim łańcuszkiem, który wił się w pętelkach i zawijasach po jej spódnicy, żeby mogła poruszać nogami równie szeroko jak wcześniej. Oczywiście, ruszała nimi dziwnie, wiklinowe palce grzechotały o podłogę i o słupek łóżka, lecz w znacznej mierze była taka jak dawniej, a dwór na wzgórzu wreszcie ściemniał i przycichł.

Ale nadszedł czas, kiedy pan znowu zgłodniał. I znów piękna Małgorzata spojrzała na zielone pola i schowała twarz w wiklinowych dłoniach, mówiąc, że lepiej będzie, gdy ona straci kończynę, niż lud wiejski miałby stracić wszystko raz jeszcze. I tak oddała swoje kolana, łydki, biodra, klatkę piersiową, ramiona. Maciej jadł, jarzył się, płakał i znowu jadł, a tymczasem ciało Małgorzaty przemieniało się w dziwny szkielet z gałęzi, jej pierś stała się pustą klatką, jej plecy – drewnianą drabiną. Za tymi prętami wciąż biło gorące czerwone serce; miała jeszcze własną zuchwę i niektóre części twarzy – i oboje czarnych oczu – choć lewy policzek oddała mężowi.

Resztki te były wszystkim, co jej pozostało, i Małgorzata chodziła po salonach w wierzbowo-leszczynowym ciele. Kiedy Maciej znów zgłodniał, powiedział sobie, że nie poprosi o więcej, że prawa pana mają granice, że dała mu więcej niż mężczyzna mógłby prosić żonę. Ale wciąż wrzał w nim głód i z czasem nie pragnął niczego prócz niej. W środku mrocznej zimy piękna Małgorzata, która zamiast czarnych włosów miała tylko pęki sztywnych witek, położyła się na starym stole i rzekła:

– Lepiej żebym straciła te resztki, niż żebym patrzyła, jak mój pan kolejny raz pustoszy swoje ziemie. Weź moje serce i moją twarz, która kiedyś była piękna, ale przysięgnij, że mi je zastąpisz.

Płacząc gorzko, z głodem wypisanym na twarzy, Maciej przyniósł nóż do krojenia mięsa, z ostrzem ściemniałym od przelanej kobiecej krwi, i wyciął serce żony, i żuchwę, i piękne czarne oczy. Już nie patrzyła na niego, zasiadł więc do uczyty przed jej wiklinowym ciałem. Kiedy skończył, z czułością złożył ogryzione kości w relikwiarzu ze złota i granatów, jej żuchwa spoczęła ciężko na czerwonej poduszce.

I upłótł jej wiklinowe serce, i umieścił je pod leszczynowymi żebrami.

I upłótł jej wiklinową twarz, i przymocował ją do wiklinowej czaszki.

I upłótł jej wiklinowe oczy, i osadził je pod czołem z gałązek.

Ale zębów nie zamknął w relikwiarzu. Wspiął się na zębową górę, która teraz prawie dosięgała sufitu, i położył je na szczycie.

Pan był nasycony, a ja się zbudziłem.

Białe zęby Małgorzaty wpadły do mojego serca i podniosłem się z kopca, nagi i niepewny niczym noworodek. Maciej wytrzeszczał oczy, gdy stawiałem pierwsze kroki, kopyta zębów klekotały na płytach podłogi. Słaniałem się, w oczach mi się ćmiło – lecz wreszcie ujrzałem go wyraźnie, a za nim wiklinowe ciało.

Ujrzałem go i zgłodniałem.

OPOWIEŚĆ NADZORCZYNI, CIĄG DALSZY

– Połknąłem go w całości, z kośćmi i zębami. Wciąż byłem głodny, odwróciłem się więc w stronę wiklinowej kobiety, która niegdyś była Małgorzatą, i spojrzeliśmy na siebie, oko z gałązek i oko zębowe. Nie chciałem jej pożreć. Była moją siostrą, oboje poczęliśmy się z głodu. Dlatego wyskoczyłem z dworu na wzgórzu, teraz ciemnego, ciemnego jak skała na kamieniu, i zabrałem z sobą swój głód. To wszystko, czym jestem. Jestem głodem, a głód jest mną. Razem szukaliśmy rzeczy dość wielkich, żeby się nasycić. Zaczęliśmy od bydła i wieśniaków, ale nie wystarczyło. Spróbowaliśmy lasów, ale były gorzkie, i bagien, ale były słonawe. Wreszcie przybyliśmy tutaj.

Drżałam, mokra od soku klejnotów i potu.

– Karzesz nas? – szepnęłam. – Bo my też jesteśmy głodni? Bo zjadamy dziwne rzeczy i nigdy nie jesteśmy nasyceni?

Zębolud parsknął, a był to dziwny, grzechoczący dźwięk. Poruszał się jak kot, drapiąc ziemię, wystawiając i chowając pazury z kłów, machając ogonem z trzonowców.

– Oczywiście, że nie. Czy rolnik karze krowę? Nie, po prostu ją zjada i oblizuje usta. Jesteście ładni i mili, i przypuszczamy, że to miasto jest dość duże, aby nas wykarmić. Przepuścimy was

przez nas i będziemy rozkoszować się waszym smakiem. Nie różnię się od innych istot, chcę jeść, chcę żyć.

Gołód odwrócił się i zacisnął wielkie szczęki na jednym z długich korzeni cedru. Ogryzał go, ssał i szarpał jak kość – a korzeń powoli szarzał, łuszczył się, cieniał, rozkruszał na kawałki i blade pasy kory. Zachował kształt i może wyobraziłam to sobie – nie powiem, że nie wyobrażam sobie różnych rzeczy, kto nie wyobrażałby sobie różnych rzeczy w miejscu tak ciemnym i strasznym? – ale wydawało mi się, że wiatr przemyka przez zniszczony korzeń.

– To nie jedzenie – rzekłam cicho. – To niszczenie, to marnowanie, ale nie jedzenie.

Gołód łypnął na mnie, wilcze zęby błysnęły w jego oczodołach.

– Czy wy też nie zostawiacie resztek, kiedy coś spożyjecie? Nie moja wina, że moje resztki są bardziej interesujące niż wasze.

Spojrzeliśmy na siebie. Wiedziałam, że mnie połknie, a ucieczka nie była możliwa – z pewnością znał te tunele lepiej niż ja, on, który wygryzł je w bezświatłych trzewiach miasta. Zmroził mnie strach – kogo nie zmroziłaby myśl, że zostanie pożarty jak dojrzały klejnot? Zimny szmaragd spływał mi po karku. Pomyślałam o swoim wózku, o moich jabłkach, o moich małych agatowych bożkach, o moim nowym złotym różnie, który tak gładko obracał się w rękę. Pomyślałam o topazie sprzed wielu lat i jak jego sok spływał mi do gardła.

– Zastanawiam się, jak będziesz wyglądać – rzekł Gołód – kiedy przeze mnie przejdziesz.

OPOWIEŚĆ O DWUNASTU MONETACH, CIĄG DALSZY

– Przeszłam. Przypominało to nie tyle jedzenie, ile szarpanie zębami, marnowanie. – Vhummina patrzyła na nas żałośnie oczami wielkimi i mlecznymi w okrągłej, unoszącej się nad nami twarzy. Kościstymi palcami pogładziła wygiętą szyję. – Gołód przyłożył do mnie zęby i moja skóra obróciła się w kartki i popiół, trzymane razem przez stare, pełne kurzu powietrze. Tam, wśród korzeni banku i bazyliki, zostałam odmieniona. Moja szyja wydłużyła się tak bardzo, że nie mogłam jeść, moje kończyny stały się takie długie, że nie mogłam biegać. Śmierć przemienia nas w to, w co zechce – jesteśmy Pra-Ita, tymi, którzy przeszli na drugą stronę.

Patrzyłem na nią, na jej zwiędłą, wyciągniętą szyję tak cienką, że niemal widziałem przez nią budowlę ze śmieci. Kotłujący się, tarmoszący wiatr hulał po ulicach. Vhummina rozchyliła szaty, zwiewne i cienkie niczym puch dmuchawca, i pokazała brzuch, wydęty jak u ciężarnej. Ale zamiast skóry ujrzałem klejnot, wielki, bezbarwny, szlifowany, osadzony w ciele jak oczko w pierścieniu.

– Mówię językami śmierci – szepnęła, jej głos splatał się z szumem wiatru. – Zostałam odmieniona i nie znam siebie, wiem tylko, że stałam się tym, co jadłam, a to, co jadłam, stało

się mną. Podobny los spotkał resztę miasta, powoli wszystko poszło w ślady Rhukmini, w ślady Vhumminy. Zielone i kwitnące nabrzeża Varilu zatoneły w rzece śmieci, pomniki ku czci poległych na wojnie rozpadły się w proch. Na koniec Asaad też stracił swój szkarłat i złoto, stając się własną skorupą: pieniądze, papier i sztywny, martwy jedwab zbite w jedno przez bezustanny wiatr. Zmiany zachodziły stopniowo i w zasadzie ich nie zauważaliśmy, dopóki Gołód nie przepuścił nas przez siebie, a nawet wtedy wciąż wydawaliśmy pieniądze, wciąż handlowaliśmy zniszczonymi towarami. To nawyk, przymus, i nie podlega przemianie. Wiatr, ten nieustający, bezlitosny wiatr, który sprowadził Gołód, nosi nas z miejsca na miejsce. Wiatr trzyma nas razem, póki może, a potem znikamy, aż znajdzie się nowa dolina albo urwisko, gdzie przywraca nam dawną postać. To miejsce jest dla nas jak każde inne.

– A ta budowla, do której chcesz nas zaprowadzić, z tymi dziwnymi słowami na nadprożu? – zapytała ostrzyżona dziewczynka.

Vhummima zamrugła powoli, jakby powinno być to dla nas oczywiste.

– To Mennica. Będziecie pracować, jak inne dzieci. Żywi pracują, martwi nie. Cieszcie się, że zostaliście wybrani do pracy. Tak dla was lepiej. – Otuliła brzuch i muskała palcami złachmanioną tkaninę, patrząc na nas spod zlepionych w strąki włosów. – Jeśli teraz nie pójdziecie, nie zostaniecie odliczeni, a to się źle dla was skończy.

– Możemy uciec. – Drżałem, próbując nie myśleć o tych płaskich, ciężkich drzwiach i jak zabrzmiał ich huk, gdy zostaną zamknięte.

– Wierście mi, złapię was – oznajmiła Vhummima z powagą. Uniosła nogę jak bocian; zapowiedź prędkości, o jakiej nasze krótkie nogi nie mogły nawet marzyć.

Poszliśmy za nią. Kto by nie poszedł?

Drzwi się zamknęły. Odgłos brzmiał jak trzask pękających kości.

OPOWIEŚĆ O PRZEPRAWIE, CIĄG DALSZY

Idylla kaszlnął w wilgotnym powietrzu, oddech tłukł mu się w płucach jak wypuszczona strzała. Jego paznokcie, długie jak kobiece, wbijały się w jesionową tyczkę, gdy pchał prom po jeziorze. Maleńkie wiry tworzyły się wokół drzewca, kiedy je podnosił – niewidoczny muł zasysał, ciągnął w dół.

– Chciałbym ci nie wierzyć, lecz nie jest to miejsce, w którym wielu ludzi ryzykuje kłamstwo. Byłeś w Opłakanym Mieście – zazdroszczę ci. Sam je odwiedziłem, gdy nie było tam ani popiołów, ani stronic, ani rybich szkieletów spiętrzonych w minarety. Czy wciąż są tam róże? Czy wszystkie płatki zbieleły i zbrązowiały, niesione wiatrem wzdłuż martwego nabrzeża?

Siódemka ściągnął brwi i odgarnął ciemne włosy od wymizerowanej twarzy. Wokół podkrążonych oczu rysowały się linie i rysy, które pewnego dnia miały przemienić się w zmarszczki, w bruzdy, w rowy w żywym ciele.

– Niekiedy płatki wpadały przez drzwi Mennicy jak śnieg – rzekł cicho.

Idylla pokiwał głową. Siódemka pomyślał, że w najdalszej dali, za mgłą rozróżnia kolczaste, pojedyncze czuby drzew, jak ślady kocich pazurów na szarym niebie, a pod nimi samotną plażę. Wyspa majaczyła tak daleko, że trudno było zwać ten

przestwór wodny jeziorem. Miał wrażenie, że płyną po rozległym śródlądowym morzu, i zadrżał mimo woli. Przewoźnik potarł kolano sękatą dłonią, która, jak się zdawało, miała zbyt wiele stawów.

– Czuję burzę w kościach, boleść dojmującą jak tęsknota. Spróbuję cię przeprowadzić, zanim się rozpęta, ale niczego nie mogę obiecać.

– Jaka burza?

– Taka, że lekki płaszcz nie przyda się na wiele. I gdybyś coś wiedział o miejscowej geografii, zabrałbyś lepsze i grubsze okrycie, i język mniej skory do zadawania pytań.

Siódmka oparł się o zniszczony maszt i podciągnął kolana do piersi. Potarł o nie podbródkiem i czerwonym od wiatru nosem.

– Ona tam jest – mruknął.

– Ona?

– Moja przyjaciółka. Jest tam, w pustym lesie, gdzie wszystkie drzewa skrzypią na wietrze. Jest tam, owinięta w łachmany. Na pewno marznie. Nie mogę jej zostawić.

Idylla pokręcił dużą głową i szczelniej otulił się płaszczem.

– Och, synu. Przykro mi. Na próżno mi zapłaciłeś.

Młodzieniec wbił paznokcie w dłoń i zakaszlał w rękaw, gdy parzący jak pokrzywa wiatr darł jego oddech na strzępy.

– Nie rozumiesz. Pewnie nie mógłbyś nas zrozumieć – zawsze sobie pomagaliśmy...

OPOWIEŚĆ O DWUNASTU MONETACH, CIĄG DALSZY

Policzono nas w wielkiej sali, zanim nasze uszy przywykły do ciszy, a nasze oczy do mroku. Pra-Ita kręcili się wszędzie wokół, ich wielkie głowy podskakiwały bezgłośnie jak łebki wron dziobiących trawę. W czaszce zaczęło mi huczeć, gdy wiatr nagle ucichł. Łysa dziewczynka stała tuż za mną w długim szarym szeregu i trzymała mnie za rękę.

– Nazywam się Oublietta – szepnęła imię jak błogosławieństwo, jakby mogło mnie przytulić i pocieszyć. Ścisnąłem jej zimne palce.

Liczby wylały się z ust Pra-Ita jak niechciana woda i zostaliśmy poprowadzeni, dziecko przez dziecko, na środek pomieszczenia. Nasze małe ręce położono na gładkich dźwigniach i uchwytach, które niezbyt dobrze widzieliśmy w nikłym świetle – w mroku rysowały się jakby tryby o miękkich zębach, jakby tace, jakby długie stoły. Zaczęliśmy pojmować, że pod naszymi palcami znajduje się maszyna, i gdy nasze oczy przywykły do cieni, ujrzeliśmy ją całą.

Pośrodku łuszczącej się starej podłogi stała łuszcząca się szara konstrukcja. Garbiła się jak połamany żółw z wysoko sklepioną skorupą. Dzieci nie starsze od nas przekazywały sobie szare bryłowate tobołki, z powagą, jak relikwie, i

wrzucały je do rdzewiejącej, zasypanej popiołem maszyny. Chwiejne kominy pięły się wysoko ku sklepieniu i wypluwały w powietrze spirale bladych oparów. Tłoki wnikały głęboko w trzewia maszyny i wylały się, ciemne i wilgotne. Chrząst i stukot był straszny. Na drugim końcu skorupy znajdowały się wykrzywione, emaliowane usta, zbudowane na podobieństwo tworu, który kiedyś chodził, tworu złożonego wyłącznie z zębów.

Z ust wychodziła długa deska, na którą powoli spadały monety, matowe i żółtawe, brzęczące głucho na czarnym drewnie.

Może kiedyś, w dawnej przeszłości Szpiku, gdy mieszkańcy znali wszelkie możliwe rzeczy, machina, Mennica, pracowała sama, ale teraz małe ręce naciskały, pociągały i popychały ją ze wszystkich stron, przekręcały koła zębate, podnosiły dźwignie i spuszczały je znowu. Ukradkowe ciemne oczy lśniły wokół skorupy i w niej, tuziny dzieci wspierały maszynę, żeby mogła pracować, żeby mogła bić monety w zacinającym się, urywanym tempie. Chude dłonie spoczęły na naszych ramionach niczym sowe szpony i cienkie palce zakrzywiły się wokół naszych podbródków, zwracając nasze twarze ku poskrzypującej maszynie.

– Żywi pracują – rozległ się szept. Pomyślałem, że to Vhummina, że rozpoznałem jej lekko chropawe, zmęczone westchnienie, ale kto mógł być pewien wśród wszystkich tych długich, naciągniętych gardeł?

Pra-Ita, zadowolony, że zobaczyliśmy maszynę i wiemy, iż niebawem znajdziemy się wśród tych ciemnych oczu i bladych rąk, wyprowadzili nas, najnowsze dzieci Mennicy, w szeregu do długiego wąskiego pokoju, trzymającego się w całości dzięki

porywistemu wiatrowi, który świszczwał w szeleszczących krokwiach. Pod ścianami stały małe łóżka, starannie zasłane, cienkie jak papier okrycia trzepotały lekko, gdy wichur ryczał na zewnątrz. Pra-Ita popchnęli nas ku nim, a my, jak grzeczni chłopcy i grzeczne dziewczynki, znaleźliśmy sobie posłania i skuliliśmy się na nich, plecami do drzwi, do maszyny, do strasznych długoszyich stworzeń. Na każdej poduszce leżało coś szklistego – polizałem to pod kocem, potem ostrożnie włożyłem do ust. Był to cukierek: coś jak malina, coś jak czarna herbata, coś jak ocukrzona okruszka chleba. Rozkoszowałem się nim, sok spływał mi do gardła. Potem przypomniałem sobie Vhummine i jej miasto, zanim stało się moim miastem. Wyplułem cukierek na rękę i przyjrzałem mu się w szarym półświecie. Lśnił i migotał, szkarłatny, różowy, różany.

Dali nam rubiny, ostrugane i obłupane, żeby nakarmić tuzin dzieci. Spojrzałem przez ramię na skupionych przy drzwiach Pra-Ita, patrzących, jak ssiemy klejnoty w ustach. Pojękiwali cicho, żałośnie, obserwując, jak jemy. Byłem zbyt głodny, żeby odmówić im tego, czego chcieli: wsunąłem wiśniowy kamień na język. Zapiekł jak oparzenie światłem. Zadrzałem i znowu się odwróciłem, i w końcu usłyszałem trzask drzwi, jak plaśnięcie dłoni spotykających się w modlitwie.

Zostaliśmy sami. Byłem pewien, że rankiem zacznie się nasza zmiana. Kiedy ciemność zakradła się przez drżący sufit, wypełzłem z łóżka i znalazłem wśród ciemnych główek tę, która była najeżona i ogolona: moją przyjaciółkę, moją Oubliette. Podniosła róg żałosnego koca, a ja położyłem się obok niej. Tuliliśmy się rozpaczliwie, każde z nas próbowało skraść drugiemu ciepło – niewiele było do kradzieży, i w końcu po

prostu leżeliśmy w swoich ramionach, usilnie broniąc się przed strachem.

– Widziałaś, co wchodzi do maszyny? – zapytałem.

Pokręciła głową.

– Widziałaś, co wychodzi?

Skinęła głową.

Pokój był pełen śpiących, cicho popłakujących dzieci, piszczących jak zbłąkane gołębie. Nie wiedziałem, co innego powiedzieć. Ona nie płakała, jak inni, tylko patrzyła, i wszystko, na co patrzyła, wydawało się drżeć pod jej spojrzeniem.

– Co się stało z twoimi włosami? – zapytałem w końcu, cicho jak złodziej z dłonią na szkatule.

Jakby w odpowiedzi ujęła moją rękę – oboje mieliśmy palce sine z zimna – i przełożyła ją nad swoją talią, by spoczęła na łopatkach. Poczułem pod dłonią nie ciało, nie ciało, tylko korę i drewno, i twarde, skręcone pnącza z jagodami jak kłykcie. Była dzieckiem w moich ramionach, tak, chudym i znękanym, wciąż ładnym, i z pewnością dziewczynką – ale jej plecy tworzyło sękate, spróchniałe drzewo, na wpół martwe, stwardniałe w szary, ziemisty kamień. Jedyłą ciepłą i żywą częścią ciała, którą napotkały moje ręce, był gruby, długi ogon, ciemnobrązowy ogon jałówki, zakończony miękkim pędzlem sierści. Nie chciała na mnie spojrzeć.

– Teraz widzisz, czym jestem. Jestem zła i brzydka, i dlatego zabrały mnie te głodne duchy...

OPOWIEŚĆ HULDRY

Matka sadzała mnie na kolanach i mówiła mi, skąd pochodzimy – mówiła tyle razy, że nie mogę zapomnieć nawet jednego słowa z jej opowieści.

Podobno żyła sobie kiedyś piękna jałówka, jej skóra lśniła niczym płynne czerwone złoto, oczy przypominały polerowane drewno, a ruchliwy ogon jaśniał bardziej niż ognisty bicz. Krowa ta była niecałkiem krową, gdyż wszystkie piękne istoty są zarazem czymś więcej i czymś mniej niż tylko ciałami. W fałdach kory, która spowija nas wszystkich, jest zapisane, że kiedyś była dziewczyną, zwyczajną dziewczyną z włosami tak długimi i lśniącymi, że przyciągnęły oko Aukona, Gwiazdy Byka, który przyłożył do niej rozgrzane do białości kopyto i ukształtował ją na własne podobieństwo, aby móc ją kochać, jak pragnął.

Może to prawda, może nie. Ale, jak niektórzy kochankowie, nawet gdy z nią skończył, chciał ją mieć wyłącznie dla siebie, dlatego zostawił biedaczkę muczącą na niebie – i choć była najpiękniejsza ze wszystkich jałówek, jakie kiedykolwiek jadły trawę i piły wodę, z pewnością stanowiło to niewielką pociechę.

– Dokąd mam pójść? Co mam robić? – zawołała.

I napłynęła odpowiedź, lecz nie taka, jakiej się spodziewała. Aukai, Gwiazda Jałówka, Mleczna Gwiazda z czarnymi oczyma, widziała niecny postępki brata i postanowiła go ukarać.

Napadła na niego i straszna walka rozgorzała pomiędzy dwoma ogromnymi istotami. Jeśli widziałeś walkę byków o krowę, to jest ona niczym w porównaniu z tym bojem. Rozgniewana Aukai, płonąca jaśniej niż ognie świątyni, w końcu przyszpiliła Aukona do pagórka i szerokimi, płaskimi zębami wyrwała z niego ciało, które czyniło go bykiem, zostawiając samotnego, załamane go wołu muczącego cicho w noc, broczącego światłem w błoto ubite kopytami. Aukai z odrazą wypluła ociekające srebrem jądra na szerokie pole i nie myślała o tym więcej. Podobno od tej pory szaleni mnisi kastrowali się na jej cześć, odprawiając pokutę zamiast jej niebiańskiego brata. Może to prawda, może nie.

A jednak Gwiazda jest dziwną istotą, a jej zwyczaje są jeszcze dziwniejsze. W miejscu, gdzie upadło okaleczone ciało, wyrosło wielkie drzewo migdałowe z szerokimi białymi kwiatami i zielonymi owocami. I tak się stało, że krowa, która ongiś była dziewczyną, przechadzała się przy wielkim drzewie w porze kwitnienia. Drzewo, będące tylko nieco mniej niż samym Aukonem, patrzyło na nią i wciąż ją kochało. Z chrapliwym rykiem chwyciło ją giętkimi gałęzmi, wciągnęło w swoje dziuple i rozwidlenia, i tam gładziło jej skórę jasnymi, pergaminowymi gałązkami. Po wielu miesiącach wygryzła się z niego szerokimi płaskimi zębami, może niezbyt ostrymi, ale za to mocnymi.

Może to prawda, może nie. Miłość rzadko czeka na pozwolenie. Krowa uciekła od wyjącego drzewa, które sięgało za nią długimi, trzaskającymi pędami i igłami – i w biegu urodziła pierwszą z nas, które zwiemy się huldra, które jesteśmy dziewczętami, jałówkami i drzewami zlepionymi w jedność przez jakąś nieuważną rękę. Krowa spojrzała ze zgrozą na swoją pierwszą córkę – jak bardzo się różniła od dziewczyny,

którą kiedyś była! Ale kto pokocha takie straszne dziecko, jeśli nie matka? Jej wymię już puchło od mleka. Nieszczęsne niemowlę chwyciło za sztywną złotą sierść matki i krowa osunęła się na ziemię, żeby je nakarmić. Z roku na rok sypała dziećmi jak szyszkami, a od czasu do czasu rodziła jałówkę – biedne stworzenie, które zostawiało dzieci wszędzie, gdzie szło, i każde jedno dziecko było dropiatym mieszańcem jak my wszyscy.

– Moje biedne dziewczynki, moi biedni chłopcy – powiedziała, gdy siedzieliśmy wokół niej jak stado, oganiając się ogonami od much podobnych brzęczącym szafirom. – W głębi serca wiem, że wasz los będzie podobny mojemu losowi, że zawsze będziecie kochani, ale tylko przez tych, którzy nie dzielą waszej postaci i którzy nie będą dbać o waszą zgodę. Nie dałam wam niczego prócz smutku i brązowego ogona.

Może to prawda, może nie. Pod wymyślnymi historiami często kryją się wynaturzenia i kto wie, jakie dziwne nocne hulanki dały życie huldrom, które są drzewem, człowiekiem i krową?

Ale ta historia nie myli się co do nas.

Widzisz, kiedyś miałam złotą piłkę. Czy źle opowiadam? Czy dorosła kobieta opowiadałaby lepiej? Moja matka umiała dobrze opowiadać. Może wspomniałaby o piłce na samym początku. Może nie pokazałaby tak szybko swojego ogona. Może grzeczne dziecko nie chciałoby się przyznać, że miało coś takiego jak złota piłka – posiadanie złotej piłki nigdy nie wyszło na dobre dziewczynie, w całej historii świata. Ja jednak nie jestem dorosłą kobietą i uwielbiałam swoją piłkę.

Nie dostała takiej moja siostra ani moje kuzynki. Musisz zrozumieć, że wkładając złotą piłkę w chętne ręce dziecka, rodzice uważają, iż ma ono w sobie zło, które trzeba zająć czymś innym niż mięso i słodycze. Matka nie daje takiego prezentu córce, którą kąpie w mleku, którą perfumuje astringentami i stokrotkami. Daje go dziewczynce o ubłoconych kolanach i rozczochranych włosach, bawiącej się przy starej studni. To ma ją trzymać z dala od młodych mężczyzn i cukierków, które lśnią jak trzepoczące powieki, i jeśli ona albo piłka, albo razem wpadną do studni, co zdarza się od czasu do czasu, no cóż, przynajmniej nie zmarnowano na nią stokrotek.

Kiedyś miałam złotą piłkę.

Pewnego dnia, gdy odwróciłam się korą do słońca, do naszego jesionowego płotu przyszedł chłopak młynarza. Powiedział to, czego można się spodziewać po chłopcu młynarza: Nigdy nie widział dziewczyny, która ma korzenie pod kolanami, i że jestem śliczna jak wiśnia bez pestki, i czy nie podeszłabym odrobinę bliżej? Wzruszyłam ramionami. Byłam silna jak jałówka, nic nie mógł mi zrobić. Podeszłam do płotu, a on powiedział, że nie widział oczu ciemniejszych niż moje – a potem szybko pocałował mnie w usta. Skradł mój pierwszy pocałunek, co zawsze robią ludzie, gdy huldra jest w polu widzenia: biorą ją bez pozwolenia, bez troski. To dlatego, że jesteśmy samotnymi istotami, mieszkamy w chatkach wysoko w gałęziach dębu, żeby drzewo w nas mogło odpocząć, i rzadko rozmawiamy z tymi, którzy są tacy sami, bez względu na to, jakie mają plecy.

Pobiegłam do domu, ale w biegu myślałam o pocałunku. Jego usta smakowały jak mąka i miód świeżo wybrany z ula, i gdy

wspięłam się po drabince sznurowej, powiedziałam o tym matce, która nalewała zupę trawową na kolację. Nazajutrz rano matka dała mi złotą piłkę i kazała iść się bawić. Miała dość przyzwoitości, żeby odwrócić oczy. Jej ogon kołysał się nerwowo, ciemnobrązowy na naszej splecionej z gałęzi podłodze. Wzięłam piłkę i poszłam na pola, żeby się pobawić.

Tuliłam do piersi małe słoneczko, aż rozgrzewało się o moją skórę. Owijałam piłkę długimi czarnymi włosami i rozwijałam. Nadawałam jej imiona, które teraz wydają się niemądre. Polerowałam ją kitą mojego ogona i przytulałam do policzka, gdy spałam. Rzuciałam ją w powietrze przy starej, obrośniętej winem studni, cętkowanej kwiatami, które niegdyś były czerwone, tkwiącej wśród wysokich, siejących nasionami traw niczym wielki, naburmuszony muchomor. Czułam zapach studziennej wody, pełnej glonów i kijanek, ale nie mogłam jej zobaczyć. Podrzuciałam piłkę – chwytiała światło, płonęła, parzyła, i oczy zachodziły mi łzami, gdy patrzyłam w tę małą okrągłą gwiazdę. Nigdy nie byłam sama – piłka toczyła się lub leżała nieruchomo i promieniała niczym przyjaciel.

Nadszedł dzień, kiedy letnie słońce przypominało złotą piłkę, i leżałam w trawie jak dmuchawiec, i spałam z gorącymi dłońmi na twarzy. Czy śniłam? Nie pamiętam. Ale kiedy się zbudziłam, moja piłka zniknęła, a w jej miejscu siedziało małe czerwonoookie stworzenie. Podeszło bliżej, choć nie całkiem blisko, do moich kolan, patrzyło na mnie i gładziło moje włosy. Był to jeż, wyrośnięty i kolczasty, złoty od ogonka po nosek – jego kolce cicho podzwaniały, gdy się poruszał. Zaciskał gładkie, wypolerowane łapki i głaskał złote wąsy, a jego oczy – czy były granatami? – lśniły spod rzęs jak ślubne obrączki.

– Dzień dobry – powiedziałam po długiej chwili. Może powinnam powiedzieć coś miłszego. Dorosła kobieta pewnie by wiedziała, co powiedzieć.

Jeż zgiął się w ukłonie. Myślę, że gdyby miał kapelusz, toby go zdjął.

– Dzień dobry – odparł wysokim, chropawym głosem fletu szorowanego rzeczonym mułem. – Patrzyłem, jak śpisz. Robisz to bardzo dobrze.

Zaśmiałam się.

– Moja matka zawsze miała nadzieję, że wykażę się jakimś talentem. Może powinnam zostać zawodowym śpiochem.

Jeż się nie roześmiał.

– Nazywam się Ciriaco – powiedział, jakby jego imię mogło złapać mnie za rękę i uspokoić.

– Widziałeś moją piłkę, Ciriaco? Lubię ją, a chyba gdzieś się poturlała, gdy spałam.

Jeż z zakłopotaniem powiódł wzrokiem po wysokiej trawie. Załamał łapki w geście nieszczęścia, a z jego lśniącego gardła popłynął cichy, smutny, zgrzytliwy dźwięk.

Skulił się powoli, aż nosem musnął ziemię. Kolce najeżyły mu się na grzbiecie, migocząc odbijanym światłem. Potem z małym podskokiem i jeszcze mniejszym odbiciem poderwał się w powietrze i wylądował w kępie koniczyny jako okrągła, gładka kula – piłka. Może dorosła kobieta nie piszczałaby i nie klaskała z zachwytu. Ale ja nie byłam dorosła.

– Jak to się stało, że zamieszkałeś w mojej piłce, przyjacielu jeżu? – zapytałam.

Ciriaco przeturlał się tam i z powrotem, rozwinął, wyciągnął na całą niezbyt imponującą wysokość, otrzepując kurz i pyłek ze złotych łapek.

– Twój ogon jest bardzo miękki – szepnął zarumieniony po koniuszki uszu. – Sprawiał mi dużą przyjemność...

OPOWIEŚĆ O ZŁOTEJ PIŁCE

W królestwie jeży są góry z ustami, które otwierają się i zamykają, krzywią i uśmiechają szyderczo. Codziennie rano z naszych jeżopłotów wytaczają się samce i samice, i turlają po stromych czarnych ścieżkach śliskich jak języki. W dawnych czasach tyle małych brązowych jeży wędrowało po zboczach, milczące ramie przy milczącym ramieniu, że wyglądało to tak, jakby sama ziemia wznosiła się wraz ze słońcem, żeby połączyć góry. Nie rozmawiamy między sobą – to nie jest przyjęte. Nie śpiewamy przy pracy, nie snujemy opowieści o dzielnych jeżach, które przed nami wchodziły w ciemność, przerażone, ściskając w łapkach klatki z kolibrami.

Ciemność ich zabrała, ciemność zabierze nas. Nic więcej nie trzeba mówić.

Pracowałem w górnych szybach, gdzie złoto biegnie po skalnych ścianach jak wykaligrafowane litery. W królestwie jeży są kopalnie, w których wydobywa się wszystko: żelazo, miedź, srebro i złoto, diamenty, szafiry, szmaragdy i cynę. Kiedy się rodzimy, nasi rodzice, o oczach czerwonych od dni spędzonych w trzewiach góry i od sproszkowanego srebra wgrzyzonego w powieki, kładą okruszki każdego z tych bogactw w nasze maleńkie, chwytne łapki. To, co złapiemy mocno z pierwszą i ostatnią radością, jaką sprawia owoc góry, wygrzebujemy z ziemi do końca naszych dni. Każda rodzina ma

drewnianą skrzynkę pełną lśniących kulek – i jeśli dziecko dokonało wyboru innego niż rodzice, tego dnia widziało ich po raz ostatni, posłane do wyższych lub niższych szybów.

Moi rodzice pracowali wyżej ode mnie, byli kopaczami diamentów na wyżynach eterycznych. Moi bracia i siostry mozolili się niżej: paru w miedzi, paru w żelazie. Jedna nieszczęsna kopaczka cyny, moja siostra, leżała w ramionach naszej matki-rodzicielki przez jedną noc, zanim zjechała w kubie do matki-cyny, a potem jej młode odeszło na górę do szafirowych bud. Tak bywa.

A jeśli dziecko nie potrafiło wybrać, jeśli jego łapka była słaba i lepka albo chwytiała wszystkie podsuwane metale, wówczas oddawano je górze, by zmarło lub jadło ziemię, jak robiły jeże przed górą.

Taki rytm życia panował w królestwie jeży. Wnosiliśmy do kopalń nasze małe szklane lampy, wynosiliśmy tacki rudy. Spaliśmy, jedliśmy, kopaliśmy, ciosaliśmy, łupaliśmy.

Miałem wiertło wodne, które uwielbiałem. Dobrze leżało mi w dłoni – lata pracy wyżłobiły wgłębienia w uchwytach.

Możesz myśleć, że byliśmy nieszczęśliwi. Piękno nie rodzi się w radości. Diamenty wydobywa się z czarnej skały; piękno jest rzeźbione z ciemności igłami jeża. Nasza góra była powoli rozdzielana pomiędzy wszystkie dwory i wszystkie korony świata. Powoli, z biegiem stuleci, kurczyła się coraz bardziej. Byliśmy z tego radzi, radzi, że z ciemności można wyrzeźbić światło, że klejnot dotknięty setkami łapek może pewnego dnia spocząć na niewinnej głowie pięknego dziewczęcia.

Za moich czasów góra wciąż była większa niż wszystko inne na omiatanych wiatrem równinach i nie znałem niczego, co leżało poza nią. Pewnego dnia zabierzemy resztkę góry do

ostatniej księżniczki i będziemy wolni. Tak mówiły opowieści, zanim żołnierka runęła na nas niczym luźna płyta łupku ukryta za żyłą złota.

Pracowałem w górnych szybach, różanoszyi koliber brzęczał cicho u mojego boku, skrobiąc zielonymi skrzydełkami o wiklinową klatkę, kiedy ją znaleźliśmy.

Miała krótkie włosy, brązowe jak sierść, i żelazny hełm nasunięty tak głęboko, że zasłaniał czoło. Spała oparta o wielką beczkę. Nie miała zbroi, pancerza, kolczugi ani innych rzeczy, które można zrobić z roztopionej góry. Miała włócznię i dużą okrągłą tarczę. Kręgi pod jej oczami przypominały jaskinie bez wody, a ciało w wystrzępionym skórzanym mundurze wydawało się rzadsze niż wapienny pył. Jej twarz pokrywały niezliczone blizny i pęcherze, rozciągnięte na kościach niczym mapa gwiazd na splekanym stole. Nie rozmawialiśmy pomiędzy sobą o jej dziwności – to nie wypada. Zdaje mi się, że trąciłem nogą jej stopę. Zbudziła się, ściskając włócznię.

– Przełęcz jest dobrze strzeżona, nie obawiajcie się, nie obawiajcie! – krzyknęła, wzdrygając się przed ciemnością. My nigdy się nie wzdrygamy, ale mamy litość dla tych, którzy to robią.

– Oczywiście, to nasza przełęcz, nasza góra. Nie musisz jej strzec. Odejdź, dziewczyno, odejdź z ciemności. – Dotknąłem łapką jej ręki, lecz ona się odsunęła i ściągnęła wargi.

– Nie można uchylać się od obowiązków – syknęła.

– Kto ci je przydzielił? Na pewno nie my, choć jesteśmy panami tego miejsca.

Przyciągnęła tarczę, żeby się nią okryć zupełnie jak kocem, i przemówiła, budząc echa w komnatach góry.

– Jestem tą, którą zwa Wdową, która objęła ten posterunek w długą noc obecnie zapomnianą, i która go nie porzuci...

OPOWIEŚĆ ŻOŁNIERKI

Czy wiesz, co to jest środek parzący?

Chyba nie. Po co takie słowa jeżom ryjącym w kamieniu? Ja jednak wiem – teraz wiem.

Farmę, gdzie się wychowałam, porastała pszenica gęstym futro. Miałam dwóch braci, a oni mieli mnie i nie mieliśmy nikogo innego na świecie prócz ojca, którego kolana grzechotały głucho na wietrze. Zdaje się, że pamiętam konie do orki, muły i kurczaki piszczące w pyłe, świnię i zbłąkanego jelenia, i wielkie kudłate krowy. Ale jeśli kiedykolwiek je widziałam, byłam za mała, żeby robić cokolwiek poza pociąganiem za ogon jednego czy za ucho drugiego. W czasach mojej młodości inwentarz w naszym kraju powoli się kurczył, aż w końcu nic nie zostało – nie było plagi ani głodu, szarańczy ani jednookich wiedzów pokazujących palcami na pola, ale krążyły dziwne opowieści o dalekim krewnym w potrzebie i listy pieczętowane zielonym woskiem, pisane na welinie tak cienkim, że widziałam przezeń swoje ręce. Nie umiałam czytać, mogłam tylko skubać rogi pism jak majtający się ogon muła.

– Krewnemu nie można odmówić – burknął mój ojciec, po czym wysłał naszego jabłkowitego konia i ostatnią mleczną krowę.

Ojciec z mozołem sam ciągnął pług, przywiązany pasami i mosiężnymi sprzączkami. Orał nasze pola, krzywiąc się z powodu wielu czerwonych pręg na szerokich plecach. My rośliśmy, moi bracia i ja. Czasem głodowaliśmy, aczkolwiek niezbyt często. Myślę, że gdybyśmy nigdy nie mieli koni do orania, mułów i kurczaków piszczących w pyle, świń i zbłąkanego jelenia, i wielkich kudłatych krów, nie bylibyśmy gotowi poświęcić tak wiele, żeby je odzyskać.

Pewnego dnia wieczorem, gdy błękit ciemniał i kładł się na pszenicy, głęboki i równy jak woda, naszą dróżką przyszedł samotny człowiek z mieczem przy biodrze, w aksamitnym płaszczu i w ciepłym hełmie na głowie. Wiódł tabun koni ciężko stąpających w pyle. Werbował dla króla, który mieszkał tak daleko, że jego imię było w naszych uszach tym, czym wiosło dla górala. Król potrzebował żołnierzy do swoich podbojów, które, jak zapewniał żołnierz, są niezliczone i chwalebne. Tak mówią wszyscy królowie. Tych słów monarcha się uczy zanim powie „mama” i „tata”.

Od tego człowieka nauczyłam się słowa „najemnik”.

Werbownik dawał konie w zamian za najsilniejszego i najmędrszego z naszych synów.

– Na ziemi bez koni jaki pożytek z chłopaka? – dowodził.

Mój najstarszy brat uznał, że to bardzo ekscytujące. Tak zawsze myślą najstarsi bracia. Ojciec popatrzył na konie, na swojego syna i na czyste, chłodne niebo.

– Krewnemu nie wolno odmówić – burknął.

I mój brat zniknął na ścieżce, prosząc werbownika, żeby pozwolił mu wypróbować miecz, zanim dostanie własny. Cieszyliśmy się z koni, ojciec rozpiął pasy z mosiężnymi

sprzączkami i założył uprząż na grzbiety lepiej umięśnione niż własny. Zaznał trochę spokoju, my też.

Pewnego popołudnia, rok później, kiedy gorące, wietrzne złoto kładło się na pszenicy, kolejny samotny człowiek przyszedł naszą dróżką z mieczem przy biodrze, w aksamitnym płaszczu i w ciepłym hełmie na głowie. Wiódł stado krów, muczących z cicha. Werbował dla tego samego króla, który dokonał wielu podbojów, a jednak mieszkał tak daleko od nas, że jego imię było w naszych uszach tym, czym rakiety śnieżne dla eremity na pustyni. Król jeszcze bardziej potrzebował żołnierzy do swoich bitew, które, jak zapewniał, były potężne, zgiełkliwe i słuszne. Tak mówią wszyscy werbownicy. Tych słów te obwieszane frędzlami istoty się uczą, zanim powiedzą „jeść” i „pić”.

Od tego człowieka nauczyłam się słowa „pobór”.

Werbownik dawał krowy w zamian za drugiego najsilniejszego i drugiego najmędrszego z naszych synów.

– Na ziemi bez krów jaki pożytek z chłopaka? – dowodził.

Mój brat uznał, że przeznaczenie wzywa go długimi, jasnymi rogami. Tak zawsze myślą bracia. Ojciec popatrzył na krowy, na swojego syna i na mgliste, żółte niebo.

– Krewnemu nie wolno odmówić – burknął.

I mój drugi brat zniknął na ścieżce, wyprostowany i wysoki, patrząc przed siebie, nie odzywając się do werbownika. Cieszyliśmy się z krów i razem z ojcem po raz pierwszy od lat skosztowaliśmy mleka. Było słodkie i gęste – nauczyłam się warzyć ser i w ciszy pustego domu zbudowaliśmy maselnicę. Pewnego wieczora, rok później, kiedy blade i mokre srebro kładło się na pszenicy, jeszcze jeden samotny człowiek przyszedł naszą dróżką z mieczem przy biodrze, z aksamitem w

płaszczu i w ciepłym hełmie na głowie. Prowadził za sobą stado kurczaków dziobiących w pyłe. Werbował dla tego samego króla, który dokonał wielu podbojów, ale mieszkał tak daleko od nas, że jego imię było w naszych uszach tym, czym puchowe łoże dla ryby. Moi bracia, powiedział człowiek, leżą martwi i zimni na polu bez pszenicy, deszcz wypełnia dziurki ich uszu. Jednakże zmarli z honorem, więc powinniśmy być dumni.

Tak mówią wszyscy żołnierze. To słowa, których uczą się przed „lewo” i „prawo”.

Od tego człowieka nauczyłam się słowa „wyniszczenie”. Werbownik dawał kurczęta w zamian za następnego syna do uzupełnienia szeregów.

– Jaki pożytek z chłopaka na ziemi bez jaj? – dowodził.

Ale mój ojciec pokręcił głową i odparł:

– Zabraliście obu moich synów i daliście mi w zamian tylko mięso. Została mi córka, która może postanowi pójść z tobą albo nie, jak sobie życzy, ale chłopców już nie ma do wzięcia.

Werbownik ściągnął brwi.

– Mój król nie pochwała walczących kobiet.

Ojciec wzruszył ramionami z na wpół martwym uśmiechem na odmrożonej twarzy.

– W takim razie nie masz tu czego szukać.

– Nie – odezwałam się bardzo cicho. – Chcę pójść. Zetnę włosy, opaszę piersi, włożę ciężki hełm i pójdę tam, dokąd poszli moi bracia, i będę walczyć, gdzie walczyli, i choć nie będziemy razem, będę mogła śpiewać ich cieniom pod gałęziami nie wiadomo jakich drzew.

Ojciec i werbownik patrzyli na mnie, jeden z rozpaczą, drugi szacująco.

– Krewnemu nie wolno odmówić – odpowiedziałam spojrzeniu mojego ojca, spuszczać oczy ku ziemi.

Razem ścięli mi włosy, które w owych czasach były bardzo gęste i długie, i leżałam na kłocu, gdy na zmianę rąbali je zardzewiałą siekierą. Sama obwiązałam piersi, dla przyzwoitości. Werbownik włożył mi na głowę swój hełm – miał osłonę na podbródek i ciążył mi niczym wyrzuty sumienia. Zniknęłam na ścieżce. Zapytałam werbownika, czy wyglądam jak chłopiec.

– Wyglądasz w sam raz, by powiększać liczbę wdów – odparł z wesołym śmiechem. Stąd się wzięło moje żołnierskie imię. Szliśmy ku wzgórzom i słońce wznosiło się wysoko na niebo.

Nie minął rok, gdy zaczerpnęłam pierwszy haust Pięciomilowej Mgły, gdy moja pierś wezbrała i wybuchła niczym bęben przekłuty nożem.

W OGRODZIE

Skóra chłopca była pomarszczona jak podniszczony modlitewnik. Wpatrywał się w mech, siedząc ze sztywnymi ramionami, i nerwowo skubał paznokcie.

– Mój ojciec wysyła w świat wielu takich ludzi. Wracają z różnego rodzaju żołnierzami, którzy drepczą za nimi jak młode przepiórki. Wszyscy pięknie wyglądają w mundurach, a mnie obiecano szkarłatny płaszcz, gdy dorosnę.

Twarz dziewczynki pozostała gładka niczym spokojna woda.

– To tylko opowieść.

– Wojny mojego ojca niosą barbarzyńcom akwedukty, drogi i łaźnie.

– Jestem pewna, że to prawda.

– Jeden z moich nauczycieli pochodzi z podbitego kraju. Mówi mi, że uwielbia pałac i swoje grube, jedwabne szaty, i że jego dzieci są szczęśliwe.

– Nie wątpiłabym w słowa takiego człowieka. Nie musisz mi tego mówić.

Chłopiec jeszcze bardziej zmarszczył czoło. Dłonie go świerzbiły. Niebo było ciemnosiwie, szwy nocnego błękitu pokazywały się na szorstkim płótnie chmur.

– Czasami wspinam się na persymonę, żeby oglądać musztrę
– wyznała dziewczynka cicho. – Oficerowie są przystojni, tacy

wysocy. Nie sądziłam, że chłopcy mogą tak wyrosnąć. Oślepiały mnie rzędy hełmów.

– Pewnego dnia będę nosić hełm i długi, zakrzywiony miecz u boku, i nikt nie będzie przynosić mi kogutków.

Dzieci zamilkły na chwilę. Na niebie wisiał matowy dysk słońca, kapryśne cienie kładły się na kamieniach niczym ręce, które niecałkiem umieją chwytać. Dziewczynka patrzyła, jak chłopiec bawi się fioletową bransoletką, unikając jej spojrzenia. Gdy gwarki i zagubione, oszołomione ptaki morskie krążyły nad ich pochylonymi ciemnymi głowami, pomyślała, że najlepiej będzie podjąć opowieść, jak żołnierz podejmuje marsz, zapomniawszy o wszystkim z wyjątkiem wzgórza przed sobą i własnych ciężkich stóp.

OPOWIEŚĆ ŻOŁNIERKI, CIĄG DALSZY

Jego skóra została w moich rękach.

Nigdy nie widziałam króla – nie liczyłam na to, a jednak maleńka cząstka mnie, cząstka, która wyobrażała go sobie na czele oddziałów z kruczymi pióropuszcami na czarnych hełmach, czuła się zawiedziona. Król zamknął się w zamku, powiadano, otoczonym przez rzeki, jedną białą i jedną czarną. Brzmiało to jak bajka dla dzieci i w przyszłości miałam się zastanawiać, czy w ogóle jest jakiś król, czy może maszerujemy, walczymy, okopujemy się, jemy wstrętne robaki, stonogi i błoto, żeby nie umrzeć z głodu, ponieważ ktoś, gdzieś i kiedyś po prostu wymyślił króla ze złotą koroną.

Jestem pewna, że ktoś gdzieś opowiedział tę opowieść o królu. Jestem pewna, że była wspanialsza niż moja. Jestem pewna, że była to ważna opowieść, pełna historii, przepychu i poważnych konsekwencji dla całego kraju. Jestem tylko żołnierzem. Nie znam tych opowieści.

Z początku się martwiłam, że zostanę zdemaskowana, ale po paru tygodniach w tłustym błocie i mgle zimniejszej niż warstewka lodu na mleku w cebrze o poranku, jeden żołnierz wygląda jak drugi. Nikt nigdy nie nabrał podejrzeń. Stałam na warcie i dostałam drewniany miecz. Mężczyźni śmieli się jak stado wron i powiedzieli, że muszę zasłużyć na prawdziwy. Prawdę mówiąc, nosiłam mniej więcej swoje ubrania i

zachowałam hełm werbownika, choć wielu próbowało się o niego targować. Król, jak się zdaje, uważał, że żelazo i skóra mogą się przydać gdzieś indziej. Kazano mi strzec dwunastu beczek okutych żelazem i nie zaglądać do środka. Proste – a jednak teraz, kiedy o tym myślę, pamiętam tylko jego skórę, wilgotną i luźną, przelewającą się pomiędzy moimi palcami.

Obozowaliśmy na szerokich stepach, które dzięki zabiegom setek żołnierzy rodziły jesienne plony: błoto. Przywierało wszędzie, do włosów, oczu, paznokci, kolan, gardła, nosa. Pachniało liśćmi, grzybami, łajnem i nami, nie mogliśmy już bowiem odróżnić własnego zapachu w tym błocie. Beczki tkwiły w szlamie, zieleń wpełzała na drewno. Stałam przed nimi ze swoim śmiesznym mieczykiem, z mięśniami naprężonymi z troski o krowy i konie, które kiedyś zastąpiły mi braci, i patrzyłam w noc. Z ziaren pszenicy, gąsienic i błota parzono okropną herbatę, którą piłam pod koniec każdej warty, a potem pytałam nieśmiało, czy przez wierne pełnienie służby nie zasłużyłam na prawdziwy miecz. Żołnierze jeden po drugim, brodaci i gładkolicy, łysi i włochaci, rechotali i mówili mi, że nie dostanę prawdziwego miecza, dopóki kogoś nie zabiję – a jak to zrobić, gdy nikt nie zagrażał mojemu posterunkowi?

Jeszcze nie stoczyliśmy żadnej bitwy i nikogo nie zabiłam. Pleśń zaczęła rosnąć pomiędzy głowicą a jelcem mego drewnianego miecza. Czekałam; wszyscy czekaliśmy. Mój werbownik okręcił frędzle złotą nicią i poszedł do następnej wioski. Pytałam o moich braci – ale kto pamiętałby dwóch chłopców, nieżywych? Czekałam; wszyscy czekaliśmy. Raz, tylko raz zapytałam jedyne go oficera, którego płaszcz wciąż zdradzał ślady koloru, co jest w beczkach. Zbladł i wykrzywił usta, jakby chciał zwymiotować na moje niemal bose stopy.

– Przysłał je tu człowiek króla przed twoim przybyciem. Wystarczy powiedzieć, że ja wiem, a ty nie – ciesz się i nie proś o zamianę ról.

Byłam dobrym żołnierzem, strzegłam swoich beczek. Minęło pół roku, zanim ktoś przyszedł ich szukać. Zanim jego skóra została w moich rękach, zanim wessałam swój ostatni oddech czystego powietrza.

Noc była bardzo ciemna, jak wnętrze wielkiego czarnego serca. Sapanie, chrapanie i od czasu do czasu łkanie grzechotało we mgle i błocie, w bezkresnej lepkiej wilgoci. Intruz przypelzł jak stonoga, w pękniętym hełmie, z policzkami zapadniętymi pod szorstką szczecinę. Musiał ukrywać się wśród nas od wielu dni, czekając na moją wartę, na chudego żołnierza z drewnianym mieczem. Rzucił się na moje beczki – trafiłam go w pierś, rąbiąc moim głupim, bezużytecznym kijem. Parę razy uderzyłam go prosto w oko, jęknął, nasze oddechy były szybkie i ciężkie, gdy siłowaliśmy się w błocie, nasz ciężar wciskał nas po kolana w rozmiękłą ziemię. Uderzył mnie mocno w brzuch, ale nie odpuściłam, choć powietrze uciekło ze mnie jak wyzwolona dusza. Razem zatoczyliśmy się na beczki. Jego spocone ciało strzaskało jedną z nich, wgniatając popękane klepki w breję. Podniosłam się – i jego skóra została w moich rękach.

Ojciec opowiadał nam historie o istotach, które tracą swoją skórę: selkie, leukrotty i tym podobne. Pod spodem zawsze są czymś innym, nawet piękne. Dziewczyna pod szarą, gumowatą skórą foki jest wilgotna, blada i migotliwa. Ale tu było inaczej – była tylko krew, tłuszcz i zwisająca skóra, i intruz stopił się w moich ramionach, ześliznął niczym płaszcz zrzucony latem. Zapach był gęsty i kwaśny, jak przypalone kocie mięso.

Z rozbitej beczki wypływała zielonkawa maź, a z niej snuły się blade opary, kręte i rozkołysane, jakby niezdecydowane, w którą ulecieć stronę. Stopiły się z powietrzem przede mną i zanim się spostrzegłam, odetchnęłam nimi, długie zielone pasma dymu wypełniły moją pierś, otarły się o moją skórę. Na moich ramionach w okamgnieniu nabrzmiały tłuste i pomarszczone pęcherze, oczy mnie piekły, coś wybuchło we mnie niczym małe słońce. Chwiejnym krokiem odeszłam od człowieka bez skóry, od zniszczonej beczki.

Mój dowódca biegł przez pole pełne śpiących ludzi, dźwigając wodę w dwóch drewnianych wiadrach. Wylał ją na rumowisko bulgoczącego ciała i bladego, ciastowatego szlamu; usłyszałam syczenie i skwierczenie, maź zniknęła w ziemi, zostawiając cień dymu unoszącego się nad wszystkimi śniącymi głowami, dymu, który sprawił, że wszyscy drapali się i płakali, ale po paru dniach wydobrżeli.

– Głupcze! – mówił oficer, ostrożnie prowadząc mnie do strumyczka, gdzie oblał moją głowę czystą wodą. – Substancja wymaga rozcieńczenia, zmieszania przez kogoś, kto umie to robić. Nie wrzuca się w nią nikogo i, pewne jak miecz rdzewieje, nie oddycha się nią, kiedy jest surowa!

– Jego skóra została w moich rękach – jęknęłam, kaszląc chrapliwie i ostro, starając się nie trzeć pokrytych bąblami ramion.

Pokręcił głową.

– Oczywiście. Wytarzałeś go w Pięciomilowej Mgle. Przysłał ją człowiek króla, ten stary szarlatan w obroży i długich szatach. Ma zostać użyta, gdy pójdziemy w góry, żeby zagarnąć je dla korony. Ale po zmieszaniu z wodą, głupie dziecko! Po

zmieszaniu i rozdmuchaniu niczym popiół przez miechy! Masz szczęście, żeś zachował skórę na kościach i oczy w czaszce!

Gdy płytkie poranne światło ściekło na wzgórza niczym biały olej, pomógł mi umyć się w rzece i nie powiedział słowa, gdy zobaczył moje obandażowane piersi, moje pokryte bąblami, zaczerwienione biodra. Tak oto się dowiedziałam, co znaczy środek parzący: to coś, co pali, co w ciebie wnika i powoduje bąble piekące jak oskarżenia – jego skóra została w moich rękach, ale moja skóra płonęła latami niczym pochodnia strażnika.

OPOWIEŚĆ O ZŁOTEJ PIŁCE, CIĄG DALSZY

Ręce żołnierki drżały na krawędziach tarczy. Wyciągnęła je powoli, opuszczając tarczę na piersi. Spod starożytnych ochraniaczy wyglądały jednakowe stare bąble, wielkie i sine, stwardniałe w sęki, wijące się po skórze jak rubinowy łańcuch.

– Wciągnęłam do płuc zbyt dużo, cokolwiek to było. Mgła miała tylko zginać wrogów we dwoje i zmuszać ich do płaczu, a ja wciągnęłam jej tyle, że udusiłaby lamparta. Gdy weszliśmy wyżej na górskie przełęcz, stało się jasne, że nie wydobrzeję. Pęcherze nie znikwały, nie mogłam przestać kaszleć. Ale gdy zaczęliśmy walczyć w prawdziwych bitwach, gdy wreszcie dostałam miecz z metalu, stało się również jasne, że nie mogę zostać raniona. Pęcherze były twarde jak diamentowa zbroja – nic nie mogło mnie skaleczyć. Napadliśmy na wioskę na stepach – ach, wrzeszczenie koni! – napadliśmy na wioskę i kobieta z twarzą wytatuowaną jak demon wystrzeliła we mnie trzy strzały, które nawet nie zadrasnęły skóry. Przebiłam mieczem jej siostrę. Gdzieś w dali widziałam hełm z czarnym pióropuszem i jeden z jeźdźców powiedział, że to król. Nie uwierzyłam. Po bitwie ludzie na mój widok wpadali w popłoch, jak konie na widok węża. Przed zejściem w doliny postanowiono, że ja zostanę z tyłu, aby strzec przełęcz. Mam,

jeśli nadarzy się okazja, rekwirować rudę podbitym i posyłać ją na dół, do żołnierzy, którzy zawsze potrzebują broni. – Oblizwała suche usta, jej oczy śmigły po nas jak oczy jelenia. – Spędziłam tu długi czas, być może lata. Trudno ocenić w ciemności. Czasami słyszałam braci wołających z szybów. Ale już nie jestem ich siostrą i nie mogę do nich zejść. Cała jestem w pęcherzach, unoszę się w ich skorupie jak mgła.

Ściągnąłem brwi.

– Ta góra należy do nas, nie wydobywamy rudy dla ciebie ani dla waszych wojen.

Wdowa zaśmiała się cicho, pełna żalu jak kubeł deszczówki. Złapała jednego jeża szybciej niż zawał w kopalni, obtoczyła go w taczce złotych łusek jak kawałek mięsa w mące, położyła tarczę na kolanach i turlała go w niej, formując kształt kuli. Spuściła z beczki parę zielonkawych kropel i natarła nimi jego futro, i znów toczyła go wokół twardego brązowego brzegu.

Rzuciła na kamienie górnego szybu idealną złotą kulę, a potem sięgnęła po mnie.

OPOWIEŚĆ HULDRY, CIĄG DALSZY

Ciriaco urwał, jego złoty pyszczek zatrzasnął się niczym drzwi skarbcza. Siedziałam w długich teraz cieniach przy studni, czułam suchość w ustach, ręce zaciskałam na kolanach.

– Wyturlała nas wszystkich w Pięciomilowej Mgle i w naszych taczkach – była znacznie większa od nas i znacznie silniejsza. Podobno wciąż wędruje po przełęczach. Teraz nasza skóra jest twarda jak jej. Zostaliśmy wykorzystani równie bezwzględnie jak ona. Posłała nas z góry w doliny i służyliśmy królowi, o którym nigdyśmy nie słyszeli. Jego imię było dla nas niczym mleko w kraju bez bydła. – Jeź spojrzał gniewnie i skubnął igły. – Czy wiesz, że w tym miejscu toczyła się wojna, dawno temu?

– Nie żartuj.

– Nie żartuję. Byłem tu, walczyłem. Wcielono nas do służby jako kule armatnie. My też nauczyliśmy się nowych słów. Strzelono mną w bok słońca i zalała mnie jego krew. A potem, kiedy pola pełne były fiołków i zbryzganych krwią kul, matki jęły zabierać nas do domu i dawać dziewczętom, które nie są słodkie jak śmietanka i miód, tylko zmyślne jak pszczoły. Była wojna, jestem weteranem. Czy to sprawia, że wyglądam na dzielnego w twoich oczach? Czy to sprawia, że mnie lubisz?

Może dorosła kobieta byłaby bardziej powściągliwa.

– Jesteś moim własnym złotym jeżem! Czy mogę lubić cię jeszcze bardziej?

Jego czerwone oczy błysnęły i przygasły w przedwieczornym świetle. Nasiona traw i dmuchawców osiadały wokół niego, tworząc ulotną aureolę bieli.

– Dobrze się składa, bo zamierzam cię poślubić. Tyle mi się należy po wiernej służbie – nawet ordynans powinien wrócić do domu, do żony i herbatników. Byłem twoją zabawką. Lubię cię, twoje ręce zawsze przyprawiały mnie o rumieniec. Czekałem tak długo, jak mogłem, żebyś podrosła na tyle, by uśmiechnąć się do mnie. Nie sądzisz, że po rozrywce, jaką ci zapewniłem, należy mi się rekompensata? Tego żądam i tak się stanie.

Zaśmiałam się z głębi brzucha. Śmiałam się, jak tylko to możliwe u dzieci bez strachu.

– Lubię cię, Ciriaco, ale cię nie poślubię! Nawet gdybyś ty nie był jeżem, ja jestem tylko dzieckiem, dalekim od przywdziania sukni ślubnej.

– Jestem górą – warknął. – Jestem przeznaczony. Nie zapomniałem, kim byłem przed wojną. Nadaję się dla księżniczki, niewinnego dziewczęcia, którego palce jeszcze nie znają pierścieni. Tak świat jest urządzony i nie dam się odrzucić tylko dlatego, że nie jestem śliczną rubinową koroną czy bransoletą ze srebra i szafirów.

– Jeżu, nie jestem księżniczką. Moi rodzice handlują zbożem. Dobrze jemy i dobrze się ubieramy, ale daleko nam do godności królewskiej, nawet wśród huldr. Księżniczka chleba i piwa!

– Wystarczająca księżniczka.

– Przykro mi, biedactwo. Nie poślubię cię.

Odjęło mi mowę, gdy przybyły: złote i miedziane, srebrne i cynowe, kula za kulą toczące się przez trawę, żelazo dziobate i powgniatane, kwarc powalany brudem. Kule rozwinęły się w jeże, ich czerwone oczy, zmrużone i ostre, patrzyły na mnie gniewnie spod pomarszczonych, lśniących czoł. Cofnąłam się, jakby u mych stóp przewrócił się ceber wody.

– Niewielu nas pozostało. – Z żółtego gardła Ciriaco popłynął dudniący głos. – Ale wystarczy, żeby cię przytrzymać. Rodzice nie będą za tobą tęsknić, przecież sami dali ci złotą piłkę. Pewnie już dawno temu się spodziewali, że zaginiesz bez wieści, i nawet teraz zachodzą w głowę, dlaczego tak się nie stało.

Zacisnęłam pięści.

– Nie jestem złym dzieckiem.

– W takim razie dlaczego zostawili cię samą, dając ci do zabawy porzucone pamiątki wojny? Dlaczego nikt nie woła cię na kolację? Dlaczego nikt nie krzyczy: „Och! Gdzie się podziała moja śliczna córka?”.

Skręcałam ogon w rękach.

– Nie jestem ulubienicą, co nie znaczy, że jestem zła, i na pewno nie znaczy, że mam robić, co każą mi moje zabawki.

Ciriaco warknął, co zabrzmiało jak ścierające się wskazówki zegara. Na ten znak dwa jeże stojące najbliżej mnie, żeliwny samiec i miedziana samica, skoczyły, wyrywając garście igieł z grzbietów jak młodzi mężczyźni, którzy dobywają mieczy. Chwyciły w zimne, szczeciniaste ręce długie pasma moich włosów. Turlając się i podskakując, przyszpiliły moje loki do ziemi, wbijając w nie igły jak kołki namiotu. Szarpałam się i płakałam, ale nie mogłam się uwolnić. Ciriaco podniósł na mnie oczy wilgotne i szkarłatne.

– Jeśli powiem, że cię kocham, czy zmięknie?

– Nie, moja złota piłko. Jestem tylko dzieckiem. Nie zostanę żoną.

Inne jeże, sprawne i karne jak mała armia, zaczęły ryc w ziemi, gdy się szamotałam, przyszpilona igłami. Wydzierając pasy wilgotnej brązowej darniny z żółtymi kwiatkami, przystąpiły do budowania.

– Zbuduję nam dom, Oublietto, dom do mieszkania i kochania, gotowania i umierania, i ty w nim zamieszkasz, czy tego chcesz, czy nie! – krzyknął Ciriaco i zatańczył ze strasznej radości, złotymi stopami tratował ziemię. Jego krewni pracowali, ich grzbiety lśniły w resztkach słońca, a wokół mnie rosły cegły z darni. – Już nie będę piłką! – śpiewał Ciriaco.

Przez noc zbudowali dom i zamknęli mnie w nim jak krokiew. O świcie tylko moje oczy i usta pozostały nagie – i przez szczeliny pomiędzy miękkimi ceglami wypływały moje uwięzione włosy, z niezliczonymi igłami tkwiącymi w ciemnych pasmach, wbitymi głęboko w pole, ofiarowanymi przez oddanych jeżowych architektów. Z dali można było zobaczyć po prostu skromną chatę z darni, z kawałkami starej kory widocznymi w szczelinach ścian. Włosy rozciągały się wokół domu niczym dach werandy i Ciriaco spoczął w ich cieniu.

Pozostałe jeże zwinęły się w lśniące kule. W pierwszych promieniach poranka potoczyły się przez nagie pole.

– Kocham cię, Oublietto – powiedziała moja złota piłka. – Połóż znów rękę na mojej głowie, a ja ci wsunę na palec igielną obrączkę i będziemy szczęśliwi w domu, który dla ciebie zbudowałem.

Zapłakałam cicho, łzy w strużkach błota spłynęły po darniowych ceglach.

– Proszę, proszę, pozwól mi pójść do domu.

– Jesteś w domu. Sama jesteś domem.

I tak to było. On codziennie splatał swoje kolce w obrączkę, ja codziennie czułam błoto w nosie i odmawiałam. Nikt nie przyszedł z krzykiem: „Och, gdzie się podziała moja śliczna córka?”. Nikt mnie nie szukał. Może złota piłka jest tylko kłębkim wełny, który ma wywabić niesforne kocięta z domu, jak najdalej od matki. Może jest we mnie zło, którego nie umiem nazwać, zło oczywiste dla jeża czy dla młynarczyka, ale nie dla dziewczyny.

Wreszcie Ciriaco zaczął zostawiać mnie wieczorami, zadowolony, że nie mogę uwolnić włosów ani uciec z jego domu. Toczył się, zagrzebywał w liściach i kwiatach, szukając ciepła, zostawiał mnie w marznącej, twardniejącej darni. Czułam się jak uwięziona w pęcherzach twardych niczym diamenty, zamknięta w zimnej górze. Moje łzy zamarzały na trawie porastającej ściany, gdy nadeszła zima – a wraz z nadejściem zimy, kiedy dom pobiełał w śniegu jak włosy babci, moje ocalenie nadciągnęło na pole, gdzie stałam z ugiętymi, palącymi kolanami.

OPOWIEŚĆ O DWUNASTU MONETACH, CIĄG DALSZY

Jej oddech nagrzewał wąską przestrzeń pomiędzy nami.

– Nie uważam, że jesteś zła – powiedziałem cicho, głosem pewnym jak ręka.

– Gdybym nie była zła, ktoś przyszedłby po mnie – odparła. – Gdybym nie była zła, nie dostałabym złotej piłki i nie kazano by mi iść się bawić. Trzymałabym się blisko pnia ciała mojej matki, owinięta jej ogonem, jak ja owijałam swoją piłkę. – Odwróciła głowę ode mnie. – Gdybym nie była zła, nie zabrałyby mnie duchy.

– Przecież nie zrobiłaś nic złego. Matka zostawiła cię na łasce piłki – moja matka zostawiła mnie na łasce Gwiazd. Ale ja nie zrobiłem nic złego. Nie jesteśmy źli! – Wbiłem paznokcie w dłoń.

Oublietta tylko pokręciła głową.

– Jak w końcu uciekłaś?

Ale ona zapieczętowała usta jak list. Światło, miałkie jak mąka, przesiało się przez podarte ściany, a wówczas długie szare palce zakrzywiły się wokół jej szyi, wokół moich rąk. Poderwali nas z łóżek, ubrali w ubrania z papieru zszytego brudnym sznurkiem, błagali w milczeniu, żebyśmy zjedli to, co nam przynieśli: garście awenturynów i granatów. Ssaliśmy je –

były jednocześnie twarde i ciągliwe. Gdy zębami zdrapaliśmy skórę, smakowały jak lukrecja i buraki. Te same rozcapierzone palce odciągnęły nas od skąpego posiłku i popchnęły długim korytarzem wiodącym do maszyny, do Mennicy. Zaczął się dzień pracy.

Staralem się trzymać blisko niej, ale to było niemożliwe w ścisłości tyłu dzieci. Nie widziałem, dokąd poszła, jedna głowa ogolona i dziwna wśród innych. Ciche głosy wznosiły się i opadały, papierowe spodnie szeleściły – było to trochę jak szkoła, ale wszyscy się baliśmy, tak bardzo się baliśmy. Pra-Ita nie odzywała się do nas, tylko kładła nasze ręce, gdzie chcieli, i naciskali nasze palce, gdy chcieli, żebyśmy nimi ruszyli.

Stałem na skraju wielkiej kopulastej maszyny. Już mrucała, poruszana ciałami dzieci, podskakiwała i kołysała się, jakby też żyła. Moje ramiona objęła Vhummima. Jej niebiesko-białe włosy musnęły moją twarz, gdy razem sięgnęliśmy do zakrytych całunami koszy. Diamentowy brzuch nacisnął na moje plecy, podnieśliśmy całun i jej chude jak żdźbła ręce musiały mnie przytrzymać, bo chciałem odskoczyć od tego, co kazała mi wyjąć ze słomy – pod bezbarwną gazą leżały splątane kończyny dzieci patrzących w pustkę szklanymi, ślepyimi oczyma.

– Tak lepiej dla ciebie – wyrzęziła żałośnie i ze zmartwieniem w głosie. – Mówiłam ci, że tak będzie lepiej. Lepiej pracować, niż zostać monetą.

– Bijecie monety? Z nas? – Zbierało mi się na wymioty, ale zdołałem zatrzymać w żołądku twarde, ciągnące się kamienie.

Vhummima zmrużyła oczy z zakłopotania.

– Nawet nie zauważyliśmy – szepnęła – kiedy wszystko obróciło się w nicość. Niczego nie zauważaliśmy, przez długi

czas. Nasze targowiska były takie tłoczne – nie mogliśmy przestać handlować z powodu kilku zniszczonych dzielnic. A nawet więcej niż kilku. Zaślepiała nas chęć pomnażania majątku. Nawet potem pozostaliśmy wierni naszym targowiskom, niczego nieświadomi. Zrozumieliśmy, co się stało, dopiero wtedy, gdy złoto i srebro straciło blask w naszych oczach, przestało grzać palce przy dotyku. – Odsunęła się ode mnie, jakbym miał prawo ją osądzać. – Nic dla nas nie znaczyło. Nasze klejnoty utraciły smak, nasze monety ciężar. Co ceni sobie duch? To co żyje, co jest gorące i twarde. Nie ma nic cenniejszego nad ciało. Teraz handlujemy kością, wydobywamy ją z niechcianych dzieci, wydobywamy ją i bijemy z niej monety, które płyną do nowego Asaadu, gdzie weszliście do miasta, i kupujemy za nie cienie tego, co kiedyś kochaliśmy: ogryzki jabłek, potłuczone kamienie i skórę bez mięsa, lśniąca i grubą. Te nowe pieniądze zwane są dhheibami i cenimy je jak kiedyś ceniliśmy srebro, jak kiedyś ceniliśmy smak topazu. Przykro mi, ale wszystko płynie do Asaadu, i to samo dotyczy was. Tylko żywi pracują.

Patrzyłem na dziecko, którego ręka wysunęła się z kosza, biała i zimna. Był to chłopiec z żółtymi włosami i zielonymi oczyma. Szyję miał siną, jakby złapały ją długie, nieubłagane palce, i ścisnęły, ścisnęły...

– Widzisz? – odezwała się Vhummima. – Oszczędzamy wam przynajmniej tego zadania.

Dumałem, czy nie wyrwać się i nie uciec, ale z pewnością była silniejsza ode mnie, i szybsza. Przesunęła ręce wzdłuż moich ramion, giętkie i jedwabiste, i delikatnie podniosła moje dłonie, żebym chwycił tors chłopca. Za tym pierwszym razem pomogła mi dźwignąć go na maszynę, gdzie inne dzieci,

pracujące dłużej niż ja, z przygnębieniem powlokły zwłoki do lśniących ostrzy, które poćwiartowały je, pocięły na ósemki i na jeszcze mniejsze części. Gdzieś w brzuchu mennicy mięso zostało oderwane od cennych kości i daleko z drugiej strony pojawiła się okrągła moneta z pajęczą pieczęcią, czysta i biała.

Pracowałem godzinami. Vhummima kierowała każdym moim ruchem, jakby w jakiejś groteskowej pantomimie. Przestałem patrzeć na tych chłopców i dziewczęta – po prostu zamknąłem oczy i sięgałem do koszy, automatycznie zamykając ręce. Nie mogłem patrzeć, nie mogłem. W końcu gdzieś daleko ryknął róg i poprowadzono nas z wielkiej sali do koryta pełnego szafirów. Wpychałem je do ust jak kiedyś brązową fasolę. Miały smak ciasta i herbaty z mlekiem. Prawdę mówiąc, mój żołądek źle znosił tę szafirową dietę i gorąco pragnąłem chleba. W czasie tego posiłku Pra-Ita też patrzyli, jak jemy, i oblesnie gładzili się po szyjach. Bez słowa poprowadzili nas z powrotem do łóżek w baraku. Ręce bolały mnie pod cienkim kocem. Zrozumiałem, że tak będzie wyglądać każdy dzień mojego życia. Płakałem w poduszkę, próbując nie czuć ciężaru chudych kończyn dzieci w ramionach.

Oublietta wsunęła się do mojego łóżka, drżąca, szcękając zębami, z oczyma wielkimi niczym wilcze ślepie. Przytuliłem ją mocno, aż myślałem, że pęknie – lecz przywarła do mnie z rozpaczliwą siłą, z bezsilnym przerażeniem. Rozmawialiśmy cicho, słowa padały szybko, jak strzały wypuszczane jedna po drugiej i zderzające się w locie:

- Widziałaś?
- Tak, czy musiałeś...
- Tak, ty to robiłaś?
- Musiałam! Czy ty...

- Tak, wymiotowałaś?
- Nie, ale chciałam. Czy powiedzieli ci...
- Nie!

Powtórzyłem jej, co powiedziała mi Vhummima, i jej łzy sparzyły moje ręce jak wrzątek. Drżeliśmy razem w ciemności. Żadne z nas nie odzywało się przez długie chwile, oboje byliśmy napięci niczym wełna na wrzecionie. Wreszcie, ponieważ nie mogłem wymyślić niczego innego, żeby ją pocieszyć, wymruczałem w jej nastroszone włosy:

- Opowiesz mi resztę?

Zaczęła mówić głosem niewyraźnym i ściszym jak deszcz na połamany płocie.

OPOWIEŚĆ HULDRY, CIĄG DALSZY

Podeszło chyłkiem, uratowało mnie. Pojawiło się pod księżycem okrągłym jak odcisk kopyta, skąpane w bieli, daleka trawa muskała mu kolana. Moje wybawienie zbliżało się z wahaniem – węszyło, parę razy wysunęło język, żeby smakować powietrze. Zrobiło parę kroków, stanęło, patrząc na mnie, potem znów trochę się przybliżyło. Księżyc wisiał wysoko na niebie, nim podeszło na tyle, by nasze oczy zwarły się niczym miedziany klucz i miedziany zamek. Moje zamarzniete łyzy popękały, gdy się uśmiechnęłam. Był to jednorożec.

Słyszałam, że jednorożce są jasne i idealne, całe białe i srebrne jak welon oblubienicy – to niemądre powiastki, snute przez niemądrych wujów i dziadków. Są ciemne, ciemne jak konie wyścigowe, brązowe i czarne jak smoła, z ogonami lwów i rozszczepionymi kopytami dzika. Mają krótkie czarne brody, które zwisają ze szczęk jak nieprzeżuta trawa, a ich rogi nie są perłowe i złote – są kością skręconą w pasach żółcieni, czerwieni i czerni. Rogi są grube jak moja ręka i ostre jak nożyce – lecz róg tego jednorożca został ścięty tuż nad czołem, a kikut krwawił, pokrywał się strupami i na powrót krwawił. Był masą stwardniałej, szerniałej krwi.

Okaleczone zwierzę podeszło bliżej i choć wzdrygnęło się jak dziki koń, który się lęka, że koleżanka ręki trzymającej jabłko

skrywa za plecami wędzidło, trąciło mój policzek chrapami miękkimi jak u muła.

– Poczułam twój zapach – powiedziała. Głos jednoroźca jest niski, bogaty jak wino z granatów.

– Zastanawiam się, jak mogłaś poczuć coś zakopane w glebie.
– Zaśmiałam się. Jednorożec budzi strach, ale nie jest jeżem, dlatego czułam lekkość w sercu.

– Poczułam twoją niewinność jak piekący się chleb. Wołała mnie przez las i pole.

– Jestem zła, nie niewinna.

– Nie mów mi o moich sprawach. Niewinność jest techniczną rzeczą – nie obchodzą mnie występki, jakie swoim zdaniem popełniłaś. Raz źle osądziłam czystość, więc możesz mi wierzyć, że teraz jestem ostrożna.

– Nic nie można z tym zrobić? – zapytałam nieśmiało, starając się nie patrzeć na zniszczony róg.

– Jak niewinności, straconego rogu nie można odzyskać.

Próbowałam zmienić pozycję w domu z darni, bo nogi mi ścierpły i zeszywniały. Ostatnio często rozmyślałam, czy będę rosnąć w tej zgarbionej pozycji i stanę się garbuską, zanim zostanę staruchą, która powinna mieć garb. Jednoroga przesunęła po mnie swoje ciemne oczy.

– Cierpisz – rzuciła z roztargnieniem.

– Tak. Obawiam się, że nie możesz położyć głowy na moich kolanach. Skrzywiła nos.

– Wcale nie chcę! Dlaczego miałabym chcieć kłaść głowę na kolanach dziecka? Jestem za stara na takie zabawy! – Przymrużyła oczy z gniewu i gdybym mogła, uciekłabym, bo wyglądała strasznie, parskając i grzebiąc kopytami.

– Przepraszam. Nie powinnam wierzyć starym zakurzonym opowieściom. Wiem, co mówią o moim plemieniu, powinnam więc być mądrzejsza.

Nieco się uspokoiła i znów do mnie podeszła. Spojrzałam na nią przez pasma przypiętych kołkami włosów.

– Ale ja cierpię, jednoroga, i powinnaś mnie uwolnić, i gdyby twoja głowa opadła na moje kolana – w chwili senności, nic więcej! – kto mógłby winić którąś z nas?

Zgrzytnęła żółtymi zębami.

– Jeśli cię uwolnię, uciekniesz, a ja będę cię ścigać, aż rzeczywiście zrobię się śpiąca.

– Nie ucieknę.

– Uciekniesz! Nie lubisz mnie, chcesz tylko wykorzystać moje zęby i mój róg do własnych celów – tacy jesteście wszyscy. Jestem dla was tylko sklepem, gdzie możecie sięgać na półkę i brać, co chcecie.

– W takim razie przedstaw mi prawdziwą opowieść. Opowiedz, jak straciłaś róg, i dotrzyмай mi towarzystwa, jeśli jestem dość niewinna, by ściągnąć cię na pola niczym lemiesz.

OPOWIEŚĆ O KRZYWDZIE

Nie jestem niewinna. Pomyśl tylko: gdyby jednorożec był chodzącą cnotą, gdyby był jądrem i osią wszelkiej możliwej czystości, dlaczego miałyby jej szukać? Dlaczego miałyby się interesować niewinnością innego stworzenia, gdyby sam miał cnoty w nadmiarze? Dlaczego choć jednorożec wie swoje – musi wiedzieć! – sama obecność dziewczyny w białej sukience miałyby wywabiać go z głębi cienistego lasu? Niedorzeczność. Szukamy niewinności, ponieważ nie mamy pojęcia, czym jest, znamy jej zapach, ciężar, zarys na tle szarego nieba. Pragniemy cnoty, ponieważ jest nowa. Idziemy ku niej w nadziei, że zdołamy jej dotknąć, że zdołamy zrozumieć, że sami staniemy się niewinni. Można marzyć o stygnącym cieście, ale nie wtedy, gdy ma się pełen brzuch. Tak to jest.

Nauka o niewinności jest skomplikowana i ściśle techniczna – nie będę zadręczać twych uszek gadaniem. Wystarczy powiedzieć, że błona dziewicza nie ma tu nic do rzeczy, jest dla nas nieważna jak spodnie. Słowo „niewinny” oznacza „bez krzywdy”, nie wiedziałaś? Matka powinna cię nauczyć, co to takiego słownik. Gdy jednorożce się gromadzą, podejmują debatę, jak właściwie powinna brzmieć definicja: ktoś, kto nie został skrzywdzony, czy ktoś, kto nie wyrządził krzywdy. Zapach jest inny, oczywiście, a każdy ma swoje smaki. Ja zawsze utrzymywałam, że ci, którzy nie krzywdzą, są stworzeniami

bardzo rzadko spotykanymi – dlatego uciekamy w takim przerażeniu, gdy przychodzą myśliwi. Nagle gołąb, który stworzył małe skrzydła, już nie jest dla nas gołębiem, ale czymś, co może zrobić krzywdę, wielką krzywdę, czymś, co przynosi strzały i noże, i pachnie jak płonące skórki chleba, jak przypalona mąka.

Powinno być jasne, że bez względu na to, którą interpretację popiera większość stada, niewinność jest nam obca. Nie nosimy rogu do wieszania prania, szukania wody albo otwierania zamków. Jest stworzony do żłobienia i dziurawienia, do rozdzierania boków jeleni i rozbijania skorup zółwi. Może nawet do przebijania skóry niewinnych – nie powiem, że pierwszy jednorózek, natknąwszy się na cnotliwe dziewczę, natychmiast przebił je rogiem, że zapach krwi okazał się tak słodki i korzenny, iż pragniemy go od tej pory. Nie powiem tego, ale to może być prawda. Jesteśmy drapieżnikami, jemy konie, parzymy się, łamiemy drzewa kopytami, walczymy z sobą ze splecionymi rogami, pędzimy z taką szybkością, że ziemia drze się pod nami na pasy. Krzywdzimy. Nie wstydzimy się tego; taka jest nasza natura. Ale jak wszystkich, przyciągają nas przeciwieństwa. I my z kolei jesteśmy krzywdzeni – och, nie wątp w to, dziecko.

Nasz róg nie jest martwym, niemym nożem. To sekret naszej jaźni. Dmący wiatr gra w skrawkach przestrzeni pomiędzy rogiem czerwonym i czarnym jak na flecie z ciała, rozbrzmiewają wtedy najstraszniejsze i promienne pieśni – lecz tylko my je słyszymy. To sygnał do godów i dla matek ze żrebakami u sutków. Pamiętam, jak raz mój ojciec ukląkł w burzy i pozwolił, żeby jego róg śpiewał dla mnie sennie, kiedy las był pełen. Głos jego rogu był wysoki i smutny, jasny jak

błyskawica. Kochałam ojca. Już go nie ma i żadna burza nie może mnie wzruszyć.

Posłużyli się chłopcem.

W zieleni i jeżynach jego zapach był słodki niby śliwki i liście mięty. Jak nas znaleźli? Przypuszczam, że dość łatwo jest wytropić zwierzę, znaleźć jego wodopój, jego legowisko, jego ulubione miejsca. I przy stawie czystym jak powietrze, wśród polatujących nasion dmuchawca posadzili chłopca o dużych, spokojnych oczach, z nieśmiałymi zaczątkami brody. Powiedzieli mu, że jeśli będzie siedział cicho, bardzo cicho, jak grzeczny chłopiec, zobaczy coś, o czym będzie mógł opowiedzieć swoim dzieciom.

Nie chciałam iść. Zapach jest straszny i cudowny, próbujemy nie zwracać na niego uwagi, wtulamy głowy w róże i staramy się o nim zapomnieć, udajemy, że złoty ul w topoli jest bardziej interesujący. Ale w końcu zapach zwycięża, jego słodycz i tęsknota, niemal wspomnienie tego, jacy nie jesteśmy, jacy nigdy nie będziemy, ciekawość, pragnienie dotknięcia substancji tak obcej jak ambra czy ogony kryształowych ryb – pragniemy uklęknąć i dostać łaski, pragniemy, by dotknęło nas, choćby na chwilę, coś, co pachnie fiołkami, grubym solonym chlebem i całością.

Chłopiec wyciągnął do mnie ramiona i zapach buchnął jak para. Zgrzytnęłam zębami, ale podeszłam do niego, głupia jak dziewczica, i uklęknęłam przy nim, wiedząc, że zaraz poznam smak wędzidla i bicza, ale nie mogłam się powstrzymać, jego niewinność spowijała mnie miękko i złoto – jeśli tylko złożę głowę na kolanach tej czystości, poznam tajemnicę światła, ciepła i łaski. On mnie nie skrzywdzi, mówił zapach; nie jest do tego zdolny.

Wyciągnął do mnie ręce, a ja opadłam w nie powoli. Jego dłonie sunęły po mojej sierści, po grzywie; chichotał z dziecięcej radości, a ja otworzyłam usta, żeby wdychać jego zapach. Wtedy dmuchnął na mnie delikatnie, jakby chciał zgasić świeczkę. Rozbrzmiała tajemna muzyka i drgnęłam w jego objęciach, była to bowiem pieśń smutku i krwi, pieśń szpiku i żalu.

– Co robisz, dziecko?! – krzyknęłam.

– Chciałem posłuchać dźwięku, jaki wydobywa z ciebie wiatr.

– Wzruszył ramionami, jego brązowe oczy były ciepłe i pełne zadowolenia.

– Ale skąd o tym wiedziałeś? To nasza rzecz, nie wasza do zabawy.

– Matka i ojciec nauczyli mnie o was wszystkiego, od grzywy po zad, kiedy więc ująłem w ręce twoją głowę, nie wahałem się...

OPOWIEŚĆ TRUCICIELA

Moi rodzice nigdy nie musieli martwić się o pracę. Byli trucicielami najlepszymi ze swego plemienia i kiedy dochowali się syna, nazwali go Przesztem od czarnego ziela, które sprawia, że swędzą dłonie, aż ich właściciel drze je na lśniące wstążki. Postanowili, że będę cudownym dzieckiem wśród trucicieli, i zaczęli mnie szkolić, gdy tylko wyszedłem na świat.

Moja matka w porannej herbacie piła skrawki mandragory, roztarte na proszek delikatniejszy od skrzydeł kolibra, i przekazała mi je wraz z mlekiem. Nacierала moje usta ciemiernikiem, tylko dla smaku – słonawego i paskudnego, jak rzeczna woda po burzy. Ojciec smażył jaja z przejrzystymi półksiężycami psianki syczącymi w oleju, przyrządzał sałatki z oleandra i tojadu, piekł placki z jagód cisu i nasion modligroszku. Karmili mnie tym wszystkim, maleńka porcja po maleńkiej porcji, więc kiedy dorosłem, żadna z trucizn nie mogła mnie skrzywdzić, nie bardziej niż jagody zwyczajnego chłopca. Radowało ich wynajdowanie nowych rzeczy, żeby mnie nimi karmić: kora wiśni, która wywołuje ataki sapania, aż oddech zupełnie zanika; naparstnica, która powoduje napady podnieconego, niemal poetycznego mamrotania przed śmiercią w konwulsjach; bieluń dziedzierzawa, który sprowadza nadzwyczajne wizje, a potem czarną ślepotę. Kiedyś matka kazała mi wziąć w jedną rękę gałązkę jemioli, w drugą korzeń

cykuty i zjeść najpierw jedno, potem drugie, a potem notowała mój opis skurczów żołądka.

Były też bardziej egzotyczne jady – ślina wściekłego wilka, mleko harpii, żółć bazyliuszka. Ale zawsze stwierdzaliśmy, że najlepsze są najprostsze trucizny. Nie wyobrażasz sobie, co można zrobić z jaskra.

Miałem na swój sposób szczęśliwe dzieciństwo. Byłem kochany, jadłem dobrze – a wieruszka wcale nie jest niesmacznym grzybem, gdy używa się jej rozsądnie i podaje tym, którzy mają brzuchy zahartowane jak nasze. Mieszkaliśmy w starym rozklekotanym domu na palach blisko długiej niebieskiej rzeki, zimnej jak trup i skłonnej do wylewania. Truciciele są dobrze opłacani, ale jeśli ktoś popisuje się bogactwem, często pytany jest o źródło, a my byliśmy dyskretni. Na brzegu rzeki mieszkali biedacy, którzy wyrzucali śmierci do nurtu i klęli kury gromkimi głosami, lecz taki był nasz wybór i troskliwi, uważni rodzice bez przeszkód mogli praktykować na mnie swoją sztukę.

Co ciekawe, nakładanie trucizny na truciznę w mojej krwi nie okazało się zupełnie nieszkodliwe. Moja skóra zrobiła się cienka i napięta jak u węża, i równie niegodna zaufania. Kiedy byłem mały, ojciec uczył mnie mieszania wilczej jagody, owoców ostrokrzewu i kolokazji, by sporządzić miksturę, która posadzi nasiona w brzuchu ofiary, skutkując efektownym buchaniem pary z ust parę tygodni po podaniu. Kiedy skończyliśmy, nałożył odrobinę na mój język, jak sakrament – rodzice bowiem wierzyli szczerze, że śmierć jest umową pomiędzy trucicielem a ofiarą i jak wszystkie święte rzeczy wymaga należytej czci. Dawaliśmy komuś świat predestynowany i w ten sposób zabieraliśmy go ze świata. Czy

może być akt bardziej głęboki? Zamknąłem oczy, przygotowany na doznanie głębi. Mikstura miała suchy, zakurzony smak, jak kwiaty stojące zbyt długo w białym wazonie, ale z ostrą nutą, ze strzałą goryczy, która rozpałała mi gardło.

Zaskoczony wyciągnąłem rękę – kiełkował na niej mały ostrokrzew, z jagodami cynobrowymi na tle mojej skóry. Wyrastał gładko z mojej dłoni, dziecko oleju i nasion albo korzenia i kwiatu spożywanych przeze mnie przez lata. Obaj zaśmieliśmy się nerwowo i przycięliśmy miniaturowy krzak przy samej skórze. W końcu zrobił się strup, ale od czasu do czasu dręczą mnie takie pędy wyrastające z mego ciała jak nowe kończyny.

Tak oto stałem się zarówno źródłem, jak adeptem – ale nie było mi wolno zaprawiać jedzenia ani mieszać mikstur, bez względu na to, jak bardzo pragnąłem doświadczyć przemiany jednego świata w drugi. Moja edukacja miała charakter czysto alchemiczny.

– Jeśli pozwolimy, żebyś wypuścił jad ze swojej ręki, to może spłoszyć jednorożca – mówili, uśmiechnięci szeroko, świadomi, że nie rozumiem.

Ale obserwowałem wiele przypadków trucia, gdy byłem rozchichotany gołowąsem, ukryty za drzwiami albo w pustej ścianie, za wiszącym gobelinem albo pod łóżkiem. Czy mam ci opowiedzieć o moim ulubionym, póki mamy czas? Musisz być zaciekawiona – jesteśmy tacy podobni, ty i ja.

Doża w dalekim kraju, pełnym czerwonych skał, czerwonych dachów i ganków oprószonej szalwią i lepkiem od soku, miała dwie córki, jedną szatańską i bezduszną, drugą słodką i dobrą jak mleko. W dzisiejszych czasach los często tak doświadcza

władców. W Amberabadzii, mieście czerwonych skał i czerwonych dachów, pierwsza córka doży, Łania, lubiła tańczyć z mężczyznami, jeść lukrowane ciastka i czytać książki z obrazkami, których dziewczęta nie powinny oglądać. Druga, Hadil, lubiła tylko sprawiać przyjemność ojcu. Gdy obie podrosły, równie piękne i pewne siebie, doża ze ściągniętymi brwiami spoglądał w kielichy i dumiał nad ich różnicami. Jako człek o złożonej duszy postanowił dać im lekcję, choć może wystarczyłaby różga na plecy jednej i mocny likwor dla drugiej. Ale był, jak powiedziałem, człowiekiem skomplikowanym.

Amberabad to bogate, choć nieduże miasto usadowione na brzegu niczym rybak z nogami zwieszonymi do wąskiej zatoki morza. Błękitna woda zatoczki sięga do centrum kraju, a wzdłuż niej rosną płaczące cedry, z których śmieją się młodzi ludzie, zwąc je przyszłym bogactwem Amberabadu. Albowiem obecne bogactwo Amberabadu stanowi bursztyn, tak obfity w tamtych częściach świata, że każdy może chodzić po wąskich rdzawych plażach i zbierać w piasku mokre, lśniące kamyczki. Niektórzy nawet go poławiają, używając delikatnych sieci z pokrzywy i lnu, wyciągając czerwonozłote klejnoty jak łososie ze spienionej wody. Miasto, bogato pachnące żywicą i dziwnie płonącymi klejnotami, rzuca bladożółte pasy cieni na ziemię, bo Amberabad jest miastem na niebie, zawieszonym pomiędzy pniami wielkich nadmorskich cedrów.

Długie girlandy cykorii, tojeści i róż o zwartych pączkach wiją się wokół delikatnych mostów, które wiodą od drzewa do drzewa, jak w innych miastach ulice prowadzą z ministerstwa na cmentarz, a w innych kanały z targu do pasmanterii. Mieszkańcy Amberabadu są wyjątkowo zwinni i rzadko ktoś spada. Pałac doży, co łatwe do przewidzenia, zbudowany jest w

najszerszej części pnia największego cedru i wszystkie pokoje wyłożone są bursztynem rzeźbionym w kwiaty, kobiety, żołnierzy, konie w pełnym galopie i mnóstwo scen heroiczych. Wszystkie pokoje są czerwone i złote od tej lśniącej żywicy i od miękkich, kosmatych desek cedru, które widać przez rozmieszczone gdzieniegdzie strzelnice.

Po tych pokojach chodziły siostry Łania i Hadil. Hadil nosiła długie sznury bursztynów, splecione w skomplikowane wzory, podciągnięte wysoko pod szyję i spływające nisko z nadgarstków i talii, krzyżujące się na skromnie okrytej piersi. Oczy miała jasne i złote jak miód, włosy ciemnoczerwone jak najdroższa żywica. Łania też nosiła długie sznury paciorków, ale jej były odlane ze smoły bursztynowej, z dziwnych czarnych pozostałości po spaleniu bursztynu i uzyskaniu zeń drogocennego oleju, który tak bardzo przypominała jej siostra. Te czarne paciorki okręcały ją, luźne pod szyją, ciasne w nadgarstkach i w talii, krzyżujące się na ledwo osłoniętych piersiach.

W pokojach tych Łania próbowała namówić siostrę do czytania książek z drzeworytami, jakich nie powinna oglądać żadna dziewczyna, i do jedzenia ciastek, które zaokrągliłyby jej figurę, i do zostawiania otwartych bursztynowych drzwi ich pokoju, żeby mężczyźni z innych cedrów mogli tam zaglądać, kołyszając się na girlandach tojeści. W pokojach tych Hadil próbowała trzymać siostrę krótko i zamykała drzwi, kiedy noc wpływała ciemnym strumieniem, i kruszyła ciastka na parapecie dla przelatujących ptaków, pokazując siostrze zwykłe brązowe chleby i surowe korzenie. Próbowała skierować swawolne oczy Łani na modlitewniki bez żadnych drzeworytów, z samymi tylko psalmami i hymnami, które

śpiewała na balkonach ich podniebnego domu, aż jej głos stał się znany jako Dzwon Amberabadu. W pokojach tych jedna siostra nie tęskniła za drugą i siedziały ponuro na czerwonych kanapach; jedna jadła korzenie, druga ciastka.

– Dlaczego nie chcesz się ze mną bawić, jak przystało siostrze?! – krzyczała Łania.

– Dlaczego nie chcesz się ze mną modlić, jak przystało siostrze? – szeptała Hadil.

Ich ojciec nas wezwał i nasza mała karawana przybyła do tego miasta, które, jak mówił mój ojciec, zbyt obrosło tłuszczem i czekał je czas postu – tak zwykle mówił o bogatych miastach, gdzie nasza sztuka cieszyła się największym wzięciem. Miał w sobie coś z ascety, był wysoki, chudy i władczy, z rzadkimi włosami lekko pozieleniałymi od tych samych małych dawek trucizny, do których mnie rodzice przyzwyczajali. Doża w swoich listach nie sprecyzował formy lekcji, tylko nakreślił jej zamierzony cel. Długo dumaliśmy, aż wymyśliliśmy coś, co uznaliśmy za odpowiednio dydaktyczne.

Była to bardzo skomplikowana mikstura: strzaskane skorupy ostrygi i poćwiartowana ropucha, lilie z doliny i jesienne krokusy wycięte ostrożnie z wnętrza moich policzków, arisema i gotowane liście rabarbaru, wędzone, odparowywane i zagęszczane trzciną cukrową przez całe tygodnie. W końcu rodzice rozpuścili perły i przekłuli oczy ropuchy, pozwalając, by ich zawartość ściekła do kociołka. Z powstałej mazi upiekliśmy słodkie cukierki o lekkim smaku anyżu i ciemnego pieprzu, i poczęstowaliśmy nimi dziewczęta na bankiecie, podszywając się pod kucharzy. Patrzyłem zza sutej spódnicy matki, mały kuchcik gapiący się na piękne stroje.

Dziewczęta ssały cukierki z radością, Łania gryzła chciwie, a Hadil układała różowe usta jak do pocałunku, gdy anyż ścigał jej policzki. Miał minąć jakiś czas, zanim mikstura zadziała, więc zaproszono nas do stołu, żebyśmy skosztowali potraw, które, jak udawaliśmy, zostały przez nas przygotowane. Siedziałem pomiędzy rodzicami z rogowym widelcem w ręce, podnosząc do ust skrawek baraniego tłuszczu, gdy Łania odwróciła się w stronę ojca i powiedziała:

– Kiedy umrzesz i ja zostanę dożą, zaproszę do pałacu wszystkich drzeworytników i poetów, żeby pisali ody na cześć piękna Amberabadu i jego dwóch córek!

Hadil poczerwieniała.

– Kiedy ty umrzesz i ja zostanę dożą, okryję twarz żałobną bielą i zakazę tworzenia jakichkolwiek wizerunków, żebyśmy mogli pamiętać tylko twoją dobroć i twoje oblicze.

Łania popatrzyła na Hadil z odrazą.

– Czy spoczęłaś pod nożem chirurga i pozwoliłaś wyciąć sobie serce? Nie możesz choćby raz uśmiechnąć się do mnie i być moją siostrą? Wypchaj swoją skrzywioną twarz tymi przekłętymi korzeniami i udław się nimi! Bodajby...

Nie dokończyła przekleństwa. Z jej ust wypadła jedna perła, duża, biała i lśniąca. Hadil krzyknęła z zaskoczenia i z jej pachnących różą ust prosto na stół wyskoczyła śliska zielona żaba. Za nią wypadła następna, i następna perła z ust siostry, i następna żaba. Zieleń skakała i biel grzechotała po stole, gdy piękne córki doży oburącz trzymały skręcone, perfumowane pukle, wymiotując klejnotami i płazami. Doża ściągnął brwi.

– Mówiłem, żeby nauczyć jedną, że dobroć nie wystarczy, a drugą, że zimne okrucieństwo to za wiele. Coście uczynili?

Cenne perły sypią się z ust zepsutej córki, śliskie stworzenia z ust cnotliwej? Nie dostaniecie ode mnie zapłaty.

Moja matka, zawsze elokwentna, ukłoniła się nisko.

– Wasza Książęca Mość, wybacz mi, ale nie widzisz tego, co my widzimy. Z ust dziecka, które ty uważasz za złe, posypały się zimne kamienie, martwe, samolubne odpadki. W nadmorskim królestwie jak twoje są zbyt pospolite, żeby zwać je cennymi. Są piękne, tak, i mają swoją wartość, ale to tylko ładne kamyki. Z ust drugiej wyskakują żaby, które możesz uważać za brzydkie, ale są jedzeniem i ubraniem, lekiem i trucizną. Są wybitnie użytecznymi stworzeniami w każdym kraju, ta córka nigdy nie będzie głodna, podobnie jak ci, którzy znajdą się w pobliżu. A jednak ci, którzy znajdą się w pobliżu, będą często krzyczeć z odrazy i nie wspomną o jej słodyczy. Powiedz mi, czy nie jest to lekcja, którą zapamiętają?

Doża się zaśmiał, ja również. Łania czknęła i perła utworzyła się w kąciku jej ust. Pohamowała łzy, gdy jedna z żab siostry chwyciła perłę językiem i połknęła.

Słyszałem, że Hadil, spuchnięta z dumy ze swoich żab, została nieudolnym dożą, który troszczył się tylko o swoich płazowatych poddanych, rozkazywał przeprowadzać każdą żabę przez drogę i nosić je na jedwabnych poduszkach, żeby biedactwa nie ucierpiały. Wciąż śpiewała, aż w końcu nikt nie chciał wychodzić z domu, gdy dodała do repertuaru pieśni na cześć cienia ojca, pieśni ku poprawie losu żab i pieśni o zbawienie zbłąkanej siostry. Wreszcie w całym dniu nie została ani jedna godzina, żeby Dzwon Amberabadu nie brzęczał bez końca z wysokiego balkonu.

Łania, jak słyszałem, poszła w świat, zostawiając za sobą szlak pereł i nie myśląc o polityce.

Może nie mieliśmy zamiłowania do dawania nauk. Ale byliśmy mądrzy, szczęśliwi razem i uprawialiśmy naszą sztukę z precyzją niemal nieznaną w tych zwyrodniałych czasach. I ja zajmę miejsce rodziców, gdy odejdą. Będę jeszcze większy niż oni, nie potrzebuję bowiem dzikiego lasu, żeby dawał mi swe trujące dary. Ja jestem dzikim lasem i wystarczy, że wyciągnę rękę, a żaby i perły posypią się z ust dziewczyc.

OPOWIEŚĆ O KRZYWDZIE, CIĄG DALSZY

Przestęp przysunął rękę do moich nozdrzy i zobaczyłam, że z dłoni wyrasta ciernista róża, której przesłodzona woń mieszała się z jego zapachem.

– Rozumiesz, wtedy nie mogłem dać dziewczętom cukierków. Kiedy jednak podrosłem, matka i ojciec pokazali mi swoje księgi i czytałem o tobie, o jednoroźcu, o pieśni, którą wiatr gra na twoim rogu. Powiedzieli mi, że ukończę ich małą akademię, gdy cię schwytam i uczynię swoim kielichem truciciela, bo żaden truciciel nie może dać się otruć przez własne wywary, a wiadomo, że wasz róg sprawia, iż wszystkie jady stają się nieszkodliwe jak woda. „W tej części świata jest samica jednoroźca, która zwie się Niewinnost, i oszczędzaliśmy cię dla niej – powiedzieli. – Idź i stań się mężczyzną”. Dlatego ukląknę przy tobie, trzymałem twoją głowę i pozwoliłem, byś do woli wdychała mój zapach, ostatnie tchnienie mojej niewinności, pragnę bowiem krzywdzić w imię świata destylowanego, chętny dołączyć do rodziców w ich domu na palach.

– Powinnam się tego spodziewać.

– Tak, powinnaś. Mam nadzieję, Niewinnosti, że byłem dla ciebie miękkim łóżem. Mam nadzieję, że zapach mojej skóry spełnił twoje oczekiwania.

– To rzekłszy, wyciągnął spod siebie długi srebrny łańcuch i zarzucił mi go na szyję. Wzdrygnęłam się – jego zapach się zmienił, stał się gryzący i palący, była to woń węgla drzewnego, sadzy i skórki kwaśnej cytryny pieczonej na białych węglach. Uśmiechnął się wtedy i smród się pogorszył; zderzające się, walczące wonie zatykały mi nozdrza – dym i jesionowe kłody, ocet i wapień, i ta cuchnąca, przesłodzona róża. Przyszli, gdy się szamotałam. Z pewnością słyszałaś już tę cześć historii. Przyszli myśliwi w zielonych rajtuzach, uzbrojeni w brązowe strzały, i przyciskali mnie do ziemi, podczas gdy Przepięty kowalskim ostrzem odcinał mi róg.

Wiatr wrzeszczał, gdy czerwone skręty pękały i odpadały. Krwawiłam – czarne zwoje krwawiły, aż ziemia zrobiła się mokra i śliska; rozpaczliwie biłam kopytami, ale krwawe błoto mocno mnie trzymało. Nasz róg jest ciałem, nie mniej niż twój nos, i krew trysnęła ze mnie niczym sznur czarnych pereł na aksamitne kolana syna trucicieli.

OPOWIEŚĆ HULDRY, CIĄG DALSZY

Niewinnost patrzyła na mnie gniewnie, prowokując do powiedzenia, jaka była głupia, że do niego podeszła, albo że po utracie rogu już nie jest jednorożcem. Może dorosła kobieta powiedziałaaby coś takiego, ja jednak nie mogłam.

– Niewinnosti, przykro mi z powodu tego, co ci zrobił. Pewien chłopiec kiedyś coś mi zabrał i zamiast tego czegoś dostałam złotą piłkę, i teraz widzisz, co się ze mną stało. Jestem podobna do ciebie.

Jej spojrzenie złagodniało.

– Nie jestem jednorożcem, skoro nie mam rogu. Jestem tylko mułem z brodą i bardzo starym ogonem. Ty wciąż jesteś dziewczyną. Choć muszę powiedzieć, że też ci współczuję. Dziecko nie powinno dostawać złotej piłki.

– Pomóż mi, proszę. Pomogę ci, jeśli mnie uwolnisz. Nie wezwę myśliwych. Nie przywołam okropnego jeża, który mnie tu uwięził. Jeśli ja jestem niewinna, ty jesteś bezpieczna.

– Wszystkie stworzenia są niewinne, dopóki się to nie zmieni – parsknęła Niewinnost, ale zgięła ciemną nogę i jęła drapać kopytem niezliczone kolce, które jeżyły się w moich włosach.

Grzebała miękką glebę, gryzła śliskie metaliczne igły, ale nie mogła ich złapać. Jej zęby się ześlizgiwały, poza tym kolce były zbyt liczne i wbite zbyt głęboko. Wreszcie stanęła przede mną, jej brązowe boki lśniły od potu. Nocne niebo już jaśniało na

wschodzie, długi, poszarpany pas zimnego błękitu na tle zimnej czerni, i wiedziałam, że niedługo przyjdzie Ciriaco.

– Moje włosy – szepnęłam. – Odgryź je, a będę wolna. Jeśli jestem niewinna, to niewinne są wszystkie moje części, i możesz je smakować, i może znajdziesz w moich włosach, w moich lokach to, czego nie dał ci ten zdradziecki chłopak. Weź moją niewinność i uwolnij mnie.

Niewinność nie kryła wahania, podchodząc do mnie i odskakując jak wtedy, gdy zbliżyła się po raz pierwszy, z cichym rżeniem wyciągała ku mnie długą, zakrwawioną głowę i zaraz ją cofała. Wreszcie zaczęła szczypać czarne pasma jak trawę i w mrozącym rośnię poranku ścięła moje włosy przy korzonkach, mruczając – z przyjemności czy z bólu, nie mogę powiedzieć. Była nieco nadgorliwa i w swoim głodzie ochoczo strzygła mnie przy samej skórze. Nie miałam nic przeciw temu. Jakiś czas później znów mogłam się ruszać i pozwoliłam jej skubać włosy, pochylając się ku niej, gdy nie mogła dosięgnąć.

– Smakujesz jak księżyc, zimna i taka czysta – szepnęła do mojego ucha i jęła kopać cegły z darni, przemienione przez mróz w płyty żelaza.

Wypadłam z domu, który zbudowała moja złota piłka – bo wciąż i zawsze myślałam o jeżu jak o swojej piłce – do stóp Niewinności.

– Powiedziałaś, że mi pomożesz – przypomniała, wciąż na wpółomdląca.

Odwróciłam się i darłam palcami twardą glebę wokół niezliczonych igieł, złotych, srebrnych, miedzianych i żelaznych, kwarcowych i diamentowych, szmaragdowych i szafirowych. Kopałam głęboko i kopiąc, płakałam, stękałam i krzyczałam, wszystkie te miesiące zamknięcia w darniowej

wieży uciekały ze mnie niczym żaby z ust dobrej dziewczyny. Moje palce przemieniły się w pobrudzone haki, ale wreszcie podałam jej bukiet oblepionych ziemią kolców ze wszelkich możliwych metali.

– Wystarczy – powiedziałam głosem rwanym przez szloch – na nowy róg.

Niewinność pochyliła głowę i trąciła mnie lekko chrapami.

– Mój róg jest kolorowym kielichem na stole daleko stąd. Nie mogę mieć innego, póki tamten żyje – co by powiedział? Ale jeśli pięknie, w dalekich krajach, jakich nigdy nie zobaczę, może poznam, czym jest całkowitość.

Niezmiernie powoli osunęła się na ziemię i złożyła okaleczoną głowę na moich kolanach. Krew znów zaczęła się sączyć kroplami, ze strupów na kikucie odciętego rogu. Zamknęła oczy i oddychała głęboko, wciągając powietrze aksamitnymi chrapami.

Leżałam pod nią, czując jej ciężar, wielki jak poczucie winy.

OPOWIEŚĆ O DWUNASTU MONETACH, CIĄG DALSZY

Oublietta z roztargnieniem potarła ostrzyżoną głowę.

– Zabrała moją niewinność, a potem byłam nie tylko zła i brzydka, zdana na łaskę każdego, kto postanowi mnie pokochać, ale też dorosła i łyśa jak sęp. Gdy tylko opuściłam pole, gdzie Ciriaco zbudował swój dom z darni i z dziecka, miasto dmuchnęło i Pra-Ita mnie pochwycili, wiedząc, jak moja piłka, że nikt nie będzie mnie szukać.

– Nie sądzę, by wiedzieli – biorą to, co naniesie wiatr...

– Wiedzą.

Nie mogłem nic powiedzieć. Wysunąłem się z łóżka i przeskoczyłem szybko na drugą stronę, czując lodowatą podłogę pod podeszwami stóp. Wśliznąłem się znowu, ułożyłem za jej plecami. Ostrożnie i delikatnie otoczyłem ją ramieniem – byłem mężczyzną, więc wiedziałem, jak to robić. Przytuliłem się do jej koropleców, obejmując ją i kołysząc niczym własne dziecko.

– Nie jesteś brzydka ani zła, ani na niczyjej łasce – szepnąłem. – Chociaż jesteś łyśa.

Parsknęła śmiechem, ale gdy się ogrzała, poczułem, że płacze cicho, jakby szeleściły stronice.

Pracowaliśmy w Mennicy przez siedem lat.

Nie zapuściła włosów, ścinała je krawędzią ostrego trybu. Były krótkie i poszarpane, ale gęste, ciemne. Kiedy spytałem, wzruszyła ramionami. – Moje włosy teraz należą do niej.

Nawet nie spróbuję opowiedzieć, jak często wiatr nas nosił ani do jakich szczelin świata. Czasami wydawało się, że za zszarganymi granicami miasta pada śnieg. Innym razem czułem zapach szaławii i kamieni pustyni. Nigdy nie brakowało surowca dla Mennicy. Zwykle nie mieliśmy czasu, by patrzeć ku granicom miasta albo na cokolwiek poza murami fabryki. Pracowaliśmy. Jedliśmy opale i granaty, perły i chalcedon, hematyt i lapis-lazuli, i malachit, ciemny i zielony. Vhummima miała rację, topaz smakuje jak gruszka. Raz, kiedy przekroczyliśmy dzienną normę, dostaliśmy diamenty. Smakowały jak mrożone cytryny.

Od czasu do czasu spaliśmy.

Obserwowali nas, ilekroć jedliśmy, gładząc długie szyje w czasie naszego posiłku. Martwe miasto krzątało się i handlowało, ale nic nie jadło, nic nie piło. Pra-Ita obserwowali nas jak sztukę na scenie i toczyli ślinę. Niektórzy z nas dorośli, inni nie. Jak każda maszyna, Mennica była nieprzewidywalna i spragniona – miażdżyła palce, wyrywała ręce ze stawów. Nierzadko całe dziecko wpadało, wepchnięte albo z własnej woli – ach, jak wielu skoczyło! – w koła zębate i tłoki. Pierwszy raz, gdy to się stało, krzyknąłem. Mój krzyk w tej wielkiej, milczącej sali ciął powietrze jak nóż. Wszyscy się zatrzymali, odwrócili. Ale patrzyli na mnie, nie na dziecko, które osunęło się pod stempel wybijający monety i zostawiło krwawą plamę na deskach. Krzyknąłem; przyciągnąłem uwagę na siebie. Syknęli, żebym się uciszył, i Mennica pracowała dalej.

Gdy skończyłem czternaście lat, tylko Oublietta była starsza ode mnie. Wtedy uznaliśmy, że jesteśmy dość silni i sprytni, by uciec. Klejnoty nie są pożywne, ale Mennica dała nam mroczną, ziemistą siłę, gdy obracaliśmy i skręcaliśmy, gdy pchaliśmy stemple albo wrzucaliśmy martwe dzieci na deski. Wykonywaliśmy tę samą pracę przez siedem lat.

I dzieliliśmy łóżko – nie jak kochankowie, rozumiesz. Myślę, że w końcu bym ją poślubił, choć pożycie z nią przypominałoby oranie rzeki ciągniętym przez okonia talerzem. Nie wiedziałbym, jak się do tego zabrać i jaki byłby tego cel. Kiedy patrzyłem na jej ciało, nie widziałem piersi ani bioder, ani nawet ogona czy szorstkiej szarej kory. Widziałem pieniądze. Widziałem monety spiętrzone w koszu. Widziałem pieniądze, które mogły powstać z jej kości. Niektórych rzeczy nie można zostawić za sobą i puścić w niepamięć, jak gdyby zasunęła się złota kurtyna. Dzieliliśmy łóżko dla ciepła i dla towarzystwa. Gdybyśmy tego nie robili, pewnie któreś z nas już dawno skoczyłoby w tryby. Drapałem jej korę i sęki, ona pocierała mnie po karku. Pomagaliśmy jedno drugiemu wrócić do siebie po skończonej pracy. Po jakimś czasie przestaliśmy się skradać i po zakończeniu zmiany jawnie zajmowaliśmy wspólne posłanie. Pra-Ita nic nie mówili. Nigdy nie brakowało nowych dzieci do pustego łóżka.

Pewnej nocy, gdy trzymałem dziewczynę-drzewo w ramionach, szepnęła ciszej niż pluska kropelka wody spadająca z dachu:

– Jutro skoczę w maszynę.

Drgnąłem, odwróciłem jej twarz ku sobie, ujrzałem ciemne oczy szerokie i spokojnie.

– Co? Dlaczego? Dlaczego chcesz mnie tu zostawić?

– Sza, nie zostawiam cię. Wymyśliłam, jak uciec. Jutro pozwolę, by stemple zgmiotły mi rękę, zaraz po ostatnim dzwonie. Poczołgam się po podłodze i położę rękę na deskach. Niech odetnie ją wielki lśniący stempel. Zrobię z niej dhheiby, żebyśmy mogli się wykupić. Jedna ręka to niewielka strata, zostanie mi druga. Ale będę potrzebować twojej pomocy, żeby uruchomić resztę maszynerii, skrobaki i drapaki, obcinarki i prowadnice. Jeśli będziemy szybcy, zdołamy to zrobić.

– Moneta wartości ramienia nie wystarczy, nikogo nie skusi. Mają setki ramion w zasięgu ręki.

– Skusi Vhummimę. Ona nas lubi. Czuwa nad nami. Wystarczy.

Milczałem przez długi czas, a inne dzieci, młode i nowe, kuliły się w szarych łózkach.

– To dobry plan, Oublietto. Ale nie dla ciebie. Ja podłożę rękę pod stempel. Ja dam ją odciąć, a ty zostaniesz cała.

Nastroszyła ciemne brwi i spojrzała na mnie gniewnie.

– Dlaczego? Wiesz, że jesteś przerośniętym, tchórzliwym dzieciakiem, gdy chodzi o ból.

Pogładziłem ją po twarzy, zimna skóra muskała zimną skórę, jej ścięte włosy kłuły koniuszki moich palców jak igły.

– Moja ręka jest większa. Będziemy mieć więcej pieniędzy. Nic nie powiedziała – co mogłaby powiedzieć?

– Będiesz krzyczeć.

– Nie będę.

– Obejmowaliśmy się przez całą noc. Oublietta pocałowała mnie to jedyny pocałunek, jakim mnie obdarzyła – w miejsce, gdzie ręka łączy się z tułowiem.

W OGRODZIE

Chłopiec ją zostawił.

Zawsze ją zostawiał. Każdego ranka i rankiem po ranku. Dziewczynka nie miała nic przeciw temu, naprawdę – trudno było mówić tak długo, spamiętać wszystko, co miała napisane na powiekach, przebywać blisko drugiego dziecka, kiedy była sama tak długo. Nie miała pojęcia, jakie to może być męczące. Kiedy odchodził, często szła nad spokojne ogrodowe jezioro, by zmyć go z siebie w chłodnej wodzie, marszczącej się jak podkasana suknia. Twarde, okrągłe kamyki pod bosymi stopami niosły jej pociechę – zawsze je miała, i jezioro, i trzciny, i stukające pałki, i księżyc, i gwiazdy, by gładziły ją do snu. Myślała o chłopcu, jak niecierpliwie na niego czekała, ilekroć czerwone słońce opadało za granatowce, jak często czuła się pusta, gdy odchodził, jak malowany wazon, z którego wylano wodę na kamienne płyty. Tak łatwo za kimsz tęsknić, myślała, gdy nigdy wcześniej za nikim się nie tęskniło.

Dobrze znała swoje historie, nie utraciła ich, gdy mu je opowiedziała – powtarzała je sobie bez końca. Wciąż należały do niej, wciąż były jej własne. Ale kiedy słowa opowieści opuszczały jej usta i wpadały w jego uszy, stawały się jakby cielesne, wiły się niczym ślimaki w skorupkach. Gdy samotnie szeptała te opowieści powierzchni sadzawki albo gęstwie jeżyn, słowa były cienkie i wystrzępione jak trzepocząca na wietrze

podarta, za duża na nią suknia. Była szczęśliwa, widząc, jak nabierają ciała – i to też wciąż sobie powtarzała.

Stojąc po pas w jeziorze, zwróciła twarz ku gwiazdom i cieniom listowia, które spadało z jesionu. Wszystkie liście były szare w mroku, czerwień i złoto wyciekły z nich jak treść z opowieści. Dziewczynka zanurzyła głowę, jeden raz, drugi – dawno temu przestała się modlić, że czarne znaki znikną, dadzą się zmyć. Wiedziała, że jutrzejszego wieczora będzie wypatrywać chłopca, ale teraz czuła, jakby jej odsłonięta dusza rozpełzała się po świecie niczym lśniące macki, niczym węże z kosza, więc zgarnęła je znowu w srebrne światło.

Kiedy się wynurzyła dla zaczerpnięcia tchu i jezioro wypłynęło z jej oczu, w pewnej odległości od obrzeżonej fiołkami wody spostrzegła postać w bieli, i nie był to jej chłopiec.

Była to Dinarzad.

Włosy płynęły za nią niczym cień znacznie wyższej kobiety, gdy bosy stąpała po trawie. Czyżby straciła rozum? Takie zachowanie nie przystoi nienagannie wychowanej amirze. Ale wydawała się spokojna, nie płakała ani nie darła włosów, tylko lekko dotykała drzew, jakby czegoś szukając. Wreszcie zobaczyła dziewczynkę w wodzie, na wpół zanurzoną niczym lamia albo syrena, i zamarła w pobliżu drzewa pomarańczowego, które wciąż lśniło zielenią w lesie nagich gałęzi. Dziewczynka nic nie mówiła – wiedziała, że gdy ktoś po raz pierwszy zbliża się do dziwnego stworzenia, nagły ruch może je spłoszyć albo rozwścieczyć, a skoro nie chciała przestraszyć gęsi w rękach, z pewnością nie chciała przestraszyć księżniczki.

Dinarzad otworzyła ciemne usta i tylko pisnęła. Spróbowała raz jeszcze, jej głos się oczyścił jak zimowe niebo. – Chciałam usłyszeć... Chciałam posłuchać...

Skoczyła jak łania przed strzałą. Dziewczynka patrzyła za nią, nie wiedząc, co mogłaby zrobić, żeby amira została. Nigdy nie próbowała zmuszać chłopca, by został, gdy zaczęła opowieść. Był wierny w naturalny sposób, jak pies myśliwski o lśniącej sierści.

Tak więc nie była zaskoczona, gdy następnego wieczora znalazł ją w pobliżu obrośniętych mchem kamieni – spodziewała się tego, spodziewała się i oczekiwała, choć to ją wiele kosztowało. Przyniósł jej okrągły ser i kawałek ciasta. Szeptali i jedli, jak zawsze, dopóki niebo nie szerniało, kiedy znów mogła zacząć opowieść tajemnie i bezpiecznie.

– Chcę usłyszeć więcej! – krzyknął chłopiec, z podnieceniem klaskając w ręce. – Dinarzad nie odzywała się do mnie przez cały dzień – to było jak święto! Powiedz mi, jak uciekli!

Dziewczynka uśmiechnęła się łagodnie i odetchnęła głęboko, otwierając swoją opowieść jak relikwiarz pełen świętych kości.

– Siódemka był pewien, że nie krzyknie, kiedy stempel spadnie na jego rękę. Chciał być dzielny i niezłomny, stoicki i wierny...

OPOWIEŚĆ O DWUNASTU MONETACH, CIĄG DALSZY

Wrzasnąłem. Oublietta całym ciężarem ciała nacisnęła na stempel, który uderzył mnie w pachę, miażdżąc skórę, kości i krew. Nie odciął ręki za pierwszym razem i jęczałem, stękałem jak rodząca kobieta, gdy podniosła stempel i opuściła go znowu. Chyba zemdlałem, bo pamiętam, jak się ocknąłem, gdy zaciskała na kikucie pas oddarty z sukni jednego z trupów. Zniosła odciętą rękę do najgorętszych części maszyny, jarzących się żłowrogą czerwienią, i pewnie znowu wrzasnąłem. To cud, że nas nie przyłapano – ale przecież dzieci często kwilą przez sen, często krzyczą, często płaczą. Może powinienem się zgodzić, żeby ona poświęciła kończynę. Oublietta by nie krzyczała.

Pamiętam, jak patrzyłem na odciętą rękę, która kiedyś była częścią mnie, moją własną, teraz straconą na zawsze. To były moje palce, palce, które ścisnęły pióra i kabłąki wiadra, krowie wymiona i ogryzki jabłek. To była moja dłoń z liniami, które przepowiadały kto wie jaką przyszłość. To moje ciało z mozołem przepuściliśmy przez tryby Mennicy, to moją krew wachaliśmy, gdy zwilżała maszynę, gdy obracaliśmy koła i ruszaliśmy tłokami, ona oburącz, a ja jedną ręką. To moje ciało zachręściło pod ostatnim stemplem, to moje ciało wyłoniło się

z otworu na końcu kopulastej maszyny, z otworu w kształcie rozciągniętych w uśmiechu ust zębatego upiora.

Dwanaście monet, bladych i okrągłych, z czystej, lśniącej kości. Wszystko, co mieliśmy na świecie, nasz cały dobytek z mojego własnego ciała, jak wilgotne owoce obrane ze skórki.

W czasie południowego posiłku znaleźliśmy Vhummimeę. Patrzyła, jak jedna z dziewczynek zjada przejrzyste turmaliny niczym pierwsze wiśnie lata. Gładziła się po szyi. Głaskała diamentowy brzuch pod łachmanami. Przykleiliśmy do twarzy nasze najlepsze uśmiechy i przywołaliśmy ją do nas. Nawet nie zauważyła braku ręki – tyłu z nas było okaleczonych, kolejne zranienie nie wydawało się dziwne.

– Chcemy odejść, Vhummimo – oświadczyła Oublietta stanowczo.

– Jestem pewna, że chcecie, maleńcy. Było zupełnie inaczej, gdy Szpik stanowił centrum świata i nikt nie chciał go opuścić, dopóki nie napełni kieszeni lazurytem, a ramion kobietami. Ale musicie wiedzieć, że nie mogę wam pomóc.

– Nie chcemy twojej pomocy – syknęła moja przyjaciółka. – Jesteśmy teraz obywatelami Szpiku. Płaciliśmy podatki, spełniliśmy nasz obywatelski obowiązek. I mamy prawo handlować jak wszyscy inni.

Vhummima przekrzywiła głowę, jej sinawe włosy spadły na twarz niczym lniane sople.

– Nie macie pieniędzy, najdrożsi. Nie macie ani jednej dhheiby. Co można kupić za powietrze?

Oublietta wyciągnęła naszą sakiewkę. Ja, wciąż słaby i blady, upuściłbym monety na zaśmieconą podłogę. Ona wyłuskała je na dłoń, aż spiętrzyły się wysoko, i podniosła – sześć, tylko sześć

monet na drżącej ręce, żeby kupić nam życie. Córka handlarza zbożem była dość mądra, by zatrzymać coś w zapasie na wypadek, gdyby Pra-Ita podniosła cenę. Vhummima oblizwała wargi bezbarwnym językiem.

– To nie wystarczy nawet na rubinowe śniadanie – powiedziała, ale nie odwróciła oczu. Obie na długą chwilę zwały się wzrokiem, targując się w milczeniu bez mego udziału. Wreszcie nadzorczyńni przemówiła, a jej szkliste oczy zapadły się w czaszce.

– W czasach gdy jedliśmy wszelkie możliwe rzeczy, wysoko ceniliśmy najrzadsze transakcje, nawet jeśli chodziło o wymianę gałązki na pióro – gdy gałązkę sprzedawał jednooki mężczyzna, a pióro kobieta z brodą, to zwało się sukcesem. Żaden robotnik nigdy nie wysunął takiej propozycji, dlatego ją przyjmę w imię starego Asaadu. Odejdziecie pod osłoną nocy. Zaczę się chwalić swoim sukcesem dopiero po waszym odejściu, bo może wymiana zostanie uznana za mniej rzadką, niż myślę, i czeka mnie kara.

Zgodziliśmy się. Wzięła monety długimi, pajęczymi palcami. Zamknęła kość w dłoni z czią i z dziwnym kocim pomrukiem zadowolenia.

– Tak właśnie było – mruknęła – w czasach kiedy handlowano wszelkimi możliwymi rzeczami, a czerwony jedwab falował wysoko nad Asaadem. Taki był smak handlu, delikatny, wyborny i słodki. Pamiętam, czułam go długo po tym, jak nie mogłam smakować niczego innego, wspomnienie utraconego Szpiku, który zwany był Szadukiamem w dniach teraz martwych i zimnych.

Zamknęła oczy i spojrzała, nie unosząc powiek, w górę przez dziurawy dach. Jej szare gardło lamentowało z żalu i tęsknoty.

OPOWIEŚĆ O PRZEPRAWIE, CIĄG DALSZY

Wiatr zerwał się nad wodą. Powierzchnia jeziora była matowa i płaska, szara jak oko panny, i tylko wokół promu tworzyły się i rozbiegały szybkie zmarszczki.

– Przypuszczam, że Szpik to odpowiednia nazwa dla nich teraz – mruknął Siódemka. – Ich nowe powołanie jest w każdym razie lepsze niż stare.

Idylla zachichotał i poruszył ramionami. Z zadumą pogładził garb na plecach.

– Szadukiam był niegdyś cudownym miastem, chłopcze, te róże, które wpadają przez drzwi Mennicy, okrywały je całe kopułą kwiatów. Były tam srebrne wieże i diamentowe wieżyczki. Były tam kobiety w purpurze i mężczyźni w szkarłacie. Miasto pachniało algami i złotem. Nie mów o czymś, czego nie wiesz.

– Wiem dość o tej cuchnącej, wietrznej dziurze! – rzekł Siódemka zapalczywie. Jego oddech tworzył mgiełkę w lodowatym powietrzu.

– To, że znasz trupa, wcale nie znaczy, że znałeś człowieka.

Popadli w gęste jak wełna milczenie. Siódemka postawił kołnierz jedną niezdarną ręką i patrzył gniewnie jak chmury kłębią się i zbijają na północnym nieboskłonie, nie ciemne,

jakie powinny być chmury deszczowe, lecz blade. Gromadziły się, wielki kłęb bieli podobny do bawełny byle jak nawijanej na wrzeciono.

– Nadciąga burza – rzekł Idylla cicho. – Dziś wcześnie. Nie wiem, czy zdążymy dotrzeć do lądu, zanim się rozpęta.

– Przeżyłem już burze, starcze.

– Nie wątpię, taki dzielny człowiek. Ale burze na jeziorze są zupełnie inne.

– Jestem dzielny – burknął Siódemka. – Gdybym nie był, nie byłoby mnie tutaj. Piłbym parujący cydr przy kominku w zbudowanym przez siebie domu, miałbym dzieci. Zamierzam ją uratować. Ona mnie ocaliła. Ratowaliśmy się wzajemnie, od czasów Mennicy. Co innego mogę zrobić?

– Nic, synu – odparł sędziwy przewoźnik, tym razem z łagodnością w głosie. – Nikt, kto przecina tę wodę, nigdy nie ma innego wyboru. – Dźgnął tyczką muliste dno. Gdzieś w dali krzyknął ptak, mewa albo kormoran.

Siódemka uznał, że drzewa są znacznie bliżej, że pod nimi lśni srebrna linia plaży, ale kołysanie promu przyprawiało go o mdłości, a palce wiatru drapały mu oczy. Niebo opustoszało, nie widział już słońca i pomyślał, że czuje zapach śniegu. Ostry głos Idylli przeciął jego myśli.

– Powiedz mi, ile tych strasznych starych monet ci zostało?

– Jedna – odparł młodzieniec. – Zachowałem dwie. Jedną, żeby mnie do niej zabrać, drugą, żebyśmy mogli wrócić. Zachowałem ich dość dla tego celu, dla niej. To wszystko, co mi zostało.

– Co znaczy, że pozostałe cztery wypełnią opowieść, zanim zagłuszy cię wrzask burzy i nie będzie miejsca na rozmowę w białej wichurze.

Siódemka skinął głową i kaszlnął chrapliwie.

– Cztery. Cztery monety dla kaleki i potwora, żeby wyruszyć na drogi – tylko to było za granicami Szpiku, gdy Vhummina przebiła dla nas mur z ości na skraju miasta. Drogi, brukowane i bite, wyłożone kocimi łbami, malowane i ceglane. Poszliśmy jedną, mogliśmy pójść każdą, ale poszliśmy tą jedną, i teraz płynę do niej po samotnym jeziorze, do niej, mojej siostry i przyjaciółki...

OPOWIEŚĆ O DWUNASTU MONETACH, CIĄG DALSZY

Wybraliśmy drogę i po raz pierwszy od siedmiu lat złote słońce, wiszące na niebie jak piłka, grzało naszą skórę. Zrobiliśmy się czerwoni. Jedliśmy jeżyny i orzechy rozbijane płaskimi kamieniami. Nie pracowaliśmy. Pływaliśmy w błękitnych rzekach i chlapaliśmy się wodą. Pływaliśmy i patrzyłem na jej nagie ciało pomykające w zimnej, czystej wodzie, nadal nie widziałem w nim piękna. Widziałem tylko piękno ukryte pod skórą dhheiby.

Wędrowaliśmy długo.

Mogliśmy odszukać nasze domy albo znaleźć domy, które odpowiadałyby nam teraz, ale za obopólną zgodą unikaliśmy miast. Trzymaliśmy się zielonych sadów jak lisy i ssaliśmy słodkie sowe jaja. Jabłka zaczynały pęcznieć z nastaniem jesieni, gdy napotkaliśmy pierwszych podróżnych na naszej drodze. Jestem pewien, że oboje wyglądaliśmy jak dzicy. Długie, kruczoczarne włosy obejmowały twarz Oublietty niczym szorstkie ręce, a moje były jeszcze dłuższe. Nie mieliśmy lusterek ani nożyczek. Byliśmy godni pożalowania, choć spasieni jabłkami i udkami królików, gdyż umieliśmy je łapać dość wprawnie. Po agatach i jaspisie miękkie mięso i chrupkie owoce były dla nas cudem, więc wciąż ich łaknęliśmy. Tak więc,

kiedy usłyszeliśmy wóz grzechoczący na drodze, byliśmy w łachmanach i bosy, ale tłściejsi niż kiedykolwiek wcześniej.

Dwa wielkie koła piętrzyły się wysoko, pomalowane na niebiesko i usiane srebrnymi gwiazdami. Pomiedzy nimi wisiał niewielki wóz ze spiczastym cygańskim dachem i okrągłymi oknami. Miał drzwi po obu stronach i wydawał się dość przestronny; zapewne przyjemnie było siedzieć wewnątrz i patrzeć na obracające się szprychy. Ciągnął go niski człowiek ubrany na zielono – rajtuzy, dublet, ładna pelerynka i kapelusz, i wszystko to zieleńsze od skórki jabłka. Miał włosy koloru żółtek i szczupłą, życzliwą twarz. Jego nogi, od kolan w dół, były smukłymi nogami raczej ciemnobrązowej gazeli, a zielone rajtuzy kończyły się tuż nad sierścią miedzianą sprzączką, dość starą, by sama także lekko zzieleniała. Oublietta i ja patrzyliśmy na niego z rozdziawionymi ustami.

– Dzień dobry, maluchy! Jak wam się podoba ten gładki dzień? – zagadnął, dygając na patykowatych nogach. Nie puścił długich niebieskich dyszli. Jego głos przypominał śpiew drozda. Uśmiechnął się, a zęby miał drobne, jasne i ostre jak lis.

– Dzień... dzień dobry – powiedziałem. Oublietta mocno trzymała mnie za rękę.

– Macie szczęście, że nasze ścieżki się skrzyżowały, urwipołcie! Widzę, że brakuje wam cywilizacji, a sztuka jest akuszerką cywilizowanej duszy. Jesteśmy aktorami i minstrelami, śpiewamy pieśni i dajemy przedstawienie, jesteśmy katamitami i kastratami, najświetniejszymi, najbystrzejszymi i najlepiej odzianymi ze wszystkich. Za monetę pokażemy wam świat na naszej scenie, za dwie nauczymy was, jak jest on urządony. Jestem Taglio – żongler,

tancerz, eunuch, akrobata i pomysłodawca dekoracji, i znakomity rycerz z wózka.

Przedstawiliśmy się nieśmiało, ale ręce żadnego z nas nie sięgnęły do ukrytej sakiewki. Nie mogliśmy wydawać mojego ciała na popisy tego kolorowego człowieka, nieważne co obiecywał. Uśmiechał się do nas promiennie, patrząc roziskrzonymi zielonymi oczyma. Gdy przyjrzeliliśmy się bliżej wozowi, zobaczyliśmy, że srebrne gwiazdy są kawałkami blachy zawieszonymi na kołach. Farba miejscami była wytarta, zaskakująco ciemny, żywy kobalt obrócił się w blady turkus. Mimo wszystko wyglądało to bardzo ładnie, a gwiazdy podzwaniały na wietrze.

– Nie chcielibyście obejrzeć tańca? – zapytał śpiewnie, przeskakując z nogi na nogę. – Mała scenka, może „Księżniczka i jej wierny kot”? Może „Huldra, Byk i Drzewo”? – Oublietta drgnęła, zaskoczona, lecz Taglio mówił dalej: – Albo coś bardziej dorosłego, stosowniejszego dla dwóch szlachetnych młodych istot? „Morderstwo króla Ismaila”? „Gwałt na Amberabadzie”? „Seraj syren”? A może tylko piosenka, sztuczka karciana, moneta wyciągana z ucha? Jesteśmy elastyczni, jesteśmy ulegli, przyjacielscy i życzliwi, bo wszyscy muszą być tacy w dzisiejszych czasach. Jesteśmy spragnieni wróblích jaj i jagodowej nalewki, sprzedamy nasze talenty za tę rozsądną zapłatę.

Z jednego z niebieskich okien wysunęła się wielka czerwona łapa. Przeciągnęła się leniwie, wysuwając i chowając szkarłatne pazury.

– Kto tam jest, Taglio, mój kochany? – niski głos popłynął zza zasłon z ptasich skórek. Był warkliwy, ale nie nieprzyjemny, jak pocieranie futrem o ziarno.

– To moja pani i moja partnerka, druga połowa nas, moja menażeria, moja muza, moje straszdyło, moja ukochana! – zawołał zielony człowiek, wreszcie kładąc długie dyszle na nakrapianej ziemi. Z galanterią otworzył okrągłe jak księżyc drzwi malowniczego wózka.

Z wózka wysiadła mantykora.

Teraz to wiem, ponieważ uprzejmie pokazała mi wszystkie części swego ciała, objaśniając ich pochodzenie i zastosowanie, ale wyglądała cudacznie i wtedy nie mógłbym jej nazwać nawet za sto kościanych monet. Była lwicą. Miała sierść czerwoną jak liście i lśniącą od olejów, ale kobiecą głowę. Arystokratyczną twarz z ogromnymi niebieskimi oczami, niebieskimi jak wózek, okalały szorstkie włosy w odcieniu futra. Nastroszone jak grzywa, spływały na jej muskularne barki na podobieństwo wytworzonego szala. Gdy wyszła z wózka, ujrzeliśmy jej ogon – ogon wielkiego węża, nakrapiany zielenią jak stara miedź, pokryty łuskami i chropowaty. Na końcu sterczało żądło skorpiona, twarde i lśniące niczym pancerz żuka.

– Grotteschi Czerwona – przedstawił ją Taglio – aktorka, bestia, mezzosopran!

Mantykora skromnie skłoniła głowę. Policzki miała rumiane, kości pod nimi wyraziste i piękne. Dostrzegłem coś dziwnego w zarysie jej szczęki, szerokiej i mocnej. Usta, wyraziste jak maźnięcie krwią, nie domykały się szczelnie, jak zepsuta pozytywka dziecka. W szczęce tkwiły trzy rzędy ostrych żółtych zębów.

– Nie posłuchacie jej śpiewu? – pytał Taglio. – Każda pieśń warta jest pięć razy więcej, niż możecie zapłacić, przysięgam na moje *absentia*. – Oublietta pytająco uniosła brew, a człowiek-gazela uśmiechnął się szeroko. – Eunuchowi brakuje pewnych

rzeczy, innych zaś ma tyle samo. Te, których nie posiadam, są naturalnie nieobecne, dlatego w grzecznym towarzystwie zwię je *absentia*. Należy nam wybaczać nasze drobne ekstrawagancje. Jeśli usadowicie się na murawie – poduszce odpowiedniej dla panów i dam o dwakroć wyższej od naszej łącznej pozycji – opowiem wam coś, co powinno was zadowolić. Pierwszy smak zawsze za darmo. Mantykora przewróciła jasnymi oczami.

– Jak mają zdecydować, czy chcą zobaczyć całe widowisko, jeśli nie poznają smaku? – dodał Taglio.

– Zaczynaj zatem i nie przychodź do mnie ze skargą, gdy znowu myszy dostaniesz na obiad – fuknęła czerwona bestia.

Taglio błysnął ostrym, lśniącem uśmiechem, w szybkim rytmie postukał w ziemię kopytkami i rozpoczął opowieść.

OPOWIEŚĆ O EUNUCHU I ODALISCE

Śpiewajcie, och, śpiewajcie o wdzięcznych gaselli! Zwinne i lotne są ich czarne stopy, słodkie są ich poświstujące pieśni! Żaden pasterz nie jest bardziej oddany stadu niż my, żaden świetlik nie jest równie szybki na wietrze, żadne melodie nie są lżejsze, żadne wiersze radośniejsze niż nasze – niż nasze! – na cętkowanych owcami polach stron ojczystych!

Jesteśmy uosobieniem wdzięku, gramy na fletach z kozich rogów, doglądamy ognia na polach, gdzie zwieziono snopki siana. Ale rozświeć swój obóz, a my skupimy się w pobliżu, stukając kopytkami w takt twojego bębna, stukając kopytkami do melodii skrzypiec napędzanych winem! Ale roznieć płomień, a zobaczysz, jak skradamy się od naszych owiec i naszego bydła, skradamy się od mleka i naszego mięsa, skradamy się od rosy i wilgoci, od wirowania i zawrotów serca, od sporyszu na życie, na pszenicy, na złotym, połyskliwym ziarnie!

A jeśli rankiem zobaczysz, że twoja żona zniknęła, jeśli rankiem zobaczysz, że twój brat uciekł, to nie nasza wina – jesteśmy tylko zwierzętami i słuchamy naszej zwierzęcej natury, jak ty, jak wy, inaczej nie byłoby ognia ani wina, ani pieśni do młócenia rozumu, ani wirowania, ani kołowania, ani zarzynanych owiec meczenia – i jak wtedy wyglądałoby nasze życie? Tak, zabieramy paru, lecz co dajemy w zamian? Macie ogień, wino i pieśni w pamięci, wirowanie, kołowanie i

pięknych dziewcząt beczenie – dajemy wam tyle dobrego, ile zabieramy.

Tak, śpiewajcie dla gaselli. Są moim ludem, a jesteście dobrymi śpiewakami. Polujemy na obozowe ogniska w naszych zadrzewionych dolinach. Czy tańczymy? Czy śpiewamy bardziej słodko niż brzdąkająca wiejska harfa? Możecie być tego pewni. Czy jesteście gibcy i zwinni, czy nasze twarze są piękne, czy całujemy jak poeci myślą, że całują? I czy rankiem brakuje paru z was? Tego też możecie być pewni. Po zieleni powinniście nas poznać, po naszych zielonych płaszczach i zielonych spódnicach, które wloką się za nami, żeby tylko ci, którzy umieją patrzeć, mogli dostrzec czarne lśniące kopytka. A jaki los spotyka tych paru szczęściarzy, których nigdzie nie można znaleźć o wilgotnym, popielatym świecie?

Wszystkie stworzenia pod Gwiazdami muszą jeść, moi drodzy.

Jesteśmy pasterzami – zjadanie owiec, którymi się opiekujemy, byłoby wstrętne, nieprawdaż? Zjadanie bydła i kóz byłoby nieprzyzwoite! Jak można choćby sugerować coś tak obmierzłego? Jak śmiecie bodaj pomyśleć o takim wynaturzeniu?! Precz, bo poznacie smak mego kopyta!

Ale zaczekajcie. Może był kiedyś gaselli z apetytami jak te, którym hołdujecie. Może był taki, który nie lubił smaku dziewczęcego ciała, a jeszcze mniej żylastego cygańskiego chłopca. Może uważał, że mięso jagnięcia i pieczonej krowy jest pożywne i słodkie, może wolał kozinę, soczystą i miękką w jego drobnych białych zębach. Może zwał się Taglio, może stoi przed wami. I nietrudno wyobrazić sobie, że po latach sekretnych posiłków i udawania na ucztach, udawania, że ogryza ludzkie

kości albo chłepcze krew prosto z rany, został przyłapany na zjadaniu jagnięcia, które zmarło z zimna. Biedny gaselli błaga o wybaczenie! Wprost nie do wiary, jak przyłapano mnie w trakcie ucztowania.

Przydybała mnie krowa. Jestem pewien, że wyobrażenie krowy nie nadweręża umysłu. Ale jaka to była krowa! Krowa wielka jak stodoła, z oczyma bezdennie czarnymi i lśnącymi pięknie niczym przestrzeń pomiędzy dwoma płomieniami. Boki miała brązowozłociste, gładkie i muskularne, z bielą dziewczęcia, bielą śniegu, bielą wełny na skórze pod spodem. Racice miała brązowe, wymię pełne i twarde jak księżyc, nozdrza rozdęte jak trąbki, pierś nadzwyczaj szeroką. Mimo to, przysięgam, stąpała po trawie bezszelestnie, z wdziękiem wyszkolonego rumaka, a jej kopyta paliły ziemię, wzbijając westchnienia pary.

Było w niej światło, prawdę mówię. Nie był to żar, tylko blask płonący w niej jak kształt drugiej krowy. Upadłem przed nią na kolana.

– O Wielka Jałówko z Nieba! – krzyknąłem, poezja mnie bowiem nie opuściła. – Przybyłaś ukarać mnie za pożeranie twoich dzieci! Ale były słodkie, ja zaś jestem słaby!

Popatrzyła na mnie spokojnie. Kiedy przemówiła, jej głos wibrował w mych kościach.

– Ja jem. Dlaczego ty miałbyś nie jeść?

– Bo gaselli zjadają tancerzy, nie stada. Zjadamy pijaków niemogących trafić do domu przez jezioro, nie biedne, bezbronne krowy, które nie wiedzą, gdzie jest ich dom.

– Ja wiem, gdzie jest mój dom.

– I przypuszczam, że nie jesteś bezbronna!

– Nie mam rogów mojego brata, lecz to mnie nigdy nie trapiło. Nie mam też jego serca. Porzuciłam swoją kryjówkę, żeby posmakować słodko-słonej trawy i posłuchać muczenia zwierząt, bo są dla mnie jak chłodna woda wylana na czoło po długim zamknięciu w kamieniu i w ciemności. On nigdy nie interesował się trawą.

Śpiewaj o gaselli! Ale śpiewaj również do nich – bo kochamy opowieści, a one kochają nas. Wtedy ją poznałem i zrugalem sam siebie, że nie rozpoznałem jej wcześniej. Czyż nie opowiadałem o Aukai, Mlecznej Gwieździe, która jednym kłapnięciem szczęki przemienia byki w woły? Czyż sam nie opowiadałem o szalonych mnichach kastratach, żeby straszyć cielęta w żłobku? Padłem na kolana, na swoje małe, kudłate kolana przed jej wielkim lśniącym obliczem – piękniejszym od każdej tańczącej dziewczyny w czerwonym szalu i w niebieskich pończochach. Jej światło mnie napełniło – ledwo widziałem, oślepiiony blaskiem!

Może nie jest właściwe wyjaśniać, jak mężczyzna się wzrusza. Może powinien zachować dla siebie logikę światła, krwi i niebios, zamkniętą w głębi duszy na łańcuch, strzeżoną przez szczekającego psa. Może wystarczy powiedzieć, że mężczyzna o wdzięcznych stopach i jeszcze wdzięczniejszym języku byłby oniemiał, oślepiony przez promienność krowy, zdjęty wstydem z powodu zjedzonych przezeń, a podobnych do niej stworzeń, zdjęty podziwem dla najmniejszego cienia rzucanego przez jej ruchliwy ogon. Czy nawet minstrel o najszybszych palcach może nakłonić harfę ze strunami z baraniego jelita, by opowiedziała, czym jest uniesienie? Jestem minstrelem o najszybszych palcach, a jednak tego nie potrafię.

Co jej powiedziałem? Przysiągłem różne rzeczy. Mamrotałem jak zbłąkana owca. Że chcę dołączyć do tych, którzy kaleczyli się na jej cześć, dla jej miłości. Że przyjmę karę, jakiej odmówił jej brat. Że jeśli raczy mnie dotknąć, umrę za jedno jej muczenie. Trudno to wszystko spamiętać, ekstaza mąci rozum. Zanim mogła mnie odtrącić – czy mogła? Nie pozwoliłbym na to! – wyjąłem nożyce do strzyżenia owiec i poniosłem jego karę tam, na długiej trawie. Moja krew zmieszała się z krwią stada i z jej światłem, z jej mlekoświatłem, kładąc się na mnie jak wybacząca dłoń. Ból był rozdzierający, żłobiący, ostrzejszy niż wbijanie hufnali, i moje zielone spodnie nagle poczerwieniały – ale jej światło spowijało mnie i wypełniało, a srebrne śpiewanie w mej głowie zagłuszało ból, srebrne, wełniste śpiewanie, które uciszyło wszystko poza sobą, srebrne, dzikie i wełniste śpiewanie, którego nie zapomnę do kresu moich dni u dyszla wózka.

Leżałem pod nią w kałuży krwi. Patrzyła na mnie, spokojna jak bezchmurne niebo. Zamrugowała.

– Jakże smutnymi, dziwnymi jesteście stworzeniami. – Westchnęła i odeszła ciężkim krokiem na niewysokie wzgórza, osmalając chwasty.

Może byłem pochopny. Może byłem głupi. Ale i tak nigdy nie lubiłem Cyganek. Wiara jest zawsze żenująca o poranku. Inni gaselli odwrócili się ode mnie – jeśli wcześniej byłem utajnionym odszczepieńcem, teraz zostałem zdemaskowany. Odszedłem od nich bez większego żalu. Niech hulają, jedzą i znowu hulają. To mnie nie obchodziło. Ale w szerokim świecie, który nie cały pachnie wilgotną owczą wełną, krowią skórą i

kozią sierścią, stwierdziłem, że eunuch ma ograniczone możliwości.

Nie chciałem zostać szpiegiem, co jest głównym zajęciem mojej, wybaczcie wyrażenie, rasy. Szpiegowanie jest nie lepsze niż niekończące się tańczenie w środku tłumu, który zamierzasz pożreć, i miałem tego dość. Brakowało mi cierpliwości, by intrygować dla kanclerza, skarbnika czy doradcy jakiegoś króla. Skoro o tym mowa, główna działalność mnichów Aukai polega na grzechotaniu swoimi *absentia* w małych cedrowych pudełkach i przechwalaniu się, jak długo wytrzymali, zanim zemdleli z bólu. Nie wydawało mi się to najświętszą z rozrywek. Zgodnie z logiką wybrałem to, co mi pozostało, i ruszyłem na południe przez kwitnące dżungle do krain władanych przez tych, którzy mają haremy. Byłem przecież pasterzem stad, które wyglądały i pachniały znacznie gorzej.

Tak oto zostałem pasterzem kobiet radży, pięknych i różnorodnych niczym tabun koni, rączych i smukłych, czerwonych, brązowych, czarnych i złotych, z włosami skropionymi pachnidłem i przeplecionych perłami, ze skórą jędrną dzięki bambusowym witkom, ubranych w żółte jedwabie, kolor ten bowiem oznaczał, że należą do radży, nie mniej niż krzesło czy but. Oczywiście, moje ubrania też były żółte. Oplakiwałem utraconą zieleń, ale należałem do radży po moje imię i czarne kopytka.

Byłem szczęśliwy – uspokajałem te nowe i drżące, gdy wojny sprowadzały je pod moją pieczę; starsze uczyły mnie grać w karty i żonglować; pośrednie snuły opowieści, jakich nigdy dotąd nie słyszałem. Kobiet było tak wiele, że radza nie mogłaby odwiedzić ich wszystkich, dlatego był nie tyle uczestnikiem

naszego życia, ile duchem, który unosi się w dali. A ja co wieczór miałem do jedzenia jagnię, i kurczaki, i kozy, i przepiórcze jaja, i udźce jeleni. Nikt nigdy nawet nie napomknął, że mógłbym zjeść dziewczynę.

Immacolata nie była nałożnicą ani żoną, ani nawet łupem wojennym.

Była odaliską, co sprawiło, że mnie polubiła. Była panną służącą w haremie. Nie strzegła kobiet – namaszczała ich włosy wonną żywicą i wplatała w nie perły, utwardzała ich skórę bambusowymi witkami i okręcała je w żółte jedwabie. Malowała ich piersi brązową farbą, kiedy wzywano je do komnaty sypialnej, osuszała im łzy i cudnie kaligrafowała na ich skórze, jakby rysowała rzędy wysadzanych klejnotami pajaków. Nosila czerwone jedwabie, czerwone jak moja krew tamtej nocy pod Gwiazdą, i poruszała się wśród innych jak szkarłatny statek po złotym morzu. Nie powiem, że nie obserwowałem jej na tych falach. Przecież nie serce sobie wyciąłem na tej długiej trawie.

Pewnego dnia przyszła do mnie – przyszła do mnie, okutanego w żółty jedwab głupca, do mnie! – i pociągnęła mnie na stronę, na długą złotą otomanę, i posadziła obok siebie. Jej włosy, rzeka dymu, spływały wokół surowych brązowych oczu po bursztynowej skórze. Była w kolorach drogich herbat, ciemna, złota i lśniąca. Nie miała pereł w warkoczach.

– Widziałeś nową żonę? – zapytała niskim głosem żelaznego rogu.

– Nie, nie wiedziałem, że ma przybyć.

– Ja ją widziałam. Nie mieszka z nami. Ale jeśli zależy ci na opuszczeniu tego miejsca jak mnie...

– Dlaczego miałbym chcieć odejść? Postanowiłem nosić żółte jedwabie i grać w karty ze starymi żonami.

Immacolata spojrzała na mnie, jakbym był szalony. Szeroko otworzyła oczy i mogłem zobaczyć oleiste złoto, którym pociągnęła rzęsy.

– Myślałam, że jesteśmy podobni – rzekła cicho.

– Jesteśmy podobni! – Niemądrze chwyciłem ją za rękę. Wyrwała je.

– Nie, nie. Pragnę opuścić to miejsce bardziej, niż w dzieciństwie pragnęłam zostać ptakiem albo, gdy dorosłam, opanować sztukę parzenia herbaty...

OPOWIEŚĆ O HERBACIARZU I SZEWCOWEJ

Nie pamiętam, że zostałam zrobiona z herbaty. Moja matka opowiedziała mi tę historię, a potem ojciec mi ją opowiedział, i była to ta sama historia, więc jestem pewna, że mówili prawdę albo przynajmniej że ją uzgodnili.

Saffija była szewcem i mieszkała w warsztacie z miedzianym dzwonkiem nad drzwiami i z kołatką w kształcie podeszwy. Nie była piękna – ale wśród jej butów żadna kobieta nie mogłaby zalśnić. Szyła buty z błękitnego jedwabiu i buty z czarnej skóry, buty haftowane w liściaste lasy i w kwiaty misterne jak odcisk palca. Szyła buty myśliwskie i buty żołnierskie, odpowiednie na wyprawę, i pantofelki do tańca. Szyła buty ze złota i buty ze srebra, buty z futra i buty ze szkła. Szyła maleńkie buciki w kształcie miseczek z wełnianymi bokami i żelaznymi podeszwami dla klientów, którzy mają racice, i robiła na drutach długie skarpety dla tych wężowatych. Szyła buty z trzema palcami dla klienteli latającej i delikatnie formowała żelazo w podkowy. Zrobiła nawet, w ramach eksperymentu, jeden wielki but z miejscem do przebierania palcami, na wypadek gdyby nadarzył się jednonożec. Na tym wielkim bucie drogą fioletową nicią, farbowaną w ślinie pewnego ślimaka,

starannie wyszyła sceny z wyrabiania wina. Jej naj słynniejsze buty, na które jeszcze nikogo nie było stać, stały w oknie niczym relikwia w świątyni. Zrobione z surowego czarnego jedwabiu szytego zieloną nicią, miały podeszwy tak delikatne, że nie śmiały szeptać na wysypanej żwirem podłodze. Wzute na nogę, podobno pozwalały poznać marzenia Saffii. Ona sama wśród swoich butów była brzydka i zapracowana, jej włosy miały kolor skórzanych sznurowadeł, oczy odcień wytartych podeszew.

Elpidios był herbaciarzem i mieszkał w herbaciarni, niewielkim domu krytym strzechą z trawy, z długimi rzędami krzewów herbacianych z przodu i z tyłu. Nie był piękny – ale wśród jego herbat żaden mężczyzna nie mógłby załsnąć. Robił zieloną herbatę, która smakowała ciepłym sianem i światłem słońca, czarną herbatę, która smakowała dymem i cukrem, czerwoną herbatę, która smakowała cynamonem i krwią, żółtą herbatę, która smakowała kadzidłem i korzeniem mleczu. Robił delikatną białą herbatę, która smakowała jaśminem i śniegiem. Robił zimową herbatę z ostatnich uschłych liści i gałązek, i ta smakowała chlebem i żalem. Robił herbaty z kwiatów wiśni i płatków chryzantem, z róży i lotosu, ze skórek pomarańczy i z magnolii. Niektóre smakowały lekko i słodko, jak chmury płynące od słońca; inne smakowały korzennie i mrocznie, jak grube pierniki. Jego naj słynniejsza herbata, na którą jeszcze nikogo nie było stać, została zmieszana z liści białej herbaty, fiołków i jednego czerwonego liścia. Była to herbata, która miała smak jego snów, i Elpidios drogo ją cenił. Wśród swoich herbat był brzydki i zapracowany, jego włosy miały kolor czerwonej herbaty, a oczy odcień wilgotnego listowia.

Zdarzyło się pewnego dnia, że herbaciarzowi zabrakło butów, a szewcowa zapragnęła herbaty, i tak się spotkali. On dopasował buty na jego nogi, on dopasował herbatę do jej podniebienia. On zaparzył dla niej swoją herbatę marzeń i wstrzymywał oddech, gdy piła. Ona dla niego zdjęła z okna trzewiki z czarnego jedwabiu i zielonej nici, nieczyniące dźwięku na podłodze jego herbaciarni.

Saffija napiła się ciemnoczerwonej herbaty i zawołała:

– Ależ marzyłeś o mnie!

Elpidios wzuł jej buty i zawołał:

– Ależ marzyłaś o mnie!

I tak było.

Minęły lata. Saffija szyła buty, a Elpidios parzył herbatę. Nie dochowali się dzieci. Saffija nie przejmowała się zbytnio, gdyż miała wiele dziecięcych bucików do uszycia bez dodawania własnych, ale Elpidios pragnął mieć córkę. Jego herbata zgorzkniała i nabrała słonawego smaku, i już wcale nie parzył herbaty marzeń. W końcu przyszedł do żony i powiedział:

– Ścieżki świata są cudowne i dziwne. Weźmy moją najlepszą herbatę i uformujmy ją na kształt dziecka. Włóżmy ją do jednego z twoich butów zamiast do kołyski i niech leży w świetle Gwiazd. Kto wie, co się wydarzy?

– Mężu, nie tak się robi dzieci.

– Spróbujmy. I jeśli pozostanie stosik liści bez odrobiny życia, zapomnę, że kiedykolwiek marzyłem o dziecku, znów zacznę parzyć herbatę z białych liści, fiołków i jednego czerwonego liścia.

Łagodna, zrównoważona Saffija wiedziała, że szaleństwo musi się zmęczyć, jeśli ma przeminąć. Uszyła śliczny zielony but z wyhaftowanymi po bokach szkarłatnymi owocami herbaty na

śnieżnym wzgórzu, z małym obcasem z wiśniowego drewna. Na języku z nadzwyczajną troską wyszyła chryzantemę o szesnastu płatkach. Ale kiedy nadszedł czas, żeby Elpidios pokazał swoją herbacianą lalkę, odmówił.

– Brakuje jednego liścia – powiedział i z workiem na ramieniu poszedł na najwyższe wzgórze.

Nie było go przez całą jesień i zimę. Saffija jęła się o niego martwić. Może powinnam uszyć mu mocniejsze buty, myślała. Piła bladą herbatę z suszonej kory brzozy i truskawkowych liści, które jej zostawił, i gładziła śliczny zielony but. W końcu Elpidios wrócił, uśmiechnięty po dawnemu. W rękach trzymał smukły liść koloru księżycy świecącego na otwartą studnię. Powiedział zdumionej żonie, że znalazł miejsce, gdzie rośnie krzew herbaciany dotknięty przez Gwiazdę w pierwszych dniach świata, i teraz jest pewien, iż jego dziecko się zbudzi do życia.

Razem umieścili lśniący liść w środku herbacianej lalki, a lalkę ułożyli w bucie. Postawili śliczny zielony but wśród długich rzędów krzewów herbaty i czekali.

Przez wiele dni nic się nie działo. Saffija dodawała mężowi otuchy, sama bowiem zaczęła mieć nadzieję, że wszystkie dzieci rosną w swoim czasie. Elpidios krążył po swojej herbaciarni. Wreszcie usłyszeli krzyk w rzędach krzewów herbaty, jak bulgotanie wody w czajniku. Razem pobiegli długimi liściastymi ścieżkami i znaleźli małą dziewczynkę kwilącą w ślicznym zielonym bucie.

Ja jednak nie pamiętam, że zostałam zrobiona z herbaty. Pewnie nikt nie pamięta, jak wyglądał świat z wnętrza ich matki.

Żyliśmy szczęśliwie. Codziennie piłam herbatę marzeń, dzięki czemu dowiedziałam się, jak często śnił o mnie ojciec. Gdy podrosłam na tyle, by wzuć śliczne zielone buty, dowiedziałam się, jak często śniła o mnie matka, kiedy ojciec poszedł na najwyższe wzgórza. Nauczyłam się robić herbatę zieloną, czarną, czerwoną i żółtą, i herbatę białą jak stopiony lód. Nauczyłam się wyszywać lasy i kwiaty, a także robić buty ze złota, srebra, skóry i szkła. Z czasem moi rodzice zmarli, jak to bywa z rodzicami, i choć byłam bardzo młoda, kiedy to się stało, osuszyłam łzy. Robiłam słynną herbatę i słynne buty i wierzyłam, że jestem szczęśliwa.

Ale tak jak oni nie byli piękni, ja też nie jestem piękna. Gdy zjawił się rajfur z mieczem u biodra i w aksamitnym płaszczu, w ciepłym hełmie na głowie, nie byłam dość piękna do łoża radzy, tylko do jego więzienia z jedwabiu i brązu. Żadnej z dziewcząt w naszej wiosce nie została oszczędzona służba takiego czy innego rodzaju, a mnie uczyniono niewolnicą niewolnic, służką żon i nałożnic. Maluję na ich piersiach, jak kiedyś wyszywałam wzory na jedwabiu. Są nieszczęśliwe, a ja nie wiem, jak je pocieszyć, bo sama jestem nieszczęśliwa. Ale parzę dla nich herbatę marzeń mego ojca; herbatę z białych liści, fiołków i jednego czerwonego liścia, i mam nadzieję, że czują smak mojego marzenia o życiu za tymi murami.

Niedawno podałam tę herbatę najnowszej żonie radzy, z piątym dzieckiem przy piersi. Sypie dziećmi jak jagodami. Jest bardzo piękna w swych białych woalach, a jej czarne oczy są tak głębokie, że zdają się nie mieć źrenic. Jej włosy spadają poniżej talii w długich czarnych puklach i lśnią osobliwie w blasku świec, jak skóra salamandry. Wbijają we mnie te

bezdenne oczy, gdy sączyła herbatę mego ojca, oburącz trzymając złotą filiżankę.

– Współczuję ci – rzekła, a jej głos uderzył mnie niczym kamień, który miażdży proso. – Jeśli jednak nie chcesz zwiędnąć w tym miejscu jak stary liść, przyjdź do mojej sypialni trzeciego dnia nowego księżyca. – Odstawiła filiżankę i przyłożyła ręce do mojej twarzy. Ich lekkość była straszna i cudowna, jak osąd, jak obietnica. Zebrało mi się na płacz w bliskości tej kobiety, jasnej, strasznej, wiecznej, i płakałam, nie zdając sobie z tego sprawy. – Przysięgłam mu, że nie będę podburzać haremu – szepnęła – ale odaliska nie jest żoną, i widzę, że liść, który włożył w ciebie twój ojciec, wciąż się jarzy. Z tego powodu jesteśmy siostrami, a ja nie zniosę, by siostra cierpiała. Powiedz eunuchowi, który cię pilnuje, że Zmieja każe, byś jej usługiwała.

Pocałowała mnie w policzek, a ten pocałunek był delikatny jak śpiew drozda.

OPOWIEŚĆ O EUNUCHU I ODALISCE, CIAĞ DALSZY

– Nie rozumiesz – powiedziała Immacolata. – Dla ciebie ten świat jest przyjemny, niewiele się różni od otwartych pastwisk usianych owcami i końmi. Ale my nie jesteśmy owcami, nie jesteśmy końmi, nie prosiliśmy się o pilnowanie przez pasterza ani zaganianie dla uciechy największego byka.

Jej ostatnie słowa zapiekły mnie jak smagnięcie pejcem – czyż nie wymierzyłem sobie kary wielkiego byka? Zwiesiłem głowę.

– Zabiorę cię do komnaty Zmiei.

Immacolata chwyciła mnie za ręce i jej włosy musnęły moje ramiona. Czerwony jedwab zaszeleścił w zetknięciu z moimi żółtymi szatami.

– Chodź ze mną! Na świecie są lepsze rzeczy, przysięgam. Dlaczego eunuchowi miałoby zależeć, żeby dostarczać skrupowane kobiety pełnosprawnemu mężczyźnie? Nic mu nie jesteś winien – chodź ze mną! Ja obserwowałam ciebie, ty obserwowałeś mnie. Przestańmy udawać, że było inaczej. – Ujęła w dłonie moją twarz. – Wiem, że jesteś gaselli, a jednak nigdy nas nie skrzywdziłeś, nigdy.

Chciałem wyjaśnić, że nie był to akt rycerskości, ale zakryła mi usta ręką w miedzianych pierścieniach bez oczek,

wyrzuconych przez inne kobiety, tanich błyskotkach plamiących jej palce zielenią. Na moich oczach, szeroko otwartych ze zdumienia, przekręciła jeden z nich zębatą oprawą do wewnątrz i przycisnęła go do szyi, aż krew jasna jak jej woale spłynęła na obojczyk. Nie rozumiałem – ale przycisnęła moją twarz do szyi. Otworzyłem usta, żeby jeszcze raz zapewnić, iż nie chcę jej ciała, i krew wsączyła się pomiędzy moje wargi.

Smakowała jak herbata. Ze wszystkich tańczących kobiet w szalach ona jedna miała słodki smak.

Przyjąłem jej dar i jej rękę. Kiedy szła ze mną do wielkich drzwi haremu, dzwonki na jej kostkach śpiewały – i nikt nie zauważył naszego odejścia.

OPOWIEŚĆ O DWUNASTU MONETACH, CIĄG DALSZY

– Zabrałem ją do komnaty Zmiei i to prawda, co mówią, że Zmieja była wielkim węzem pod skórą kobiety, ale nie przejmowaliśmy się tym zbytnio, ja będący na wpół gazelą, a Immacolata w całości będąca krzewem herbacianym. Ucieczka była prosta jak otwarcie okna. Razem poszliśmy na pustkowia, Immacolata i ja.

Oublietta szeroko otwierała oczy.

– Co się z nią stało? Dlaczego nie ma jej z tobą?

Taglio uśmiechnął się dziko i leniwie zatańczył parę kroków.

– Pierwsza opowieść za darmo, druga musi zarobić na swoje wejście w świat.

– Niestety, nie mamy nic, żeby ci dać – powiedziałem ze smutkiem. – Chyba widzisz, kim jesteśmy, biedakami, bogatymi tylko w jeżyny i pył drogi.

– To prawdziwa tragedia – rzekł eunuch z westchnieniem.

– Dokąd zmierzacie? – zapytałem.

– Za wzgórze, dolinę i górę, za rzekę i pustynię, i zapewne znów za kolejne wzgórza i doliny. Idziemy do Adżanabh, gdzie, jak słyszeliśmy, artyści naszej miary są mile widziani – zadudniła mantykora.

Zadrzałem, gdy wsączył się we mnie ten ciepły, korzenny głos Grotteschi. Wymieniłem z Oubliettą spojrzenia. Może jednak nie skończyliśmy z miastami.

– Nie stać nas, by zapłacić za piosenkę ani przedstawienie, ale jeśli przystaniecie na nasze towarzystwo, będziemy podróżować z wami – powiedziałem nerwowo, przejęty jak pan młody.

Taglio zmarszczył brwi.

– Lubimy młode, lecz są drogie w utrzymaniu.

Odetchnąłem głęboko.

– Nie możemy płacić za błahostki, za piosnki, dzwonki i flety, ale jeśli nas weźmiecie, to będzie rzecz dość wielka, by za nią zapłacić.

Oublietta chwyciła mnie za ramię.

– Co ty robisz? – syknęła.

Uśmiechnąłem się do niej. Miałem nadzieję, że mój uśmiech obiecywał zabawy, ciepłe popołudnia i pieśni z nowymi przyjaciółmi, i koniec wilgotnych baraków, koniec papierowych koców. Lekko pociągnąłem ją za ogon, jak zawsze, gdy zaczynała marudzić. Odprężyła się, ale jej ręce pozostały napięte. Ścisnąłem je, a wówczas wyjęła jedną dhheibę z naszej sakiewki. Gaselli i mantykora wzdrygnęli się, lecz nie mogli oderwać oczu od monety. Czułem jej ciężar w mojej dłoni, ciężar własnego ciała. Czy to miała na myśli Vhummima, mówiąc o emocjach rzadkiej wymiany? Zrobiło mi się słabo.

– Za to można kupić armię dzieci dwa razy większych od was – szepnął zielony człowiek. Z powagą wziął monetę – niechętnie się z nią rozstałem – i schował ją w pasie.

– Umiecie śpiewać, zonglować albo grać? Umiecie chodzić po linie? Czy macie interesujące deformacje? – Grotteschi

przerwała krepujące milczenie i patrzyła na nas wzrokiem handlarza oceniającego konie.

– Ja umiem żonglować – powiedziała Oublietta, patrząc w twarz wielkiej lwicy. – Kiedyś miałam śliczną piłkę i dobrze się nauczyłam. I jeszcze... – Odwróciła się lekko, pokazując plecy z kory, i elegancko machnęła ogonem.

Oblicze czerwonej lwicy złagodniało, a usta Taglia rozchyliły się lekko z szoku, gdy ją rozpoznał. Zielony człowiek z galanterią opadł na kolana przed moją przyjaciółką i przyłożył ręce do jej twarzy.

– Och, biedne dziecię Aukony! Czemuś od razu tego nie wyznała? – szepnął.

W taki oto sposób dołączyliśmy do nich na wybranej drodze, która wiodła do jeziora i zimnego, szarego wiatru.

Chcieliśmy iść pieszo, bo pałaliśmy chęcią usłyszenia czegoś więcej o Immacolacie, ale Talio się uparł, że Oublietta pojedzie na wozie z wielką szkarłatną mantykorą i nie będzie trudzić drobnych stóp. Nie chciałem jej zostawić – nigdy nie zostawiłbym jej, przenigdy – więc razem podeszliśmy do podzwaniającego niebieskiego wozu i z ociąganiem wsiedliśmy do środka. Umościliśmy się w zwoju grubego, nakrapianego ogona Grotteschi, jak najdalej straszego zielonego kolca. Ogon okazał się ciepły jak nagrzana słońcem cegła i było nam całkiem wygodnie. Oparci plecami o miękkie, silne ciało bestii, czuliśmy jej puls, powolny i niski jak huk wielkiego bębna.

Grotteschi zwróciła na nas niezwykle niebieskie oczy. Jej kudłate czerwone włosy gęstniały na karku i klatce piersiowej, zakręcając się pod brodą, więc naprawdę wyglądała jak

grzywiasty lew, król stada, tylko że oczywiście miała kobiecą twarz. Polizała sztywne szorstkie futro.

– Chcecie posłuchać o odalisce, tak? I o córce herbaciarza. Wolelibyście iść po twardej ziemi, z księżycem klepiącym was po piętach kościanymi rękami, a nie jechać ze mną na wozie. Taglio myśli, że umie opowiadać, ale pieśni mantykory są sławione przez tych, którzy przeżyli spotkanie i mogą o nich mówić. Poza tym ja też znałam Immacolatę.

Oublietta ostrożnie pogładziła lśniąca sierść Grotteschi. Lwica-wąż zamruczała i jednocześnie syknęła, jej oczy złagodniały.

– Posłuchajcie, drogie maleństwa! I powiedzcie mi, czy nie umiem śpiewać równie dobrze jak gazela...

OPOWIEŚĆ MANTYKORY

Śpiewajcie, och, śpiewajcie o umięśnionych słońcem mentykorach! Grzmiące i lotne są ich szkarłatne stopy, potężnie rozbrzmiewa echem ich ryk! Żaden myśliwy nie jest bardziej cierpliwy niż my, żaden wąż nie jest równie jadowity jak my, żadne warczące skoki nie są łżejsze, żadne długie zęby nie są jaśniejsze od naszych – od naszych! – na usianych krzakami pustyniach stron ojczystych!

Ha! Nie bierzcie tego do serca. Nie śpiewajcie o nas. Nie chcemy waszych pieśni. My będziemy śpiewać, a wy macie słuchać.

Pustynia jest szeroka, biała i sucha jak stara kość. Ogryzamy ją, miażdżymy, wylizujemy do czysta. I śpiewamy, gdy księżyc skacze po piasku jak chuda biała mysz, śpiewamy i słone krzaki płaczą. Oazy falują pod naszym oddechem, gdzie wokół czystej błękitnej wody zbierają się nosorożce, gdzie gepard mruczy i liże sobie łapy, gdzie drzewa upas się kołyszą, zielone i fiołkowe w palących podmuchach wiatru!

Powiedzą wam, że upas jest altaną śmierci. Będą zwać ją drzewem-hydrą i ostrzegać, że jeśli zaśniecie pod nią na jedną noc, możecie się zbudzić, ale nie o poranku znanym człowiekowi. Będą mówić, że trzy setki żołnierzy w brązie i

piórach rozbiły obóz pod upas, żeby napić się wody z czystego strumienia, który płynął pod konarami drzewa, i nim słońce dotknęło palców ich stóp, wszyscy byli martwi i zimni jak kolacja. To śmieszne, to bajka. Ale przypuszczam, że jest w niej ziarnko prawdy, bo upas jest naszą matką, a my mamy w sobie dość śmierci dla każdego. I jeśli żołnierze rozbili obóz pod upas, gdy zrzuca nasiona, to nie wina głodnych kociąt, że znalazły soczystą kolację rozłożoną na piasku.

Spójrz, przechodniu – choć nie z bliska! – na promienną upas, kochankę słońca w jego złotej sypialni, na jej czerwone gałęzie, grube i silne jak zad, cierniste i dziobate, spójrz na jej zielone szpilki zbyt lśniące i sztywne, by rosnąć na spragnionej pustyni. Spójrz na jej owoce, skulone w cienistych rozwidleniach sękatego pnia – jakie są szkarłatne i purpurowe, jakie dorodne i pełne soku! Możesz je tknąć tylko na własne ryzyko, bo te lśniące jagody nie są owocami, tylko jajami, i my w nich rośniemy, w szkarłatnych workach pęczniejących w palącym świetle, pełnych wyjątkowego żółtka upas, które pijemy i pijemy, które napełnia nasze ogony trucizną wystarczającą na całe życie. W końcu rozdieramy cienką jak jedwab skórę i spadamy głową naprzód do wody albo na żołnierzy.

Pamiętam mleko upas. Było słodkie jak jeżyny i krew.

W worku owocowym poznajemy nasze pochodzenie. Pewnego razu, gdy Słońce przeglądał się w lustrze sadzawki w oazie, pewna upas, choć ani najwyższa, ani najpiękniejsza na pustyni, otworzyła swoje konary i zamknęła w nich czerwieniejące promienie dla siebie. Jej drewno się rozgrzało i sadzawka zafalowała. Słońce nie zauważyłoby niczego, gdyby fale nie pomarszczyły powierzchni jego zwierciadła. Wpadł w gniew i spaliłby drzewo za kradzież, lecz owoc pierwszej

mantykory wybuchł tuż przed nim. Słońce uznał, że kocię z ostrymi jak igły zębami, smagającym ogonem i oczami jasnymi jak niebo jest najpiękniejsze ze wszystkich wyobrażalnych stworzeń i natychmiast zaczął uczyć je żądlić, ryczeć, śpiewać i zabijać – nauczył je wszystkiego, co sam umiał. Upas się uśmiechnęła i powiedziała siostram, co mają zrobić, żeby pójść za jej przykładem.

Gdy już spadniemy, trudniej pamiętać to wszystko i wierzyć, że jest prawdą. Ale robimy, co w naszej mocy, by kochać naszych rodziców, i kierujemy modlitwy ku niebu i ku piaskowi.

Niefortunne jest to, że gdy upas nas uwalnia, jesteśmy bezradne, nie groźniejsze niż dzikie rude kocięta albo maleńkie węże, ślepe, mokre i miauczące. Wymachujemy ogonami szybko i gwałtownie w tych pierwszych godzinach, na oślep, bo jeszcze nie umiemy nad nimi panować, kiedy oaza, zasłana orzechami palmowymi i żebrami antylop, chwyta nas w zielono-złote ramiona. Wtedy przychodzą łowcy, jeśli są sprytni, ze srebrnymi czapczkami na ogony, migoczącymi w pustynnym świetle.

Chciałabym wam powiedzieć, że wychowałam się na otwartych równinach, na białej i ogryzionej kości, że rozdzierałam brzuchy lampartów, antylop i nosorożców, że pamiętam, jak smakuje łykowate szare mięso i róg. Chciałabym wam powiedzieć, że Słońce i ja biegaliśmy razem, skacząc na czerwonych łapach nad słonymi krzakami i bladymi chwastami, że przewracałam się na grzbiet na ciepłych czerwonych skałach, wymachując łapami w powietrzu, że drapałam, ryczałam i jadłam, gdy chciałam. Chciałabym wam powiedzieć, że echa nauczyły mnie śpiewać. Chciałabym wam

powiedzieć, że byłam szczęśliwa. I że Słońce stał wysoko na niebie.

Ale przyszli łowcy z małą srebrną czapką, podobną do napastrka ze sprzączkami i rzemieniami. Opancerzeni w polerowany metal, porysowany ostatnimi rozpaczliwymi ciosami niezliczonych kociąt, przywiązali tę rzecz do mojego jadowego ogona. Miotalam się, wzbijając fontanny piasku. Wyłam – wycie to nie tylko wilcza domena. Wyłam i to ich przestraszyło, bo głos mantykory jest straszny, przeraźliwy i słodki, najśłodszy i najstraszliwszy ze wszystkich głosów, jak flet i trąbka grające razem. Nasz głos może ranić jak żądło. Wyłam i zawodziłam, żałośnie tłukąc ziemię bezużytecznym ogonem. Wtedy łowcy wyjęli woskowe zatyczki i zatkali sobie uszy, a mnie zamknęli w bursztynowej klatce, włożyli mi bursztynową obrozę i skórzany knebel, żebym w końcu zamilkła.

Powiedzcie mi znowu, jak śpiewają gaselli. Powiedzcie mi, że ich melodie są najpiękniejsze.

Bursztynowe miasto przyprawiało mnie o zawrót głowy. Niemal omdlałam na wiszących mostach okręconych wokół niebosiężnych cedrów, gdy ziemia kołysała się daleko w dole. Wciągnęli mnie z pomocą poskrzypujących bloczków i ruchomych platform na wilgotnych linach. Wymiotowałam do kagańca i dławiłam się własną żółcią. Zielone gałęzie cięły chmury, kiedy się wznosiłam. Przywierałam do podnoszącej się podłogi i szlochałam w rzemieniach, które wpijały się w moją twarz, aż czułam smak własnej krwi przy każdym skoku w górę. Ale byłam blisko nieba, bardzo blisko. Słońce z uczuciem gładził moje plecy.

Bursztynowa klatka miała bursztynowy zamek – i była tam dziewczyna z bursztynowym kluczem. Kołysał się tuż pod jej szyją, zawieszony na sznurze paciorków, które okręcały ją niczym łańcuchy. W owych czasach z każdej nory i wyżyny w kraju sprowadzano wszelakie stworzenia, żeby sprawić przyjemność tej istocie, której czyste, chłodne oczy ogarniały wszystko z równą uwagą i sumiennością. Uprzejmie okazała zdumienie moim futrem i moim ogonem, uprzejmie poklepała mnie po głowie i uprzejmie przeszła do następnego cudu natury, wciągniętego na drzewa dla jej zadowolenia. Żadne zwierzę nie cieszyło jej bardziej niż inne. Głos miała łagodny i wdzięczny, gdy dziękowała łowcom za sprowadzanie tych cudownych i groteskowych stworzeń. Mówiąc „groteskowe”, mnie miała na myśli. Stąd się wzięło moje imię.

Przez parę tygodni sumiennie odwiedzała swoją menażerię w towarzystwie łowców, nobliwych piastunek i czasami ojca. Bawiła się z miniaturowym słoniem i z młodym centaurem, któremu trzęsły się kolana i któremu pod jej nieobecność krępowano nogi, żeby nigdy nie urósł i nie zawstydził jej wyższym wzrostem. Miała dzinna, którego dym uleciał, a w wielkiej szklanej misie rybę, winną jej jeszcze dwa życzenia. Ich zabawy były dziwne i poważne – śpiewała im i podawała herbatę w bursztynowych filiżankach, które tłukli niechcący, a wówczas łajała ich za złe zachowanie. Przyciągała ich odporne głowy do piersi i wszyscy twierdzili, że to cud, że łagodność jej ducha i czystość jej serca może oczarować najdziksze potwory.

Mnie nie oczarowała.

Po próbie zmuszenia mnie do picia z delikatnych filiżanek i wspólnego śpiewu, gdy szyla, oświadczyła z wielkim smutkiem, że bestia, którą dla żartu nazwała groteskową, naprawdę jest

groteskowa, że nie ma dla mnie ratunku i powinnam zostać odesłana, bo z pewnością w swym niepojętym sercu jestem tu nieszczęśliwa. Wiedziałam, że to oznacza rzeźnię albo zepchnięcie z platformy do wąskiej zatoki morza, ale co panna może wiedzieć o wypaczeniach świata, by powstrzymywać się od wypróbowywania swej cnoty?

Kiedy odeszła wraz z eskortą, pozostała mała, ciemna sylwetka rysująca się na tle drzwi żaloznego zwierzyńca. Stała w świetle, a wówczas zobaczyłam, że to dziewczyna, jak tamta, i straciłam zainteresowanie – tylko że zbliżyła się do mojej klatki, uklękła, odpięła sznur czarnych koralów spod szyi, wsunęła do zamka własny bursztynowy klucz i otworzyła bursztynowe drzwiczki.

– Biedna Grotteschi. Widzisz te paciorki? Gdy pali się bursztyn dla uzyskania żywicy, gdy złoty olej posłusznie ścieknie do miseczki, zostają te okropne czarne resztki. Nikt ich nie chce. To odpadki. Ja też jestem tym, co pozostało po niej, co wyrzucono, gdy jej nie zaciekało, co leży po kątach, gdy ona przechodzi.

Podniosła ręce i rozpięła sprzączki kagańca. Byłam prawie dorosła, wielkości małego konia, ale kaganiec nigdy nie został zmieniony. Moja szczeka już nigdy nie domknie się właściwie. Dziewczyna nie bała się moich zębów. Pogładziła mnie po policzkach, wytarła stwardniałą krew rąbkiem sukienki. Nazywała się Łania. Była dobrą dziewczyną. Od tej nocy spałam w jej łóżku.

Nawet kiedy w pełni dorosłam, spała skulona pomiędzy moimi łapami – na jej prośbę wzmocniono żaloznie słabe łóżko żelaznymi podpórkami. Nocami razem zakradałyśmy się do biblioteki, gdzie nauczyła mnie czytać z książek

przechowywanych na najwyższych półkach, po które dla nas sięgałam, historie o zagubionych dziewczętach i zagubionych bestiach, o groteskowych istotach jak my. Przynosiła mi lukrowane ciastka z kuchni, pożywniejsze i smaczniejsze niż nadgniłe mięso ze zwierzyńca jej siostry. Kiedy stała się piękniejsza nawet niż siostra, śpiewałam przy jej oknie do mężczyzn, którzy przychodzili grać na fletach i harfach. Rozbiegali się, słysząc moje lepsze pieśni, a ja człapałam do Łani i jej czarnych paciorków. Byłam szczęśliwa. Słońce stał wysoko na niebie. Szczęście oglądane z perspektywy czasu wydaje się takie krótkie, ale wtedy, z nią, całe moje życie upływało w ruchliwych cieniach cedru.

Szczęście trwało do dnia, gdy wpadła do naszego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi, jej pierś falowała pod czarnymi paciorkami, jej oczy spływały łzami. Podbiegłam, a ona wtuliła twarz w moją grzywę. Wreszcie odsunęła się i zaszlochała strasznie. Był to długi, urywany skowyt – pamiętam, kiedy ja skowyczałam w ten sposób.

Z jej ust wypadła perła.

OPOWIEŚĆ O DWUNASTU MONETACH, CIĄG DALSZY

Słuchaliśmy głosu Grotteschi jak zakłęci. Z jej zniekształconych szcęk płynęły melodyjne tony, niskie i chrapliwe, dźwięczne i przejmujące niczym brzmienie trąconej struny harfy.

– Ktoś ją otruł – jęknęła – ktoś, kto przybył do Amberabadu tylko po to, by dręczyć moją przyjaciółkę, ponieważ jej ojcu nie podobały się jej książki, jej ciastka, jej zwierzęta. Jaki trzeba mieć charakter, żeby napełniać własną spiżarnię, karząc innych za drobne słabości?

Oboje z Oubliettą poruszyliśmy się w zwoju jej ogona.

– Opowiadasz niewłaściwą historię – powiedziałem. – Co z herbacianą dziewczyną?

Grotteschi wbiła w nas oczy, jasne i rozbawione.

– Niecierpliwa z was parka. Do tego zmierzam, wiecie. Rozpuścił was mój przyjaciel w zieleni! Jego historia bardziej ci się podoba, bo mówi o haremie. Młodzi chłopcy lubią historie o zrozpaczonych kobietach w jedwabkach.

Oublietta mocno trąciła mnie łokciem.

– Podoba mi się ta opowieść. Bądź cicho – syknęła.

Mantykora przewróciła oczami.

– Dobrze, aktor zawsze musi grać dla widowni.

– Oublietta przysunęła się bliżej do boku czerwonej lwicy i ostrożnie oparła o jej żebra.

– Łania błagała mnie, żebym ją zabrała. Przekonywała, że umie korzystać z tych ruchomych platform, że możemy uciec z Amberabadu do innego miasta, gdzie jej perły przyniosą nam jakiś pożytek. I tak oto dziewczyna obwieszona czarnymi paciorkami spakowała swoje ciastka i parę swoich cennych książek, po czym wspięła się na mój grzbiet i siadła dumnie okrakiem, czego ojciec stale jej zakazywał...

OPOWIEŚĆ MANTYKORY, CIĄG DALSZY

Zjeżdżaliśmy razem wśród konarów i chmur, by ruszyć w długą drogę. Łania przez cały czas trzymała się mnie kurczowo, długimi palcami wczepiała się w moją grzywę, gdy zeskakiwałam z ostatniej bursztynowej deski. Lojalnie powstrzymywałam krnąbrny ogon od zakręcenia się w górę, jak ma w zwyczaju, żeby jej nie zranić. Wyszliśmy na gęstą trawę i moja przyjaciółka roześmiała się, gdy poczuła twardą ziemię pod nogami. Ruszyliśmy w świat. I oto w drodze do baśniowego miasta, które zwało się Adżanabh, tak jak teraz, spotkałyśmy najdziwniejszą parę wędrującą nadmorskimi ścieżkami.

Z pewnością nie ma potrzeby opisywać wam mojego Taglia. Czy wówczas miał dłuższe włosy? Czy oczy miał jaśniejsze? Nie umiem powiedzieć. Nie nosił wtedy zieleni. Immacolata podarła czerwone jedwabie, ale zachowała wstążkę we włosach na pamiątkę niewoli, jaskrawą na tle brązu. Byli piękni. Taglio grał na fujarce, a Immacolata została kimś w rodzaju druciarza, choć zawsze miała pod ręką worki z herbatą. Wiązali koniec z końcem, żyjąc ze zręcznych rąk i dziwnego zestawu szczypiec, grając za kromkę chleba i kawałek sera. Opowiedzieli nam swoją historię i oznajmili, że nie wiedzą, dokąd zmierzają, byle jak najdalej od miejsca, skąd przyszli, i że spędzili już lata na

głodnej drodze. Łania, lubiąca zwierzęta, poprosiła ich, żeby poszli z nami do miasta korzeni, które leżało tak daleko od miejsca naszego spotkania, że równie dobrze można by odciąć je z mapy świata i umieścić na spodniej stronie pergaminu.

– Tęsknię za towarzystwem – mówiła. – Choć moja czerwona bestia i ja się kochamy, myślę, że ucieszy ją towarzystwo drugiej bestii, a mnie drugiej kobiety. W Adżanabh muszą być przyprawy do twojej herbaty, o jakich jeszcze nie słyszałaś. W Adżanabh muszą być mięsa pieczone, jakich nie moglibyście nazwać. Chodźcie z nami, opowiadajcie swoje historie, jedzcie nasze ciastka, czytajcie nasze książki i dajcie się kochać.

Kiedy skończyła mówić, jej ręce były pełne pereł.

I tak podróżowaliśmy razem. Z Łanią plującą perłami po każdym słowie rzadko byliśmy głodni. Taglio nauczył ją zonglerki i pantomimy, Immacolata parzyła dla nas herbatę przy niezliczonych ogniskach. Byli bardzo szczęśliwi – istnieje wiele rodzajów szczęścia, a oni mieli swoje. Wzajemnie wyciągali sobie monety z uszu i sprawiali, że znikwały niezliczone kubki i buty, by pojawiać się w huraganie piskliwego śmiechu, jakby sowy hukwały na wietrze. Zazdrościłam im, podobnie jak biedna, samotna Łania, która już nie miała ślicznych chłopców śpiewających pod oknem, tylko mnie. Co wieczór dziewczyna z czerwonymi warkoczami zabierała gaselli za kępę drzew albo trzciny i pozwalała mu smakować jedną kropelkę krwi z szyi. Jej skórę pokrywał wzór maleńkich blizn podobny do mapy gwiazd. Łania przyglądała się temu w milczeniu, stojąc sama przy ogniu z mocno zaciśniętymi rękoma. Co myślała o ich rytuale? Nie wiemy, zachowała to dla siebie.

Wędrowaliśmy długimi trawiastymi dolinami. W jednej zobaczyliśmy miasto namiotów w różnorodnych jaskrawych kolorach, namiotów łamiących niską poranną mgłę niczym maszty statków. Było to coś jak cyrk, artyści wszelkiego pokroju wycierali sen z oczu i prostowali nogi, przywiązywali szczudła i polerowali trąbki, ćwiczyli gamy na skrzypcach i okrzyki naganiacza, rozciągali rozmałą liczbę nóg we wdzięcznych krokach. Setka głosów śpiewała oktawę po oktawie, z gardeł setki otyłych kontraltów płynęły setki wersów tragedii i komedii.

Gdy zeszedliśmy do tego radosnego wiru, Łania przywarła do mnie, niepewna w obecności tak wielu obcych. Immacolata pogładziła ją po włosach. Jakaś kobieta niemal się z nami zderzyła na ścieżce pomiędzy namiotami, gnając przed sobą wielkiego dzika, który stąpał na zadnich nogach, w żółtej czapce na głowie, z żółtymi wstążkami na szczeciniastym karku. Kobieta była niska, chuda jak spękany bicz, odziana w koźle skóry – szare, szorstkie futro zwisało z jej ramion, z jej talii, po drobne kostki. Żółte oczy miała bystre, przymrużone, a włosy niebieskie jak topiel. W rękę trzymała fajkę o długim cybuchu, z ustnikiem lśniącym zielenią.

– Patrzcie, jak idziecie, przyjaciele, bo inaczej mój wieprzek was stratuje. Chód w linii prostej zaprzęta go bez reszty – powiedziała głosem grubym i ochrypłym od dymu.

– Bardzo przepraszam – rzekła Immacolata, zawsze grzeczna. Dawno temu zostało uzgodnione, że Łania nie będzie się odzywać przy obcych, gdyż nie chcieliśmy, żeby ukradł ją nam ktoś, kto zapragnie mieć dziewczynę sypiącą z ust perłami. – Gdzie my jesteśmy? Co to za miasto?

Kobieta głęboko zaciągnęła się fajką i wydmuchnęła zielony dym na dzika. Spojrzała na szkarłatne wstążki dziewczyny i zmrużyła oczy jeszcze bardziej.

– Jak długo przebywasz z dala od Varahaasindu, moja mała dekadentko? – Taglio podskoczył jak spoliczkowany. Kobieta w koziej skórze parsknęła śmiechem, zakaszłała i znów się roześmiała. – Nie trap się, komu miałabym powiedzieć? To nie jest żadne miasto, głuptasy. Jutro wszyscy odejdziemy, każdy do własnego zakątka szerokiego, trawiastego świata...

OPOWIEŚĆ POGROMCZYNI DZIKA

Mezyniana ma fajkę z kła dzika i wieprza zwanego Femi, a skoro moja fajka jest pustym zębem i mój wieprz nosi takie imię, możecie być względnie pewni, że Mezyniana wam to opowiada.

Jestem tu, ponieważ tutaj przychodzimy, my, którzy podróżujemy, występujemy i żyjemy na świecie, ale nie w nim. Wiatr nas tu przywiewa, żebyśmy dzielili się wieściami, sztuczkami i pomysłami, żebyśmy szeptali jedno drugiemu, które miasta na nas stać, żebyśmy wymieniali liny do akrobacji na podkowy. Błękit moich włosów jest farbą, odcień moich oczu tanią pozłotą kupioną od mieszacza olei i maści, który miał zielony wóz i wielkie, długie palce. Jestem upiękaszona nie mniej niż mój wieprz. Handlujemy, farbujemy, tańczymy, uczymy się i rozstajemy – to szczęśliwy kaprys naszego życia. Dostajemy wiadomość przekazaną przez konia, wołu, magika czy śpiewaka i ruszamy krętą drogą do umówionej doliny. To Wstriezca, kongres wagantów, klaunów i kuglarzy. Ja przybyłam z Varahaasindu, gdzie urodziłam się w domu mojego ojca, który też był błaznem, ale nie profesjonalistą, tylko takim, który pozwala, by mleko zsiadło się w szafliku, a piwo straciło pianę na wietrze.

Kiedy dorosłam w naszej chacie ze świńskiej skóry, niskiej i cieplej w dżunglach za miastem – byliśmy za biedni, żeby

mieszkać na tarasach, w pobliżu pałacu z jego perfumowanymi królowymi – często śniłam, że widzę jedną z tych kobiet, obcą i egzotyczną jak skute łańcuchami lamparty. Ale mieszkaliśmy na przedmieściach, gdzie liście bananowców rzucają zielone cienie, a mój ojciec Femi sypiał na zapiecku.

To nie takie dziwne – nasz las był ciepły jak wstrzymany oddech, lecz przyjemnie jest spać na ceglach za piecem, rozgrzanych od chleba pieczonego na blasze, i wypocić złe sny, a czasami i kaszel. Często żałowałam, że tam nie śpię, ale ojciec strzegł swego miejsca jak ostatni żołnierz na wzgórzu.

– Ojcze – mówiłam – idź do studni i przynieś nam trochę wody, żebym mogła ugotować rybną potrawkę.

Mój ojciec Femi przewracał się na drugi bok na ceglach.

– Czy musisz mnie dręczyć, Mezyniano? Po co mam córkę? Sama przynieś.

Tak więc szłam i wyciągałam wodę ze studni cebrami z drewna baobabu, i potrawka była słodka, pływała w niej zielona cebula i różowe ogony.

– Ojcze – mówiłam – idź i natnij trochę drewna kamfory, żebym mogła rozpalić ogień i ogrzać twoje cegły, żeby chata pachniała cynamonem, nie wczorajszą rybną potrawką.

Mój ojciec Femi przewracał się na drugi bok na swoich ceglach.

– Czy musisz mnie dręczyć, Mezyniano? Po co mam córkę? Idź sama natnij.

Tak więc szłam i rąbałam kamforowe drewno, i przynosiłam je, by wyschło, i chata pachniała korzeniami, a cegły były ciepłe pod grzbietem ojca.

– Ojcze – mówiłam – idź na targ i przynieś dwa czarne koguty, żebym mogła je dla nas upiec i wypchać twoje poduszki

piórami.

A mój ojciec Femi przewracał się na drugi bok na swoich ceglach.

– Czy musisz mnie dręczyć, Mezyniano? Po co mam córkę? Idź sama.

Tak więc poszłam w dżunglę, gdzie bananowce są wysokie, a ich owoce jeszcze niedojrzałe, gdzie kwiaty kakaowca są wilgotne i blade. Nim droga się wygładziła, ubłociłam się po kolana, biegnąc wśród krzewów kawowych migoczących bielą, zielenią i czerwienią. Ręce mnie bolały, gdy odpychałam las na boki, żeby mnie przepuścił, i twarz miałam pokąsaną przez komary. Ale ujrzałam pierwsze zaokrąglone krawędzie tarasów i ślinka napłynęła mi do ust na myśl o pieczonych kurczakach.

Mam jednak krótkie nogi i zanim znalazłam sklepik rzeźnika z kogutami wiszącymi w oknie, ściemniło się i wszystkie drzwi zostały zamknięte. Moje stopy były pokaleczone i zakrwawione, moje buty zdarły się zupełnie, pot przylepił mi włosy do skóry, jakbym cały dzień przespała na piecu ojca. Rozglądałam się po wąskiej ulicy pełnej sklepów z ubraniami, na które nie było mnie stać, i piekarni, gdzie z kominów już buchał dym pachnący jutrzejszym chlebem. Pałac garbił się w dali, a wysokie zalesione wzgórza skrywały księżyc przede mną. Nie widziałam miejsca, które mogłoby otworzyć drzwi przed urwisem w kozłej skórze, więc pociągając nosem mniej niż możecie się spodziewać, usiadłam pod ceglany murem sklepu rzeźnika, by czekać na powrót starego czerwonego słońca.

Spałam i nie spałam, ale kapryśne sny pomykały pod moimi powiekami, zostawiając maleńkie odciski swych stóp. Niedługo po tym, jak księżyc w końcu stęknął, wyteżył się i dźwignął nad czuby drzew, zobaczyłam spod przymrużonych powiek postać

idącą od pałacu w moją stronę – mężczyznę, który był cały biały bielą mleka, sera albo kredy, i skąpo odziany. Długie, muskularne nogi miał gołe, na piersi kolczasty harpun i nic więcej. Włosy miał długie i proste, a w ramionach trzymał kobietę, sztywną i martwą, jej piękne ciało zamrożone było i nieruchome, krystaliczne węże otaczały jej ramiona, skórę miała przejrzystą jak szyba ze sklepu sprzedawcy drobiu. Nigdy nie widziałam niczego równie promiennego i pięknego jak ci dwoje. Mężczyzna chyba spojrzał na mnie, gdy przechodził, ale nie mogę być pewna. Rzucił migotliwe światło na mury uliczki, cienie fukały ze złością na kamieniach.

Nie mogłam się powstrzymać – byłam ciekawa jak mysz, która nie słyszała, że ktoś gdzieś wymyślił pułapkę. Poszłam za nimi, trzymając się blisko. Szłam za nimi przez całą noc, gdy unosili się nad ziemią jak księżycowa poświata, która tak rzadko przenika przez baldachim bananowców, i w dzień, gdy wciąż lśnili, jakby ich skóra łaknęła światła, zawsze światła. Szłam za nimi wśród kwiatów kakaowca, wilgotnych i bladych, i krzewów kawowych, migoczących bielą, zielenią i czerwienią, szłam za nimi wśród baobabów z korzeniami jak słoniowe trąby, szłam za nimi obok własnego domu.

Kochałam ojca z całego serca i pomyślałam, że nie chciałby stracić widoku takiego cudu mijającego nasze własne drzwi. Wbiegłam do chaty i obudziłam go na zapiecku.

– Ojczy! – krzyknęłam. – Gwiazdy tratuja liście bananowca przed naszymi drzwiami! Chodź i zobacz!

Mój ojciec Femi przewrócił się na drugi bok na swoich ceglach.

– Czy musisz mnie dręczyć, Mezyniano? Czy mam córkę tylko po to, żeby mi się naprzykrzała i karmiła kłamstwami? Idź

sama zobacz, jeśli chcesz, ale mnie zostaw w spokoju!

– Ojczy, nie kłamie! Chodź i wyjrzyj przez drzwi, tylko zerknij i jeśli nie zobaczysz żadnej bladej postaci, będziesz mógł wylegiwać się na swoim piecu całymi dniami i nocami, a ja ci nic nie powiem!

Ojciec stęknął, powoli przetoczył w lewo i w prawo, żeby wstać. Wygramolił się zza pieca, podszedł do drzwi, przyłożył oko do ościeży – smukła kremowa łydka zniknęła właśnie za kępą palm. Twarz mojego ojca wykrzywiła się niczym noga akrobata, gdy jakby w oszołomieniu wyszedł z domu i pospieszył za tymi istotami. Wiedziałem, że nie jest na tyle gruboskórny, żeby nie poruszył go widok naszego poletka oświetlonego przez bogów. Razem, mali i cisi, szliśmy za nimi przez noc w jasny dzień.

Trudno jednak było dotrzymać im kroku. Spanie na zapiecku nie przygotowuje człowieka do biegu przez wysokie krzaki.

– Chce mi się pić! – jęczał mój ojciec Femi. – Po co mam córkę? Przynieś mi trochę wody!

– Tu nie ma czystej wody, ojczy. Bądź cierpliwy, a może natkniemy się na strumień.

– Ale jest deszcz zebrany w tropach lamparta! – powiedział, wskazując szerokie, głębokie ślady łap.

– To nie jest bezpieczne, ojczy Femi. Pamiętaj, co mówiła twoja żona, moja matka: „Pij ze stóp bestii, a dostaniesz je za własne”.

Po długiej chwili, gdy dżungla się przerzedziła, błoto obróciło w kamyki pod nogami, a my wciąż widzieliśmy tylko spalone liście i parującą mgłę ich przejścia, mój ojciec Femi znów krzyknął:

– Chce mi się pić! Znajdź mi trochę wody, dziewczyno! Po co mam córkę?

– Tu nie ma czystej wody, ojciec. Bądź cierpliwy, a może natkniemy się na jezioro.

– Ale jest deszcz zebrany w tropach tygrysa! – powiedział, wskazując kolejne głębokie, szerokie ślady łap.

– Pamiętaj, co mówiła twoja żona, moja matka: „Pij ze śladu stopy, a nie wyjdzie to na dobre twoim palcom u nóg!”.

– Twoja matka odeszła, żeby gzić się z radzą – warknął mój ojciec. – Je cukrowe placki i jagnięcy tłuszcz, i śpi co noc w jedwabiach! – Twarz miał czerwoną jak czyrak.

Łzy zakręciły mi się w oczach.

– Nie chciała pójść! Przyszli rajfurzy, a ty nie obieś im grzbietów pięściami ani swoją pałką, ani swoimi cegłami, tylko spałeś na zapiecku i nie chciałeś się ruszyć! Powiedziałeś: „Po co mamy córkę? Idź i sprowadź ją z powrotem, jeśli tak bardzo ci na niej zależy”.

Szliśmy za Gwiazdami w ponurym milczeniu. Czerwone jagody połyskiwały wysoko. Ja też byłam spragniona, ale posłuchałam matki. Wreszcie ojciec wydał długie, udręczone wycie.

– Jestem tak spragniony, że zlepily mi się boki gardła! – jęknął. – Jest tu woda w tropach dzika. Daj mi się napić, okrutna Mezyniano!

Odwróciłam się w jego stronę i wsparłam ręce na swoich drobnych biodrach. Czerwona twarz piekła mnie od potu, ręce swędziały od ugryzień robactwa, stopy miałam zakrwawione i obolałe. Traciliśmy ich ślad, gdy się guzdrał.

– Pięknie! – zawołałam. – Napij się z tropów, ojciec, napij się do woli, bylebyś tylko ucichł i robił, co ci każe!

Mój ojciec Femi radośnie jął czerpać miedzianą wodę z głębokich tropów świni.

– Może, gdy ich dopędzimy, Gwiazdy dadzą mi nowy piec, z gładkimi cegłami, które nie zostawią śladów na moich plecach – zarechotał.

Skrzyżowałam ręce na piersi i czekałam, aż skończy.

Błoto ściekało mu po brodzie, gdy chłeptał deszczówkę, i zanim zdążyło spaść na stratowaną ziemię, szczeka mojego ojca Femiego stała się szersza i bardziej szczeciniasta niż wcześniej. Brudna woda spieniła się nagle pomiędzy dwoma żółtymi szablami, włosy skręciły się w grzywę, a oczy zmały w paciorki. Na moich oczach ojciec wykrzywił się i rósł, aż stał się wielkim, ociążalym dzikiem. Nie chciałam, ale na przekór sobie śmiałam się z niego, kwiczącego w lesie, wciąż spragnionego po tym chleptaniu.

OPOWIEŚĆ MANTYKORY, CIĄG DALSZY

– I oto on, stara bestia, która już nigdy nie będzie miała pieca! – zaśmiała się pogromczymi świń i klepnęła dzika po zadzie. Dzik jęknął i zdawało się, że chrząkając, powiedział:

– Czy musisz mnie dręczyć, Mezyniano? Niebieskowłosa kobieta uśmiechnęła się do nas.

– Zgubiliśmy ich trop. Domyślam się, dokąd zmierzali, ale Gwiazda zagubiona pozostaje zagubiona. Postanowiłam jak najlepiej wykorzystać to, co się zdarzyło, i obmyśliłam tę małą sztuczkę, dzięki której trzymam się z dala od chat z piecami i mam grube buty. Ale musiałam go wystroić we wstążki i w kapelusze – ludzie nie wierzą, że bestia jest poskromiona, jeśli nie ma odpowiedniego kostiumu. W konsekwencji wszystkie poskromione stworzenia stają się trochę śmieszne, wiecie.

Immacolata zbladła, skręcając czerwone wstążki w roztrzęsionej ręce.

– To była Zmieja, prawda? Ona nie żyje, ona nie żyje!

– Taką historię opowiadamy, a na Wstrieczy niejeden raz można ją usłyszeć. Po tym, jak Zmieja zjadła swego nieszczęsnego męża Indradzita, królestwo wpadło w ręce haremu, który najlepiej wiedział, co się dzieje w pałacu i – poprzez skomplikowany łańcuch uszu – co się dzieje wszędzie.

Stare uperfumowane królowe objęły rządy w mieście świń owego czasu. Dopilnowały, żeby daleko i szeroko rozeszła się opowieść o tym, jakiego spustoszenia dokonać mogą skrzywdzone żony. Ale przez jakiś czas było źle – mruknęła. – Kiedy wywalczały drogę do tronu, doszło do strasznej serii otruć. Niektórzy tutaj przyrządzają od czasu do czasu truciznę, gdy o pracę jest ciężko. Słyszałam to od nich, bo uwielbiają oglądać ojca Femiego i jego śliczne ukłony. Może pewnego dnia ruszymy z powrotem do dżungli, żeby matka mogła zobaczyć, co się z tobą stało, co? – Szturchnęła wielkiego dzika, który znowu jęknął.

– Jak myślisz, dokąd zmierzali? – szepnęła Immacolata.

Mezyniana wzruszyła ramionami.

– Wagabundy są stadem mądrych starych wron. Założę się, że każdy ma strzep wiedzy, i rozmawiają między sobą. Myślę, że udali się na Wyspę Umarłych. Myślę, że poszedł ją pochować, odprawić obrzędy pogrzebowe, jakie mają Gwiazdy.

Dostrzegłam łzy w ciemnych oczach odaliski, ale nie mogłam odgadnąć przyczyny. Znała tę kobietę tylko przez chwilę, i co z tego, jeśli była Gwiazdą? Moim ojcem był Słońce, który nigdy nie spał na zapiecku.

– Mogę zaproponować wam kolację? – zapytała radośnie złotooka liliputka. – Mam w namiocie ładny połek boczku. – Uśmiechnęła się szeroko, pokazując małe i ostre zęby.

Gdy Mezyniana nakarmiła nas boczkiem i rymowanymi piosenkami o lenistwie świń i ludzi, powędrowaliśmy samotnie przez Wstrieczę. Taglio i Immacolata nauczyli się wielu nowych sztuczek z kartami i jedwabnymi chustami, i kupili rozklekotany wózek za wyjątkowo poruszające wykonanie

„Gwałtu na Amberabadzie”, który wystawimy dla was, jeśli chcecie. Była to nasza ulubiona sztuka, Łania i moja, zwłaszcza ta część, gdy czerwony statek płynie przez zatokę – którą u nas udaje trzepocząca błękitna gaza – i kapitan o trzech piersiach tnie pałac na bursztynowe monety do swojej ładowni. Kupili ten połamany wózek i Taglio pomalował go na niebiesko, pod kolor moich oczu, a Immacolata przymocowała srebrne gwiazdy na tym firmamencie. Na koniec znaleźliśmy sprzedawcę bursztynu w wysokim czarnym kapeluszu z długim złotym piórem i Łania zapytała niecierpliwie o wieści z domu, o swoją plującą żabami siostrę, o ojca z jego głupimi lekcjami. Mówiłam jej, że nie powinna się tym interesować, ale ona z zakłopotanym uśmiechem dalej wypytywała brodacza o plotki.

Mówiłam jej, żeby dała spokój, mówiłam, lecz nie mogła. Czy ja chodzę zawodzić na pustynię, gdy upas traci sok i kładzie się przy wodzie? Nie. Ona jednak nie mogła zapomnieć tych, którzy jej nie kochali. I tak usłyszała od człowieka w śmiesznym kapeluszu, że jej ojciec zmarł, a Dzwon Amberabadu dzień i noc wyśpiewuje żałobne kuranty.

Łania skręciła sznur czarnych paciorków. Zbolała, schowała głowę w mojej grzywie. Przytuliłam złamaną szczękę do jej twarzy, a jej łyzy były gorące jak mleko upas.

– Już dobrze, moja dziewczyno – szepnęłam w jej włosy. – Oni teraz odeszli i jesteś od nich wolna. Zaśpiewam dla ciebie przy każdym oknie, które wskażesz swoim najmniejszym palcem, i będziemy szczęśliwe. Jest wiele sposobów na szczęście. Znajdziemy nasze.

Łania spojrzała na mnie żałośnie, szkarłatne pasma moich włosów przylepiły się do jej twarzy.

– Nie, Grotteschi. Muszę pójść do domu. Nie będę na zawsze złą siostrą. Muszę zrobić tyle, co każda kobieta robi dla swojego ojca, dla swojej siostry.

Przykucnęłam w pagórku pereł, które sypały się na jej stopy. Moje łapy ciemniały na ich tle. Głosem miękkim jak szmer palców gładzących starą skórę bębna powiedziałam:

– Ja nigdy tam nie wrócę. Wystarczy, że pomyślę o Amberbadzie, a boli mnie szczęka. Nigdy więcej nie dotknę bursztynu tymi łapami.

Łania płakała w milczeniu. Nie mogłam na nią spojrzeć.

– Zostawiasz mnie? – mruknęłam.

Zarzuciła mi ręce na szyję, jej koraliki wbiły się w moje policzki.

– Szukaj mnie w Adżanabh – szepnęła. Perły spływały na moje ramiona jak łzy. – Pójdę tam, kiedy zostaną pogrzebane wszystkie rzeczy, które powinny spocząć w ziemi. Pójdę tam, ty mnie znajdziesz i zaśpiewasz przy moim oknie, a ja do ciebie wyjdę.

Odeszła. Znikła też Wstriecha, gdy pierwsze srebrne smugi świtu zaczęły wić się nad doliną. Pozostało kilka kołków od namiotów, kilka brudnych pereł toczących się po ziemi. Taglio mógł mnie pocieszyć, więc poczłapałam przez pozostałości zwiniętego obozu, żeby go znaleźć, znaleźć jego czarne jak sadza kopyta i jego uśmiechniętą twarz, która była mi droga, jeśli nawet nie całkiem tak droga, jak pewna zła siostra i jej głośny śmiech.

Immacolata i gaselli byli daleko w głębi doliny, przy zamarzającym strumieniu, który bulgotał, błękitny i spieniony, w wysokich wodorostach.

– Odchodzę – oznajmiła cicho odaliska. Chyba nigdy nie słyszałam jej podniesionego głosu, przez całą wędrówkę łąpa przy stopie. Była spokojna jak herbata w filizance.

– Zmieja wie, że jest ci droga, nie musisz robić nic więcej – powiedział eunuch ze spuszczoną głową.

– Odwdzięczę się za jej dar dla nas. Słyszałam opowieść od trzech wesołków i tragika o jej śmierci, jak zabiła króla, jak jej brat wyniósł jej ciało z pałacu. Dokąd ją zabrał? Co ona może mieć w tym zimnym, ciemnym miejscu, do którego udają się Gwiazdy? Nie pozwolę jej zmarnieć! Ona mnie nie pozwoliła! – Immacolacie załamał się głos i uderzyła pięściami w pierś swej namiastki kochanka. – Co dałeś Gwieździe? – zapłakała. – Ja dam jej nie więcej niż listek. Co ty jej dałeś? Co dałeś? – Wydarła z warkocza szkarłatne wstążki, a wraz z nimi długie pasma włosów. Jej łzy były straszne, jak woda wygotowująca się do białego osadu na dnie starego garnka. – Nie jestem taka jak ty! Nie obchodzi mnie religia. Ona mnie ocaliła, ocaliła mnie, podczas gdy ty tylko patrzyłeś i pilnowałeś drzwi. Powiedziała, że jesteśmy siostrami! Jak mogę pozwolić, by samotnie odeszła w ciemność? Nie zniosę, by siostra cierpiała!

– Jestem pewien, że ma dość szalonych wyznawców i zdjętego żalem rodzeństwa.

– Ona ujrzała we mnie liść. Wiedziała, że ten dzień nadejdzie. Pij moją herbatę, a poznasz moje marzenia. Wzuj moje buty, a poznasz moje marzenia. Marzę o mojej siostrze, samej, płaczącej!

Wtedy objął ją, pogładził jej poszarpane włosy. Nie słyszałam, co powiedział przy jej skórze, ale dostrzegłam jaskrawy błysk krwi i zobaczyłam, że osuszył jej łzy. Odsunęła się od niego z dawnym, znajomym uśmiechem na twarzy.

– Mam ostatnią rzecz dla ciebie, który masz w sobie tyle mojej krwi, co własnej.

– Nie chcę niczego. Chcę tylko, żebyś została.

Próbowała się roześmiać, ale wyszło marnie, jak skarga pękniętej struny wiolonczeli.

– Proszę, ukochany, nie. Ona mnie potrzebuje. – Odaliska odgarnęła włosy. – Jestem zrobiona z herbaty, pamiętasz? Będzie po prostu tak, jakbym się rozpuściła w bezkresnej wodzie. I z tego powodu mogę zrobić sztuczkę, która zadziwi każdego na Wstrieczy. Podejdź bliżej, mój drogi gazelo, i skocz przez moje ucho.

– Co? Nie bądź śmieszna! – Taglio zrobił krok do tyłu.

– Jestem tylko herbatą, czy nie możesz przeskoczyć przez krzew herbaciany? Możesz skoczyć przeze mnie i wyjść po drugiej stronie. – Położyła ręce na jego twarzy, ucałowała jego powieki. – Taglio, najdroższy pasterzu, najdroższe jagnię, w ten sposób możesz wejść we mnie i będzie tak, jakby żadne z nas nigdy w życiu niczego nie straciło.

Wsunął w nią głowę i usłyszałam jego szloch, jakby deski rozszczepiała siekiera. Ale cofnął się, wziął rozbieg i wskoczył w ucho Immacolaty.

OPOWIEŚĆ O DWUNASTU MONETACH, CIĄG DALSZY

Wyszedł z niej odziany na zielono, jak przed harem, jacy zawsze byli gaselli. Jego sprzączki lśniły, czapka była miękka jak chrapy muła. Teraz jednak, gdy patrzy na zieleń, nie widzi ślicznej doliny i niestrzeżonego ogniska. Widzi jej liście. Zwie ten strój żałobnym, tę zieleń młodych krzewów herbaty. Nigdy nie zdejmuje ubrań w kolorze jej ciała i w ten sposób, jak myślę, mieszka w niej zawsze.

Potem razem weszli do strumienia, ręka w rękę, do głębokiej do pasa wartkiej, lodowatej wody. Immacolata z uśmiechem odwróciła się w stronę eunucha, łzy płynęły po jej policzkach jak śmietana na suto zastawionym stole. Sięgnęła ręką za jego ucho i teatralnym gestem wyczarowała z powietrza połyskujący srebrny liść.

– Musisz znaleźć Wyspę Umarłych i zabrać na nią ten załazek mojej istoty. Wiem, że zrobisz to dla mnie, wiem to tak dobrze, jak znam linie własnej dłoni i włosy na głowie. Idź w świat i zabierz mnie ze świata. To moje serce – weź je z sobą. Będę marzyć o tobie w ciemności, a ty będziesz czuć smak moich marzeń w herbacie, będziesz je czuć w moich butach.

To rzekłszy, Immacolata powoli rozpuściła się w wodzie jak cukier. Rozpłynęła się, brązowe liście pływały w strumieniu.

Prąd zatrzymał ją na chwilę, wielki krąg liści z zielono odzianym Taglio pośrodku, a potem uniósł daleko.

Oublietta i ja wlepialiśmy oczy w mantykorę, szeroko rozdziawiając usta, jak gdyby nagle odjęło nam rozum. Gdy tak siedzieliśmy, skuleni w jej ogonie, wielka czerwona bestia zamknęła roziskrzane oczy i zaczęła śpiewać niskim, miękkim głosem, jakby drewniany flet grał razem z diamentową trąbką. Nie skłamała, opisując swoje pieśni – płakaliśmy, głaskani jej głosem, gdy zagubione, ciężkie od smutku tony wędrowały po nas niczym ręce, mówiąc nam, jaka piękna była Immacolata, płynąc w dół strumienia, i jak rozpaczliwy krzyk Taglia przeszywał serce Grotteschi na samotnym brzegu.

Wreszcie zamknęła zniekształconą szczękę, a my powoli wróciliśmy do siebie.

– Oboje zostaliśmy porzuceni przez nasze najbardziej ukochane bestie. Wydawało się właściwe ponieść wespół ich życzenia. Najpierw ruszyliśmy na Wyspę Umarłych.

– Znaleźliście ją? – zapytałem bez tchu.

– Nie – odparła krótko. – I teraz moja kolej. Zmierzamy do Adzanabh. Będę śpiewać dla mojej dziewczyny przy każdym oknie, aż podejdzie do któregoś, podzwaniając czarnymi paciorkami, i przywoła mnie do siebie.

Wielka bestia spojrzała na nas wyzywająco, jak najlepiej domykając szczękę, rzucając nam wyzwanie, żebyśmy z niej zadrwili. Przytuliliśmy się szybko i tej nocy nie było więcej historii. Jakiś czas później wszyscy zasnęliśmy, nawet ona, jej szkarłatna sierść stroszyła się przy każdym chrapnięciu.

Zbudziłem się w tym strasznym zimnie, które czasami sączy się pomiędzy północą a brzaskiem, jakby niebo zamarzło i jego

czarne skraje wpełzały przez każdy szew pod ubranie. Nawet w wozie z ciepłymi zasłonami drżałem, więc jak zawsze odwróciłem się w stronę Oublietty, szukając ciepła – ale jej nie było, zostało puste miejsce w zwoju ogona Grotteschi, gdzie spała. Chwycił mnie nagły ból w brzuchu – przez wszystkie te lata ani razu nie zbudziłem się w pustym łóżku, ona zawsze tam była, ciężka i ciepła w nocy. „Nie zostawiaj mnie, nie zostawiaj mnie” – tak brzmiał refren naszego wspólnego życia.

Delikatnie zdjąłem z nóg sploty ogona mantykory, ostrożnie odsunąłem od drzwi zieloną skorupę żądła skorpiona i wymknąłem się na zewnątrz, w zimno, które zapiekło mnie w twarz jak brzozowe witki.

Taglio spoczywał obok długich niebieskich dyszli wózka, zielone ubranie miał usiane rosą, lód przywierał do spodniej strony jego czarnych jak smoła kopyt. Oublietta spała, skulona przy nim niczym kot, sny chmurzyły jej twarz, ale nie wyglądała na przestraszoną – znam wyraz strachu na jej twarzy, znam aż nazbyt dobrze. Chciałem podejść i ułożyć się przy niej jak zawsze, wtulić głowę w jej ramię i oddychać razem, trzymać ją pomiędzy sobą a ciemnością. Ale chyba nie była tylko moja, przecież nie wysmyknęła się z wózka dla kaprysu, więc uznałem, że nie powinienem jej przeszkadzać.

A jednak wczołgałem się pod dyszle wózka i wyciągnąłem obok Oublietty, jej znajomego ciała, jej znajomego zapachu. Taglio się poruszył i zarzucił długą, szczupłą rękę na nas oboje.

– Nie znalazłem jej – westchnął. – To chcesz wiedzieć, prawda? Jak mogłem przestać szukać, jak mogłem pozwolić jej odejść? Bardzo się starałem, ale ścieżki, które wiodą na Wyspę Umarłych, są ukryte i ciemne, nie umiałem ich odnaleźć. Jestem pasterzem, znam tylko porządnie uprawiane pola i spłachcie

ziemi, gdzie mój lud żył z dziada pradziada. Nie znalazłem jej, a Grotteschi też zasłużyła na swoją szansę. Pewnego dnia znów podejmę poszukiwania. Może w Adżanabh jest kartograf, który zna drogę, albo poeta, który słyszał, jak tam trafić.

Ostrożnie, żeby nie zbudzić Oublietty, wyjął zza pazuchy niewielkie pudełko, misterną szkatułkę z herbacianego drewna, ze ślicznym zielonym butem rzeźbionym na wieku i wyłożonym berylem. Otworzył je, a w środku leżał srebrny liść, lśniący ciemno i blado.

– Ale mam ją przy sobie, zawsze i wszędzie – powiedział i zamknął wieczko.

I tak podróżowaliśmy razem, zmierzając do Adżanabh, który leżał dalej, niż sięgały moje wyobrażenia o szerokości świata. Szliśmy, jechaliśmy, dawaliśmy przedstawienia dla chleba, gdyż nie mieliśmy nikogo, kto plułby perłami na nasz codzienny użytek. Taglio od czasu do czasu łapał królika. Oublietta chodziła z nim na polowania i stała się dzikuską. Rzadko się odzywała, coraz chudsza i wyższa, ruchy miała nagłe i ostre.

W naszym małym przedstawieniu tańczyła.

W wózku była czerwona kurtyna i kiedy zebrało się więcej niż kilku wieśniaków z miedziakami zaciśniętymi w stwardniałych od wyrywania rzepy dłoniach, rozpinaliśmy ją wysoko i przewlekaliśmy przez nią ogon Grotteschi, ubrany w zieloną skarpetę, żeby ukryć żądło. Drżała za każdym razem, gdy wkładaliśmy skarpetę, ale nie protestowała – tak wyglądało przygotowanie do naszego popisowego numeru. Mieliśmy inne: Grotteschi często śpiewała, a w śpiewie zwracała twarz ku niebu i płakała, dzięki czemu nasze kosze napełniały się żywnością i pieniędzmi, bo pieśń mantykory chwytala ludzi za

ręce i siłą opróżniała ich kieszenie. Taglio tańczył – ale często wzbudzał lęk wśród tych, którzy wiedzieli, jak zwykle kończy się taniec gaselli. Częściej przywiązywał wstążkę do szyi mantykory i straszył ich poskromionym potworem. Grotteschi po przedstawieniu z odrazą pożerała wstążkę i zawsze ich nam brakowało. Ale taniec Oublietty najbardziej się podobał.

Odziany w skarpetę ogon był bardzo przekonującym wężem i Oublietta wykonywała z nim dziwny, wijący się taniec, podczas gdy Taglio grał na fujarce albo na skrzypkach z migdałowego drewna. Z biegiem lat opanowałem sztukę gry na skrzypkach i wespół graliśmy do tańca. Taniec Oublietty zawsze wydawał się obcy, wstrząsający. Choć nosiła długą suknię, niektórzy wieśniacy zwali go sprośnym – ale tylko dlatego, że tańczyła w zapamiętaniu, z desperacją. Za każdym razem wirowała coraz szybciej i nigdy dwa razy tak samo. Tańczyła, jakby tańcem mogła się uwolnić z darniowej wieży i od złotej piłki, z miasta widma i od miłości jeża.

Gdy Grotteschi kreśliła ogonem faliste, kręte, wijące się wzory, gdy zataczała nim leniwe kręgi, Oublietta opowiadała tańcem historię, którą poznaliśmy na Wstriechy, historię znaną we wszystkich siołach i w mieszczańskich murach. Tańczyła o kobiecie, która była również wężem, która była Gwiazdą, i jak mąż ją zdradził, i jak wywarła zemstę. Przy finalnych tonach Oublietta skrywała się za kurtyną, zostawał tylko wielki zielony ogon.

Moja przyjaciółka była opętana przez tę historię, przez swój taniec. Już prawie do nikogo się nie odzywała, choć nocami wciąż nie mogła spać sama i tuliła się do Taglia albo do mnie, albo nawet do futrzanego boku czerwonej lwicy. Raz, gdy przywiązała noże do łydek, aby upolować jelenia, spróbowałem

ją pocałować – tylko raz, tylko żeby sprawdzić, czy mogę. Cofnęła się i spojrzała na mnie podkrążonymi czarnymi oczyma.

– Dlaczego? – zapytała teraz bogatym i głębokim głosem dorosłej kobiety. – Dlaczego chciałeś to zrobić?

– Nie wiem – odparłem zgodnie z prawdą.

Przyniosła jelonka tej nocy. Jego plamki bieleły upiornie w poświacie księżyca. Rankiem Oublietta zniknęła, a szkatułka Taglia była pusta.

OPOWIEŚĆ O PRZEPRAWIE, CIĄG DALSZY

– Poszedłem za nią. Zawsze za nią szedłem. Jest na tej wyspie, na pewno tam. Zamierzam ją uratować. Ratujemy się wzajemnie, zawsze to robiliśmy. Zostałem stworzony, żeby ją ratować; ona została stworzona do ratowania mnie.

Idylla spojrział spod ściągniętych brwi na niebo, czarne i skotłowane przez nadciągającą burzę.

– Jak wydałeś ostatnie trzy monety?

– Czemu to cię ciekawi? Nie wystarczy, że masz jedną z nich?

– Nazwij to zainteresowaniem numizmatyka – odparł starzec z chichotem.

Siódemka zasłonił oczy szorstką ręką o pokierszowanych knykciach. Zwalczył łzy, choć gardło miał ściśnięte tak mocno, że niemal dusiło słowa. Nie mógł mówić płynnie; głos rwał mu się i łamał, pochłaniany przez wielkie szkliste jezioro i dudniące niebo.

– Wydałem je, żeby dostać się tutaj! Wydałem je, żeby ją znaleźć! Wydałem je, żeby nakłonić rolników, astrologów, leniwe księżęta i mleczarki do powiedzenia mi, dokąd poszła, żeby nakłonić kartografów, poetów, pilotów rzecznych i nekromantów do powiedzenia mi, jak pójść za nią. Wydałem je, żeby ją odzyskać – do czego innego się nadają? Co mógłbym za

nie kupić? Wydałem je, żeby ją odkupić, wydałem je, żeby przeprowić się przez jezioro, wydałem je i wszystkie przepadły, i teraz mam tylko pusty rękaw.

Zaniósł się tłumionym przez mgłę szlochem. Stary przewoźnik chciał go pocieszyć i pochylił się, żeby to zrobić, ale nagle dmuchnął słaby, piskliwy wiatr, jak ostatnie tchnienie człowieka, który zamarzył na śmierć na jałowym polu śnieżnym. Wiatr rozchylił wyświechtany brązowy płaszcz Idylli. Siódemka zobaczył, co jest pod nim – chciał wrzasnąć albo krzyknąć, ale jego płuca zdobyły się ledwie na jęk.

Skóra Idylli kończyła się tuż pod szyją. Resztę stanowiły kości, duże, długie żółte kości. Szkielet nie był zupełnie ludzki, bo nad kręgosłupem wyginała się para dużych skrzydeł tworzących starczy garb. Ręce i stopy miał ludzkie, obciążone pomarszczoną skórą, obwisłą i suchą. Pod płaszczem był nagi. Przez luki pomiędzy kośćmi Siódemka widział spienioną srebrną wodę jeziora.

W tych samych przestrzeniach pomykały dwie czarne jaszczurki, goniące się w klatce piersiowej jak wiewiórki wokół pnia dębu. Szczebotały i syczały, muskając językami jego obojczyk, jego miednicę. Ślepka miały białe niczym oczy ślepeca. Co jakiś czas jedna zatrzymywała się na krótko, jakby znalazła orzeszek, i gryzła kręg przewoźnika.

Idylla wyglądał na rozgoryczonego. Zasłonił płaszczem ścigające się jaszczurki.

– Nie jest tak źle, naprawdę. Przywykłem do nich. Ale przypuszczam, że to wymaga wyjaśnienia jak kościana moneta...

OPOWIEŚĆ PRZEWOŹNIKA

Są tacy, którzy mówią, że Księżyc nie żyje, że tylko martwi wywodzą stamtąd swój rodowód. Mylą się. Jeśli wierzysz w Pismo takich stworzeń, z pewnością uwierzysz we wszystko.

Księżyc jest zawsze płodna. Nie może się obrócić, by spojrzeć na siebie w zwierciadle oceanu, ale peonia o krystalicznych płatkach wyrasta jej z pępka. Kiedy mówi, ostrygi wypadają z jej ust, ostrygi i kijanki z ruchliwymi ogonkami. W ciemności świata, zanim pojawiły się oczy, żeby się otworzyć i nazwać mrok czernią, była cała i idealna, i nie zmieniła kształtu przez miesiąc. Ale w ciemności jak we wszystkim innym płynęły prądy i wiatry, które dmuchały delikatnie na żebra i ramiona Księżyca, sprawiając, że powoli obracała się na niebie z rękami rozpostartymi jak dziecko, kiedy leży na przejrzystym niebiesko-zielonym morzu i pozwala, by pchały je pocałunki fal.

Kiedy Gwiazdy opuściły niebo – w tym ludzie nie kłamią – zostały ssące dziury w ciemności i wiatr wypadł z nich jak z dziurawego balonu. Biedna Księżyc, obita ze wszystkich stron przez te świszczące podmuchy, zaczęła obracać się coraz szybciej. Gdy wirowała na niebie jak derwisz, potężne wichury zdierał kawałki jej ciała, blade, przejrzyste i migotliwe. Skrawki te spadały sennie na ziemię, lekkie jak piórka i kruche jak płatki kwiatu.

Wreszcie Księżycowi nie zostało nic, co mogłoby z niej zedrzeć puste niebo. Małe czarne jądro jej istoty spoczęło w bezświatlnym wgłębieniu, nie większym i nie jaśniejszym niż drobina sadzy. Ale, jak każde stworzenie, gdy ma chwilę wytchnienia, Księżyc zaczęła znów rosnać, bo nic nie mogła poradzić na swoją płodność. Obróciła się w tę stronę i w tamtą, i peonie rozkwitły w jej pępku, chryzantemy wybuchły z dłoni. Ostrygi i kijanki wypadały z jej ust. Konary sosny okręciły się wokół jej talii. Drzewka w jej włosach wiły się i tańczyły w ślepej ekstazie. Niedługo później Księżyc była pełna i ogromna jak kiedyś. Ale ubogie w Gwiazdy niebo stało się podobne rzece płynącej pomiędzy ostrymi skałami, prądy były jeszcze gwałtowniejsze niż wcześniej i gdy tylko zrobiła się okrągła i jasna, znów zaczęły zdzierać z niej ciało.

Tak oto Księżyc rośnie i maleje, od kuli światła do cętki sadzy. Biedna, zagubiona mała Księżyc ma tylko króciutkie momenty wytchnienia. Współczujemy jej, my piórka, my płatki, my złuszczone z niej dzieci. Hsienowie są skórą Księżyca, wyrzuconą jak łupinka śliwki. Jesteśmy dryfującymi skorupami, zdmuchnięci z niej przez czarne wiatry, srebrno-matowe jak cień rzucony przez naparstnicę o wschodzie księżyca, czyste i twarde niczym zamrożone szkło.

Kiedyś prowadziliśmy świętą wojnę przeciwko plotącym bzdury heretykom, którzy uparcie czczą fałszywy Księżyc, ale oni nie oplakują swoich zmarłych jak my. Dawno temu zrezygnowaliśmy – jeśli chcą zabawiać się makabrycznymi bajkami, nie będziemy psuć im zabawy. Skrucha jest straszna, gdy trzeba ją dźwigać samemu. Trwamy, znając prawdę, nawet w obliczu ich wypaczeń.

Jestem pewien, że postrzegasz mnie jako mężczyznę – ta forma wydaje się odpowiednia do pracy przewoźnika. Ale nie jesteśmy mężczyznami ani kobietami. Płatki Księżyca nie mają płci, nie mają dzieci, nie zawierają małżeństwa. Co miesiąc więcej nas spada na ziemię z jej ciała i jeśli przeżyją, jak żółwie wędrujące przez piasek do czekającego na nie morza, wtedy uzupełniają nasze szeregi. Nie jesteśmy stworzeni do płodzenia i rodzenia dzieci; jesteśmy maleńkimi księżycami, a księżyce się nie mnożą, nie zwiększają swojej liczby. Nie jemy pięciu zbóż jak ludzie, tylko ssiemy wiatr i pijemy rosę. Starzejemy się powoli jak kamienie i trudno jest umrzeć, chociaż to się zdarza, tak jak jest możliwe rozbicie żyłkowanej kwarcem skały.

O tym, że jestem dość stary, powie ci fakt, że wzniosłem Różaną Kopułę nad diamentowymi iglicami Szadukiamu w czasach, zanim miasto obróciło się w Szpik. Byłem wtedy architektem i ojcowie miasta zlecili mi nakrycie ich murów kwiatami, które nie spłowieją, nie zwiędną, nie opadną. Ktoś uznał, że chodzący skrawek Księżyca będzie coś wiedział o trwałości. Obiecano mi zapłatę, kadź od wina pełną opali i srebra – zawsze byli dekadency, nic się naprawdę nie zmieniło.

W owych czasach Szadukiam był kolczastym lasem rusztowań. Szadukianie wciąż cięli ziemię na płaty, by sadzić na nich budynki jak drzewka w wilgotnej czarnej glebie – miasto metalu i kupców dostało obsesji na punkcie tego, co rośnie! Diamentowe iglice wzniesiono dopiero niedawno, robotnicy bez lęku wysokości wciąż szlifowali ich fasety. Drogi były ubijane stopami, nie toczącymi się kamieniami ze złota i srebra. Asaad miał baldachim z wełny. Jak pasujemy do siebie, ty i ja! Pamiętam miasto, zanim stało się Szpikiem; ty pamiętasz je potem. To historia sprzed historii, chłopcze, i ja tam byłem.

Poleciałem kilkorgu z rodzeństwa uwić gniazda na skrzących się wieżyczkach albo na platformach pod nimi i czekać na mnie, a sam poleciałem w świat na poszukiwanie niezniszczalnej róży.

W OGRODZIE

Dziewczynka patrzyła, jak chłopiec znika w pałacu niczym brzęcząca pszczołka w paszczy aligatora. Szła za nim, pragnąc przedłużyć – jeszcze odrobinę! – czas, w którym nie będzie sama, zziębnięta, milcząca. Kiedy wszedł do tego cienistego pałacu o wielu wieżach, który był przed nią zamknięty, przemierzyła drobnymi stopami plac szykowany dla Dinarzad i jej męża. Prawie ukończono już wznoszenie rusztowania, kasztanowce pochylały się dokoła, ich nagie konary zostały splecione i okręcone złotym drutem, tworząc baldachim dość gruby, by osłonić głowę Dinarzad w welonie przed okiem nieba. Dziewczynka zastanawiała się, co oko nieba może zobaczyć przez tak wiele gałęzi i warstw jedwabiu. Słońce jeszcze nie wstało, ale albo ona i chłopiec nabrali wprawy, albo Dinarzad stała się mniej czujna. Dziewczynka była pewna, że jej przyjaciel bezpiecznie leży w ciepłym łóżku, okryty lisim futrem i wełną. Może rosa zmoczyła mu włosy na czole, może nie.

Pawie wędrowały po ogrodzie, ich zielono-fioletowe ogony wlokły się po rabatach, ich niebieskie głowy podskakiwały ku gronom późnych jagód. Dziewczynka i pawie nie ufali sobie wzajemnie – one nie umiały śpiewać, a ona nie umiała stąpać dumnie i ostentacyjnie. Pawie nie były całkiem dzikie, ona nie była całkiem oswojona. Ale tego jednego dnia ze wszystkich dni

zawarła z nimi pokój i ścisnęła gardło na tyle, by wydać przeraźliwy pawi krzyk. Kobaltowy ptak zeskoczył z dzikiej róży i skubnąwszy parę razy jej palce, złożył głowę w jej dłoniach. Dziewczynka tęskniła za jeziorem, ale jeszcze bardziej za swoimi ptakami, dzikimi gęsiami, które przybywały do ogrodu pełnego kwiatów i lśniących owadów, a odlatywały, kiedy nastawała zima. Długie szmaragdowe pióra musnęły jej policzki, gdy ptak rozłożył skrzydła, i roześmiała się śmiechem niskim i przenikliwym niby wieczorny krzyk sowy.

– Czy są stworzenia, które nie robią, co każesz? – zapytał ktoś za jej plecami.

Chłopiec wyszedł z kasztanowej kaplicy. Paw drgnął, zasyczał i naburmuszył się, wysoko podnosząc ogon z oburzenia.

– Wiele. Ogrodnicy, siostry, sułtani.

– Cóż, musisz nauczyć się ich krzyków godowych. Jestem pewien, że w końcu je opanujesz.

Dziewczynka uśmiechnęła się krzywo.

– Powinieneś być w łóżku. Znów wpędzisz nas w kłopoty.

– Dziś jest kolejny bankiet dla nowej rodziny mojej siostry, dla matki i ojca, a także trzydziestu siedmiu braci i sióstr jej narzeczonego. Dasz wiarę? Nawet nie próbowałem policzyć kuzynów. – Parsknął śmiechem krótkim, ostrym, jak brzdęk zwolnionej cięciwy. – Zabili żyrafę! Nigdy dotąd nie widziałem żyrafy. Wnieśli plamiste stworzenie przez tylną bramę, żeby wszyscy mogli zajadać się szyją. Myślisz, że szyja będzie smaczna? Postaram się przynieść ci trochę, jeśli chcesz. Ale naprawdę nikogo nie będzie obchodziło, jeśli znów ucieknę – już się przyzwyczaili, a Dinarzad nie może wpaść w szal przy przyszłych powinowatych. Będą tańczyć i jeść, dopóki ich nogi lub szczęki się nie zmęczą, albo jedno i drugie.

Dziewczynka ruszyła dalej, wycierając w spódnicę ogrzane przez pawia ręce.

– Czy opowiesz mi opowieść za dnia? – zapytał chłopiec nieśmiało. – Czy nawet samo pytanie nie wydaje się dziwne, zadane przy pierwszym świetle zamiast przy ostatnim?

– Czy są stworzenia, które nie robią, co każesz? – zapytała dziewczynka figlarnie.

Chłopiec się zarumienił.

– Ty znasz moje prośby. Ja nie znam twoich – mruknął, unikając jej spojrzenia.

Wątle światło słońca, niewiele się różniące od księżycowego, sączyło się przez chmury jak przez rzadkie płótno, pokrywając drzewa wilgotnym blaskiem, i padało skośnie na koniuszek długiego, prostego nosa dziewczynki. Ręce jej zziębły o poranku, ścieżki ogrodu były wilgotne i drżące. Odciągnęła chłopca od nowo narodzonych cieni kasztanowej kaplicy w kolczasty gąszcz jeżyn, podobny do ich pierwszej altanki, tylko że tu gałęzie były nagie i brązowe, ciernie nad głową ociekały rosą. Chłopiec usadowił się wygodnie i sięgnął po jej ręce, by je ogrzać, jak zrobiłby z młodszym rodzeństwem. Ona pozwoliła mu pocierać palce, aż skóra zaczęła ją mrowić, czerwona i gorąca, i zaczęła opowiadać.

OPOWIEŚĆ PRZEWOŹNIKA, CIĄG DALSZY

Wydawało mi się oczywiste, że nie można wyhodować róży, która nie będzie wiedziała w głębi łodyżki i korzeni, jak zwiędnąć i umrzeć. Ale doszedłem do wniosku, że można zamrozić kwitnącą różę...

Są górskie szczyty, których nie może zobaczyć biedne, związane z ziemią stworzenie. Chmury zwisają z nich niczym modlitewne flagi, otulają je woalami i całunami. My też nie moglibyśmy ich ujrzeć, gdyby niebo nie było dla nas drogą i gdyby ta droga nie mijała tego, co wy zwiecie szczytem, wierzchołkiem. Do tych ukrytych miejsc polecałem, jak najszerzej rozpościerając wydęte niczym księżyc skrzydła. Szczyty gór zamarzły, ich cienie na śniegu były kapryśne i blade. Z mojej piersi zwisała skórzana pętla, która podtrzymywała worek pełen tego, co miało uchodzić za pieniądze na suficie świata. Byłem tak blisko nieba, że czułem jego pot, i gdyby Księżyc, nasza biedna, znękana matka nie odpoczywała w swoim czarnym jak węgiel jądrze, byłbym – chciałbym? – mógł jej dotknąć.

Z czasem dotarłem na wierzchołek, za który droga już nie biegła. Nie powiem, że nie ma wyższych turni, ale to szczyt możliwości Hsienów, jak te skały poniżej są szczytami ludzi.

Może jakaś inna istota śmieje się z mojego szczytu, zwał go ledwie doliną, wytchnieniem od wysokości. Nie wiem; nie moim zadaniem wiedzieć. Wzleciałem najwyżej, jak mogłem, i skrzydła paliły mnie z wysiłku. Potem szedłem po śnieżnych mieliznach okolonych ostrymi kamieniami, okolonych skałami jak zęby korony. Szczyt góry przybiera wiele kształtów, a ten wyglądał jak krąg ziemi wśród granitowych zębów, przecięty licznymi zamarzniętymi rzekami i stawami, które niegdyś spływały wodą, gdy góra-stół była niższa, w historii przed historią przed historią.

Wzdłuż tych starych, twardych rzek stały domki całe ze szkła albo z lodu, albo jednego i drugiego – przypuszczam, że kiedyś były szklane i popękały na ostrym wietrze, ale potem znów zamarzyły tak szybko, że nikt nie zauważył pęknięcia. Może zdarzało się to tyle razy, że nic z nich nie zostało poza odłamkami szkła trzymanymi razem przez okowy lodu. Do tych domów brnąłem w raketach śnieżnych uplecionych z wikliny i własnych piór. Kiedy dotarłem do środka miasta, usadowiłem się na śniegu i czekałem. Moje skrzydła drżały na wietrze, rysując szybkie, żywe wzory na bieli. Przygotowałem się na długie czekanie, ale już po tygodniu strzaskane drzwi jednego z domów otworzyły się ze skrzypieniem i wyszła do mnie mała zielona istota.

Przybyłem do królestwa kappów i właśnie jedna z tych opornych, krnąbrnych istot z zakłopotaniem przestępowała przede mną z nogi na nogę. Wielce przypominała stojącego na zadnich łapach żółwia, choć nawet wyprostowana sięgała mi ledwie do kolan. Skorupę miała zieloną jak oczy dziewczęcia, kończyny cętkowane jak mech, szorstkie i gibkie. Ręce i stopy, pomiędzy którymi zachodziła niewielka różnica, duże, z

błonami jak u kaczki, a nadgarstki i kostki grube, pęczniejące od mięśni. Miała w ustach kilka grubych żółtych zębów i twarz wydłużoną w coś w rodzaju dzioba pod brązowymi włosami przyciętymi jak mnisia tonsura. Grzywka, płaska i oszroniona, spadała jej na czoło, a w łysinie pośrodku głowy dziewczyna-żółw miała głęboką dziurę wypełnioną spokojną niebieską wodą – tylko że na mroźnym wietrze woda zamarzała na kamień i teraz lśniła, srebrna i bezpieczna w czaszce właścicielki.

– Jestem Yoi-która-urodziła-się-wieczorem – powiedziała. Jej chropawy głos przypominał szuranie stóp po dnie jeziora.

– A ja jestem Idylla, który się urodził... nocą, jak przypuszczam. Przychodzę błagać cię o skarb, ale nie przychodzę z pustymi rękami. – Otworzyłem worek, ciężki i stary, i wyciągnąłem garść zielonych owoców, długich i lśniących. Yoi powąchała je i jej oczy się rozszerzyły.

– Ogórki – szepnęła.

– Jesteś bardzo mądra, Yoi-która-urodziłaś-się-wieczorem. Nazbierałem dla ciebie ogórków w dalekim świecie, na mizериę i pikle, żółtych, zielonych i białych jak koszula nocna dziewczęcia, dobrych na kanapki, i innych z twardszych, idealnych do uduszenia w potrawce. Są też korniszony wielkości twojego kciuka i rzadkie hybrydy, maleńkie jak groszek. Mam nawet południową odmianę, której kwiat jest czerwony jak serce, a miąższ owoców rumieni się pomarańczowo.

Ślinka naciekła do ust kappy i zaraz zamarzała w kącikach.

– Czego pragniesz w zamian?

– Różę, która żyje wiecznie i nigdy nie blednie, nie więdnie ani nie gubi płatków.

– Czyżby ci się zdawało, Idyllo-który-przypuszczasz-że-urodziłeś-się-w-nocy, że tutaj kwitną róże?

– Czy kappa nie są wielkimi opiekunami roślin? Czy wasza reputacja jest niezasłużona? Z pewnością w waszych strzaskanych domach kryje się wiele cudów, a jak nie, to znaczy, że świat został poważnie oszukany.

Mała żółwica westchnęła.

– Możliwe, że mamy to, czego pragniesz, różę-która-zrodziła-się-w-jaszczurce. Ale w tych czasach spokoju i zimna nieczęsto zdarza się okazja, byśmy handlowali naszymi z trudem uzyskanymi szczepami. Nawet ogórki – bezcenne, przepyszne ogórki – nie rosną tutaj dobrze. Cóż takiego dokonaliśmy wyboru...

OPOWIEŚĆ O LEKCJI JASZCZURKI

Nie byłam jedną z ukochanych córek. Rozumiem, że w opowieściach snutych poza górą, w opowieściach snutych przy kominkach jak płonące serca, zawsze występuje syn króla albo wykształcony chłopiec kupca, który zostaje porwany do jakiegoś czarnego królestwa lub wyrusza na poszukiwanie żony czy sztaby złota. Ja jednak nie byłam nikim szczególnym. Urodziłam się wieczorem. Woda była fioletowa, takie samo niebo. Wyklułam się w gnieździe niedojrzałych jagód i jeżyn, i pobiegłam ku wodzie ze wszystkimi moimi braćmi i siostrami, modląc się, żeby pustułka, rybołów czy aligator nie pozbawiły nas życia, w które właśnie weszliśmy. Wielu z nas nigdy nie dotarło do wody.

My, kappy, nurzamy się w naszych sadzawkach i rzekach. Ciągnie nas do wody, do jej głębi i mułu. Woda w naszych czaszkach woła do wód świata. Kochamy nasze sadzawki, które chwytają gwiazdę-która-jest-zrodzona-w-wodzie i chmurę-która-jest-zrodzona-w-trzcinach w idealnych lustrach swych tafli. I gdyby jakaś straszna, nieposłuszna, zła istota, która urodziła się w domu, wpadła w tę idealną wodę, rozchlapała ją i wzburzyła błoto, z pewnością nie powinno się nas winić, jeśli mocno ją pogryziemy.

Staw moich narodzin był małą sadzawką, zielonkawobrązową, z paroma trzciniami sterczącymi jak sierść

na brzegach i z trzema dostojnymi liliami, które rosły blisko siebie, otulone żółtymi płatkami jak wełnianymi szalami. Nie było to wspaniałe jezioro ani burzliwa rzeka tocząca swoje wody przez stuletnie skały, tylko krąg wody w ciemnym lesie, ani głęboki, ani szeroki. Ale sadzawka była moja i nie porwała mnie pustułka, gdy brnęłam do wody, i zatonełam z wdzięcznością w jej wieczornym błocie, i bardzo ją kochałam. Brodziłam po płycznach i wyrywałam chwasty, żeby nie zarosła. Jeśli rolnik przychodził zaczerpnąć wody do cebra, zgrzytałam na niego zębami i mrużyłam czarne oczy w szczeliny. Jeśli córka młynarza przychodziła kąpać się w toni, ciągnęłam ją chudymi palcami za włosy i gryzłam w miejsce, gdzie kręgosłup łączy się z miednicą, a wtedy z piskiem zmykała do domu.

Tak żyliśmy, każde w swojej sadzawce, połączeni jedni z drugimi, urodzeni wieczorem z urodzonymi rano, przez strumyczki deszczu ciekące z sadzawki do strumienia, a stamtąd do rzeki. I trzymaliśmy w czaszkach naszą wodę, spokojną i gładką jak lustro, bo nie lubimy jej tracić – przez wiele dni po takim zdarzeniu, zanim znów się napełnimy, omdlewamy, chodzimy jak we śnie i jesteśmy ślepi, podczas gdy woda wzbiera. Szybko dowiedziały się o tym wszelkie rodzaje bestii z suchymi mózgami i urządziły sobie zabawę, składając przed nami ukłony. Jesteśmy uprzejmi, bardzo uprzejmi – maniery są naszą prowincjonalną rozrywką i ojczystym dialektem. Możemy ich gryźć, gdy tratuja nasze domy, ale jak moglibyśmy odmówić odwzajemnienia ukłonu? Czujemy się zobowiązani odkłonić, a wtedy, jak myślę, bardzo ich bawi patrzenie, gdy potykamy się i upadamy niczym pijane żółwie.

Nauczyłam moje lilie wydawać owoce. Jesteśmy bardzo dobrzy w instruowaniu świata, jak ma się przed nami kłaniać – uczymy go takich rzeczy, o których stworzeniu sam nawet by nie pomyślał. Przyniosłam sadzonki brzoskwini, żeby dawały przykład moim liliom, i cierpliwą nauką nakłoniłam je do wydania słodkich, drobnych jagód, choć były niechętne, jak wszystkie stare kobiety, do spróbowania czegoś nowego. Jagody-lilii-które-narodziły-się-pod-księżycem smakowały jak papier, skryzalizowany miód i kurz. Z powodu lekcji danej liliom pozwolono mi podążyć powolnymi strumykami ze stawu do stawu i dołączyć do ogrodników zajmujących się szczepieniem i krzyżowaniem nasion w Wielkiej Kappie, spędzających dni na kontemplowaniu niezliczonych lekcji, których jeszcze musieliśmy udzielić, i notowaniu tych już zakończonych w iluminowanych katalogach. Po sklepionych sufitach Wielkiej Kappy wiły się liście i pnącza, i jeśli żółw, szkicując teoretyczne drzewo dyniowe i jego symbiotycznego strażnika na marginesie traktatu o skromnym jabłku – zawsze przyjemnie wyprostowany i z wodą w głowie – zgłodniał, wystarczyło mu wyciągnąć rękę i zerwać słodki, soczysty ogórek z ramy okna, żeby zadowolić brzuch.

Z koszem liliowych jagód weszłam do tych zielonych sal, zdenerwowana jak dziecko pierwszego dnia w szkole. Dostałam biurko pod oknem z kwiatami ogórka tak delikatnymi, że widziałam przez nie dolinę, całą ukwieconą hipotezami.

Kiedy spędziłam tam trzy lata, odniósłszy tylko parę skromnych sukcesów – wyhodowałam błękitny kwiat limety, melon herbaciany i małą cytrynę – wysłano mnie w teren z Yazo-która-urodziła-się-u-schyłku-zimy. Miałyśmy wrócić po roku, żeby uczyć naszą własną odmianę skromnej, zwyczajnej

róży. Yazo studiowała o rok wyżej, ale uważano ją za wielką pomyłkę. Jej pierwsza lekcja, granat-mrówka, wypadła wielce obiecująco, lecz od czasu przybycia nie zrobiła nic więcej, tylko katalog. Dlatego została ukarana przez połączenie w parę z niedoświadczonym żółwiem, a mnie delikatnie mobilizowano do podjęcia większego wysiłku przez zaprzęgnięcie w jarzmo z zagadkowym geniuszem, który nie chciał pracować.

Dziesięciolecia dzieliły nas od naszych największych wspólnych osiągnięć: upas-która-została-zrodzona-przez-wodę, ixora-która-zrodziła-się-płonąc, ale tylko rok, mniej więcej, od róży-która-urodziła-się-w-jaszczurce.

Yazo była śliczna, z twarzą o niezwykłym odcieniu żółtawej zieleni, z tonsurą lśniącą i czarną, lecz włosy miała rozczochrane, oczy zawsze zmęczone. W błonach pomiędzy jej palcami były dziurki, maleńkie jak ukłucia igłą, ale pomimo to je zobaczyłam. Gdy wyszłyśmy z obsianych drzwi Wielkiej Kappy, dźwigałam jej plecak i własny, żeby oszczędzić jej wysiłku. Jesteśmy uprzejmi, zawsze uprzejmi, jak mówiłam.

– Yoi-która-urodziłaś-się-wieczorem – powiedziała, gdy przez jakiś czas szłyśmy przez pola wzdłuż zakola rzeki, która przepływała przez centralną salę Wielkiej Kappy i wracała do świata – jak myślisz, czy po wylaniu naszej wody i późniejszym uzupełnieniu, jak misa opróżniona rano i napełniona na noc, będziemy tymi samymi kappami, tymi samymi kochanymi żółwiami co wcześniej?

– Nie wiem, Yazo-która-urodziłaś-się-u-schyłku-zimy – wydukałam. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– Wylewam swoją wodę raz w miesiącu, odkąd weszłam do ogórkowych sal – wyznała cicho, z rozmarzeniem, patrząc na ciepłą wodę i dryfujące jętki-mleczko.

– Co?! – krzyknęłam przerażona. – Dlaczego to sobie robisz? To straszne, nieprzyzwoite!

– Może udzielam sobie lekcji – tak brzmiała jej odpowiedź.

Szliśmy w zaciętym milczeniu, które nie chciało nas opuścić. Spojrzałam znowu na dziurki w jej błonach, na jej zmierzwione włosy, na jej niezwykłą skórę. Zrozumiałam, dlaczego inne kappy nie lubiły Yazo – była obszarpana i dziwna, pewnie szalona. Mimo to zrobiłam, co kazała.

A powiedziała, że zmierzamy do Królestwa Szklanego Deszczu, krainy na dalekich stepach, której mieszkańcy odkryli nowy sposób znajdowania odpowiedzi na różne pytania. Potrzebując odpowiedzi, skierowałyśmy nasze skorupy ku trawiastym obszarom i co noc prosiłam Gwiazdy, żeby podróż nie trwała dłużej niż miesiąc, żebym nie musiała być świadkiem ofiary Yazo.

Królestwo Szklanego Deszczu porastały dzikie trawy kołyszące się na równinach jak fale w czasie przyływu. Zielone i złote, ze srebrzyście szarymi łodygami, wyglądały przepięknie. Dolina leżała wśród czerwonych skał i przysadzistych, płaskich wzgórz pociętych bladymi pasami żółtego kamienia. Było zimno; w dali pod wysokim, kruchym niebem czysto i ostro lśniły długie dachy stolicy, kryte dachówką, podobne, hm, podobne do skorupy żółwia.

Zostałyśmy przyjęte, w pewnym sensie, u bram miejscowej akademii, przy zakurzonych drzwiach z grubych cedrowych desek rzeźbionych w misterny wzór splecionych jaszczurek. Mówię „w pewnym sensie”, ponieważ z początku nie byliśmy pewne, czy ktoś w ogóle tam jest, tuż za cienistym progiem, który pachniał sianem, jajami i starym cedrem wypolerowanym przez setki rąk.

– Proszę – usłyszałyśmy cichy, łagodny głos, jak miauczenie drżącego kota, który skrobie łapką kuchenne okno. – Kim jest ten, kto pragnie wejść do wylęgarni?

Nikt nie stał w miejscu, z którego płynął głos. Widziałyśmy tylko początek długiego korytarza pełnego ściszonych głosów i szczęku pazurków na szkle.

– Jestem Yoi-która-urodziła-się-wieczorem, a to Yazo-która-urodziła-się-u-schyłku-zimy. Przybywamy z Wielkiej Kappy, by prosić was o odpowiedzi. – Kierowałam swoją mowę w miejsce, do którego, jak sądziłam, powinna trafić, ale głos zabrzmiał bardziej na prawo.

– Przepraszam, wiem, że mnie nie widzicie, i to was niepokoi. Nazywam się Ostraja i jestem księżniczką szkła, i prowadzę ten dom. Jeśli macie pytania, wyhoduję jaszczurkę, która będzie znała odpowiedź.

Jej słowa kompletnie nas zaskoczyły.

– Ale gdzie jesteś? Dlaczego możemy cię słyszeć, a nic nie widzimy?

Zabrzmiał śmiech, jak z bardzo starego, nieszczególnie śmiesznego żartu. Poczułam ciężar na ręce, zimny i twardy – dłoń ze szkła.

– Zabrał mnie szklany deszcz...

OPOWIEŚĆ O SZKLANEJ KSIĘŻNICZCE

W tym kraju, kiedy mówimy o szklanym deszczu, nie używamy poetyckiej przenośni. Nie jest to wydumana figura retoryczna. Mówimy o wiośnie, nowej, zielonej i pachnącej trawą, o wiośnie, która sprowadza chmury tak białe i czyste, że wcale nie mają zapachu. Chmury przypełzają i napinają łuki – i spada szklany deszcz.

Krople są kawałkami szkła, jak strzaskane lustro spadające z nieba. Piętrzą się na trawie, ścinając ją nisko jak straszne, twarde płatki śniegu. Krzyczą, gdy spadają. Tną powietrze i chwytają światło chmur, błyskają i płoną. Tygodnie później drogi chrzęszczą i podzwaniają pod naszymi stopami. Kiedy przychodzą chmury, matki spieszenie wołają dzieci do domu, bankierzy zamykają się w skarbcach, szewcy barykadują się za rzędami butów o żelaznych noskach. Wszyscy się kulą, gdy deszcz grzechocze o dachy i rozbija dachówkę na kawałki, i spada z okapów w tęczę odbitych barw burzy.

Zaskoczył mnie, kiedy pobiegłam w step.

Moja matka jest królową szkła i nawet nie spróbuję opisać jej piękna. Już jako dziecko czasami nie mogłam o niej mówić, zdjęta podziwem dla jej srebrnych włosów i srebrnych oczu, dla powiek jak wata cukrowa, dla ust tak czerwonych, że zazdrościły jej jabłka. Była wtedy panią wylęgarni, jak ja teraz, i

wciąż miała obandażowane palce, bo jaszczurki są porywcze, nieposłuszne.

W tym kraju nie zawsze żyły jaszczurki. Sprowadziliśmy je, gdy byliśmy nomadami, tak wiele pokoleń temu, że już nawet nie próbujemy sobie przypomnieć, które ziemie były naszym pierwszym domem. Ale sprowadziliśmy je i hodowaliśmy w ciepłych norach, gdzie gruchały i syczały radośnie nad łęgami. Kto pierwszy zauważył znaczki na ich grzbietach? Kto może wiedzieć? Kobieta, mężczyzna, dziecko? Król, królowa, nędzarz, łotr? W sali mojej matki na złotym pulpicie leży księga z licznymi ilustracjami wykonanymi kosztownym szkarłatnym tuszem. Księga ta mówi, że kucharz w drewnianych butach kiedyś szukał nowego sposobu gotowania kapusty. Pewnego wieczora przygotował wielce zdumiewające danie na królewską ucztę, wieże i wieżyczki ukształtowane z kapusty, faszerowane rodzynkami i kozim mięsem, z kapuścianymi treliażami nad kapuścianymi rzekami, w których parowało czarne wino. Kiedy zapytano kucharza, skąd ten nadzwyczajny pomysł, pokazał swoją jaszczurkę, która miała wypisany misternymi znaczkami na grzbiecie skomplikowany, niezrównany przepis. Od tego dnia łapano i czytano jaszczurki, i choć nie wszystkie miały przepisy na łuskach, wiele nosiło historie, równania i wzory, proroctwa i prawa, jakich nigdyśmy nie słyszeli. Przepisywanie znaczków jaszczurek stało się obsesją całego pokolenia.

A potem odkryto, że gdy się mnoży jaszczurki, owocem są nowe i cudowne znaki. Jeśli jaszczurka z wypisaną na grzbiecie metodą wyrobu pięknej miedzianej łyżki została skrzyżowana z tą, która pokazała nowy sposób wydobywania cyny, z jaj wykluwały się tłusciutkie młode z instrukcją wykuwania brązowego miecza albo ze schematami wiertła wodnego, albo z

poematem epickim o dwóch posągach na przeciwnych krańcach pałacu, beznadziejnie w sobie zakochanych, jednym miedzianym i drugim cynowym. Tak oto zrodził się Rachunek Jaszczurkowy ze Szklanego Kraju.

Tak mówi księga na złotym pulpicie w sali mojej matki. Nie wiem, czy to prawda, ale historia jest bardzo ładna i w dzieciństwie codziennie mnie zachęcano do jedzenia kapusty.

Jakkolwiek się zaczęło, krzyżowanie jaszczurek jest teraz rozrywką naszych arystokratów i efekty bywają nadzwyczajne. Nie dziwię się, że przybywacie do nas po odpowiedzi – jakich odpowiedzi nie udzieliliśmy, gdy nas zapytano? Przecież to my odkryliśmy, że jest możliwe destylowanie jedzenia z kamieni i z klejnotów! Wyhodowaliśmy samą algebrę rządu na grzbiecie iguany! A jednak, choć krzyżowaliśmy jaszczurki z hymnami deszczu z tymi z pomarańczową mapą cząsteczki szkła naszkicowaną na czarnych łuskach, i te z zapowiedziami burz z tymi z planami szklanej katedry płonącej czerwienią na tle zieleni, nigdy nie odkryliśmy sposobu na powstrzymanie szklanego deszczu.

Kiedy byłam małą, moja matka zawsze trzymała mnie u swego srebrnego boku, na srebrnym biodrze, w zgięciu srebrnego ramienia. Dla niej określenie „królowa szkła” jest tylko tytułem albo sposobem opisanie jej cudownych rysów, jej zwyczajowo srebrnej krynoliny, jej szklatego, wilgotnego zapachu, omywającego ją niczym rosa, która spada z sosen, by nawilżyć leśne runo. A mnie tytuł „księżniczka szkła” po prostu opisuje.

Matka spuściła mnie z oka tylko raz, kiedy moja ulubiona jaszczurka, rosły grubas z mapą antypodów subtelnie wyrysowaną w brązie na suchej skórze barwy pergaminu,

zerwała się z plecionej srebrnej smyczy i podskakiwała w trawie z wysoko uniesionym ogonem. Pobieglam za nią, a matka w lśniącej sukni, ze szklanym parasolem w dłoni, wołała za mną, wykrzykiwała moje imię przez zieleń. Ale nie mogłam pozwolić swojemu pupilowi uciec – był przeznaczony do skrzyżowania ze smukłą czarną samiczką z żółtą mapą nawigacyjną na brzuchu. Wiązaliśmy duże nadzieje z potomstwem, a poza tym zawsze spał ze mną w nocy i byłby samotny na zimnie. Niebawem znalazłam się daleko od matki, choć wciąż słyszałam jej nawoływanie.

Burza przyszła szybko tego dnia, a żadna jaszczurka nie zapowiadała burzy o tej porze roku. Białe chmury kłębiły się jak konie. Ze strasznym trzaskiem, niby nóż wbity w lustro, spadł szklany deszcz. Czułam go – musiałam czuć. Ale kiedy myślę o tym teraz, nie pamiętam bólu, nie pamiętam ran, rozcinanej skóry ani skrajów deszczu spotykających się z moimi skrajami. Ale się spotykały i tysiące kawałków z wrzaskiem cięły moją skórę, przeszywały moje ramiona, moje ręce, moją głowę, moje policzki, moje nogi – ach tak, pamiętam, nogi bolały – cięły w tyłu miejscach i tak szybko, że zostałam przykuta do miejsca przez szkło, które lunęło na mnie nagle niczym woda wlewana do wazonu.

W istocie tak szybko i tak wiele okruchów spadło tego dnia, że kiedy burza minęła, a ja ruszyłam ze stepu na drogę, ku mojemu zaskoczeniu dziewczyna ze szkła wyszła z dziewczyny ze skóry.

Tak wiele szkła, tak szybko! W owej chwili było we mnie więcej szkła niż ciała, i tak miało być od tamtej pory.

Moja matka szalała. Sprowadziła jaszczurki z każdego królestwa, nawet te bez żadnych znaczków na grzbiecie.

Rozmnażała je w nadziei na znalezienie lekarstwa. Wysłała listy do wszystkich medyków, czarodziei i wiedźm, błagając ich o przywrócenie córce cielesnej postaci. Doszło nawet do tego – waham się to powiedzieć! – że nakarmili kilka rozplodowych jaszczurek, które miały wiedzę o szkle na grzbiecie, kawałkami mojej starej skóry ostrożnie przyniesionymi ze stepu. Wszystko na nic. Pozostałam szklana. Próbowali obtaczać mnie w pyłku albo przyciemniać szkło olejem i farbą lub błotem oraz trawą. Ale jestem zrobiona z deszczu i wszystko się ześlizgiwało.

Wreszcie w dzień tak jasny, że oślepił wiewiórki, szłam przez ośnieżone pola z moją zasmuconą matką, płatki śniegu siadały na jej srebrnych włosach, a ja czułam, że moja skóra pokrywa się szronem, rozwidlone linie mrozu wyrastały na moich policzkach, na moich ramionach, na moim brzuchu. Mój oddech zamarzał w powietrzu, a słońce prześwitywało przez moje włosy jak przez loki prawdziwej dziewczyny.

Matka objęła mnie i jej ciepłe palce przykleiły się do mnie, ale tylko się roześmiała i nazwała mnie swoim skarbem. Szłyśmy przez pola, a ona zrywała dla mnie krokusy i dała mi miodowe ciastka do zjedzenia. Rozmawiałyśmy o jaszczurkach, o deszczu, o głupstewkach, o jakich mówiłyśmy zawsze, gdy byłam tylko głosem i ciężarem na kanapie – lecz te drobiazgi wydawały się jaśniejsze i ważniejsze teraz, gdy matka mogła widzieć, jak ze śmiechu mrużę okolone szronem oczy.

Ale śnieg nie może padać przez cały czas.

W te nieliczne dni, gdy słońce i śnieg łapią się za ręce, moja matka i ja chodzimy po wysokiej, kruchej trawie. Kiedy dzień wstaje bezśnieżny, płaczemy i w milczeniu doglądamy jaszczurek, bo staram się oszczędzić jej bólu słuchania mojego głosu bez widzenia mojej postaci. Jestem duchem jej córki i

żałuję, że wtedy uciekłam. Ta niemądra stara jaszczurka. Nie powinnam tego robić.

Ale w skrytości serca myślę, że szkło jest bardzo piękne i że ja sama spośród wszystkich wiejskich dziewcząt mogę stanąć w szklanym deszczu i patrzeć w chmury, gdy ronią twarde, kaleczące łzy. Już nie mogą mnie skrzywdzić. I stałam się panią hodowli w miejsce mojej matki na długo przed tym, nim powinnam ją odziedziczyć – jaszczurki mnie kochają i mogą mnie gryźć do woli. Moje szklane palce niczego nie czują; zęby jaszczurek nie zostawiają śladu. Jestem w tym dobra, nawet lepsza niż moja matka, i to ja odkryłam sposób przemiany klejnotów w pożywienie, za co mnie wielce chwalono.

Ale moja biedna matka woła mnie po nocach i nie może zobaczyć, że już przy niej stoję.

OPOWIEŚĆ O LEKCJI JASZCZURKI, CIĄG DALSZY

– Jestem duchem-bibliotekarzem – powiedział głos. – Jestem cieniem, który nosi jaszczurki tu i tam, który otwiera i zamyka klatki, ale niczym więcej. Zostanę szklaną staruchą z pryzmatami zmarszczek, lecz nigdy nie będę królową. Będę straszyć moją rozpaczającą, nieszczęsną matkę i pilnować, żeby jaja były suche, to wszystko.

Przyznaję, gapiłyśmy się trochę niegrzecznie. To niezbyt dobrze świadczy o naszym wychowaniu, ale chyba można to nam wybaczyć.

– Co zatem chcesz od nas kupić, Yoi-która-urodziłaś-się-wieczorem?

– Chodzi o róże, Ostrajo-która-urodziłaś-się-w-deszczu – odparłam nieśmiało.

– Och, róże są bardzo użyteczne! Czy wiecie, że jeśli będziecie karmić róże tylko słodzoną wodą i papką z pszczoł miodnych, to płatki staną się słodkie i na tyle grube, by upiec je i podać w kanapkach, jak dzicze mięso albo rybę? Jedliśmy kanapki z różą i porem przez cały ostatni miesiąc!

Okazałyśmy pewne zainteresowanie, więc pokazano nam rodziców tego przepisu, jedno poddane tak skomplikowanym przeszczepom, że prawie nie wyglądało na jaszczurkę pod

znaczkami, drugie będące anatomicznym diagramem wielkiego szczupaka. Kręciły się po klatce, dumne ze swoich dzieci, z ich grubych nóg i ekspresyjnych ogonów, i nieświadomych, co noszą na skórze. Niewidzialne ręce pokazały nam wszystkie jaszczurki, które miały coś wspólnego z różami, i spędziłyśmy tam wiele miesięcy na medytacjach. Yazo wychodziła z siebie, jej oddech był ciężki i szybki, jej woda falowała w czaszce. Trzymałam się od niej z daleka, kiedy ją wylewała, i potem, gdy nie mogła sobie przypomnieć, kim jest. To było zatrważające i nie zdobyłam się na pytanie, jak może się tak torturować.

Tylko raz zaskoczyłam ją w czasie tego makabrycznego rytuału. Chciałam się z nią podzielić teorią dotyczącą produkcji tuszu z żółtek, i przyznam, że łamiąc zasady dobrego wychowania wpadłam do jej pokoju. Yazo klęczała na białej macie przed srebrną miską. Skrzywiłam się i chciałam wyjść, lecz zwróciła na mnie czarne oczy. Zielone worki pod nimi były straszne i głębokie. Uklękałam przy niej.

– Yazo-która-urodziłaś-się-u-schyłku-zimy, proszę, nie rób tego. To nieprzyzwoite, nie mogę na to patrzeć. Czy nie widzisz swoich błon? Swoich włosów?

– Daję sobie lekcję, Yoi. Sobie i wszystkim kappom. Oczywiście, że widzę. – Czule potarła moją tonsurę. – Przepraszam, jeśli sprawiam ci ból. Ale musisz zrozumieć. Inni myślą, że utrata wody skutkuje tylko kilkudniowym zaczerwienieniem oczu i wpadaniem na różne rzeczy. Jest znacznie gorzej. Nikt w to nie wierzy, dlatego pokażę im na własnej skórze. Kiedy posunę się dość daleko, zrozumieją, że musimy znaleźć miejsce, gdzie nasza woda będzie bezpieczna i nigdy nie zostanie wylana ku uciechu wiejskiego prostaka. – Zakaszlała i ujęła moją rękę. – Już nawet nie pamiętam, jak

wyhodować granat-mrówkę. Nie dokonałam niczego ważnego, bo nie pamiętam, jak można cokolwiek zrobić. Pewnego dnia zapomnę, kiedy się urodziłam. Ale nic nie szkodzi. Wtedy przejrzą na oczy.

Pomogłam jej. Wybaczcie mi, pomogłam jej pochylić się nad miską i słuchałam, jak błękitna woda pluszcze w srebrze, i patrzyłam na jej czaszkę, gdy skończyła, pustą i suchą, koloru starych wodorostów. Położyłam ją do łóżka i śpiewałam jej, gdy spała bez zmysłów.

Miesiąc później, gdy Yazo z płaczem potykała się w ciemności i nawet ja nie mogłam do niej dotrzeć, poprosiłam Ostraję – szklanym dzwoneczkiem dawałam znać, że jej potrzebuję – aby przyniosła mi szklaną jaszczurkę, która podobno pierwsza nosiła na sobie sposób wyrabiania szkła i dmuchaniem nadawania mu kształtów. Trzymałam pod pachą wielką czerwoną samicę, która nie mogła się powstrzymać od lizania swoich gałek ocznych. Była to jaszczurka-róża, najprostsza, jaką mogłam znaleźć. Na plecach miała tylko miniaturowy, oddany w nieskończonych szczegółach wizerunek róży, idealnej w każdym płątku i cierniu. Była czerwona – czerwienią na czerwieni, sama róża ciemniejsza i bardziej krwawa niż jej skóra. Ostraja milczała przed długi czas, ale słyszałam jej oddech i wiedziałam, że nie odeszła.

– Jest sędziwy – powiedziała w końcu. – Poza tym to nieszczęśliwy, posiwiwały monarcha.

– Jeśli prośba o zobaczenie tego zwierzęcia jest w Szklanym Kraju wygórowanym żądaniem, Ostrajo-która-urodziłaś-się-w-deszczu...

Przyniosła go w wiklinowym koszu na niebieskiej poduszce, szarego, zielonego i zrzędliviego samca z oklapniętym

grzebieniem, jak gdyby znużonym po prężeniu się przez tak wiele lat. Oczy miał mleczone i matowe, z jego gardła płynęło bezustanne rżenie. Ale pokrywały go instrukcje, więc czułam do niego sympatię.

Ugryzł mnie, oczywiście, gdy umieściłam go w klatce obok mojej szkarłatnej samicy. Jaszczurki są złośliwe.

W czasie gdy Yazo znów była sobą – choć spojrzała na mnie dziwnie, słysząc takie wyrażenie – czerwona jaszczurka już miała gotowe gniazdo i wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie. Czekaliśmy i czekałyśmy, i jadłyśmy kanapki z różą i selerem, i różane steki, i różaną pieczeń, i róże gotowane, aż w końcu powiedziałyśmy, oczywiście bardzo grzecznie, że róża już niezbyt nam smakuje, błagając naszych szacownych gospodarzy o wybaczenie.

Kiedy wyruszyłyśmy na szeroki step, minęła, już ciepła pora roku i znów zaczęła się zimna. Od następnego Szklanego Deszczu dzieliły nas jeszcze tygodnie, według najnowszych jaszczurek. Miałyśmy w plecaku bardzo dziwne młode stworzenie z koralową skórą i wyraźną czarną lekcją na grzbiecie, i nawet Yazo stała się rozmowna.

– Bardzo mądrze postąpiłaś, Toi-która-urodziłaś-się-wieczorem. Powiem wszystkim, że ty to odkryłaś, nie ja – szczebiotała, skacząc po schodach hodowli jak dziecko.

Wyszłyśmy z ciepłej jak łono sali w czysty, lodowaty dzień. Słońce prześwitywało przez ciężkie chmury i bawiło się w ganianego z trawą. Zaczął prószyć śnieg. Śmiałyśmy się i wysuwałyśmy języki, czując się bardzo dziwnie, gdy śnieżynki wpadały do wody w naszych czaszkach. Odwróciłyśmy się, by spojrzeć na kryty dachówką dach, cały okryty bielą, a wtedy ujrzałam w drzwiach piękną młodą kobietę o smutnych oczach,

całą ze szkła. Jej włosy spadały w krystalicznych kaskadach do talii, jej suknia lśniła, pokryta szronem przy łokciach. Ręce miała smukłe i mieniące się błękitem, policzki skrzyły się jak wysadzone klejnotami, a z boku przejrzystego nosa migotał mały szklany pieprzyk. Pomachała nam na pożegnanie, szeroko otwierając usta w roziskrzonym uśmiechu, przez który płonęło słońce.

U jej stóp leżała wielka, tłusta jaszczurka, przypięta do lśniącej smyczy. Szklany brzuch falował, krystaliczny i wzdęty, grzebień był dość ostry, by skaleczyć, język zwisał z pyska jak szklana zakładka do książek.

OPOWIEŚĆ PRZEWOŹNIKA, CIĄG DALSZY

– Nasz mały koralowy samiec wywołał sensację w Wielkiej Kappie – mówiła kappa. – Jego lekcja, która stała się naszą lekcją, zaparła dech wszystkim żółwiom ze stopami zaplątanymi w ogórkach. Jak wyhodować różę, która nigdy nie umrze ani nie zwiędnie, która straci tylko jeden płatek w ciągu stulecia, która będzie lśniąca jak szkło, która będzie istnieć, dopóki całe szkło świata z powrotem nie obróci się w piasek. – To róża, której szukam.

Kappa machnęła ręką w stronę szklanych domów.

– Jest tam. Mówiłam ci, że wybraliśmy to miejsce z powodu Yazo, kochanej Yazo, Yazo-która-urodziła-się-u-schyłku-zimy. Nim zdobyłyśmy sławę, nim upas i ixory wyrosły wysokie na polach-tezach, nim zagroda zapełniła się mantykorami, tłustymi i puszystymi jak kocięta, i trzepoczącymi ptakami ognistymi, prawie nie miała na sobie skóry. Strzępy błon zwisały z jej palców, jej oczy się zapadły, straciła wszystkie włosy. Nie знаła swojego imienia – ale ja powtarzałam je jej codziennie. Budziłam ją i szeptałam do zielonego ucha: „Jesteś Yazo, piękną Yazo, która urodziła się u schyłku zimy i jest moją przyjaciółką”. Wiele dokonałam, stałam się znana dzięki wielkim przeszczepom i krzyżówkom, ale mówiłam wszystkim, że ona

jest z nas ważniejsza, że jest moją współpracowniczką, moją niezastąpioną partnerką. Jej imię wzrosło z moim, choć sama je zapomniała, i nic, co mówiłam rankiem, nie miało dla niej znaczenia.

Apatycznie głąaskała nasze kocięta i nie zauważała, gdy skubały jej kciuki. Ale osiągnęła zamierzony cel: dowiodła, że utrata wody z czaszki jest niebezpieczna, powoduje coś gorszego niż kilkudniowe zaczerwienienie oczu i ślepotę. Błagała nas, żebyśmy przenieśli Wielką Kappę w inne miejsce, w miejsce, gdzie wstrętnei wieśniacy nie będą się nam kłaniać, gdzie zyskamy pewność, że nie zatracimy się jak ona.

Yoi zaprowadziła mnie do domów z liniami spękań na każdej tafli szklistego lodu. Wewnątrz poruszały się sylwetki, ale nie zaprosiła mnie do środka.

– Wielka Kappa jest wokół ciebie – powiedziała łagodnie. – To szklarnie. Tutaj na dachu świata nasza woda zamarza i nie wypływa. Yazo nas ocaliła, dzięki niej najtęższe umysły kappów zostały uchronione przed grabieżą przez średnio złośliwe dziecko.

– Cieszę się z tego – powiedziałem, kładąc rękę na jej małym ramieniu, gdzie skraj skorupy spotykał się z ciałem. – Ale widzę, że wasze domy są w złym stanie. Mógłbym wam pomóc, jeśli dacie mi, czego potrzebuję.

Parsknęła.

– Nie potrzebujemy twojej pomocy.

Otworzyła drzwi jednego z większych domów i wepchnęła mnie do świata zieleni, zielonych roślin i zielonych zółwi, i morza głów, w których lśniła błękitna płynna woda falująca jasno. Setki oczu zwróciły się na mnie i spoglądały chłodno.

– Mróz zabrał domy, ale lód jest równie dobry jak szkło. Tutaj jest ciepło, tutaj nasze czaszki mogą odtajać. Tutaj jak zawsze udzielamy lekcji i nasze katalogi rosną. Ale trzymamy się na uboczu i świat już nie prosi o bukiety u naszych drzwi. Do czasu twojego przybycia. – Jej twarz spoważniała i posmutniała. – Ale ogórki.... z jakiegoś powodu ogórki nie znoszą tego klimatu i nie chcą rosnąć. Mamy wszystkie kwiaty, jakich moglibyśmy chcieć, lecz ich smak jest gorszy od smaku owoców.

– Przyniosłem ci tyle odmian, że z pewnością zdołacie wyhodować ogórek z lodowym sercem. W zamian proszę tylko o moją różę. – Trzymałem skrzydła schludnie złożone i garbiłem się pod lodowym dachem, próbując zmaleć i stać się tutaj znajomy jak łabędź wśród żółwi.

– Musisz poczekać – sapnęła Yoi. – Nie trzymamy dojrzałych okazów pod ręką dla przyjemności cudacznym latającym stworzeń, które przypadkiem znajdą drogę do naszych drzwi. Ale oczywiście ogórki bardzo nas ucieszą. – Uśmiechnęła się wreszcie, a jej zęby były małe, brązowe i kształtne, jak drewniany model uzębienia dziecka.

Uprzejmie przekazałem worek i kappy skoczyły niczym koty do śmietanki, oddzielając ogórki do zjedzenia od tych do analizy i gryząc łąpczywie te pechowe owoce, które uznane zostały za zbyt pospolite do rozmnażania. Gdy jadły, Yoi przywoływała je kolejno do siebie, dotykała wody w ich czaszkach i szeptała. Po posiłku zostałem odprawiony; kazano mi medytować nad cudami kolejnych pokoleń życia roślinnego i czekać. Dla wygody przydzielono mi szklany dom, pusty domek na skraju wioski.

– Po co wam pusty dom, jeśli nie spodziewacie się gości? – zapytałem, gdy tuziny rąk delikatnie, ale stanowczo popchnęły

mnie ku drzwiom.

Yoi odpowiedziała ze spuszczoną głową:

– To dom Yazo, która zmarła w dzień naszego przybycia na tę górę. Zachowaliśmy go na jej cześć i musisz obchodzić się z nim życzliwie.

Czekanie w domu Yazo o niskich krokwiach było długie. Owinąłem się skrzydłami, powoli otwierając je i zamykając w imitacji biednej, samotnej Księżyc. W ten sposób medytują Hsienowie. Kiedy jej światło wpadało przez strzaskane szyby, pokrywało moją skórę, opasywało mnie długimi liniami błękitu jak ramiona matki. Zastanawiałem się nad wieloma rzeczami, choć nieczęsto bywała wśród nich natura kolejnych pokoleń życia roślinnego. W wyobraźni rozjaśnionej bliskością Księżyc projektowałem Kopułę Szadukiamu, kształtowałem jej płatki i ramy, aż stanęła wysoka i idealna w mej głowie.

Kiedy skończyłem, Yoi przyszła po mnie. Nosila czarną czapkę; uznałem to za wyraz szacunku dla zmarłej towarzyski, do której domu wkroczyłem bezprawnie. Nie wyjaśniła mi tego. Poszedłem za nią po zasłanej śniegiem ulicy do szklarni, gdzie pierwszy raz zobaczyłem wodę falującą w głębi jej tonsury. Wewnątrz były niezliczone kappy, wszystkie z szacunkiem stojące na baczność, z zaciśniętymi rękami.

W głowie każdej z nich pływała nieskazitelna róża, różowa, biała i czerwona, bez jednej plamki czy zbrązowienia. Yoi powoli zdjęła czapkę i pod nią też był duży, idealny kwiat, bardziej szkarłatny niż wszystko, co widziałem przedtem czy potem. Chyba okazałem zaskoczenie, bo się roześmiała – cicho, melodyjnie, jakby krople deszczu spadały na drewniane bębny.

– Myślałeś, że jak hodujemy rośliny? W glebie jak rolnik? Każda lekcja, którą opanowałam, od lilii-jagody po ixorę, najpierw wyrosła w mojej głowie. Czemu innemu mogłabym ją powierzyć? Zabierz te róże, Idyllo-który-przypuszczasz-że-urodziłeś-się-w-nocy, i nie pozwól, żeby nasza praca popadła w zapomnienie w świecie na dole.

Kappy jedna po drugiej sięgały do czaszek i wyskubywały kwiaty, ostrożnie, żeby nie uronić kropli, i jedna po drugiej kładły je do mojego worka, aż się zapełnił różami.

– Żegnaj, Yoi-która-urodziłaś-się-wieczorem – powiedziałem i gdy wychodziłem ze szklanego domu, zobaczyłem maleńkie ogóreczki pączkujące ze ścian.

I tak w końcu zbudowano Różaną Kopułę Szadukiamu. Skonstruowana w wyobraźni w domu Yazo-która-urodziła-się-u-schyłku-zimy, rozkwitła nad młodziutkim miastem, jej kolory odbijały się w koleinach błotnistych ulic. Fruwałem wraz z rodzeństwem tam i z powrotem nad wierzchołkiem, sieci pełne nieskazitelnych kwiatów zwisały z naszych ramion, gdy przyszywaliśmy je do szkieletu z nadzwyczajną uwagą, nicią z diamentów i żelaza. I przypinaliśmy łądygi, które wyginały się wysoko i z gracją dźwigały swoje róże na tyle długo, że nikt nie może teraz mówić o Szadukiamie bez róż. Szkło, wszystkie szklane, idealne i czyste jak lód, idealne i czyste jak twarz młodej kobiety.

I raz na sto lat miał padać dziwny, delikatny deszcz, gdy każda róża traciła płatek, i płatki podobne Hsienom odrywającym się od lica matki Księżyc spływały na ulice, które najpierw były błotniste, później kamieniste, a potem srebrne.

Ukończywszy pracę, udałem się do ojców Szadukiamu i poprosiłem o zapłatę, o moje opale i srebro. Przez chwilę myślałem, że powinienem poprosić o więcej, ale umowa to umowa, żywe kamienie rzadko łamią dane słowo. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, gdy gubernator spojrzał na mnie ponuro i wymamrotał, że nie może mi zapłacić, gdyż kwiaty, które koronują jego miasto, nie są różami, tylko jakimiś strasznymi, obrzydliwymi karykaturami kwiatu. Tylko straszycło mojego pokroju mogło je gdzieś wyszukać.

– Czy nie zrobiłem, o co prosiłeś? Czy nie znalazłem dla was niezniszczalnej róży?

– Cóż... – Mały mężczyzna zaszurał nogami, niespokojnie przekręcając bransolety, gdy rozpostarłem skrzydła, górując nad nim. – Nawet w tym punkcie musimy się nie zgodzić. Nie są, ściśle mówiąc, niezniszczalne, prawda? Jeden płatek na sto lat, to sporo roboty dla służb oczyszczania miasta w tym czasie... – Pocił się, czerwony i pachnący pod moim nosem.

– Stworzyłem dla was cuda – szepnąłem.

– Mimo wszystko.

– Strącę kopułę na wasze głowy; huk szkieletu poniesie się stąd aż do morza.

– Znów musimy się nie zgodzić – powiedział przeklęty gubernator, podnosząc ciężki od złota rąbek szaty.

Trudno poskromić Hsiena. Równie dobrze ktoś może próbować zatrzymać Księżyc. Ale zakneblowali mnie i związali, liczni jak mrówki, i krew, którą puścili z mojej głowy, była biała i gęsta niczym płynna kość. Związali mnie i zawlekli na najwyższą z diamentowych iglic, które w owych czasach były przejrzystsze i ostrzejsze niż kiedykolwiek później, i tam wieloma rękami nadziali mnie na szpic. Widziałem, jak lśniąca

igła wsuwa się we mnie, ociekając bielą, drąc moją skórę. Wrzeszczałam przeraźliwie jak sowa, ale nie doczekałam się pomocy, słyszałem tylko ich śmiech, który zapewne znasz aż nazbyt dobrze, mój chłopcze. Rodzeństwo próbowało mnie uwolnić, ale trzymały ich z dala chmury strzał tak gęste, że przywodziły na myśl stada kruków atakujących Hsiena. Przez dziewięć dni wisiałem, wykrwawiając się na róże, a oni czuwali, patrząc, jak konam. Wrzeszczałem, przeklinałem, cały Szadukiam słuchał, jakbym był wielkim dzwonem bijącym godziny.

Wyryczałem niezliczone klątwy, niezliczone straszne życzenia do alabastrowych uszu mojej matki. Chyba nie mogła mnie zobaczyć, gdy tkwiłem wysoko na dachu miasta. Czy widziała gwarki, wróble, gołębie? Mnie nie widziała. Ale zdaje się, że pamiętam, w tej historii przed historią, tak dawno temu, pamiętam, że o dziewiątym zachodzie słońca szlochałem słabo i błagałem ją, żeby pozwoliła umrzeć temu miastu, niech stanie się martwe i szare jak jej własne suche rzepki, niech skona z głodu, skoro nie chciało nakarmić nikogo prócz siebie.

Zdaje się, że to pamiętam, i jest mi bardzo przykro.

OPOWIEŚĆ O PRZEPRAWIE, CIĄG DALSZY

– Zgasłem wraz z dziewiątym słońcem i nie mogę powiedzieć, co się stało z moim ciałem, nie bardziej niż każdy człowiek. Jestem tutaj; pierwsze, co pamiętam, to samotny brzeg i prom. I kości, i jaszczurki – wszyscy przemieniamy się na tych brzegach; oczywiście tego nie rozumiem, lecz w metamorfozie jest pewna poezja i gdy tylko zobaczyłem moje jaszczurki, powinienem się zainteresować, co mają napisane na grzbietach. Ale z początku byłem zły, te maleństwa drapały tak strasznie, a moja podróż po jeziorze była znacznie dłuższa niż twoja. Kiedy nadeszła burza, oszalały od swędzenia i z niecierpliwości wyrwałem tyczkę przewoźniczce, miłej bezzębnej staruszce, która miała dwie papuzie głowy skrzeczące na dłoniach. Próbowałem sam sterować promem i wpadłem do wody. Nie radzę ci tego próbować. Kiedy wróciłem na tratwę, parskając i sapiąc, staruszki już nie zastałem. Zastąpiłem ją i jestem przewoźnikiem od wielu długich lat, które się nakładają, odkąd się tu zjawiłem. Siódemka zamrugał i zachichotał cicho.

– To niezła historia.

Idylla wzruszył ramionami.

– Niemal tak dobra jak twoja.

Parę kropel deszczu zabębniło po jego szerokiej twarzy. I, jak zwykle w czas burzy, gdy pierwsze krople zostały wyciśnięte z nieba, reszta rzuciła się za nimi i nie minęło wiele czasu, a obaj przemokli.

– To twoja burza? – zapytał Siódemka drżącym głosem, starając się nie myśleć o stworzeniach pomykających pod tym żalonym strzępem materiału.

Przewoźnik pokręcił głową.

– Pozwól, że cię osłonię, chłopcze. Nie przeprawimy się, dopóki nie przejdzie.

Idylla wyciągnął ręce i roztrzęsiony Siódemka pozwolił się objąć. Zęby mu szczękały, gdy objęły go kościste ramiona i cielesne dłonie, gdy płaszcz przylgnął do jego skóry jak wilgotna trawa, gdy dwa ciężkie szkielety skrzydeł, z pustymi kośćmi świszczącymi na wirującym wietrze, wysunęły się spod tkaniny i zamknęły wokół jego ciała. Czuł ruchliwe jaszczurki i starał się nie patrzeć im w oczy. Ale zobaczył ich grzbiety, na jednym była straszna pieśń wiatru w wytłuczonych oknach, na drugim skomplikowany algorytm dotyczący wzorów chmur. Pomyślał, że razem mogą coś mówić o powstrzymaniu deszczu.

Nagle wiatr zaczął wrzeszczeć – naprawdę wrzeszczeć; tuziny tuzinów zduszonych wrzasków przetaczały się przy uszach Siódemki, krzyki mężczyzn, zawodzenie kobiet, urywane łkanie dzieci. Chmury przemykały wokół niego, ostre i twarde, tnąc jego policzki. Czuł ciepłą krew ściekającą z podbródka. Deszcz był niczym, nawet go nie czuł, ale straszliwy wrzask szarpał go wespół z twardymi chmurami, próbując dosięgnąć go w klatce ramion Idylli. Prom kołysał się i podskakiwał na szalejącym jeziorze, drobinki wody rzucały się na dwóch pasażerów. Pasma szarych chmur łopotwały na

szerokich skrzydłach jak pranie na wietrze. Siódemka, kurczowo obejmując szkielet przewoźnika, zamknął oczy, tłuczony i bity przez głosy na wietrze.

I równie szybko, jak się zaczęło, tak szybko było po wszystkim. Siódemka stał na promie, krew z jego twarzy ściekała na deski. Idylla powoli złożył skrzydła pod płaszczem i podniósł długą tyczkę.

– Jakiego rodzaju burzy spodziewałeś się w tym miejscu, Siódemko? Przychodzą co kilka godzin, jak rydwany wypadające z za ostatniego zakrętu. Wszystko tutaj jest w oczywisty sposób sobą, niczym mniej, niczym więcej. Przetrwaleś Burzę Dusz i przeprawę przez Jezioro Umarłych. – Starzec wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu. – Czyż nie jesteście uprzejmi, nazywając się zwiężle? Czyż nie jesteście mili? Ciesz się, że jeszcze nie zmęczyła mnie praca. Ciesz się, że Księżyc jest cierpliwa, inaczej wypchnąłbym cię za burtę i odzyskał spokój.

Siódemka oparł się ciężko o drzewce masztu. Wytarł zakrwawioną twarz.

– Ale nie jesteś martwy, przyjacielu – mówił Idylla. – Jesteś, jaki jesteś, nieprzemieniony. Jak w ogóle znalazłeś tu drogę?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Tu jest jezioro, tam jest jezioro. Jezioro i jaskinia, i gaj, i jeśli zapłacisz dziewczycy, która tam mieszka... – chrząknął – jeśli zapłacisz jej wystarczająco dużo, otworzy jaskinię, gaj i jezioro, i pozwoli ci przejść.

Idylla parsknął.

– Ladacznicą. Będę musiał zamienić z nią słówko.

Siódemka uśmiechnął się blade.

– To ciekawe – kontynuował przewoźnik – że nie spytałeś, czy przeprowiałem twoją dziewczynę-drzewo, i jak tu przybyła, jak ty czy jak ja.

Nastąpiła długa pauza.

– Wiem, że przybyła. Wiem.

– Przypuszczam, że niedługo się przekonasz.

I rzeczywiście, niedługo później mgła się rozwiła i rozpostarł się przed nimi długi srebrny brzeg, lśniąca szara kamyki omywane przez szarą pianę. We wciąż nadąsaną wodę wychodził niewielki pomost z łuszczącą się farbą. Idylla przywiązał do niego prom, patrząc spod przymrużonych powiek w mroczny las, który zaczynał się tuż za plażą. Nie wyszedł na pomost.

– Wyspa Umarłych – szepnął Siódemka, zaciskając na słupku rękę ze zbielełymi knykciami.

Przewoźnik wybuchnął śmiechem – krótki, wstrząsający dźwięk poniósł się echem po brzegu jak uderzenie siekiery.

– Żadna Wyspa Umarłych! Topografia tego miejsca jest bardziej skomplikowana, niż sobie wyobrażasz! Jak myślisz, do czego służą te pomosty i przewoźnik? Jestem nie tylko psychopompem – jestem pilotem na jeziorze. Znam tutejsze wody, znam wszystkie wyspy. Jest ich tyle, ile wielorybów w morzu, i więcej, tyle co wielorybów, rekinów i żółwi razem. A może wielorybów, rekinów, żółwi i koralowców. Znam je wszystkie, znam szlaki nawigacyjne, wiem, dokąd zawieźć każdą nieszczęsną duszę, która przychodzi do mojej przystani. Chcesz pójść do niej? Tutaj przybyła. Tutaj ją przywiozłem, i zapłaciła równie drogo jak ty, żebyś sobie nie myślał. Chciała przybyć na ten brzeg, nie na żaden inny. Tutaj przywożę

Gwiazdy, to Wyspa Utraconego Światła, i dalej cię nie zabiorę –
nie jesteś uprawniony, podobnie jak one.

POZA OGRODEM

Dinarzad potarła rękami o uda. Na każdym palcu miała złoty pierścień z tygrysim okiem, tak więc się zdawało, że ręce patrzą na nią złowrogo, dziko i smutnie. Węgle w koszach mrugały i ogrzewały jej ramiona, gdy przez woale w kolorze pawich głów obserwowała ucztę, która zdawała się wirować dokoła niej niczym dania wokół niemej dekoracji pośrodku stołu albo jak tancerze pod wysokim, wymyślnym lampionem niemającym innego wyboru, jak świecić. Diadem z kości słoniowej wbijał się w jej skórę i wiedziała, że rankiem będzie miała czerwone, otarte czoło. Siedzący obok niej mężczyzna z gęstymi wąsami przyniósł jej, jako szesnasty w swej paradzie podarków, maleńkiego ptaka rajskiego wyrzeźbionego z jednej wielkiej perły, z ogonem z szafirów i topazów. Ptaszek miał martwe, migoczące oczy, a gdy pociągało się za ogon, mechanizm ukryty w gardle wydzwaniał kuranty jak zegar. Ktoś mógłby uznać, że to śpiew lub pianie, ale dla niej brzmiało to po prostu jak głos zegara, który odmierza czas. Pociągnęła za ogon. Ptak zadzwonił. Delikatnie okryła go serwetką, nie chcąc patrzeć mu w oczy. Myślała o dziewczynce w ogrodzie.

Wspominała okręt piracki, gdy myślała o jej historiach, okręt piracki i smutną, załamaną papieżycę. Myślała, że teraz rozumie, jak skapitulować i poddać się nieuchronnemu. Wiedziała, co to nieuchronność, znała jej smak. Czowała ją jak

rękę wąsatego mężczyzny na swoim kolanie. Smakowała jak jego pocałunki. Żałowała, że nie może obciąć włosów wzorem Sigridy, żeby słuźki przestały je szczotkować i wplatać w nie klejnoty. Chciałaby uciec od nieuchronnych pocałunków.

Chciałaby być sierotą z niezliczonymi opowieściami, bez nikogo, kto kochałby ją na tyle, żeby przynosić jej perłowe ptaki.

Ale nie była swoim bratem; nie mogłaby się zmusić, żeby sięgnąć u stóp dziewczynki i słuchać jej otwarcie, nie mogłaby znieść myśli, że dziewczynka nie jest perłowym ptakiem, że nie może po prostu pociągnąć jej za ogon, by usłyszeć utęsknione dzwonenie.

– A gdzie jest mały sułtan, twój brat? – zapytał zalotnik życzliwie, głosem gęstym jak likier, spływającym po niej i wsączającym się w jej skórę, czy tego chciała, czy nie.

– Poluje na wsi, panie – odparła, nie podnosząc oczu pod ciemnoniebieskim woalem. – Koniec końców, gdy przestanie być małym sułtanem, nie będzie miał czasu na takie szlachetne rozrywki. Zabrał hebanowy łuk ojca i poszedł ustrzelić lwa na cześć mojego pana. To ma być prezent ślubny.

Zdumiała się, jak łatwo popłynęło kłamstwo. Czy tak snujesz opowieść? – pomyślała. Otwierasz usta i dzwonisz, pozwalasz, by płynęło to, co wydaje się piękne i masz nadzieję, że bardziej przypomina kuranty niż wyteżone tykanie zegara? Zapaliła się do swojej historii i z udawaną skromnością uniosła oczy.

– Zrobiłeś wielkie wrażenie na moim bracie, panie. Woli cię znacznie bardziej niż młodszego mężczyznę, który przyniósł te wszystkie okropne koguciki. Jest wielce zainteresowany mechanizmem twoich ptaków, które według niego są znacznie lepsze niż złote mechanizmy tamtego mężczyzny

– Z radością mu pokażę, jak to jest zrobione!

– Jestem pewna, panie, że będzie ci wdzięczny. Jakże to wspaniałomyślne z twojej strony, żenić się z jego siostrą i pokazywać mu takie cuda! Z pewnością nagrodzi cię nad miarę. Mój brat jest wyjątkowo utalentowany w sprawach dyplomacji. Spędza noce na rozmyślaniu nad machiną władzy, w idealnych salach swego umysłu porusza narodami i rządami tak wprawnie, tak pewnie jak pionkami w szatrandżu. Rozmyśla tak często i w takim skupieniu, że na własne oczy widziałam, jak para bije z jego głowy niczym z kociołka. Zostanie wielkim sułtanem, gdy dorośnie, i zawsze będzie pamiętać rozkoszny śpiew ptaków mojego pana.

– Twój głos jest słodszy niż kuranty wszystkich moich ptaków.

– Ale nie słodszy, jak myślę, niż kuranty wszystkich twoich żon.

Posunęła się za daleko i cień przemknął przez natartą olejkami, uperfumowaną twarz narzeczonego. Zakaszła i przywołała na policzki paniński rumieniec, spuszczając oczy na talerz. Złoto pokrywały smugi gęsiego tłuszczu. Nie miała apetytu. Gdzieś daleko na długim stole leżała plamista szyja żyrafy, pożywna i słodka jak szpik, niemożliwa dla niej do strawienia. Parę szafirów wyjrzało spod serwetki. Pociągnęła sznureczki i zadrżała, słysząc dźwięk.

Kiedy uczta się skończyła Dinarzad z szyją bolącą od pochylania głowy, poszła do pokoju w wieży i złożyła swój płaszcz na pół, i jeszcze raz na pół. Był czerwony, farbowany tyle razy, że zwanie go czerwonym wśród innych czerwieni równało się zwaniu słońca jasnym przy zwyczajnej lampie. Podbity jelenią skórą z dalekiego kraju, skórą o sierści kudłatej i

gęstej, miał rąbek lamowany czarnymi ogonami wilków. Ten płaszcz był najskromniejszy, najmniej strojny pośród tych, które posiadała. Wepchnęła go powoli do plecaka brata, a z nim perłowego ptaszka.

– Nie wiem, skąd się to wzięło – powiedział chłopiec. – Ja na pewno tego nie przyniosłem. Zakazałaś mi.

Dziewczynka przeciągnęła palcami po tkaninie miękkiej jak atrament. Wilcze ogony biły ją po drobnych rękach, jelenie futro stroszyło się w kapturze.

– Nie szkodzi, jeśli nie posłuchałeś.

– Posłuchałem! Zabrałem tylko przepiórcze jaja i cynamonowe cukierki! Dziś podano gęsinę, uznałem, że nie wypada jej przynosić.

Dziewczynka po chwili zadumy zdecydowała, że skoro on nie potrafił rozgryźć tykającej i terkoczącej maszynerii umysłu swej siostry, ją również to przerasta. Rozwinęła płaszcz i chłopiec pomógł jej zarzucić ciężki błam na chude ramiona. Czuł na skórze łaskotanie jeleniej sierści, dziwne i elektryzujące, podobne do smaku cynamonu w ustach. Ona uśmiechnęła się lekko, pokazując zęby zziębnięte na wietrze. Gdy układała wokół siebie fałdy płaszcza na brzegu jeziora, zasłanego liśćmi i kaczymi piórami, w jej ręce wpadł mały ptak. Z zaciekawieniem spojrzała na chłopca, on jednak pokręcił głową. Pociągnęła sznurek z szafirów i topazów, a wówczas perłowy ptaszek otworzył misterny dziobek i zadzwonił, czysto i głośno jak najcieńszy dzwonek kościelny na świecie.

Dziewczynka się roześmiała.

OPOWIEŚĆ O PRZEPRAWIE, CIĄG DALSZY

Siódemka zszedł z pomostu na wilgotną plażę. Idylla już odbił, jaszczurcze ogony co rusz wysuwały się spod jego płaszcza. Młodzieniec ruszył wzdłuż brzegu, ostrożnie, starając się nie patrzeć w dół – bo plażę wbrew temu, co widział z jeziora, zaścielały nie szare kamyki, lecz tysiące zamkniętych oczu, lśniących wilgocią i srebrem, unoszących powieki, ilekroć na nie nastąpił, z tęczęwkami bladymi i oskarżycielskimi. Wciąż płakały, a ich łzy mieszały się z pianą jeziora niesioną przez słonawe fale. Siódemka zaciskał w dłoni pusty rękaw i nie patrzył w dół, choć żołądek podchodził mu do gardła przy każdym mokrym, miękkim kroku. Odetchnął z ulgą, gdy brzeg szarych oczu ustąpił szarej glinie i szkieletom liści. Las nastroszył się wokół niego, nagie, cienkie gałęzie brzoź, modrzewi, sękatych dębów grzechotały na pozbawionym życia wietrze.

Nie wiedział jednak, jak ma ją odnaleźć. Wędrował przez las, w którym ani ptak nie wołał, ani jeleni nie żuł żołądki, ani mysz nie chrobotła. Nie widział słońca i nie miał pojęcia, dokąd idzie, ale szedł. Zmarzł i odrętwiał od wilgoci, która pełzała po nim jak para jaszczurek.

– Coś ty zrobił, głupi stary kaleko?

Głos płynął znikąd; ścieżka biegła lasem, pustym i nieruchomym. Ale Siódemka znalazł ten głos, jak dobrze go znał!

– Oublietto, gdzie jesteś? – szepnął.

Jedno z drzew, stary poskręcany jesion, nagle się odwróciło. Była to jego Oublietta, włosy miała brązowe i przyklejone przez mgłę do karku, oczy szerokie i smutne, suknię, a raczej jej strzępy, spłowiałą i przylegającą do ciała. Podbiegł do niej – kto by nie podbiegł? Podbiegł do niej, a ona objęła go za szyję, wsparła czoło na okaleczonym ramieniu.

– Dlaczego przyszedłeś za mną? Jak wrócisz, głupi chłopaku? – zapytała ze smutkiem, potrząsając głową.

– Przybyłem cię ocalić – odparł, zaskoczony i skonsternowany. – Czyż nie to robimy? Ratujemy się nawzajem, prawda?

Odepchnęła go.

– Nie potrzebuję ratunku! Czy wiesz, ile mnie kosztowało, żeby się tutaj dostać?

– Czy wiesz, jakim kosztem siedłem tu za tobą? – wybuchnął Siódemka.

Oublietta obróciła się gwałtownie, pokazując drewniane plecy, dziobate i skamieniałe – i gładkie, bez ogona. Teraz cała była drzewem, jej słodki ogon, zakończony puszystą kitą, zniknął bez śladu.

– Przewoźnikowi i jego straszny jaszczurkom zapłaciłam ciałem. Przypuszczam, że ty również. Wydałeś ostatnią naszą dhheib, żeby się tutaj dostać? Żeby mnie uratować?

– Nie ostatnią.

Oczy Oublietty rozbłysły, jej skóra nagle stała się mniej szara, zarumieniona ze złości. Rzuciła się na niego, niemal go przewróciła na ziemię i pocałowała z taką wściekłością i

brutalną siłą, że nie mógł oddychać. Jej usta parzyły na mrozie i we mgle, jej zęby szczękały o jego zęby. Puściła krew z jego wargi i odsunęła się z kroplami szkarłatu na tle szarości.

– Tego chciałeś, prawda? Wdzięczego pocałunku wybawionej dziewicy? Jej ślicznej ręki w swej dłoni? Czy oczy łani odebrały ci rozum? Wypisz wymaluj, syn młynarza!

– Nie! Nie! Oublietto, dobrze wiesz, nigdy nie chciałem cię w ten sposób!

– Cóż, dlaczego nie? – Zaśmiała się, rozpaczliwie i przeszywająco.

Siódemka wzniósł na nią oczy pełne łez, garbiąc plecy, jego rękaw kołysał się pusty.

– Są rzeczy, których nigdy nie przewyciężysz – szepnął. – Co widzisz, patrząc na mnie? Powiedz mi, co widzisz; powiedz mi, że widzisz mężczyznę. Powiedz.

Oublietta skuliła się, skrzywiła w brzydkim grymasie. Zobaczył, że jest teraz znacznie starsza. Szczękę miała twardą i ostrą, twarz zupełnie dojrzałą.

– Kość – syknęła. – Patrzę na ciebie i widzę kości. Kości i monety.

– Wiem. – Siódemka wyciągnął do niej rękę, a ona pozwoliła się objąć, drżąc niczym pochwycony jelonek. – Ocaliłaś mnie, przyjaciółko, moja jedyna przyjaciółko. Musiałem ratować ciebie. Musiałem.

– Postanowiłam tu przybyć. Chciałam przybyć. Ruszyłam do jeziora...

– Wiem! Ja też! Widziałaś ją?

– Tak! Była piękna, nadzwyczaj piękna, jej twarz taka ciemna...

– Bałaś się?

- Nie... no tak – a ty?
- Oczywiście! Zrobiłaś to?
- Musiałam! Czy ty...
- Tak – zwracałeś?
- Nie, ale chciałam, kiedy nacięła mnie, żeby napełnić misę...
- Cała ta czerwień! To było jak...
- Wcześniej. Tak.

Patrzyli na siebie, na wpeł uśmiechnięci.

– Chcesz o tym porozmawiać? – zapytał Siódemka, szepcząc w jej dziko pachnące włosy.

– Nie – parsknęła, wycierając oczy. – Czym jest jedno wejście do krainy umarłych? Zawsze to samo: krew, dama w kapturze i grota. Dajesz, co możesz, wchodzisz w ciemność. Ciemność nas zabrała. Nic więcej nie trzeba mówić.

– Zawsze jest więcej. Powiedz mi, jak kiedyś, gdy grzałem brzuchem twoją korę, a ty miałaś krótkie włosy.

– Zawsze byłeś męczący i zachłanny – westchnęła Oublietta, ale uśmiechnęła się lekko. – Poszłam do jeziora...

OPOWIEŚĆ O ZEJŚCIU TAŃCZĄCEJ DZIEWCZYNY

Taglio trzymał swoje *absentia* w niewielkim pudełku, czy ci to powiedział? Pokazał mi kiedyś, z płaczem, skurczone i czarne, stukające w pudełku z pomarańczowego drewna jak grzechotka na ogonie węża. Chciał, żebym zobaczyła, ponieważ jestem huldrą, a on w pewnym zawiłym sensie okaleczył się dla mnie. Dla moich prababek, dla mojej niebiańskiej ciotki. Skrzywiłam nos – to żenujące, patrzeć na wyłożoną w ten sposób wiarę drugiej osoby, zredukowaną do czegoś małego, suchego i pozbawionego życia, relikwiarz pełen ścinków paznokci u nóg. Myślę, że mnie zawsze lubił bardziej niż ciebie. Nigdy nie spotkał prawdziwej huldry. My byłyśmy abstrakcją; historia o Gwieździe Jałówce i jej bracie była prawdziwa. Stałam się dowodem prawdziwości jego religii, byłam tak dobra jak Gwiazda i spałam przy jego brzuchu pomiędzy dyszlami wózka. Patrzył na mnie i mówił sobie, że słusznie uczynił, że tępy, fantomowy ból pomiędzy jego nogami jest święty.

Nic o tym nie wiem. Jestem tylko sobą. Zawsze byłam jednocześnie drzewem, dziewczyną i krową, i jest to dla mnie nie większym boskim objawieniem niż dla niego ludzkie kciuki. Ty nigdy nie myślałeś, że jestem dowodem na istnienie boga. Ale współczułam naszej zielonej gazeli – pamiętasz jego

pelerynkę? – i pozwoliłam, aby mi mówił, że jestem święta. Uznałam, że przynajmniej tyle mogę zrobić. Polowaliśmy razem, podczas gdy mantykora uczyła cię opróżniać kieszenie i śpiewać gamy. Był szybki, ja stałam się równie szybka. Trudno było przebywać z tobą – patrzyłam na ciebie i drżałam, jakby wciąż otaczały mnie puste ściany Mennicy. Patrzyłam na ciebie i wiedziałam, że ja powinnam dźwigać brzemię, że ja powinnam położyć się pod stemplem. To był mój pomysł; źle uczyniłam, pozwalając ci to zrobić. Patrzyłam na ciebie i pamiętałam wszystko. Gdy Taglio śpiewał rymowanki królikom, aż zbliżyły się na tyle, by je złapać, zapominałam.

Zapominałam też, gdy tańczyłam. Jako Zmieja byłam piękna i silna, i bezpieczna przed wszystkimi jeżami. Kiedy byłam Zmieją, nikt nie mógł mnie dotknąć. Nie musiałam być dziewczyną-drzewem, która straciła pocałunek, skradziony przez syna młynarza, i włosy, odgryzione przez jednoroźca, i siedem lat na pracę w fabryce. Byłam nią, byłam zielona i wirowałam. I gdy muzyka nabierała tempa, gdy dołączyłeś do Taglia i grałeś na flecie, rozumiałam coraz mniej, że nie jestem nią. Na polowaniu Taglio nazywał mnie świętą; w tańcu wiedziałam, że jestem boska. Jeśli teraz wydaje się to niemądre, mam przynajmniej pociechę, że wielu innych przede mną oszalało z miłości do niej, z miłości do węża i nieba. Nie umiem lepiej tego wyjaśnić. Tańczyłam ją tak często, że czułam ją w sobie, czułam ją daleko w ciemności, zwiniętą wokół siebie we mgle. Czy opowiadanie historii szkodzi opowiadającemu? Opowiedziałam jej dzieje setki razy. Nie mogłam znieść, że w nich nie uczestniczę.

Tego dnia, gdy mnie pocałowałeś... nie byłam zła, chyba nie. Nigdy więcej o tym nie myślałam. Taglio i ja wyszliśmy po

kolacji. Tropiliśmy jelonka. Leżałam na brzuchu w mchu i brzożowych liściach, patrzyłam, jak jasne plamki błyskają pomiędzy drzewami. Taglio leżał obok mnie i szeptaliśmy, gdy nasza ofiara obgryzała gałązki.

– Wyglądasz jak wąż, gdy tak leżysz. Jestem pewien, że to nie przypadek, i jestem pewien, że nas zostawisz – syknął oskarżycielsko.

– Dlaczego tak mówisz?

– Ledwo tu jesteś. Niemal widzę przez ciebie. Nie odzywasz się do nikogo i wciąż chciałabyś tańczyć, gdybyś tak bardzo nie lubiła polować. Gdybyś nie lubiła mnie. I zacząłem się zastanawiać, czy nie lubisz mnie tylko dlatego, że kiedyś ją widziałem.

Powoli odwróciłam głowę, żeby nie spłoszyć jelonka.

– Nie mów tak. Jesteś moim rycerzem z wozu.

– Na razie. Ale opuściłaś nas dawno temu – czułem, że odeszłaś. Została tylko ta nieznajoma, leżąca przy mnie i mówiąca, że jest tobą.

Spojrzałam na stary, połamany las przed sobą.

– Chcesz, żebym odeszła. Dlatego tak mówisz.

Równie powoli przyłożył dłoń do mojej głowy.

– Kochana huldre, spłodzona przez byka i zrodzona dla mnie przez szczęśliwy wiatr – idź. Nie będę cię zatrzymywał. Ruszymy w dalszą drogę bez twoich humorów i twoich grymasów, choć bardzo je kochamy. Znajdź, czego już szukasz.

– Pójdę – mruknęłam – na Wyspę Umarłych i zrobię, czego ty nie zdołałeś zrobić.

Zamrugał, jakbym cięła go myśliwskim nożem. Zobaczyłam, że drży mu warga, z gniewu, żalu albo nadziei, i przez długą chwilę nie patrzyliśmy na jelonka, tylko zmagaliśmy się

spojrzeniami. Wreszcie wyciągnął z za pazuchy małe brązowe pudełko i wyjął srebrno-czarny liść.

– Nie zawieź nas – powiedział, a potem jednocześnie, z liściem w mojej ręce, wyskoczyliśmy z krzaków i powaliliśmy jelonka jednym czerwonym ciosem.

Jak znalazłeś krainę umarłych bez umierania? Każdy zna historie o tym miejscu. Jest szare i samotne, jest hałaśliwym cyrkiem, jest miejscem sądu, gdzie dusza ważona jest przeciwko pióru, w ogóle go nie ma, wszystko mi jedno, dziewczynko, odejdz i nie skradnij mleka mojej krowie. Mógłbyś zapytać tysiąc osób i usłyszeć tysiąc opowieści.

Albo mógłbyś pójść do astrologa i odwracając się plecami, zadziwić go do tego stopnia, że wykreśli ci mapę do drzewa migdałowego, które jest niemal legendą, a w rzeczywistości twoim skamieniałym, obrośniętym jemiolą dziadkiem, i powiedzieć dziadkowi, że jeśli nie wskaże ci drogi, zetniesz go i nawet nie zapłaczesz, bo nigdy nie powinien dotknąć twojej babki.

Mógłbyś potrząsnąć siekierą dla podkreślenia swoich racji. Musiałaby być bardzo ostra. Drzewo-dziadek mogłoby spytać, skąd może znać drogę. Ty mógłbyś mu powiedzieć, że nie jest ani żywe, ani martwe, będąc głównie *absentia* i migdałami, więc z pewnością wie, jak wślizgiwać się w miejsca pomiędzy światami. Drzewo mogłoby stękać, lecz parę zamachów siekierą, parę odłupanych drzazg skłoniłoby je do krzyczenia, zawodzenia i wreszcie by wyrzeszczało, jak znaleźć jezioro i kobietę w jaskini przy brzegu.

Drzewo, które jest w pewnej części twoim dziadkiem, mogłoby wtedy smagnąć gałęziami i próbować cię złapać,

chłoszcząc po ramionach – sama myśl o tym jest zbyt straszna – i uciekłbyś jak najszybciej, i z pewnością nigdy nikomu o tym nie powiedział.

Tu jest jezioro; tam jest jezioro. To nie różni się zbyt od innego jeziora, z wyjątkiem tego, że jego plażę zaścielają okruchy szkła niczym krople deszczu. Szłam po tym ostrym brzegu w porządnych, mocnych butach – zrobiłam dobry zakup – i moje kroki niosły się nad wodą jak krzyki. Nie powinnam więc być zaskoczona, że kobieta nie spała i czekała na mnie, w czarnym kapturze naciągniętym tak głęboko, że widziałam tylko długi dziób dudka, długi, cienki i zakrzywiony, wskazujący na mnie. Jej czarne spódnice rozpościerały się na ziemi w opadających falach coraz dalej i dalej, w dół plaży i do czarnej wody, i zdawało się, że nie ma różnicy pomiędzy nimi a jeziorem.

– Pozwól mi przejść – poprosiłam.

– Przez co? – zapytała głosem głuchym w tym klekoczącym dziobie.

– Przez ciebie, do krainy umarłych.

– Możesz spróbować przejść przeze mnie, ale stwierdzisz, że jestem bardzo gruba, zrobiona mniej więcej z kości i mięsa, dlatego obawiam się, że przejście będzie trudne.

Zamrugalam, a ona zrzuciła kaptur, odsłaniając twarz kobiety w średnim wieku, ani chudej, ani grubej, z zaczątkami siwizny w brązowych włosach. Skórę miała jak stary, powalony dąb, oczy wąskie i ciemne. Sięgnęła za głowę i rozpięła klamerkę, zdejmując dziób z twarzy – była kobietą, z ustami, nosem i zębami jak każda inna.

– Nie spodobał ci się mój żart? – Zaśmiała się. – W moim fachu nie ma wielu okazji do pogawędek. Mogłabyś przynajmniej się uśmiechać. Może nawet zachichotać. Czy dziewczyny już nie chichoczą na świecie?

– Wyszłam z wprawy – mruknęłam.

– Ja też, moja droga. Może to nie był zbyt dobry żart.

– Co mam zrobić, żeby przejść przez ciebie? – Obawiam się, że byłam bardzo obcesowa. Może ty zachowałbyś się lepiej.

Westchnęła.

– Mogłabyś posłuchać, zamiast tyle mówić...

OPOWIEŚĆ PŁACZKI

Mam dziwny fach. Jest tylko trochę dziwniejszy od mojej poprzedniej profesji. Byłam kiedyś zawodową płaczką, to wyjątkowo dobre zajęcie dla harpii, które wrzeszczą jak żadne inne stworzenie.

Czy zapomniałam wspomnieć? Cóż. Nie zaglądał pod płaszcz.

Wiemy, czym jest lament, wiemy lepiej niż wszyscy inni, którzy chodzą na pięciu palcach. W razie potrzeby tygodniami mieszkamy z trupem, mieszkamy z naszym lamentem, dopóki nie nabierze kształtu i ciężaru, dopóki nie zyska wagi zwłok, i w gazach gnilnych wykrywamy cnotę lub zwyrodnienie osoby, którą był zmarły. Rozkład nie kłamie. Lamentujemy nie wtedy, gdy nam każą, ale gdy lament jest ukończony, po dniach albo latach. Kiedy możemy go wziąć w ręce i pójść ulicą miasta, żeby pokazać go sklepikarzowi, gdzie ta osoba kupowała marchewki i rzepę, rzeźnikowi, gdzie cięła mięso i potajemnie spotykała się z kochankiem, w galerii, gdzie raz kiedyś wisiał jej portret, wtedy lament jest dojrzały i gotowy. Kiwa ze smutkiem głową i przechodzi przez wszystkie te miejsca do grobu, gdzie wrzeszczymy, śpiewamy i wyrywamy włosy, gdzie rozdieramy piersi i wyjemy z żalu do ziemi.

Raz, w Irsilu, który jest biedny i smutny pod każdym względem, zamieszkały przez emerytowanych żołnierzy z połamanymi mieczami i bezużytecznymi pługami,

wyhodowanie lamentu pewnego generała zabrało nam piętnaście lat. Oprawdzałyśmy go po chałupach i gankach, gdzie starzy wiarusi opowiadali wiatrowi swoje krwawe historie, i ruszali za nami, w szeregach, by słuchać opłakiwania starca.

To konieczna praca. Byłam w tym dobra. Przypuszczam, że to mnie tu przygnało.

Wśród lamentujących harpii nie można uchodzić za prawdziwą mistrzynię bez dzioba dudka. Możemy krakać, zawodzić i rozdzierać wasze uszy na krwawe połowy bólem z naszych gardeł – ale nie cały lament jest smutkiem. Nawet w pełnym blizn życiu starego generała nie brakowało słodyczy – spotkał wieśniaczkę, która wyglądała jak jego matka, i poślubił ją, a my nie powstrzymujemy się od komentarza, bo lament nie zna wstydu – ale była chwila, zanim ruszył na kampanię, gdy kobieta podobna do jego matki pokazała mu bliźnięta, chłopca i dziewczynkę, i słodycz ich policzków zaparła mu dech w piersi, i o tym też śpiewałyśmy.

Ale trudno śpiewać słodycz ustami harpii. Jesteśmy stworzone do rozdzierania. Trudno zwyczajnie płakać.

Musimy iść i zdobyć dziób, i nie możemy go ukraść. Musimy śpiewać lament umierającego dudka i gdy piskłeta uznają go za wystarczający, dają nam dziób. W taki sposób dudek rozdziela żal świata.

Byłam po trzydziestce, gdy poszłam po swój dziób. Niemało innych powątpiewało, czy kiedykolwiek będę gotowa go nosić. Jestem pewna, że zachwycasz się dudkiem – to śliczne, kolorowe, ale płytkie i płocze ptaszki. Czy z dziobu podobnego do mostka gołębia mogą płynąć pieśni żałobne? Ale powiem ci, że kiedyś żyły wielkie dudki, jakich nie uświadczysz dzisiaj, w

tych dniach upadku. Rozkładały różano-pomarańczowe skrzydła szeroko jak albatros, ich dzioby były trąbkami, a my – dmącym w nie wiatrem.

Poszłam w góry. Nie będę cię zanudzać szczegółami wyprawy. Wszystkie są takie same: idziesz naprzód, zdobywasz, wracasz. Kiedy jednak znalazłam wielką starą matkę dudkową konającą w gnieździe, kucnęłam wśród piskląt o piórach nakrapianych czernią i bielą, by wysłuchać historii o życiu ptaka, którego miałam opłakiwać. Odwróciła w moją stronę starą, porośniętą puchem głowę, i oto co powiedziała:

OPOWIEŚĆ DUDKA

Nie bez trudu rozbiłam swoje jajo. Żółtko w nim było złote i gęste. Otworzyłam oczy w takiej jasności. Moja matka przeszła dziobem pierś i nakarmiła mnie swoją krwią, która smakowała jak latanie. Nazwała mnie Pomarańczową jak Słońce.

Nadszedł przypływ, nadszedł odpływ. Jadłam dżdżownice i żuki.

Śpiewałam bardzo głośno, jak drugi dudek, który miał czarny i silny ogon. Uwiłam gniazdo z leszczyny, puchu i kawałków dziwnego, słodkiego czerwonego drewna, które zostawił beztrudnie budowniczy tratwy. Złożyłam trzy jaja tego roku, a cztery następnego. Przeszyłam dziobem pierś i nakarmiłam pisklęta krwią, która smakowała jak latanie. Nazwałam je Różowe jak Tłusta Gąsienica, Nakrapiane jak Cień, Czerwone jak Krew Matki... Było ich wiele. Trudno spamiętać.

Rok później złożyłam jedno jajo, a w zeszłym roku pięć. Tak to jest.

Nadszedł przypływ, nadszedł odpływ.

Kiedyś polował na mnie jastrząb. Wgiął mi czaszkę i dziób. Ja wydziobałam mu oko.

Kot rozszarpał dudka z czarnym ogonem i moje ostatnie jaja pochodziły od tego z niebieskim czubkiem.

Teraz jestem stara i już nie mam w sobie krwi dla dzieci. To było dobre życie.

OPOWIEŚĆ PŁACZKI, CIĄG DALSZY

Trzymałam w rękach jej starą głowę, pomarszczoną jak zbrązowiałe jabłko, a wokół nas skupiło się jej trzynaście piskląt, Różowe jak Tłusta Gąsienica, Nakrapiane jak Cień i Czerwone jak Krew Matki – i Niebieskobrzuche jak Sójka, Różowe jak Oparzony Rolnik, Cierpkie jak Głodny Borsuk, i reszta. Podniosłam głowę i śpiewałam o tym diamentowym jajku, o trudzie jego rozbicia, o świetle porannego słońca na migoczącym żółtku, o smaku szkarłatnej krwi matki. Śpiewałam o pięknie czarnego ogona, o gładkości jaj, o strumieniu krwi z piersi Pomarańczowej jak Słońce, o kłującym bólu w piersi, zadany przez dzioby jej dzieci. Śpiewałam o strasznym jastrzębiu o gorzkim głosie i o wielkiej bitwie, w której drapieźnik stracił oko. Śpiewałam o złym kocie i o utraconym towarzyszku. Śpiewałam o nowej miłości z błękitnym czubkiem. Śpiewałam o tych jajach, o krwi i o pustej piersi śpiewającej u kresu swej drogi.

Sfrunęłam z gór z dziobem Pomarańczowej jak Słońce w rękach, lekko wgiętym po walce z jastrzębiem – ale dzięki wgięciu z mojego dzioba płynęły najśłodsze, najbardziej łamiące się i najsmutniejsze tony. Przywiązałam go do twarzy i zaczęłam uprawiać swoje rzemiosło. Parę lat później przyszły do mnie kobiety płaczące jak dudki nad swoją martwą towarzyszką, którą niosły na marach zrobionych z dziobu

statku. Miała białe włosy i uśmiech na ustach, i słuchałam pilnie, gdy opowiadały mi o jej życiu. Zabrałam ciało do swego zwyczajowego miejsca, ukrytego w zapomnianej, pustej krainie nad małym jeziorem, gdzie miałam mieć spokój przez lata – byłam pewna, że lament tej kobiety niespiesznie wyjdzie z powijaków. Powiem ci, choć możesz kpić ze mnie, słysząc takie rzeczy, że ciało pachniało słodko, wcale nie jak zwłoki, tylko jak róże i kadzidło. Z jej powolnego rozkładu w nicłość dowiedziałam się wielu rzeczy i choć ciało zniknęło, wciąż pracuję nad jej lamentem.

Zanim rozpadło się w proch, przypadkiem ujrzałam odbicie wielkich mar w wodzie. Ku mojemu zaskoczeniu, szkielet miał głowę niedołęznego lisa, którego futro kiedyś mogło być rude.

OPOWIEŚĆ O ZEJŚCIU TAŃCZĄCEJ DZIEWCZYNY, CIĄG DALSZY

– Jestem tu tak długo i od tylu lat, że inne harpie zupełnie o mnie zapomniały. – Rozsunęła fałdy długiego płaszcza, a pod nimi zobaczyłam ciało harpii, pokryte brązowymi piórami, wrosnięte w ziemię. Pióra i liście niewiele się różniły. Wcale nie miała nóg, wyrastała z ziemi jak przysadziste drzewo. Zaśmiała się i zasunęła poły. – Mówiłam, żebyś nie patrzyła. Jestem tutaj od tak dawna, że ziemia wzniosła mi się na powitanie i dobrze nam razem. Żuję glebę jak krzak, a dziwne korzenie tego miejsca sprawiają, że mam czas ukończyć jej lament. Płaszcz rośnie jak listowie i moja twarz upodobniła się do kory. Ale nawet pogrążona w pracy, nawet gdy ziemia podniosła się w swej młodości, by słuchać mojego lamentu, jęłam w pieśniach podchwytywać tchnienie innych ciał z jaskini, zaczątki innych lamentów, które krzykiem domagały się właściwego wyhodowania. Zrozumiałam – choć nieprędko, bo czy wspomniałam, że byłam powolnym uczniem? – gdzie uwiłam swoje gniazdo. Raz na długi czas ludzie przerywali mi pracę nad lamentem dziewczyny-lisa, prosząc o zgodę na wejście do jaskini. Z początku mówiłam, że nie obchodzi mnie, dokąd idą, ale gdy odgadłam prawdziwą naturę jaskini, gdy pojęłam, że

jest czymś w rodzaju drzwi, uznałam, iż mam prawo pobierać myto. – Jakie myto?

Harpia uśmiechnęła się szeroko.

– Jest tylko jeden rodzaj opłaty, jaki przyjmują umarli: krew. Zawsze krew. Dudków, gaselli, Gwiazd. Przeszyj dziobem swoją pierś i utocz krwi dla głodnych.

Podniosłam rękę do piersi.

– Co tam jest? Czym jest Wyspa Umarłych?

– Kto może wiedzieć? Jestem zasadzona, nie jestem martwa. Czy tam chodzi Niebo, by uciec przed swoimi dziećmi? Czy to spodnia strona Nieba? Czy to tylko kolejny kraj, z innymi prawami i obyczajami? Nikt nie mówi Płaczącej, ona jest tylko stróżem bramy.

– Tak się nazywasz? Płacząca?

– Płakałam przez wszystkie moje dni, i nigdy nad sobą. To moje imię, to moja natura.

Wyjęłam nóż z pochwy na łydce, a ona przyciągnęła z cienia misę. Po chwili cięłam skórę na plecach, puszczając do metalowej miski kałużę soku złocistego i gęstego jak żółtko. Płacząca uniosła brwi i uśmiechnęła się szeroko, jak dziecko, gdy pokazuje nową zabawkę. Rozchyliła płaszcz, żeby mnie przepuścić, i poczułam jej pióra na ranie, gdy wchodziłam w ciemność.

OPOWIEŚĆ O PRZEPRAWIE, CIĄG DALSZY

– Tak – szepnął Siódemka. – Miałem tylko krew, żeby jej dać, oczywiście. Mnie nic nie opowiedziała, pamiętam jednak jej twarz i jej misę. Ale dlaczego mnie zostawiłaś? Ja nigdy nie zostawiłbym ciebie. Spojrzała na niego pustymi oczyma.

– Ukradłam liść – rzekła krótko i ujęła jego rękę, wiodąc go w głąb lasu, daleko od chlupotu fal samotnego jeziora o samotny brzeg.

To nie było miasteczko. I niezupełnie wioska. Zdecydowanie nie miasto. Ale stały tam domy, długie i szare, lśniące od starego deszczu, jakby ktoś kiedyś tam mieszkał, dawno temu. W tej części wyspy panowały głębokie ciemności, a w mroku pobłyskiwały światełka, prawie, choć niezupełnie jak Gwiazdy. Jedna z nich wirowała bardzo szybko, coraz szybciej, aż zdawało się, że wyszła z niej kobieta. Była feerią barw, wszystkich kolorów, które mógł mieć las, ale tak żywych, że raziły oczy. Skórę miała wężową, łuskowatą i grubą, a jej krzycząca, ruchliwa zieleń mieniła się czernią, błękitem i szkarłatem. Wiła się wężowo i bezkrotnie, tułów miała dłuższy i bardziej giętki niż zwykle u kobiety. Nosiła żółte woale, które smagały jej kostki, lecz w zasadzie niczego nie okrywały,

zwłaszcza zielonej skóry, która przebłyskiwała ciemno przez złotą tkaninę. Włosy miała długie, czarne i lśniące, a bransolety wokół ramion wysadzone setką rodzajów agatu. Oczy miała czarne jak dno studni, a palce granatowe, długie i zwinne. Jej nogi były złączone jak gdyby w nadziei, że mogą ścisnąć się w ogon, ale uparcie pozostawały rozdzielone.

Była ciężarna, zielony brzuch pęczniał pod woalami jak diament Vhummimy.

Przyniosłam jej liść. Liść Immacolaty. Tańczyłam ją przez wiele lat, kochałam ją, nie chciałam, żeby była sama. Byłam jej to winna, byłam winna im obu. Musiałam znaleźć jaskinię i jezioro, i odciąć sobie ogon. Jesteśmy... Nie jesteśmy tu nieszczęśliwe razem.

– Nie jestem sama – powiedziała kobieta głosem gardłowym i głębokim, niosącym się echem przez las. – Nikt nie chce zostawić mnie samej...

OPOWIEŚĆ O LIŚCIU I WĘŻU

Patrzyłam w dół z ciemności, gdzie światło trzymało się za ręce ze światłem. Pamiętam patrzeć i pierwszy palący krok z Nieba, i ból, i jak zapłakałam za matką, gdy spadłam. Pochwycili mnie w swoją zieleni, moje kończyny były obolałe i pełne światła, pocięte na wstążki, krwawiłam spod kolan, z łokci, z karku – ze wszystkich miejsc, gdzie może rozedrzeć się dziura. Krwawiłam i płakałam – wszyscy płakaliśmy. Chcieliśmy zagłębić się w świecie, lecz nie wiedzieliśmy, jak to będzie bolało.

I były tam węże, ich zieleni i biel, ich czerni, czerwieni i złoto. Ich zapewniające osłonę kaptury, ich kojące ogony. Patrzyłam na nie, gdy zamknęły moje rany pyszczkami, gdy syczały i śpiewały swe szeleszczące pieśni, gdy ogrzewały mnie skórą, którą spiekły w słońcu na płaskich kamieniach. Patrzyłam na nie i chciałam być jak one, chciałam poruszać się jak one, faliście, chciałam syczeć i śpiewać, i mieć takie kolory. Były dla mnie piękniejsze niż wszystko, co widziałam w ciemności, i podczas gdy mój brat wyostrzał się w harpun, ja się wydłużałam, rozciągałam, zwijałam i wyginałam plecy, aż cała stałam się zwojem, długim, zielonym i lśniącym. I kiedy pierwszy raz popełzłam, stąpając lekko w ciele węża, zmiażdżyłam pod sobą krzew herbaciany z delikatnymi liśćmi,

lecz myślałam o tym zdarzeniu nie więcej niż kobieta, która łamie stopą gałązkę w czasie biegu przez las.

Nie było mnie tam, gdy zmarły Manikarnika, ale słyszałam ich krzyk. Wszyscyśmy słyszeli. Sunęłam po wzgórzach, uciekając wraz z pozostałymi – nie chciałam być sama. Wiele mniejszych Gwiazd widziało moje sploty i w zachwycie upodobniło się do mnie. Zamknęłyśmy się razem w odosobnieniu, jadłyśmy wróble i myszy w całości albo kapłony i miód, wedle uznania. Nasze kształty zmieniały się z godziny na godzinę; byłyśmy płynne jak rzeki. Nie byłyśmy same.

Poznałam jego twarz, kiedy przybył. Oczywiście, że ją rozpoznałam. Nawet Gwiazda śni. Śniłam długi czas i śledziłam lśniący sznur życia tego mężczyzny, aż przeciął się z moim, i jak wtedy iskry zapaliły trawę u moich stóp! Spojrzałam na niego i pomyślałam: Och, będziemy wzajemnie się krzywdzić. Ale bieg Gwiazd, wiecie, jest ustalony i nie możemy zmienić orbity, tak jak królik nie może skrócić uszu. Widziałam jego sznur smagający i trzaskający w ciemności, i nie mogłam nic zrobić.

Ćma powiedziała mi, kiedy umrę.

Siedziałam w swoim pokoju, a wokół mnie moje dzieci bawiły się mieczami, zabawkowymi i prawdziwymi, w zależności od wieku, ich skóra płonęła zielenią z ulgi – ich ojciec zostawił nas samych tego dnia, mogliśmy więc przybrać węzowe postacie, ujawnić nasze łuski. Mieliśmy siebie i nikt nie miał nam przeszkodzić.

Siedziałam przy oknie. Wiatr wpadał z pól herbacianych, słodkich i brązowych na skrajach. Syn naprawiał rąbek mojej sukni, z ustami pełnymi szpilek. Córki grały w czaturangę, ich ramiona były ciepłe jak diamenty w słońcu. Kilku moich synów ścigało białe kocięta, które im przyniosłam, z głodem w

roziskrzonych oczach. Nie byliśmy sami, nigdy. Wytarłam nosk najmłodszej córeczki i kazałam jej trzymać język w ustach, różowy i rozwidlony, śmigający gorączkowo. Takie rzeczy robi matka – czyż Niebo kiedyś nie obcierała nam nosów i nie kazała stać prosto, czy czerń naszej matki nie nakłaniała nas do zabierania głosu, do ciekawości i śmiałości, do troszczenia się jedno o drugie, gdy ciekawość i śmiałość zawiedzie? Czy nie mówiła nam, że nas kocha, że nigdy nie będziemy sami?

Mówiła nam te słowa w ciemnościach u zarania świata. Powtarzałam je moim dzieciom, ale nie spodziewałam się, że będę je mówić, gdy płonęłam olśniewająco obok mego brata. Przyszła na nie pora dopiero wtedy, gdy znalazł mnie ten trzaskający sznur, ten mężczyzna, którego oddech cuchnął przerażonymi kobietami i który wysysał, wysysał i wysysał ze mnie światło. Nie chciałam mieć dzieci. Były marną namiastką tego, co straciłam – czy Niebo czuła to samo? Czy nie dlatego nas zostawiła? Tego dnia spojrzałam na nie i wiedziałam, że pochodzą ze mnie, że on wygryzł we mnie dziurę, a one urosły tak jasne, tak jasne! Z ich powodu nie odeszłam. Chyba nie rozumiałam swojej matki – ale sądzę, że nie jest to niezwykłe.

Siedziałam przy oknie, moja ręka zieleniła się na parapecie jak pęd winorośli. Ćma usiadła na moim palcu wskazującym, pozbawionym paznokcia i pokrytym łuską. Skrzydła miała bladobrązowe, z kręgami podobnymi do tych, które zostawiają kubki na starych drewnianych stołach. Nie była wyjątkowa. Może żadne z nas takie nie było. Trzymałam ją przez chwilę jak klejnot, zanim obróciła puszystą głowę i przemówiła głosem szemrzącym i cichym jak szmer patyczków trących o suche liście.

– Jeśli mnie nie zjesz, coś ci powiem.

– Dlaczego miałabym cię zjeść, mała ćmo?

Owad zastanowił się, poruszając czułkami.

– Jesteś bardzo dużym wężem, a przynajmniej część ciebie nim jest.

– A ty byłbyś bardzo małym posiłkiem.

– Jestem wdzięczny...

OPOWIEŚĆ O PTASICH ŁZACH

Wiedzieliśmy z powodu ptaków.

W Amberabadzie żyła ćma o skrzydłach żółtych jak wilcze ślepia. Piła łyzy z oka śpiącego jastrzębia. Łzy były mętne i słodkie jak mleko dmuchawca.

W Muireannie żyła ćma o skrzydłach czarnych jak grzbiet wydry. Piła łyzy z oka śpiącego pelikana. Łzy były błękitne i czyste jak lód z zamarznętej rzeki.

W Szadukiamie żył motyl o skrzydłach jak szklane nici. Pił łyzy z oka śpiącej papugi. Łzy były czerwone i połyskliwe jak płatki róży.

W Adżanabh żyła ćma o skrzydłach szarych jak kurz na okładce książki. Piła łyzy z oka śpiącej majny. Łzy były żółte i pyliste jak szafran.

W Al-a-Nurze żył motyl o błękitnych skrzydłach z białymi prążkami. Pił łyzy z oka śpiącego łabędzia. Łzy były krwawe, ciemne i słonawe jak coś, czego lepiej nie dotykać.

W pobliżu zamku pośrodku Ośmiu Królestw żyła ćma z wielkimi łopoczącymi skrzydłami, które rzucały delikatne cienie. Piła łyzy z oka śpiącej gęsi. Łzy były szare i wolne.

W Dżynistanie żyła ważka cała zielona i czarna, i piła łyzy z oka śpiącego aleriona, orła bez dzioba i nóg. Łzy były ostre i pikantne, jakby zawierały zmielone zęby.

W Hoace żyła ćma ze skrzydłami szarymi jak nawiany popiół. Piła łyzy z oka śpiącej pardwy. Łzy były różane i wodniste, jak dziewczęce perfumy.

W mieście Lamentu żyła bardzo mała ćma z najbielszymi skrzydłami, jakie widziałeś. Piła łyzy śpiącego dudka. Łzy były miękkie i delikatne jak włosy dziecka.

W Irsilu żył motyl bez skrzydeł, który resztką sił wypił łyzy z oka śpiącego wróbla. Łzy były korzenne i gęste, ale niewiele mu pomogły.

W Kaszu żyła ćma ze skrzydłami płonącymi i dymiącymi. Piła łyzy śpiącego feniksa, płynną biel jak ostrze jeszcze nie narodzone.

W Urimie żyła ćma ze skrzydłami na żałobne kiry, kładła je na oczach zmarłych. Piła łyzy zimnokrwistego zimorodka. Łzy były czerwone jak skórki jabłek i niebieskie jak księżycowa poświata.

W Naharze żyła ćma ze skrzydłami jak kościelne okno, pełnymi jaskrawych zieleni, czerwieni i błękitów. Piła łyzy z oka śpiącego nura. Łzy były czarne i gęste jak hebanowy jedwab.

A w Varaahasindzie żyła ćma ze skrzydłami brązowymi jak setki innych ciem. Piła łyzy z oka śpiącego pawia. Łzy były niebieskie, zielone i złote, jak skóra węża, i nazywała się Fahad, i przybyła do tego okna z brzuchem pełnym łez.

Co takiego śni ptak, że płacze? Moglibyśmy spytać, ale one są chętne do jedzenia, nie do rozmowy. Nie wypyujemy, tylko fruwamy nad obliczem świata, w każdej jego zakurzonej kieszeni i w aureoli latarni, i spijamy ptasie żale, smakujemy ich żałobę w napitku. Jaja wypadły z gniazda i stłukły się na trawie, straszne pasma żółtka rozsnute na źdźbłach, za mało nasion w zimie, sokoły z chwytными szponami, ryby za sprytne

– ach! Znamy te smutki! Ale raz na długi czas unoszą się w ich smach smaki innych niedoli. Poznanie smaku całości wymaga wszystkich łez, o których wspomniałem, i więcej. Zanosimy je, przywierające do tysiąca trąbek jak diamentowe kolie, do cystern pośrodku Ilinistanu, Miasta Owadów, o którym nie wolno wam wiedzieć. Jest tam płomień, który nie pali skrzydełek, i pajęczyny, które ich nie więżą, i rzeki słodzonej wody sączące się po omszałych kamieniach. Tam ule robią miód dla jego złotej radości, nie dla głodnych ust ludzi. Tam mrówki mogą odpocząć, bo zimy nas nie dziesiątkują, i jest obfitość najrzadszych słodkości.

Nie wyobrażasz sobie, pani, ile jest tam kwiatów.

A pośrodku Ilinistanu stoi cysterna. Mrówki, żuki i termyty wydrążyły pniak tak gładko i idealnie, że każdy może z dumą pisać na jego ścianach jak na najcieńszym papierze, lecz obcy zostałyby z miejsca pożarty przez pająki za obrazę. I raz na długi czas zbierają się tam pijący łyzy, żeby zrozumieć smutek ptaków, którym nie wolno poznać drogi do Ilinistanu. Lejemy nasze łyzy, jedną po drugiej, niebieska za białą za czerwoną za zieloną za żółtą, do cysterny, aż po wręby, patrzemy w wodę i widzimy, nad czym rozpaczają ptaki.

W cysternie, pani, Gwiazdo, istoto zagubiona i samotna, ujrzeliśmy twoje oblicze i zrozumieliśmy, że twoja ścieżka wiedzie pod ziemię, gdzie chodzą tylko robaki, do bladego, ślepego miasta, które zwą własnym i o którym nie wolno mi wiedzieć.

OPOWIEŚĆ O LIŚCIU I WĘŻU, CIĄG DALSZY

Ćma przez chwilę patrzyła na mnie uważnie.

– Nie zapłaczesz, pani? Czy to cię nie trapi?

– Bardziej mnie interesuje, przyjacielu Fahadzie, to miejsce, o którym nie wolno mi wiedzieć.

– On przyjdzie dziś wieczorem, on sam.

– I znajdzie nas w najlepszym odzieniu, jak przystoi dzieciom, które spodziewają się odwiedzin ojca, i żonie czekającej na męża.

Położyłam rękę, bardzo delikatnie, na skrzydełkach ćmy i pogłodziłam cieniutkie włoski.

– Gwiazdy się spalają, jak ćmy.

Na pewno znasz tę historię. Na pewno ją tańczyłaś albo śpiewałaś, albo usłyszałaś w piersi matki. W dzisiejszych czasach jestem taka pospolita. Wszyscy mówią moim głosem.

Nie spłonęłam. Och, matko, czemuś mi nie pozwoliła? Mogłabyś mnie pozszywać, zacerować jak dziurę, a ja mogłabym zapomnieć, jak to jest oddzierać się od ciebie, jak to jest mieć dzieci oddzierające się ode mnie, jak to jest noc po

nocy wysączać światło w usta mężczyzny. Jak wyglądały moje dzieci, gdy płowiąły w nicość? Jak ja wyglądałam?

Nie spłonęłam. Przybyłam na brzeg jeziora, gdzie, jak przypuszczam, przybywają wszystkie istoty. Była tam żalosna przystań, mały pomost okropnie potrzebujący odmalowania, i fale, i pienista szara woda, i brodźce łowiące pchły. Ciekawa jestem, jakie pchły znajdowały. Wyszłam na brzeg, mając mokre łokcie. Tkwiłam pomiędzy kobietą i węzem, moje ciało przechodziło z jednej postaci w drugą – czyżby w ten sposób moja matka wskazywała, że powinnam powziąć decyzję? Już mówiłam, że jej nie rozumiem. Pewnie nie miała z tym nic wspólnego. Idąc brzegiem, zobaczyłam nadpływającego przewoźnika, dostrzegłam jego tratwę i zniszczony maszt, ujrzałam jego tyczkę. Gdy dobił do pomostu, podeszłam i wsiadłam na pokład.

Powietrze wokół mnie zagęściło się jak śmietana i czułam ręce na piersi, ręce pchające mnie wstecz. We mgle widziałam niewyraźne twarze moich córek, moich ukochanych, moich Gwiazdeczek, ich piękne oczy płonęły w powietrzu. Położyły na mnie ręce, a ja je wzięłam jak zwykle – były zimne, ale ręce kobiety często bywają zimne. Ile razy chuchałam na nie, pocierałam je, by znów poczerwieniały? Nie chciały mnie przepuścić. Jednocześnie otworzyły usta i ujrzałam, że mają wycięte języki. Jednocześnie naparły na mnie, a ja się zachwiałam.

I w tłumie dostrzegłam dwoje, jedno bez oczu, drugie bez uszu, krzyczących głośniejsz niż inni. Pchali mnie i płakali, ich lamenty były jak kamienie rzucone za niechcianym dzieckiem. Odpychali mnie od brzegu, coraz dalej i dalej, do wilgotnej zielonej dżungli i czerwonych wież.

Otworzyłam sto czterdzieści pięć par oczu.

Wtłoczyli mnie w te ciała, w te ciała, które mnie jadły, obgryzały do chrząstki i wciąż trzymały w wydętych brzuchach. Dziwnie było poruszać stu czterdziestoma pięcioma parami rąk. Miałam wrażenie, że obracają się wokół mnie jak skrzydła wiatraków. Nie mogłam ich uspokoić. Patrzyłam swoimi oczami w swoje oczy, byłam w nich wszystkich i czułam świńskie mięso, zawsze, zawsze. Połknęli mnie; żyłam w nich jak dziecko. I w środku każdego z nich, pod świńskim sercem, pod świńskimi pischzącymi płucami i pod świńskim głodnym żołądkiem, tkwiło małe białe ostrze świńskiego zęba. Tylko w moim mężu nie było tego zęba. Nie mogłam znieść jego zapachu, jego głosu, jego dotyku.

Ale pozostali tworzyli dymiący labirynt wieprza i człowieka, i wiłam się przezeń, błyskając zielenią w ugotowanych, ropiejących odcieniach różu.

Jestem zmęczony, powiedział dziczy ząb.

Współczuję ci, odparłam.

Byłem głodny. Nie chciałem zjadać tych dziewczyn, tych chłopców, tych koni. Ale byłem taki głodny. Jaką bestię obwinia się za głód? Tylko mnie. On pociął mnie jak śniadanie i wyciągnął ze mnie wszystkie te stworzenia, i teraz jestem jeszcze bardziej głodny, jem za stu i czterdziestu pięciu, mój brzuch burczy w stu i czterdziestu pięciu skórach, i jestem taki zmęczony.

Współczuję ci, powiedziałam w głębi tych stu i czterdziestu pięciu. Mnie też pokroił, jak kolację, i wyciągnął ze mnie dzieci, i ja też jestem zmęczona.

Gdybym znów był sobą, zjadłbym go i byłbym nasycony.

Chcesz, żebym ci trochę pomogła?

Tak, o tak.

Z pewnością znasz tę historię. Z pewnością ją tańczyłaś albo słyszałaś u piersi swojej matki. W dzisiejszych czasach jestem na ustach wszystkich, jak wtedy.

Mój brat zajął się moim ciałem. Złożył je w jakiejś jaskini, jak sądzę – czasami czułam zapach ściekającej wody i starych kamieni, nawet teraz je czuję. Znów poszłam na brzeg jeziora i tym razem nikt nie położył ręki na mojej piersi, nie zawodził do mojego ucha. Brzeg był pusty i wiatr pieścił kamienie. Nikt po mnie nie przyszedł. Byłam sama. Ktoś odmalował pomost. Brodźce wydawały się tłuste. Miałam mokre włosy, mokre od łez. Czekałam długi czas. Prom w końcu przybył, wlokąc za sobą ciemną wodę.

Popłynęłam przez jezioro na Wyspę. Na Wyspie poszłam do czegoś, co nie jest wioską, miasteczkiem ani miastem. Kulłam się w niskich szarych domach, zziębnięta i sama. To nie było przyjemne, ale nie było nieprzyjemne. Przynajmniej on zniknął, a ja poruszałam tylko własnymi oczami, nie stu czterdziestoma pięcioma parami oczu. Wołałam do matki, lecz nie odpowiedziała. Wołałam do dzieci, lecz nie odpowiedziały – choć usłyszałam ciche chrobotanie przy rozklekotanych drzwiach.

Otworzyłam drzwi, moja ręka jaśniała na tle szarości. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale zobaczyłam młodą kobietę pokrytą diamentami tak gęsto, że nie widziałam skóry. Jej włosy były rzeką lodu. Otaczało ją czternaście skrawków światła bez twarzy, jak świece zapalone w kaplicy.

– Przepraszam – powiedziała diamentowa dziewczyna, a jej głos był mi znajomy, choć nigdy go nie słyszałam. – Nie zdążyły

dorosnąć. Chciały cię znaleźć, ciągnie ich do ciebie, matko-ćmo, lecz tak naprawdę nie rozumieją, tak naprawdę nie mówią. Są tylko światłem, światłem, które wie, że kiedyś było czymś innym, lecz nie całkiem to pamięta. Ale zawołałaś, więc je przyprowadziłam. Chciały przyjść.

Moje dzieci płonęły w kręgu wokół mnie, a mała Diament, jasna jak płonący stos pogrzebowy, najmniejsza z Manikarnika, wzięła mnie w ramiona.

Umarło nas tak niewiele, że miejsce to jest prawie bezludne i samotne. Ale jesteśmy razem, wokół nas unosi się odbicie naszego światła jak lampy lśniące w kałuży. Są tutaj moje córki, moje Gwiazdy Zaskrońce, moje Gwiazdy Grzechotniki i moje Gwiazdy Kobry, moje ukochane i moje wyrocznie, i wędrujemy jak kiedyś, nasz mały klasztor. Już nie jestem sama.

– Kto zbudował te domy? – zapytałam kiedyś Diament.

Pokręciła głową.

– Były tu. Skąd mielibyśmy wiedzieć, jak budować domy? Myślę... – zarumieniła się i diamenty jej twarzy przez chwilę przypominały rubiny. – Myślę, że zbudował je dla nas Idylla. Z pewnością muszą być dni, kiedy nikt nie umiera.

Chciałabym powiedzieć, że minął długi czas, ale nie mogę być pewna. Chciałabym powiedzieć: „Pewnego dnia spotkałam dwóch mężczyzn wędrujących pomiędzy brzozaami”. Ale co to jest dzień? Co to jest noc? Tutaj zawsze jest ciemno, to czyjaś anonimowa uprzejmość, żeby Wyspa przypominała nam kołuskę Nieba. Tak więc mogę tylko powiedzieć, że to się stało, kiedyś i gdzieś, wśród białych drzew, w ciemności. Szli ręką w rękę. Obaj jaśnieli jak ja, ale ich nie znałam. Skórę mieli czerwoną i słojuwatą jak drewno, a kiedy podali mi ręce na powitanie, ich palce były twarde niczym deski tratwy. Nosili

żeglarskie łachmany na identycznych ciałach, oczy mieli ciepłe jak drewno i łagodne, ze zmarszczkami w kącikach – ale może były to tylko słoje ich skóry. Czerwonawe włosy opadały na bliźniacze czoła jak włóknista kora.

– Jesteśmy Itto – powiedzieli jednocześnie. Jeden głos był niski, a drugi wysoki, jak u dziecka, ale poza tym byli jednakowi pod każdym względem. – Kiedyś byliśmy Bliźniaczą Gwiazdą, a w tym miejscu jesteśmy zmuszeni chodzić w parze. Nie uważamy tego za nieprzyjemne.

Mówili zawsze razem i przez chwilę było to dla mnie dziwne. Bliźniacza Gwiazda została przemieniona w bliźniaków, jak ja w półwęża, i ich skóra miała odcień tratwy. Opowiedzieli mi o swojej tratwie, i o swojej śmierci, i o swojej dziewczynie-lisie, a ja ich obejmowałam, gdy płakali za utraconą tratwę i za utraconym światem – wszyscy jesteśmy tacy zagubieni; wszyscy jesteśmy tacy załamani, najmniejsi z nas trzymają najmniejszych, gdy płaczą. Opowiedziałam im o moim mężu, o moich dzieciach, które podążały za mną jak zdeorientowane błędne ogniki. Dwaj młodzi mężczyźni patrzyli na mnie pełnymi goryczy i rezygnacji oczyma, jakby niczego więcej się nie spodziewali, i wyciągnęli do mnie cztery czerwone ręce. Nie wiedziałam, o co im chodzi. Powiedziałam im o ludziach-dzikach, i jak brzmiał głos dziczego zęba, i jak kobiety zatrzymały mnie na brzegu. Zamknęli mnie w swoich drewnianych ramionach na leśnym runie i ległam przy nich sztywno. Nie płakałam – węże nie płaczą – ale byłam im wdzięczna za obręcz ich ramion i za to, że mnie nie szukali, by okazać mi swoją miłość, by zapewnić, że nie będę sama, by okazać mi nieuczciwie zdobyte oddanie, by niepokoić mnie w ciemności. Zmięklam przy nich, a oni gładzili moje włosy.

Powiedziałam im, że tylko raz byłam sama, na brzegu jeziora, za drugim razem, gdy nikt po mnie nie przyszedł.

Moje dzieci leżały wokół nas w kręgu, jak jarzące się, nieczułe grzyby.

– Nie jestem tratwą – powiedziałam, a bliźniacy zachichotali.

– Nie jesteśmy królem – odrzekli.

Trudno było ich odróżnić, gdy się nie odzywali, co zdarzało się nieczęsto. Jeden z nich został moim kochankiem i jego głęboki głos rezonował w moich kościach. Drugi, twardszy, bardziej podobny do tratwy, o dziecięcym głosie, wiotkim i cienkim, był po prostu dla mnie miły. Pomagał mi w czasie wylinki, a raz, gdy coś w rodzaju księżyca wisiało nad Wyspą, przyszedł do mnie, skaleczył się o zawias moich drzwi i dotknął moich ust kciukiem usmarowanym światłem. Smakowało solą i drewnem. Drugi bliźniak był ze mną zawsze, jego pocałunki były czerwone, pyliste i delikatne. Smakowały jak morze. Chodzimy po lesie, a gdy raz na jakiś czas czerwone owoce pojawiają się na drzewach jak ambasadorowie dalekiej wiosny, zjadamy je razem. Nie byłam sama. Nie jestem sama. Kto mógłby myśleć, że kiedykolwiek byłam sama?

Ale przybyła dziewczyna z krwawym kikutem w miejscu, gdzie powinien być ogon, mówiąc mi swymi wielkimi, głodnymi oczyma, jaka jestem samotna, i ściskając liść w dłoni. Poznałam liść w jednej chwili – ujrzałam w nim herbacianą dziewczynę, dalekie dziecko liści, które zmiażdżyłam pod stopą po upadku na ziemię. Przyniosła go, jakby mógł mi przywrócić utracone światło, przyniosła go jak dziecięcą lalkę, która dawno temu została wyrzucona, jedno oko zginęło, z jednej ręki wypadły trociny. Przyłożyłam liść do skóry, a on się we mnie wtopił. Nie myślałam o tym więcej i zaproponowałam dziewczynie swój

dom, swoje czerwone owoce, choć nie chciała jeść, niewdzięcznica. Ale może jednak liść miał jakieś znaczenie, bo niedługo później urósł mi brzuch.

Nie mogę powiedzieć, czy światło jednego z bliźniaków, czy pocałunki drugiego, czy sam liść, czy dziewczyna, która go przyniosła, znów napełniły mnie dzieckiem. Może wszystko razem. Może nic. Ale nie jestem sama, nawet we własnej skórze.

OPOWIEŚĆ O PRZEPRAWIE, CIĄG DALSZY

– Jak to w ogóle możliwe w tym miejscu?! – krzyknęła Zmieja, obejmując brzuch. – Co odbiorą akuszerki? Co ze mnie wyjdzie, spłodzone przez martwego ojca, zrodzone przez martwą matkę?

Oublietta spuściła oczy ze wstydu. Łzy parzyły jej twarz, parowały w powietrzu. Żałośnie spojrzała na Siódemkę.

– Przepraszam – szepnęła do Gwiazdy. – Chciałam cię ocalić. Chciałam ocalić ją, herbacianą dziewczynę. Byłam po prostu niemądra.

Twarcz Zmiei złagodniała, odcienie zieleni igrały na jej policzkach.

– Och, nie obwiniaj się, biedactwo. Też jesteś taka zagubiona. Drażnię się z tobą za te wielkie głodne oczy, za te wszystkie słowa, które wypowiedziałaś, gdy przybyłaś tutaj, ściskając swój mały liść. Nie mogę się powstrzymać. Ale dlaczego nie chciałaś jeść przy moim stole? – Gwiazda Wąż podeszła i ujęła w dłonie głowę huldry.

Oublietta roześmiała się i wytarła łzy.

– Każdy, kto przeczytał w życiu książkę, wie, że nie należy jeść strawy umarłych – odparła.

Dwie kobiety objęły się, ale na króciutką chwilę, jakby nie chciały spieszyć swojego gościa. Siódemka czuł, jak ciężar tego, co Oublietta widziała i zrobiła bez niego, pociąga go za pusty rękaw.

– Dlaczego tak cię kochają? – zapytał. Kobiety cofnęły się, odsuwając od jego urywanego głosu. – Dlaczego wszyscy rzucają się na ciebie z modlitwą, żebyś ich złapała? Immacolata, Oublietta – wyrzekły się wszystkiego dla ciebie!

Zmieja popatrzyła na niego nad spuszczoną głową huldry.

– Nie wiem! – syknęła. – Kto wie, dlaczego cokolwiek robicie? Patrzycie na nas, zwiecie nas bogami, składacie siódmych synów na ołtarzach, o których nic nie wiemy! Wznosicie wieże, o które nigdy nie prosiliśmy, a długimi rękami mordujecie nas i mówicie, że to drewno jest za piękne na nasze podobizny, i gwałcicie nas, aż pękają nam nogi! Skąd mam wiedzieć, dlaczego niektórzy z was nie chcą nas okaleczać? Ale gdy ci nieliczni rzucają się na mnie, czy mogę ich nie łapać? Kto to robi, jeśli nie ja? Czy mam ich odtrącić jak złe dzieci, które nie powinny sprawiać kłopotów lepszym od siebie?

– Nie są twoimi dziećmi do łapania!

– Ty im to powiedz. A potem każ mi odprawić dziewczynę, która tnie dla mnie swoje ciało, powiedz jej, że nie jest mile widziana, że jest tu już zbyt wiele sióstr, że nie ma dla niej miejsca.

Jednoręki chłopiec zwrócił na przyjaciółkę błagalne, smutne oczy.

– Czy nie byłem dobrym bratem?

Oublietta spojrzała na niego ze złością.

– Pewnych spraw nigdy nie zrozumiesz – fuknęła. – Zostawiłeś Taglia i Grotteschi bez słowa. Czy byli złą rodziną?

Czy w ogóle o nich myślałeś? Czy przyszło ci do głowy, że za tobą tęsknią, że mogli pragnąć, byś został? Zastanawiałeś się, czy dotarli do Adżanabh, czy są w bramach miasta, czy Grotteschi śpiewa u zamkniętych okien?

Siódemka nic nie powiedział.

– Równie często ja myślałam o tobie – dokończyła huldra.

W OGRODZIE

Zmierzch, rzadki i rozwichrzony, snuł się nad jeziorem. Skóra dziewczynki była ciepła pod płaszczem, ale chłopiec dygotał.

– Kiedy skończysz opowieści – powiedział – kiedy twoje powieki wyleją swój tusz pomiędzy nas i ogród od nich szernieje, czy zostawisz mnie jak Oublietta zostawiła Siódemkę? Jak Siódemka zostawił gaselli i mantykorę? Czy odejdziesz do miejsca, którego nie mogę dotknąć, i już nigdy o mnie nie pomyślisz? – Urwał na chwilę. – A może będziesz pamiętać, że kiedyś był miły chłopiec, który się ciebie nie bał, i chodził z tobą po ogrodzie, i słuchał cię, i nie przerywał twoich opowieści? Czy będziesz siedziała przy stole z błękitnego kryształu, wspartym na papuzich skrzydłach, otoczonym przez baśniowe stworzenia, jedząc na obiad pory i róże, i myślała: Ciekawa jestem, co się stało z chłopcem. Gdzie jest teraz, czy się ożenił, czy jest gruby, czy dba o ogród?

Ledwo mógł na nią patrzeć, jego ręce drżały jak brązowe pałki wodne. Dziewczynka spojrziała na niego z nachmurzoną miną.

– Kiedy skończę opowieści, kiedy moje powieki wyleją cały swój tusz w twoje ręce i dla mnie nic nie zostanie, czy pobiegiesz do pałacu jak dobry książę i zostawisz mnie mojemu losowi, jak Łania zostawiła bestię, która ją kochała? Czy pójdziesz do pokojów, do których ja nie mam wstępu, i

nigdy więcej o mnie nie pomyślisz? A może będziesz pamiętać, że kiedyś była miła dziewczynka, która nie prosiła cię o zbyt wiele, i chodziła z tobą po ogrodzie, i opowiadała ci historie, które przyprawiały cię o zawrót głowy, i myślała tak bardzo o twoim bezpieczeństwie, że pokazała ci wszystkie tajemne kryjówki, które kiedyś należały tylko do niej? Czy będziesz siedział w sułtańskim turbanie i w koronie na głowie, z sułtańską bransoletą na ręce, przy złotym stole wspartym na grzbietach uperfumowanych niewolników, i myślał: Ciekaw jestem, co się stało z tą dziewczynką. Gdzie jest teraz, czy wyszła za męża, czy jest gruba, czy ma przyjaciół wśród demonów?

Oboje milczeli przez długi czas, powietrze pomiędzy nimi zalegało ciężkie i smutne jak stary deszcz. Dziewczynka zacisnęła zęby, broniąc się przed zapewnieniami, których pragnęła. Były delikatne, słodkie i nieprawdziwe. Nie wiedziała – skąd mogłaby wiedzieć? – co się stanie.

– Myślę – zaczął chłopiec – że za pięćdziesiąt lat, u kresu mego panowania, wydam kolację tym kamieniom, temu jezioru, w nadziei że wrócisz ze świeżym tuszem na oczach i nowymi cudami do opowiedzenia. Obalę wszystkie ogrodowe bramy i pewnego dnia stary, białowłosy mężczyzna siądzie nad wodą z zielonymi jabłkami i pieczonym gołębkiem na serwecie, i będzie pytał siebie, co się stało z tą dziewczynką.

Uśmiechnęła się i dotknęła jego ręki. Ptak z perły siedział pomiędzy nimi niewzruszony.

– Mamy całą noc – powiedziała. – Księżyc jeszcze nie wzeszedł. Czy mam dokończyć opowieść o tej strasznej, samotnej wyspie?

– Tak – szepnął chłopiec.

OPOWIEŚĆ O PRZEPRAWIE, CIĄG DALSZY

Dziecko nie spieszyło się z przyjściem na świat.

Siódemka zamieszkał z Oubliettą w jednym z długich, pustych szarych domów. Były tam dwa okna i dwa długie łóżka, i niski, szorstki stół pełen jabłek, bananów i granatów, ona jednak nie pozwoliła mu nic jeść.

– Kto nam zostawił te owoce? – zapytał Siódemka.

Huldra wzruszyła ramionami.

– Z reguły przypisują Idylli wszystko, co dziwne i jasne, a nie pochodzi z nich samych. Ale kto może wiedzieć? Drugie łóżko też jest nowe. Może nikt. Może owoce wyrastają ze stołu jak gałąź ostrokrzewu z ostrokrzewu. Może to dom-krzak, może urodził dla ciebie nowe łóżko i kolację. – Uśmiechnęła się krzywo i odtąd było im łatwiej, choć oboje się zastanawiali, jak długo przetrwają bez zjadania bogatego posiłku, który każdego wieczora pojawiał się na stole.

Spali oddzielnie przez połowę jednej nocy, a potem Oublietta skuliła się obok przyjaciela jak nieufny kot.

O poranku – a raczej w porze, która uchodziła za poranek na wyspie – jeden z bliźniaków Otto zabierał ich, żeby zobaczyli nikłe światła dzieci Zmiei krążące po leśnym runie, bawiące się jak motyle czy zięby. Diament przychodziła z jedną z sióstr,

roznosząc po domach płonące patyki do rozniecenia ognia, jeśli tego dnia domy miały paleniska. Były to dziwne, krnąbrne chałupy, które jednego dnia mogły zaoferować kominek, a gdy spotkały się z odmową, nie dawać ich nikomu przez wiele tygodni. Kiedy więc pojawiały się paleniska, Gwiazdy spieszenie sprawiały im przyjemność iskrami i trzaskającymi kłodami. Jednak bez względu na to, jak często Siódemka i Oublietta grzecznie mówili swojemu domowi, że nie są głodni albo że nie lubią owoców, następnego wieczora pojawiały się nowe, świeże i lśniące.

Niekiedy przychodziła sama Zmieja z zyczliwym, roztargnionym uśmiechem. Jej zęby czasami były zielone, czasami czerwone, a jej twarz szybko stała się im znajoma jak twarz sąsiada, który często zachodzi pożyczyć cukier czy mydło. Kiedyś poprowadziła ich daleko w głąb wyspy, do nagiego lasu, gdzie pokazała im krystalicznie czystą sadzawkę. Położyła palec na wodzie, a woda wezbrała brązowymi liśćmi, liśćmi herbaty wirującymi gęsto i szybko, układającymi się w kształt kobiecej twarzy, kobiecej twarzy o barwie podeszwy buta, o barwie herbaty ulung i skórki cytryny. Twarz spłynęła słodkimi brązowymi łzami na widok Zmiei i rozpłakała się jeszcze bardziej, gdy dwoje śmiertelników opowiedziało o Tagliu, jak sobie radzi w świecie. Oublietta i Siódemka uznali, że jej cienki, ciepły głos jest najpiękniejszy ze wszystkich, jakie słyszeli.

Kiedy indziej Zmieja zabrała ich na spacer po brzegu i pokazała im twardą kamienną ścieżkę wśród mrugających oczu – ścieżkę, której Siódemka nie znalazł – i omiatali wzrokiem horyzont, wypatrując promu. Powieki oczu obrosły glonami, ale brodźce nie zapuszczały się tak daleko na plażę. Tylko raz czy

dwa słyszeli sowę albo drozda, albo dziwny, zawodzący krzyk małego dudka.

Jezioro było rozległe, nie widzieli dalekiego brzegu, a kiedy padał deszcz, co zdarzało się często, woda i niebo stapiały się w jedną wielką szarą sferę. Siódemka naprawił pomost najlepiej jak potrafił, bez narzędzi i jedną ręką, czyli niezbyt dobrze, ale jego starania zostały docenione. Oublietta pomalowała pale mieszaniną gotowanej kory i łez z plaży, i pomost widmowo przeglądał się w wodzie. Po jakimś czasie, co było nieuchronne, w wielkiej szarej kuli pojawiła się tratwa i przewoźnik przywiózł kobietę do dzielnie odnowionej przystani.

Nie była jeszcze staruszką, choć kierowała się ku starości jak chorągiewka ku zachodowi na wschodnim wietrze. Z jej ramion wyrastały długie siwe skrzydła, a stopy miała żółte, z błonami pławnymi. Szerokie smugi srebrnych piór przetykały jej ciemne włosy, gęste czarne pasma wyraźnie przegrywały walkę z ptakiem. Głębokie bruzdy okalały jej usta i odbiegały od kącików zapadniętych, dużych oczu. Była szczupła i zwinna jak gęś w locie, a wichry jeziora wychłostały i zarumieniły jej policzki. Szła zwawym, zdecydowanym krokiem, długimi, pewnymi palcami odgarniając z czoła wilgotne od mgły włosy. Jej spojrzenie spoczęło na nabrzmiałym brzuchu Zmiei.

– Widzę, że jestem potrzebna – powiedziała. Głos miała chropawy, jakby mówiła bez przerwy przez lata.

Zmieja nakryła brzuch długą zieloną ręką.

– Jak długo według ciebie dziecko rośnie w martwej kobiecie?
– szepnęła.

– Przypuszczam, że tak długo, jak sobie życzy – odparła nieznajoma z uśmiechem.

Idylla spojrział na Siódemkę i Oubliettę. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, i znowu je zamknął. W końcu mruknął:

– Pomost wygląda lepiej. Ale partacka robota.

Powoli odbił od brzegu i roztopił się we mgle. Plusk wody brzmiał jak płynące z dali kwilenie niemowlęcia.

– Cóż, to już mamy z głowy – mruknęła nowo przybyła. – Pani Węży, Zabójczyni Świni, Gwiazdo Dżungli! Brat martwi się o ciebie...

OPOWIEŚĆ AKUSZERKI

W młodości byłam gęsią.

Nie ma co wytrzeszczać oczu. Gęsi są pospolite w moim kraju, który leży tak daleko na wschód stąd, jak kra lodowa na północy. Kiedy wędrowaliśmy po niebie, byliśmy jak ręka przesuwana po obliczu słońca. Lasy skrywały się w naszym cieniu. Zwałam się wówczas Orle Gniazdo i imię pozostało.

Ale było to dawno temu. Teraz jestem kobietą, moje stado odeszło, a mój brat przez pewien czas był królem.

Może słyszeliście tę historię. Nie jest tak popularna jak opowieści o wygłodniałych wężach, ale niektórzy minstrele wciąż śpiewają, jak dziewczyna-gęś wraz z bratem zabiła tyrana.

Mój brat nie ukochał samotnego krzesła w samotnym zamku i długi czas temu dołączył do Ojcobójców w mieście Al-a-Nur, gdzie żyje w zgodzie z sumieniem i nosi czerwony habit. Nie byłam przy nim, kiedy składał śluby, choć na cztery strony świata rozesłał ludzi, żeby mnie odszukali i błagali o powrót do domu. Ale ten zamek z jego rzekami i jego sekretami nie był moim domem, więc się ukryłam, gdy usłyszałam ich wołanie. Powiedzieli mu, że znaleźli gęsi i dziewczyny, ale nie jedno i drugie, i mój brat ze spuszczoną głową odszedł ze świata i z naszej historii.

Poszukiwałam wątku opowieści naszej matki, by utkać go z powrotem w tkaninę. Ruszyłam na wyprawę. Może ma się to we krwi. Tropiłam opowieść przez wysokie góry zwieńczone śniegiem białym jak brody mędrców i nad morzem leżącym przede mną niczym gładka suknia. Świat jest szerszy, niż ktokolwiek sobie wyobraża. Droga zabrała mi lata i w trakcie wędrówki zdobyłam coś w rodzaju wykształcenia, jakie mogła dać mi moja prababcia. Nauczyłam się sposobów wiedzmy trawy i liści; nauczyłam się sporządzać eliksiry miłosne, leki na przeziębienie i maści na podagrę dla tych, którzy mogli mi zapłacić; nauczyłam się patrzeć w niebo, by mówić młodej dziewczynie, czy jej mąż będzie miał jasne, czy ciemne włosy, i odebrać jej dziecko, kiedy nadejdzie pora, i pochować ją we właściwym czasie. Srebro wróciło na moje skronie, srebro jak pióra. Nie miałam nic przeciwko czasowi ani odległości. Oto co znaczy edukacja.

Wreszcie poszłam tam, dokąd powinnam pójść na samym początku, do wypalonego pierścienia drzew i starych chat na wpół pochłoniętych przez złote trawy, gdzie na gałęzi wciąż wisiała skóra żbika, a złote pióra niosły się jak popioły po drózkach biegnących od chaty do chaty. Ileż razy stado musiało przybywać w to miejsce, żeby odprawiać żałobę po sobie! Poczerniałe szkielety kopuł pachniały końskim łojem i spalonym drewnem. Słońce świeciło jasno i twardo, gdy szłam wśród ruin, stara czerwona szarfa skóry leukrotty uderzała o moje uda. Przecież wioska była zbyt mała, by skusić grabieżców. Po raz tysięczny zapłakałam nad moją matką.

Kiedy słońce wykrwawiło się na zachodnich wzgórzach, usłyszałam płynące z dali parsknięcie żrebaka i znalazłam niedaleko karą klaczkę, która skubała długą, suchą trawę. Nie

była wyjątkowa – nie była ogromną karą Klaczą, którą pragnęłam zobaczyć – ale się mnie nie bała i trącała chrapami moje kieszenie, szukając jabłek. Stwierdziwszy, że ich nie mam, pokłusowała, a ja z logiką koniarki podążyłam za nią. Niebawem biegłam co sił w nogach, żeby nie stracić jej z oczu. Często czekała na mnie, żebym mogła dotrzymać jej kroku, a potem znów cwałowała. Wreszcie dotarliśmy do wielkiej jaskini. Gdy weszłam w szczelinę w ścianie urwiska, klaczki nigdzie nie było widać.

Jaskinia była pusta jak zrównana z ziemią wioska. Jak bardzo chciałam zobaczyć Klacz! Nawet wstrętnego lisa! Niestety, otaczała mnie pustka i gładkie ściany, bez drzwi, które mogłyby mnie przepuścić, i żaden wilk nie wyszedł mi na spotkanie. Jeśli gdzieś tam leżały Śpiące, nie wiodła do nich ścieżka. Usiadłam w grocie i zawołałam. Mój głos prawie nie zbudził echa.

Moje stare kości były takie zmęczone, zaszłam tak daleko. Przyznam się, że zapłakałam.

Zasnęłam na ziemi, jak dziecko zaciskając pięści przy ubłoconej twarzy. Kuczał nade mną, kiedy się zbudziłam.

– Co tu robisz? – zapytał, a jego głos odbił się echem... och, jakim echem!

Był to mężczyzna o skórze jak papier, bielszej niż papier, bledszej niż śmiertelna skóra, jak śnieg na śniegu. Włosy opadały mu do talii, a oczy płonęły złotem. Na ramieniu trzymał wielki kościany harpun. Srebrne tatuaże pokrywały jego nogi, kręte, wijące się słowa w języku, którego nie umiałam odczytać. Teraz znam swoją trawę i znam swoje liście, i znam swoje historie. Rozpoznałabym Laakeę, Gwiazdę Harpun, na pierwszy rzut oka.

– Po coś tu przyszła? – zapytał. – To nie miejsce dla ciebie, już nie. Idź do domu – syknął.

Jego pogarda paliła mnie jak płomień.

– Przyszłam... Przyszłam z powodu matki, by znaleźć Gwiazdę Wilczycę i światło...

– Już nie masz prawa do tego światła. Zostało do cna zużyte. Wracaj do swoich napoi miłosnych i zostaw nas w spokoju. Nie jesteśmy fontanną, z której możesz pić od niechcienia.

– Dokąd poszła Wilczyca? Dokąd poszły Śpiące? Gdzie jest Klacz? Jego twarz poróżowiała ze złości.

– Ostatnia dziewczyna przyszła i odeszła. To miejsce jest wyczerpane. Miało życie, jak drzewo czy bestia. Narodziło się, gdy zmarły tutaj dwie siostry, użyczając swych darów trzeciej, i umarło, gdy koniarka bez pozwolenia dotknęła lisa. Klacz, jak ją nazywasz, zapewne już zapomniała o istnieniu tej groty. A Liulfr – moja krewna, nie twoja – wróciła do Nieba, by złożyć ciała w grobach, by zrobić to, co Gwiazdy mogą zrobić dla swoich sióstr i kuzynów, i krewnych. Idź do domu. Nic tu dla ciebie nie ma.

– Ale przez całe życie szukałam tego miejsca! – Rozłożyłam puste, brudne ręce.

– Nie dbam o to! Dlaczego wy, okropne stworzenia, z uporem wierzycie, że obchodzą nas wszystkie wasze poczynania? – Z gardła Gwiazdy popłynęło straszne zawodzenie, piękna twarz skrzywiła się z żalu, gdy zadzierał głowę, łzy spływały mu z oczu niczym błyskawice. – Jeden z was zabił moją siostrę! Gdybym mógł, rozdarłbym was wszystkich na kawałki, byle tylko ujrzeć ją całą i zdrową!

– Ja nie zabiłam twej siostry – warknęłam.

– To nie ma znaczenia. Kiedy patrzysz w Niebo, czy widzisz nasze twarze? Nie, widzisz mnogość, wszystko jednakowe. Tak samo jest, gdy ja patrzę na ciebie. Ciało mojej siostry spoczywa wewnątrz, gdzie leżały Śpiące. Moja siostra zasługuje na to miejsce nie mniej niż one. Jej jedno mrugnięcie jest świętsze niż one wszystkie. Nie pozwolę, by małe dziewczynki piły z niej jak z kubka.

– Wcale... wcale tego nie chciałam. Ale byłam młoda, kiedy zaczęłam, a teraz jestem stara, i jeśli szybko nie dostanę światła, umrę i moja rodzina sczeźnie w ciemności.

– Nie jest twoje, żebyś mogła je brać. Nigdy nie było. To nie twoja rodzina, tylko moja. – Urwał na chwilę, zaciskając alabastrową szczękę. – Jeśli nie lękasz się ciemności, czy zapłacisz za światło, które wzięły twoje prababki? Dam ci je, światło, którego pragniesz, jeśli oddasz coś w zamian.

– Tak, cokolwiek zechcesz! – Cóż, złożyłam głupią obietnicę, ale głupota jest przywarą nie tylko tych młodych.

Laakea ukląkł przede mną. Nie wiedziałam, co zrobić. Jego oczy były ogromne, jak wielkie kałuże złota i błagania.

– Znajdź ją. Znajdź ją i powiedz mi, dokąd poszła. Powiedz mi, co się z nami dzieje, powiedz mi, że spoczywa w pokoju. Powiedz jej, że ją kocham. Powiedz jej, że próbowałem ją chronić. Nie mogę znieść myśli, że jest sama! – Głos mu się załamał. Laakea był nieszczęśliwy jak dziecko zagubione w ciemnym lesie. – Powiedz jej, że bardzo za nią tęsknię.

To rzekłszy, podniósł harpun i wbił w moje serce.

OPOWIEŚĆ O PRZEPRAWIE, CIĄG DALSZY

Oczy Zmiei pełne były zielonych łez.

– Ja też za nim tęsknię.

– Wbił we mnie harpun i w moją pierś wpłynęło więcej światła, niż kiedykolwiek miała moja babcia. Paliło mnie jak wrzący olej wlewany do gardła. Czułam, jak wrzeszczy we mnie i wykrzykuje imię mojej matki, czułam, jak wrzeszczy we mnie i wykrzykuje imię mego brata, i mojej babci, i wszystkie imiona mojego stada. Srebro wezbrało pienieście w moich ustach jak krew i Laakea wyciągnął harpun.

Zmieja kiwała głową.

– Nigdy nie oddał więcej niż szklanekę swego światła. Wciąż pali ziemię swoimi stopami, jak my wszyscy we wczesnych dniach świata.

– Wystarczyło, żeby przewoźnik uznał mnie za Gwiazdę i przywiózł tutaj, gdzie zmierzałam.

– Ile zapłaciłaś? – zapytał Siódemka. Orle Gniazdo zamrugnęła. – Idylli. Ile mu zapłaciłaś za przeprawę? Ile krwi utoczyłaś dla harpii?

Wiedźma się roześmiała.

– Monety są dla żywych, chłopcze. Dla tych, którzy nie powinni tu przybywać, i za odwiezienie tych, którzy nie

powinni tu przebywać. Krew jest dla tych, którzy nie mają żadnego interesu na tym jeziorze. Jest inny sposób, żeby się tu dostać, a mianowicie śmierć. Laakea zaproponował, że poderżnie mi gardło najszybciej, jak tylko możliwe, ja jednak znałam szybszą metodę. Rozwiązałam szarfę leukrotty i padłam trupem jak wtedy, gdy brat skręcił mi kark. I jestem tutaj, półgęś, zawsze taka byłam. Zawarliśmy umowę, ja zawiozę mu, czego pragnie, a on zawiąże szarfę o nowym księżycu. – Zmierzyła wzrokiem Gwiazdę Wąż od góry do dołu. – Widzę, że potrzebujesz moich bardziej przyziemnych umiejętności. Mam nadzieję, że dziecko z zadowoleniem wyjdzie na świat prędzej niż później. – Kucnęła i przemówiła prosto do wzdętego brzucha. – Słyszysz, maleństwo?

Pokazaliśmy Orlemu Gniazdu wyspę i przestrzegliśmy ją, żeby nie jadła czerwonych owoców, jeśli chce wrócić. Ona i Zmieja rozmawiały długo, odgrrodzone od nas jak nowicjuszeki, z pochylonymi głowami, z długimi skrzydłami złożonymi na długich łuskach. Wąż dopytywała, co się dzieje z dzieckiem; gęś dopytywała, czy ma bóle, dreszcze, ciarki w stopach. Nagle w czasie rozmowy Zmieja krzyknęła, jej głos trzasnął we mgle jak pękające jajko, i upadła pod jednym z szarych domów, trzymając się za brzuch. Dom przesunął się spieszenie, zamykając ją w swoich ścianach. Przybiegli bliźniacy Itto, ich czerwone stopy wzbijały kamyki, i chwycili ją w ramiona, szepcząc do niej, gładząc jej włosy i mrucząc w szyję. Obejmowali ją, a ona przytulała do nich chłodne węzowe policzki. Czternaście nikłych, wątych światła wyglądało zza rzadkich drzew, migotały przerażone. Orle Gniazdo wzruszyła

ramionami i zabrała się do pracy, jej skrzydła były niemal równie zwinne jak ręce.

– Nie bolało tak wcześniej z innymi – powiedziała Zmieja, drżąc.

– Jesteś martwa. Twoje ciało nie chce wydać tej gorącej garści życia.

Siódemka i Oublietta patrzyli z daleka i myśleli, że to straszne narodziny. Krzyki Zmiei niosły się nad chatami, ponure i ochryple. Jej stopy kopały ziemię, gdy chorobliwe światło wylewało się z niej jak krew z żywej kobiety. Wreszcie dziecko spoczęło w skrzydłach Orlego Gniazda, dziewczynka z wielkimi czarnymi oczyma i strzechą ciemnych włosów, o skórze szarej i wilgotnej. Zmieja pogładziła córkę po włosach. Czternaście światel spoglądało ciekawie nad jej ramieniem. Jeden z bliźniaków Itto podniósł czerwony, słojujaty palec i dzieciątko chwyciło go w swoją piąstkę.

– Jak ją nazwiesz? – zapytała Orle Gniazdo. – Imiona są strasznie ważne, wiesz.

– Nazwę ją Smutek – szepnęła Gwiazda po długiej chwili. – Dam jej bezmiar smutku i nadzieję, że za jednym zamachem zapłaci za szczęście do końca jej dni. Może będzie miała ich więcej niż moje pozostałe dzieci.

Czternaście światel przygasło, ale nie zgasło.

Zapowiadało się źle. Dziecko było chore, miało zapadnięte policzki. Pokarm nie wzbierał w piersiach Zmiei. Światło nie wpadało przez gałęzie, nie oświetlało jej, nie karmiło. Oddech dziewczynki parzył powietrze, jej kwilenie brzmiało przejmująco. Była jedyną żywą istotą na Wyspie cieni i Gwiazd, i intruzów pomiędzy nimi. Nie miała światła, które ktoś mógłby

zobaczyć, i jej usteczka drżały z zimna, odsłaniając różowe dziąsła – zwyczajna zmarznięta, głodna dziewczynka. Nie było czym jej nakarmić i marniała powoli, coraz chudsza i chudsza, podczas gdy Orle Gniazdo czekała na nowy księżyc.

– Co się z nią dzieje? – Zmieja błagała o odpowiedzi.

Orle Gniazdo westchnęła.

– Jesteś martwa. Nie możesz nakarmić dziecka swoim twardym, zimnym ciałem. Nie możesz wystawić go na lśnienie i migotanie Gwiazd. Ona tu umrze, jedyna istota zrodzona w krainie umarłych.

Zmieja zapłakała, gorzko i przeraźliwie. Światła wokół niej rozbliły z żalu.

– Proszę, Orle Gniazdo. Weź ją. Połóż ją na tratwie i kiedy twoja szarfa znów będzie mocno zawiązana, idź szybko do lamentującej bestii nad zasłanym szkłem jeziorem, którego szukali Oublietta i Siódemka, i wynieś ją z jaskini – wreszcie będziesz miała całą jaskinię dla siebie. Nie zniosę widoku kolejnego dziecka, które gaśnie w nicość.

Orle Gniazdo ściągnęła usta.

– Nie chciałaś jej, wiem. Nie byłoby gorzej, gdybyś jej nie miała.

Zmieja wyprostowała się z poważną twarzą.

– Nie próbuj mnie zawstydząć, kobieto. Wygryziono we mnie dziurę i Smutek zasługuje na szansę, by zstąpić z ciemności, jak ja. Jest moim dzieckiem, mała jak Gwiazdy Trawy, i ją kocham. Kocham ją.

Jeden Itto, ten o dziecięcym głosie, dotknął wilgotnych włosów Smutku.

– Jest też nasza, my ją też kochamy. Nie wolno pozwolić, żeby tutaj szeszła, tutaj, gdzie nikt nie może zobaczyć, jakie dziecko

spłodził statek z węzem. Zabierz ją.

– Co mam zrobić? Jestem za stara, żeby wychowywać dziecko, i nie sądzę, by Laakea był wzorem cnót ojcowskich.

Zmieja się zastanowiła.

– Zamknąby ją, żeby nikt jej nie skrzywdził, i Smutek nigdy nie ujrzałby słońca. Sama się nią zajmij, proszę. Albo, jeśli nie możesz, znajdź rodziców, którym zmarło dziecko, i przekaz ją w otwarte ramiona. Albo zabierz ją do rodziny z pościelą w nowej kołysce i z klejnotami we włosach, z sercami, które są gorące i słodkie, i podłóż ją do kołyski w miejsce ich córki, jak robi kukułka ze swoimi sekretnymi jajami. Znajdź śmiertelnej dziewczynce dom w jakimś dalekim królestwie, zanieś ją bezdzielnemu stworzeniu, które pokocha ją jak własne młode, ale zabierz ją, zabierz stąd, niech Smutek rośnie szczęśliwa, cała i zdrowa, i syta, ogrzana przy ogniu i pod okiem Nieba.

Bliźniacy stali na naprawionym pomoście, ze szkarłatnymi rękami przy ustach. Z ich gardeł płynął przeciągły, beznadziejnie smutny dźwięk, jakby syreny mgłowe wyły na samotnej zatoce. Siódemka i Oublietta trzymali się za ręce, a Orle Gniazdo wyczekująco rozłożyła skrzydła. Prom rozciął mgłę niedługo później. Zmieja podała córkę na tratwę. Jej łzy rozpryskiwały się na twarzy niemowlęcia.

– Co wy wyprawiacie? – zapytał Idylla. – Nie przewożę pasażerów bez zapłaty. I nie lubię, gdy wzywają mnie jak pokojówkę.

– Co może być zapłatą na tej wyspie? – zapytał bezradnie Itto o niskim głosie.

Siódemka powoli wyjął jedną złotą monetę ze starej kości, wygładzoną przez jego palce. Rysowała się na niej ledwo

widoczna pajęcza pieczęć. Oublietta spojrzała na niego z uniesionymi brwiami.

– Czy to dziecko jest tyle warte? – zapytała.

– Nie – odrzekł krótko. – Ale zjadłem jabłka pierwszej nocy, kiedy tu przybyłem. Przepraszam, że skłamałem, lecz wiedziałem, że będziesz próbowała powstrzymać mnie od tego. Wiem, że nigdy nie opuścisz Zmiei, i teraz ja też nie mogę. Nie chcę. Nigdy cię nie zostawię. W każdym szarym mieście będę stać przy tobie i nie będziesz sama.

Oublietta zadarła rozczochraną głowę i wybuchła śmiechem.

– Zjadłam banany tej nocy, tej pierwszej nocy, kiedy tu przybyłeś.

Siódemka ścisnął jej rękę i podał monetę przewoźnikowi, nie patrząc na nią, nie ważąc jej w dłoni. Idylla ściągnął brwi i obrócił pieniądz w palcach. Czoło miał pobrużdżone z troski, ale wziął dziecko w kościste ramiona. Zmieja i bliźniacy obejmowali się wśród czternastu świateł, i bez końca całowali córkę.

Gdy prom odbijał od brzegu, który zaścielały oczy, Orle Gniazdo uśmiechnęła się lekko i przytuliła policzek do węża.

– Nie martw się, moja droga. Wiem, dokąd ją zabiorę. I powiem twojemu bratu, że wciąż jesteś piękna. – Rozejrzała się, popatrzyła na plażę i dalekie domy. – I że nie jesteś sama.

Na ich oczach talia kobiety-gęsi wcięła się wyraźnie, grubiejaca wstęga czerwieni zgęstniała niczym krwawa mgła – i nim stała się na tyle materialna, by móc jej dotknąć, Orle Gniazdo znikła. Prom wpłynął w mgłę, zostawiając ich samych na pomoście, ponurych i zrozpaczonych jak na pogrzebie.

W OGRODZIE

Chłopiec ścisnął jej rękę. Księżyc, wysoki i jasny, szorował ich twarze srebrem jak pomysłowa niania. Silny wiatr smagał gałęzmi topoli, a pałki wodne grzechotały w twardej kakofonii. Dziewczynka siedziała wśród swoich drzew, czerwona w płaszczu jak pierwsze słońce zimy.

– Co się stało z dzieckiem? – zapytał chłopiec. – Dokąd zabrała ją Orle Gniazdo? Czy była piękna, gdy dorosła? Czy była wojowniczką jak wszystkie córki Zmiei?

Dziewczynka się roześmiała, jej zadowolony, szeroki uśmiech jaśniał w nocy, czarne powieki falowały lekko niczym lustro jeziora w ogrodzie. Chłopiec się zarumienił i dziewczynka pomyślała, że to lubi najbardziej, gdy on nie może pohamować ciekawości, gdy chce, żeby mówiła, gdy z przejęcia łamie zasady etykiety. Na jego policzkach płonęły łaty niebieskiego światła, a jego oddech zamarzał w powietrzu. Gdzieś za nim skoczyła ryba i spadła do wody z głośnym pluskiem.

– Jeśli wrócisz do ogrodu i do mnie, odpowiem na twoje pytania i usłyszysz historie jeszcze bardziej dziwne i cudowne. – Uśmiechnęła się szeroko.

Wyjęła ptaszka pomiędzy czarnych wilczych ogonów i pociągnęła za szafirowy ogonek. Ptasek wyśpiewał północną godzinę, dzwoniąc czysto, długo i słodko.

KSIĘGA POPIOŁU

W OGRODZIE

W ogrodzie prószył śnieg.

Nie było to niczym niesłychanym – drzeworyt w księgach sułtana przedstawiał hasające po śniegu damy w futrzanych kołnierzach, a u ich stóp pieski w obrózkach z dzwoneczkami. Zawsze spadało parę płatków, gdy dziewczynka była mała, nigdy jednak nie zdarzyła się taka śnieżycą tworząca zasy po kolana. Szron nie skrzył się na liściach drzew cytrynowych od tak dawna, że najstarsze szlachcianki trzęsące się w łózkach tylko przez mgłę pamiętały, jaki kolor miał ich piesek i jak brzęczały jego dzwonki. Mimo to jezioro zamarzło, przemieniając się w okolone trzcina zwierciadło, i lód pokrywał szpilki sosen, lśniące, zimne i ciche. Dzieci dokazywały, psy skakały. Spiesznie sporządzano nowe drzeworyty.

Konary kasztanowca zamarzły. Wesele wyznaczono na najdłuższą noc w roku, żeby uczta mogła trwać jak najdłużej. Do pałacu sprowadzono zwierzęta z najdalszych stron i chłopiec z zainteresowaniem obwąchiwał talerze pieczonego mięsa nosorożca, krokodyla, wielbłąda, niedźwiedzia i hipopotama. Zastanawiał się ponuro, co zostanie podane na jego weselu. Miał dość skaczących wokół niego szwaczek, które rozmawiały tylko o tym, ile urósł i jak szeroką będzie miał pierś za kilka lat. Igły lśniły w ich ustach niczym sople lodu.

Wszyscy się cieszyli ze śniegu, ogród płonął świecami i kolorami, gdy mieszkańcy pałacu wychodzili na ścieżki, żeby dotknąć i posmakować śnieżynek. Podkuchenne wysuwały języki, chwytając płatki, a młodzi mężczyźni przynosili kochankom zamrożone pomarańcze. Fioletowe i szmaragdowe spódnice zamiatały ścieżki; ślady butów z rogu i natartej olejem jeleniej skóry kalaly idealną biel jak atramentowe bazgroły na kartce papieru. Chłopiec czasami myślał, że dostrzega wśród innych dziewczynkę – ale w pałacu było wiele czarnowłosych dziewcząt i za każdym razem, gdy wyskakiwał z za żywopłotu, z za glinianej misy zimowych lilii albo z za nagiej śliwy, ścigając potok ciemnych loków, dopędzał tylko śliczne, upudrowane dziecko z klejnotami na czole. Często nie mógł się nawet zdobyć na przeprosiny.

Był jednak pewien, że ją spotka. Wiedział. Płaskie niebo prószło śniegiem, który topił się na jego głowie, ale nie czuł zimna. Ona tam była, gdzieś w ogrodzie, i był w miarę szczęśliwy, gdyż wierzył, że czeka na niego za następną zaspą. Kiedy zniknęła wcześniej, był pewien, że go porzuciła, lecz teraz – czy nie wysłuchał opowieści o Oublietcie? Czy nie uważał się za prawdziwego przyjaciela jednorękiego chłopca? Jego wiara trochę się zachwiała, jak modrzew zgięty na silnym wietrze, gdy zima trwała, nowy śnieg nie tajał, a ona się nie pojawiła. Chłopiec ścigał powiewy czarnych włosów jak króliki, wieczór weselny był coraz bliżej, a ona się nie pojawiła. Psy skakały, dzwonki dzwoniły. Wreszcie noc przed dniem ślubu rozkwitła bezświatlna, bezksiężycowa, bezgwiezdna. Ogród oświetlały wysokie kosze i świece, błękit i biel płomieni pełgały po skrzęcej się, zamrożonej ziemi. Chłopiec szedł przez kasztanową kaplicę, gdzie wszystko od ołtarzy po ławki

udrapowano płachtami chroniącymi przed szronem. Wydawało się, że najgłębszy śnieg leży na podwyższeniu dla panny młodej. Gdy chłopiec je mijał, pomyślał, że słyszy śpiew ptaszka, i serce mu zamarło, i rzucił się przez śnieg, żeby go tropić, kluczył wśród nagich różanych krzewów i czarnych łupin granatów, wśród oblodzonych persymon i sękatych akacji, biegł przez całą drogę do środka ogrodu i na drugą stronę, dalej niż był kiedykolwiek, aż do wielkiej srebrnej bramy, która obiegała tereny pałacowe jak rzeka. Prowadził go śpiew ptaka. Oddychał płytko i szybko, czoło miał wilgotne, gdy dotarł do misternie wykutej bramy. Brama ukazywała niekończącą się scenę, która okrążała ogród i wracała, scenę wielkiej bitwy pomiędzy ludźmi a potworami – ludzie mieli surowe oczy ze srebra i pereł, bestie miały pyski wykute z żelaza. Liczne kosze z płonącymi węglami wieńczyły bramę, a las za nimi był ciemny i głęboki.

Po stronie potworów stała dziewczynka w czerwonym płaszczu.

W tej chwili chłopiec kochał swoją siostrę za to, że wsunęła ten cudaczny mechanizm do jego torby. Usta dziewczynki były blade, brwi białe od śniegu, długie włosy przybrane perłami śnieżynek. Trzymała w ręku wysadzanego klejnotami ptaszka z długim niebiesko-złotym ogonem. Nie uśmiechnęła się ani nie podniosła oczu. Chłopiec nie mógł być pewien, czy nie płacze. Jej oddech był ciepły i mglisty w powietrzu.

- Nie znam innych historii – szepnęła.
- Co takiego? Przecież obiecałaś, że opowiesz mi więcej!
- Nic więcej nie mogę opowiedzieć.
- Ale jeśli opowieści się skończyły...

– Nie powiedziałam, że się skończyły. Powiedziałam, że więcej nie znam. – Skubnęła perłowy dziób ptaka.

– Nie rozumiem.

Podniosła głowę. Oczy miała zaczerwienione pod słodką, atramentową czernią powiek.

– Powiedziałam ci dawno temu, że czytałam opowieści z moich oczu w wyrzuconych lustrach albo w kałużach i fontannach. Powiedziałam ci, że to trudne, że mogę czytać tylko jednym okiem naraz, od tyłu, powoli, bo inaczej nie można. Opowiedziałam ci wszystkie historie, które mogłam przeczytać w tych lustrach, fontannach i kałużach. Opowiedziałam wszystkie. Teraz pozostały tylko te, które zaczynają się na jednym oku i kończą na drugim, które przecinają zmarszczki i rzęsy, i nakładają się na siebie – tych opowieści nie znam, nie mogę ich opowiedzieć. Nie mogę zamknąć oczu i czytać ich w wodzie czy szkle. Są przede mną ukryte.

– Ale ja chcę usłyszeć więcej! – krzyknął chłopiec.

Dziewczynka rozciągnęła usta w powolnym uśmiechu, jakiego jeszcze nie widział.

– Opowiesz mi historię, książę? Będziesz czytać z moich zamkniętych oczu i pozwolisz odpocząć mojemu gardłu, dasz mi usłyszeć ostatnie słowa, które są na mnie wypisane?

– Ale... nie umiem. Nie umiem opowiadać w taki sposób jak ty. Nie umiem opowiadać, nie wiem, jak mówić tyloma głosami.

– To wszystko już tam jest. Proszę. Chcę ich wysłuchać. Chcę wiedzieć, co czeka na mojej skórze, co czeka na opowiedzenie, czeka na wysłuchanie. Opowiedziałam ci wiele historii – opowiedz mi jedną, jeśli jesteś moim przyjacielem.

Chłopiec zarumienił się mocno. Przy blasku ognia rozesał swój płaszcz na sztywnym, zamarzniętym śniegu. Dał

dziewczynce małeńki flakonik wina pomarańczowego i plaster mięsa hipopotama, które, jak się zgodzili, wcale nie było dobre – smakowało jak przeżute błoto i rzeczna woda z miodową polewą. Wreszcie chłopiec pochylił się, aż ich nosy niemal się zetknęły. Widział, jak kiedyś, linie i litery jej oczu. Pilnie wpatrywał się w czerń, wypływały mu na powitanie słowa, zatopione alfabety i pieczęcie. Zakręciło mu się w głowie; zamknął oczy i wyprostował się jak stateczek na falach wyburzonego oceanu. Spojrzał znowu i litery wciąż tam były, pływające, spokojne. Głos miał wysoki i drżący, gdy zaczął, niepewny siebie i przerażony do szpiku kości, że wypadnie głupio przed dziewczynką.

– Na jałowej równinie, na którą nie patrzą Gwiazdy, dął wiatr gorący jak podmuchy z miechów i szalwia pełzła po białej skale.
– Czytał powoli, jakby dopiero poznawał litery. – Na tej równinie na wielkiej żelaznej ramie wisiała wielka żelazna klatka i wiatr wrzeszczał w niej jak kobieta otwierana żywcem na stole chirurga...

OPOWIEŚĆ O PUSTKOWIU

Księżyc na niebie wyglądał jak mysia czaszka. Błękit powietrza był gęsty i głęboki, barwy dna oceanu, a jednak buchał żarem i złote kamienie drżały na tle horyzontu. Trzy długie cienie padały na spragnioną ziemię, pociętą ciemnymi szczelinami, które rozwidlały się we wszystkich kierunkach, szukając najmniejszego strumyczka wody. Trzy długie cienie słały się, czarne i wysuszone, po spękanej glebie. Pręty żelaznej klatki rzucały cień na pustynię, gdzie spotkały się z dziwnymi cienistymi sylwetkami kobiety i lamparcicy. Zwierzę siedziało z nadstawionymi uszami, czujne i zainteresowane. Kobieta trzymała je na długiej srebrnej smyczy, rozkołysanej na wietrze. Była spowita od stóp do głów w ciężkie czarne woale, które łopotały i wydymały się za jej plecami – widać było tylko jej oczy, żółte jak zwiędłe cytryny, z chorobliwie czerwonymi białkami.

Klatkę wypełniał dym. Buchał z kutyh krat tworzących kulę zawieszoną na łańcuchu grubszym niż męska talia. Czarny, gryzący i piekący, kręcił się i kołysał. W dymie błyskało dwoje czerwono pomarańczowych oczu, złowrogich i okolonych ognistymi rzęsami, spoglądających spod ognistych brwi. Wąż dymu chwycił swój ogon i nad sadzą uniosła się sylwetka kobiety, jak syrena zerkająca zza własnego łuskowatego ogona. Jej twarz tworzyły płomienie, a włosy były źródłem dymu, który

odpływał w kłębach od jej ciemnych, płonących rysów. Ale dym buchał także poniżej talii, tam bowiem ciało się kończyło, podobnie jak u syreny, i nic poza czernią i czerwonymi iskrami nie było w miejscu, gdzie powinny wyrastać nogi. Była naga, upokorzona, jej piersi wieńczył zły ogień, pępek jarzył się jak brzydki rubin, wszystko, co kiedyś mogło należeć do niej, leżało spiętrzone pod klatką niczym pogrzebowa ofiara.

Dwie kobiety patrzyły jedna na drugą przez jakiś czas, jak dwa sępy na długiej i samotnej gałęzi. Lamparcica pozostawała w bezruchu, tylko od czasu do czasu koniuszek jej ogona poruszał się po wysuszonej ziemi.

Wreszcie lamparcica przemówiła.

– Kto cię tu zamknął, przyjaciółko dzinnico?

Istota znów buchnęła dymem, który przysłonił płonące oczy. Księżyc stał za nią, suchy i przejrzysty na tle błękitu, jakby wyspany do sucha.

– Ładna sztuczka – syknęła głosem jak trzask zielonych gałęzi, gdy wybuchają płomieniem. – Czy ta wysoka mówi?

Lamparcica ziewnęła, nastroszyła wąsy, jej różowy język zwisał, wywinięty, zanim przypomniała sobie, że należy go schować.

– Ma porażone gardło, jeśli jej wybaczysz. Nazywa się Ruina, a ja jestem Rozdarta, i podróżujemy razem, bo to nam odpowiada. Nie wiedziałyśmy, że te spieczone równiny są więzieniem. Nie spodziewałyśmy się, że znajdziemy tu coś takiego.

Macka dymu wysnuła się z klatki w kierunku zawołowanej kobiety, przybierając kształt smukłej ręki, z trzema palcami okrążonymi pierścieniami płomieni.

– Proszę! – krzyknęła lamparcica. – Nie dotykaj jej, nie wolno jej dotykać.

Ruina ze smutkiem w łagodnych oczach tytułem wyjaśnienia wyjęła dłoń spod czarnej szaty. Ręka była wychudła prawie do kości, obciągnięta skórą łuszczącą się i spękaną jak pustynia, z poczerniałymi, rozszczepionymi paznokciami. Kawalki skóry powoli odpadały, zdmuchiwane ze szponiastych palców przez gorące powietrze. Ruina schowała rękę i ze wstydu spuściła oczy. Dym cofnął się, dzinnica wciągnęła go do wiszącej klatki.

– Podzielimy się z tobą jedzeniem, jeśli dasz nam powód, by się nad tobą litować, i naszą wodą, która jest cenniejsza niż bursztyń, ale nie wolno ci dotknąć mojej pani. Miewa się niezbyt dobrze. – Kocica wyglądała na zbolałą. Oczy miała czarne i okrągłe, nakrapiane futro nastroszone, bo kąsały ją piaskowe roztocza.

Dzinnica zastanowiła się, mrużąc oczy. Potarła nos malowaną ręką – pokrywały ją rozjarzone desenie, splatające się i wirujące, płonący tusz tworzył szkarłatne pętle w miejscach, gdzie mogłyby biec linie dłoni.

– Jestem Opatrzona – powiedziała w końcu – i na całych sześciu morzach i dziewięciu pustyniach byłam jedną z trzech królowych Kaszu, i miałam koronę z rozżarzonych węgielków.

Rozdarta drapnęła ziemię pazurami.

– Dlaczego siedzisz w klatce, Oparzona?

Dzinnica milczała, jej chmury były ciemne i pełne zadumy.

– Ruszyłam za dziewięć mórz i sześć pustyni na oblężenie miasta Adżanabh...

OPOWIEŚĆ O KLATCE Z KOŚCI SŁONIOWEJ I O KLATCE Z ŻELAZA

W mieście Kasz jest sześć pałaców, sześć tronów i sześć koron. Są tam trzy królowe i trzech królów, każde we własnym domu. Ja byłam królową Rozżarzony Węgielek, mój wsparty na węglu dwór stał na końcu długiego bulwaru, wzdłuż którego rosły ixory i stały pałace moich sióstr, królowej Hubki i królowej Popiołu, a także warownie moich braci, króla Paleniska, króla Rozpalki i króla Krzemienia i Stali. Zwę ich siostrami i braćmi, lecz to nie znaczy, że są moimi krewnymi – wytnijcie tę myśl ze swojego serca. Monarchowie są członkami wielkiego i zróżnicowanego bractwa, to całe moje z nimi powiązanie.

Jesteśmy dziedzicami królestwa Kaszkasza, który był pierwszym dzinnem. Wysnuł nas z dymu swojej brody i czarne kłęby rozplynęły się po powierzchni ziemi. Zostaliśmy poczęci w świętym ogniu jego serca, w niepokalanym płomieniu. Jego spojrzenie paliło cieniste lasy i sprawiało, że nawet ludzkie kobiety, lodowate w sercu i oku, omdlewały przed jego majestatem. Gdy jego eteryczne dzieci brykały po równinach świata, zwołał je, by poszły za nim, tańczyły przed nim, i poprowadził je ku chwale i potędze.

Powiedział nam, że nie mamy potrzeby budować miast jak inni, że miasta same zbudują się wokół nas, bo czyż człowiek

nie potrzebuje ognia? Tak oto stanął w centrum Szadukiamu w dniach, zanim miasto poznało swe imię. Miasto rozkwitło wokół niego, ach, te róże, ach, te diamenty! Dżinnowie szli za nim wszędzie, gdzie kazał, a jego imię jest wciąż wśród nas święte, jaśniejące, promienne. Był piękny. Był umiłowany, bo w jego brodzie skrywały się cuda, o jakich pomniejsi dżinnowie nie mogli nawet marzyć: lampy, klejnoty, zwoje płomienia i chmury, które wyskubywał z ciała i rozdawał jak chleb. Tańczył na wierzchołkach minaretów naszych pierwszych prawdziwych domów i wykrzykiwał poematy do krwawych zachodów słońca, krzychał: Ho! Za tysiącletnie całopalenie dżinnów! A daleko w dole motłoch wrzeszczał z uwielbienia. Ilu królom w tych dniach Kaszkasz spełnił życzenia? Ile błon dziewiczych przepalił? Na jego cześć nazwaliśmy swoje miasto i nawet ludzkie dziewice w żałobie namaszczają czoła popiołem wiele stuleci później.

Tak powiadamy światu, trąbiąc na rogach z mosiądzu i krwawnika. Tak mnie powiedziano i w to wierzyłam, gdy rosłam, dziecko w mieście Kaszu, życząc sobie złotych dzwonków przy pasie i słodkiego miodu na kolację. Tak powiadaliśmy światu stulecie po stuleciu. Swego czasu moje dymne włosy wiły się niczym węże, tak długie, że musiałam je nosić na biodrach w dwóch koszykach uwitych ze srebra, i inne dzieci śmiały się ze mnie, aż rodzice je upominali – znak ten bowiem oznaczał, że zostanę królową, tak jak wielka broda Kaszkasza uczyniła go królem. Zabrano mnie z mego małego domu, zabrano mnie z trzema kompletami złotych łyżek i bardzo ładnym samowarem, i wprowadzono w dziwny świat królewskości. Miałam dziesięć lat, ale wśród mojego ludu jest to szacowny wiek średni. Nie starzejemy się, lecz umieramy

szybciej niż inne plemiona. Błyskamy, strzelamy iskrami i gaśniemy. Ci, którzy za sprawą pieczęci i podstępów wciśnięci zostają w lampy lub inne przedmioty, żyją dłużej, nieomal wiecznie, jak węgielek, gdy nie zostanie zapalony. I jak węgiel nie jest żywy, tak nie jest żywy uwięziony dzinn. To nasz wybór. Na otwartym powietrzu, płonąc, nigdy nie żyjemy długo. Dlatego w wieku dziesięciu lat nie byłam dzieckiem – ale moja korona była młoda jak płacząca sierota bez matczynej piersi.

Królowa Popiół i król Palenisko, Kohinur i Chamil, powiedli mnie do alkazaru Węgielków, każde niosło po jednym koszyku z moimi włosami. Uważałam, że są przerażający i piękni, z płonącymi klejnotami osadzonymi w czarnej skórze, z płonącymi pierścieniami w nosach. Kohinur była wysoka i chuda jak pustelnica, cała z czarnego dymu bez jednej iskiereki, Chamil zaś był niższy i tłuściejszy, piękne fałdy płonącej skóry falowały, tuląc wielki topaz w jego pępku. Miał tylko jedno złote oko, a płomień w nim tańczył jak derwisz. Drugi oczodół był pusty, wypalony na czarno.

Pośrodku wyłożonej płytkami podłogi leżała kopiasta miska żarzących się węgli, symbol mojej godności. Królowa posadziła mnie na purpurowej poduszce – balansowałam ostrożnie na swoim dymie, żeby nie spalić frędzli. Przemówiła stanowczo i na tyle życzliwie, na ile to możliwe u kobiety o wysokiej pozycji i zbyt zajętej, by troszczyć się o nową królową parweniuszkę. Oboje lubili moją poprzedniczkę, która zeszłej zimy w czasie rodzinnej kolacji po prostu znikła w płomieniach, ku umiarkowanemu zdziwieniu wszystkich obecnych.

– Posłuchaj, młoda – rzekła Kohinur, wskazując jasno, gdzie moje miejsce, miała bowiem niemal piętnaście lat, wiek onieśmielający – nie wypada, żebyś panowała, nie znając naszej

historii. Mamy obowiązek powiedzieć ci, jak się rzeczy miały w starym świecie i skąd się wzięły. Ponieważ idziemy na proszony obiad do króla Rozpałki, który podaje zwęglonego bazyliuszka, nasze ulubione danie, racz słuchać uważnie, żebyśmy nie musieli się powtarzać...

OPOWIEŚĆ O PIERWSZYM DŻINNIE

Bez wątpienia czcisz Kaszkasza jako swego dziadka i umiłowanego bożka ogniska domowego. Masz przestać. W tej chwili.

Imię Kaszkasza musi być wielbione i wzbudzać lęk w celu gloryfikacji dżinnów oraz po to, żeby nie zaklinano nas bez końca w różnych przyborach kuchennych dla spełniania życzeń kupieckich córek. Nie pocieraj tej lampy, kochanie, żeby Kaszkasz nie wyskoczył i nie połknął cię w całości! Nie stukaj łyżkami, skarbie! Kaszkasz wysnuje się z trzonka i cię pożre! Nie jest jednak rozsądne oczekiwać, by inni wielbili i bali się tego, co w nas nie budzi lęku ani uwielbienia, dlatego tajemna historia demonów dymu jest znana tylko wybranym, do których teraz należysz. Dzięki temu dżinnowie żyją w strachu przed swymi monarchami, a świat żyje w strachu przed dżinnami.

Zamknij buzię, moja droga, nie jest stworzona do przyciągania ciem.

Kaszkasz nie był pierwszym dżinnem – tamta biedna, pogrążona w mrokach historii dusza nie ma imienia, które ktoś mógłby pamiętać, będąc niechcianym dzieckiem ogni rozpalonych przez Gwiazdy w ich wędrówce przez pierwsze ziemie świata. Każda wypalona rzecz wypluła dżinna jak pestkę wiśni. Musieliśmy znaleźć własną drogę, choć płonęliśmy i płonęliśmy, i nie mogliśmy ostygnąć. Jesteśmy nieważne jak

zwęglone, zapomniane dzieci, których narodzin nikt nie zauważył. Ja jestem dzieckiem dżinna, który powstał z oparzonych traw. Chamil jest dzieckiem palącego wiatru. Królowe naradzają się i prowadzą archiwa, choć Kaszkasz pragnął, żeby cała wiedza o naszym pochodzeniu zniszczała w ogniu jego imienia. Teraz, gdy jesteś jedną z nas, musimy wejrzeć w twój rodowód. Kaszkasz nie był zatem pierwszy, choć dziś wielu twierdzi inaczej. Albowiem nie tylko pospolity dżinn modli się w imię Kaszkaśa, ale też wielu wystrojonych kapłanów i wysoko postawionych ludzi, bo choć znają prawdę w swoich wrzających sercach, rozkoszują się opowieścią o dżinnie Kaszkaszu, który mógł mieć każdą kobietę i mógł zniszczyć każdego mężczyznę.

Kaszkasz w istocie był potężny i formował swój dym w falujące, ogniste kształty, żeby nas straszyć w dzieciństwie, kształty barwne jak żaden inny dżinn, fioletowe, błękitne, zielone. Powiadają, że stanowił wyjątkowy widok, a my nie przeczyamy, przynajmniej w tej sprawie. Wokół jego głowy falowały zwiewne płomienie, dumne i dostojne, dumne i próżne. Prawdą jest również to, że był obecny przy narodzinach miasta, które później nazwano Szadukiamem. Włókł swoje płonące pięty wokół zbryzganej łajnem polany, niezasługującej nawet na miano skupiska ruder w czasach, gdy długi bulwar, przy którym stoi twój alkazar, był tylko szlakiem czerwonego pyłu. Miejsce, które Kaszkasz wytyczył w błocie, szybko zostało pomniejszone przez mnożące się bez końca drogi i targowiska Różanego Miasta. Niczego nie zbudowaliśmy, jak nam przykazał, ale skradliśmy i życzeniem zbudaliśmy nasze pierwsze osiedle do życia. Kaszkasz powiedział nam, żeby żaden z dżinnów nie życzył sobie tego, czego on sobie nie

życzył, i w ten sposób życzenia, których nie zatwierdził, stały się bezprawne. Spełnianie życzeń jest wielkim talentem dżinna i uczyniliśmy z tego naukę po jego odejściu ze świata, choć z kolei ona też straciła znaczenie, gdy dzieci przestały zamykać nas w lampach i łyżkach. W owych czasach byliśmy młodzi, nie radziliśmy sobie zbyt dobrze, ale on sprawiał się trochę lepiej: Zażyczył sobie pałacu z cedru i rogu, i wzniosły się rozchybotane wieże Dzielnicy Dżinnów. Och! Czego nam nie obiecał! Kiedy tylko nauczy się więcej, kiedy nauczy się lepiej! Kiedy uczyni dość królów swoimi niewolnikami, co wtedy dla nas zbuduje! Jak wydłuży nasze życie – nie chcieliśmy już być świecami, na krótko zapalonymi i szybko zdmuchniętymi. Chcieliśmy być płomieniem dziesięciu tysięcy pokoleń!

Nauczył się, stał się geniuszem życzeń, lecz dla nas nigdy nie poświęcił swojego talentu. Bardziej niż cokolwiek innego kochał to, co było ciałem, a nie dymem – najmarniejsza z rzeczy wydawała mu się piękniejsza od nas.

Nie zamierzaliśmy taić przed obcymi, że Szadukiam nie należy w całości do dymnego ludu. Niech weźmie nas cień Kaszkasza z jego powiewającą brodą. Nie dbamy o to.

Dzielnica, którą Kaszkasz zagarnął dla siebie, szybko podupadła, stała się miejscem, gdzie ogień biega po zaułkach, gdzie szkarłatne zęby pobłyskują w cieniach. Chwiejne wieże wspięły się wysoko nad Różaną Kopułę, czarne iglice przeszyły miejsca pomiędzy bladoróżowymi płatkami, a my żyliśmy w tych wieżycach ściśnięci tak bardzo, że nasz dym przeciskał się przez ściany, nasz ogień strzelał z piętra na piętro, i podczas gdy Kaszkasz jadł winogrona w domu gubernatora i radził mu, jak oszczędzić pieniądze, kiedy budowniczowie rusztowań zeszli na dół po zakończeniu pracy, dżinnowie cierpieli i płakali w

swoich czarnych rudkach. On tańczył na kruszących się czubkach wież, ognie strzelały mu z oczu, cuchnący wiatr roznosił iskry, gdy wykrzykiwał poematy do krwawych zachodów słońca, wołając: Ho! Za tysiącletnie całopalenie dzinnów! A daleko w dole mieszkańcy wrzeszczeli z uwielbienia, nie bacząc na brud i nędzę.

Żyliśmy w ten sposób, ponieważ Kaszkasz powiedział nam, że tak trzeba, i skręcał brodę, gdy mówił. Koniec końców, miał najdłuższą brodę. Dlatego monarchowie są wybierani na podstawie tego dziwnego kryterium. Każdy tron żąda swego ulubieńca: najgorętszego ognia, najśłodszy głos i tak dalej. Kaszkasz oznajmił, że broda dała mu władzę – czy mieliśmy dokonać innego wyboru? Potrząsnął brodą i zmiażdżył nią całą rasę w sześciu cienkich wieżach. Powiedział nam wtedy, że to dopiero początek, że niebawem spoczniemy na krwawniku, mosiądzu i jedwabiu jak błękitny ogień, lecz dni i noce przeczołgiwały się przez Dzielnicę Dżinnów, a my wciąż nie mogliśmy oddychać, dławieni własnym dymem w ciasnocie.

W końcu nie mogliśmy znieść tego dłużej, nie mogliśmy znieść życia wśród straszego smrodu, niepogrzebanych zwłok i walących się rudkach. Niewielu z nas pamiętało otwarte trawiaste równiny. Oto czego nie powiedzą ci duchowni: Kaszkasz zginął uduszony w dymie na schodach kamienicy, jego ciało spłonęło. Wieże zostały rozebrane cegła po cegle i nie minęła zima, a nikt nie uświadczyłby jednego zwęglonego kija z Dzielnicy Dżinnów wśród ładnych nowych murów i wiszących gobelinów. Pochowaliśmy go na rozstajach w nowym mieście, jak najdalej od Szadukiamu i od pamięci o naszym wstydzie. I niczego sobie nie życzyliśmy – własnymi rękami zbudowaliśmy miasto z krwawnika i mosiądzu, z kanapami z jedwabiu jak

błękitny ogień, i wybrukowaliśmy berylem długi bulwar, wzdłuż którego wznieśliśmy sześć alkazarów, po jednym za każdą zniszczoną przezeń straszną wieżę.

A jednak wina ciążyła nam niczym brzemie i dżinnowie zbudowali posągi nad miejscem, gdzie pogrzebali Kaszkasza. Przysięgli na jego imię. Uczynili tajemnicę z tego, co się stało, i nazwali nowe miasto Kasz, mając nadzieję, że odwrócą gniew jego cienia i zwabią część jego piękna. Światu mówimy, że był wielki, i tylko między sobą szepczemy: jesteśmy radzi, żeśmy się go pozbyli. Nigdy nie widzieliśmy, by rozeźlony duch jego długiej brody nawiedzał ulice, chociaż nikt nie wie, czy dlatego, że wciąż polerujemy śliną jego imię? Ale pragniemy zapewnić sobie bezpieczeństwo na wszelkie sposoby.

Rozumiesz, mała długowłosa? Czy możemy pójść teraz na obiad? A jeśli usłyszymy, że znów przysięgasz na imię tego potwora, utniemy ci język i taki będzie koniec.

OPOWIEŚĆ O KLATCE Z KOŚCI SŁONIOWEJ I O KLATCE Z ŻELAZA, CIAĞ DALSZY

Zamrugalam, patrząc na króla i królową, którzy spoglądali na mnie jak nauczyciele zasmuceni wyjątkowo głupim uczniem.

– Ro... rozumiem – powiedziałam. – Przypuszczam, że królowa musi być gotowa na wysłuchanie wielu rzeczy, których wolałaby nie słyszeć.

– Zgadza się – parsknęła Kohinur.

Oprawdzili mnie po alkazarze Rozżarzonych Węgielków z szorstką sprawnością, chętni jak najszybciej zostawić mnie samą. W końcu dotarliśmy do małego pokoju pełnego posągów z wszelkiego wyobraźalnego kamienia, od lazurytu po turmalin. Patrzyłam, nie wiedząc, co powiedzieć – były ich setki setek, każdy udrapowany w lśniące szale, misternie rzeźbione twarze mężczyzn i kobiet, ludzi i nie ludzi, dzinnów i innych, różniące się jedna od drugiej jak róża od żółwia.

– Co to za cudowności?! – zawołałam.

Król Paleniska zarzął lekko.

– To twoje żony – powiedział.

Kohinur przewróciła oczami.

– Nie bądź dzieckiem, Chaamilu. W latach po śmierci Kaszkasza sześciu monarchów patrzyło na inne rasy, żeby

nauczyć się od nich sztuki panowania. Ludzcy królowie mieli wiele żon – dlaczego my nie mielibyśmy też mieć wielu? Czyż nie jesteśmy więksi, mądrzejsi i piękniejsi niż ludzie? A jednak zaniepokojeni kapłani dawno temu zdecydowali, że żadnemu królowi ani żadnej królowej dzinnów nie wolno wchodzić w związki małżeńskie i mieć dzieci, bo nasz rodowód, o czym powinnaś wiedzieć, nie jest liczony z rodzica na dziecko, a gdybyśmy rodzili dzieci jak jabłoń owoce, z pewnością niektórzy odczuliby pokusę, żeby zachować tron dla swego potomstwa. Dlatego osiągnięto dość zgrabny kompromis – dawno temu zlecieliśmy wyrzeźbienie posągów i przechodzą one z monarchy na monarchę, z króla na króla i z królowej na królową, jeśli bowiem ludzie mierzą swoją potęgę żonami, czy nasz władca jest gorszy? Mamy najdelikatniejsze, najbardziej uległe i najcichsze żony na świecie, piękniejsze od ciała i łatwiejsze do przewożenia. I mamy ich więcej, niż ludzki władca mógłby marzyć. – Parsknęła. – Traktujemy nasze kamienne żony z większą troską niż oni swoje ciepłe kobiety. Osobiście odkurzam swoje raz w tygodniu i wiem, że Chaamil daje im prezenty, gdy nie patrzę. Te są twoje – opiekuj się nimi i bądź im wierna.

To rzekłszy, zostawili mnie w mojej sypialni, gdzie blask rozgrzanych do białości węgielków z koszy padał na moje ręce. Wsunęłam się do łóżka i słuchałam szumu wiatru za oknem, starając się nie czuć na sobie setek kamiennych oczu, aż w końcu zasnęłam.

Byłam królową przez jeden dzień, kiedy mnie poproszono, żebym poprowadziła armię.

Król Paleniska wpłynął do mojego alkazaru o pierwszym świetle dnia, wlokąc za sobą dym niczym pelerynę.

– Postanowiono! – oznajmił. – Ruszmy przez dziewięć pustyni do Adżanabh i biada im, gdy przybędziemy!

Włożyłam włosy do koszy i próbowałam oczyścić oczy, szykując się do pierwszego dnia mojego królowania.

– Co? – zapytałam swym najbardziej władczym tonem. – Dlaczego mi nie powiedziano? Dlaczego musimy iść do Adżanabh?

– Z powodu wojny, rzecz jasna.

– Prowadzimy wojnę z Adżanabh?

– Jeszcze nie, ale kiedy przybędziemy, wojna wybuchnie.

Złapałam się za głowę.

– Dlaczego? Co oni nam zrobili?

Chaamil zmarszczył w uśmiechu ciemną twarz, strumienie ognia pomykały pod jego skórą.

– Musisz zrozumieć, moja najnowsza siostrze, że Adżanabh jest martwym miastem. Jego korzenne pola umarły i stało się łatwym owocem do zerwania; w murach pozostali tylko nieliczni mieszkańcy. Musisz wiedzieć, że jest to śliczne miasto z portem morskim i rzeką. Dzięki paru krótkim i pełnym wdzięku bitwom znów uczynimy je pięknym.

– Leży tak daleko! Jaki pożytek z kolonii?

Uśmiech Chaamila lekko przygasł, płomień rozbliły bielą.

– Jest również sprawa świętego przedmiotu, który się tam znajduje i którego nie chcieli nam dać, mimo że często i grzecznie prosiliśmy. Teraz, gdy miasto jest martwe, nie ma powodu, żeby nie przetrząsnąć trupa w poszukiwaniu naszej własności.

– Co to takiego?

– Nie twoja sprawa! – odparła Kohinur głosem głębokim i płynnym, huczącym w mojej malej sali jak złoty dzwon rzucony od ściany do ściany. – Jesteś zbyt nowa, żeby to zrozumieć, a poza tym nie musisz znać wszystkich zakamarków naszego umysłu. Cała nasza piątka będzie się troszczyć o ciebie, nie ma obawy. I zaczekaj, póki nie zobaczysz armii, którą zebraliśmy!

Byłam zdenerwowana, przypasując generalski miecz tak szybko po włożeniu korony z węgielków, ale nie mogłam pokazać tego po sobie.

– Gdzie zatem jest armia? Na bulwarze? Na placu? Powinnam zrobić przegląd oddziałów.

Król i królowa roześmieli się z zadowolonymi, okrutnymi minami dzieci, które splatały wyjątkowo udanego figla.

– już są w polu, mały świetliku! Nasze życzenie zostało zatwierdzone przez Chajghal, a kiedy przybędą pozostali władcy, zażyczymy sobie znaleźć się wśród nich, wtedy biada adzańskiej bramie!

Zanim zdążyłam wyprostować się na całą wysokość i zażądać wyjaśnienia, trzech pozostali monarchowie wpłynęli do mojego alkazaru – królowa Hubka w długich pomarańczowych szatach z wysokim kołnierzem, król Rozpałka z pasem z drewna wyrzuconego przez morze, król Krzemienia i Stali z nieskończone długą brodą zatknietą w złotej sakiewce u pasa. Za nimi jak upiorne wichry wpadło sześciu kapłanów Chajghalu, trzymając w rękach ognistą księgę, której stronicę były czysto białym dymem. Ich własny dym był również wybielony. Nie podobali mi się. Ci ludzie decydowali o sposobie życzenia – bo żaden džinn na świecie nie może życzyć sobie czegoś, czego w swoim czasie nie życzył sobie Kaszkasz; złamanie prawa świadczy o nieposkromionej pysze i sprowadza

na nas jego gniew. W swoich księgach mieli wszystkie życzenia, jakie kiedykolwiek spełnił słynny džinn. U nich zasięgano rady, kto sobie czego życzył, chłop czy pan, kobieta czy džinn. Nie słyszałam o spadającym gniewie cienia, ale gniew Chaighalu jest straszny, a serca kapłanów biją niczym dzwony, kiedy wypowiedziane zostanie życzenie, którego nie ma w księgach. Ich kary są okropne i wzbudzają lęk, i nie ma ciemnego zakamarka, gdzie džinn mógłby bez ich wiedzy wypowiedzieć życzenie, na które nie przyzwalają. Z pewnością nie znają prawdy o Kaszkaszu, pomyślałam. Muszą wierzyć we wszystko, inaczej życzyliby sobie wszystkiego, na co mają ochotę, i kto mógłby ich powstrzymać?

– Ustalono – brzęczał naczelny kapłan znudzonym tonem – że nasz pan Kaszkasz wiele razy życzył sobie znaleźć się na polu bitwy przed wybuchem działań wojennych, żeby pokrzyżować szyki wrogom. Dlatego możecie życzyć sobie tego w imię Jego Cienia i Zamiast Niego. – Zapisali nowe życzenie w innej księdze, starej i zakurzonej, z drewnianymi okładkami i niechlujnie wyciętymi kartkami. Księga nie płonęła ani odrobinę.

Królowie i królowe Kaszu chwycili mnie za ręce i zanim zdążyłam mrugnąć, stanęliśmy na szerokiej czerwonej równinie przed miastem, którego mury były tak wysokie, że chmury szeptały na ich szczytach.

Nigdy nie widziałam takiej armii. Płomienie uwięzły mi w gardle ze zdumienia. Każdy żołnierz, jeśli można ich tak nazwać, miał zbroję z bajecznego metalu, który lśnił w krwawym słońcu. Naramienniki mieli rozkloszowane i żłobkowane, nabite jelenimi rogami i diamentami, ich hełmy zwieńczone były piórami ptaków, których nie umiałam nazwać.

Siedzieli na rumakach bojowych o piersiach wydętych jak głązy i nosili miecze, które bez wątpienia były starożytne i kosztowały więcej niż całe miasta. W dali giernkowie z wozami taboru – w tym sześcioma wielkimi, które wiozły nasze żony jak kule armatnie za artylerią – zajmowali miejsca niczym cyrkowa widownia. Gorący wiatr powiewał włosami nad tysiącami surowych, dumnych twarzy, twarzy wykutych przez pokolenia związków doborowych wielmożów z doborowymi kuzynkami.

W Zatoce Adżańskiej kołysały się tuziny długich czarnych okrętów, a na plaży leżały tuziny kolejnych. Ogniska pobłyskiwały na równinie, która rozpościera się wokół wysokiego wzgórza Adżanu niczym szkarłatna spódnica.

– Musieliśmy przywołać wszystkie życzenia, jakie kiedykolwiek spełniliśmy, żeby ich zebrać – powiedziała Kohinur, wystawiając twarz na wiatr. Dym jej skóry falował szarością i czernią. – Armia królów i królowych, ani jednego nędzarza. Są naszymi dłużnikami, oni, ich ojcowie albo ich babki. Czyjaś ciotka zachowała wieczną młodość, czyjaś przybrana matka obiecała pierworodnego w zamian za życie kochanka. A teraz wszyscy są tutaj, spłacając długi, jak przystoi dobrze wychowanym, i nigdy nie zebrały się wojska piękniejsze od naszych. Niektórzy są nienawykli do bitwy, stworzeni do siedzenia na poduszkach, nie na końskich grzbietach, ale mają najtęższe na świecie wojskowe umysły i znajdą dla nas szczelinę w tych murach.

– Proszę, Wasza Wysokość – powiedziałam. – Powiedz mi, czego szukamy w tym mieście.

Kohinur przewróciła oczami.

– To szkatułka z krwawnika, i jest w niej coś, co należy do mnie i do nikogo innego, coś, czego nie mieli prawa schować

przede mną. Niczego więcej nie powiem młodej parweniuszce bez doświadczenia wojskowego. Sprawy stanu, rozumiesz. Wystarczy powiedzieć, że pragniemy to mieć. Kapłani Kaszkasza zdecydowali, że nie będzie słuszne, jeśli po prostu zażyczymy sobie, by nasza własność wyszła z kryjówki – bo jaki głupiec ukrywa coś przed władcą ognia? Ale nie ma obawy! Miasto jest słabe, ani się obejrzysz, jak będzie po bitwie. Siądź, popijaj likwor i raduj się słońcem.

Podawała mi flakonik z brązowym napitkiem. Powąchałam zawartość, ale się nie napiłam. Zamiast tego spłynęłam z naszego urwiska i przez szeregi, gdzie królowie i królowe z miejsc nie do wymówienia narzekali na przymusowe wcielenie do armii, klęli dzinnów pod nosem albo chełpili się, o ile lepsi będą w zabijaniu niż ich rycerze nieroby. Wlokłam za sobą swój dym i pozwalałam, by się nim dławili. Dlaczego monarchowie dzinnów nie chcieli, żebym uczestniczyła w ich naradach i poznała zawartość tego śmiesznego pudełka? Czy nie byłam królową jak oni? Jak na razie mój tron dał mi niewiele poza wielkim pustym domem i alkwą pełną kamiennych żon.

Niebo ciemniało, gdy zbliżyłam się do masywnej bramy Adzanabh. Jej kamienie były czerwone jak włosy dziewczyny, czerwone jak moje żebra i potężne jak żaden mur, który dotąd widziałam. Zastanawiałam się, czy Kohinur przyjrzała się jej z bliska, z dość bliska, by zobaczyć, czy łatwo ją będzie wyważyć, z dość bliska, by zobaczyć, że sama brama jest wielką parą ramion skrzyżowanych jedno na drugim, ze zniszczonym, omszałym obliczem patrzącym z góry na strojny tłum.

– Odejdź – powiedziała twarz.

Zobaczyłam, czym nie jest – już nie było bramy, tylko olbrzym z ramionami szerokości tego, co kiedyś było bramą.

Jego pas obcierał skalistą ziemię. Oczy miał stare i spękane w kącikach, brązowozielone, czoło jak wyprawiona skóra, obwisłe policzki ogorzałe od wiatru i słońca. Jego potężne ramiona i ręce były czerwoną skałą muru, wielkie i suche, pokryte skorupiakami. Mech porastał palce skamieniałego giganta, ptaki uwiły gniazda w jego uszach. Jego głos płynął powoli, chrzęszczący jak stary śnieg.

– Z pewnością myślisz, że wasze zastępy dumnych łabędzi zrobiły na mnie wrażenie. Jestem tu od czasu, gdy sadzonki pieprzu na polu były wyższe niż ogiery. Nie odłupiecie ze mnie jednego płatka kamienia.

Spojrzał na mnie gniewnie i zacieśnił ramiona.

– Kim jesteś? – zapytałam w zdumieniu.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Jestem Strażnikiem Bramy. Kiedyś miałem imię, ale zwanie mnie nim nie ma sensu. Jestem miastem. Otoczyłem je i zawarłem w sobie, czując jego barki rzeczne na plecach, i tak się nim stałem. Lepiej zwać mnie Adżanabh niż zgadywać, jak mogło brzmieć moje imię, zanim objąłem to miejsce...

OPOWIEŚĆ O OLBRZYMIE, KTÓRY ZOSTAŁ

Adżanabh miał smutne, kruszące się mury, z bramą jak zakładka w taniej płóciennej zasłonie, gdy przyszedłem pracować na polach, co często czynił mój lud w porze żniw. Zapłata jest stała, a moje barki dźwigają te maleńkie jarzma znacznie lepiej niż grzbiety biednych, słabych koni – ha, ledwo je czuję! Drogi zaczynały się gdzieś pośrodku tej skalistej czerwonej równiny i wcześniej czy później, jeśli się nimi szło, trafiało się na plantacje, a potem do właściwego miasta.

Bezprawie nie oznacza, że nie ma prawa, wiesz, to tylko znaczy, że mnóstwo różnych praw walczy na ulicach i żadne z nich jeszcze nie zwyciężyło. Każdy może rozdzielać dyby, gwoździe i ciosy w brzuch za naruszenie takiego prawa, jakie mu się podoba, nawet tych, o których nigdy nie słyszałaś, więc lepiej się pilnuj. Adżanabh było wówczas miastem bezprawia, co jest równie dobre jak mur dwa razy potężniejszy ode mnie.

I tak pracowałem na polach czerwonej papryki, zielonej papryki, różowej papryki i czarnego pieprzu, i w gajach cynamonowych, na polach kolendry i polach szafranu, i na farmach kminku, na słonych równinach, przeczesując i susząc kryształ jak twardy, ostry śnieg. Przycinałem i pielęgnowałem krzaki gorczycy i papryki, odcinałem strąki wanilii od pnączy.

Miażdżyłem je wszystkie stopami, bez końca, w moździerz wielkości galeonu. Byłem szczęśliwy. Wtedy Adżanabh pachniał bogato, słodko i odurzająco, aromat buchał z tego czy innego okna, gdy suszono, ucierano na proszek i mieszano przyprawy. W czasie długich, ciepłych zniw, gdy słońce przemieniało zatokę w wielkie lśniące lustro, wyrywałem korzenie z ziemi – kto bowiem lubi nieprzyprawione jedzenie? Wiosną zaprzęgałem grzbiet do pługu i wyorywałem w żyznej glebie bruzdy głębokie po męskie uda.

Ale gleba przestała być żyzna. Kto może wiedzieć, dlaczego ziemia, która daje i daje jak matka niezliczone łakocie, pewnego dnia pogrozi dzieciom palcem i odmówi poczęstunku?

W moim rodzinnym kraju jesteśmy ostrożni, sadzimy tylko co drugi sezon. Jesteśmy tacy wielcy, że trawimy powoli, i objadamy się niczym niedźwiedzie jak lato długie, ale co drugi rok. Ach, te uczyty! Wieloryb byłby zawstydzony naszym apetytem. Mamy puchary większe niż wielbłądzie garby, talerze wielkości tarcz.

Mieszkańcy Adżanabh nie zachowali ostrożności i zachłannie ucierali na proszek wszystko, co rodziła ziemia, dopóki rodzicielka nie wsparła rąk na okrytych fartuchem biodrach i ze smutkiem nie pokręciła głową. Dość, westchnęła. I nie dała nic więcej. Choć takie zjawiska nie następują nagle, przez długi czas nikt się nie spostrzegł i worki szafranu szły w świat jak zawsze. Ciągnąłem pług, jakkolwiek serce kazało mi odpocząć i mówiło, że nie ma w tym sensu, trudzę się na próżno. Ale wówczas kochałem Adżanabh, zbłąkane prawa, skradzione monety, korzenne aromaty i wszystko inne. Nie chciałem opuścić miasta. Adżańczycy jednak, powoli, w grupach jak dzikie króliki, zaczęli odchodzić.

Z tobołkami na plecach ruszali na równiny, mrużąc oczy w słońcu, albo do portu, z flaszkami rumu przy biodrach i workami pomarańczy, żeby nie zgniły im dziaśła. Flisacy odpłynęli pierwsi, gdyż droga w dół rzeki jest dla nich łatwa jak jedzenie. Potem odeszli olbrzymi, szukając lepszych pól na wschodzie, gdzie mogli zrywać truskawki i rzepę jak czerwone i białe bukiety. Błagali, żebym poszedł z nimi.

– Zbliża się pora uczy! – krzyczeli. – Gdzie znajdziesz tyle mulego mięsa i wina z kokosów, żeby się nasycić?

– Adżanabh mi je dostarczy i będę jadać równie dobrze jak wy – mówiłem.

Cóż, nie jadałem ani trochę tak dobrze jak oni, łupałem kokosy nad zatoką i piłem surowe, niesfermentowane mleko. Nie było porównania. Ale znalazłem muła do upieczenia, zostawionego przez jedną z rodzin, które ruszyły za morze, siedziałem na plaży przy ognisku z drewna wyrzuconego przez fale, mruczącym jak kot, obgryzałem mule kości i wysysałem kokosy do sucha. Wcale nie było tak źle, naprawdę. Przynajmniej wciąż czułem zapach tego słodkiego, bogatego powietrza, aromat kminku i kurkumy wciąż przepływał nad kruszącymi się murami.

Kiedy orałem niemal martwe pole, zobaczyłem parę z małą dziewczynką w ramionach, ledwie dość dużą, by samodzielnie chodzić.

– Symeonie! – zawołali na powitanie, bo w owym czasie wszyscy mnie znali, Olbrzymia, który został.

– Witajcie, maleńcy – odparłem ciepło i przykucnąłem, żeby nie musieli za bardzo wyciągać szyi.

– Zmierzamy do Muireannu, gdzie dachy kryte są wielorybim futrem, a drogi brukowane macicą perłową.

Dziewczynka chichotała i wyciągała do mnie rączki. Dałem jej do potrzymania najmniejszy palec, duży w jej ramionkach jak pień drzewa.

– Życzę wam powodzenia – rzekłem.

– To miejsce jest martwe. Nic tu dla nas nie ma; nasze pieprzowce uschły, nie dadzą ziarna, które nasza córeczka mogłaby mieć, gdy urośnie. Będzie polować na fok i narwale, i spać w łóżku z ich spiralnych rogów. Będziemy huśtać wnuki na kolanach schłodzonych przez śnieg i morze – czy to nie będzie coś?

Uśmiechnąłem się do nich. Adzanabh, które stało się panią mego serca, było takie ciepłe i wilgotne, że każdy zapominał, co to śnieg – ja jak przez mgłę pamiętałem przedzieranie się przez zasy z łopata, żeby zanieść bulwy do domu. Rodzina odeszła ku zatoce, gdzie codziennie zawijały statki, i zostawiła miasto, które ją kochało. Czasami wyobrażałem sobie, że słyszę płacz Adzanabh, biednej pani rozpaczającej, iż dzieci ją porzuciły, kiedy się zestarzała i wyschła.

Wreszcie odstawiłem pług i usiadłem na ostatnim polu, z kolanami podciągniętymi do piersi, patrząc na miasto. Nie było świateł w domach spiętrzonych jak czerwone ule, żadnego prawa nie wykuwanego na ulicach. Dzwony nie biły godzin, nie było już nikogo, kto mógłby dzwonić. Moje miasto opustoszało, więc zadecydowałem, że nikt nie będzie miał nic przeciwko, jeśli w nim zamieszkam. Już nikt mi nie powie, że jestem za duży, i będę spać pod kocem korzennych oparów, o czym nieraz sniłem w domu, gdy drzemałem po ucztach olbrzymów.

Wszedłem przez spróchniałą bramę, przeżartą przez pleśń i morskie powietrze, na strome wzgórza i doliny zaułków miasta budowanego coraz wyżej i wyżej, na ulice biegnące stromo w

dół i po skosie, prosto w górę i w każdą stronę, w jaką sobie życzyły, bo bruk był samowolny jak nic innego w mieście. Szedłem z rękami w kieszeniach, wdychając powietrze rozkoszne i ciemne jak zawsze, tylko że zniknął kwaśny zapach ludzi i jedynie aromat korzeni unosił się w nocy. Uśmiechałem się szeroko, moje wielkie zęby błyskały jak księżyc nad miastem. Starąłem się nie nastąpić na nic, na co nie powinienem, ale czasami musiałem się przeciskać.

Znowu pomyślałem, że słyszę moje miasto, moją dziewczynę płaczącą, zagubioną i samotną.

– Wciąż tu jestem, pani – szepnąłem.

I rzeczywiście coś rozbrzmiewało – melodia. To nie moja głupia głowa płała mi figle, jak wtedy, gdy oranie robi się nudne, a słońce stoi wysoko. Dźwięki były wysokie i przeszywające, smutne jak głos, ale nie był to głos. Nie słyszałem niczego równie pięknego przez wszystkie moje dni – a wiedz, że olbrzymki niezrównanie grają na fagocie, gdy muły są tłuste i wino kokosowe ma grubą pianę. Szedłem za dźwiękiem, uważając, by niczego nie zmiażdżyć, szedłem w górę i w dół dziwnego labiryntu ulic, który sprawia, że Adżanabh zdaje się składać z samych alei, i wreszcie doszedłem do centrum miasta, niewielkiego placu pośrodku, z fontanną, której zielona woda strzela jak winorośl, a winorośle wokół strzelają jak woda. Pośrodku stoi figurka, która w zamyśle, jak sądzę, miała być Gwiazdą Cynamonową tańczącą w strumieniu, ale oczy wypadły jej dawno temu i kolana nie są za dobre, i nigdy nie mogłem poznać, czy w rękach trzyma korab obfitości, czy jakieś stare zabawki, które wetknęły tam dzieci, gdy się nimi znudziły.

Przed fontanną stała pani. Byłem zawstydzony za sześcioro, gdy ujrzałem, że się pomyliłem, i ucieszony za dziesięcioro, że nie tylko ja zostałem. Ale nie wyglądała jak panie, które dotąd widywałem. Miała czerwoną suknię, nie większą niż skrawek tkaniny, i tańczyła – lecz nie to budziło zdziwienie. W tym mieście nigdy nie brakowało tancerzy, śpiewaków i muzyków. Dziwiły jej ręce, tak, ręce i włosy, ale bez rąk same włosy nie zrobiłyby na mnie wrażenia. Nie miała wcale palców, tylko smyczki w miejscu, gdzie powinny być palce, i skórzane pasy okręcone wokół rąk, podtrzymujące smyczki. Czarne włosy, sztywne jak napięte struny, fruwały w szybkim tańcu we wszystkie strony. Kobieta grała oburącz, dziesięcioma smyczkami naraz, na pasmach własnych włosów, przekrzywiając głowę na boki, żeby zmienić ich długość jak skrzypek, który naciska struny na gryfie instrumentu. Grała, jej bosa stopy plaskały po bruku, z miedzianymi pierścieniami na palcach, i to jej melodię słyszałem, szybką, straszną i piękną.

Kiedy na chwilę przestała grać, by natrzeć olejem smyczki, powiedziałem.

– Myślałem, że wszyscy odeszliście.

Kobieta podniosła głowę. Oczy miała zielone jak palmowe liście pod szaloną czupryną.

– Nie wszyscy – odparła figlarnie. – Niektórzy z nas nigdy nie odejdą.

Spojrzałem na domy-ułe i faktycznie, w kilku okrągłych oknach dostrzegłem twarze; mieszkańcy zerkali na dziewczynę-skrzypce, zaciekawieni, dlaczego przerwała grę.

– Nazywam się Agrafena – powiedziała i bardzo ostrożnie przyłożyła smyczki do mojej wielkiej ręki. – Jestem pieśnią Adżanabh. Ja zostaję, więc oni też.

– A kim oni są?

Kobieta okręciła się w miejscu, pasma włosów poderwały się w powietrze.

– Jesteśmy tymi, którzy pokochali Adżanabh na tyle, żeby trzymać ją za rękę, gdy umiera, i patrzeć, jak przechodzi na drugą stronę. Zostaliśmy, by uwiecznić jej śmierć, każdy na swój sposób, malarze, poeci i kaligrafowie, śpiewacy, tancerze i skrzypkowie, rzeźbiarze i akrobaci, złotnicy i żonglerzy, dmuchacze szkła, mimowie, oratorzy i wytwórcy zabawek, powieściopisarze i mozaikarze, maskarze i aktorzy. Zostaliśmy. Opisaliśmy i zagraliśmy, wyrzeźbiliśmy i wyśpiewaliśmy jej śmierć, i po odejściu tłumów stwierdziliśmy, że jak zwalone drzewo ma dla nas dość grzybów i mchu, pajaków i świetlików. Tancerze młócą stopami nasiona w naszych małych miejskich ogrodach, jest tu dość marchwi i jeżyn, żeby nas wykarmić. Poskramiacze lwów bez wysiłku znajdują małe stada bydła i jest tu dość mięsa, żeby nas nasycić. Zajmujemy puste domy i mieszkania, salony i bawialnie, a jest ich tu aż nadto, przy czym niewielu z nich strzegą jakieś zamki. Puste miasto jest rajem i teraz tutaj odbywają się wszystkie Wstriece. Jest nawet winiarz, który został, żeby wycisnąć grona z ostatnich zbiorów na słynne wino kardamonowe. Dziś tylko my je będziemy kosztować.

Zwiesiłem głowę.

– Smutno mi, Agrafeno, bo zostałem, choć nie znam żadnej sztuki poza rozcieraniem papryki i cięciem lasek wanilii. Nie mogę dać nic nowego Adżanabh, z wyjątkiem swojego ogromu, który nie jest tu mile widziany.

Przekrzywiła głowę na bok, jakby zamierzała obstalować mi nowe buty i brała na nie miarę.

– Biedny Symeonie! Nasz ostatni olbrzymie! Jeśli kochasz nasze miasto, wiem, co mógłbyś zrobić, i jest to trudniejsze niż wszystkie nasze poczynania ku czci jej imienia.

OPOWIEŚĆ O KLATCE Z KOŚCI SŁONIOWEJ I O KLATCE Z ŻELAZA, CIAĞ DALSZY

– Powiedziała mi – rzekł wielki Brama – że teraz, gdy Adżanabh brakuje praw na ulicach i brakuje bogactwa, by w razie potrzeby narzucić za nie zbroję, wcześniej czy później przybędzie lud, który nie żongluje ani nie śpiewa, tylko nosi jasną i ostrą broń. – Spojrzał na mnie gniewnie mosiężnymi oczami. – Kazała mi rozciągnąć się, na ile zdołam, i położyć wokół mego miasta, żeby było bezpieczne. Martwiłem się o moją skórę, gdyż z pewnością w zamęcie stanę się celem wszystkich ostrzy, a wtedy nie będzie ze mnie bardzo dobrego muru. Ale uspokoiła mnie słodkimi smyczkami i przywołała kamieniarzy, mosiężników i garbarzy, i nakazała im obłożyć mnie ze wszystkich stron czerwoną cegłą, mosiężnymi sprzączkami i skórzanymi pasami, żebym stał się prawdziwą Bramą, zapewniającą bezpieczeństwo. Wyszedłem z miasta, całując najwyższe wieże Adżanabh, zgiąłem nogi, rozciągnąłem zebra jak mogłem najszerzej. Moja głowa rzuciła cień na dziedziniec, a kilka pelikanów upuściło ryby w słone morze, zdumionych nagłym wyrośnięciem nowej góry. Potem skrzyżowałem ramiona i zamknąłem Bramę Adżanabh, która jest tym, kim jestem teraz, już nie Symeonem.

Przygryzłam wargę.

– Ale jeśli w mieście są tylko artyści...

– Wszyscy zostaną wymordowani. Mamy płatnerza, starego wilka morskiego, który mieszka na ciekącym poddaszu z tuzinem pustych zbroi pod ścianą, czym jednak są tuziny wobec waszej nieprzebranej hordy? – Jego uśmiech był twardy i okrutny. – Ale nie ma obawy, dymiący kopci. Żaden miecz nie przejdzie przez moje palce i mieszkańcom nic nie zagrazi. Adżanabh się o to postara.

– Nie chciałam tu przychodzić – mruknęłam ponuro. – Nikt mnie nie pytał, przerzucili mnie tutaj i wetknęli mi w rękę kieliszek z likworem.

– Przez to raczej nie poczujemy się lepiej – burknął Brama. Obróciłam płomieniste pierścienie na palcach. Coś we mnie pragnęło zobaczyć serpentynowe ulice Adżanabh, pragnęło usłyszeć smyczki Agrafeny sunące po włosach. Byłam królową tylko jeden dzień i nie widziałam niczego poza własnym domem. Czy chciałam spalić to miasto? Nie bardziej niż usłyszeć, że Kaszkasz był zły albo że zostałam królową tylko z powodu mych włosów.

Nagle wyciągnęłam ręce i ścisnęłam masywny kamienny palec, który był w moich rękach jak długi filar świątyni.

– Wpuść mnie! – poprosiłam. – Pozwól mi zobaczyć Adżanabh. Może zdołam ich przekonać, żeby odeszli. Może, jeśli znajdę to śmieszne pudełko z krwawnika, zabiorą je i odejdą, radzi, że nikogo nie stracili w bitwie.

Brama zmrużył oczy, podejrzliwe mosiężne oczy pokryte nalotem śnieży.

– Skąd mam wiedzieć, że nie zamyślasz jakiegoś podstępu? Jesteś dzinnem, prędzej zaufam głodnemu krokodylowi, który

pragnie zaopiekować się moim mułem, niż dżinnowi.

Kolory i płomienie zapłonęły na moich policzkach.

– Skąd mam wiedzieć, czy olbrzym nie zmiażdży mnie w palcach, bo mucha zabrzęczy mu w uchu? – Przygasiłam swoje płomienie. – Ale chyba widzisz, że jestem młoda. Ledwie wczoraj zostałam królową; nie wiem nic o tym mieście ani o tej wojnie. Wpuść mnie, a ja spróbuję znaleźć, czego potrzebują, i zaniosę im to bez rozlewu krwi. Jeśli kłamię, odwrócę wszystkie ich życzenia, pal licho Chajghal.

Brama ściągnął brwi, a wypełnione gliną linie wokół jego ust się pogłębiły.

– Pozwolę ci wejść. Na jedną noc. Musisz być przy czubkach moich palców o świcie, bo inaczej cię nie wypuszczę, a wtedy odkryjesz, że aktorzy i śpiewacy często byli zmuszeni uprawiać mniej miłe rzemiosło i wcale nie wyszli z wprawy. Nikt, kto mieszkał w murach dawnego miasta, nie pozwala mięśniom zmięknąć bodaj na chwileczkę.

Energicznie pokiwałam głową.

– Przysięgnij na swojego spełniającego życzenia króla, przysięgnij na Kaszkasza śmiałego i jego mosiężną brodę, a ci uwierzę – burknął.

Mogłam złożyć taką obietnicę, lecz nic by dla mnie nie znaczyła, już nie, nie teraz. Powoli chwyciłam boki moich srebrnych koszy przy biodrach i powiedziałam:

– Przysięgnę na niego, ale również na Gwiazdę Cynamonową, na Gwiazdę Węża i na Siedem Sióstr.

Niechętnie skinął głową i oderwał palec wskazujący od palca środkowego, robiąc dość miejsca, żebym mogła zebrać swój dym i się precisnąć.

– Idź do fontanny i znajdź Agrafenę. Zawsze tam jest o tej porze w nocy, grając do księżyca. Zabierze cię do pokoju o tak wysokich krokwiach, że zdaje się otwarty na nocne niebo. Znajdziesz tam klatkę z kości słoniowej i płomień jak twój własny.

Podziękowałam mu i trzymając kosze blisko siebie, przepłynęłam przez jego palce do czerwonego miasta.

W OGRODZIE

Chłopiec umilkł.

– Świetnie ci idzie – powiedziała dziewczynka ciepło. Wyciągnęła ręce, żeby ująć jego dłonie, i otworzyła oczy. Skrzyły się w blasku ognia. Śnieg w jej włosach roztopił się w rosę. – Czy mam ci dziś przynieść kolację... – zaśmiała się – i uciec przed moją siostrą?

– To dziwne, mówić, kiedy przywykłem do słuchania. Jest jak w historiach, które znałem przed poznaniem ciebie – piękna dziewczyna siedzi u stóp chłopca i chłonie każde jego słowo. Ale to nie wydaje się właściwe.

– To wciąż moja historia – powiedziała, odsuwając się. – Moja ostatnia historia. Nie staje się twoja tylko dlatego, że przez chwilę siedzi w twoich ustach.

– Wiem! Och, proszę, nie złość się. Wiem. I się boję. Będę czytać powoli, najwolniej jak zdołam. To twoja historia i odbierze mi ciebie w najpiękniejszej części. Skończy się, gdy nie będę pragnął niczego więcej, jak czytać ci ją na wieki.

Pogłaskała go po włosach, lecz nic na to nie mogła powiedzieć.

– Przynajmniej mogę odpocząć. Jestem taka zmęczona, jakby otworzyło się we mnie jakieś małe miejsce i jakbym cała przez nie wypadła.

– Zmęczyło cię czytanie? Jesteś chora?

– Nie, ale tak to już jest. Mówiłam ci, że to moja historia. Nawet teraz wyciągasz ją ze mnie jak rybak karpia z jeziora. Miota się i szamocze, wywlekany z wody, a słońce tak pięknie złoci się na jego łuskach!

Chłopiec szeroko otworzył oczy i spojrzał na nią znowu, zauważając, jak rumiane są jej policzki na zimnie, jak chude ma ramiona, jaka głęboka jest czerń jej oczu płonących niczym węgle. Trochę się jej bał, była taka dziwna – niemal zapomniał, jaka dziwna wydawała mu się na początku, jaka dziwna wciąż była, jaka niepodobna do innych dziewcząt, których czarne włosy ścigał wokół pni drzew.

– Jesteś zmęczona? Chcesz mnie zostawić? – szepnął.

Podeszła do niego z twarzą ciepłą, otwartą, ujmująca jak mordka łaszącego się kota.

– Nie, proszę. Chcę wysłuchać więcej. Chcę usłyszeć, co Oparzona znalazła w mieście artystów. Jakie to dziwne uczucie, nie wiedzieć, co będzie dalej!

Chłopiec roześmiał się niewesoło i przeciągnął ręką, tą z bransoletą, po jej oczach, zamykając je delikatnie. Litery tańczyły. Czytał powoli, jak wcześniej, jego niepewny głos brzmiał w śniegu miękko niczym kicanie zająca.

– Szłam adzańskimi ulicami, jak mi kazano, a były one węższe, bardziej strome i zakręcały ostrzej, niż sobie wyobrażałam. Ale prowadziły nieuchronnie ku centrum miasta i księżyc nie wzniósł się jeszcze ponad czoło Bramy, gdy znalazłam fontannę i tańczącą pannę bez palców...

OPOWIEŚĆ O KLATCE Z KOŚCI SŁONIOWEJ I O KLATCE Z ŻELAZA, CIAĞ DALSZY

Była młodsza, niż myślałam – musiała być ledwie dziewczynką, gdy Symeon ją znalazł. Teraz, dorosła, tuż po kwiecie wieku, miała zmarszczki śmiechu w kącikach oczu i ogorzałą, ciemnobrązową skórę. Grała oburącz na sztywnych jak druty włosach, czerwona suknia łopotała wokół niej, gdy wykonywała taneczne kroki. Pieśń nie była elegią na śmierć miasta, którą słyszał Brama, ale czymś chytrym i wężowym, szybkim i pewnym, co wiło się i zakręcało, czymś znaczącym, czymś ukrytym dla wszystkich prócz niej samej. Czekałam; nie chciałam przerywać.

Wreszcie się zatrzymała, zgięta w talii, ze stopą uniesioną w powietrze. Bez poruszania żadnym innym mięśniem, odwróciła głowę i mrugnęła do mnie. Brama nie miał racji – oczy miała znacznie zieleńsze niż palmowe liście i lśniące migotliwym światłem, które, jak pomyślałam, rozpoznaję – ale nie, to przecież niemożliwe. Zmierzyła mnie wzrokiem od góry do dołu i tajemniczy uśmiech ozdobił jej śliczną twarz.

– Jesteś dzinnem! – zawołałam oskarżycielsko, wyciągając palec jak dziecko. – Nic dziwnego, że twoje włosy grają! Jak je usztywniłaś?

Agrafena parsknęła śmiechem chropawym jak grzechot przegrzebywanych węgli.

– Niestety, nie więcej niż w ćwierci, ze strony ojca. – W jej oczach błysnął przyćmiony ogień. – Nie wszyscy spoczywamy na jedwabnych poduszkach w sklepionych salach Kaszu. I jak ja, moje włosy tylko w ćwierci są dymem. Ale to wystarczy, by były posłuszne, gdy jestem dla nich miła.

– Jak to możliwe? Przecież spółkowanie z ludźmi jest absolutnie zakazane! Po śmierci Kaszkasza ludzie zmusili nas, żebyśmy na to przystali – tego dnia tak wielu z nas zostało wciśniętych w łyżki i lampy! Nie mogli znieść tylu załamanych dziewcząt i bezużytecznych chłopców. Od stuleci nie było mieszańca! Dłużej!

– Dzięki za użycie w stosunku do mnie tak miłego słowa. Ale, jak wspomniałam, jestem ćwierćkrwi dzinnem i jeśli chcesz kogoś aresztować, musisz wykopać moich dziadków, a jestem pewna, że nie będą tym zachwyceni.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie miała prawa istnieć. W domu zostałaby skazana na natychmiastowe spalenie, a ta jej część, która jest niepalna, spoczęłaby na dnie morza. Taką umowę ludzie kazali nam podpisać z uwagi na swe najśliczniejsze dzieci, a kapłani Chajghalu świadkowali przy podpisywaniu. W końcu postanowiłam zamknąć ten temat i zdecydowałam się na słowa najprostsze, jakie mi przyszły do głowy.

– Brama mnie przysłał – powiedziałam.

– Symeon? Niebawem przyjdzie czas na jego muły, jak się zdaje. Czy już prosił, żebyś zwała go Adżanabh? Niemądry stary rolnik, ale lepszej duszy nigdy nie poznasz.

– Jestem z wojsk za murami. Armia królów i królowych czeka, żeby zrównać to miasto z ziemią.

Twarz Agrafeny pociemniała, a nawet ćwierćdzinn może zrobić się bardzo ciemny.

– Tak, wiem, co masz na myśli – mruknęła.

– Weszłam do miasta, żeby znaleźć to, czego szuka moje rodzeństwo: małej szkatułki z krwawnika, nie dłuższej niż moja ręka.

– Twoje rodzeństwo?

Wypuściłam dym i klejnoty u mojej talii rozbłysły.

– Jestem królową Rozżarzony Węgielek.

Agrafena tylko się roześmiała i podrapała po głowie.

– A co jest w tej skrzynce?

– Nie wiem.

– Cóż, królowe Kaszu nie są już takie jak kiedyś.

– Byłam królową przez jeden dzień! Nic mi nie mówią! Mam szczęście, że się w ogóle dowiedziałam o szkatułce!

– Dobrze, dobrze. Nie mam pojęcia, gdzie może być coś takiego. Nie widziałam niczego w tym rodzaju – krwawnik jest pospolity w twoim kraju, nie w naszym.

– Brama... Symeon powiedział mi, że zabierzesz mnie do wysokiego pokoju, do klatki z kości słoniowej i płomienia jak mój.

Wygięła brwi.

– Tak? Chyba wiem, o co mu chodzi. Jednak wątpię, czy znajdziesz tam swoją skrzynkę. Prędeż ptasie odchody i pełne uszy paplaniny.

– Mimo wszystko.

– Oczywiście, kim jestem, by wymigiwać się od obowiązku bawienia wizytującej królowej? Chodź za mną, to niedaleko.

Poszłyśmy szybko krzywymi uliczkami, przez cienie głębokie i wonne pod kopulastymi wieżami Adżanabhu. Pomyślałam, że czuję te korzenne opary, które Symeon ukochał, albo przynajmniej ich ducha, leciutkie tchnienie kardamonu, kminku i cynamonu wydychane przez noc. Gdy mijałyśmy okna i drzwi, widziałam w słabo oświetlonych pokojach żonglerów podrzucających kandelabry i słyszałam rozdierające serce monologi, wygłaszane z żarem do wysokich lusterek. Noc była pełna głosów, a od czasu do czasu samotny poskromiony lew człapał spękaną drogą, potrząsając zadbaną, czystą grzywą. Z pewnością była gdzieś wielka arena, nawet dziś tęsknię za adżańskim karnawalem w pełni jego rozkwitu. Przeszłyśmy przez szeroki plac zaludniony posągami z czerwonego piaskowca, z idealnymi twarzami precyzyjnie oddanymi w szkarłatnym kamieniu, z granitowymi lustrami i marmurowymi parasolami w rękach. Lawirowałam pomiędzy nimi na paluszkach, bo lękałam się, że któryś lada chwila złapie mnie za ramię. Skrzypaczka szła pewnym krokiem i nie zbłądziła, a potem kamienny tłum został daleko za nami. Jej włosy sterczały sztywno, nawet gdy nie wirowała, i nie widziałam jej twarzy w ich gąszczu. Przypuszczam, że nie powinnam się odzywać, ja, mała królowa z niezgrabnymi kosztami. Jednak odważyłam się zagadnąć ją nieśmiało.

– Twoje ręce...

– Tak?

– Skąd masz te smyczki? To musiało być bardzo bolesne.

– Nie tak bardzo, jak myślisz. – Zatrzymała się, bo nie mogłyśmy iść ręka w rękę w wąskich zaułkach, i spojrzała na mnie przez ramię. – Mamy jeszcze czas, twoja noc się nie

skończy, gdy dotrzemy do grzędy. Jeśli jesteś naprawdę ciekawa...

Gorliwie pokiwałam głową. Wyciągnęła mnie z zaułka i posadziła pod persymoną, z pniem otoczonym zardzewiałą kratą, chroniącą drzewo przed dziecięcymi amatorami wspinaczek.

– Niech ci będzie. Mówiłam już, że mój dziadek był dżinnem...

OPOWIEŚĆ SKRZYPACZKI

Urodził się w Kaszu, jak wy wszyscy. Miał kołyskę z krwawnika i mosiądzu. Jego dym był gryzący i pełen sadzy, nawet w dzieciństwie, a z jego oczu były pomarańczowe płomienie, gdy płakał za matką. Mój dziadek, który nazywał się Suhail, nie był zadowolony z milczącej strojności Kaszu i Chajghalu, który miał stać się jego życiem, gdyż tak orzekli najlepsi astrolodzy. Chciał znaleźć księżniczkę snującą grzeszne marzenia o ciemnolicym przystojnym cudzoziemcu, który wykradnie ją z domu i będzie śpiewał dla niej na balkonie otoczonym przez łabędzie i chochliki. I tak właśnie zrobił.

Moja babcia miała długi warkocz koloru ognia i bardzo zielone oczy. Jak wszyscy wiedzą, takie kolory sygnalizują trudne usposobienie, i rzeczywiście, spędzała noce w swoim wąskim oknie, marząc, by ciemnolicy przystojny cudzoziemiec wykradł ją z nudnego życia, gdzie czekają tylko haftowanie i porody, i śpiewał dla niej na balkonie otoczonym przez łabędzie i chochliki. Nie była całkiem pewna, jak rozumieć śpiewanie, ale w jej książkach kawalerowie zawsze śpiewali swoim damom, była więc zdecydowana wysłuchać takiej pieśni, jeśli nawet wydawało się to nudne. Moja babcia miała na imię Glaucja, mocno sznurowała gorset i wzdychała głośno przy oknie, jak dama z drzeworytów w książkach.

Mój dziadek, uciekwszy z Kaszu z jedwabną szarfą jak błękitny ogień, usłyszał wzdychanie i nie potrzebował zgody Chajghalu, żeby spełnić jej życzenie. Z radością wyświadczył jej przysługę i łabędzie trąbiły, i chochliki rżały, a Glaucja stwierdziła, że śpiewanie wcale nie jest nudne.

Jak to bywa, z czasem urodziło się dziecko, córka z zielonymi oczami i bardzo grzecznymi, delikatnymi czarnymi włosami, które nigdy – ani jeden raz! – nie poderwały się, żeby udusić papugę w locie. Suhail nie wiedział, co zrobić. Nie mógł posłać córki na nauki do Kaszu, bo spaliliby ją i utopili szybko, a uniwersytety z reguły pytają o pochodzenie. Ale dziewczyna była łagodna i słodka, ku zdumieniu i konsternacji obojga rodziców, i znalazła sobie łagodnego, słodkiego chłopaka, który zbudował jej dom, i była dość szczęśliwa jak na kogoś, kto nie umie nawet udusić papugi.

Jej jedyną zgryzotą było to, że małżeństwo nie mogło zostać skonsumowane. Ilekroć mąż zarzucał okrycie na nich oboje – och, jak Glaucja przewracała oczami, gdy córka o tym mówiła! – i sięgał po nią, ciało biednej dziewczyny roztapiało się w czarny dym, gęsty i pełen sadzy jak dym ojca. Mąż wpadał w nią i stwierdzał, że przyciska twarz do poduszki. Nie było końca płaczom i burzom w ich małym domu.

Wydawało się jednak, że nie miało to znaczenia, bo zaszła w ciążę jak każda inna kobieta i we właściwym czasie urodziłam się ja, a moje włosy natychmiast udusiły najbliższą turkawkę, ku uldze i radości dziadka, który na ten widok wybuchnął zapalającymi łzami wdzięczności.

Moi rodzice osiedli w Adżanabh i uprawiali skromne poletko bazylii. Wszystko w moim dzieciństwie pachniało bazylią, mydlaną i zieloną. Ja jednak nie kochałam bazylii ani paru

grządek czosnku, który mój ojciec wetknął do ziemi. Kochałam muzykę i śpiewałam, zanim nauczyłam się mówić. Babcia była zachwycona, gdy nas odwiedzała. Nie przeszkadzało jej, że mój głos bardziej przypomina pisk królika pieczonego żywcem w trzeszczącym palenisku niż słodkie trele. Ale nie chciałam się poddać i gdy dziadek kupił mi skrzypce z lawy z długim, cienkim niebieskim płomieniem zamiast smyczka, zarzuciłam ręce na jego czarną i gryzącą szyję i ściskałam, aż nie mogłam oddychać. Nauczyłam się gry na tych skrzypcach, jak niektóre dzieci uczą się rachować – było to dla mnie proste i łatwe jak dodawanie słupka liczb i wpisywanie schludnej, pełnej wdzięku sumy na dole stronicy. Matka mówiła, że gram za szybko, a ojciec mówił, że prawdziwy wirtuoz z pewnością nie tańczy w czasie gry, ja jednak nie chciałam przestać ani zwolnić.

Wreszcie, kiedy bazylia na polach wciąż była wysoka, jasna i zielona, osiągnęłam kres możliwości. Nie mogłam grać szybciej ani bardziej słodko, nie mogłam poruszać palcami w bardziej skomplikowanych wzorach. Rodzice myśleli, że będę zadowolona, ale dziadek mrugnął do mnie w czasie zimowej wizyty i wiedziałam, że moje ręce jeszcze nie są szczęśliwe. Gdy rodzina po uczcie chrapała na cztery głosy, wymknęłam się z farmy do miasta, które było wówczas bezprawne jak okręt bez aresztu. Znalazłam domek Folio, będącej autorką, jak powiadano, wszystkich cudów w Adżanabh.

Jej drzwi były kolekcją zamków wszelkiego rodzaju i wielkości, od ogromnych mosiężnych rygli po maleńkie, filigranowe dziurki od klucza, nie szersze niż igła; były tam drewniane zamki z rozdziawionymi szczelinami i złote zamki rzeźbione w ptaki, tak stare i wytarte, że została tylko rdza w miejscu, gdzie kiedyś mógł być metal, zamki z brązu i zamki z

rogu, prymitywne zasuwki i zamki w kształcie otwartych, wytrzeszczonych oczu wydmuchanych z najczystszo, najprzejrzystszo szkła.

Nie miałam klucza, a na drzwiach nie było skrawka wolnego miejsca, żeby zapukać. Będąc zmyślnym dzieckiem, wcisnęłam palce w dziesięć różnych zamków z różnych materiałów i usłyszałam, jak dźwięk tuzina dzwoneczków niesie się przez zgarbioną chatę, jedyny niski, przysadzisty dom bez schodów wśród strzelistych dzwonnice Adżanabh. Drzwi zaskrzypiały dokładnie w taki sposób, jak mogą skrzypieć tajemnicze drzwi, a światło za nimi, cuchnące olejem, miedzią i palonym powietrzem, miało kolor rdzy. Ostrożnie przestąpiłam próg; drzwi za mną się zamknęły, zamki wesoło obracały się i zasuwwały.

Folio siedziała przy warsztacie, starej desce z drewna figowego, z imadłami i księgami o bezwstydnie rozłożonych stronicach. Na ścianach wisiały szkice, w formach lśniły kałuże metalu w różnych stanach stopienia, a twarde kawałki opierały się o krzesła i szafki. Były tam tryby, wahadła i niezliczone zegary z brutalnie odsłoniętymi wnętrzościami, metronomy tykające bez końca i wiele przedmiotów, których zastosowania nie mogłabym odgadnąć: maszyny z metali szlachetnych i tanich, czarne od oleju albo zasłonięte płachtami, metaliczne skrzydła i pióra, które pisały spiesznie bez prowadzącej je ręki, mali mechaniczni drwale bezskutecznie rąbiący żelazne pniaki i kołowrotek, którego wrzeciono samo z siebie kręciło się z zadowoleniem.

Folio miała garb, skórę o barwie nasion figowca i okulary – przecież dobrze wiadomo, że wszyscy wynalazcy noszą okulary – ze wskazówek zegara, które sterczały we wszystkie strony

wokół okrągłych szkieł. Zza nich zerkały jej oczy, ciemnoniebieskie jak porządny barwnik, błyszczące i spokojne. Była dość stara i miała białe włosy splecione w setki cienkich warkoczyków, które krzyżowały się jak liny wiszącego mostu. Wargi miała cienkie i prawie sine od zaciskania ich w głębokiej zadumie. Jej ręce, te słynne ręce, miały po osiem stawów w każdym palcu i bardzo krótkie paznokcie. Szczupłe i delikatne, zajęte były miedzianą kulką, która wirowała nad fontanną pary.

– Ładna zabawka dla mało rozgarniętego dziecka, ale rozmyślałam o mechanicznym koniu – powiedziała wesoło, głosem suchym jak tykanie zegara. – Choć ciebie z pewnością nie interesują konie, gdyby nawet zrobione były ze srebra i płakały ogniem z oczu.

Wzruszyłam ramionami.

– Mój dziadek płacze ogniem.

– Hm – mruknęła wyniośle, odrywając wzrok od wirującej kuli – to nie byłoby to samo. Moje konie miałyby przełącznik, którym można płkanie włączać i wyłączać. W dzisiejszych czasach trudno zrobić wrażenie na młodych.

– Jestem pewna, że będą cudowne. Podobno zrobiłaś wszystkie cudowne rzeczy na świecie.

– To z pewnością kłamstwo. Ludzie są dziwni – zrób parę latających maszyn, wyłącznie na zamówienie, a wszyscy zaczną opowiadać o tobie niestworzone historie. Co oczywiście ciebie tu sprowadza – przyszłaś kupić cud, jak mniemam.

Zarumieniłam się lekko.

– Nie, nie kupić, niestety. Nie mam pieniędzy.

– Zatem wyżebrać cud. A jaki rodzaj cudu mam wyczarować za darmo z za swojego ucha?

– Skrzypce, pani. Chciałabym grać jak nikt nigdy dotąd na świecie.

– Ćwicz – mruknęła.

– Już umiem grać lepiej niż satyr na fletni – odparłam z żarem. – Ale spróbuj zrozumieć. Co świata po mechanicznym koniu, kiedy każdy rolnik ma własną starą siwą kobyłę? Komu potrzebny koń ze srebra, płaczący ogniem? Nikomu – ale ty i tak go zrobisz, dzisiaj czy innego dnia. Chciałabym być w porównaniu z innymi skrzypaczkami jak twój koń wobec łąkowatej jabłkowitej szkapy z muchami w nosie!

Spojrzała na moje palce.

– Dobrze powiedziane, dziewczyno. Sądzę, że możemy coś dla ciebie zrobić, ale potrzebujemy czasu do namysłu. Nie myślałam o koniu, dopóki nie spojrzałam na wirującą kulę – kto wie, gdzie mogę znaleźć twój cud?

– Chciałabym zostać, pani, i pomóc, w czym zdołam.

– Nie potrzebuję czeladnika ani nie prowadzę przytułku.

– Oczywiście, że nie! Nie o to mi chodziło...

Zza wielkiego kamiennego pieca dobiegło chrobotanie i grzechotanie, i ślina, jaką może mieć dziewczyna o krwi w ćwierci będącej ogniem, zaschła mi w ustach. Niezwykły twór wyłonił się zza pieca: kobieta cała ze stali i brązu, złożona z niezliczonych kół zębatych, śrub i płyt, w ogóle bez ciała – tylko metal, sam metal, nawet oczy były dwiema obracającymi się kulkami złota. Na jej podłużnej głowie, bez włosów, srebrnych czy jakichkolwiek innych, jeżyły się złącza i śruby. U rąk miała długie palce o wielu stawach, jak ręce Folio. Wynalazczyni z czułym uśmiechem odwróciła się w jej stronę.

– Godzino, kochanie, wiesz, że nie powinnaś wychodzić, gdy nie jestem sama.

Metalowa kobieta zawróciła i jęła się chować za piecem, naciągając płachtę malarską na głowę i na ramiona. Folio się roześmiała.

– Wciąż cię widzimy, Godzino.

– Chowam się, mamó – zabrzmiał stłumiony, dziwnie płaski głos. Błysnęła ręka z brązu, gdy okrywała się dużym skrzydłem z cienkich płytek.

– Nie trzeba, kochanie, wyjdź, już zdradziłaś swoją kryjówkę. Metalowa kobieta wyszła znowu z wielkim klekotaniem, zrzucając płachtę na kamienną podłogę. Stała ze zwieszoną głową. Koła zębate terkotały cicho.

– Przepraszam, że wyszłam. Ale ona ma złe ręce – powiedziała. Jej głos, niestłumiony, brzmiał dziwnie, jak dźwięk pośredni pomiędzy kurantem zegara i szumem wirującego kamienia ośki.

Folio odwróciła oczy, ale tylko oczy, i spojrzała na moje ręce.

– Nie wszyscy mogą być tak pobłogosławieni jak my – przyznała.

– Ona ma złe ręce – powtórzyła metalowa kobieta. – Napraw je. Skrzypce pasują do smyczków, nie do rąk.

– Ciekawe!

– Pani Folio! – krzyknęłam w trwodze. – Co to takiego?

– Ona nie jest rzeczą, wielkie dzięki! Ma się tak do osoby, jak mój koń do chabety, jak ty do skrzypaczki. Racz okazać nieco szacunku! I nie mów o niej nikomu, bo inaczej nie będzie końca cudacznym nieznajomym, którzy zaczną przychodzić i obmacywać moje zamki w poszukiwaniu cudów.

– Jak zrobiłaś coś takiego, że mówi i chodzi?

– Wietrzysz w swoim zadymionym serduszku, że mogę zrobić z ciebie wirtuoza, a dziwisz się temu drobiazgowi? Zrobiłam ją,

jest moją córką. Nie ma na świecie niczego prostszego...

OPOWIEŚĆ O CÓRCE KOGUTKARZA

Tam, gdzie się wychowałam, morze czasami zamarza.

Tylko na skrajach, jak zamarzają kałuże, od zewnątrz do środka. Fale robiły się takie zimne, że piana spadała w deszczu lodu, a plaże były twarde i przejrzyste niczym szkło. Kiedy byłam mała, zbierałam odłamki plaży jak muszle, ale choć szybko biegłam do domu z pełną sakiewką, donosiłam do drzwi kubełek wody, nic więcej.

Mój ojciec miał bardzo piękny dom. Całą siedzibę pokrywały białe zakrętasy i delikatne żłobki łamiące się na licu domu niczym zamarznięta piana. Ale ściany były grube i mocne, bo w Muireannie jest zimno, jest zimno równie często, jak w Adzanabh gorąco.

Kiedy nie próbowałam nosić lodu z morza do swojej sypialni, majsterkowałam, jak mawiała moja matka. Mój ojciec nie widział niczego dziwnego w dziecięcym majsterkowaniu, wszak sam był majster-klepką z zawodu i za majsterkowanie kupił nasz ozdobiony dom. Produkował wraz z czterema innymi mężczyznami i kobietami szczególny towar eksportowy, który, jako że nie był rybami, nie budził większego zainteresowania wśród innych produktów w wielkim nadmorskim mieście. Razem wyrabiali niezwykle nakręcane kogutki, które złotymi dziobami piały o poranku. To były letnie plony ich pracy. W

zimę przechadzali się po ostrygowych polach i rzeźbili z pereł tropikalne ptaki swych marzeń.

Mój ojciec robił oczy, które otwierały się i zamykały – nie dzięki mechanizmowi, rozumiesz, po prostu ruchome powieki mrugały, gdy obracało się perłowego ptaszka w dłoniach. To prostsze rzemiosło niż moje – ale tak już jest z rodzicami i dziećmi.

Moja matka była poetką, pisała długie, marzycielskie strofy o połamanych masztach i głodnych morzach. Raz spędziła rok na spisywaniu wszystkich odcieni szarości, które zna paleta muitreańskiego morza. Wykrzykiwała swoje poematy na nabrzeżu i dziewczęta rzucały jej miedziaki do stóp. Podnosiła ręce, gdy majsterkowałam, ale raz, tylko raz, opuściła ręce do zamarzającej studziennej wody i trzymała je tam przez długie godziny, a potem, biegnąc do morza i z powrotem, przyniosła mi w sinych, drżących palcach idealny kawałek piany.

Ojciec dał mi kilka ukończonych kogutków, ja zaś rozebrałam je na części w swoim pokoju, kiedy powinnam spać, aż podłoga zapełniła się zepsutymi ptaszkami – ale poskładałam je, ucząc się, jak maleńki miech w piersi wydaje odgłos piania. Poskładałam biedactwa w sposób, który ojciec uznałby za przerażający, gdyż zbudowałam kogutki z czterema czy pięcioma dziobami piejącymi w harmonii. Czytałam niezliczone książki z kartkami ze skórek cebuli, traktujące o wielkich dawnych majster-klepkach: kappach i hodowcach jaszczurek, którzy robili cuda, o jakich nie mogłabym nawet marzyć, zapisujących całe światy w łuskach na grzbiecie iguany. Dokąd odeszli, że teraz nikt nie widzi w iguanie niczego więcej poza złym humorem? Dokąd odeszli, że świat jest teraz taki powolny i ciemny, podczas gdy kiedyś żółwie hodowały drzewa światła w

czaszkach? Zastanawiałam się nad tym godzinami w samotności. Lubiłam być sama.

W końcu wyczerpałam praktyczne lekcje o kogutkach. Moi rodzice chcieli wprowadzić mnie do towarzystwa i wydawali sute podwieczorki z rzeżuchą i drogocennymi pomarańczami na srebrnych talerzach, żeby zaproszone muirreańskie panny w białych perukach i naszyjnikach z kości wieloryba miały o mnie dobre mniemanie i przedstawiły mnie swoim braciom. Niejedną z nich nakłoniłam do zdjęcia peruki, żeby policzyć włosy wszyte w materiał. Poza tym nie interesowały mnie, gdyż nie były zrobione ze złota ani nie umiały pisać o rannych godzinach, a ich powieki nie podnosiły się i nie opadały przy przekrzywianiu głowy.

Potem, oczywiście, były moje ręce. To prawda, że matka miała dodatkowy staw w najmniejszym palcu, ale nie wydawało się to wystarczającym powodem, żeby urodzić córkę z palcami jak nogi pająka. Te palce były bardzo dobre do majsterkowania, beznadziejne do nalewania herbaty i wyśmienite do przyprawiania o wrzask bogatych młodych kobiet. Rękawicznicy trzęśli się ze strachu i odprawiali mnie z kwitkiem. Nie dbałam o to – czy można macać zębate trzewia ptaka dłońmi w rękawiczkach?

Wreszcie zmarła jedna z koguciarek – ta, która wyrabiała czerwone ogony – i złożyłam pokorne podanie o przyjęcie mnie na jej miejsce. Miałam wtedy własny niewielki domek i z najwyższych okien widziałam wzburzone morze. Robienie ogonów jest dość łatwe i miałam mnóstwo wolnego czasu, gdy złote pióra stanęły na półkach jak czerwone świece. Tak więc zajmowałam się majsterkowaniem. Jestem pewna, że kappy

uznałyby moje cuda za tandetne i brzydkie. Ale ja jestem tutaj, a one nie, i bardzo się starałam.

Najpierw nauczyłam kogutka pisać nie tylko o poranku, ale co godzinę w ciągu dnia. Zajęło to sporo czasu, bo musiałam go nauczyć, co to jest godzina. Kiedy niezawodnie mierzył czas, nauczyłam go pisać wiele melodii i śpiewać inną melodię dla każdej godziny. Rano eleganckie menuety, po południu powolne wzdychające sonaty i wieczorem, naturalnie, nokturny. Potem, ponieważ byłam samotna i nawet ojciec nieczęsto mnie odwiedzał, nauczyłam go śpiewać słowa, jak śpiewał melodie, i to naprawdę długo trwało, bo jest wielka różnica pomiędzy tonami a słowem.

Po wielu lekcjach, którymi nie będę cię zanudzać, kogutek oznajmiał godziny małymi, nerwowymi słowy: z początku podawał tylko numer godziny, ale potem pisał „witaj”, „matka” i „lód”. Uznałam, że to przyjemne, ale w swoim trzydziestym roku stwierdziłam również, że jestem znudzona kogutkami i tęsknię za towarzystwem. Muirreann to miejsce złowrogie i krnąbrne, ludzie nie za bardzo lubią z sobą rozmawiać poza podwieczorkami z rzeżuchą i pomarańczami, a zasady rozmowy są sztywne i proste jak niebo, żeby nikt nie musiał się zbytnio wysilać. Dlatego zaczęłam proces zewnętrznej zmiany kogutka, jak wcześniej zrobiłam ze środkiem.

Nie miałam dość złota, żeby zbudować ją z przepychem – ją, bo postanowiłam zmienić mojego kogutka w kurę i nazwałam ją Godziną, od pierwszych rzeczy, które poznała. Złota wystarczyło na oczy ze słynnymi powiekami mojego ojca, ale na nic więcej. Miałam za to wiele części kogutków, zepsute zegarki, spękane zbroje, haczyki na ryby i mnóstwo innego materiału. Najpierw odjęłam jej trójpalczaste łapki, zastępując je

brązowymi śrubami, płytami i prętami. Przypominała wtedy istotę o ptasim ciele i kobiecych nogach. Dałam jej nowy tułów ze srebra i brązowych kawałków pancerzy, potem ręce, potem szyję – zyskała nowy głos, niższy niż ćwierkanie ptaka – i twarz, twarz mojej ukochanej dziewczynki, którą znam teraz tak dobrze. Wreszcie wyposażyłam ją w dłonie podobne do moich, dlaczego nie? Dziecko bierze z obojga rodziców. Przez jakiś czas wkładałam jej na głowę jedną ze starych białych peruk, lecz wyglądała śmiesznie. Codziennie nakręcam ją jak kieszonkowy zegarek, a ona chodzi, tyk, tyk, tyk.

Była ciekawa jak każde dziecko, więc zabierałam ją na podwieczorki do rodziców, gdzie nauczyła się słów „rzeżucha”, „herbatnik” i „mów, nikt cię nie usłyszy”, gdzie obie źle używałyśmy łyżeczek do jajek. Po powrocie do domu, gdy księżyc prześwitywał przez zamarznąłą pianę, sadzałam ją na krześle – nie całkiem opanowała sztukę samodzielnego siadania. Pytała mnie, gdy wybiła północ, bo jeszcze nie mówiła pomiędzy godzinami:

– Grzeczne dzieci słuchają bajek wieczorem. Czy jestem grzecznym dzieckiem?

– Oczywiście, kochanie, jesteś najgrzeczniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek używało widelca sałatkowego do ślimaków.

– W takim razie należy mi się bajka.

– Zgoda – odparłam. Nie znałam wielu bajek, choć znałam wiele poematów. Ale to nie to samo, jeśli nawet bierze się pod uwagę najnowsze style wierszy. Siadałam na krześle, a księżyc zwijał się na moich kolanach jak kot. – Dawno, dawno temu żyła sobie panna w zamku...

– Co to znaczy „dawno temu”? – przerwała mi Godzina.

– To znaczy przed laty, przynajmniej przed tyloma, że ujawnianie ich prawdziwej liczby byłoby nieuprzejme.

– Co to znaczy „żyła”?

– To znaczy chodziła, mówiła, jadła herbatniki i rzeżuchę, i niewłaściwie używała jednego widelczyka, i spała w domu zamiast na kamieniach na zimnie.

– Co to jest „panna”?

I tak musiałam wyjaśnić zagadnienie panieństwa i posagu, i kontraktów małżeńskich, i ojcostwa, i progenitury, i różnych nazw władców, systemu rang i dworskiej etykiety. Później musiałam naszkicować dla niej zamek i wytłumaczyć, co to są blanki i fosy, mosty zwodzone i spuszczone kraty, smoki i najeźdźcy, rycerze i feudalizm, a nadto przedstawić historię ogólną architektury oraz współczesne systemy polityczne. Potem zaciekały ją śluby i jak się szyje suknie, i jak się wydaje uczyty, i jak powinno być przygotowywane jedzenie, i rytuały łączenia się w pary, i w co przemienia się panna, gdy już wyjdzie za mąż. To było bardzo męczące i trwało wiele miesięcy.

Wreszcie, kiedy znów przyszło lato i dmuchawce przyoblekły się w białą gazę, skończyłam objaśnianie różnych metod wydobywania kamienia i w jakich krajach jakie kamienie są pospolite. Godzina, wspierając na kolanach duże dłonie o ośmiu stawach, z wysiłkiem skinęła głową – dopiero zaczęłyśmy się zajmować kiwaniem i kręceniem – i powiedziała:

– Chyba teraz rozumiem. Dziękuję. To była bardzo ładna bajka.

OPOWIEŚĆ SKRZYPACZKI, CIĄG DALSZY

– Mój ojciec niezbyt lubił Godzinę. Przewidywał, że nigdy właściwie nie odegnie palca, kiedy popija herbatę. Nie miałam serca mu mówić, jak trudno jej w ogóle pić herbatę, ile sitek i zastawek muszę montować w jej gardle przed każdym obiadem, żeby mógł ją pokochać choć trochę. Nie pokochał. Tak więc, zmęczone rozrywkami w rodzaju rzezuchy i harf z wielorybiej kości, zostawiłyśmy kogutki i ruszyłyśmy na południe. Nie zmierzałyśmy do Adżanabh, ale wcześniej czy później większość ludzi o pewnym charakterze właśnie tutaj trafia. W mieście artystów i złodziei czuję się jak u siebie, a Godzina naprawia zegary. Jestem dobrą matką; nakręcam ją codziennie. Jest dokładna i perfekcyjna, dzięki niej dzwony Adżanabh są dokładne jak wschód słońca i nigdy nie zawodzą.

Stara wynalazczyni ujęła rękę Godziny, która wyglądała jak wycięta z metalowej pięści żołnierza, i poklepała ją czule, gestem babci dumnej ze swego najmądrzejszego wnuka. Automat ukląkł z dziwnym, niezdarnym wdziękiem i położył głowę na jej ramieniu. Moja matka miała rację. Wszystkie cuda Adżanabh rodziły się w tej małej chacie.

Zrobiły również moje ręce. Zgodnie z sugestią Godziny, wymodelowały dziesięć długich smyczków z pięknego drewna,

czerwonego i ciemnego, a w każdym pręcie Folio umieściła pasmo swoich szorstkich włosów i strużkę żywego srebra. Napięła na nich nie zwykle końskie włosie, lecz posłała chłopca z monetą, by znalazł pana cyrku i poprosił go o włosy syreny, która zmarła na podagrę. W końcu dziesięć smukłych smyczków leżało na stole, światło pochodni pełgało po ich polerowanych powierzchniach.

– Nie jestem muzykiem, ale przypuszczam, że są to najpiękniejsze smyczki pod słońcem.

Byłam w owych czasach nieco głupsza niż teraz, więc nie całkiem rozumiałam, co zamierzała. Folio zaśmiała się z mojej zakłopotanej miny.

– Czy matka nie czytała ci historii o dziewczynkach, które zawierają umowę z diabłem, żeby dostać skrzypce? Opowiadałam ich mnóstwo Godzinie. Co zatem mamy sądzić o diable, który zawiera umowę ze starą kobietą? Myślę, że powinniśmy powiedzieć, iż wszystko, co warte zrobienia, warte jest przelania krwi.

Folio położyła moją rękę płasko na stole i delikatnie zacisnęła imadło na nadgarstku, żeby ją unieruchomić.

– Przykro mi – powiedziała Godzina, szcękając i terkocząc – to będzie bardzo bolało. Jak wtedy, gdy matka dała mi nową rękę w miejsce skrzydła.

Była krew, mnóstwo krwi, i odrobina ognia, ale niewiele, bardzo niewiele.

OPOWIEŚĆ O KLATCE Z KOŚCI SŁONIOWEJ I O KLATCE Z ŻELAZA, CIAĞ DALSZY

Zerwałam persymonę z drzewa i przypiekłam ją lekko dla niej na moim kciuku. Agrafena uśmiechnęła się pięknie, jej zęby lśniły trochę pomarańczowo – a może tylko ja życzyłam sobie, żeby tak je widzieć. Pozwoliła mi nakarmić się owocem z brązową, pokrytą bąbelkami skórką, gdyż jej ręce były niedelikatne.

– Wzięła moje stare skrzypce w zapłacie – powiedziała Agrafena, kiedy przełknęła ostatni kęs. – Skrzypce z lawy i ognia, które, jak miał nadzieję mój dziadek, będą mi służyć do końca moich dni. Przyglądałam się, gdy przekładała ogniście niebieski włos do dziwnego mechanizmu, który pozwalał Godzinie mówić. Wyjęła go – Godzina była niema przez wiele dni – i otworzyła na warsztacie, rozwijając ukryty wewnątrz sznurek. Wyglądało to jak pozytywka wykonana z czerwonego grzebienia kogutka. Ale głos Godziny brzmiał potem znacznie lepiej.

Wstałyśmy i poszłyśmy dalej w głąb miasta, ulice biegły w dół, jak woda spływająca w kierunku ścieku.

– Moi rodzice byli przerażeni, moi dziadkowie ryczeli z zachwytu, ognista broda dziadka nigdy nie była taka jasna. Ale

stwierdziłam, że jeśli nie gram codziennie, jeśli nie tańczę, jeśli nie nacieram włosów olejem i nie zacieśniam rzemieni, które wiążą moje palce z rękami, trzęsę się i drzę jak głodujące zwierzę. Zaznawałam spokoju tylko w czasie gry, tak więc poszłam do miasta, gdzie grający potwór może zarobić na kolację. Taki jest los demonów, które zawierają umowę, żeby dostać skrzypce. – Patrzyła przed siebie, w mroczną dal. – Bazylia umarła pierwsza. Jest bardzo delikatna. Rodzice zajęli się uprawą dzikich ziół pod Urimem, a ja zostałam. Zostałam z Adżanabh, by patrzeć na jej śmierć i trzymać jej starą czerwoną głowę w ramionach.

Szliśmy przez część miasta, która jednocześnie była olśniewająca i nędzna, roziskrzona i rozdarta. W każdych drzwiach wisiała zasłona ciemnoczerwona, fioletowa albo zielona, ozdobiona złotymi frędzlami. Za rozsuniętymi kotarami widziałam ozdobne kołatki, gryfy, jaszczurki, otwarte usta z językiem klapiącym o wargę. Ale aksamit był wyświechtany, nawet przepalony, frędzle się strzępiły, a pozłote kołatek starły niezliczone palce. Po każdym oknie spływała kaskada kwiatów, lili, róż i kapryfolium – i każdy kwiat był zwiędnięty i spłowiwały, brązowe płatki leżały na parapecie. Powietrze przepełniał zapach martwej słodyczy. W całej dzielnicy wibrowały trele, arie, gamy wyśpiewywane przez tenorów i mezzosoprany, potężne głosy, od których pękają kielichy w salonie.

W miejscu, gdzie droga się rozwidła, był niewielki plac, stała tam scena z wysokimi słupkami i szachownicową podłogą. Wzdłuż tylnej krawędzi falowały długie pasy turkusowego atłasu, wyobrażające morze, a na nich kołysał się rzeźbiony czerwony statek. Jedwab był poprzecierany i statek już stracił

jeden maszt, ale w blasku pochodni ledwo to było widać. Na scenie dwóch mężczyzn śpiewało tak, jakby pękały beczki, ich głosy wybijały dziury w nocnym powietrzu. Choć nie dostrzegłam widowni, chór w kulisach spiesznie wciągał trykoty i różował policzki, niecierpliwy i podekscytowany.

– Dla kogo występują? – zapytałam.

Agrafena uśmiechnęła się smutno.

– Nie ma widowni w mieście Adżanabh. Wszyscy gramy, wszyscy patrzymy. Pomimo to ważne jest, żeby przedstawienia rozpoczynały się o określonej godzinie, żeby wykonawcy nie fałszowali, żeby rzeźby oddychały jak żywe. To Opera Getta – biedacy, wystawianie oper zawsze wiązało się z dużymi kosztami. Ja mogę grać moje pieśni, kiedy tylko zechcę, ale skąd oni wezmą róż? Skąd wezmą nowe buty dla baletu? Są jednak dzielni i wierni, co wieczór dają przedstawienia, a dwa razy w tygodniu odbywają się popołudniówki. Są wierni jak mężowie.

Patrzyłyśmy na maleńką operę przez jakiś czas. Kobiety tańczyły jak żadne, które dotąd widziałam, spódniczki z papuzich piór miały wyliniałe, parę pasm błękitu i zieleni wlokło się za nimi, gdy skakały po scenie. Dziewczyna na szczudłach, z rogami na głowie, obejmowała wysokiego tenora z dziwną foczą głową bez jednego oka, i czułam wstyd, oglądając ich namiętność. Choć to z pewnością niemądre, chciałam dać im trochę spokoju i odrobinę prywatności, więc wbiłam oczy w proscenium, podczas gdy sopran dziewczyny płynął spiralnie w bezksiężycową noc wraz z iskrami z pochodni.

U stóp sceny piętrzył się niewielki pagórek zwieńczony kamienną tabliczką, zaśmiecony kłęczami imbiru, bukiecikami fiołków, kartkami nut spalonych na skrajach i atlasowymi

sznurówkami baletek. Kiedy przyglądałam się temu malutkiemu monumentowi, przedstawienie dobiegło końca i tancerze zeskoczyli lekko ze sceny, by udać się do domu, ostrożnie zgarniając róż do drewnianych garnczków, chowając go na następny występ.

Tenor usiadł na brzegu sceny i uśmiechnął się do nas pod głową z papier-mâché.

– Przyprowadziłaś kuzynkę ze wsi, żeby pokazać jej widoki, Agrafeno?

– Raczej nie. I zdejmij tę głupią głowę, Arioso. Nigdy nie lubiłam tej historii.

Zdjął z ramion foczą głowę i odrzucił ją na bok. Kilka wąsów upadło na scenę. Pod maską miał głowę wielkiego niedźwiedzia brunatnego z żółtymi zębami i rozdartym uchem. Wstrzymałam oddech.

– Nie rób takiej zaszokowanej miny, spalona twarzy. Głowa to głowa. – Podniósł ręce do brody i zdjął niedźwiedzi łeb, pod którym miał klekoczący dziób pelikana. Kracząc radośnie, złapał ptasią głowę za worek pod dziobem. Pod nią kryła się przystojna twarz młodego człowieka z wyrysowanymi ołówkiem brwiami, w kędzierzawej białej peruce. Bezceremonialnie ją zerwał. Teraz miał porośniętą lśniącym futrem głowę szakala z małym czarnym nosem, długimi uszami i bardzo groźnymi szczękami. Czekałam, ale tej nie zdjął.

– To wszystko? – zapytałam.

– Może – odparł, wciąż uśmiechnięty.

– Nie mamy na to czasu – zniecierpliwiła się Agrafena. – Chodź, Oparzona, noc nie trwa wiecznie, nawet tutaj.

– Czekaście, czekaście! – krzyknął człowiek z głową szakala, zeskakując ze sceny. – Ona patrzyła na grób! Chce znać

opowieść! Czuję to w obarczonych biletami kościach. Minął długi czas, odkąd rozmawiałem z kimś, kto nie zna każdego libretta i każdej partytury. Agrafeno, nie możesz zachować jej tylko dla siebie!

– Ja znam każde twoje libretto i każdą partyturę, Arioso, a poza tym wiem, że armia obozuje tej nocy za Symeonem, armia, do której ona niedawno należała. Czy teraz zostawisz mnie w spokoju?

– Armia? Pomyśl o pełnej widowni!

Spojrzenie skrzypaczki uciszyło go tylko na chwilę.

– Moja droga, odstęp mi ją na chwilę. Nie bądź samolubna! Czy wiesz, dymnokostna, dlaczego pola umarły? Opowiem ci...

– Pola umarły, ponieważ były wyciskane do sucha stulecie po stuleciu – burknęła Agrafena, drapiąc się po łopacie długim, smukłym smyczkiem.

– Ha! – Jego szakali pysk płonął z ochoty, różowy język wysuwał się i chował. – To ty mówisz! Ale czy opera mogłaby powstać na takiej podstawie? Nigdy nie przepadałem za weryzmem. Pozwól, opowiem jej lepszą opowieść, opowiem jej o księżnych...

OPOWIEŚĆ O DWÓCH KSIĘŻNYCH

W dawnych czasach, kiedy palmy były zielone i wysokie, a szafranowe nici wszywano w fartuszki dziewcząt jeszcze z mlekiem w oddechu, Adżanabh było księstwem. Nic dziwnego! Żadne miasto tak absurdalne, urzekające i barbarzyńskie jak nasze nie zniosłoby króla. Tak się składa, że księżęce córki prędzej gubią się w zaczarowanych lasach albo trafiają w rozbitych okrętach na groźne wyspy. Księżę lepiej wyraża adżański charakter niż zdziecinniały król z koroną kolebiącą się na łysej głowie.

Tak się stało, że księżę miał piękną córkę, jak to u książąt bywa. Jej włosy były złote jak pierś koguta, jej oczy bardziej błękitne niż wody zatoki. Wyglądało na to, że żona księcia była cudzoziemką, ale nikt nigdy jej nie widział. Księżę mówił, że zmarła w połogu, a ponieważ zdarzało się to dość często, nikt niczego nie podejrzewał. Dziewczynka miała słodkie różowe policzki i śmiech jak srebro spadające z ust wróbla, i wszyscy ją kochali. Nazywała się Ulissa.

Tak się stało, że w biedniejszych dzielnicach Adżanabh, w błotach nad Vareni, która płynie przez lewą stronę miasta niczym łyż olbrzyma, urodziło się inne dziecko na najniższym piętrze czerwonej, dziobatej kamienicy, w suterenie, gdyż najwięksi nędzarze mieszkają pod ziemią. Ta dziewczynka też miała złote włosy i oczy jak skrzące się w słońcu morze, i

śmiech jak złote monety spadające z ust gwarka, i wszyscy w tej smutnej małej czynszówce ją hołubili. Nazywała się Orfea i wyglądała jak lustrzane odbicie córki księcia, choć jej matka była tylko szwaczką z igłami w ustach i z brudnymi jasnymi włosami przylepionymi do spoconych szerokich policzków, a ciało matki Ulissy zostało przeniesione ulicami w zamkniętej trumnie z macicy perłowej. Nie myśl, że to dziwne, bo w teatrze często widzimy podobne rzeczy i nikt się tym nie ekscytuje.

Gdy dzieci podrosły, Vareni płynęła gęsta i bogata jak czynsze. Ulissa miała najlepsze guwernantki, uczące ją gry na klawesynach, a Orfea śpiewała własne piosenki o poranku, składając suknie matki, i obie były szczęśliwe. Oczywiście Ulissa śpiewała piękniej od każdego fletu i marzyła, żeby chodzić po scenie wysadzanej szkłem zamiast rubinów, i śpiewać o nieszczęśliwej miłości, o poskromionych niedźwiedziach i o życiu na morzu. Wyśpiewywała arie, aż ojciec ją błagał o trochę spokoju, bo nie pochwalał opery, i nawet wtedy szeptała je do siebie pod kocami. I oczywiście Orfea, która szyła stroje dla innych od świtu do nocy, marzyła, żeby mieć dość jedwabiu i lamówki, by uszyć coś dla siebie. Ale nawet ścinki były zbyt piękne i cenne dla młodej dziewczyny, i matka odsprzedawała je na targu, żeby kupić mleko. Orfea, szybka i bystra, łapała szkodniki w kamienicy i obdzierała je ze skóry, gotowała potrawkę z myszy i potrawkę ze szczurów, potrawkę z kretów i potrawkę z oposów, potrawkę z pręgowców i potrawkę z łasic. Jej najlepsza suknia ze skórek łasicy była bardziej miękka niż wszystko, co uszyła jej matka.

A kiedy dojrzały jak dwa łabędzie z szyjami wygiętymi w kształt serca, przypadkiem spotkały się na drodze, Orfea szła z

koszykiem na targ po kurkumę i borówki, a Ulissa oddać do naprawy swoje najlepsze pantofelki.

Czy nie widzisz tej sceny odegranej i odśpiewanej w odpowiednich kostiumach? Dwa soprany w złotych perukach! Cudowne popisowe partie! Ruchome dekoracje! Wystawiamy „Dwie księżne” raz w roku na ich cześć – musisz przyjść!

Tak to było – i musisz w wyobraźni zobaczyć Ulisę w gronostajach i w czarnym gorsecie, z małą koroną z plecionego srebra na pluszowej niebieskiej podszewce, i Orfeę w lachmanach, z gołymi pulchnymi łydkami, z bosymi, pokornymi stopami! Musisz sobie wyobrazić, jak obie upuściły koszyki w zdumieniu, jak dotknęły wzajem swoich wyjątkowych loków, jak krzyknęły z zachwytu!

– Mogłabyś być moim lustrem chodzącym po ulicy jak dziewczyna! – krzyknęła Ulissa.

– Dlaczego ja miałabym być twoim lustrem? Czy tylko dlatego, że ciebie stać na szkło? Mogłabyś być moim lustrem, i jak śmiesz paradować dumnie niczym ładacznicą, nosząc moją twarz?

– Zapomnijmy o wrogości – powiedziała córka księcia. – Pomyśl, jak dobrze możemy się razem bawić.

I postanowiły, że Ulissa pójdzie do dzielnicy nędzy i będzie śpiewać za kolację, a Orfeę będzie nosić gronostaje i koronkowe gorsety. Żadna nie była pewna, czy w nowym życiu będzie równie szczęśliwa jak w starym, lecz sztuczka wydawała się zbyt dobra, żeby nie odegrać jej przynajmniej raz, a poza tym Ulissa widziała wiele oper, w których takie historie kończyły się względnie dobrze. Raz w miesiącu spotykały się i zamieniały ubraniami, i Ulissa szła spocząć w ramionach matki Orfei o

szerokich policzkach, a Orfea szła do ojca Ulissy w białym płaszczu, na jeden dzień przed ponowną zamianą.

Przez długi czas obie były bardzo zadowolone z układu. Ulissa wybiła się szybko wśród aktorek na brzegu Vareni, bo miała złote włosy i niebieskie oczy, a nawet tutaj dobrze wiadomo, że taka powinna być pierwsza naiwna. Z powodu wyniosłej postawy i kulturalnego głosu zyskała sobie przydomek Księżna, i śmiała się do siebie co noc w nędznej izdebce, gdzie stały zakurzone flakoniki perfum, gdzie Orfea gotowała różane płatki i różowe owoce dzikiej róży, aż woda nasyciła się ich lekkim zapachem. Ulissa z uśmiechem dotykała buteleczek i myślała o swej dalekiej przyjaciółce.

Orfea natomiast uczyła się eleganckich tańców w bardzo eleganckich sukniach i choć bardzo lubiła księcia, uważała, że jest dziwny i ma smutne oczy. Nie śmiała pytać o złotowłosą kobietę, która kiedyś mieszkała w pałacu, ale na jej okrytym koronką stole stały flakoniki z kosztownymi olejami z wonnej żywicy, wody różanej i ambry, i dotykała ich w zdumieniu, myśląc o swej dalekiej przyjaciółce.

Co miesiąc spotykały się na dziedzińcu daleko od centrum wszystkiego, na placu zasłanym owocami persymony i łupinami kokosów. Orfea z radością brała w rękę suknię z łasicy i pomagała Ulissie włożyć czarne szaty, które tak bardzo lubiła, i ułożyć jej włosy pod błyszczącą siateczką. Ale pewnego miesiąca, gdy słodka mała Orfea biegła do domu, odziana w futra, myśląc o plackach gąsienicowych matki i kamiennej herbacie, usłyszała dziwny dźwięk w pobliskim zaułku i zatrzymała się, a tego dziewczęta nigdy nie powinny robić.

Słyszała klekotanie i szuranie, ćwierkanie i pojękiwanie. Przytrzymała bujne loki podbródkiem, zacisnęła pasek z ogona

łasicy i wyjrzała zza rogu – i ujrzała leżącego niezdarnie bazyliuszka z zakrwawioną złowrogą głową. Szybko schowała się, bo nawet biedne dziewczęta słyszą różne opowieści i nasza Orfea dobrze wiedziała, że spojrzenie bazyliuszka przemieni ją w kamień. Ale, och, lekkomyślna Orfea! – znowu musiała spojrzeć, żeby mieć co opowiedzieć matce, żeby mieć co opowiedzieć przyjaciółce, która dobrze знаła wszystkie cuda rezydencji księcia i niczego nie pragnęła mniej niż słuchania po raz kolejny, że jej pantofelki są o niebo lepsze od butów biedaka.

Mniejszy niż sobie wyobrażała, wielkości żbika albo dużego prosiaka, wyglądał jak wąż z czterema nogami, porośnięty piórami koguta, czarnymi, czerwonymi i bładozłotymi, z pyskiem wykręconym w łuszczący się, zielonkawo-brązowy dziób. Na głowie miał żelazną mitrę, która musiała strasznie cisnąć, bo dziewczyna widziała strumyczki krwi zaschnięte wokół metalowych opasek. Stwór z jękiem czołgał się wokół ostrego zakrętu, szczękę miał złamaną i pokrytą strupami. Jego stopy były czerwonym piaskowcem, dziobatym i podrapanym, tym samym kamieniem, który tworzył ulice, chodniki i dzwonnice miasta. Zgrzytały na bruku, od czasu do czasu krzesząc iskry.

Dobrze wiadomo, że młode kobiety ze złotymi lokami i niebieskimi oczami są obciążone pewną fatalną niewinnością. W Adżanabh przeważa kolorystyka ciemna i miedziana, więc nie brakuje tu bystrych, przebiegłych dziewcząt. Jasnowłosa Orfea, zdjęta litością, zmuszona przez wewnętrzną pieśń niesłyszalną dla tych ciemnowłosych, z krzykiem podeszła do biednego stworzenia – wyobraź sobie arię wznoszącą się

wysoko i żałośnie! – zamknęła je w ramionach, obluzowała mitrę i pogładziła złamaną szczękę.

Stworzenie spojrzało z grozą i wytrzeszczyło oczy, wpatrując się w nią ze wszystkich sił. A jednak Orfea żyła, ciepła i słodka.

– Dlaczego nie obracasz się w kamień? Masz natychmiast obrócić się w kamień! – ryknął bazyliszek. Jego głos był szorstki i chropawy, jakby z czerwonego piaskowca.

Orfea zmarszczyła delikatne czoło.

– Właściwie się na tym nie znam, ale czy brak mojej przemiany wyrządza ci krzywdę? Mogę oczyścić twoje rany i postawić cię na nogi. Zszywanie ciała jest proste jak szycie organdy.

Bazyliszek obwąchał ją od szyi po kostkę i wzdrygnął się, gdy jego dziób zahaczył o rąbek sukni.

– Jakie stworzenie ubiera się w skóry łasicy? Jestem przekonany, że nie jest to ostatni krzyk mody – wymamrotał. Dziewczyna rozumiała go dość dobrze, bo wiele jej przyjaciół i wujów z wysokich kamienic często się upijało i mamrotało jak okaleczony bazyliszek.

– Nie jestem modna. – Wzruszyła ramionami.

– Łasica jest wrogiem bazyliuszka, odwiecznym i przyszłym. Tylko gęstość sukni chroni cię przede mną.

– W takim razie cieszę się z tego i pomogę ci dojść do siebie. Ale co ci się stało, biedna bestio?

Bazyliszek wywinął się z ramion Orfei, skubnął ją lekko, tylko na próbę, żeby zobaczyć, jak smakuje, i westchnął z rezygnacją. Smagając boki ogonem w dziwnie koci sposób, zaczął opowiadać, żałośnie wywijając kamiennym językiem.

OPOWIEŚĆ O JĘZYKU

Język bazyliuszka jest cenny – cienka warstewka skóry, cieńsza niż kartka manuskryptu, skrywa mięsień z ognia, i nim polujemy, i jemy smakowite kury, morskie ptaki i śliczne małe zięby. Możesz myśleć, że zjadanie kur jest podłością ze strony bazyliuszka, ale będziemy jeść, co chcemy, i jeśli zapragniemy ciebie, biada twoim kościom! W krainach, gdzie słońce jest gorętsze niż potrójnie kute ostrze, a ziemia wyschnięta jak gardło, nawet najmniejsze dziecko wie, że bazyliuszki narodziły się, gdy kura o ciepłych, złotych piórach zobaczyła lęg jaj węża, których matka została pożarta przez barbarzyńską, niegodziwą, podłą łasicę, i w dobroci swego kurzego serca, siedziała na jajach, dopóki się nie wykluły.

Kury nie powinny wysiadywać jaj, których same nie zniosły. Jedna z małych bestyjek, z kawałkami skorupy wciąż przyklejonymi do łebka, natychmiast ją zjadła. A potem, będąc mądrą bestią, jęła szukać łasicy, która przeżuła kręgosłup jej matki. Ach, ale łasica jest szczwana, czyż nie? Mały bazyliuszek nie mógł jej dosięgnąć, gdy znalazł ją w brudnej dziurze, choć śmigał ognistym językiem, celując w jej ogon, sięgał dławiącymi pazurkami do puszystego gardła i patrzył, i patrzył, aż sama trawa obróciła się w kamień.

– Co złego zrobiłam?! – krzyknęła łasica, chytra oszustka. – Byłam głodna! Musiałam nakarmić dzieci!

Ale nie daliśmy się nabrać. Łasice mogą wydawać się słodkie – jak wiele innych stworzeń. Łasica zjadła naszą matkę, a przecież nasza matka musiała być wielkim wężem – krzyk: Biada i krzywda! A skąd wiemy, że łasica nam ją zabrała? – bo jej zielone mięso sprawiło, że wskutek jakiejś strasznej alchemii ciało łasicy stało się odporne na sztuczki jej dzieci.

Łasica jest nikczemna; my nie zapomnimy.

Tacy jesteśmy, opierzeni i łuskowaci, z rozkoszą zamieniamy żywe istoty w kamień i palimy ptaki na kolację w locie. Szukamy łasicy we wszystkich jej wstrętnych norach, ale w dzisiejszych zwyrodniałych czasach to bardziej hobby bazylišków niż misja, bo łasica szybko się rozmnaża i jest niegodziwa, a bazylišek mnoży się powoli i jest szlachetny. Zamiast z polowania, czerpiemy wielką radość z naszej sztuki – kto inny bowiem w szerokim świecie potrafi tworzyć lepsze rzeźby niż my, którym wystarczy spojrzeć na modela, by powstała jego podobizna w kamieniu, idealna i straszna?

Każdy z nas jest zdolny do tworzenia pewnego kamienia – pod moim okiem powstaje czerwony piaskowiec, choć tobie może wydawać się brzydki. W swoim czasie patrzyłem na królów i królowe, panny i młodzieńców, żołnierzy i rolników, na kukurydzę i pszenicę, gruszki i melony, na krowy o wilgotnych nosach, na kilka lwów i wiele jaszczurek, i na łasice, zawsze łasice, gdziekolwiek się skrywają. Uczyniłem z nich wiele pięknych dzieł, posągi z wróblimi gniazdami uwitymi w oczodołach, kamienne matki boleściwe, do których z daleka przybywają dzieci. Tylko łasica umyka mojemu spojrzeniu – ale może nikt nie powinien unieśmiertelnić szczura i tchórza.

Przywdziałem mitrę po wojennej wdowie, która podniosła w ramionach córkę na polu bitwy i płacząc ku niebu, podchwyciła

moje spojrzenie. Dzięki mnie stała się dziełem sztuki, a z nią jej krwawiące dziecko, i to prawda, co ci powiem, że nawet teraz stoi na błotnistym torfowisku jako posąg wojenny, a dzieci składają u jej stóp róże, szalotki i miętę. Moi bracia uznali, że postąpiłem szlachetnie i słusznie. Wcisnęli mitrę na moją głowę i, och, bolało, ale jakże dumny byłem tego dnia!

Dlatego też się nie bałem, gdy podeszły do mnie trzy kobiety, zasłaniając oczy i śpiewając pieśń żałobną. Chciałem zrobić z nich gracje i boginie oddane w piaskowcu, szkarłatne i lśniące! Jednak gdy podeszły bliżej, zmieniłem zdanie i postanowiłem uczynić je demonami, bo były strasznie pokaleczone i posiniaczone, piersi miały odcięte i obandażowane, czarna krew plamiła ich białe habity, ich włosy były kłębowiskiem wijących się węży, wycieńczonych, z rozwidlonymi językami spoczywającymi na ramionach ich właścicielek, z zieloną skórą miejscami chorobliwie czarną. Z ust każdej panny sączyła się na wpeł skrzepnięta krew. Nie patrzyły na mnie, bo były mądrymi pannami bez złotych kolorów. Mniejsza z tym – wciąż miałem język i na próbę wystrzeliłem go w stronę ich stóp. Interesuje mnie różnicowany smak ludzi, jak słyszałem, jest pod wieloma względami podobny do smaku łasicy. Cofnęły się szybko, jakby od pianistej ściany morza. Wciąż osłaniały oczy i nie chciały na mnie spojrzeć.

Potrząsnąłem piórami.

– Czego chcecie? jesteście mądre, więc możecie mówić.

Nie przemówiły. Zamknęły oczy i otworzyły usta, i zobaczyłem, że ich języki zostały odrąbane tak głęboko, że nie widziałem kikutów.

– Czy łasica wam to zrobiła? – zapytałem.

Należy tutaj przyznać, że my, bazyliuszki, specyficznie rozumiemy straszne czyny. Tylko łasica jest niegodziwa i tylko bazyliuszek jest szlachetny.

Pokręciły głowami i zadrżały. Wyjęły ze spódnic lusterko. Szybko się cofnąłem – ale ścigały mnie z tym maleńkim szkiełkiem i podchwyciłem swoje oko na brzeżku. Tylko jedno oko, bo lusterko było małe i nie mogłem zobaczyć się cały. Mimo to wrosłem w ziemię i czułem zaczątki kamienia łaskoczące mnie w pazurach. Znasz to uczucie, jakby stopy zasypiały, krew kłuje, uciekając w miejsca, skąd nie można jej przywołać. Patrzyłem na swoje jedno obracające się w szkle oko, na tęczę i białko, i nie mogłem oderwać wzroku.

I gdy tak stałem, wycięły mi język z głowy, po czym, krwawy i ociekający, wepchnęły w jedno z czekających, pustych ust.

OPOWIEŚĆ O DWÓCH KSIĘŻNYCH, CIAĞ DALSZY

– Bardzo boli – jęknął bazyliszek. – Krwią i ogniem rzygałem przez wiele dni, czując w ustach śliski smak własnego języka. Wreszcie znalazłem drepczącą jaszczurkę i choć nie było w tym sztuki, przemieniłem ją w kamień i zabrałem jej język, który stwardniał w piaskowiec, gdy zamknąłem go w dziobie. Ogień wciąż obecny w mojej krwi stopił kamień z ciałem, lecz połączenie jest słabe. – Przesząpił z jednej kamiennej łapy na drugą. – To było dawno temu, ale wciąż krwawi. Kamień ociera skórę.

– Nikczemne kobiety! – krzyknęła Orfea. – Dlaczego zrobiły ci coś takiego? Z jakiego powodu?

– Wszystkie stworzenia mają swoje powody, których nie wyjawiają innymi stworzeniom. Ale późnym wieczorem zastanawiam się, czy nie były po części łasicami, z ukrytym futrem.

Czy nie widzisz tej pary, idącej w dziwnym przedwieczornym świetle, które jest takie sławne? Gdy chłodne błękity padają na szkarłatne kamienie, fleciści grają interludium w tonacji molowej i wszyscy mieszkańcy płaczą.

W późniejszych miesiącach Orfea omywała rany bazyliuszka i wcierała maść w miejsca, gdzie mitra pokaleczyła głowę, i oszlifowała gładko jego język na osełce w pobliżu stajni pałacu księcia. Z czasem książę zmarł, a jednak Ulissa nie pragnęła wrócić do pałacu, a Orfea nie pragnęła wrócić do matki. Tak oto Orfea została księżną z błękitną szarfą zwisającą z ramienia do biodra i z kościanym mieczem u boku.

A jednak księżna Adżanabh nie powiedziała swojej przyjaciółce Ulissie o bestii, pragnęła bowiem mieć coś, co będzie tylko jej, czym nie musiałaby dzielić się z piękną sopranistką, której sława rosła i rosła, gdy śpiewała największe arie napisane na scenę: Sigridy, Zmiei, jabłkowej, Diamentu – partia Diamentu jest cudnie smutna, ale tylko najwytrawniejsi słuchacze mogą słyszeć najwyższe tony. Dwie kobiety były sobie drogie jak dukaty, ale każda chowała jakąś tajemnicę, i podczas gdy Orfea miała okaleczoną bestię, Ulissa miała chłopca rzeźnika, który co wtorek robił dla niej pasztety i kiedyś tylko dla niej zabił jelenia.

Bazyliszek wciąż był zafascynowany uporem, z jakim Orfea odmawiała przemiany w kamień. Z początku próbował ją zaskoczyć, ale zawsze była ostrożna i nosiła suknię ze skóry łasicy, i choć zapach skóry go martwił, nauczył się wykrywać jej zapach pod zapachem wroga, coś jakby lilie zmiażdżone pod kołami wozu. Po jakimś czasie już nie chciał jej posmakować i czekał, aż przyjdzie na dziedziniec pełen persymon i kokosów, czekał i skakał w jej ramiona, kiedy przychodziła, tarzał się z nią w kurzu i gryzł ją żartobliwie po rękach. Opowiadał jej straszne, dziwaczne historie o występkach łasicy, o chwalebnym rodowodzie bazyliszków i o ich wielkich rzeźbach. Ona opowiedziała mu o swoich doradcach i zalotnikach w

jedwabnych zbrojach, i o flakonikach perfum, i ilu właścicieli miał przed nią jej miecz. Karmiła go świerszczami i wiewiórkami, a on raz kiedyś przyniósł jej kamiennego jelenia, tylko dla niej, z wysokim chropawym porożem błyskającym czerwienią.

Ale nawet te wesołe duety nie mogą trwać wiecznie – choć powinnaś usłyszeć naszego kastrata, gdy kreuje rolę chłopca rzeźnika! – i dzień wstał burzowy, z płaskim niebem, kiedy deszcz jest bliski, tak bliski, że czuć jego zapach, ale jeszcze nie przybył. Bazyliszek tarzał się na grzbiecie, wachając wiatr, który wonią mokrego błota zapowiadał nadciągającą ulewę. I kątem oka zobaczył kobietę biegnącą wśród drzew persymony, z rozwianym włosiem, złotym niczym jabłka, w sukni ciemnej, grubej i futrzanej, z zapachem wilgotnych lilii pod kołami wozu. Zachichotał w spiesznej radości i począpał w jej stronę ciężkim, niepewnym krokiem, stawiając kamień na kamieniu. Nie mógł jej dopędzić, a jej włosy droczyły się z nim, płonąc jasno wśród drzew niczym błyskawica w ciemnych chmurach.

Wreszcie nastąpił łapami na tren jej sukni i zahukał triumfalnie w swój gadzi sposób. Kobieta potknęła się i odwróciła, by na niego spojrzeć, by spojrzeć na to, co ją zatrzymało, złote włosy okalały jej twarz jak piękne futro – i przemieniła się w kamień. Możemy tylko wyobrazić sobie jej ostatni krzyk, głos, który rozjaśnia operę Adżanabh – a potem ciszę.

Bazyliszek był przestraszony i zbity z tropu. Kobieta wyglądała zupełnie jak Orfea, pachniała jak ona – ale gdzie jej suknia? Dlaczego nosiła gronostaje zamiast skór łasicy? Czy go nie kochała? Czy nie zwała go swoją najlepszą i jedyną bestią? Porzuciła go, zdradziła! Może już dawno zamierzała go odtrącić,

ale myślała o nim tak niewiele, że w końcu zapomniała. Zajmowała się sprawami księstwa i wcale jej nie obchodziło, jak bardzo za nią tęsknił. Co złego uczynił? Czymże ją obraził?

Zapłakał. Wył w burzę, aż truchlały grzmoty. Wykrzykiwał jej imię bez końca, ale nie przyszła. Jego łzy spływały ogniem w szczeliny bruku, gdy darł drzewa kamiennymi pazurami, aż ziemia zrobiła się mokra i śliska od spadłych owoców. Kochał ją, a ona na jego uczucie nie zasługiwała! Może to wcale nie suknia, ale ona sama, jej niegodziwe, łasicze serce uspiło jego czujność i uczyniło bezbronny, żeby mogła zajadać się jego kręgosłupem! Cóż, on jej pokazał!

Bazyliszek płakał. Kochał ją. Jadł z jej ręki. Mówiła mu, jacy głupi są zalotnicy, którzy przychodzą z kwiatami i baroniami. Gładziła jego głowę pod mitrą. On kładł jej głowę na kolanach. Teraz leżał na ziemi i zawodził z wściekłości, z żalu i z samotności, zawodził, aż kamienny język wypadł mu z ust i nie mógł zawodzić dłużej.

Trzymając rozpacz przed sobą jak lampę, bazyliszek opuścił miasto Adzanabh, i trzymając swój gniew przed sobą jak pikę, patrzył twardo na wszystko, co mijał: słupki płotów, stajnie, wiatraki. Liście bazylii. Zagony czosnku. Pola czerwonej papryki i czarnego pieprzu, pola zielonej papryki i różowej, i gaje cynamonowe, i pola kolendry, i pola szafranu, i farmy kminku, i słone równiny z kryształami jak twarde, kaleczący śnieg, i gorczycę, i krzaki pieprzu, i strąki wanilii, cienkie i ciemne na pnączach.

OPOWIEŚĆ O KLATCE Z KOŚCI SŁONIOWEJ I O KLATCE Z ŻELAZA, CIAĞ DALSZY

– Podobno gdzieś za spalonymi, kamienistymi polami Adżanabh jest czysty górski staw, nad którym kuca niezwykła postać: przerażający kamienny wąż pokryty kamiennymi piórami, w mitrze na głowie i ze łzami w oczach, patrzący w wodę jak w lustro. To, co widzisz u stóp sceny, jest naszym pomnikiem dla upamiętnienia największego głosu, jaki kiedykolwiek zaszczyił operę – Ulissy, która była podwójną księżną, słodkiej Ulissy zmarłej przez brak sukni!

Arioso zakończył opowieść z wymyślnym, głębokim ukłonem.

– Wiesz, że to się nie stało. – Agrafena przewróciła oczami.

– Kto mówi, że nie? – oburzył się tenor o głowie szakala.

– Ja! Żaden bazyliszek nie mógłby zwarzyć każdego pola, a jednak wszystkie pola umarły.

– Ach. Ale systemy korzeniowe, moja droga, korzenie! Kamień się rozprzestrzenia, jeśli nawet nie można zobaczyć tego w więdnących liściach. I żaden ogród miasta nie został porażony, tylko szerokie, orane wołami pola. – Z satysfakcją skrzyżował ręce na piersi i zwrócił się do mnie: – Kiedy Orfea odkryła, co się stało – bo oczywiście to Ulissa skamieniała pod

wpływem jego spojrzenia, mylnie wzięta za swoją przyjaciółkę! Ach, czym byłby teatr bez takich tragicznych omyłek? – oszalała z rozpaczy za nimi obojgiem i za miastem, które zaczęło umierać. I może, tylko może, szalona księżna do dziś dnia wędruje po mieście, rozpaczając na brzegu rzeki! Czyż nie jest to cudowna opowieść?

Przytaknęłam.

– Jeśli skończyłeś, Arioso, musimy iść – powiedziała skrzypaczka.

– Tak, tak, do grzędy i rzeki. Zabierasz ją na nadrzeczną drogę, prawda? To najlepsza i najpiękniejsza trasa. Ale obiecaj, że wrócisz i w tym roku będziesz grać dla księżnej. Przysięgnij! Nikt jak ty nie zagra Lamentu Bazyliszka! I sprowadź swoją widownię – ona jest perłą pośród pustych rzędów!

Arioso cmoknął nas głośno w policzki, choć w moim przypadku jego całus przeszedł prosto przez dym, i wrócił na scenę, gdzie w miejscu pięknego morza podniósł się las z liśćmi z wyrzuconych wiosennych woalek dam.

Agrafena rzeczywiście zaprowadziła mnie na brzeg rzeki Vareni, która płynęła przez zakątki miasta, wcinając się głęboko w warstwy ulic, jakby Adżanabh istniało od zawsze, a spóźnialska rzeka musiała wgryzać się w aleje i bulwary zamiast we wzgórze i góry. Ulice biegły wzdłuż wody niczym podcięte urwiska, ich spodnie strony wyginały się ostro nad nurtem. Niżej leżące uliczki dawno temu rozpadły się w małe czerwone delty, gdzie na ruinach czegoś, co kiedyś mogło być sklepami, stały rozklekotane chaty rybackie i domy dla ludzi obsługujących śluzy.

Woda Vareni, wartka i spieniona, mieniła się wszelkimi możliwymi kolorami. W Kaszu wszystko ma mniej więcej barwę ognia: przeważa czerwień, złoto, czern i biel, czasami błękit. Ale tutaj hucząca, falująca woda była różowa, szmaragdowa i kobaltowa, jaskrawożółta i idealnie czarna, biała, szkarłatna i pomarańczowa; widziałam indygo i srebro, złoto i błyskający turkus. Nawet w atramentową, bezgwiezdną noc kolory połyskiwały. Woda wirowała i burzyła się, wyrzucając tęczowe kropelki na nabrzeża i smukły pomost, bo Vareni to ciepła, rwąca rzeka, zdradliwa i głęboka.

Agrafena patrzyła na nią przez chwilę. Zaśmiała się z mojego zdumionego spojrzenia.

– Na północy jest Parafia Krawców. Przez stulecia płukali tkaniny w górnym biegu rzeki, po ostatnim farbowaniu. Wszystkie kolory ściekały do wody i choć teraz jest tam tylko jeden samotny pająk, który wciąż tka swoje suknie balowe, barwniki okazały się trwałe i Vareni jest kolorowa.

Zaprowadziła mnie wzdłuż nabrzeża do wysokiej, szczudłowatej wieży dzwonnej, która nie miała dzwonu, choć kilka podejrzanych kawałków brązu leżało rozrzuconych wokół podstawy. Zdawało się, że wewnątrz migocze ciepłe światło, ale nie mogłam być pewna. Woda jak krew lizała schody.

– Tutaj cię zostawię – powiedziała Agrafena, prostując włosy z boku głowy i grając parę powolnych, poszarpanych tonów. – Gdy zechcesz, znajdziesz mnie na moim dziedzińcu, i zaprowadzę cię do rąk Symeona.

Odeszła. Jej czerwona suknia się kołysała, jej stopy wybijały szybkie, taneczne kroki, gdy znikwała za smukłą kapliczką z wyważonymi drzwiami. Odwróciłam się w stronę wieży, grzedy, jak przypuszczałam. Vareni pachniała rybami i

płótnem. Drzwi były nie więcej jak rozdziawionym łukiem. Wsunęłam się za nie i popłynęłam w górę długich, kręconych schodów, wlokąc za sobą dym niczym cień.

W pokoju na szczycie wieży w świetle własnych płomieni ujrzałam wielką klatkę z kości słoniowej, spaloną na czarno przez płonący ogon ptaka ognistego. Ptak spał ze skrzydłami rozłożonymi delikatnie nad dziewczynką, która wyciągała i podkuła leniwie palce stóp. Spała. Sufit wisiał wysoko nad pękniętym hakiem dzwonu i do wieży wlewała się noc.

OPOWIEŚĆ O PUSTKOWIU, CIĄG DALSZY

Zawołowana kobieta położyła rękę na głowie lamparta. Wielka kocica wygięła kark na spotkanie z łuszczącą się dłonią i mruzczała, gdy Ruina drapała ją po uszach.

– Czy ona nie budzi twojej odrazy? – zapytała dzinnica Rozdarta.

– Ja też jej nie odstręczam. Jest moja. Smycz działa w obie strony. I jej ręka niewiele może mi zrobić po tym, co już zostało zrobione.

Zaskakująco zwinna, Rozdarta sięgnęła miękkim, nakrapianym pyskiem w obszerne szaty swojej pani, wyciągnęła niewielką torbę i podniosła klapkę, po czym ostrożnie wyjęła butelkę wody, parę pasków suszonego mięsa i kromki chrupiącego chleba. Ściągając wargi, żeby nie zmoczyć jedzenia, wsunęła je do klatki. Oparzona z wdzięcznością przyjęła poczęstunek, jednak odmówiła wody.

– Tego nie potrzebuję. Chcieli, żebym skonała z głodu, nie z pragnienia. My nie odczuwamy pragnienia. Czy ogień pragnie zostać ugaszony? Tak czy siak, to nie potrwa długo.

Lamparcica wzruszyła cętkowanymi ramionami. Wieczór był już głęboki, wiatr niósł gęsty zapach chwastów i mysich kości.

– To ciekawe, że mówisz o Adżanabh, był to bowiem dom mojej pani, zanim została porażona. Niewiele wie, co się stało, odkąd opuściła czerwone wieże dla czarnych iglic Urimu. Czy zdradziłaś swój lud? Czy zrobiłaś coś, żeby powstrzymać ich od szkatułki z krwawnika? – zapytała Rozdarta, poruszając wąsami.

Królowa dzinnów ściągnęła brwi, w jej okolonych oranżem zmrużonych oczach błysnęła złość. Potem się roześmiała, chrapliwie i szorstko, złote łzy błysnęły w kącikach jej oczu, gdzie ogień wyrysował filigranowe wzory, i pokręciła głowę.

– Ta głupia skrzynka. Gdyby tylko mi powiedzieli, co zawiera... Ale przypuszczam, że generałowie zawsze są głupi, niezależnie jak olśniewającą czeredą dowodzą. I nie, nie nazwałabym zdradą niczego, co zrobiłam, nie bardziej niż zdradą jest mówienie tylko najwyższemu dzinnom o prawdziwej naturze Kaszkasza albo przemilczanie przed królową spraw toczonych przez nią wojny.

– Nie chciałam cię obrazić – powiedziała Rozdarta.

Dzinnica popatrzyła gniewnie nie na nią, lecz na kobietę w czarnych woalach, która odpowiedziała spojrzeniem smutnych czarnych oczu. Ruina się nie poruszyła i po długiej chwili Oparzona westchnęła.

– Myślę, że ty i twoja pani jesteście niecierpliwe. Dojdę do skrzynki i klatki w swoim czasie, jeśli pozwolicie mi meandrować w adżańskich zaułkach mojej opowieści...

OPOWIEŚĆ O KLATCE Z KOŚCI SŁONIOWEJ I O KLATCE Z ŻELAZA, CIAĞ DALSZY

Podłogę klatki zaścielały poduszki ozdobione frędzlami i kosztowną złotą nicią. Dziewczynka, spoczywająca na pięknym błękitnym brokacie, obróciła się we śnie, naciągając skrzydło ptaka ognistego na ramię jak koc. Jego szyja obejmowała ją opiekuńczo, nastroszona i rozjarzona, jego dziób z polerowanego mosiądzu wystawał pomiędzy poczerniałymi prętami klatki. Drzwi były otwarte, a cała klatka pod wpływem oddechów obojga kołysała się na ramie, która utrzymywała ją wysoko nad zakurzoną podłogą.

– Halo? – powiedziała cicho, lecz mój głos odbił się jak wrzask od czerwonych ścian. Ptak się poruszył i leniwie otworzył oczy, jego migoczące powieki opadały. Dziewczynka jęknęła cicho i ptasi opiekun ją uciszył.

– Spij, gołąbko, to tylko dzinn przyszedł zobaczyć się z tatą.

Jej głowa opadła na poduszkę i niebawem z klatki popłynął zadowolony oddech śpiącego dziecka.

Ognisty ptak delikatnie odsunął się od śpiącej i wyskoczył z klatki. Był duży, wielkości młodego słonia, w znajomych barwach ognia: ciemnoczerwone i pomarańczowe pióra, a pod nimi kremowy, spalony do białości puch. jego ogon stał w

płomieniach – w przeciwieństwie do dzinnów, ptakowi ognistemu jedynie ogon naprawdę płonie – długie pióra, jak pawie, były zwieńczone jęzorkami ognia i pokryte misternymi, oślepiającymi wzorami. Gdy się zbudził, płomień zmienił się od słodkiego żaru do miękkiego ryku, i pomyślałam, że jest piękny, bo ogień, jak zawsze i wszędzie, przemawia do ognia.

– Musisz być cicho – powiedział. Jego głos był jak zielona gałąź spadająca w popiół. – Moja córka musi się wyspać.

– Twoja córka? Przecież jest człowiekiem!

– Sposoby świata są dziwne i urocze, moje małe krzesiwko. Ona jest moją córką, nie wątp w to.

– Symeon przysłał mnie do ciebie. Rozumiem teraz, o co mu chodziło: płomień jak mój własny.

– Dlaczego, u licha, miałby cię przysyłać? – Wielki ptak przekrzywił głowę, jakby przypatrywał się stosikowi nasion.

– Szukam szkatułki z krwawnika...

– Nie mam niczego takiego, ale jeśli chcesz się tutaj rozejrzeć, stąpaj po cichutku.

– Nie, nie. Na pewno leży w ukryciu. Symeon chyba pomyślał, że powinnam zobaczyć ciebie. – Spuściłam oczy, już trochę zawstydzona tym, co się działo na zewnątrz objęć Symeona. – Czy wiesz, że pod miastem stoją wojska? Zaatakują jutro albo pojutrze.

Ptak nastroszył pióra.

– Całe miasto nimi cuchnie. Nawet królowie i królowe się pocą, a ich miecze płaczą, i nawet teraz czuję zapach armat. Przyniosłaś na sobie ich błoto, więc mam wrażenie, że znam również ciebie. Jestem pewien, że Symeon chciał, żebym opowiedział ci wiele historii, bo może wyrobisz sobie o nas na tyle dobre zdanie, i nie pozwolisz wykurzyć nas jak szczury. Ale

nie jestem wcale pewien, czy mam ochotę na rozmowę z tobą, i zdecydowanie nic mi nie wiadomo o twoim śmiesznym pudełku.

– Proszę – szepnęłam. – Mam czas tylko do świtu. Byłam królową niedługo, tylko jeden dzień. To nie moja wina. Powiedz mi, dlaczego siedzisz w klatce z dziewczynką, a może w twojej opowieści znajdę szkatułkę.

Ptaka ognisty rozbłysnął. W końcu usadowił się na podłodze, jego płomieniste oblicze zawisło bardzo blisko mojej twarzy.

– Zgubiłaś się? – szepnął.

– Tak – odparłam z żarem.

– Biedne zagubione istoty są moją specjalnością...

OPOWIEŚĆ O PŁASZCZU Z PIÓR

Zwij mnie Latarnią – i nie śmieję się. Zawsze byłem łagodny, zawsze, jak słodki płomyk w szkle, nie drapieżna pożoga. Pożoga jest dla ciebie, dla twojego plemienia i dla waszej armii, i waszego przeklętego pudełka. Pożoga była dla niego.

Czarnoksiężnik trzymał moje pióro, gdy wleciałem do pokoju w wieży – wiedziałem, że tak będzie. Od lat czułem jego ręce na krańcach skrzydeł, czekające na chwilę potrzeby. Księżyc był rozcięciem na jego obroży, jasnym i ostrym, kiedy siadłem na parapecie. Potrzeba miała postać mężczyzny. Stał w kącie, z wielkim, okrągłym brzuchem pod wymyślnym płaszczem, żółtym jak żonkile o pierwszym wschodzie słońca. Miał złote epolety, złote cekiny, złote guziki i złoty pas, i wyłogi lamowane zielenią tak jasną, że męczyła oko, a do tego pończochy i buty na wysokich obcasach w tym samym kolorze. U jego pasa wisiał cienki, długi miecz z wdzięcznie wygiętym jelcem, obwieszony wstążkami – kosztowny, wytworny miecz, po którym każdy od razu poznaje, że właściciel nosi go od parady. Miał czarną perukę z lśniącymi puklami opadającymi do pasa i przysłaniał twarz kanciastą maską, pomalowaną złotem jak manuskrypt, z wachlarzami oszłamiających pawich piór, które odchodziły od pustych oczodołów, przyozdobione fioletowymi oczami. Usta maski były twardą, wąską szczeliną.

W zielonej rękawiczce trzymał worek przypraw tak bogatych i aromatycznych, że zwilżyły płótno i napełniały pokój uderzającymi do głowy zapachami.

– Słuchaj dobrze, moja młoda kuropatwo. To Kostia znad brzegu Vareni, on niebawem stanie się właścicielem twojego pióra. Musisz być grzeczną papużką i słuchać go, jak posłuchałeś mnie, frunąc tutaj w ciemności i zimnie, zostawiając płaczącą za tobą taką śliczną gąskę.

– Nie ma potrzeby się chełpić, Omirze – powiedział Kostia przez szczelinę w masce, głosem głuchym, ale śliskim jak węgorz i sugestywnym. – To biedne stworzenie. Jestem pewien, że jest wystarczająco nieszczęśliwe bez twojej pomocy. Zabiorę go, będę trzymał w suchym miejscu i karmił wieloma uroczymi rzeczami. Wszystkie myszy, jakie miałyby nadzieję pożreć, będą podane na talerzach ze szkła i złota. Chcesz tego, prawda, Latarnio?

Mężczyzna w żółtym płaszczu położył rękę na moim skrzydle, rękę, która jakby się wiła w rękawiczce. Zadrżałem, moje barwy rozbłysły ostrzegawczo i ze zmartwienia, błękit na bieli. Nic nie powiedziałem.

Targ został ubity i czarnoksiężnik wziął worek przypraw, z rozkoszą wdychając ich zapach. Kostia znad brzegu Vareni z tęsknym urywanym westchnieniem pogładził moje pióra, a potem otworzył drzwi wysokiej klatki z kości słoniowej i ruchem ręki kazał mi wejść do środka.

Co mogłem zrobić?

Droga do Adżanabh jest długa, a najlepszą drogą na skraj pustyni jest rzeka. Znając się z rzeką od dawna, Kostia wynajął okazałą barkę w kolorze dyni i złota, i ustawił klatkę na dziobie, skąd mogłem patrzeć na bulgoczące, spienione zielone wody

górskiej krainy. Barka zachwiała się pod moim ciężarem, ale wytrzymała bez większej skargi.

Rzeka była szeroka, szersza niż się spodziewałem. Widziałem zielone brzegi, oświetlone przez świetliki i upstrzone komarami, ale wcale nie były bliskie, a woda wokół barki pieniała się brązowo, pełna wodorostów. Obok mnie na pokładzie stał wielki szklany puchar przymocowany do mocnej drewnianej podstawki, a w pucharze pływała tłusta złota rybka, machając w wodzie cienkim jak woal ogonem. Jej łuski chwyciły rzeczne światło, jej czarne oczy mrugały powoli, jedno po drugim. Rżnięty kryształ przemieniał jej skórę w pryzmaty.

– Podoba ci się rzeka? – zapytała, puszczając bąbelki w wodzie. – Mogę pomówić z flisakami, jeśli prąd nie jest dość gładki.

– Ledwie czuję ruch rzeki – rzekłem ponuro. – O gładszy nie mógłbym prosić i nie prosiłem, i nie pragnę dotrzeć tam, dokąd płynie rzeka.

– Przykro mi. Taki los zwierząt, siedzieć w klatce i w kielichu, ilekroć nadarzy się ciekawski człowiek. To tragiczne, ale trzeba przyjąć filozoficzną postawę. Rzeka jest długa, szkło jest kruche.

Zgrzytnąłem dziobem.

– Adżanabh jest szeroki, a klatka jest mocna. Ryba pojaśniała. Jej łuski zamigotały z zadowolenia.

– Płyniesz do Adżanabh? Ja zabiorę cię tylko tak daleko, jak wędruje rzeka. Pięknie! Mam tam krewnych, wiesz.

– Cudownie. Mnie tam nie spieszo. Człowiek-paw w żółtym płaszczu mówi, że będzie mnie karmić myszami, ale myślę, że ktoś, kto chce karmić ptaki myszami, zaspokoiłby to pragnienie gdziekolwiek. Skoro chce zabrać mnie rzeką do miasta, o

którym ledwo słyszałem, będzie tam czekać na mnie coś więcej niż myszy.

– Rzeka w Adżanabh smakuje jak cukier palmowy! Uwielbiam wprowadzić te stare górskie szlaki, lecz kiedy noc jest ciemnoniebieska, myślę o Vareni, jak to byłoby znowu poczuć rzekę w ustach. – Obróciła się leniwie w wodzie, muskając szkło płetwami. – Codziennie rano wylewają mnie do rzeki i smakuję wodę – na tej wysokości ma smak zamrożonego mchu – smakuję nurt, jego głębokość i kierunek, znajduję bezpieczny kanał, sprawdzam, czy pstrągi składają ikrę w tym miesiącu. A potem zgarniają mnie z powrotem do kieliszka i kreślą kurs przez smaki rzeki.

– Mogliby dać ci większy kielich.

– Ludzie nie liczą się z innymi. Z pewnością wierzą, że mój kieliszek do wina jest oceanem zamkniętym w szkłe. Ale jestem pilotem tej barki i nic nie zrobią beze mnie. – Jej twarz, na ile to możliwe w przypadku rybiej twarzy, zrobiła się psotna i chytra. – A kiedyś byłam smokiem.

Roześmiałem się. Dźwięk poniósł się nad wartką wodą.

– Musiałaś być najmniejszym smokiem na świecie, jaki kiedykolwiek zerwał pazurami panieński fartuszek.

Poczerwieniała ze złości.

– Nie śmieć się! Byłam smokiem! I to większym niż ty, znacznie większym...

OPOWIEŚĆ RZECZNEJ PILOTKI

Urodziłam się z ikry złożonej w poskrzypującej śluzie tej rzeki. To był przypadek – woda wiruje w górę, woda wiruje w dół i za każdym razem wiry zasysają garść złotych piegów, które giną pod śliskimi od glonów murami. Jesteśmy dziećmi śluzy; ja i wszyscy moi bracia zwiemy się Śluza. Jest to dezorientujące tylko w okresie tarła.

Tutejsze góry garbią się i wyginają niczym ramiona starych ludzi, i wszędzie są chmury, mgły i drzewa schylone nad wodą tak nisko, że gałęzie rosną i rosną pod maleńkimi falami, aż dno rzeki przemienia się w splątana gęstwę, która młóci błoto liśćmi. Woda jest zimna i szybka, a tam, gdzie lód pełznący po piasku chwytą kłaniające się drzewa, zostawiając tylko sam środek rzeki do ucieczek i pościgów, jest wodospad.

Właściwie nie wiem, gdzie pierwsza złota rybka usłyszała, że ten wodospad jest czymś więcej niż niepotrzebnym spadkiem w dole rzeki. Ale plotka wśród nas rozchodzi się szybko, taka już rybia natura. Pewien jegomość o czerwonych płetwach usłyszał plotkę szeptaną przez pstrąga, który usłyszał od szczupaka, który zyskał potwierdzenie od kościstego suma, który jak urzeczony wysłuchał klekoczącego języka orłoryby, która wiedziała, że węgorz, będący pod wrażeniem przygód okonia, nigdy nie kłamie. I wszyscy zgodnie twierdzili, że jeśli złota rybka zdoła przeskoczyć ten wodospad, stanie się smokiem.

Wielu Śluzów nie dawało temu wiary. Cóż za niedorzeczny pomysł! Smoki lęgną się z jaj i z ognia w dalekich krajach, o których żadna kulturalna ryba nigdy nie słyszała, a poza tym kto w dzisiejszych czasach widział kiedy smoka, kto słyszał plotkę o dymie czy osmalonych dziewicach zanurzających dla ochłody przyczernione włosy w rzece? Ale, z drugiej strony, Śluzowie rodzą się z dala od innych złotych rybek i są krnąbrnym, zawziętym plemieniem. Popłynęłam ze złotą rybką, która urodziła się na otwartej wodzie, do stóp wodospadu, by patrzeć w mgłę i spadającą łoskoczącą wodę. Zastanawiałam się, czy złota rybka mogłaby skoczyć tak wysoko, czy któraś tego dokonała, jak to jest mieć twarde zielone łuski zamiast miękkich złotych, jak to jest ziać ogniem. Czy dławisz się własnym dymem? Czy parzy cię w język? Jak smakuje ogień? Gromadziliśmy się w pomarańczowych, białych i czerwonych ławicach i zachodziliśmy w głowę, jak to byłoby latać.

Słyszeliśmy, że smoki miały skrzydła. Samogłowy i sandacze zapewniały nas, że w swoim czasie widziały setki smoków i każdy miał piękne pierzaste skrzydła, czasami brązowe, ale częściej w cudacznych kolorach, jak nasza skóra. Były pełne wdzięku, robiły pętle i korkociągi w powietrzu, smakowały wiatr, jak my smakujemy wodę, i wszyscy, dosłownie wszyscy wiedzieli, jakie piękne są smoki. Latanie to jakby długi skok, wyjaśnił samogłów. Jeśli zdołasz przeskoczyć nad wodospadem, będziesz się wznosić coraz wyżej i kościane skrzydła wyrosną z twojego grzbietu jak wędki.

To nam się spodobało, nam, małym, niczym się nie wyróżniającym rybom, znanym tylko z koloru, który jest przecież od nas niezależny. Chcieliśmy fruwać i palić rzeczy

naszym oddechem! Co powiedzieliby rybacy, gdybyśmy zostali smokami i mogli przypiec ich z całej siły? Gdybyśmy mogli włożyć ich dzieci do szklanych misek i karmić je, czym sobie życzymy – albo nie karmić wcale, jeśli to nas bawi! – i śmiać się, jaki mały będzie dorosły człowiek, jeśli wychowasz go w misce i nigdy nie wypuścisz, nawet na święta. Niewiele mieliby do powiedzenia, zgodziliśmy się. A gdyby mieli, my byśmy ich nie słuchali.

Ale jak tego dokonać? Machaliśmy ogonami u stóp wodospadu i patrzyliśmy na omszałe skały. Były takie wysokie. Niektórzy próbowali; codziennie parę złotych rybek zbierało się na odwagę, prężyło mięśnie w ogniu i wyskakiwało z wody jak płonąca strzałka, wyżej i dalej niż jakakolwiek złota rybka wcześniej – i zawsze spadały do piennej sadzawki, nie zbliżając się do progu i będąc dokładnie takimi samymi złotymi rybkami jak przed chwilą.

Naturalnie zastanawiałam się, czy Śluzowie mogą być lepsi. Codziennie walczyliśmy, żeby zostać w naszych domach, gdy woda wypływała. Pływaliśmy pod zasysający prąd, mieliśmy sprężyste złote mięśnie i byliśmy więksi od innych dzięki naszej bezustannej walce. Ale dziecko kocha pierś swojej matki i my kochaliśmy śluzę.

Podjęłam próby w nocy, kiedy inni żerowali, żeby nie wstydzić się upadku. Skakałam wysoko, wyżej niż każdy z nich i z każdym skokiem próg był coraz bliższy moim płetwom. Czułam smak wiatru i wewnętrznego ognia, pęczniejącego i gotowego. A potem, pewnej nocy, kiedy nikt nie patrzył, i nawet węgorz i orloryba węszyli w mule, skoczyłam, machając w powietrzu ogonem jak wedle moich wyobrażeń macha się skrzydłami ze skóry – i przeskoczyłam nad wodospadem.

Spadłam z wielkim pluskiem w górze rzeki i musiałam szybko odzyskać równowagę, żeby nie spłynąć z powrotem. Byłam niezdarna w wodzie, miotałam się jak nigdy dotąd – rybi instynkt pływania jest taki, że przez całe życie nie musimy używać zastępczego słowa za „pływanie”. Nie ma potrzeby. Wciągnęłam się na gałąź pochyłego dębu i leżałam, sapiąc, na ziemi, powietrze paliło mnie w piersi, bezskrzelnej, bezpłetwej i bezzłotej, kaszlącej, plującej i zimnej.

Byłam smokiem.

Ale jakim smokiem! Szkoda mówić. Bez skrzydeł, moje ciało wcale nie było pokryte zielonymi łuskami, tylko różowe i miękkie, miałam dwie nogi i długie, mokre włosy, które oblepiały mi ramiona, a z moich ust płynęła żółć i rzeka, ani odrobiny ognia. Pomyślałam, że nikt od dawna nie widział smoka. Może właśnie tak wygląda smok. Wszystko, co mieszka na zewnątrz wody, wygląda mniej więcej tak samo, a samogłowy i sandacze często się myliły. Może smok ma drobne palce u nóg i tępe, lśniące zęby. Kimże byłam, żeby się spierać? Przeskoczyłam wodospad; musiałam być teraz smokiem, jakkolwiek dziwny mógł być smok.

Zeszłam drżąc z góry na bladych, miękkich smoczycych stopach, nieprzywykłych do stąpania po ostrych skałach i kamykach. Natknęłam się na wioskę, o czym marzą smoki i – dokładnie jak w opowieściach! – wieśniacy wybałuszyli oczy i szczęki im opadły, i bełkocząc, uciekli przede mną. Ale wrócili ze spodniami i długą luźną koszulą, z pasem i kapeluszem, i tłumaczyli mi, że nie mogę chodzić naga.

– Smok może robić, cokolwiek zechce – wyniośle powiedziałam. – I nagość mnie nie trapi. Przykro mi, jeśli was martwi.

Ale wciągnęli mnie do małego domu i pokazali mi długie, owalne lustro. Zobaczyłam w nim, jak przypuszczałam, smoka. Smoka z długimi włosami koloru łusek złotej rybki i z małymi, okrągłymi piersiami, i z oczyma błękitnymi jak rzeka w lecie, i z pieprzykiem pod szyją. Nie wiedziałam, o co chodzi.

– Tak wyglądają smoki. – Wzruszyłam ramionami z większą pewnością, niż czułam. – Dziwi mnie wasza prowincjonalna ignorancja. Ale jeśli przeszkadza wam kolor moich łusek, wezmę wasze głupie ubrania.

Zaśmiali się nerwowo i popatrywali na mnie z kątów pokoju – i czemu nie! Ubrałam się i w wielkich butach o twardych podeszwach bez pośpiechu zesłam z góry.

Lato złociło się wokół mnie, gdy ruszyłam w świat. Jadłam króliki i szczury, dyszałam na nie, aż przestawały uciekać i wlepiały we mnie oczy, gdy wydymałam policzki i czerwieniałam na twarzy. Wzdychałam i chwytalam je gołymi rękami. Byłam bardzo zawiedziona smoczym losem. W najczarniejszych chwilach, kiedy noc była wilgotna i wilki śpiewały ballady na dalekich wzgórzach, dopuszczałam do siebie możliwość, że może jestem czymś mniej niż smokiem, ale z pewnością czymś więcej niż złotą rybką.

Pewnego ranka, gdy jasne słońce świeciło na jeżyny, myśliwi przybyli do doliny i nie schwytali jelenia, tylko złowili smoka. Twarz miałam umorusaną jeżynowym sokiem i nie wiedziałam, co powiedzieć. Dowódca oddziału, przystojny i ciemnowłosy, nie wydawał się przejęty, choć warknęłam na niego.

– Jestem smokiem – powiedziałam, niemal błagając, żeby mi uwierzył. – Powinniście uciec i rozproszyć się jak mrówki.

Przyjrzał mi się całkiem poważnie.

– Nie jesteś smokiem. Mój ojciec ma w sali smoczą głowę i choć jest mocno zakurzona, a w jednym nozdrzu mieszka mysz, nigdy nie wziąłbym jej za pannę.

– Ale przeskoczyłam wodospad! – syknęłam z desperacją. – Nikt nigdy tego nie dokonał! Tylko ja, ryba ze służby!

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale młoda dziewczyna nie powinna wałęsać się po pustkowiu, mając pomiędzy sobą a jeźniami tylko wujowe spodnie.

– Mój wuj nie nosi spodni...

Protestowałam, ale jego druhowie otoczyli mnie w jednej chwili jak zające lisa i posadzili na konia, a koń pogalopował ku rozpadającej się bramie miasta czerwonych wież. W czasie jazdy mężczyzna opowiedział mi historię o Adżanabh, największym mieście, które kiedykolwiek uświetniało ziemię, wielkie pod każdym względem, łącznie z walutą.

– Mamy nadzwyczajne monety! – mówił, a jego szare oczy zaśniły jak błystka w wirującej wodzie – Każda moneta, niebieska i błyszcząca jak twoje oczy, ma w środku idealnie okrągłe dziurki! To cudowna kraina – możesz być tam szczęśliwa...

OPOWIEŚĆ O ADŻAŃSKIEJ MONECIE

Długo przed czasami mego prapradziada moneta była cała, bita z złotego złota i cenna jak inne monety. W owych dniach nie było księcia i Adżanabh przypominało zegar, który dzwoni mniej więcej o czasie, mając nadzieję, że ktoś go nakręci, ale jest niezdolny do prawdziwego zaniepokojenia. Pieniądze były wykradane z innych miast albo przywożone przez rzeczne barki. W mieście ich nie wybijano.

W tym gwarnym mieście mieszkał rybak Amilkar. Łowił w Vareni szczupaki i karpie – dlaczego tak zbladłaś, moja droga? – w najcudowniejszych kolorach, jasnożółte, ciemnozielone i niebieskie tak bardzo, że bolały oczy. Rybak ten był mądrzejszy niż rybacy ze zwyrodniałych opowieści z Północy i spędzał wieczory z rogiem z mosiądzu i kości, którego krawędź nacierał olejem i światłem, żeby odpędzać rzeczne owady. Grał w swojej chacie nadzwyczaj łagodną, piękną muzykę, rozświetlając błyskającym rogiem brzegi wielobarwnej rzeki.

Był dość samotny, bo nawet mądry rybak wciąż cuchnie rybami. Poza miejscowymi prostytutkami miał niewielki wybór. Tak więc każdego wieczora wilżył nuty w lakierze i kładł je na bujanym fotelu. Z biegiem czasu poplamione herbatą i jesiorem arkusze, pokryte nutami jak nogi pająka, pogrubiały i urosły w kształt pięknej żony, całej z muzyki. I codziennie wieczorem Amilkar siadał naprzeciwko swojej pani

i pragnął, żeby otworzyła wiolinowe oczy albo usta ósemki i ożyła dla niego. Grał muzykę swej żonie na płonącym rogu z mosiądzu i kości, lecz ona się nie zbudziła.

Gdyby była to przewrotna opowieść z Północy, w końcu spełniłoby się jego życzenie i papierowa żona kochałaby go przez wszystkie dni. My, w kraju palm i cynamonu, jesteśmy bardziej praktyczni.

Vareni, złożona z barwników, przyciąga bardzo dziwne ryby i bardzo dziwne stworzenia, które nie są rybami, i tak się złożyło, że lamia o imieniu Vachya obserwowała Amilkara, gdy grał swoją muzykę, i pokochała go. Nie był brzydki, a skoro lamia jest mniej więcej morskim wężem z trzema niebieskimi piersiami, z głową i ramionami kobiety, nie przeszkadzał jej zbyt smród ryb.

Pewnego wczesnego wieczora, zanim słońce zaczęło chować swoje chmurne powaby, Amilkar złapał wielkiego karpia, największego w życiu. Karp skrzył się srebrem od pyska do ogona, bo kiedyś połknął wielką ilość drogocennej nici. Bardzo niezadowolony z pochwycenia – dlaczego się śmiesz, moja droga? – obracał się w sieci Amilkara z fiszbinowym haczykiem tkwiącym w wardze i powiedział pienistym, gulgoczącym głosem:

– Amilkarze, który uspokajasz klekoczące małże swym promiennym rogiem błyskającym nad wodą! Posłuchaj mnie! jeśli darujesz mi życie, powiem ci o wielkim skarbie, który co noc kuca przy twoim oknie!

Amilkar pomyślał, że to dość uczciwe, a był dość mądry, by znać rybie zwyczaje. Zgodził się w jednej chwili.

– Vachya cię obserwuje, Amilkarze, i poza tym, że stanowi znacznie lepszy widok niż bujak pełen starego papieru, jest

łamią, a skrzela lamii pełne są złota.

Rybak puścił karpia wolno, a kiedy wrócił do domu tej nocy, jak zwykle jął grać na płomienistym rogu, zerkając na piersi swojej papierowej żony. Ale w chwili gry tak pięknej, że nawet niemuzykalny węgorz wychynął z wody, by słuchać, zerwał się z krzesła z rogiem w jednej ręce, a drugą otworzył okno. Za oknem kulila się Vachya z wielopalczystym ogonem błękitnym jak farbka, mrugając rybimi oczami z zaskoczenia.

– Nigdy dotąd nie widziałem lamii – powiedział rybak. – Dlaczego przychodzisz do mojego okna?

– Usłyszałam cię na otwartym oceanie, gdzie dzioby statków łamią pianę jak głowy wielorybów...

OPOWIEŚĆ O BŁĘKITNYM WĘŻU

Nie płyń do ujścia rzeki, mawia matka lamia. Połknie cię, i co się wtedy z tobą stanie?

Na mapach zawsze rysują wystające z morza pętle naszych błękitnych ogonów, oznaczając w ten sposób miejsca, gdzie nie wolno wam chodzić. Ale kto powie nam, gdzie mi wolno? Lamie naradziły się na początku ciemności świata, kiedy nie było niczego prócz wielkiego czarnego morza. Niektórzy powiedzą, że zawsze istniał wielki ląd oprócz czarnego morza, ale to kłamstwa szczurów lądowych, a my, które oddychamy morzem, wiemy, że jest ono większe niż ląd, było i będzie, i nie może być niczym innym, jak tylko pierwotną krwią świata. Lamie są stare, starsze niż sól. Nasze piersi zwą się poranek, wieczór i północ, i obejmujemy niebiosy naszymi zwojami.

W krainie lamii wszystko jest niebieskie. Fale użyczają wszystkiemu własnego koloru i nie pamiętam, bym kiedykolwiek widziała coś, co nie było błękitne. Pola lazurowych koralu, gdzie błyskały turkusowe płetwy, kołyszące się liście kobaltowych wodorostów i granatowe podmorskie góry zwieńczone resztkami szafirowego światła, gdzie księżyc sięgał najgłębiej w wodę. Lamie są najbłękitniejsze ze wszystkich błękitnych stworzeń, płetwy mamy oślepiająco jasne, skórę jak rozlany atrament, nasze wabiki jarzą się widmowo, błękitne światło w błękitnej ciemności.

W czasach, kiedy przyływy i odpływy były szokująco nowe, a lamie ssaly krew tłustych niebieskich ryb w morskich głębinach, moja babcia wiele razy wypływała na powierzchnię, kąpiąc się w blasku księżyca, pozwalając, by przemieniał jej skórę w srebro i lazur. Raz ujrzała coś straszego i błękitne serce zamarło jej w gardle.

Wysoko po falach płynął statek, brązowy i biały od słonej wody. Ani trochę nie był niebieski. Babcia zafascynowana popłynęła za nim, jej gruby ogon robił pętle w wodzie. Wypatrzyła na pokładzie stworzenia bez ogonów i wabików, ze skórą suchą i spękaną od soli. Podążała za statkiem, póki się nie rozbił, bo musisz wiedzieć, że jeśli obserwujesz statek dość długo, wcześniej czy później zostaniesz świadkiem katastrofy. Z fal wyciągnęła jednego marynarza, który miał oczy stosownie niebieskie. Niedługo zachwycała się jego przystojnymi rysami – przystawiła usta do jego gardła i zjadła kolację. Jesteśmy praktycznymi stworzeniami, które żyją w morzu, i wiemy, że należy się rozkoszować nieoczekiwaną strawą, ponieważ może nie zjawić się znowu. W jego rzadkiej krwi doszukała się smaku zielonego lądu i urwistych skał, które były nowe na świecie, i zadrżała.

Wróciła w błękitne głębiny i tam w swoim czasie odkryła, że jest brzemienna. Była pełna obrzydzenia i lęku. Nie ma męskich lamii, a stare matki, długowieczne, niewiele myśli poświęcają dzieciom. Ale kiedy urodziła wijącego się radośnie węża morskiego, błękitne starsze zdecydowały, że zapłodniła ją nowa krew, skalista, pełna trawy. I tak jest od tej pory: kiedy lamia chce mieć córki, szuka żeglarza i go zjada.

W ten sposób się narodziłam, z rozciętej szyi przemytnika rumu.

Nie pływaj do ujścia rzeki, mawiają nasze matki. Połknie cię i co się wtedy z tobą stanie?

Nie pływaj tam. Tam są potwory, ich harpuny wyskakują z głębokich, czarnych miejsc. Ale byłam młoda i głupia jak kijanka. Radowałam się miękką błękitno-czarną wodą, zimną przy dnie oceanu, światło wabików lśniło w moich włosach, przyciągając do mnie przekąski. My, lamie, jesteśmy rybami głębinowymi. Pijemy krew i jemy piasek, i nasza skóra nie widuje słońca. Jestem silna; mój ogon smaga wodę. Kiedy dorosłam, udałam się do najstarszej lamii, która jest pokryta skorupą pąkli tak grubą, jakby wcale nie miała ciała, tylko wiekową skałę. Zaśpiewałam dla niej, jak czynią najmłodsze, by sprawić przyjemność naszej wspólnej babce, mój głos napełniał fale drżącą radością, moim pragnieniem rzeki i skał, mój ciekawski ogon zwracał się w kierunku obcych prądów.

Stara lamia ziewnęła. Kawałki koralu oderwały się od jej szczęki i popłynęły ku powierzchni.

– Pięknie, pięknie – powiedziała chrapliwym głosem – ale czy nie mogłabyś zaśpiewać czegoś błękitnego?

Dlaczego nie miałabym popłynąć do ujścia rzeki? – pomyślałam wściekła i uciekłam z jej groty. Dlaczego nie miałabym zobaczyć trawy i przejrzystszej wody, z różowymi i złotymi rybami, i słońca jak wielki płonący małą?

Poszłam zapytać matkę, która – smukła i tak ciemna w błękitnych łuskach, że prawie czarna – zwinięta wokół skały na dnie świata przeżuwała jego kamienne korzenie.

- Chcę zobaczyć rzekę – powiedziałam.
- Nie krzywdź w ten sposób swej biednej starej matki.
- Jestem dość silna, by stawić czoło rzece! – krzyknęłam.

Dzieci są po to, żeby matkom na przemian dokuczać i stawać okoniem.

– Spytaj zatem miecznika, on ci powie, dokąd płynąć.

Poszłam do miecznika, srebrnego i błękitnego, z rogiem lśniącym w płytszym morzu.

– Płyn, dopóki woda nie zrobi się ciepła i nie nabierze smaku dorsza, a potem szukaj karpia – poradził mi.

Płynęłam i płynęłam, aż wreszcie woda zrobiła się ciepła i smakowała lekko, kwiatowo, jak białe mięso dorsza. To wtedy usłyszałam pierwsze cienkie, gorejące macki pieśni granej gdzieś daleko, niczym powitanie. Znalazłam karpia. Jadł kryle przy wywróconym do góry dnem galeonie, w którym mieszkały trzy rekiny.

– Musisz płynąć, dopóki woda nie zmieni koloru – powiedział. – Będzie miała wiele innych barw oprócz niebieskiej i będzie ciepła jak skóra wydry. To rzeka. Ale nie polecam. W rzece żyją potwory.

Trąbiąc z radości, znalazłam zieloną wodę i stwierdziłam, że wpływa do morza jak muł. Skoczyłam w zieleń, pławiałam się w niej, moje gwiazdziste wabiki kołysały się w wirach. Pieśń wtedy brzmiała tak głośno! Rozradowana, śpiewałam razem z nią. Wyczołgałam się na brzeg i zostawiłam długi lok błękitnych włosów na trawie na znak swej bytności; ja jedyna z lamii odważyłam się rzucić wyzwanie wszelkim złowrogim mapom. Woda grzała moje ciało i zobaczyłam, że nie jest takie ciemne, gdy nie chłodzi mnie ocean – byłam turkusowa, srebrna i kobaltawa, wszystko naraz, i to mnie zachwyciło.

Znów usłyszałam śpiewanie i przypomniałam sobie, co matka mówiła o syrenach, ale nie mogłam się oprzeć. Popłynęłam w górę rzeki, przez prądy fioletowe i złote, przez

prądy zielone, czerwone i pomarańczowe, i bawiłam się w zgadywanki z węgorzami, w rymowanki z rybołowami, i próbowałam udawać, że nikt nie śpiewa. Ale codziennie sunęłam coraz dalej w górę rzeki i codziennie śpiew kołysał wodą jak wiatr.

Aż dotarłam do tej chaty i nie zobaczyłam ani ptaka, ani syreny, tylko róg, róg płonący bielą i czerwienią, jego odbicie złociło się na wodzie.

Nie płyn do ujścia rzeki. Połknie cię, i co się wtedy z tobą stanie?

OPOWIEŚĆ O ADŻAŃSKIEJ MONECIE, CIAĞ DALSZY

– Co się ze mną stanie? – zapytała Vachya nieśmiało.

Rybak pomógł jej wejść do swojego domu, gdzie jej zadziwiający błękitny ogon trzy razy owinął się wokół ścian, a potem zaczął się wspinać w górę przewodu kominowego.

Tak oto Amilkar przez pewien czas był szczęśliwy. Nie chciał spalić żony z nut, o co prosiła Vachya, ale w duchu małżeńskiego kompromisu uprzejmie zamknął ją w szafie. Vachya jednak była dzikim stworzeniem i choć naprawdę miała złote skrzela, było to obce złoto z dziwnym błękitnym odcieniem. Nie mogli sprzedać jej skrzeli na targu. Tłukła ogonem porządną porcelanę, a jej pocałunki, jakkolwiek słodkie niczym ikra jesiotra, były twarde i gwałtowne, i Amilkar truchlał w jej uścisku. Ale ją kochał i śpiewał rogiem tak namiętnie, że węgorze padały w omdleniu, a rzeka podpływała do chaty, by słuchać. Vachya śpiewała o krwi żeglarza, o błękitnym mleku i o wielkich błękitnych jajach; śpiewała o księżycu padającym na jej piersi z taką siłą, że czuła lód tworzący się na kobaltowych brodawkach. On patrzył na nią w zdumieniu, a ona się uśmiechała.

Potem, jak czasami bywa z mężami, Amilkara opadła głupota, jak niektórych ludzi opada trąd. Możesz myśleć, że to

przesada, ale nie wtedy, gdy żoną jest lamia. Amilkar często handlował z rzeczonymi flisakami, sprzedając ryby za garnki, patelnie i drutowane nożyczki, za ich korzenie i ich opowieści. Tak się złożyło, że zapragnął żony jednego z flisaków, której włosy lśniły jak wielki sklep ze wszystkimi przyprawami Adżanabh. Ona patrzyła na niego czule, lecz była w ciąży z piątym dzieckiem i nie miała czasu dla kochliwego rybaka. Amilkar kochał ją, jak kiedyś swoją żonę-muzykę, ale ona go nie chciała.

Pewnego wieczora Amilkar wrócił do chaty z dziennym połowem – z tobołkiem karpi, które nie mówiły ani nie obiecywały żon – i Vachya siedziała bardzo cicho w fotelu, który kiedyś zajmowała jego niema żona. W jej ciemnoniebieskich włosach świeciły maleńkie światełka jak gwiazdy, choć Amilkar wiedział, że to wabiki, które swoim uwodzicielskim blaskiem nęcą nieufne ryby w ciemnej wodzie. Jej ogon wił się po całym pokoju, wielki i gruby, najeżony srebrzyście błękitnymi płetwami.

– Ile żon chcesz mieć, Amilkarze? – syknęła.

– Trzy – wyznał z drżącymi rękami. – Pragnę mieć ciebie w domu, żonę flisaka w łóżku i moją lśniącą żonę z papieru przy rogu, gdy gram.

Vachya z wściekłości zerwała dach domu i popędziła w błękitnej smudze do flisaków. Wabiki w jej włosach świeciły jak lampy. Znalazła na wielkiej barce korzennej kobietę, którą kochał Amilkar, śpiącą na szerokich plecach, z brzuchem ledwo widocznym. Vachya nigdy nie prosiła o dziecko i kiedy zobaczyła niewielką krągłość, pomyślała w sercu, że Amilkar ją tam umieścił, otwierając sobie gardło dla bezwstydnej kobiety i pozwalając jej ssać krew pachnącą trawą. Jej ogon zapłonął

bielą ze wstydu i wściekłości. Kobieta się nie zbudziła, bo wabiki lamii usypiają nawet wieloryby, i Vachya w swojej furii przycisnęła ręce do jej brzemiennego brzucha, zostawiając dwa sine odciski, które zbladły do rana. Dłonie węża morskiego zmiażdżyły dziecko na śmierć.

Niektóre opowieści mówią, że dziecko nie umarło, że urodziło się kalekie, będąc półkrwi lamią, miało trzy piersi i czekał je trudny los, ale to na pewno wymysły.

Kiedy Vachya wróciła do męża, drapała go po szyi, szukając znaków zdrady, i nie minęło wiele czasu, a nie zdołałaby zobaczyć różnicy pomiędzy ranami zadanymi przez własne ręce i znakiem, który mogła zostawić żona flisaka. Jej szloch był gruby jak żeglarskie węzły, gdy otworzyła szafę, gdzie leżała wystrzępiona, zaniedbana papierowa żona. Podarła ją na kawałki na oczach męża i połknęła każdą drobinę muzyki, każdą drobinę jego żony, w żalu i goryczy. Amilkar był wstrząśnięty, ale co może zrobić mężczyzna, który poślubił węża? I tutaj skończyłaby się opowieść, z może bardziej wiernym Amilkarem i bardziej życzliwą Vachyą, gdyby lamia nie zakasłała, połykając ostatni kęs muzyki.

Z jej turkusowych ust wypadła złota moneta zabarwiona kolorem gardła zatopionego żeglarza.

Wciąż oszołomiony Amilkar patrzył tępo na pieniądz.

– Zrób to jeszcze raz! – zawołał.

Vachya znów zakaszłała i ukazała się następna moneta. Tym razem nie chciała mu jej dać i wgryzła się w nią, zostawiając dwie idealnie okrągłe dziurki pośrodku, gdy próbował wyrwać złoto z jej ust.

OPOWIEŚĆ PILOTKI RZECZNEJ, CIĄG DALSZY

– Amilkar stał się bardzo bogaty i trzymał swoją żonę w zimnie, żeby jej gardło zawsze grzechotało. W końcu zbudował wielki dom nad rzeką i zamknął ją w dolnych pokojach, blisko wody, gdzie zawsze panuje chłód, od którego grzechocze w piersi. Tak oto Vachya została pierwszą mennicą Adżanabh, a Amilkar pierwszym księciem. Nawet dziś nasze monety mają niebieskawą odcień i dwie charakterystyczne dziurki pośrodku.

Spojrzałam z przerażeniem na mężczyznę, który mnie pojmał. Promieniał, zakończywszy to, co uważał za wyborną historię.

– Jestem smokiem, nie bankiem – powiedziałam cicho.

– Powtarzam ci, piękna dziewczyno, nie jesteś smokiem.

Zabrał mnie przez bramę do domu z pokojami tak licznymi, jak gałęzie na dnie rzeki, i posadził przy wielkim kominku, nad którym kiwała się wielka smocza głowa, wypchana jak łeb łosia.

– Patrz! – Ujął moją rękę i klęknął na nieskazitelnej marmurowej podłodze. – To smok. Jest bardzo stary i bardzo martwy. Ty jesteś bardzo młoda i bardzo żywa, panna z włosami, jakich nigdy nie widziałem. Myślę, że jesteś cudowna i promienna jak moneta w słońcu. I jeśli jesteś nie całkiem szalona, z radością zatrzymam cię w tym domu i odzieję w coś

innego niż poplamione spodnie i za duża na ciebie koszula, i nakarmię cię zupą, i uczynię swoją żoną.

Inni domownicy uważali, że to zbyt pochopna decyzja, i całe miasto nie kryło obowiązkowego zgorszenia. Ale jestem rybą. Dwa razy w roku składałam tuziny jaj i nie obchodzi mnie, czy przeżyją. Jeśli brakuje pożywienia, sama skubnę parę – taka jest natura złotej rybki, natura rzeki. Spółkowanie jest łatwe – trwa nie dłużej niż obiad. Miałam wiele dzieci i zapomniałam je wszystkie, jak one własne dzieci i wnuki. Złota rybka ma złote serce i w całym tym złocie nie ma miejsca na sentymenty.

Tak więc go poślubiłam. Złożenie ikry wymagało wielkiego zamieszania. Nosiałam suknię jak tysiące sieci pajęczych na swoim dziewczęcym ciele. Może, myślałam, przemiana ryby w pannę jest równie niezwykła jak przemiana w smoka. Kadzidło płonęło w kadzielnicach i brodaci mężczyźni namaścili czoła. Ale przecież panny wymagają większego zachodu niż ryby. Było ślubne łoże z haftowaną kapą zamiast paru gałązek i odrobiny cienia. I zamiast lśniących jaj, o których nigdy potem nie musiałam myśleć, przyklejonych do muru śluzu, był wielki brzuch rosnący miesiącami, aż myślałam, że będę składać ikrę całe wieki.

Ale gdy brzuch urósł, zaczęła mi się łuszczyć skóra na nodze. Już przywykłam, że jest różowa i miękka, więc wpadłam w popłoch. Poszłam do medyka, który mieszkał wygodnie w pokojach swej wielkiej rezydencji, i położyłam się na jego stole. Przez długi czas kurował mnie pijawkami i kataplazmami, ale skóra wciąż się łuszczyła. W końcu moja stopa zrzuciła ostatni strzęp dziewczęcej skóry, a pod nią, lśniące i połyskliwe na nieskazitelnej marmurowej podłodze, pojawiły się trzy długie czarne szpony i zielone łuski jak skrawki szmaragdu.

OPOWIEŚĆ O PŁASZCZU Z PIÓR, CIAĞ DALSZY

– Zrozumiałam w jednej chwili. – Złota rybka parsknęła śmiechem, strumień bąbelków wzburzył powierzchnię wody w jej kielichu. – Ostatecznie złota rybka we wczesnym dzieciństwie wygląda mniej więcej jak złota rzęsa unosząca się w wodzie, zupełnie nie przypomina dorosłej ryby. Przeskoczyłam nad wodospadem i zaczęłam życie noworodka. Kiedy złożyłam skrzek, byłam dojrzała i tym samym weszłam w fazę dorosłości – łuski, skrzydła, ogień i tak dalej. Czy nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego stare książki są pełne smoków ścigających dziewice? Smoki myślą, że dziewczęta są sierotami, i pragną zabrać je do legowiska, żeby mogły urosnąć silne i wysokie.

– Co się stało z twoim dzieckiem? – zapytałem łagodnie.

Śluza wzruszyła płetwami, podnosząc się i opadając lekko w wodzie.

– Obawiam się, że w czasie narodzin zakończyłam wylinkę, natychmiast wstałam z połogu i wyszłam z wielkiego wiejskiego domu, a mój długi zielony ogon wił się za mną jak korkociąg. W czystej radości ryknęłam ogniem ku księżycowi – potem ryknęłam ogniem na dom, na najniższe pokoje. I gdy leciałam

szybciej niż rzeczna barka, obejrzałam się i zobaczyłam jak coś wielkiego i niebieskiego niknie w rzece.

Frunęłam tak szybko, jak tylko mogły mnie nieść moje skrzydła o kościach jak wędki, w góry, z powrotem do rzeki i do mojej śluzy. Wcale nie myślałam o dziecku. Nawet nie wiem, czy to był chłopiec, czy dziewczynka. Nie myślałam też o jego ojcu. Samce są ważne tylko w czasie tarła; potem interesowanie się nimi jest nieprzyzwoite. A jaja przetrwają lub zginą, ich sprawa. Najlepsze, co może zrobić matka, to przez pewien czas powstrzymać samca od zjadania ikry, a potem zostawić ją rzece. Przybyłam tutaj, do innych złotych rybek, aby im pokazać, co się stało, że to możliwe. Szybowałam nad spienionym progiem wodospadu, mój ogon łopotał jak zielona flaga, rozdymałam nozdrza, by smakować wiatr... Och! Smakował jak krewetki i tłuczone kamienie! Zęby na moim grzbiecie stroszyły się, białe i niebieskie, niebieskie jak biedna lamia. Wołałam do ryb śluzy, złotych rybek, pstrągów, szczupaków, kolcokostnych sumów, klekoczących orłoryb, węgorzy, które nigdy nie kłamią, okoni.

I gdy przeleciałam nad wodospadem, poczułam, że moje łuski się kurczą, a szpony zaciskają, i przemieniłam się z powrotem w złotą rybkę, szybko jak machnięcie płetwą. Spadłam do wody z głośnym pluskiem.

Nie mogłem się powstrzymać. Śmiałem się, kracząc w prętach mojej klatki.

– Przepraszam, nie chcę być okrutny. To musiało cię bardzo zasmucić. Ryba znów po rybiemu wzruszyła ramionami.

– Oni też się śmiali. Ale niektórzy mnie widzieli, szczupak i węgorz, pstrąg i ryby ze śluzy. Widzieli, że byłam smokiem.

– Nie mogłaś skoczyć znowu?

– Pewnie bym mogła. Ale niedługo później przyszli ludzie z barki, szukający ryb do kielichów. Mówili, ile zapłacą i jak duży będzie kielich, a praca polegająca na smakowaniu rzeki wydała mi się bardzo satysfakcjonująca. Podróżuję dalej niż smoki. Poza tym chyba nie powinnam znów przechodzić przez dziecienną fazę – to nie było ani trochę tak cudowne jak ostatnia część. I naprawdę nie lubię różowego koloru.

Śluza i ja odbyliśmy wiele pięknych rozmów na pokładzie barki, ale wszystkie rzeki się kończą. Ta była bardzo długa i jej przebycie trwało wiele miesięcy – a nie pokonaliśmy nawet połowy drogi do Adżanabh. Kiedy woda wreszcie zwęziła się tak bardzo, że barka nie mogła płynąć, niemal zapomniałem, że siedzę w klatce, taki miły i radosny był jej głos, tak jasno lśniły jej łuski w kryształowym kielichu. Myślałem często o mojej gęsi, o jej klapiących pomarańczowych stopach, o jej przeciągłym krzyku. Kiedy płakałem, Śluza uprzejmie patrzyła w inną stronę. Pożegnała mnie chlapnięciem wody i tylko przez chwilę wyglądała smutno, gdy Kostia ładował mnie na wóz. Choć biłem i błyskałem ogonem, osmalając pręty, zamek i rąbek szat Kostii, niewiele mogłem zrobić, żeby nie trafić do czerwonego miasta. Pozostało mi tylko czekanie.

Vareni była wspaniała, tak jak mówiła Śluza, i mosty grzechotały pod kołami naszego wozu, strząsając pył do nurtu. Ale ledwo widziałem kolory, oślepiiony blaskiem żółtego płaszcza Kostii, pogrążony w szarym bagnie własnej niedoli. I gdy wóz jechał przez Parafię Krawców, wiedziałem już, skąd Kostia ma ten swój płaszcz.

Wszystkie okna i drzwi ruder obwieszane były tkaninami, ich barwy były lśniące i intensywne, nawet najprostszy fartuch

jaśniał niczym złota rybka. Koryta z farbą ciągnęły się wzdłuż ulicy jak rynsztoki ze szkarłatnymi, żółtymi i błękitnymi ściekami, i parę wesołych osób, o wiele za mało jak na tę liczbę koryt, zanurzało w nich swoje spódnice, spodnie, kapelusze i piękne, długie płaszcze. Tu i ówdzie szpule drogocennej nici stały jak słupki latarń, a dziecko ze lśniącymi nożycami odmierzało i odcinało potrzebną długość. Widziałem tam niewielu ludzi, ale obfitość ubrań. Z daleka płynęły śmiechy i krzyki, odgłosy przepychania się i rozlewania, miażdżenia kości i darcia jedwabiu, śpiewu i tupotu tańczących stóp – Adżanabh zmarło niedawno i wciąż trwała stypa. Kostia nie patrzył na mnie, tylko stał, prosty, wysoki i dumny ze swojej zdobyczy, gdy dzieci zatrzymywały się i wlepiały we mnie oczy, otwierając umorusane buzie ze zdumienia. Chodził niezdarnie, kulejąc, jak często robią modni panicze, i niewiele o tym myślałem, dopóki nie dotarliśmy do stóp wieży dzwonnej na wschodnim brzegu Vareni, daleko od tłumu i sukni wiszących jak kurtyny.

Dzwon był wtedy cały, ale reszta taka, jak widzisz. Jak wiele innych rzeczy na brzegach Vareni, wieża ulega naturalnej skłonności podążania w dół, ześlizgując się powoli do rzeki. Wszystko było zabite deskami, połamane, zakurzone, ciemne. Dzwon nigdy nie dzwonił. Moja klatka została ustawiona tutaj i nikt jej nigdzie nie przeniósł. Kostia szeroko rozłożył ramiona, jakby wręczał mi wspaniały dar ze wstążką zawiązaną na kokardkę.

– Tu będziemy pracować, mój drogi przyjacielu. To piękne miejsce, z licznymi kątami do skrywania różnych rzeczy.

– Jaką pracę mam wykonywać?

– Żadną, żadną! Siedź spokojnie, a ja zrobię, co trzeba. Nie miałbym pożytku z tak wielkiego niewolnika.

Kostia, w złotej masce lśniącej pod pawimi piórami, pochylił się nisko i wyrwał jedno długie pióro z mojego ogona. Wrzasnąłem z nagłego, ostrego bólu; tylko Rawhidza, moja ukochana dynia, moja ogrodniczka, która przyłapała mnie na kradzieży i wyskubała mi karę, ośmieliła się zrobić coś takiego. Krwawiłem i cierpiałem. Nie mogłem pojąć, po co mu drugie pióro. Dymiło i syczało w jego rękawiczce. Rzucił je szybko w brzuch dzwonu i tam pozostało.

– Jakie jasne! – krzyknął. – Jasne jak Gwiazdy na niebie!

Tak było codziennie rano, z regularnością kuranta wydzwanającego godziny. Przychodził i wyrwał ze mnie pióro, ociekające szkarłatną krwią w kręgu pod dzwonem, skąd nigdy nie wracało. Jego radość wzrastała z każdym kolejnym piórem, a ja z każdym piórem płakałem coraz bardziej gorzko i słabłem, aż w końcu nie mogłem stać i musiał dać mi poduszki, na których leżałem, gdy mój ogon ubożał z poranka na poranek. Podłoga pod moją klatką była zbryzgana krwią i złotymi łzami, jakby ktoś rozlał tam zawartość upiornego kielicha.

Nie wiedziałem, co Kostia robi po nocach. Przypuszczałem, że chodzi do miasta pić, śpiewać i łajdaczyć się, jak zwykle robią mężczyźni w perukach. Moje noce były ciemne, wilgotne i pełne odgłosów rzeki, fale pluskały przy schodach. Z dzwonu płynęło klekotanie. Ogon miałem w połowie wyskubany, serce w połowie martwe. Patrzyłem w zwężające się ku górze okna, tęskniąc za widokiem srebrnego pióra, za długą szyją osrebrzoną księżycem. Ale nie przyleciała – głupotą było myśleć, że przyleci.

Moją gęstą, czarną rozpacz mąciło chrobotanie, stukotanie i skrobanie. Z dzwonu wypadło kilka moich piór. Zaśpiewałem ze szczęścia. Ich płomienie zgasły, oczywiście, gdyż długi czas

przebywały z dala od żaru mego ciała, ale złoto wciąż się skrzyło. Za nimi opuściła się długa blada nić, a po niej zsunął się cicho brązowy pajak wielkości pięści dziecka. Zamiast nóg miał osiem smukłych, lśniących igieł, ich uszka ostro sterczały w stawach, gdzie spotykały się z resztkami prawdziwych odnóży, a przez każde uszko przewleczona była nić szkarłatna i złota.

– Dobry wieczór, moja tkanino, prządko moich najlepszych jedwabi – powiedziała pajęczycy głosem jak szeleszczące kartki. Jej liczne oczy patrzyły na mnie z powagą.

– Musisz się mylić, z nas dwojga ty jesteś prządką jedwabi.

– Przeciwnie – powiedziała, lekko kołysząc jedwabistą głową.

– Kostia zażyczył sobie, żebym uszyła mu płaszcz z piór, najjaśniejszy, jaki świat widział, i ty jesteś moją tkaniną, moim modelem, moją nicią i moim wzorem.

Spojrzałem na nią ze grozą.

– Dlaczego przystałaś na coś takiego?

Poruszyła odnóżami.

– Kostia zawsze dobrze mi płacił, stać go. Znamy się, odkąd ledwo wyszłam z kokonu, a on nosił wąsy i futro. Jestem Rękaw, Pajak Dzwonny, słynny w gminie z wielu sukien i żakietów. Kto nie przyszedłby do mnie z takim zamówieniem? Kto inny odda sprawiedliwość takiemu surowcowi?

– Nie jestem surowcem – rzekłem cicho, spuszcżając oczy na pierścień łez i krwi na podłodze.

– To jest Adżanabh – odparła głosem grubym od przeprosin. – Tu każdy jest surowcem. – I z tymi słowy machnęła czterema igłonogami.

– Kostia ci to zrobił? Czy on zrobił bransoletkę z twoich nóg?

– Aleś ty zabawny! Nie, oczywiście, że nie. Jestem pająkiem pustelnikiem. To trafna nazwa, a poza tym informuje o truciźnie w moim ciele. Nikt nie mógłby odciąć mi nóg, gdybym o to nie prosiła...

OPOWIEŚĆ KRAWCOWEJ

Opowieść innego stworzenia jest jak nić pajęcza: zakręca tam i z powrotem, i jeśli się nie uważa, można w niej utknąć, podczas gdy narrator będzie snuć ją dalej.

Czy ja utknąłem w opowieści Kostii, czy on utknął w mojej? To zagmatwane, więc zacznę od mojej i może złapiemy go gdzieś wzdłuż nici.

Pierwszą rzeczą, jaką pamiętam, było szkło. Zostałam uwięziona pod szklanką wraz z tuzinami innych brązowych malców – może rodzeństwa, może nie. Po paru dniach nikt nie czuje zapachu kokonu. Z tej rojnej, zatłoczonej szklanki zobaczyłam długi stół ze stojącym na nim wysokim pucharem, który podtrzymywał stertę ksiąg, pucharem z rogu, skręconym z pasów czerwieni, czerni i żółtawej bieli.

Codziennie zabierał kilku z nas i miażdżył w moździerz, mieszając z różą, z węzową łuską i ze wszystkim innym, co przyszło mu do głowy. Wlewał miksturę do pucharu i pił powoli, delektując się i rozmyślając nad swoim produktem. Nawet jako dziecko byłam sprytna, bo takie muszą być pająki, żeby znajdować swoje sieci i kolacje, gdy tylko ich matka z powrotem wypełnie w ciemność. Rodzimy się z wiedzą o pulsującej w nas truciznie – czujemy jej smak, oczywiście, czujemy. Czy znasz smak własnych ust, własnej śliny, własnej krwi? My też, i znamy go dobrze.

Tylu nas miażdżył w swojej misie – widziałam, jak podrygujące odnóża słabo muskają krawędź – że musiał być trucicielem.

Nie czuję urazy do trucicieli, sama jestem jedną z nich, ale nie miałam ochoty stać się narzędziem jego rzemiosła. Tak więc, gdy przyszedł po mnie, macając suchymi, cienkimi palcami pod szklanką, byłam gotowa. Popędziłam po wyciągniętej ręce, całą drogę do szyi, i zatopiłam w nim szczękę tak szybko, jak pęka nitka pajęczyny. Nawet nie zdążył krzyknąć. Kiedy jestem bardzo zła, czasami gryzę drugi raz, i zrobiłam to z przyjemnością, z wysokim, szepczącym krzykiem triumfu, i dwie czerwone kropki krwi rozkwitły na jego policzku.

Jestem szybka. Jestem miłosierna. Miotał się jak tonący, a z jego skóry wyrastały kręte pnącza – od tej pory byłam bardzo ostrożna, na wypadek gdyby wszyscy ludzie mieli ukryte w skórze wijące się rośliny. Sękaty ostrokrzew, czarcie ziele i bluszcz sięgały, chciały mnie znaleźć i udusić. Na szczęście jestem za mała dla takich gałęzi i nawet mnie nie dotknęły. Jedna śmignęła, głógowa, i strzaskała puchar z rogu, który zawierał tak wielu pajęczych braci – i rozległ się straszny, żałosny dźwięk, jak ostatni wydyszany ton pieśni, która kiedyś marzyła o lasach i burzach, o błyskawicach jaśniejszych niż miłość. Zadrżałam, gdy skonała w dusznym powietrzu pokoju. Ale nie mogę tak naprawdę rozpaczać po rogu.

Uciekłam wraz z parom innymi jak najdalej od siniejącego trupa, w świat i jasność. Przebywając w niewoli prawie od urodzenia, byłam nieobyta i niepewna, co pająk powinien zrobić ze swoim czasem.

Zapytałam świerszcze w Gminie Dmuchaczy Szkła, a one odparły:

– Przypuszczamy, że właściwe jest i słuszne dla pająka, by zacierał nogi i tworzył ładną muzykę, która poniesie się daleko w noc i ze wszystkich zakamarków ściągnie zalotników zielonych, czarnych i przystojnych.

Próbowałam zacierać nogi, ale nie płynęła z nich żadna muzyka, tylko skrobanie. Zapytałam ćmy w Podwórku Ptaszników, a one powiedziały:

– Przypuszczamy, że słuszne jest i właściwe dla pająka, by szukał płomienia, gdziekolwiek jest, i pławił się w jego blasku.

Poszłam potem do Dzielnicy Świecarzy, gdzie znalazłam więcej płomieni niż łoju, ale były bardzo gorące i nieprzyjemne, i kiedy zaczęły mi się tlić przednie nogi, w swojej mądrości uciekłam.

Zapytałam muchy w Zaułku Kaligrafów. Zastanawiały się długo, odsuwając ode mnie – a ja nie wiedziałam dlaczego.

– Przypuszczamy, że słuszne jest i właściwe dla pająka, by zjadał muchy – wyjąkały – ale my tego nie zalecamy. Może bardziej słuszne i właściwe jest tkanie pięknych alfabetów, jak kaligraf, albo pięknych sukien, jak krawiec. Nie wiemy, ale zdaje nam się, że pamiętamy, iż tkanie jest ważną rzeczą. A teraz prosimy, zostaw nas w spokoju.

Udałam się na poszukiwanie kaligrafa, który wziąłby mnie na ucznia. Podejrzywałam, że muchy, jak ćmy i świerszcze, są głupie i wiedzą o pajęczym życiu nie więcej niż ja, ale bez mapy wszystkie drogi wydają się równe.

Zapytałam kałamarnice w zbiornikach pełnych atramentu.

– Nie mamy żadnego pożytku z pająka – wybulgotały. – Łatwo się topicie i proszenie cię, żebyś pracowała w naszym żywiole,

byłoby niegrzeczne. Spróbuj u ludzi.

Zapytałam człowieka w niebieskim kapeluszu z klamerkami, który przez całą noc starannie pisał piórem manuskrypty w swoim wysokim sklepie.

– Nic mi po pająku – odpowiedział, pokaszując. – Łatwo was zgnieść i proшение cię, żebyś pracowała obok moich nieuważnych rąk, byłoby niegrzeczne. Spróbuj u syren.

Przepelzłam pod drzwiami pokoju na najwyższym piętrze najwyższej wieży w Adżanabh niedaleko rezydencji księcia, pełnego przeciągów i zimnego – zimnego! W Adżanabh! Ale wieża była taka wysoka, że samo powietrze drżało, przerażone wysokością. W pokoju, gdzie okna skrzypiały i trzęsły się ze strachu przed stromymi murami, trzy kobiety zamrugały, patrząc na mnie ze zdumieniem i głodem w oczach.

Miały kobiece nogi, więc zwę je kobietami, choć od pasa w górę porastały je brązowe pióra, górne części ich ciał przypominały wróble. Miały duże, klekoczące dzioby i długie brązowe skrzydła obrzeżone czernią, złożone schludnie u boków. Ich wielkie, wilgotne czarne oczy spoglądały na mnie z prawem rannego ptaszka do śniadania, więc szybko podkuliłam nogi.

– Proszę! Nie zjadajcie mnie! Przyszłam nauczyć się sztuki pisania – mogę tkać i prząć litery jak nikt inny, i zszyję każde słowo, o jakie poprosicie!

Syreny popatrzyły jedna na drugą i nic nie powiedziały. W milczeniu rozłożyły skrzydła i zaczęły się obracać w dziwnym, skocznym, krętym tańcu, w którym po kolei brały się w objęcia, przemykając pod skrzydłem jednej i przeskakując nad bosą, brudną stopą drugiej. Ich grzbiety wyginały się i wykręcały, ich skrzydła opadały nisko i rozpościerały szeroko. Patrzyłam na

nie z trwogą i podziwem, gdy stawiały pewne kroki, zachowując bezustanny kontakt – jedna siostra ani na chwilę nie puszczała skrzydła czy palca u nogi drugiej. Kiedy się zatrzymały, spojrzały na mnie wyczekująco, jakby coś powiedziały, jakbym powinna odpowiedzieć, gdybym nie była takim tępym stworzeniem. Spuściłam oczy, spojrzałam na podłogę.

Papier pokrywał ją od ściany do ściany, piękny kremowy papier, miękki jak jedwabne łachmany. Stopami i skrzydłami ciemnymi nie od błota, ale od atramentu, syreny wypisały:

Pająki są przepyszne.

– Ja też wiele rzeczy uważam za przepyszne, lecz gdybym zjadła je wszystkie, byłabym wielka jak rondel piekarza.

Znowu zatańczyły, ich dzioby zwracały się ku sufitowi i w dół, ich skrzydła łopotały, trzaskały, pomykały po papierowej podłodze.

To mądre. Ale czy naprawdę myślisz, że mogłabyś tańczyć z nami? Twoje litery byłyby takie maleńkie, takie misterne, że tylko pełen największego poświęcenia czytelnik chciałby je przeczytać.

– Powiedziano mi, że słuszne i właściwe dla pająka jest tkanie – albo alfabetów, albo sukien, muchy nie wyraziły się jasno – a suknie są bardzo duże.

Nigdy nie słyszałyśmy o pająku kaligrafie.

– Ja nie słyszałam o syrenach, które nie mówią.

Kobiety zamrugały jedna po drugiej, sześcioro oczu zamykało się i otwierało. A potem puściły się w zapamiętałe tany, szybko, niecierpliwie chyląc się ku podłodze, ich skrzydła stukały i sunęły po papierze, litery rozkwitały niczym wodne kwiaty, wysokie, smukłe i egzaltowane, palce ich stóp delikatnie stawiały kropki nad *i* i *j*, ich skoki były długie i wdzięczne, czasami przez cały pokój – ale nigdy nie przerywały kontaktu,

zbite jak stado odlatujących ptaków, gdy pomykały po papierze,
ich ruchy wydawały się obce, bolesne i promienne.

Oto co napisały:

OPOWIEŚĆ NA PODŁODZE

Śpiewaliśmy za długo, śpiewaliśmy za dobrze. Jesteśmy teraz siostrami w milczeniu: to nasz ślub i nasza kara.

Kiedyś miałyśmy gniazdo na otwartym wietrze, na otwartym morzu. Jak szare było morze naszej młodości! Jak miękkie i gęste gniazdo zbudowałyśmy! Jak dawno temu to było, jak dawno wydaje się nam teraz, ileśmy widziały, odkąd wyszłyśmy na naszą kamienistą mierzeję i nazwałyśmy jedna drugą siostrami! Ale teraz jesteśmy stare, jesteśmy stare, i nie ma już piasku pomiędzy palcami naszych nóg. Jakże dawno śpiewaliśmy niewinne ballady na brzegu, ostre i dobrze nastrojone, jak dawno temu otwierałyśmy nasze gardła w deszczu i zwałyśmy śpiew nieszkodliwym.

Nasze gniazdo uwite było ze słomy, jałowca i luźnych, przeplecionych kwiatów bawełny, z drewna wyrzuconego przez fale, z muszli przegrzebków i z kości broźców. Krzyżowały się w nim długie wydmowe trawy. Spałyśmy w naszych ramionach, z głową zatkniętą pod skrzydło, i było nam ciepło, i nie byłyśmy złe, bez względu na to, co mówili.

I w naszej radości kluczyłyśmy wokół rozlewisk po odpływie, ssąc pomarańczowe mięso z muszli i zamykając koralowce czubkami skrzydeł, gdy nasze nogi siniały i pokrywały się gęsią skórką od wody oceanu, i śpiewaliśmy. Śpiewaliśmy oszalamiające ody do księżycy, który oddycha tak głęboko, że

wciąga w siebie całe morze, a potem je wydycha. Śpiewaliśmy elegie dla naszej matki, pogrzebanej w morzu, kiedy byliśmy pisklętami o różowych paluszkach. Śpiewaliśmy elegie dla naszego ojca, któregośmy nigdy nie znali. Śpiewaliśmy tarantelle i tańczyliśmy je na koralowych rafach, aż stopy spływały nam krwią. Byliśmy szczęśliwe razem w tamtych dniach i nie wiedziałyśmy niczego o świecie, niewinne jak myszki, które objadają rybie mięso z ości, i patrzyliśmy w niebo przez nasze splecione pióra.

Czy wiesz, co to znaczy śpiewać? Czy są pieśni pajaków, cienkie jak pajęczyna? Śpiewać to znaczy rozewrzeć usta, otworzyć pierś i wypychać z siebie serce, krew, szpik i oddech jak rodzone dzieci. Rozwierałyśmy usta, otwierałyśmy piersi i wypychałyśmy z siebie nasze serca, naszą krew, nasz szpik i oddech, i wszystkie pieśni były naszymi siostrzenicami i córkami, leżącymi wśród nas i chichoczącymi na wietrze.

Potem morze wyrzuciło ją na naszą kamienistą mierzeję. Jakże była piękna! Jak błękitne były jej usta! Jakże dziwna jej skóra, jak dziwne włosy splecione z wodorostami! Obserwowałyśmy ją i szturchałyśmy jak delfina wyrzuconego na plażę, naszą utopioną dziewczynę! Miała ubranie żeglarza, w rozdarciu koszuli zobaczyłyśmy pępek – nie wiedziałyśmy, że ludzie są tak zbudowani! – a w pępku igła kompasu wskazywała północ, w kierunku podbródka. Igła była zardzewiała, wyglądała jak pokryta krwią. W butach utopionej dziewczyny chlupotała woda, skorupiaki obrosły obcasy. Szczypałyśmy ją, trącałyśmy i przewracałyśmy, i śpiewaliśmy dla niej – jakeśmy jej śpiewały! Śpiewaliśmy wszystko, co śpiewamy utopionym bliskim. Ciepłe, skoczne menuety, porywające ballady o polowaniu na narwale i o miastach ośmiornic pod falami, ciche

kołysanki o dzieciach dobrze wychowanych i łzach nigdy nieprzelanych, wszystko to, co dała nam nasza dawno zmarła matka.

Zbudź się, dziewczyno! – śpiewaliśmy, ale pozostała sina.

Nadciąga przyptyw! Nie pora na spanie! – śpiewaliśmy, ale pozostała zimna.

Zbudź się, kochana żeglarko! Ghadir, Aszni i Nyd nie pozwolą ci wypić całego morza! – śpiewaliśmy i dziewczyna zakaszłała, jęknęła, wydawała dźwięki, jakie robią żeglarze, gdy nie chcą się zbudzić. Otworzyła oczy, były cudownie niebieskie. Nigdy nie widziałyśmy stworzenia z błękitnymi oczami, choć pieśni matki mówiły, że mogą istnieć gdzieś bardzo, bardzo daleko. Włosy miała czarne i przyklejone do pleców, mokre jak płetwa ryby, a twarz popielatą, zmęczoną, ściągniętą jak u staruchy.

– Dlaczego przywołujecie mnie pieśnią, wstrętne stare przynęty na koty, skoro najpierw wciągnęłyście mnie śpiewem pod wodę?

– O czym mówisz? – ćwierknęła Ghadir.

– Podążałam tropem waszej pieśni, waszej pieśni, która napełniła moje usta solą i morzem...

OPOWIEŚĆ NAWIGATORA

Prowadziłam statki od Adżanabh do północnego przejścia, wytyczając drogę pomiędzy ławicami, pomiędzy płycznami i głębiami, pomiędzy słonecznym morzem i najciemniejszym odpływem, jestem prawdziwą latarnią, latarnią morską, którą statki zabierają z sobą, nie ufając brzegowi. Oddała się w jej ręce, gdy jest najbardziej potrzebna. Mój sekstans jest ich ołtarzem, gdy wychodzimy w morze, do jego mosiężnych kół i atramentowych kątów modlą się żarliwie, tak jak modlili się przez całe życie.

Co znaczy, że nigdy dość żarliwie w Adżanabh.

Teraz praca jest łatwa. Często pływamy na północ, do kry, wiosek rybackich i wielorybów, które rozpylają morze nad swymi śpiewającymi głowami. Dobrze znam kurs, tak dobrze jak własne ciało – i tak dobrze jak morze, bo zostało naniesione na mapę jak półwysep atakowany przez sztormy w dniu, w którym stałam się kompasem.

W Adżanabh jest kobieta, która wykona tego rodzaju zadanie. Trudno znaleźć jej warsztat, ale umiem nawigować po ulicach równie dobrze jak w cieśninie. I kiedy mówię, że wykonuję zadanie tego rodzaju, chodzi mi o to, że ty mówisz jej, co trzeba zrobić, ona mówi ci, ile masz zapłacić, a potem spełnia twoje życzenie w najdziwniejszy sposób, jaki może wymyślić, zwykle związany z rozcinaniem niektórych części twojego ciała

i przerabianiem cię w upragnione przez ciebie narzędzie. Oto jak tyka umysł Folio: lepsza złota kończyzna niż ciało, które może zawieść.

O co poprosiłam? Modlitwa nawigatora brzmi: obym nigdy nie zabłądziła. Folio spełnia życzenia jak džinn, zapewniam. Co wzięła ze mnie w zamian? Wysłuchiła przy moim pępku pierwszych słów, jakie matka mówiła do mnie, gdy leżałam w kołysce z dziobów okrętów – powiedziała, że słyhać je jak ocean. *Moja mama szepnęła: Nie pozwolę, żebyś postawiła stopę na morzu, bo inaczej zostawisz mnie samą i płaczącą jak on.*

A potem chirurg zabrał mój sekstans i nowy kompas w moim brzuchu oszalał z szoku i żalu, i nie mógł znaleźć północy. Sekstans był dla mnie bratem, kochankiem i zaufanym przewodnikiem, a przepadł w tamtym sklepie jak kawałek złomu.

Bez trudu zdobyłam drugi, lecz minął długi czas, zanim go polubiłam. Patrzyłam na niego z niechęcią i podejrzliwością, gdy stał na półce w mojej kajucie, aż w końcu przestał być taki obcy, a gdy strupy z mojego brzucha odpadły, wtedy znowu wyjęłam mapy.

To łatwa praca, jak powiedziałam. W dzisiejszych czasach imigranci są liczni jak pomarańcze na zimowych drzewach. Mówią, że pola przestają rodzić, zatrzymując zielone kielki jak zazdrośni bankierzy, i ci, którzy są mądrzy, odchodzą. Ja nie jestem mądra, ale odchodzenie i przychodzenie to mój zawód, a Adżanabh jest po prostu portem, w którym czeka na mnie zapłata.

Wyruszyliśmy do portu Muireannu dwa tygodnie temu, z ładownią pełną rumu, cytryn i książek z obrazkami, których dzieci nie powinny oglądać – i rodzin, stłoczonych, drżących z

choroby, nieznających futrzanego płaszcza, wydelikaconych przez słońce Południa. Widziałam wielu takich jak oni. Czy jedna para miała córeczkę, wielkooką i milczącą na rozkołysanych falach? Jestem pewna, że miała. Czy inna miała gromadkę chłopców, powiązanych za ręce, żeby się nie rozbiegli? Tego też jestem pewna, co jednak nie znaczy, że pamiętam ich imiona.

Mapa pokrywała mój stół jak serweta, wszystkie te kontynenty, wyspy, fiordy i zatoki były moją sałatką, zupą, kolacją i szalotką, i byłam zadowolona, mój brzuch spokojnie wskazywał północ, mój sekstans stał bezpiecznie na półce. Kreśliłam kurs pewnie i dobrze, moje równania były schludne jak strój panny młodej, zbliżenie się do ławic syren nie wchodziło w rachubę.

Kilku mężczyzn rozmawiało o syrenich pieśniach, gdy pełniłam wachtę z gwiazdami jak ławica plotek nad głową, słuchając poskrzypywania desek i plusku morza o stary mocny kadłub. Paliliśmy fajki ze srebra, fiszbinu i takie zwyczajne, z kolb kukurydzy, i graliśmy w kości na lemoniadę i racje rumu. Pierwszy oficer, skwaszony jak jesiotr, zawsze przegrywał i miał głowę pełną pustych jam zębowych, co było karą za zamiłowanie do hazardu. Ale wciąż grał, i ja wciąż grałam, wszyscy graliśmy. Sternik wymamrotał przez lepką od soku brodę:

– Galien, przysięgam, kiedyś słyszałem! Naprawiałem maszt, a śpiew przypłynął na falach jak promień latarni morskiej, słodszy nad wszelkie wyobrażenie. Śpiewały o mojej siostrze i jej nowym dziecku, które, jak wszyscy mówią, wygląda zupełnie jak ja, raczkuje z drewnianym stateczkiem w małej tłustej łapce! Śpiewały o czasie, kiedy moja siostra zapewniała, że jest

ze mnie dumna, że choć nasz tata powiedział, że przynoszę mu wstyd, bo się nie ożeniłem, nie jestem bogaty i nie jestem trzeźwy, że jestem tylko starym grzybem trzymającym koło, nie jest to wstydem dla niej ani dla jej synka, i za każdym razem, gdy wracałem do domu, dawała mi pieczone kurczę o złocistej skórce, gdyż jestem jej bratem, a ona kochała mnie jak diamenty. Jak wam się to podoba?

– Mnie ani trochę, kłamliwy rybaku. Skąd miałyby coś wiedzieć o twojej siostrze?

– Skąd ja mam wiedzieć? Wiem, co śpiewały, i powiem wam więcej: To głos mojej siostry płynął nad falami. Skoczyłem za nim – nie można słuchać pięknego śpiewu na wietrze, kiedy spędziło się na morzu osiem miesięcy i więcej, nie można słuchać i nie podążać za nim, przez cały czas serce ci pęka jak bukszpryt – skoczyłem za nim i moja noga zaplątała się w takielunek, i wisiałem tak przez godzinę, zanim kapitan mnie złapał, i nie dostałem rumu przez tydzień. Ale słyszałem je. Słyszałem moją siostrę śpiewającą o kurczęciu piekącym się w domu, i wiem, co wiem.

– Chłopaki – powiedziałam ze śmiechem – To pewne jak tarło łososi, że sternik jest pijany i należy natychmiast oskubać go z cytryn.

Zabrzmiał śmiech, jaki nawiedza pokład statku po północy, a sternik potrząsnął posiwiałą głową.

– Brak ci duszy, Galien. Podprowadź nas blisko, żebym znów mógł usłyszeć śpiew siostry.

– Twoja siostra uczy syna rachować w domu gorącym od ognia w kominie. Nie ma jej tutaj w ciemności i wilgoci, na jej szczęście.

Kreśliłam kurs z daleka od płycizn. Ale morze jest dziwne. Czasami chce cię dokądś zaprowadzić i bez względu na to, co twoje mapy mówią przy kolacji, zaniesie cię, gdzie sobie życzy. I jeśli nie okażesz należnego szacunku, nazwiesz je nieulubianymi przezeń nazwami albo rozdasz swoje święte przyrządy jak skrawki papieru, rzuci cię dokładnie w to miejsce, które chciałaś z daleka ominąć.

Mgła podniosła się niczym ręka przed naszymi oczami i nic nie widzieliśmy wokoło. Wspięłam się na bocianie gniazdo, żeby zobaczyć brzeg, jednak widziałam tylko szarości, od czasu do czasu mewę – co mi mówiło, że ląd jest niedaleki – lecz poza tym ja i mój sekstans błędziliśmy jak dzieci w lesie.

A potem usłyszałam.

Śpiew mojej matki. Słyszałam jej cichy, spokojny, uspokajający głos, fałszujący jak zawsze, gruby od fajek i piwa. Słyszałam, jak śpiewa o morzu, błękitnym i jasnym, podobnym do ciała żony, i jak wszyscy kochankowie odchodzą, kiedy ujrzą białe grzywy fali. Słyszałam, jak śpiewa o moim ojcu, który miał rude włosy – wyobraźcie to sobie! Czerwone jak serce! Kto by pomyślał, że coś takiego istnieje na świecie? O moim ojcu i jego wysokim statku, o jego sekstansie i liliach u drzwi, o naszyjnikach z koralu i kości, które przywodził z dzikich krajów, i o jego słonej skórze pod jej ustami. Słyszałam, jak śpiewa o pustej kei i o pustym łóżku, i o modlitwach o bezpieczną przeprawę. Słyszałam, jak śpiewa o statku, który nigdy nie powróci, i o kobiecie od wielu lat stojącej codziennie na nabrzeżu. Słyszałam, jak śpiewa o córce, która miała piec chleb w sklepie i nigdy nie zobaczyć błękitu ani jasności, o córce, która miała tulić jej starą siwą głowę i mówić jej, że była dla niej dobrą matką przez wszystkie dni i noce.

Słyszałam płacz mojej matki – słyszałam ją – a nie można słuchać płaczu matki i nie pójść do niej, po prostu nie można. Skoczyłam w wodę, z dala od takielunku, i plusk był jak powieszenie, taki zimny i taki twardy. Ryby rozpierzchły się przestraszone, gdy wpadłam pomiędzy nie z nagłością haczyka.

Wciąż ją słyszałam, głos nikły i rozchodzący się echem pod wodą, pod mgłą.

– Mamo! – krzyknęłam i woda zdusiła mój głos.

Ramię otoczyło moją talię jak ramię matki, ręka spoczęła na moich włosach jak ręka matki, a głos w moim uchu nie przypominał głosu matki, ale był słodki, smutny i głęboki.

– Dlaczego zawsze słuchacie? – powiedział z westchnieniem, płynąc w bąbelkach ku falom na górze.

Wynurzyłam się z dala od statku niknącego w dali. Wielka foka trzymała mnie na brzuchu jak wydra, patrząc na mnie bezdennymi czarnymi oczyma.

– Puść mnie! Moja matka woła, moja matka płacze!

Foka skrzywiła pysk.

– Nie, nie woła. Upija się do nieprzytomności gdzieś daleko. Gdzie? Możesz tylko zgadywać. Jesteś mokra, żalсна i zgubiona. Ja cię znalazłem, ale to tylko lut szczęścia, a szczęście rzadko trwa długo. Zabiorę cię na suchy ląd, jestem bowiem foką uprzejmą i dobrą. Musisz jednak odpowiedzieć mi na jedno pytanie, jak każdy inny głupi żeglarz, którego znajduję za burtą. Czy wiesz coś o satyrce, która służy na statku, o satyrce z dużymi zielonymi oczami i kędzierzawymi włosami?

– Nie, przyjacielu, nigdy nie słyszałam o takim stworzeniu.

Foka westchnęła i mrużąc oczy, spojrzała w mgłę.

– Tego się mogłem spodziewać. Zawsze słyszę to samo. Uciekłem od niej, taka jest prawda. Nie zasługuję, żeby ją

odnaleźć. Uciekłem z lasu i od złotych promieni przesiewanych przez liście dębu, cisu, brzozy i sosny, uciekłem od chichoczących strumieni i pękających fioletowych winogron, uciekłem od stratowanych kopytami ścieżek i grzybów rosnących w cieniu, uciekłem od gliny i liści, uciekłem od niej. Powiedziałem mnóstwo głupich rzeczy, które wtedy wydawały się mądre, i przytuliłem swoją skórę do piersi, i pobiegłem do morza z uśmiechem i śpiewem na ustach, i moje stopy nawet się nie zmęczyły przez całą drogę do piasku i wody. Skoczyłem w pianę i fale, morze mnie odpychało, fale ciągnęły za pas. Krzyknąłem do wiatru i pelikanów, i byłem pełny soli, i moja skóra była śliska i ochocza!

To wszystko teraz wydaje się niemądre. Gdy tylko posmakowałem morza, wiedziałem, że to na nic. Miałem jej w sobie zbyt wiele. Morze smakowało łzami. I pewnego dnia przepływał nade mną czerwony statek i poznałem, że to jej, wiedziałem, że ona jest nade mną, stuka kopytkami po pokładzie. Płynąłem za nią, ale statek był zbyt szybki. Przepłynąłem całą drogę na skraj Wrzącego Morza, dalej nie mogłem płynąć. Ale jestem cierpliwy. Czekałem. Popłynąłem za nimi na Wyspę Handlarza Skór, popłynąłem za nimi na lodowate morza, gdzie zostali połknięci w całości, tam też popłynąłem. Tygodniami biłem wodę rękami, zanim wieloryb-żółw się wynurzył i mnie także połknął, jego brzuch był bardzo szeroki. Rozglądałem się i rozglądałem wśród starych wraków, ale nie mogłem jej znaleźć. Leżałem na wątrobie bestii i modliłem się o śmierć. Czas upływał w ciemności, straciłem jego rachubę. Kiedy pojawiło się wielkie stado ptaków i paszcza się otworzyła, nawet nie podniosłem głowy, tak daleko byłem od tych kurtyn z fiszbinów. Uciekłem dopiero wtedy, gdy

straszna stara bestia rozdarła brzuch o rafę i wyrzygała wszystko, co w sobie miała. Szukałem wśród szczątków spękanych desek czerwonego statku, lecz nic nie znalazłem.

Ale słyszałem pogłoski o tym statku w zatokach i portach. Wiem, że ona żyje, wiem, że wspina się na fale. – Foka uśmiechnęła się łagodnie. – Kto by pomyślał, że ruszy na morze? Gdybym wiedział, gdybym był mądrzejszy, gdybym był starszy, mniej głupi, zbudowałbym jej dom na brzegu, karmił ją czarnym chlebem i sardynkami, i moglibyśmy być szczęśliwi. Istnieje wiele rodzajów szczęścia. Moglibyśmy odnaleźć nasze.

– Przykro mi. – Delikatnie dotknęłam jego twarzy. – Nie słyszałam o takim statku ani o takiej bestii. Nawet Wrzące Morze wyschło do długiego, białego, suchego łoża bez kropelki wody. Musimy omijać to pustkowie, gdzie szkielety rekinów zaśmiecają spalone dno morskie.

Foka żałośnie pokiwała głową.

– Tak, wiem. Ale wciąż pytam. Nie brakuje żeglarzy, którzy skaczą ze statków jak wielkie niezgrabne albatrosy. Któryś pewnego dnia wyskoczy z jej statku. Wiem.

OPOWIEŚĆ NA PODŁODZE, CIĄG DALSZY

– Był selkie – wyjaśniła nasza żeglarka – a selkie nie odważają się zbliżyć do brzegu. Zaciągnął mnie najdalej, jak mogł, obrócił w stronę lądu i kazał mi płynąć. Ale... – zakaszłała, słona woda trysnęła jej z ust – nigdy nie byłam dobrą pływaczką. Żegluję, nie pływam. Połknęłam ocean i głęboko, na dnie bezdennej ciemności znów usłyszałam śpiew matki. Słyszałam, jak mówi dziecku w swych ramionach, żeby się zbudziło. Patrzyłyśmy jedna na drugą, mrugając, skonsternowane.

– Twojej matki tu nie ma. Naszej matki tu nie ma. Tutaj nie ma matek.

Galien z trudem usiadła, wspierając się na łokciach.

– Oczywiście, że jej nie ma. Wy jesteście. Chyba mnie nie słuchałyście. Wy śpiewacie, a my słuchamy. Słyszymy wszystko, za czym tęsknimy. Czy wiecie, ilu z nas umarło, skacząc do słonej wody za waszymi głosami? Na każdej mapie wasza wyspa jest zaznaczona jako miejsce, które lepiej omijać z daleka.

Nyd zaczął drzeć dziób. Starła się nie płakać.

– To śmieszne – powiedziała Aszni, tupiąc bosymi stopami. – Śpiewamy dla siebie. Każdemu stworzeniu wolno śpiewać. Pieśni nie są dla was. Nie łowimy żeglarzy, nie zarzucamy

naszych głosów w morze jak ostre haczyki. Wypychamy z siebie nasze serca, naszą krew, nasz szpik i oddech...

– Rozbijacie nasze serca i krew, i szpik, i oddech na tych samotnych skałach. Nikt nie przeżył waszej pieśni.

– Nie chciałyśmy tego. Nie zamierzałyśmy. Nasze pieśni były tylko dla nas – powiedziała Ghadir z popielatą twarzą.

Nyd padła na kolana i jej szloch poniósł się echem po płycznach. Złożyła pierzastą głowę na skałach i krzyczała:

– Przepraszam! Przepraszam! Przepraszam!

Zaniosłyśmy Galien do domu. W plątaniu naszych nóg frunęła jak nigdy żadna kobieta, i zostawiłyśmy ją w Adżanabh, żeby odebrała swoją zapłatę, kupiła piwo matce i odwiedziła siostrę starego sternika z jej pieczonymi kurczakami. Oczy miała sine, usta spękane i krwawiące, a rozrzedzone powietrze nie poprawiło jej stanu. Z pustką w oczach, zgarbiona i roztrzęciona, usiadła na czerwonym dachu. Kompas w jej pępku obracał się chaotycznie, więc klepnęła go, zmuszając do posłuszeństwa.

– Już nigdy nie będziemy śpiewać – powiedziała Nyd drżącym głosem, gdy stałyśmy z Galien wśród kominów i rur, z których buchała para, wśród kalenic i gniazd gołębi. Trzymałyśmy ją między sobą, a oczy nawigatorki nie miały dla nas łaski. – Już nigdy nie będziemy mówić. To nasza przysięga. Nie zawołamy do nikogo, nawet do siebie, i może w przyszłych latach topielcy powiedzą, że nam wybaczą. – Jej czarne oczy zaszyły łzami, jej dziób zaklekotał w cierpieniu. – Ale wątpię – dokończyła.

OPOWIEŚĆ KRAWCOWEJ, CIĄG DALSZY

Syreny zakończyły taniec piruetem nad ostatnimi literami. Były zlane potem, ich pióra lepiły się jak skrzydła nowo narodzonego motyla. Dyszały, przeciągały zmęczone nogi, ocierały jedna drugiej czoło. Podłoga była czarna od ich pisma. Skończyłam czytać jakiś czas po tym, jak one zakończyły taniec. Ta, która, jak przypuszczałem, była Nyd, trzymała się za pierś, niemal płacząc na to wspomnienie.

Nigdy tego nie chciałyśmy, napisała sama w kąciku. Jak mogłybyśmy chcieć? Tylko śpiewałyśmy.

– Myślę – zaczęłam z wahaniem – że syrena śpiewa jak świerszcz.

Nikt nie tonie w pieśni świerszcza, napisała szybko Nyd.

Poza tym, napisała druga siostra, cisza pomaga nam pracować. Widzimy teraz świat w naszej kaligrafii, a gdybyśmy ciągle skrzeczały i krakały, nie poznałybyśmy pieśni milczących liter.

Siostry obiecały, że jeśli nie będę pomykać za szybko, tym samym wyglądając dla nich jak śniadanie, może pozwolą mi pracować nad marginaliami. Weszłam do ich kałamarza, umoczyłam stopy w czarnym atramencie galusowym, w sepii, w kosztownym błękicie. Bardzo się starałam, tak bardzo, jak tylko

może pająk. Wytańczyłam arcydzieła maleńkich punktów w rogach ich stronic i na frontyispisach. Wplotłam swój jedwab w kartki mocno, żeby nigdy się nie podarły, i syreny zdumiewały się, jakie miękkie są sieci pod ich stwardniałymi stopami.

Ale nie byłam szczęśliwa. Często trafiałam pod stopę – miejsce dla mnie nadzwyczaj niebezpieczne – a syreny popatrywały na mnie ukradkiem po skąpej kolacji. Cisza darła mnie pazurami. Czekałam na brzęczenie much, plusk wody i głosy, choć parę znękanych głosów, by zmąciły tę gęstą ciszę. Czułam, że jestem nie tyle tkaczką, ile bardzo marnym malarzem, a od wysokości bolała mnie głowa.

Uznałam, że nadszedł czas szukać prawdziwszego wyrażenia przykazania much. Gdy siostry spały, zanurzyłam nogi w niebieskim tuszu i na marginesie ich ostatniego manuskryptu utkałam pożegnalną panoramę: na tle spokojnego morza niezliczeni żeglarze stoją bezpiecznie na brzegu, cali, zdrowi i śpiewający.

W OGRODZIE

Chłopiec czuł jej wzrok na plecach, gdy szedł do pałacu i łóżka, w którym nie było płatków śniegu, zimna i twardości. Oczy miał pełne dziewczynki, pełne jej ciemnych powiek, pełne słów, które mógł teraz smakować w ustach jak ciastka.

– Przyjdź na jej wesele – powiedział.

– Nie mogę tego uniknąć.

– Oddalę się od tłumu i znajdę cię. Jacy będziemy sprytni, spotykając się wśród wszystkich tych ludzi!

– Uważaj, żeby w swoim sprycie nie posunąć się za daleko.

Zaświtała mu pewna myśl, niby płomień, który dymi i sypie iskrami, zanim rozkwitnie w złoto. Nie był pewien, czy się ośmieli – ale jak dym wypełniał jego pierś! Jak drapał, płonął i buchał! Czuł, jak zapala jego serce; czuł, że sam zaczyna płonąć.

I tak się stało, że chłopiec, który pewnego dnia miał zostać sułtanem, poszedł do komnaty siostry noc przed dniem, w który miała zostać żoną i cudzoziemką zarazem. Dinarzad siedziała przed lustrem, rozpuszczone włosy okrywały ją niczym pustynny namiot, a przed nią na mahoniowym stoliku leżały ubrania poplamione czerwienią, złotem i ciemnym błękitem. Oczy miała zmęczone, usta zaciśnięte.

– Jestem taka zmęczona tym malowaniem. – Westchnęła. Koszulę nocną miała ciasno zasznurowaną, jak zbroję. – Nie mogę oddychać, to cuchnie.

– Przykro mi – powiedział chłopiec.
– Nie twoja wina. Nie jesteś rad? Jeszcze jedna noc, a się mnie pozbędziesz.

– Jeśli ty się cieszysz, to ja też – odparł ostrożnie.

– Nie ma znaczenia, czy ja się cieszę.

Ucichła, patrząc na siebie w lustrze.

– Jeśli chcesz, możesz wyszczotkować mi włosy – powiedziała w końcu, niezręcznie i cicho.

Chłopiec wziął szczotkę z kościaną rączką, przeciągnął nią przez jej włosy. Z początku bał się, że szarpnie, że sprawi jej ból, ale ona milczała. Wygładził rękami czarne włosy, zdumiony ciepłem jej głowy. Nigdy w ten sposób jej nie dotykał.

– Co... – Dinarzad chrząknęła, jej głos załamał się lekko, jak ptakowi, któremu zbrakło tchu na dokończenie pieśni. – Jak myślisz, co się stało z papieżycą? Czy była szczęśliwa w swojej wieży, kiedy wojna dobiegła końca? Czy była zgorzkniała? Czy zębami rozerwała książki na kawałki i spiskowała przeciwko innym? Czy miotała się po pałacu jak pochwycony tygrys? Czy rzuciła się ze szczytu wieży? Czy poszła spać i nigdy się nie zbudziła? Czy zbudziła się pewnego ranka i stwierdziła, że jej serce jest białe jak jedwabnik, a słońce złote na parapecie, i wtedy uwierzyła, że może żyć i trzymać pokój w dłoni jak perłę?

Chłopiec szeroko otworzył oczy, zdziwiony.

– Nie... nie wiem. Nie powiedziała mi.

– Jeśli powie, kiedy odejdę, przybądź do mnie, do pałacu, w którym będę wtedy mieszkać, i powiedz mi, co się z nią stało.

Dinarzad wtuliła się w jego ramiona i zapłakała.

– Boję się – szeptała bez końca. – Tak bardzo się boję.

Chłopiec gładził ją po włosach, jak piastunka dziecko, i w duchu przeklinał swoją nieżyczliwość wobec siostry, biednej zagubionej istoty. Jej ramiona przestały drżeć po jakimś czasie i podniosła na niego zaczerwienione, pełne bólu oczy.

– Powiedz mi, bracie, opowiedz mi historię. Opowieść, w której kobieta bierze ślub, mąż jest dla niej dobrym człowiekiem, nie zimnym nieznanym, a inne żony kochają ją jak siostrę. Opowieść, w której kobieta bierze ślub, jej dzieci są piękne i zdrowe, i żyje długi czas, i jej siostry-żony uczą ją piec chleb na sposób swojego kraju. Opowieść, w której kobieta budzi się pewnego ranka i stwierdza, że jej serce jest białe jak jedwabnik, a słońce złote na parapecie, i wtedy wierzy, że może żyć, i trzymać pokój w dłoni jak perłę. Opowiedz mi historię, w której kobieta bierze ślub i jest szczęśliwa.

Chłopcu usta zadrzały, litość ścisnęła mu pierś jak duszące pnącze. Ukląkł u bosych stóp Dinarzad i ujął jej dłonie.

– Nie znam takich historii – szepnął.

– Ja też nie. – Westchnęła. – Ale możliwe, że ktoś je opowiada.

Brat i siostra przez długą chwilę siedzieli w milczeniu, trzymając się za ręce, a potem chłopiec opowiedział jej o tym czymś, co w nim dymiło i sypało iskrami, a ona nie uderzyła go ani nie nazwała głupim, i on kochał ją w tej chwili, swoją siostrę z pięknymi włosami i zimnymi, szczupłymi palcami.

Weselny poranek wstał biały jak jedwabnik, śnieg prószył leniwie, ani trochę nieprzejęty wielkim wydarzeniem. Chude promienie słońca prześwitywały pomiędzy płatkami i cały dwór się zdumiewał. Chłopiec uciekł z garściami pełnymi gotowanych przepiórczych jaj i czekolady. Znalazł dziewczynkę – stała przy kutej bramie, policzki miała wysmagane na czerwono przez

mróz. Nic jej nie powiedział, ale oboje się zaśmiali jak starzy towarzysze, a wówczas gorliwie podniósł ręce, żeby zamknąć jej oczy.

– Tyle godzin do wesela! – zawołał z podnieceniem. – Dowiedzmy się, czy pajęczycza zmieniła zawód!

Dziewczynka zamknęła oczy i uniosła podbródek, jej oddech parował w powietrzu.

– Droga do Parafii zabrała mi wiele dni – zaczął chłopiec. – Osiem nóg nie skraca odległości, a jestem wszak bardzo mała...

OPOWIEŚĆ KRAWCOWEJ, CIĄG DALSZY

W owych czasach w Parafii była budowla, którą mógłbyś pochopnie uznać za kościół. Miała rzeźbione drzwi i pokryty freskami sufit, a w ławkach siedzieli parafianie. W miejscu nawy stał kołowrotek, i krosno, i podwyższenie całkiem podobne do ołtarza. Okna miały baśniowe kolory, ale nie był to kościół, a kobieta stojąca pomiędzy kołowrotkiem i krosnem nie była kapłanką.

Był to dom Xidy. Nawet w oczach pająka, który ma osiem nóg na poparcie swojego imienia, Xida wyglądała niezwykle i groteskowo. Wokół niej obracały się ręce, po jednej na każdą moją, i na każdym z czterdziestu knykci miała pierścienie ze skamieniałego drewna i zwykłego zielonego kamienia, i każdy z czterdziestu palców zajęty był igłami, napastrkami i nićmi, wrzecionami i perłami, belami płótna i pasami koronki, turniurami i fiszbinami, pomponami i spinkami do mankietów. Była kołem i wirem, i z początku się jej bałam. Na ławkach stały cedrowe skrzynie, w każdej cedrowej skrzyni jedwabnik snuł nić, która wiła się po ławkach, płynęła na ołtarz, przez miedziane misy pełne barwnika w każdym możliwym kolorze, i do Xidy. Jedwabniki od czasu do czasu spoglądały na swoją panią w niemym uwielbieniu, do jakiego są zdolne ślepe robaki,

i zadowolone, że bogini jest jeszcze wśród nich, wysnuwały kolejny kawałek drogocennej, wilgotnej nici.

Mijałam te pachnące skrzynie, niewidziana i niezauważona, idąc ku Xidzie, której twarz jaśniała wśród obracających się rąk, której białe jak pajęczyna włosy związane były w surowy kok. Patrzyłam, jak tka, i moje nogi podrygiwały unisono – pragnęły dotykać takiego materiału, tworzyć równie piękne cuda z bawełny i jedwabiu. Byłam oczarowana; byłam urzeczona.

Na podwyższeniu w tej chwili stała kobieta z bardzo długim arystokratycznym nosem, a Xida tkala wokół niej czerwoną suknię, czerpiąc jedwab z rzędów cedrowych skrzyń i splatając go szybciej, niż mogło nadażyć moje oko. Kobieta, naga pod wydłużającą się suknią, w złączonych palcach wysoko podnosiła długie sznury czarnych koralików, żeby nie zaplatały się w szeleszczącą spódnicę.

Wszędzie, gdzie pytałam, gdzie mogę nauczyć się tkać, słyszałam imię Xidy, szeptane, mrużane z czcią. Wykrzyknęłam je, a wówczas dwie z jej rąk się zatrzymały i ocieniły oczy, gdy patrzyła w dal, próbując zlokalizować źródło dźwięku.

– Xido, tutaj jestem, na podłodze! – zawołałam.

– Witaj, pająku. Obawiam się, że nie znam wzorów na twoje ciało, ale jeśli zaczekasz, spróbuję.

Kobieta w na wpół gotowej sukni parsknęła śmiechem. Perła wypadła z jej ust. Jedna z rąk Xidy chwyciła ją zwinnie i wrzuciła do miski już pełnej białych klejnotów.

– Nie, nie potrzebuję ubrania. Pragnę być taka jak ty, nauczyć się tkać. Powiedziano mi, że to odpowiedni zawód dla pająka. Chcę być pająkiem z prawdziwego zdarzenia.

– Moje jedwabniki mogą być zazdrosne – mruknęła. – I, jak przypuszczam, nie będąc jeszcze pająkiem z prawdziwego zdarzenia, nie wiesz o tkaniu nic poza tym, co podpowiada ci instynkt.

Zwiesiłam głowę.

– Z pewnością to prawda.

– Podejdź bliżej, pająku.

Wspięłam się na jej kolano, które wydawało się wielkie i twarde pode mną. Jej twarz wisiała wysoko, ogromna, młoda jak u oblubienicy, jej oczy pełne były śmiechu i światła – ale całe białe, gładkie jak u posągu nie miały źrenic ni tęczówek.

– Przeznaczenie – zaczęła, kładąc głowę na jednym ramieniu, gdy jej ręce tkwały – jest ślepą tkaczką, powiadają. Wiedziałaś? Czy żyjesz na świecie dość długo, by usłyszeć, jak ona tnie, przędzie i szyje, jak nigdy nie ustaje, nawet na krótką chwilę?

– Nie, pani.

– To bardzo głupia historia. Po pierwsze, nigdy w życiu nie przecięłam nici...

OPOWIEŚĆ TKACZKI

Przędę każdą nić do jej naturalnej długości, a kiedy się kończy, to się kończy, i nie przędę dalej. Nie ucinam jej przed czasem tylko dlatego, że wyszedłby ładniejszy rękaw. Wszystko, co tkam, jest dokładnie tym, czym pragnęło zostać, ni mniej, ni więcej.

Zeszłam z Nieba ostatnia. Inni spłynęli w dół niczym deszcz światła i zmieniali się w drodze, a ja nie chciałam się zmienić. Nie widziałam w dole niczego, co podobałoby mi się tak bardzo jak dziura, którą zrobiło dla mnie Niebo, jej chłodne skraje i jej ciemność. Wędrowałam w ciemności, gdy odeszli, sierota w pustym domu. Kiedyś był pełny światła, a teraz Gwiazdy, które zostały, wisiały jak latarnie, daleko jedna od drugiej, milczące.

Daleko na skrajach czerni jest pole trawy. Mogłabym ci powiedzieć, że ciągnie się w nieskończoność, lecz tylko dziecko wierzy, że coś może nie mieć końca. Ale jest tam miejsce, gdzie ciemność staje się usiana światłem, coraz to gęściej, aż dalej, dalej i dalej nie ma niczego prócz światła. To są Gwiazdy, te cętki, Gwiazdy Trawy, które leżą na ciemności jak źdźbła i czekają na tę część Nieba, która wydała świat, by przewędrowała po nich i obwąchała je – tylko raz, tylko trochę, chcą poczuć bodaj najłżejsze muśnięcie jej skóry. Jest mnóstwo tych, którzy wybrali taki los. Nie można im się dziwić.

Przypuszczam, że nie są jedynymi sierotami, które wmawiają sobie, iż jeśli zbudują bardzo ładny dom, to matka do nich powróci.

Poszłam tam raz, tęskniąc za jasnymi, którzy odeszli. Byłam samotna – czy można mnie winić, jeśli w ciemności poszłam w kierunku czegoś, co było najjaśniejsze? Szłam przez pierwsze wiry Gwiazd Traw, ich maleńkie twarzyczki promieniały z oczekiwania, które nigdy nie maleje, ani na chwilę. Szłam przez pola, przez bagna i strumyczki zebranego światła, gdzie Gwiazdy sięgały mi prawie do pasa, kołysząc się na nienazwanych wiatrach, kołysząc się w ciemności. Staralam się stąpać ostrożnie, próbowałam, ale są takie gęste i rozłożyste, że czasami następowałam na trawę. Mogę tylko powiedzieć, że jest mi bardzo przykro. Pękały pode mną, spadały z Nieba w jasnych kawałkach, ostre i krzyczące, sypiące się z Nieba jak szkło.

A kiedy kawałki pękały – czy mam mówić, że nie powinnam tam chodzić? Czy mam mówić, że zostałam ukarana, mała zagubiona dziewczynka, której zakazano chodzić do ogrodu, żeby nie łamała kwiatów ubłoconymi stopami? – kiedy pękały, ich światło bryzgało mi w oczy i wymyło je, i nie widziałam niczego prócz światła.

Od tej pory nie widzę niczego prócz światła.

Ale w tym świetle dostrzegłam kształt, który wydał mi się podobny do świata, i świat, który wydał mi się podobny do mnie. Były tam tkane rzeczy i choć nie mogłam ich zobaczyć, widziałam ich splot, drobny i usiany diamentami, misterny i idealny. I zapragnęłam tkać w ten sposób, chciałam tkać rzeczy większe i wspanialsze, i wraz z tym pragnieniem rosnącym we mnie niczym przedza na wrzecionie, wyrosło mi osiem rąk i

jedwab zebrał się w moim brzuchu – ale nie chciałam zostać pajakiem. Chciałam tylko tkać. Przestałam pragnąć, zanim zmałałam, szerniałam i zyskałam wiele oczu. Po co ślepcowi liczne oczy?

Tak oto w końcu ja też zstąpiłam z niebios, ślepa, mokra i mała, pokaleczona przez deszcz traw, i w miejscu, gdzie spoczęłam, zaczęłam tkać wszystkimi palcami ze wszystkiego, co mogłam znaleźć, z trawy i liści, z gałęzi, z własnych włosów, z błota i jedwabiu, z bawełny i mokrej wełny, z lnu i różanych cierni, z kamieni i rzecznej wody, ze starej kory, z wysokich pni i wiecznie zielonych igieł. Mogłam tkać ze wszystkiego, czego dotknęłam.

I gdy tkałam, widziałam. Widziałam, co tkam, chociaż nic więcej; przez światło wrzące w moim oku widziałam, co tkam, wiedziałam, gdzie zaczyna się każda nitka, w nasionach róż i kwiecie lnu, i gdzie się skończy, gnijąca w proch na martwym ciele wiedźmy leżącym na marach albo pocięta na powijaki dla dziecka w mieście, które jeszcze nawet nie miało imienia. Widziałam nici, widziałam wątek i osnowę, widziałam każdy dzień życia tego, co utkałam. To było takie wspaniałe, że się rozplakałam, i światło z mojego płaczu i mojego tkania wniknęło w tkaninę, w tkaninę, która stała się kamieniami, ulicami i gzymsami, mostami i alejkami, wieżami i dzwonami, drzwiami i kościołami; tkanina przecinała się pod ostrymi, okrutnymi kątami, skręcała się i owijała wokół mnie, siedzącej pośrodku. Z czasem zabrakło światła i zamiast niego moja krew spłynęła w tkaninę, i wszystkie kamienie i ulice, gzymsy, mosty i aleje, wszystkie wieże i dzwony, drzwi i kościoły poczerwieniały, wysnuwając się ze mnie. Ile było bólu! Ale jak śpiewało, gdy się dokonało!

Byłam tutaj zawsze. Zawsze tu będę. Czerwone miasto jest moim dziełem, a ja pozostaję w jego środku. Każdy kamień i każda deska wiedzą, że kiedyś były w moich dłoniach. Widzę, gdzie to wszystko się skończy, widzę całą drogę aż do pustoszącego wiatru, tumanów pyłu i czerwonych kamieni roztartych na ziarnka czerwonego piasku. I wtedy też tu będę. Wiedziałam, że w końcu przybędą ludzie i zdumieją się widokiem pustego miasta, całego gotowego dla nich, pięknego jak suknia. Wiedziałam, że będą głodni i okrutni jak małe pająki, że będą deptać trawę, którą kazano im zostawić w spokoju, że będą tkać i tkać, i tkać, aż wszystkie ich dni rozwiną się przed nimi, czerwone, jasne i krwawe.

OPOWIEŚĆ KRAWCOWEJ, CIĄG DALSZY

– Przybyły przed ludźmi – powiedziała Gwiazda Tkaczka, wskazując jedwabniki w ich przytulnych skrzynkach. – Jak długo musiały wędrować! Pełzły na słabych, białych brzuchach po ostrych, kłających skałach! Moje kochane maleństwa, moi dworzanie, którzy wiedzieli tylko, że to, co ma zostać utkane, tęskni za tkaczką, a tutaj jedna czekała.

Gąsienice wiły się w uniesieniu, że ich pani raczy o nich mówić, i prąd nici się podwoił, śpiewając w misach barwnika i w jej rękach.

– Nie mam więcej światła, nie mam więcej krwi, mój jedwab jest rzadki i cienki w tych czasach, ale one wytwarzają dość przędzy, by starczyło na wszystko, co mogę chcieć utkać, i jesteśmy rodziną, one i ja. Jestem Cesarzową Zaułków; one są jedwabiem marzącym o Gwiazdach.

Myślałam, że pęknę z miłości do niej, i jej białe oczy wypełniły moje pole widzenia.

– Jeśli utkałaś wszystkie te cuda, jak może cię cieszyć tkanie kobiecej sukni? Suknia jest niczym!

Xida popatrzyła na kobietę na podwyższeniu, już prawie ubraną, z talią opiętą szkarłatem pociętym krzyżującymi się

czarnymi linami, żeby pasowały do jej paciorków, w spódnicy przylegającej do nóg i spadającej do podłogi.

– Nie rozumiem cię, pajęcza przyjaciółko. Jak możesz mówić, że suknia to nic? Spójrz na nią. Nic zaczyna się w ustach moich jedwabników i skończy się w ustach mantykory, która przybędzie do Utkanego Miasta i będzie śpiewać u każdego okna, dopóki nie ochrypnie, i jej głos będzie brzmiał jak flet i trąbka grające razem, i pod jednym szczególnym oknem zaśpiewa najsmutniejszą pieśń w życiu, o porażce, smutku i niespełnionej miłości, i poszukiwaniach, które kończą się w kurzu. Pieśń będzie tak straszna, że całe miasto zapłacze. Jak możesz zwać to niczym? Łzy w każdej grządce kwiatów, w każdym brudnym zlewie! Ale to szczególne okno się otworzy i ta kobieta będzie nosić szkarłatną suknię, kiedy się wychyli z uśmiechem, na którego widok pękłoby ci serce. Włosy będą spływać wokół jej twarzy, podobnie jak paciorki, a kiedy wykrzyknie imię bestii, deszcz pereł spadnie z jej ust. Mantykora połamie schody, pędząc do tej kobiety, i delikatnie ugryzie ją w ramię, przewróciwszy ją na podłogę w radości kociątka. Obie zestarzeją się razem: pysk jednej i włosy drugiej zupełnie posiwieją. A kiedy ta kobieta – ta kobieta, której suknię zwiesz niczym! – umrze, jak jej pisane, mantykora zaśpiewa nad jej martwym ciałem w takiej żałobie, że miasto zadrży i zajęczy, i wspomni swój pierwszy płacz, i siedmiu samobójców rzuci się z wież w nieutulonym bólu po wysłuchaniu pieśni żałobnej lwicy. Zrozpaczona mantykora wyjmie z szafy suknię swej pani, jedną po drugiej rozedrze na strzępy i zje, bo wciąż będą miały jej zapach, wciąż będą miały jej smak, a biedna bestia nie będzie mogła znieść rozłąki z tym, co przypomina kobietę, której suknia jest niczym.

Łzy spłynęły po twarzy kobiety na podwyższeniu, jej usta się otworzyły, ale nie mogła mówić, jej łzy soliły suknię i paciorki, gdy oddychała urywanie i chrapliwie. A jednak się uśmiechnęła i podniosła do ust obwieszona paciorkami ręce.

OPOWIEŚĆ O PUSTKOWIU, CIĄG DALSZY

Kobieta w czarnym woalu i lamparcica słuchały, leżąc razem skulone na spękanej ziemi. Ogon cętkowanej kocicy poruszał się na boki.

– Tam, skąd pochodzimy, w mieście zwanym Urim, nikt nie może chodzić w niczym innym, jak tylko w czarnych szatach i woalach, które widzisz na mojej pani. Nie potrafimy wyobrazić sobie takiej sukni.

– Ja też nie mogłam – powiedziała Oparzona, jej dym spokojnie spływał w spirali od czubka głowy do koniuszka nibyogona. – Dżinnowie czasami stroją się w dziwaczne rzeczy, jeśli są królami, królowymi albo kapłanami Chajghalu, ale przecież możemy tkać z naszych płomieni dowolne tkaniny, często przyćmiewają one nawet najbogatsze stroje. Nie mogę jednak zobaczyć, gdzie się skończy tkanina mojego ciała, a to byłaby użyteczna sztuczka.

– W Urim poznajemy się tylko po oczach. Czarna zasłona wisi też w każdym oknie.

– Wydaje mi się to straszne i ponure – stwierdziła dżinnica.

– Nam też, ale przecież Urim jest Miastem Pogrzebowym, nie możemy postępować sprzecznie z naszym charakterem.

Oparzona nic nie powiedziała, w jej oczach błyskały płomienie. Przyłożyła czarne ręce do krat klatki.

– A jednak nie jesteście martwe i uciekacie z tego obwieszzonego kirem miejsca.

Kocica uśmiechnęła się w taki sposób, w jaki uśmiechają się koty.

– Wszystkie opowieści o zmarłych są takie same. My jesteśmy zainteresowane wami, którzy żyjecie i płoniecie.

Oparzona pokręciła głową.

– Jesteś bardzo dziwna, Rozdarta. A twoja pani jest jeszcze dziwniejsza.

– Tak mówi ognisty demon zamknięty w żelaznej klatce, którą mógłby stopić, gdyby miał takie życzenie – stwierdziła lamparcica gładko.

– Otóż to – odparła dzinnica ze śmiechem.

OPOWIEŚĆ KRAWCOWEJ, CIĄG DALSZY

Nie rozumiem, dlaczego pozwoliła mi zostać. Jestem pająkiem, niczym więcej, a jednak kazała mi siąść obok siebie i opowiedzieć o szklance, o trucicielu, o biednych syrenach. Ani na chwilę nie przestała tkać, ale śmiała się i wstrzymywała oddech we właściwych momentach, właśnie tak, jakby mnie słuchała i przejmowała się ciężkim życiem pajaków.

Nazwała mnie Rękaw. Powiedziała, że chce mnie nauczyć wartości sukien. I uczyłam się, i słuchałam jej opowieści o każdym elemencie garderoby: o zielonej pończosze dla jednonożca, który podrze skarpetę na szmaragdowe strzępy na cierniach słonych jagód antypodów; o czarnym płaszczu dla adzańskiego grabarza, który ożeni się w dzień przed śmiercią, weźmie ślub i spocznie w grobie w tym samym płaszczu; o zwiewnej białej sukni utkanej prawie zupełnie z mojego jedwabiu, jedwabiu skromnego pająka, dla żony księcia, która ją spali na popiół po urodzeniu dziecka; o skrzydłach utkanych z końskiego włosia i płatków róży dla syna maskarza, który chce zobaczyć, jak Adżanabh wygląda z góry – ukryje je przed ojcem pod podłogą i będzie ukrywać tak długo, aż przemieni się w kurz i brązowe płatki pod zielonym dywanem. Słuchałam tych historii równie pilnie, jak studiowałam wzory, i w

towarzystwie Gwiazdy nauczyłam się robić wszystko, co jest dla pająka słusznym i właściwym zadaniem.

W kościele, który nie był kościołem, mieszkały myszy. To naprawdę nie powinno dziwić, gdyż myszy są plagą we wszystkich kościołach. Poza promieniejącym miejscem, gdzie tkiała Xida, i rzędami skrzyń jedwabników wewnątrz było strasznie zakurzone i zaniedbane. Kurz pokrywał wszystko, wszystko było szare, bure i matowe – niebianin rzadko zwraca uwagę na stan podłogi. Zauważałam to tylko ja, która po niej chodziłam. W kątach, gdzie mieszkały myszy, zalegał kurz tak gruby i głęboki, że gdybym nie była ostrożna, zatonęłabym w nim jak w miękkim popiele i słuch by po mnie zginął. Myszy, znacznie większe ode mnie, chodziły przez tę mgłę kurzu jak przez powietrze i widziały niewiele poza zmieniającymi się odcieniami kurzu, i same stały się podobne dryfującemu kurzowi.

Rozmawiałam z nimi od czasu do czasu, bo wszystkie z nabożnym lękiem patrzyły na Gwiazdę Tkaczkę i na jej gąsienice, i nie śmiały się do niej zbliżyć – ale pragnęły jej dotknąć, bardzo pragnęły jej dotknąć!

Jedna była duża, z mięśniami wyćwiczonymi w czasie brodzenia w kurzu. Późnym letnim wieczorem powiedziała do mnie, gładząc wąsy szarymi łapkami:

– Jest taka jasna!

– Ja myślę. Wyobraź sobie, jak musiała wyglądać na początku! Tyle tu światła!

Mysz ściągnęła brwi.

– Jest jaśniejsza niż wszystko, co znamy.

– Nie jest jaśniejsza niż ty czy ja. Jej światło się wysnuło, nitka po nitce.

– Jest jasna od wewnątrz! – warknęła mysz z irytacją. –
Rozmawialiśmy w kurzu i uznaliśmy, że chcemy ją zjeść.

Na chwilę odjęło mi mowę, moje gardło zacisnęło się z
przerażenia.

– Czy do tego prowadzi życie w kurzu? Nie możecie jej zjeść!

– Jeśli ugryziemy wszyscy naraz, możemy.

– Ja wam nie pozwolę. Mysz wyszczerzyła zęby.

– Masz dość trucizny dla pięciu, może sześciu z nas, jeśli
będziesz bardzo zła. Ale reszta będzie mogła wypić ją całą! Jaka
jasna! Jaka słodka! Jacy jaśni się staniemy!

– Proszę! Nie możecie tego zrobić! Czym będziemy bez niej?

– Ty możesz być, czym chcesz. My będziemy jaśni. O takiej
jasności, jak żadna mysz nie może nawet marzyć!

OPOWIEŚĆ O KRÓLESTWIE MYSZY

Kurz był na początku i Kurz będzie na końcu, i w środku jest Kurz, Kurz, Kurz!

Myszy kościelne wiedzą, że Kurz jest substancją wszystkich możliwych rzeczy. Słyszeliśmy, że w nieprawdopodobnym kraju za drzwiami kościoła są ci, którzy wierzą, że ogień jest substancją wszystkiego, albo woda, albo eter, albo maleńkie drobiny światła, których nikt nie może zobaczyć. Wprost nie do uwierzenia, kto wymyśla takie głupoty?

Choć są wśród nas tacy, którzy słyszeli – ach, gdyby tylko nie zaczęli sobie tego wyobrażać! – że na zewnątrz tych murów istnieje płonąca kula zwana słońcem, i że jest tam najjaśniejsza ze wszystkiego.

Ja też pozremy, jeżeli naprawdę istnieje.

W Kurzu nic nie jest jasne. Jest tylko szarość, burość i miękki, popielaty zapach ciągle muskający wąsy. Nienawidzimy go, ale przez długi czas nie wiedzieliśmy, jak można przed nim uciec. Kiedy byłem małą kluseczką u sutka matki, słyszałem, jak starzy siwi wujowie rozmawiali o Łysym Ogonie, wicekrólu myszy w dniach dawnych – nie może bowiem być króla Kurzu, który jest tutaj wszędzie, który daje nam życie i śmierć. Kurz jest królem nas wszystkich. Łysy Ogon był dzielny, był najdzielniejszą myszą, jaka kiedykolwiek zrodziła się w Kurzu. Odziany w Kurz, wyszedł z Kątów, co czasami czynią

wicekrólowie, będący mężnymi władcami, którzy nie wzbraniają się przed przygodą. Zobaczył gąsienice w skrzyniach – wynaturzenie! – i tkane nici, i miedziane misy wokół Tkaczki. Stał na zadnich nogach, żeby sprawdzić, co zawiera jedna z tych mis, i machał wąsami, strzepując do środka drobiny Kurzu.

Jak powiedziałem, Łysy Ogon był dzielny. Tak szybko stanął na palcach i tak mocno pociągnął miedzianą misę, że barwnik będący magiczną i obcą miksturą, którą Tkaczka zazdrośnie trzyma przy sobie, zmoczył go od łap po koniuszek nagiego ogona. Stał się Żółty od oczodołu do ucha, na pewno bardziej Żółty niż ta kula, którą nazywają słońcem. Barwnik zmył Kurz i Łysy Ogon, sam pośród wszystkich myszy, uwolnił się od niego; Łysy Ogon zrzucił substancję śmiertelności i zrobił się złoty.

Łysy Ogon wrócił do zasypanych Kurzem Kątów i powiedział wszystkim myszom, co widział i czego dokonał. Z początku odsuwali się od jego żółtego ciała z obrzydzeniem i strachem. Raził ich w oczy, które nigdy nie widziały niczego prócz Kurzu, zawsze tonęły w Kurzu, grudki szarości w szarości. Ale oto Łysy Ogon płonął! Żółty! Możesz wyobrazić sobie to poruszenie, tę konsternację? Istniały teraz dwie rzeczy we wszechświecie: Kurz i Żółtość!

Im bardziej myszy przyglądały się Łysemu Ogonowi, tym bardziej mu zazdrościły. Jedna czy dwie ośmieliły się liznąć jego lśniące futro różowymi językami, które wysunęły się zza pokrytych Kurzem zębów. Smakował jasno, powiedziały. Jasno, ciepło. Łysy Ogon ze swej strony zachęcał nas do podjęcia wyprawy i odkrycia mis dla siebie.

– Tkaczka nic nie widzi prócz nici i swoich gąsienic! – przekonywał. – Nie zrobi nam krzywdy! Stańcie się jaśni!

Stańcie się inni niż Kurz!

Wtedy jeszcze baliśmy się Tkaczki. Wydawała się wielka i przebiegła. Ale zdecydowano, że ostatecznie staniemy się jaśni – w kątach Kątów uzgodniliśmy, że zjemy Łysego Ogona, a wtedy zostaniemy Żółci i zatriumfujemy nad Kurzem. Napadliśmy na wicekróla w najgęstszych, najwilgotniejszych bagnach Kurzu i zębami rozdarliśmy go od zadu po długi, goły ogon. Smakował jak każda inna mysz.

Ale jakie to było uczucie! Czuliśmy w sobie jego jasność, jego Żółtość. Wślizgiwała się do naszych brzuchów jak masło, jak w naszych marzeniach wślizgiwało się słońce. Ci z nas, którzy zjedli Łysego Ogona, zostali wyniesieni wśród myszy. Zaczęliśmy myśleć jak żadna inna mysz do tej pory: A jeśli we wszechświecie są więcej niż dwie rzeczy? A jeśli jest coś więcej niż Kurz i Żółtość? Nie mieliśmy pojęcia, czym mogą być te rzeczy, ale pragnęliśmy więcej jasności, więcej światła, więcej Żółtego! Te myszy, które nie poznały smaku Żółtego, bolały nad swoją stratą i były bardziej chętne niż inni z nas, by znaleźć te inne rzeczy.

Kilka wyruszyło z Kątów i przechyliło misy nad głowami. Przybiegły, podskakując z radości, by pokazać nam, że istnieje rzecz zwana Zielenią, a także wręcz niewyobrażalna Purpura! Westchnęliśmy z podziwu i uniesienie odjęło nam mowę, nie mogliśmy uwierzyć, że we wszechświecie jest miejsce dla tych rzeczy i również dla Kurzu. I skoczyliśmy na nich, i chleptaliśmy Zieleń i Purpurę z ich futer, wysysając sierść jak szpik z kości... oczywiście szpik z kości też wysysaliśmy. To były szalone dni – nawet nie spróbuję ci opowiedzieć o Uczcie Czerwieni!

Ale nie chcemy marnować więcej czasu na skakanie przy miskach. Po co prosić o okruszki, kiedy widzimy pieczeń? Wiemy, że Tkaczka jest źródłem wszystkich Żółci, Zieleni, Fioletów, Czerwieni, wszystkiego, co nie jest Kurzem, i zjemy ją, jak zjedliśmy Łysego Ogona, i Czarnego Wąsa, i Zakurzony Brzuch, i Zmiażdżoną Łapę. Ach, jak jaśni wtedy będziemy!

OPOWIEŚĆ KRAWCOWEJ, CIĄG DALSZY

Mysz oblizwała się i załamała szare łapki.

– Jak ona będzie smakować? Czy będzie smakować jak mysz? Zadrzałam pod jej wygłodzonym spojrzeniem.

– Widziałam słońce i ulice, i cały świat za drzwiami kościoła. Dlaczego tam nie pójdziecie? Otworzę dla was drzwi, możecie wszyscy pójść w światło i zobaczycie sami, że wszechświat jest zrobiony z wielu innych rzeczy niż Żółty, Zielony, Purpurowy i Czerwony. Wiecie, co to jest błękit?

– Nie! Czy trudno go zjeść? – Mysz uśmiechnęła się szeroko, pokazując zakurzone zęby.

– Tak, bardzo. – Rozpaczliwie postukiwałam tylnymi nogami, brzuch bolał mnie ze strachu. – Ale chodź, myszy, mój przyjacielu! – zawołałam z udawaną wesołością. – Xida nie jest warta waszego zachodu! Jest całkiem wyżęta, jak stare ubranie! Chodźcie ze mną, w świat za drzwiami kościoła, ty i wszyscy twoi bracia, a pokażę wam najjaśniejsze rzeczy! Utkam wszystko, cokolwiek zechcecie, w piękno, kolor i światło! A wy stwierdzicie, że możecie być jaśniejsi niż lampy bez zjadania niczego niestosownego, jest wiele dróg do jasności.

Mysz nie uwierzyła.

– Słyszałem, że w świecie na zewnątrz łatwo stać się Rozdeptanym albo Zmiecionym Miotłą. Pragniemy być jaśni! Pragniemy być jaśni i wielcy, żeby nikt nie mógł nas Rozdeptać ani nie zrobić nam niczego Miotłami!

Zastanawiałam się przez długą chwilę, czy rodziły się w moich licznych oczach.

– Chyba wiem, jak możecie mieć wszystko, co chcecie, i zostawić Tkaczkę w spokoju, niezjedzoną i niepoznaną.

Poszłam do Xidy i usadowiłam się w zgięciu jej łokcia, pełna smutków jak pajęczyna much – bo teraz wiedziałam, będąc pająkiem z prawdziwego zdarzenia, do czego służą muchy i pajęczyny, i rozumiałam, dlaczego muchy nie chciały ze mną rozmawiać. Powiedziałam jej wszystko, co słyszałam i co zamierzam zrobić. Uśmiechnęła się ze smutkiem, jej białe oczy błysnęły, a potem jej usta opadły – jak delikatnie! – na moje plecy. Pocałunek był jak księżycowa poświata. Zaznałam spokoju.

Zacząłam tkać wiele rzeczy, szykując się do mojego odejścia, do exodusu mysiego królestwa. Najpierw utkałam pończochy i zielone buty w drewnianej ławce. Utkalam długą czarną perukę lśniących kędziorów. Poszłam do Ruder Maskarzy po maskę ze złotą i pawich piór. I, ponieważ myszy o to błagały, tkałam przez wiele dni i tygodni, miesięcy i lat, bo pająk jest mały, bez porównania z Gwiazdą, tkałam długi płaszcz cały żółty, ze złotą nicią w każdym szwie.

OPOWIEŚĆ O PŁASZCZU Z PIÓR, CIAĞ DALSZY

– Ćwiczyły, gdy tkalam, ćwiczyły, stając jedna na drugiej, nadzwyczajne kształty: najpierw kota, bo są przewrotne, potem psa, potem wilka, potem lwa, a potem, kiedy umiały otworzyć mysie usta i ryknąć w taki sposób, że gołębnie w krokwiach rzuciły deszcz białych piór na podłogę, ostrożnie utworzyły postać człowieka. Pomogłam im włożyć na wijące się ramiona żółty płaszcz, do ich kłębiącej się głowy przywiązałam maskę ze złota, a na ich wiercące się nogi wzułam pończochy i buty. Wybrali mysz, która ubiła ze mną interes, na głos swojego golema. Poprosiła mnie, żebym nadała im dobre imię, które nie będzie miało nic wspólnego z wąsami, ogonami czy łapami. Zaproponowałam Kostia, imię grabarza. Może było to pobożne życzenie z mej strony.

„Ale zostawicie Xidę w spokoju?” – zapytałam z rozpaczą.

„Jeśli będziesz zaopatrywać nas w zabawną jasność, na pewno pozwolimy jej żyć” – oznajmił Kostia wspaniałomyślnie.

Tak więc odziewałam je w kolory, a oni zostawili w spokoju serce Adzanabh. Dam im płaszcz z twoich piór. Błagam cię o wybaczenie, ale nie mogę pozwolić, by najmniejszy ząb skubnął ją w rękę.

Rękaw pociągnęła nosem i podniosła jedną z igłowych nóg, naprężając złotą nić.

– Co do moich nóg, pewnie już odgadłeś. To dzieło Folio, autorki wszystkich cudów w Adżanabh, z których ja stanowią najmniejszy i najtajniejszy. Prosiłam ją o to, błagałam ją o to, żeby być godną Xidy – w tym znajdziesz wspólną opowieść we wszystkich dzielnicach i parafiach miasta. Zapłaciłam jej większą ilością swojego jedwabiu, niż kiedykolwiek wysnułam z ciała, i omal nie umarłam z wysiłku, ale potrzebowała tyle, żeby udoskonalić stawy swojej córki, rozumiesz. – Rękaw wesoło klasnęła przednimi nogami. – Dziwnie jest pomyśleć, jak duża część jej dziecka została zrobiona z ukochanych własności adżanńczyków! Spełnia życzenia jak džinn, ale zabiera i zabiera w zamian. Pewnie jak džinn. Chciałam tkać coś więcej niż pajęczę sieci – spełniła moją prośbę. Zadanie było bardzo finezyjne, powiedziała.

– Co Kostia ze mną zrobi, gdy mój ogon zniknie? Pajęczycyca nie odpowiedziała, żałośnie postukując igłami.

– Może pamiętasz mojego truciciela – zaczęła z wahaniem.

– Skąd się bierze ta twoja lojalność?! – krzyknąłem. – Nie pamiętam twojego truciciela! Moja klatka jest mocna i więżą mnie pióra, które mi zabrałaś, zupełnie inaczej niż twoja szklanka w dawnych dniach, zupełnie inaczej niż twoje igły! Zrób coś, jeśli go nienawidzisz, ukąś go, nie służ mu pokornie, jak gdybyś nie mogła zrobić nic innego! – Zagrzechotałem z frustracji poczerniałymi prętami, ale Rękaw popatrzyła na mnie chłodno, jej nici zafalowały.

– Czy każde wielkie stworzenie myśli, że jego niedola były tragedią dla świata, a cierpienia maluczkich niczym w porównaniu z ich własnym? Z pewnością Kostia też tak myśli,

teraz, gdy rzuca długi cień. Już nie zwraca na mnie uwagi – jestem ośmionogą maszyną bez innego celu, jak tylko produkowanie jasności. Ze swojej wysokości nawet mnie nie widzi. Ale powiedział ci, że są tu kąty, a gdzie są kąty, tam są myszy, i wszystkie myszy żyją w podziwiew dla jego dokonań, jego, który chodzi wśród ludzi w takich pięknych strojach. Nie musi mnie pilnować; one mnie pilnują. One słuchają. Dzwon jest klatką równie mocną jak twoja. – Pokręciła głową. – Nie jestem równie bystra jak ty, ale wciąż krwawię i cierpię przez niego, dla jej dobra.

Speszony, położyłem się na poduszkach. Klatka się zakołysała i krokiew jęknęła pod jej ciężarem. Kałuże nocy zbierały się na cienkich deskach podłogi. Głos pajęczycy popłynął echem z dzwonu, zadumany i zgrzytliwy.

– Nić, którą zszywam twój płaszcz, nie pochodzi z twoich piór, wiesz. Jest najczerwieńsza z czerwonozłotych jedwabi; pomogłam Xidzie wysnuć ją z jedwabników w ich skrzyniach. I powiedziała mi – zawsze mi mówi – gdzie nitka się skończy. Chciałbyś wiedzieć?

– Tak – odparłem słabym głosem.

– „Rękawku” – szepnęła, bo jest taktowna, nie krzywdzi mnie hałasem w przeciwieństwie do wielu innych – „nie uwierzyłabyś, dokąd ta nić zmierza! Przez twoje małe ciało do kołyski w nocy, do powijaków i jedynej pociechy dziecka. Ale tam się nie skończy – to dar siostry dla siostry, i będzie wiele ognia, tak wiele ognia, i światło!”. Myślę więc, że powinienesz przypomnieć sobie mojego truciciela i nie upadać na duchu.

Nic więcej nie dobiegło z dzwonu, choć czekałem, czekałem i wytrzymałem słuch, by wyłowić najcichszy dźwięk. Nic jednak nie usłyszałem. W wieży dzwonnej panowała cisza. W swoim czasie

człowiek-mysz wrócił, by wyrywać kolejną garść piór z mojego ogona. Śpiewał i tańczył z radości. Nie krzyknąłem, tylko łkałem, i rósł krąg złota pod klatką. Tak cierpiałem przez dni i noce, z pajakiem przy uchu i myszami przy drzwiach klatki. Raz czy dwa chyba dostrzegłem, że widzę błysk szarego futra albo czarnych ślepek za ziejącymi dziurami jego maski.

Jestem bardzo duży, ale płaszcz ma kilka warstw, i kiedy mój ogon zniknął, a ja zostałem nagi i zawstydzony, piór wciąż było za mało. Dlatego musiałem czekać, on też, aż pióra odrosną i będą mogły znów zostać wyskubane. Rękaw, maleńka krawcowa, nie mogła tkać szybko, i te dwa szczęśliwe zbiegi okoliczności sprawiły, że tkanie płaszcza trwało ponad dwa lata. Czułem, jak głupieję i starzeję się, słabnę z upływu krwi, od walki i gorzkich złotych łez. Kostia trzy razy wyskubywał mój ogon, a w tym czasie w wieży dzwonnej piętrzyły się lśniące rzeczy, dzbany srebra i kosze miedzi, monety i niezliczone żakiety, wszystkie zółte i każdy jaskrawszy od innych, i bele materiału, który zdawał się jarzyć, i owoce lśniące w świetle ognia – i resztki, które wolno mi było zjadać, gdy Kostia się nasycił: jabłka i granaty, rajskie banany i śliskie, wilgotne daktyle. Od czasu do czasu, wierny danemu słowu, dawał mi myszy łapane w kątach wieży i wrzucane do mojej klatki; czemu miałyby płakać nad myszami, które nie zjadły Żółtego ani Zielonego, które nie wychowały się w Kurzu, które nie mieszkały w jego jedwabnym futerale?

W końcu, gdy osłabła do cna, bo tak często byłem skubany i odzierany, bo tak często moja radość i wola płynęły w górę do dzwonu, Kostia przyszedł po swoich nocnych rozrywkach, trzęsąc się i chichocząc z niecierpliwości. Ledwo mogłem podnieść głowę bez jego rozkazu.

– Latarnio, raduj się! Jest gotowy! Najjaśniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek znałem! Będę jaśniejszy od ciebie!

Machnąłem słabo żalonymi czerwonymi kępkami ogona. Z prętów klatki skoczyło parę iskier.

– Ponury z ciebie kurczak – zganił mnie, poprawiając złotą pawią maskę. – Rękaw! Rękaw! Czy mój płaszcz jest gotowy? Przyślij go na dół! Czekałem tak długo! Obiecałaś! Jeśli nie dasz mi go natychmiast, popędzę z powrotem do drzwi kościoła!

Z krawędzi dzwonu jęło spływać złoto, rosło i rosło. Nawet ja byłem zdumiony i oszołomiony: płaszcz z piór, niewyobrażalnie wspaniały, tak długi, że miał kłaść się za właścicielem w królewskiej kałuży pierzastego jedwabiu. Lśnił złotem, czerwienią, oranżem i bielą, każde pióro nakładało się na inne, niemalże zbyt jasne, żeby na nie patrzeć. Z niską, sztywną krezą z najkrótszych piór, które miały wesoło stroszyć się wokół szyi, ozdobiony frędzlami i piękny, piękniejszy niż marzenia krawca najszlachetniejszego rodu, jarzył się moim własnym światłem, moimi własnymi barwami. Nie mogłem wyobrazić sobie królowej, cesarza, dandysa, którzy sami nie staliby się mali, pospolici i przyćmieni w takim płaszczu. Był jak samo słońce utkane w kształt ramion.

Kostia pisnął z uniesienia, ale gdy obejrzał płaszcz z bliska, zaczął się krzywić.

– Wcześniej był jaśniejszy – burknął zrzędlawie.

Rękaw zbiegła po tkaninie wciąż zwisającej z dzwonu.

– Jego pióra płoną tylko wtedy, gdy są w jego ciele, bo to on jest ogniem, nie one. Niestety, Latarnia jest za wielki, by go nosić jako naramienną broszkę. Ale wierz mi, żaden płaszcz pod słońcem nie może równać się z tym, Kostio, przyjacielu. –

Zastukała igłami i głośno przełknęła ślinę. – Jesteś jaśniejszy niż ona – wykrztusiła w końcu.

Na te słowa Kostia poderwał się w powietrze w chwiejnym, ale radosnym podskoku, uderzając obcasem szmaragdowego buta o łydkę obleczoną w szmaragdową pończochę.

– Pomóż mi! – zawołał ze śmiechem. – Pomóż mi go włożyć!

Wsunął głowę w kaptur. Rękaw igielnymi nogami i kosztem wielkiego wysiłku dźwignęła migoczący płaszcz na kłębiące się ramiona Kostii, nie zwracając uwagi na pożądliwe piski i wicie się palców w rękawicach. Płaszcz nakrył go niczym wielka, ognista ręka, a w chwili, gdy Rękaw zarzuciła lewą połę i zapięła spinkę z mojego szpona, przyciętą i wyrzeźbioną, człowiek z myszy zaczął krzyczeć.

Skrecał się w płaszczu, co wyglądało dziwnie, bo twarz miał nieruchomą, mała szczelina ust nie poruszała się ani nie krzywiła. Pierwszemu krzykowi, straszemu i wysokiemu, zawtórowały setki, tysiące przeraźliwych głosików tworzących mysi chór agonii – i myszy jeły wybiegać z oczu maski, z ust, z peruki, przegryzać się przez zielone pończochy i buty, wypadać z brokatowego brzucha, rozdzierając żółty płaszcz na brudne strzępy. Myszy uciekły z jego ciała, ale gdy biegły w ślepej desperacji, zaczęły umierać, jedna za drugą, padając na podłogę z cichym, budzącym mdłości łoskotem. Rękaw biegała wśród nich, kłując je igłami i krzycząc chrapliwym, drżącym jak nitka głosem, przerażona i triumfująca. Minął długi czas, nim zyskała pewność, że wszystkie nie żyją, martwe jak kurz.

Kiedy skończyła, odpięła klucz od polerowanego pasa, zahaczyła go nogą i przywlokła do mnie. Mój dziób nie jest zbyt sprawny, ale zdołałem uwolnić się z klatki, która więziła mnie przez lata.

– Przyszło mi na myśl – wysapała pajęczycza – że może nie powinno się pobłażać myszom. Że może Gwiazda wcale nie potrzebuje pająka, aby się o nią troszczył. Że może dość długo już mieszkałam w dzwonie.

– Nie rozumiem – powiedziałem ze zdumieniem, rozpościerając skrzydła od ściany do ściany.

– Nasączenie każdego pióra moją trucizną zabrało mi dwa lata. Jestem przecież małym stworzeniem. Trucizna parowała, gdy skończyłam, choć nie mogłeś jej zobaczyć. Myszy odetchnęły moimi oparami i w panice – zawsze można polegać na panice myszy – przegryzły się przez ubranie i spodnią warstwę piór, przełykając moją truciznę równie ochoczo, jak połykały wszystko inne. Moja trucizna nie jest piękna, ale działa szybko.

Śmiejąc się i płacząc, przeszliśmy razem przez leżące pokotem myszy. Miażdżyłem je pod nogami, zostawiając na deskach małe krążki, jak upiorne filizanki. Rękaw siedziała na moim ramieniu, gładząc moje pióra, a ja wzdychałem z żalu i z ulgi. Kiedy skończyliśmy, pozwoliłem, by iskry strzelające z kępek mego puchu padły na płaszcz. Patrzyliśmy, jak płonie zielona trucizna, jak skacze w płomieniach. Wreszcie płaszcz, dopóki się nie oczyścił, a wtedy Rękaw poprosiła mnie, żebym rozbił dzwon.

– Tego zamka nie mogę otworzyć – powiedziała. – Jestem pewna, że zrobisz to dla mnie.

Spojrzałem ku krokwiom, tak spękany i wysokim, że niebo lało się przez nie do wieży niczym czarny atrament z butelki. Parę razy machnąłem skrzydłami, lecąc na spotkanie nieba, i choć bez ogona byłem niezdatny, zdołałem ciosem dzioba rozbić dzwon na skorupy brązu.

– Dziękuję – powiedziała Rękaw i ruszyła powoli w dół schodów, z zadowoleniem klekocząc igłami.

OPOWIEŚĆ O KLATCE Z KOŚCI SŁONIOWEJ I O KLATCE Z ŻELAZA, CIAĞ DALSZY

– Najwyraźniej znowu odrosły – powiedziałam, patrząc na jego pełny, gęsty ogon jarzący się wesoło w ciemności. Oświetlał pokój jak ogień w kominie.

– Najwyraźniej – potwierdził.

– Przecież doznałeś tu wielkiej krzywdy – dlaczego zostałeś? Do tego w tej samej wysłanej poduszkami klatce? Musisz być chory na umyśle!

Zaśmiał się cicho, żeby nie zbudzić dziecka.

– Z początku bałem się odejść, wrócić do tego dziwnego miasta z jego pustymi ulicami i obcymi dźwiękami. Zaszyłem się tutaj. Jadłem myszy. Ale w końcu wyjrzałem przez drzwi i zobaczyłem parafię zajętą przez wszystkich świętych Adżanabh, którzy zostali i tańczyli w ruinach. Trochę się na tym znam, więc też puściłem się w tany. W Karnawale Brzasku jestem najlepszym błyskiem słońca i w moich płomieniach miasto codziennie widzi odrodzenie. Nie jestem feniksem, lecz staram się, jak mogę.

– Mówisz tak, jakbyś sam to wszystko robił! – Dziewczynka usiadła nagle, długie włosy spadły wokół jej twarzy. Krzyżując ręce na piersi, spojrzała gniewnie na wielkiego ptaka ognistego.

– No tak, robiłem, moje ty ciemnookie kochanie, zanim tu przybyłaś. – Latarnia popatrzył na mnie, jego złote oczy pojaśniały z dumy. – Dzieci wszystko zmieniają, prawda?

– Teraz mogłam lepiej się przyjrzeć dziewczynce. Była nadzwyczaj piękna. Oczy miała duże i czyste, brązowe jak chrust na rozpałkę, włosy splecione w luźne warkocze, długie i czarne jak sadza, nos drobny, nozdrza rozdęte, podbródek wycięty ostro niczym klejnot. Nie znam się na ludzkich dzieciach; ona z pewnością jeszcze nie była dorosłą kobietą. Ale nie była też maleństwem, dobrze widziałam prężne mięśnie w jej ramionach – łatwo mogłam dać wiarę, że tańczyła. Wzdłuż prawej ręki i klatki piersiowej, skąpo okrytej skrawkami czerwonego materiału, wiły się misterne tatuaże starannie wykłute w skórze: długi, rozwidlony czarny zarys tańczącego płomienia sięgający na szyję i liżący policzek.

– Ona jednak nie może być twoją córką – mruknęłam. – To nie są prawdziwe płomienie, ona nie jest twoim prawdziwym dzieckiem.

Dziewczynka zmrużyła oczy pełne nienawiści i pogardy.

– A co ty możesz wiedzieć? – syknęła. – Czym są kłęby zwykłego, śmierdzącego dymu? On jest moim papą, tak prawdziwym jak nic, co znałaś w swoim życiu.

Latarnia wyglądał na zakłopotanego.

– Może nadszedł czas – zaczął żałośnie. – Może rozpieściłem cię jak małą muszkę. – Dziewczynka się zaniepokoiła, jej oczy wypełniły się łzami tak łatwo jak u każdego dziecka. – Ona wróciła, rozumiesz. Po tylu latach, ona do mnie wróciła...

OPOWIEŚĆ O PŁASZCZU Z PIÓR, CIAĞ DALSZY

Nauczyłem się tańczyć w czasie karnawału, moje pióra odrosły zupełnie. Płaszcz został bezpiecznie zamknięty, a ja nikomu nie musiałem służyć. Było prawie tak, jakby nic złego się nie wydarzyło, niemal jakbym nigdy nie patrzył na świat przez kraty. Nie mogłem jednak ściągnąć klatki na dół, roztrzaskać jej i podrzeć niebieskich poduszek. Mówiłem sobie, że przypomina mi o tym, co się dzieje, gdy złodziej nie jest ostrożny – bo czy wszystko nie zaczęło się w ogrodzie Rawhidży, kiedy w swej beztrosce dałem się przyłapać z dziobem pełnym wiśni? Ale myślę, że tak naprawdę się jej obawiałem, jakby klatka była żywym stworzeniem, które połknęło mnie i trzymało przez wszystkie te lata, i wciąż było zbyt straszne, żeby do niego podejść.

Tak więc siedziałem w ruinach dzwonu, gdy przyszła.

Słyszałem jej kroki na schodach, powolne szuranie, sapanie. Kiedy myślę o tym teraz, wiem, że wchodzenie po tych stromych, kręconych schodach musiało być dla niej trudne. Ale wspięła się i stanęła przede mną, promienna, pogrążona w smutku i stara, starsza niż sobie wyobrażałem. Byłem tylko głupim ptakiem, który myślał, że będzie taka sama jak wtedy,

kiedy się poznaliśmy, dokładnie taka sama. To głupota wszystkich kochanków, jak sądzę.

Zobaczyłem moją gąskę ze srebrnymi włosami i w lekkim płaszczu z gęsich piór, w długich szarych spódnicach. Moją Orle Gniazdo, którą kochałem tak dawno temu, kiedy była zaczarowaną gąską, a ja nie wiedziałem, co to klatka. Moją Orle Gniazdo, straconą na długie lata. Nie musiała nic mówić, rozpoznałem ją, choć miała to dziwne kobiece ciało – ale co w owej chwili nie było dziwne? Stara kobieta i ptak, jak gdyby gęś i ptak ognisty nie stanowili wystarczająco nieprawdopodobnej pary! Zaśmiałem się, chrapliwie, szczekliwie, z mego gardła popłynął udręczony dźwięk. Staliśmy naprzeciwko siebie, oboje powoli godziliśmy się z faktem, jak bardzo oddaliliśmy się od siebie.

W ramionach trzymała niemowlę owinięte w szary materiał i skrawki futra. Nie zwracałem na nie uwagi, patrzyłem tylko na nią.

– Przykro mi – powiedziała w końcu. – Nie prosiłam się o starość, ani o ręce i nogi. Byłabym szczęśliwa, gdybym została z tobą. Ale nie chciałeś mi pozwolić.

– Moje pióro...

– Wiem, kochany ptaku, wiem. Nie mogliśmy nic na to poradzić. Nasza historia była bardzo smutna – może łachmaniarska opera wystawi ją pewnego dnia. Ale życie w ciele kobiety nie jest takie złe i gdybym została gęsią, nie pożyłabym dość długo, żeby cię odnaleźć. Gęsi mają krótki żywot i często są głupie.

Powiedziała mi wtedy o wszystkim, co robiła od czasu naszego rozstania, jak poznała Gwiazdy, jak odeszła ze świata i wróciła znowu, jak odebrała dziecko Gwiazdy i wyniosła je z

ciemności. Ja powiedziałem jej o pajęczycy i o myszach, i o Gwieździe w sercu miasta. Pozwalalibyśmy naszym przygodom rozlewać się pomiędzy nami przez całą noc, ale dziecko w jej ramionach zaczęło kwilić. Orle Gniazdo dała mu palec do ssania i trochę się uciszyło. Spojrzała na mnie przez rzadkie, rozwichrzone włosy, które w jej podeszłym wieku przypominały długie, cienkie pióra.

– Przyniosłam ją do ciebie, całą tę drogę – oznajmiła.

– Dziecko?

– Tak bardzo chciałeś mieć kurczęta, gdy z tobą fruwałam. Chciałeś ich bardziej niż mnie. Kiedy to maleństwo pierwszy raz pociągnęło mnie za włosy, wiedziałam, gdzie będzie bezpieczna, wiedziałam, że ty się nią zaopiekujesz, wiedziałam, że nie odmówisz. Nie jest pisklęciem; nie ma piór ani dzioba i nigdy nie będzie fruwać. Ale przecież ja też nie, już nie.

Spojrzałem na dziewczynkę w powijakach, jej duże ciemne oczy mrugały do mnie sennie, strzecha jej czarnych włosów wyglądała jak kępka spalonej trawy. Nie była podobna do ognistego ptaka, ale zawsze miałem miękkie serce, i gdy maleńka istotka wyciągnęła pulchną czerwoną rączkę, żeby ścisnąć mój ciepły brązowy dziób, i gdy usłyszałem jej śmiech, wspomniałem wszystkie pomarańczowe jaja mojej kuzynki, wspomniałem gniazdo z popiołu i pustynne drzewa, i wiedziałem, że ta biedna sierota jest moją pociechą, moim wyklutym pisklęciem.

– Chciałem cię odszukać...

– Nigdy byś mnie nie znalazł.

– Ona jest piękna.

– Wiem.

Orle Gniazdo, rzeczowa i szorstka, zaczęła grzebać wśród połamanych desek, bel jedwabiu i lśniących rzeczy pozostawionych przez myszy, żeby znaleźć materiał na kołyskę. Gdy szukała, ja śpiewałem cicho dziecku, które po chwili zaczęło gaworzyć.

Zbliżał się ranek. Kołyska była skończona, licha, ale dziwnie ładna, spoczywająca na dwóch smyczkach wiolonczeli i otoczona kawałkami rozbitego dzwonu, zbudowana z czerwonego drewna i kamienia, wyścielona materiałem Tkaczki i przysłonięta wiekiem skrzyni zawierającej kiedyś stosy monet, które przyciągnęły sroczę oczy myszy. Orle Gniazdo włożyła dziecko do środka i wróciła do beli materiału, żeby wyciąć kocyk.

– Czeka! – krzyknąłem nagle i skoczyłem ku krokwiom, aż cała wieża zadygotała i zatrzęszczała. Wyciągnąłem płaszcz z piór ze szczeliny w murze, gdzie go schowałem, nie mogąc na niego patrzeć, nie mogąc wspominać bez strasznych bólów w ogonie. Sfrunąłem na dół, złoty płaszcz włókł się za mną jak latawiec. Otuliliśmy nim naszą dziewczynkę, ukołysaliśmy ją do snu, i czarnowłosy skarb zasnął w moim puchu, wszystkie te złote pióra połyskiwały wokół jej twarzyczki jak promienie słońca.

Tego ranka nie brałem udziału w karnawale. Orle Gniazdo leżała w moich skrzydłach, jak kiedyś, i słuchaliśmy oddechu śpiącej córki. Walczyłem ze łzami, bo nie chciałem, żeby spadły na jej szczupłe ramiona.

– Zostaniesz jakiś czas, prawda? – szepnąłem. – Nie zniósłbym szybkiej rozłąki. Tu jestem taki samotny! Z czasem nauczę się cenić to dziecko, z czasem stanie się dla mnie drogie, drogie jak płomienie. Drogie jak pisklęta dla każdej kaczki. Ale

nie bez ciebie. Musisz zostać jeszcze trochę, dla mnie. Bądźmy przez chwilę rodziną, choćby przez krótką chwilę.

Orle Gniado odwróciła się w moją stronę i uśmiechnęła oślepiająco, jak tuzin słońc w południe.

– Oczywiście, że zostanę z tobą, moja jedyna miłości.

Została. Na krótką chwilę.

Było lato, kiedy mnie zapytała. Zaniósłem ją na najwyższe krowie wieży i siedziała tam, szczęśliwa, kiwając nogami w powietrzu, patrząc na niemal pusty Adżanabh, jak mała dziewczynka wskazując palcem znane sobie miejsca: Vareni z oślepiającymi kolorami, Operę Getta cicho śpiewającą w dali, plac Gwiazdy Cynamonowej, dziedziniec z małą tańczącą Agraleną, maleńką i ciemną w świetle.

– Dasz mi pióro? – zapytała nagle, patrząc na mnie spod przymrużonych powiek, ocieniając zblaknięte oczy.

– Czy mogłabyś prosić mnie o coś, czego nie zrobiłbym w jednej chwili?

– Chcę móc cię wezwać, ilekroć zapragnę, gdy zajdzie taka potrzeba.

– Wystarczy krzyknąć; będę tutaj. Czy nie skaczę, gdy dziecko płacze? Orle Gniado się roześmiała. Nie spodobało mi się suche, kruche brzmienie jej głosu, jak trzask pękającego drewna.

– Mimo wszystko.

Zastanowiłem się. Słońce było jasne i czerwone, to bezlitosne słońce Południa, które tak dobrze poznałem.

– Nikomu innemu nie oddałbym ani jednego pióra, ty jednak możesz wziąć wszystkie. I nie tylko pióra. Składam w twe dłonie moje płonące serce.

Wygiąłem długą szyję i słońce na chwilę uwięzło w jej pętli, jego blask i mój blask się stopiły. Wyrwałem z ogona jedno długie pióro, z krwią skrzącą się na dudce, i pozwoliłem, by spadło w jej pomarszczone dłonie.

I wiesz co? Wcale nie bolało.

OPOWIEŚĆ O KLATCE Z KOŚCI SŁONIOWEJ I O KLATCE Z ŻELAZA, CIAĞ DALSZY

– Rankiem zniknęła, jakby jej nigdy nie było, i zostałem samotny w mojej wieży dzwonnej, z głodną córką do nakarmienia. – Ptak ognisty potężnym skrzydłem zmierzwił włosy dziewczynki. – Nazwałem ją Pociecha, bo jest moją pociechą w pustym gnieździe, moją pociechą po utracie gęsi.

Pociecha płakała, jej drobne ramiona trzęsły się strasznie, głowę miała spuszczoną.

– Myślałam... myślałam... myślałam, że jestem twoja – szepnęła.

– Jesteś, małe nasionko dyni!

– Nie, myślałam... naprawdę twoja. Pochodzisz od drzewa, ale jesteś ptakiem. Mantykorą rodzi się z owocu, lecz wcale nie jest do niego podobna. Smok wygląda jak dziewczyna, kiedy jest młody. Myślałam... myślałam, że jestem ptakiem ognistym. Myślałam, że pewnego dnia rozpostnę skrzydła i polecę z tobą, do słońca! Myślałam: Nic w tym świecie nie przypomina swoich rodziców. Ja nie stanowią wyjątku. – Objęła wielką szyję swego taty i zapłakała gorzko.

– Przykro mi, biedactwo. Powinienem był ci powiedzieć. Ale kochałem cię tak bardzo, i byłaś taka szczęśliwa. Nie zniósłbym,

gdyby coś się zmieniło. Wiesz – powiedział do mnie nad głową córki – gdy tylko nauczyła się chodzić i skakać, pobiegła prosto do mojej starej klatki i urządziła tam sobie sypialnię. Pokochała starą klatkę, lubiła jej kołysanie. Spiętrzyłem dla niej więcej poduszek i w chwili, gdy bawiła się wewnątrz ze śmiechem, klatka przestała być straszna.

– Jestem po prostu sierotą – szepnęło dziecko do nikogo w szczególności.

– Nie, Pociocho, wcale nie.

Patrzyłam na nich, tulących się do siebie, i od niechcienia utknęłam kosmyk dymnych włosów, który groził wydostaniem się z koszyka. Dziewczynka i ptak powoli przypomnieli sobie, że nie są sami. Pociocha zeskoczyła z ogona ptaka ognistego i usiadła na brzegu klatki z kości słoniowej, patrząc na mnie w skupieniu.

– Jesteś bardzo dobrym słuchaczem – zauważyła przenikliwie, majtając nogami. Prawą, po same palce, pokrywały płomieniste tatuaże. Nosiła krótką spódniczkę z tego samego wystrzępionego czerwonego materiału co koszula – trzepoczące tiule tancerki. – Ja nie wytrzymuję tak długo bez zadawania pytań, gdy papa opowiada o dziewczynie-smoku i o Rękawie. Przychodzi do mnie czasami. Mówi, że jestem dokładnie jak ona: dzika, ani trochę nieobyta. Kiedyś ją zapytałam, co robią dziewczęta z prawdziwego zdarzenia, a ona odparła, że nie wie, ale jej zdaniem tańczenia w sposób, w jaki ja to robię, z pewnością nie ma na liście.

– Z pewnością – zgodziłam się. – Wśród mego ludu uważana jestem za matronę, choć założę się, że nie jestem starsza od ciebie, gdyby należycie porachować lata. Też nie wiem, co robi królowa z prawdziwego zdarzenia, ale zapewne nie chodzi za

linie wroga i nie słucha opowieści, więc myślę, że jesteśmy mniej więcej sobie równe w naszej niestosowności. – Uśmiechnęłam się.

Pociecha wzdrygnęła się lekko, widząc jęzorki płomieni pomiędzy moimi zębami.

– Mogę opowiedzieć ci historię, jeśli chcesz – zaproponowała z głębokim rumieńcem na policzkach, choć nie spuściła oczu. Nie wyobrażałam sobie, by Latarnia nauczył ją, jak i kiedy to robić.

Ptak ognisty szturchnął ją, przytulił ciepłą głowę do jej pleców.

– Trochę czasu zostało do świtu – powiedział, dumny jak każdy ojciec ze swej ukochanej córeczki. – Opowiedz starej łysej diablicy opowieść, jeśli chcesz.

Zachichotała; dźwięk, który w ustach innego dziecka zabrzmiałby afektowanie, u niej brzmiał szczerze i słodko.

– Dobrze! Opowiem ci, jak nauczyłam się tańczyć...

OPOWIEŚĆ TANCERKI OGNIA

Gdy podrosłam na tyle, by tańczyć, Adzanabh było już martwe. Miałam dość wieży dzwonnej, ale nawet w mieście artystów brakowało mi wtedy śmiałości, by ruszyć na ulice bez papy i dowiedzieć się, co powinna robić dziewczynka. Nawet martwe miasto ma swoje upiory i słyszałam je w nocy. Wyły, śpiewały i tańczyły na tym wielkim czerwonym grobie.

Wychodziłam tylko, by patrzeć na taniec papy na karnawale Brzasku. Wyglądał pięknie, z ogonem powiewającym wysoko i nisko, migoczącym jak deszcz gwiazd. Chciałam stać na jego ogonie, gdy tańczył i tupał wielkimi szponami po dziedzińcu, strosząc pióra w pierwszym świetle dnia, rozkładając ogon jak suknię damy. Chciałam stać tam i widzieć falujący wokół mnie cały ogień, i go słuchać. Czy wiedziałaś, że ogień ryczy i warczy, gdy wiruje i skacze? Słyszę go w snach.

Pewnego dnia, gdy piekłam mysz i parę daktyli na śniadanie, Rękaw wgramoliła się po schodach, co robi czasami, stękając i utyskując – co robi często.

– Latarnio, wychowujesz to dziecko na dzikie kocię zabłąkane w dżungli! Pozwól jej znaleźć inne dziewczynki, niech się nauczy, jakie są i co jedzą, co robią, kiedy są szczęśliwe, i co robią, kiedy są smutne! Chcesz, żeby upodobniła się do mnie? Nawet dziś pająki uważają, że moje sieci są dziwne.

– Nie lubię innych małych dziewczynek – wtrąciłam. – Są niemądre i wyższe niż ja, i wcale nie mają płomieni. – Schrupałam mysią kostkę i Rękaw machnęła igłami w słusznym oburzeniu.

– Widzisz? Jest jak szczenię wilka.

– Jestem ptakiem ognistym! – oświadczyłam stanowczo. Teraz mnie to śmieszy, ale wtedy naprawdę tak myślałam, papo, więc nie można mnie winić za słowa zgodne z tym, co mi mówiłeś.

– Latarnio, pozwól, że zabiorę ją do miasta – mówiła Rękaw. – Jeśli ma tu mieszkać, musi nauczyć się jakiejś sztuki, inaczej zostanie odrzucona, a odrzucona dziewczyna bardzo płacze i nigdy nie usłyszysz końca jej płaczu. Zabiorę ją do kaligrafa w jego wysokim sklepie, jest bowiem wśród znanych mi stworzeń najbardziej zbliżony do malej dziewczynki – przynajmniej ma podobne części ciała – i dowiem się, co jest słuszne i właściwe dla dziewczyny.

– Nie jestem dziewczyną – skrzywiłam się. Och, tato. Powinieneś mi powiedzieć. Gdybyś powiedział, nie robiłabym z siebie tak wielkiego głuptasa. Biedna Rękaw!

Wierna danemu słowu pajęczycza zaprowadziła mnie najpierw do wysokiego sklepu, gdzie wśród licznych pulpitów z pięknymi księgami, otwartymi na pięknie zapisanych stronicach, i wśród lup o perłowych rączkach siedział kaligraf. Miał niebieski kapelusz z klamerkami i palce poplamione atramentem.

– Mistrzu kaligrafie, co przystoi małym dziewczynkom jak pająkom tkanie? – zapytała Rękaw sztywno.

Kaligraf kaszlnął, bo w pokoju było pełno kurzu, kurz leżał nawet na jego rzęsach, i odparł:

– Słuszne jest i właściwe, by mała dziewczynka przeczytała tyle książek, ile jest cegieł w tym mieście, a potem, kiedy skończy, zaczęła pisać nowe, które składają się ze starych jak miasto z kamieni.

Rękaw spojrzała na mnie z promiennym uśmiechem, rada, że znalazłyśmy odpowiedź już przy pierwszej próbie. I tak codziennie przez cały miesiąc chodziłam do sklepu kaligrafa i czytałam jego książki, w których były śliczne obrazki i litery podobne do łabędzi w locie. Bardzo lubiłam książki, ale w sklepie panowała grobowa cisza i wszystkie okiennice były zamknięte, żeby słońce nie zniszczyło welinu. Kaligraf mrużył oczy w gęstym mroku, chyląc twarz nisko nad stronicami. Wcale się do mnie nie odzywał. Jeśli zostanę tam dłużej, pomyślałam, stanę się słaba i cienka jak kartka w książce, a wtedy od jednego prztyczku ogona papy stanę w płomieniach!

Bardzo grzecznie, najgrzeczniej, jak umiałam, zapytałam, czy mogłabym zabrać kilka książek – tych bardzo mocnych, zauważ, z niezbyt licznymi złotymi obrazkami – i czytać je w świetle słońca albo w wieży dzwonnej, albo gdziekolwiek indziej, byle nie w tym ciemnym, ponurym, zakurczonym sklepie. Poza tym wiedziałam, że trzeba mieć się na baczności przed kurzem. Papa tak mi powiedział. Kaligraf wyraził zgodę, pewnie rad, że się mnie pozbędzie, i wybiegłam ze sklepu z trzema tomami przytulonymi do piersi, moimi ulubionymi z jego księgozbioru, tymi o zagubionych dziewczętach, o zagubionych bestiach, o groteskowych stworzeniach. Tak więc siedziałam pod namorzynem, czytając o świętych i centaurach, kiedy przysła, Rękaw klekocząc igłami.

– Co ty robisz! Powinnaś być u kaligrafa!

– Tam jest ciemno, a on się do mnie nie odzywa. Latarnia rozmawia ze mną codziennie! Jak mam się skupić na książkach w takiej ciszy?

– Jest mężczyzną; mógłby nauczyć cię wszystkiego, co powinna wiedzieć mała dziewczynka!

– Ale nie jest małą dziewczynką! – stwierdziłam, jak myślę, bardzo mądrze. – Co on wie? Jego książki wiedzą więcej niż on. Zabrałam kilka z sobą i sądzę, że sama dam sobie radę.

Rękaw z niesmakiem poderwała cztery nogi.

– Jak mam cię zaznajomić z prawdziwymi dziewczętami? Niewiele dzieci zostało w Adżanabh, a te, które zostały, często uważają, że dla dziewcząt słuszne jest i właściwe rozgniatanie pajaków.

Tak więc udałyśmy się do stworzeń, które Rękaw знаła. Najpierw poszłyśmy do mrówek. Ich małe żuwaczki lśniły czerwono, ich mrowisko było masą słomy i kamyków.

– Myślimy, że dla dziewczyny słuszne jest i właściwe wstąpienie do wojska – powiedziały w unisonie. – Trzeba zahartować dziecko, bo nadchodzi zima, chuda i zębata.

– Przecież w Adżanabh nie ma już żołnierzy – zauważyłam. Jedna bardzo duża mówka parsknęła ze złością.

– Co za bzdura! A my kim niby jesteśmy?

Potem poszłyśmy do robaków, które wiły się i kłębiły w suchej czerwonej glebie. Przewracały błoto i uśmiechały się w swój robaczy sposób, białe, tłuste i bezokie.

– Myślimy, że słuszne jest i właściwe dla dziewczyny, aby umarła. Dziewczęta muszą umierać, jeśli robaki mają jeść, jest w najwyższym stopniu słuszne, żeby robaki jadły.

Skrzywiłam się. Rękaw się wzdrygnęła.

– Dziękujemy za szczerość – powiedziałam – ale chyba musimy się nie zgodzić. – Uśmiechnęły się jeszcze szerzej. – Na razie – dodałam.

Potem poszliśmy do pajaków.

– Nie chciałam tego robić – burknęła Rękaw – ale jesteś mi bardzo droga.

Pajaki tańczyły na swoich pajęczynach jak akrobaci zdecydowani nie dotknąć ziemi. Pomyślałam, że igielne nogi muszą je irytować, lecz Rękaw zrobiła bardzo dzielną minę i zadała swoje pytania. Pajaki tylko się roześmiały wysokim, brzękliwym śmiechem jak szum trzciny na bagnach.

– Co ty w ogóle możesz wiedzieć? – zapytały drwiąco. – Pajaki nie tkają, pajaki jedzą. Snują sieci, polują, chwytają i jedzą. Zawsze byłaś z nas najgłupsza. Kto słyszał o pajaku tkającym suknie? Zadającym się z ptakami? Co z tobą nie w porządku, Rękaw? Jesteś najgorszą niezamężną ciotką dla tego dziecka. Dziewczeta, dziewczeta tkają, ty okropny odmieńcu! Dziewczeta szyją suknie. Dziewczeta piszczą bardzo głośno, podskakują i ściskają swoje wonne sole.

Rękaw zgarbiła się, jakby właśnie takich słów się spodziewała, i słyszałam jej szlochanie w kurzu. Cóż, skoczyłam wtedy i przemieniłam pajęczę sieci w pozrywane nici.

– Co wy wiecie?! – krzyknęłam, kopiąc ich jedwab. – Rękaw robi najpiękniejsze rzeczy w świecie, a wy tylko siedzicie w swych złachanych starych pajęczynach! Nic nie wiecie! Nigdy w życiu nie uszyłam sukni – ona uszyła tuziny! Czy to czyni ją dziewczyną, a mnie pajakiem? I nigdy w życiu nie wachałam soli, co za głupi pomysł! Chodź, Rękaw, twoi kuzyni są najgorszymi krewnymi, jakich mogę sobie wyobrazić.

Nie mogę powiedzieć, że byłam grzecznym dzieckiem. Nie mogę powiedzieć, że wiele się nauczyłam od tamtej pory.

Rękaw miała proste plecy i stawiała wysokie kroki, gdy ich zostawiłyśmy, i gdy szłyśmy, dostrzegłam błysk w jej licznych oczach. Delikatnie kłując mój palec u nogi, skierowała mnie na plac Zegarmistrzów z całym jego tykaniem, z cieniami i stukaniem wskazówek o cyfry. Zaprowadziła mnie do drzwi złożonych z zamków, jakie tylko możesz sobie wyobrazić: od wielkich mosiężnych rygli po maleńkie, filigranowe dziurki od klucza nie szersze niż pióro; były tam drewniane zamki z rozdziawionymi szczelinami i złote zamki z ptakami wyrzeźbionymi na licu, zamki tak stare i wytarte, że jedynie rdza została, i zamki w kształcie otwartych, wytrzeszczonych oczu wydmuchanych z najprzejrzystszego szkła.

Położyłam na nich ręce i drzwi się otworzyły. Za nami nie było nikogo.

– Halo? – zawołałam, a Rękaw powtórzyła po mnie.

Coś się poruszyło na tyłach warsztatu, coś trzasnęło i zadzwoniło. Dwoje złotych oczu zamrugało do mnie spośród płyt metalu i kół zębatych, które były jej kamuflażem.

– Nie powinnam wychodzić, gdy obecne jest towarzystwo – powiedziała niepewnie istota cała z metalu i wirujących wskazówek.

– Nie ma tutaj nikogo, kto nazwałby nas towarzystwem i zaprosił na podwieczorek.

– Mama wyszła – wyjaśniła lśniąca kobieta.

– Ty nam odpowiedz, Godzino! – krzyknęła Rękaw. – Co przystoi dziewczynie jak pająkom tkanie?

Godzina się zastanawiała, wykręcając metalowe ręce.

– Nie wiem – odparła po długiej chwili.

– A jak przypuszczasz? – zachęciłam.

Kobieta zrobiła nieszczęśliwą minę, na ile to możliwe w przypadku twarzy złożonej z zepsutych zegarków i napierśników.

– Przypuszczam – zaterkotała z wahaniem – że dziewczyny mieszkają w zamkach. Poza tym trudno powiedzieć.

– Wieża dzwonna jest jak zamek! – zawołałam.

Rękaw tylko przewróciła oczami.

– Przykro mi, ale nie – powiedziała tykająca kobieta. – Nie ma księcia w środku ani na zewnątrz, nie ma spuszczonej kraty, fosy ani kaplicy. Wiele zamków ma wieże, ale wieża sama w sobie nie jest zamkiem.

– W takim razie nie chcę mieszkać w zamku. To brzmi okropnie – oznajmiłam. – I co to, u licha, jest książę?

Godzina pojaśniała.

– Jeśli chcesz wiedzieć, mogę wyjaśnić ci wszystko o pierworództwie i patriarchalnym systemie pochodzenia – zaproponowała z zapalem.

– Nie ma zamków do wzięcia – ćwierknęła Rękaw pospiesznie – więc chyba musimy zapytać gdzieś indziej. Hm, na pewno nie pojedziemy do kałamarnic. Są koszarne.

– Przykro mi – powiedziała maszyna, opuszczając ramiona. – Postaram się podać właściwą odpowiedź, jeśli przyjdziecie później.

Położyłam rękę na jej ramieniu.

– Nic nie szkodzi, ja też nie wiem. Ale pająki są stanowcze i uparte, i należy się z nimi ostrożnie obchodzić.

– Tak, podobnie jest z zegarami.

Wyszliśmy z dziwnego warsztatu, z czego Rękaw wydawała się zadowolona. Potem zaprowadziła mnie na wietrzny szczyt

najwyższej wieży w mieście.

– To zamek? – zapytałam.

– Zdecydowanie nie – sapnęła.

Oto jak poznałam syreny, które budziły lęk jak niepoohamowany ogień, a przy tym były dość śliczne, żeby mnie onieśmielić. Trącały Rękaw dziobami w bardzo nie ptasi sposób, ich kobiece nogi prężyły się i drobiły z radości.

– Moje stare przyjaciółki, musicie mi pomóc! Powiedzcie mi, co przystoi dziewczynie jak pająkom tkanie, żeby Pocięcha nie wyrosła na dziewczynę najgorszego rodzaju.

Lubimy dziewczyny najgorszego rodzaju, napisały. O takich zwykle warto pisać.

– Proszę. – Rękaw westchnęła. – Nie musicie z uwagi na mnie zachowywać się jak gromadka głupiutkich, kęsanych przez pchły ptaków.

– Ja w każdym razie jestem ptakiem ognistym – wymamrotałam pod nosem.

Myślimy, ciągnęły ich zwinne stopy tanecznym charakterem pisma, że dziewczęta powinny śpiewać. Powinny śpiewać i jednocześnie tańczyć, ale my nie jesteśmy dziewczętami, dlatego nie wiemy nic o tej sprawie. Ale pozwoliłyśmy spróbować tobie, więc czemu nie jej?

Siostry chwyciły mnie swoimi skrzydłami – były chłodne i suche, inne niż u papy, ale skrzydło jest tym, co znałam. Wszystko dobre na świecie ma pióra, skrzydła i szpony. Umoczyły mi stopy w kałamarzu, a potem zaczęły mnie obracać pomiędzy sobą. Płatanina nóg, skrzydeł i dziobów powoli stała się tańcem. Zwinnie podnosiły kostkami moje stopy, poruszały moimi rękami w takt ze swoimi skrzydłami. Tańczyłyśmy

razem, syreny i ja, ale nie zaśpiewały ani razu i wirowałam z nimi w milczeniu, coraz szybciej i szybciej.

Kiedy taniec się skończył, spojrzałyśmy we cztery na papierową podłogę, na przestrzeń wirujących zakrętasów tuszu, próbując odczytać, co napisałyśmy. Miałam nadzieję, że opowieść naszych stóp, wleczonych za nami w szybkim, skomplikowanym tańcu, będzie piękna, bez żadnych zamków i z wieloma ptakami.

Zobaczyłyśmy bazgroły, gryzmoły, plątaninę brudnych śladów. Siostróm udało się tu i ówdzie napisać parę słów, ale ucząc mnie, nie dały rady pilnować kroków i snuć opowieści. Na podłodze nie było niczego ważnego. Syreny pomknęły do czystego kąta. *Jesteś beznadziejna w literach*, napisały, *to bardzo smutne*.

– Ach, tańczyć! – krzyknęłam. – Chcę tak tańczyć!

Spróbuj u Tancmistrza, zasugerowały z ozdobnym zawijaszem. *My wiemy tylko, jak tańczyć z sobą, jak wytańczyć litery. Może każdy powinien tańczyć wyłącznie ze swymi siostrami.*

Rękaw westchnęła. Jej biedne igielne nogi zmęczyły się chodzeniem, ale była zdeterminowana, na pewno bardziej niż ja, mnie wszak mało obchodził los dziewcząt. Zeszłyśmy z wieży syren na ulice, kręte, koliste ulice mojego miasta. Tym razem poprowadziła mnie w dół, w dół wąskich, ciasnych uliczek i w dół alei szerszych niż skrzydła Latarni; nie na wzgórze, lecz krętą trasą wciąż w dół, aż wreszcie o zmroku dotarłyśmy do małej kraty w wysokim murze, będącym, jak pomyślałam, szczytową ścianą gmachu opery, z którego śpiewacy operowi prawie nie korzystali, gdyż mieli całe miasto, chętne zastąpić sceniczne dwory intryg czy urokliwych sielanek, jakie tylko mogli sobie wymarzyć.

Krata była niewielka i wiodła w bezdenną ciemność, ale byłam wtedy mała, mogłam przecisnąć się pomiędzy prętami, a ciemność była ciemnością i nie mogła mnie skrzywdzić – Latarnia mnie tego nauczył, wypalając blaskiem strach przed każdym pełzającym cieniem.

– Chodź ze mną – powiedziałam do pajęczycy, która krążyła wokół miedzianych prętów, podejrzliwie popatrując w mrok.

– Nie – odparła, kręcąc głową. – Tutaj mieszka Tancmistrz. Jest drugie wejście przy kolanie Symeona, ale leży znacznie dalej. Uznałam, że to będzie lepsze, dlatego cię tu przyprowadziłam. Nie pójdę z tobą, bo tańczyć umiem.

Wzruszyłam ramionami. Nie przejmowałam się zbytnio. Weszłam w ciemność z prostymi plecami. Miesiłam stopami ciepłe błoto, gdy schodziłam. Z każdym krokiem w dół powietrze się ochładzało, a strop się podnosił, aż zrozumiałam, że już nie jestem w pobliżu opery. Nawet gdy podniosłam ręce wysoko nad głowę, nie czułam niczego prócz ciemnego powietrza, wirującego i gęstego.

Wreszcie błoto się skończyło i stwardniała pode mną prawdziwa ścieżka oświetlona przez rząd pochodni, które płonęły przygaszone i ponure na murach. Ścieżka się rozszerzała, aż wyszła do wielkiego podziemia, gdzie kamienne ściany wznosiły się ku kopułom malowanym w delfiny o filigranowych oczach i w spłowiale gwiazdy. Na ścianach widniały starożytne linie wodne jak słoje w pniu drzewa.

U moich stóp zaczynał się labirynt. Był zawiły lecz nie stanowił poważnego wyzwania, bo mogłabym bez trudu przeskoczyć nad każdą ścianą. Najwyższa sięgała mi do pasa. Te niskie mury były zrobione ze skały i kości, ze znajomej czerwonej skały Adżanabh przemieszanej ze ściśniętymi

kości kurczaków, kości kaczek, kości pospolitych mew. Labirynt ciągnął się w dal, zajmował całą podłogę podziemia, polerowane kości połyskiwały w świetle ognia.

– W czasach gdy adżanczycy nie musieli się lękać oblężenia, to były cysterny – zabrzmiał głos, który przypominał kroki odbijające się echem w marmurowej sali. – Kiedyś zawierały dość wody, by miasto mogło pić herbatę podczas każdej wojny, siorbać ją ze szkarłatnych filiżanek, gdy wojska za murami głód doprowadzał do klęski. Mogłaś przyłożyć ucho do ulicy i usłyszeć cichy plusk zimnej wody – był to pocieszający dźwięk dla wielu ludzi. Teraz cysterny są puste, wszystko zostało wypite i już nikt nie myśli o oblężeniu.

Spojrzałam, ale nikogo nie mogłam zobaczyć. Zaczęłam przechodzić nad pierwszym murem labiryntu – i omal ich nie zdeptałam.

Przy wejściu do labiryntu stała para butów uplecionych z korzeni cynamonowca; czerwone korzenie zawijały się dziko na nosku i na obcasie, wiły się i tworzyły pętelki jak haft na językach. Ich zapach był bogaty, mroczny i słodki, przypominał drogocenny cynamon w filiżance czarnej herbaty.

– Nie bój się – usłyszałam głos. – Jesteśmy do noszenia, nikt cię nie ukarze.

Podniosłam stopę, żeby wsunąć ją w buta, i znieruchomiałam.

– Miałam nauczyć się tańczyć. I dowiedzieć się, co powinny robić dziewczęta, do czego są stworzone, tak jak pająki są stworzone do tkania pajęczyn.

– Ach, ale wszystkie pająki tkają, więc pytanie jest trochę niemądre, nie sądzisz?

Zrozumiałam się.

– Rękaw chciała wiedzieć. Dla mnie to bez różnicy – wymamrotałam.

– Co do tańczenia, nic łatwiejszego. Powierz stopy mej pieczy. Nie na darmo zwiemy się Tancmistrem.

– Wy jesteście tancmistrem?

– Oczywiście. Kto inny mógłby uczyć równie dobrze jak my? Ale nie uczymy same. Labirynt został zaprojektowany w taki sposób, że będziesz stąpać po właściwej ścieżce i na końcu stwierdzisz, iż jesteś mistrzynią nadzwyczajnego tańca, który przyniesie chlubę każdej uczcie koronacyjnej, który sprawi, że każdy derwisz zapłacze i nazwie cię swoją miłością.

– To bardzo dziwne...

– Wszystkie rzeczy warte poznania są dziwne. Śmiało, proszę po raz trzeci. Wejź w nas, a gdy będziesz szła przez labirynt, opowiemy ci, jak para pustych butów znalazła się na dnie cysterny.

Wsunęłam nogi w buty. Były dokładnie na moją miarę i poczułam się tak, jakby nagle pięści ścisnęły mi stopy.

OPOWIEŚĆ O CYNAMONOWYCH BUTACH

Wysłuchuj się w nas, dziewczyno. Jesteśmy twoim metronomem.
Trzymaj się naszego głosu; będziemy podawać rytm.

Jesteś bosa. To wyjątkowo rozsądne. Buty są źródłem niezliczonych kłopotów dla dziewcząt, których plemienia szukasz w ciemności. Ile zatańczyło się na śmierć w pantofelkach z jedwabiu i szkła, w trzewiczkach z futra i drewna? Zbyt wiele, by zliczyć – cmentarze są ich dzisiaj pełne. Mądrze postąpiłaś, pozwalając, by twoje podeszwy oblepiło błoto, by obrosły własnymi pantofelkami z mchu, gliny i odcisków. To znacznie lepsze niż buty, które w każdej chwili mogą stać się złe.

Zdaje nam się, że pamiętamy, jak byliśmy drzewem. Drzewem cynamonowym, które piło deszcz, dopóki ktoś nie wyrwał go ziemi za włosy i nie zrobił z niego bardzo ładnej szafy, dwóch wysokich krzeseł z siedzeniami ze sztywnego lnu, okrągłego stołu, przy którym pokolenia dzieci uczyły się składać litery, słupa do palenia czarownic, nadzwyczaj drogiej księgi z cynamonowymi okładkami i cynamonowym papierem zapisanym cynamonowym atramentem – psalterza, jak myślę – a także koła do powozu i jednej pary butów.

Pamiętamy również ręce kobiety, i jak pija powoli herbatę z białych liści, fiołków i jednego czerwonego liścia, splatając korzenie w misterne węzłki, które teraz widzisz. W jej sklepie, przyjemnym i zakurzonym, miałyśmy kulturalne towarzystwo do rozmowy, mnóstwo butów do jazdy konnej i do tańca, z białą skórką haftowaną piękną niebieską nicią. Ale były to zadziorne bestie i nie chciały się zadawać z postrzępionymi cynamonowymi butami. Zostawiłyśmy je bez żalu, gdy nas spakowano i wysłano do miasta na czerwonej równinie.

W Adżanabh zrobiłyśmy furorę. Żaden but jeździecki nie mógł się równać z trzewikiem z cynamonu, świętego towaru miasta. Marzyłyśmy o smukłej, słodkiej stopie wirującej i podskakującej na festiwalach korzeni i światłach gwiazd; marzyłyśmy, że będziemy przechowywane na wysokim postumencie z różaną poduszką, otulone uległym jedwabiem. Zamiast tego trafiłyśmy do grobu.

Grób jest jak cysterna. Jest pełen mięsa, jak cysterna wody, i krople spadają ze stropu. Są tam świątobliwe portrety cnotliwych zmarłych, wyryte w kamieniu i barwione tuszem, który kosztuje więcej niż woda czy trupy, są głosy echa i cienie wylizujące kąty do czysta, i nikt nie wchodzi do środka, jeśli nie jest zmuszony. Przypuszczamy, że on został zmuszony, ten kapłan, który nas kupił i zaniósł do mar swojej córki jak olej do namaszczenia.

Za życia była dobrą dziewczyną, zapewniał wszystkich, którzy chcieli słuchać – ale jaki ojciec mówi coś innego? Była pobożna, była dobra dla biednych. Codziennie rano myła się w lodowatej wodzie – taki koszt, taka ekstrawagancja w Adżanabh, gdzie, jak powiadają, latem szyba gotuje się w oknie! A kiedy skóra bolała ją z zimna, opylała ramiona, pierś, twarz i

włosy cynamonem zmielonym drobniej niż sól w swych najskrytszych marzeniach. Byliśmy świętą rodziną i musieliśmy dawać przykład, mówił jej ojciec. Dziewczyna poszła do najlepszego seminarium w mieście, gdzie nauczyła się destylować likwor i atrament z cynamonu i ze światła gwiazd – a co ważniejsze, nauczyła się, że każdy ma swój czas i cel, i używała ich zgodnie z przeznaczeniem. Nikt nie był od niej skromniejszy, mówił ojciec, czy to pod względem ubioru, czy charakteru. Nikt nie był tak poważny czy pracowity. Nikt częściej i bardziej przykładowo nie zachowywał się, jak wypada zachowywać się dziewczynie.

A kiedy pola umarły, powiedział jej ojciec, była niepokieszona, jak przystało na dziecko kapłana czerwonych korzeni. Kąpała się w lodowatej fontannie, aż jej zęby szczękały, a usta siniały i puchły. Modliła się i pielęgnowała własne małe sadzonki cynamonowca w ogródku okiennym, jedynym, który powinna uprawiać córka kapłana, ale były dzikie, gęste od igieł i lepkie od słodyczy. W końcu przestała chłostać skórę przenikliwie zimną wodą i zostawiła swój ogród, by wyjść na pola, gdzie pogrzebała się w chorej ziemi.

Zostawiła oczy i usta otwarte na powietrze, ale resztę okryła czerwona gleba, jak dziecko naciąga ulubiony koc na piersi. I tam – pobożna dziewczyna! – podjęła modły, zachęcając ziemię, by uczyła się z jej gorącej krwi, z jej bijącego serca, z jej wielkiej duszy. Ziemia wzięła to wszystko, ale, jak człowiek kiepsko wychowany, niczego się nie nauczyła. Cokolwiek uśmierciło korzenie bazylii i papryki, kardamonu i czosnku, uśmierciło i dziewczynę, i raz zasadzona, umiłowana córka kapłana nigdy nie urosła.

Wykopali ją, zimną jak każdego rzeńskiego poranka po kąpieli w lodowatej fontannie, zanieśli do rodzinnej mogiły, tam złożyli na marach z pachnącego cedru, z bukietem kwiatów cynamonowca w dziewczyczych rękach, w sukni z cennego materiału z kory ułożonego w schludne fałdy na ciele. Ojciec mówił, że codziennie płakał u jej boku, jak jej lodowata fontanna.

Kto wie, za podszeptem jakiego żalu uznał, że my ją obudzimy? Lepiej nie pytać, bo plemię zmarłych dziewcząt jest nieskończenie bardziej zagadkowe niż plemię żywych. Kto wie, co insynuują ich cienie, gdy północ zamyka swoje okna? On wierzył, wierzył w świętość czerwonych korzeni, i to wystarczyło, tak oto cynamonowe buty zostały dopasowane do cynamonowej dziewczyny i wsunięte na jej twarde, szare stopy. Kapłan czerwonych korzeni czekał u jej boku ze wstrzymanym oddechem, z twarzą zarumienioną z nadziei i pragnienia.

Nie powiemy, że się zbudziła i zarzuciła twarde, szare ramiona na szyję tatusia. Nie powiemy, że ojciec zaśpiewał z radości i zatańczył z nią wokół grobu. Ale gdy ścisnęliśmy jej kostki przez dwie niedziele i dłużej, a ojciec zasnął na pustych marach, co robią czasami ojcowie czekający na narodziny córki, strumyczek czerwonego błota wysączył się z jej nosa, łyzy czerwonego błota wyciekły z jej oczu, leniwy strumień czerwonego błota wypłynął z jej ust. Stoczyła się z płyty i zaczęła pokasływać cicho, jak kaszle grzeczna dziewczyna, wyrzucając z siebie czerwoną ziemię pól adzańskich, wilgotną i martwą, jasną i gęstą.

Ojciec się nie zbudził. Ojcowie mają twarde sen. Pobożna córka oczyściła usta i stanęła na drżących nogach, balansując w nas, w swoich cynamonowych butach. Czuliśmy jej ciężar, taki

mały, taki lekki, tak długo będący martwym. Czuliśmy jej smutek i strach, jej niecierpliwość, jej drżące podeszwy, jej pragnienie ponownego ujrzenia słońca. Buty znają te tajemne rzeczy, bo nosimy w sobie stworzenie i możemy przejrzeć jego duszę.

– Tato – szepnęła martwa córka. – Zbudź się. Czas zabrać mnie do domu. – Pocałowała go w policzek suchymi ustami.

Kapłan czerwonych korzeni otworzył oczy i zobaczył swoją dziewczynkę, swoje kochanie, swój cynamonowy skarb. Długie włosy miała mokre, zlepione błotem, olejami i przyprawą, ale pocałował ją i przytulił. Pozwoliła mu się dotknąć, sztywna i niepewna, i zgodziła się pokazać na nabożeństwie, i trzymać czerwoną świecę, i zostać nazwana cudem. Czego więcej miałaby chcieć pobożna dziewczyna?

Ale nie była na nabożeństwie, gdy je odprawiano. Była w pustym pałacu księcia, tańcząc w pustych pokojach ze zniszczonymi gobelinami, które przedstawiały tygrysy i rybitwy, tańcząc w spękanych murach i wśród stłuczonych flakonów perfum. Odkąd zmarła, w pałacu urządzano nieustanne bale, nieustanne hulanki, nieustanne szalone festyny przy świetle powyginanych, zmatowiających kandelabrow. Uczestnicy byli młodzi i beztroscy, ustawieni w tanecznej linii jak obszarpane lalki. Adżanabh zmarło niedawno; stypa ciągle trwała.

Córka kapłana musiała tylko podążać za światłem. Nawet najbardziej tępe stworzenie wie, że powinno dążyć ku światłu, i w swym oślepiałym, poszarzałym stanie jedynie to mogła zrobić: iść w kierunku ciepła, iść w kierunku ognia. My też chcieliśmy zostać właściwie użyte, chcieliśmy się rozgrzać. Tylko trochę zmusiliśmy jej stopy, żeby skręciły do tego jasnego, hałaśliwego

miejsca. I tam tańczyliśmy, i tam wirowaliśmy, i tam czułyśmy na sobie płomienie, gorące i złote.

W ten oto sposób ostatecznie tańczyliśmy, obejmując jej szczupłe stopy, na festiwalach cynamonu i światła gwiazd. Tańczyliśmy każdy taniec, jaki tylko możesz sobie wyobrazić – i przetańczyliśmy je wszystkie dwa razy. Ile ramion obejmowało jej talię, ile wypucowanych butów skakało nam na spotkanie, ile szachownicowych podłóg, niegdyś lśniących, a teraz spękanych i brudnych od letniego kurzu, naciskałyśmy pod nami? Zbyt wiele, by zliczyć, moja przyjaciółko, zbyt wiele. I gdy tańczyliśmy, gdy jedna noc przechodziła w następną w opuszczonej posiadłości księcia z ogrodami spalonymi na czarno i dachami przemienionymi w domy gołębi i szpaków, gdy tańczyliśmy, jej ramiona stawały się coraz mniej twarde i szare, jej krew stawała się mniej gęsta i czarna, jej policzki stawały się coraz mniej zapadnięte i zimne. Włosy powiewały za nią niczym czarny wiatr, policzki były czerwieńsze niż świece, oczy zrobiły się ostre i dzikie, czerwone jak cynamonowe buty. Jej skóra była bardziej szkarłatna niż różowa, jej krew tak szumiała, że myślałyśmy, iż chce z niej wyskoczyć. Jej serce nie biło, lecz wydawało długi wibrujący krzyk.

Ojciec, zachwycony, widział tylko jej żywe kolory i uśmiechy. Nie widział jej zębów, nie widział, jak mocno ścisnęła w dłoni czerwoną świecę, jak szybko biegła po skończonym nabożeństwie. I im więcej tańczyła, tym mniej ją lubiliśmy. Chciałyśmy tańczyć, rzecz jasna; to najlepsze, czego mogą pragnąć buty. Ale chciałyśmy tańczyć tańce dworskie, tańczyć na weselach i w porze żniw, tańczyć eleganckie menuety i walce precyzyjne jak mechanizm zegarka. Jej taniec nie

wymagał talentu; była to po prostu bezustanna burza, sirocco dmący bez końca. Byliśmy zmęczone.

I tak to urządziłyśmy, że gdy wybiegła z pałacowych ogrodów z ich poczerniałymi łabędziami i żyrafami wystrzyżonymi z żywopłotów, zsunęłyśmy się z jej stóp i leżyliśmy na trawie, szczęśliwe, milczące i nieruchome. Chciałybyśmy powiedzieć, że padła martwa w chwili, gdy uwolniłyśmy jej podbicie, ale nie padła. Widziałyśmy jej czarne włosy smagające wiatr, gdy pędziła do domu ogródkami i alejkami, z powrotem do tej przeklętej czerwonej świecy.

OPOWIEŚĆ TANCERKI OGNIA, CIĄG DALSZY

– Jesteśmy bardzo piękne – powiedziały buty strosząc się jak szkarłatne papużki – i szybko podniosła nas dziewczyna z lepszym gustem tanecznym. Miała takie zielone wstążki we włosach! Spędziłyśmy całe lata w rezydencji księcia, aż zabrakło wosku do świec, struny skrzypiec popękały, a marmurowe place nie mogły już znieść tupiących stóp. Przechodziłyśmy z tancerki na tancerkę i w ten sposób nauczyłyśmy się wszystkiego, co buty powinny wiedzieć. Wreszcie pewna dziewczyna zabrała nas do domu i choć nie byłyśmy pewne, co w związku z tym czujemy, nie próbowałyśmy zawrócić jej stóp, tylko pozwoliłyśmy się zabrać, gdzie chciała. Wstyd i hańba! Jej matka spojrzała na splątane korzenie, które nosimy z gracją, chwyciła nas jak zepsutą rybę, nadającą się tylko dla kotów, wymaszerowała na ulicę i wrzuciła nas przez kratę cysterny. Wpadłyśmy z pluskiem do wody, pływałyśmy przez jakiś czas, a potem opadłyśmy na dno, gdzie zapewne byśmy zostały, utopione jak pies, gdyby nie żołnierska niechlujność adżanńczyków.

W tym czasie sapałam i pot przyklejał mi włosy do uszu, bo tak szybko musiałam skakać, obracać się i drobić z przytupami, wymagały tego wąskie korytarze, stawiać wydłużone,

eleganckie, posuwiste kroki w długich przejściach, a na zakrętach kręcić piruety i stąpać jak kot na paluszkach. Głos butów idealnie nadawał rytm i moje ciało rwało się do tańca, mrucało wiedzą o tańcu, mrucało nauką, jak czasami mrucało książkami na moich kolanach w sklepie kaligrafa.

– Ale po co ten labirynt? – wysapałam, wykonując śmiały obrót w powietrzu i lądując twardo na obcasach.

Buty nie odpowiadały przez króciutką chwilę.

– Myśmy go nie zbudowały. Zapewne zrobiła go Tkaczka, jak wszystko inne tutaj, i z własnych powodów. To tu opadłyśmy na dno czarnego zbiornika i dość szybko odkryłyśmy jego zastosowanie.

Wreszcie z trzema pełnymi obrotami i wyrzutem ramienia wydostałam się z labiryntu. Buty zaklekotały obcasami po podłodze na znak aplauzu, co jest bardzo denerwujące, gdy stopy poruszają się z własnej woli. Zgięłam się wpół, łapiąc oddech.

– Dziękuję – wycharczałam.

– Cała przyjemność po naszej stronie – powiedziały buty Tancmistrz.

Czułam, jak boki butów-korzeni ściskają moje stopy, próbując się na nich utrzymać.

– Już muszę iść – powiedziałam niepewnie.

– Nie ma potrzeby zostawiać nas tutaj na dole w ciemności. Pomyśl, jak mogłybyśmy tańczyć w światłach żyrandoli! Pomyśl, za jaką piękność uznają cię wszyscy mężczyźni, tancerkę w cynamonowych butach na nogach zwinnych jak u gaselli!

Buty cisnęły, próbując zostać na moich nogach, próbując utrzymać mnie w sobie.

– Chyba... chyba lubię czuć bosc stopy na bruku, jeśli ci wszystko jedno.

– Nie wszystko jedno! – krzyknęły buty Tancmistrz, zaciskając się mocniej, jak wąż wokół mangusty. – Znudziło nas samotne leżenie w ciemności i czekanie na dziewczęta, by przyszły i wypełniły nas na chwilę, tylko po to, by uciec, gdy się zmęczą! Lubimy cię, jak wszystkie inne od czasów martwej dziewczyny, i chcemy znowu tańczyć w pałacu księcia, w ogrodzie księcia, w perfumowanym powietrzu!

Drapałam buty, próbując je zzuć, łzy bólu tryskały mi z oczu.

– Proszę! Nie chcę tańczyć w pałacu księcia!

– Ale my wiemy, śliczna córko ptaka, co jest słusne i właściwe dla dziewcząt! – Buty niemal miażdżyły mi kości. – Dziewczęta powinny tańczyć i wirować, aż ich spódnice rozłożą się niczym płatki, i wyglądać piękniej niż rubinowe róże na balach, które się nigdy nie kończą; powinny żyć dla zabawy; powinny trzepotać rżęsami i obracać się w ramionach przystojnych mężczyzn! – Cynamonowe buty cisnęły i ciągnęły. – Powinny pić wino z bąbelkami i śmiać się jak śpiewające zięby, i czmychać w cienie, by mężczyźni kradli im pocałunki! Są stworzone do rumieńców i kurtuazji! Są stworzone do omdlewania! Ale przede wszystkim są stworzone do tańca; martwe czy żywe, zimne czy gorące; powinny tańczyć, dopóki kości im nie popękają! Powinny dbać tylko o taniec, tylko o wir lśniącej sukni i szarf na piersi młodych mężczyzn. Są stworzone do wirowania w męskich ramionach do końca swoich dni, aż kości ich pięć skrzyszają iskry na parkiecie!

Głos Tancmistrza płynął w spirali coraz wyżej i wyżej, coraz bardziej przeszywający. Płakałam, gdy buty wykręcały stopy czerwonymi korzeniami, gniotły moje, a ja bezskutecznie

drapałam je palcami. Nabrałam tchu, pierś mnie paliła, ściśnięta, i skoczyłam w powietrze – wysoki, sprężysty skok – i opadłam jak mogłam najmocniej na podeszwy. Lądowanie wstrząsnęło kośćmi moich łydek i przygryzłam wewnątrz policzka, krzywiąc się z bólu, ale natarczywy głos nagle ucichł, jak zatrzaśnięte drzwi.

Buty popękały na kamiennej podłodze cysterny, legły wokół mnie w pachnących potem cynamonowych kawałkach.

– Nie – rzekłam krótko i wróciłam do długiego tunelu, z powrotem do powietrza i światła.

Kiedy wyszłam z za kraty, było prawie widno. Rękaw spała, pochrapując lekko, jak chrapią pająki. Trzeba długiego czasu, żeby się nauczyć słyszeć chrapanie pająka, ale przecież moje uszy są czujne jak sowy, i słyszałam jej ciche posapywanie, wdech i wydech, wdech i wydech. Zbudziła się z drgnieniem, kiedy ją pogłaskałam, i spojrzała na mnie lśnięcymi czarnymi oczami.

– I jak sprawiłyśmy się tym razem? Tak samo jak dotychczas?

– Mniej więcej. – Wzruszyłam ramionami.

– W takim razie chodźmy. Prawie czas na taniec Latarni.

Gdy słońce mrugało sennie ponad wieżą syren, Latarnia stanął na dziedzińcu z bełkoczącą fontanną i jał tańczyć wśród krzyku i śpiewu. Jego płonący ogon podnosił się i opadał niczym wachlarz, wyrzucając w powietrze szkarłaty i żółcie, każdy promień piór, jaskrawych jak u pawia, falował w swoim własnym tańcu. Wielkie opierzone stopy podnosiły się i tupały w szybkim rytmie, który zawsze kochałam. Tuzin skrzypiec, trąbek i fletów grał jego muzykę, gdy papa zwracał twarz ku nowemu słońcu, jego brązowy dziób chwycił pierwsze światło,

śląc je do fontanny w strumieniu złota. Chciałam, jak zawsze, ujrzeć świat z jego ogona, i tego jednego poranka ze wszystkich poranków podeszłam nieśmiało do mojego oszałamiającego, płonącego ojca, gdy podskoczył i wirował na jednym szponie, budząc westchnienia zachwyty wśród muzyków.

– Papo – powiedziałam i mój głos się nie załamał; szkoda tylko, że moje policzki były takie czerwone i gorące! – Pozwól mi tańczyć z tobą.

Uśmiechnął się, jak tylko ptak wielkości domu może się uśmiechnąć, a ja weszłam na jego ogon.

Świat przez płonące pióra jest omyty złotem, wyszorowany do połysku przez ogień, który ryczy na podobieństwo oceanu. Przesuwałam stopy, jakbym wciąż miała pod sobą czerwony, rozległy labirynt. Machałam rękami jak skrzydłami i tańczyłam na ogonie mego papy niczym ptak ognisty.

OPOWIEŚĆ O KLATCE Z KOŚCI SŁONIOWEJ I O KLATCE Z ŻELAZA, CIAĞ DALSZY

Pociecha uśmiechnęła się szeroko, jej twarz jaśniała nawet bardziej niż oblicze ojca.

– Nie będę tańczyć, aż kości mi popękają – powiedziała. – Będę tańczyć co rano, aż moje serce pochwyci słońce i wypełnię się złotem niczym kryształowy kielich! I nigdy nie będę nosić sukni z prawdziwego zdarzenia, bez względu na to, ile Rękaw mi ich pokazuje, wszystkie są przetykane zielenią i srebrem! – Latarnia wsunął wielką głowę pod jej ramię, a ona pocałowała jego błyszczące pióra. – Oczywiście, za pierwszym razem moje włosy całkiem się spaliły! Odrosły, jak ogon papy, i musiałam się nauczyć tańczyć bez stawania w ogniu. To wcale nietrudne, gdy zna się pewną sztuczkę. – Pociągnęła mocno za pióro ojca i wielki ptak pisnął jak zwyczajna kaczka. – Ale powinieneś mi powiedzieć, ty paskudna stara mewo. Ileż zmartwień przysporzyłam mojej biednej pajęczycy.

– Tak – rzekł Latarnia krótko i odwrócił się w moją stronę, jak gdybym właśnie przybyła. – To wszystko, co mamy do powiedzenia. Możesz iść albo zostać, co wolisz. Ale niebawem wejdzie słońce, więc my idziemy na karnawał.

Ściągnęłam dymne usta.

– Nie jestem pewna, czego wedle Symeona miałabym się od was dowiedzieć.

– Może tylko tego, że w Adżanabh jest Gwiazda, a prócz niej pająki ptaki i dziewczęta, które nie chcą zostać spalone.

Pociecha zeskoczyła lekko z osmalonej klatki i wyciągnęła rękę.

– Chcesz pójść na karnawał? – zapytała. Jej tatuaże lśniły równie promiennie jak oczy.

– Tak – odparłam i wsunęłam czarne palce w jej dłoń.

W OGRODZIE

Późne popołudnie kładło się szaro na śniegu, który zaczął się topić, i wszędzie spływały milczące rzeczki lodu. Słońce tego dnia przywdziało woal i prześwitywało kapryśnie przez grube, zwiewne chmury. Brama lśniła twardo grudkami lodu i chłopiec, który nigdy w życiu nie widział takiej zimy, w zdumieniu przeciągał po nich palcami.

– Muszę już iść – powiedziała dziewczynka. – Ty też nie powinienes tu dłużej zostawać.

– Nie zostanę – odparł i zamknął oczy, muskając palcami lód, topiący się w kontakcie z jego skórą. – Jak myślisz – dodał z zadumą, na pozór od niechcenia – co się stało z papieżycą?

Dziewczynka zmarszczyła czoło. Ona też dotknęła lodu i pokręciła głową, gdy jej palce przylgnęły do twardych kuleczek na żelazie. – Jeśli jest coś więcej napisane o niej na mojej skórze, ty musisz to przeczytać, nie ja. Ja jej nie stworzyłam; nie mogę układać jej kroków przez świat jak kwiatów w koszyku.

– Ale co myślisz?

– Nie wiem, przecież mówiłam. I pora, żebyś pobiegł na dziedziniec, gdzie twoja siostra będzie składać bardzo poważne przysięgi, pora jeść i tańczyć.

– Chłopiec błysnął uśmiechem szerokim jak księżyc wyłaniający się zza horyzontu.

– Masz rację! – zawołał i chwycił ją za rękę.

– Co robisz? Puść mnie!

– Nie – powiedział stanowczo. – Jesteś dzieckiem pałacu i to daje ci prawo tańczyć na weselu Dinarzad, jak wszystkim innym. Prawdę mówiąc – dodał z krzywym uśmiechem – jako dziecko pałacu nie masz wyboru.

Poprowadził ją do zamarznętego jeziora z oblodzonymi pałkami, które falowały spokojnie i grzechotały od czasu do czasu. Paprocie były białe i drżące, a długie nagie gałęzie kłaniały się czarno i głęboko. Zza skały ukoronowanej oszronionym mchem – powiedziała, że tam to znajdzie – chłopiec wyciągnął niewielkie zawiniątko i podał je dziewczynce z dumą kota, któremu wreszcie się udało chwycić kosa w locie i zanieść go swojej pani. Dziewczynka pustym wzrokiem spojrzała na tobolek, a on otworzył go dla niej, powoli rozwiązując sznurki.

Wewnątrz była suknia. Czerwona, jak jej płaszcz, miała delikatną złotą siateczkę tworzącą krótki tren, powiązaną w misterne róże i ptaki szybujące nad dojrzałymi polami. Był tam pas z tygrysich oczu i złotych ogniwek, i naszyjnik z granatów, i złoty diadem, który podtrzymywał miękki szkarłatny woal.

– Mówiłam, żebyś tego nie robił – powiedziała dziewczynka łagodnie, ale chłopiec zobaczył, że drżą jej usta.

– Nikt nie będzie wiedział – szepnął z zachętą w głosie jak matka, która namawia dziecko do jedzenia. – Woal cię ukryje, a ja wyczese ci liście i śnieg z włosów. Nikt się nie dowie i będziesz mogła jeść przy stole, i stać u mojego boku przez całą noc, i tańczyć jak Pociecha, jak ptak ognisty.

Dziewczynka zaszlochała, ramiona się jej trzęsły, gdy dzielnie próbowała powstrzymać łzy.

Tak oto chłopiec pomógł jej ułożyć siatkową narzutkę na sukni. Zapiął pas z tygrysiich oczu. Włożył naszyjnik z granatów na szyję. Wyczesał jej włosy palcami, aż zrobiły się miękkie i lśniące, i splótł je najlepiej, jak umiał. Przystroił jej czoło diademem i spuścił woal na twarz. Cofnął się i spojrzał na nią, jasną jak krew na tle śniegu. Złota siateczka już chwyciła nowe śnieżynki jak nici jedwabiu.

– To jej, wiesz – powiedział – z czasów gdy była w naszym wieku. Pozwoliła mi ją zabrać. Ona jest... – Chłopiec przełknął ślinę. – Nie jest taka zła jak kiedyś myślałem. – Wyprostował ramiona i potrząsnął ośnieżonymi włosami. – Ale wtedy byłem młodszy i znacznie bardziej głupi.

Ujął jej rękę, strasznie zimną i chudsza niż kości, i pogładził jej włosy. Szybko cofnął dłoń, gdy sobie przypomniał, że tak nie wypada. Ruszyli razem przez zaśnieżone ogrody w kierunku kasztanowej kaplicy, gdzie światło ognia już skakało ku niebu.

Nikt się nie zorientował. Chłopiec pokazał jej stół z pieczonymi ptakami i pieczonymi bestiami, z winem, parującymi zupami i czekoladami, z plastrami łykowego czerwonego mięsa hipopotama i ogolonymi garbami wielbłąda, wilgotnymi i lśniącymi. Pokazał jej krokodyla, zębatego jak piła, z rozdziawionymi szczękami wspartymi na srebrnych podpórkach i wypchanymi słodzionymi gruszkami. Pokazał jej róg nosorożca ociekający miodem i solą. Dziewczynka śmiała się wstydliwie i jadła do woli, i nikt nie zwracał na nią uwagi w tłumie kręcących się dzieci z kolorowymi pióropuszcami.

Z ciekawością przyglądała się Dinarzad w czasie zaślubin i zauważyła jej drzenie, i słyszała jej urywany oddech. Chłopiec

też patrzył, ale starał się tego nie widzieć, bo nie chciał zawstydić swej siostry płakaniem.

I tańczyli w świetle setek pochodni, pod niebem pełnym gwiazd twardych i zimnych jak lód na żelaznej bramie. Dziewczynka z początku była niepewna, ale pokazał jej łatwe kroki i poprowadził ją na środek tłumu, gdzie śmiech, głosy i złote, wirujące ciała były najgęstsze. Chłopiec tańczył z dziewczyną-demonem na oczach wszystkich krewnych, obracając ją coraz szybciej, aż suknia Dinarzad przemieniła się w czerwono-złotą smugę. Widział, jak łzy ściekają pod woalem po jej podbródku i miał od nich mokre ręce. Siostry, kuzynki i stare ciotki przemykały ze śmiechem, z głosami grubymi od wina, gdy wirowali.

Nagle sułtan skinął na niego ręką z odświętneho tronu z kości słoniowej i zanurzonych w brązie gałęzi śliwy. Chłopiec spojrzał nerwowo na zawoalowaną przyjaciółkę, ale nie mógł odmówić. Podszedł powoli do ojca, ściskając jej przerażoną dłoń. Sułtan spojrzał na nich znad czarnej brody, w jego oczach płonęło światło jak w oczach dzinna.

– Znalazłeś sobie piękną przyjaciółkę, mój synu. Robi wrażenie, czerwona niczym demon.

– T... tak, ojcze.

– To jedna z moich? W dzisiejszych czasach trudno powiedzieć!

– N... nie, ojcze. Przybyła do pałacu na wesele, jak wielu innych.

– W takim razie witaj, dziecko! I mów o nas dobrze, gdy wrócisz na swój zagraniczny dwór. Powiedz im, jaki dobry był dla ciebie mój syn. Powiedz im, jak moje córki przyjęły cię na weselu. Powiedz im... – jego głos załamał się lekko, tak lekko, że

nikt by nie pomyślał, iż przyczyną jest coś więcej niż dobre słodkie wino – powiedz im, że byliśmy dla ciebie mili.

– Z pewnością to zrobi, ojczu.

Sułtan pochylił się ku dwojgu drżących dzieci, jego długie, kręcone włosy buchnęły zapachem cedru i kadzidła w ich oczy.

– I – szepnął – opiekuj się moim synem, młoda damo. W taki wieczór chłopiec łatwo może stracić głowę.

Dziewczynka tylko skinęła głową, bo głos dawno temu uciekł z jej gardła. Sułtan odprawił ich ruchem dłoni i chłopiec znów poprowadził na parkiet swoją szkarłatną przyjaciółkę, ale dziewczynka nie mogła tańczyć. Płakała i zbyt mocno się trzęsła, więc chłopiec zabrał ją z tłumy, z dala od kasztanowych baldachimów, z powrotem na śnieg, gdzie padła na kolana i wsparła się na rękach, patrząc, jak płatki topią się od jej ciepła. Spojrzała na chłopca, a on ostrożnie podniósł jej woal. Twarz miała mokrą od łez, powieki lśniły jak atrament.

– Gdybym płakała dość długo – szepnęła – czy łzy zmyłyby tusz, jak obraz zostawiony na deszczu? Jak myślisz, czy mogłabym chodzić wśród tych strojnych ludzi codziennie, wśród twoich pijanych ciotek i kuzynek, jak myślisz, czy mogłabym siedzieć obok twojego ojca i zostać nazwana piękną bez woalu?

– Nie – odparł łagodnie – nie sędzę.

Zaśmiała się urywanie i wytarła nos.

– Ja też nie.

Otulił ją płaszczem i osuszył jej łzy rękawem. Porfirowa bransoletka stuknęła lekko o jej policzek. Dziewczynka spojrzała na niego wzrokiem pełnym podkrążonej niecierpliwości i zamknęła oczy.

– Proszę – szepnęła. – Proszę.

OPOWIEŚĆ O KLATCE Z KOŚCI SŁONIOWEJ I O KLATCE ŻELAZA, CIAĞ DALSZY

Ptak ognisty, jego córka i ja szliśmy przez puste miasto. Widziałam, jak miejsca z nocnych opowieści rozkładają się w moim sercu: Parafia Krawców, gmach opery, plac Zegarmistrzów i domek z niezliczonymi zamkami, kościół, który nie był kościołem, wzburzona rzeka w tyłu kolorach, że nie mogłabym zliczyć, gdybym nawet miała księgę do rachowania i tysiąc lat w zapasie. Pomyślałam, że widzę wieżę syren, nieprawdopodobnie wysoką, na wschodnim krańcu stłoczonych czerwonych budowli.

Szliśmy szeroką, dobrze utrzymaną ulicą, która zakręcała w tę i w tę jak wszystkie inne w Adżanab, ale jakby mniej niż zwykle. Rozszerzała się z każdym krokiem, aż dotarliśmy do dużego dziedzińca zaludnionego przez setki milczących posągów, z zastygłymi, idealnymi twarzami, trzymających łupkowe wachlarze albo tabakiery z agatu, marmuru i malachitu. Tędy prowadziła mnie Agrafena – i znów przeniknął mnie chłód. Ptak ognisty jakby nie zauważał tych postaci, idąc pewnym krokiem przez kamienny tłum, podczas gdy Pocięcha i ja, obdarzone mniej wdzięcznymi stopami, szliśmy wolniej i dumaliśmy nad smutnymi, wiernie oddanymi obliczami,

patrząc na nosy szerokie i smukłe, na czoła wysokie i gniewne, na usta pełne i wąskie. Dotykałyśmy ich policzków, a kamień był pełen drobin kwarcu, który migotał w nikłym świetle przedświt. Posągi były twarde, ciepłe i nieustępliwe.

– Wyglądają jak żony – powiedziałam ze śmiechem, a Pocięcha spojrzała na mnie, jakbym naprawdę oszalała.

Opuściłabym ten ludzki gaj i myślała o nim nie więcej niż za pierwszym razem, cud w gnieździe cudów, gdybym nie usłyszała skrobania w kącie placu i gorączkowego mamrotania.

W młodości zapewne była piękna. Włosy miała długie, zlepione w strąki i białe, osypane kamiennym pyłem, twarz zniszczoną, pomarszczoną jak wyrzucona mapa, kiedy już nikogo nie interesują obiecywane przez nią skarby. Jej głowę okrywał wystrzępiony szal, a ciało łachmany, brązowe, sztywne i brudne. Straciła ząb i miała bose stopy. W rękach trzymała dłuta.

– Powinniśmy się cieszyć, że nigdy nie dorosła! – szczeękęła.

Myślę, że jej głos ongiś był piękny, teraz jednak brzmiał jak eony harfy z przetrąconym kręgosłupem.

– Przykro mi, matko. Nie wiem, o co ci chodzi – powiedziałam, nie zbliżając się do niej.

– Kiedyś mi powiedział, gdy dostał skrzynkę wina i noc była bardzo, bardzo późna. Wtedy lubił mówić, wiesz, przy wielkim kominku, pod tą głupią, szpetną starą głową. Powiedział mi, dokąd poszła jego żona, i przypuszczam, że powinniśmy się cieszyć, że ona nigdy nie dorosła, inaczej byłoby źle dla chłopca rzeźnika, gdyby się pojawiła cała zielona i dysząca ogniem!

Pocięcha zakryła usta ręką. Staruszka podeszła i wygladziła dłutem brew posągu o talii osy.

– Zrobiłam je dla niej, wszystkie. Przez długie lata. Nie chciałam... – jej głos zgęstniał jak śmietana – nie chciałam, żeby była samotna, rozumiecie. Nie mogłam znieść jej samotności. Nie zniosłabym, gdyby była taka jak ja. Jest gdzieś tutaj, w tłumie, gdzie zawsze lubiła przebywać. Jest gdzieś... ale zapomniałam. – Oczy staruszki, mętne i kaprawe, były pełne łez, gdy się rozglądała. – Po prostu zapomniałam – szepnęła.

Pociecha odbiegła bez słowa i zostawiła mnie z obłąkaną, która drapała się po głowie, patrząc zagubionymi, ciemnymi oczami.

– Gdzie jest mój bazyliszek? – syknęła na mnie. – Gdzie mój maleńki kamiennolapy? Dlaczego nie przyszedł do mnie? Dlaczego nie spojrział na mnie, jak spojrział na nią? – Potknęła się, więc ją podtrzymałam, choć dławiła się i charczała w moim dymie. Wyprostowała się i zajęła piaskowcowym popiersiem innej figury. – Gdzie jesteś, stara jaszczurko? – wykrztusiła. – Dlaczego nie wracasz?

Gdy pracowała, powiedziałam sobie, żeby jej nie dotykać, że na pewno nie zrozumie. Ale jednocześnie widziałam, jak moja ciemna ręka z płonącymi paznokciami sięga do jej trzęsącej się głowy. Pogładziłam jej włosy i ujęłam w dłoń jej podbródek. Może była na tyle obłąkana, że nic jej nie obchodziło, ale oparła głowę o moją dłoń i zamknęła oczy, a łzy spłynęły po głębokich bruzdach jej twarzy.

– Przykro mi, Orfeo – szepnęłam.

Nagle Pociecha zagwizdała i zaśmiała się daleko w głębi kamiennego tłumu. Złapałam księżnę za rękę i poprowadziłam, jakbyśmy goniły bażanta w krzakach. Znalazłyśmy Pocięchę obok długowłosej kobiety z piaskowca, czerwonej od stóp do głów, o wysokim czole, w lamowanej futrem sukni okręconej

wokół nóg, gdy się odwróciła, by spojrzeć, zraniona i zaskoczona, na coś na ziemi.

Orfea wyciągnęła obwieszona łańchmanami ręce do twarzy posągu.

– Dobra dziewczynka – powiedziała z westchnieniem. – Znalazłaś ją, moją ukochaną, moją starą przyjaciółkę. – Wtuliła się w zgięte ramiona czerwonego kamienia, przyciskając pomarszczony policzek do chropawego, sztywnego oblicza. – Jak myślicie, czy słyszą jej śpiew? Czy inni ją słyszą swoimi kamiennymi uszami?

– Oczywiście – odparła Pocięcha uprzejmie, gładząc włosy staruszki jak ja jakiś czas temu. – Słyszę ją teraz. Jest taka piękna, gdy śpiewa do słońca.

Potem dziecko mnie odciągnęło i zostawiłyśmy dwie kobiety, kamienną i żywą. Gdy odwróciłyśmy się plecami, słyszałam, jak Orfea śpiewa rwącym się głosem, i ogniste łyzy ścisnęły mnie za gardło.

Kiedy mijałyśmy ostatni posąg, najdalszy, dziecko z piaskowca w matczynej sukni, potykające się o rąbek, zobaczyłam zaciśnięte w czerwonej, szorstkiej ręce coś, co mogło być tabakierą, ale nią nie było, tak jak kościół, który nie był kościołem – szkatułkę z krwawnika, nie większa niż moja dłoń. Wyciągnęłam ją z chropowatych palców dziecka. Nie była ciężka, ani trochę.

– Co to? – zapytałam z przejęciem. Chwyciłam ramię Pocięchy, pokazałam jej znalezisko.

– Skąd mam wiedzieć? To tylko jakieś śmieci, którymi księżna ozdobi swój gabinet osobliwości. Używa wszystkiego, widziałas równie dobrze jak ja. – Pocięcha potarła ramię z bladoróżowym oparzeniem w kształcie ręki w miejscu, gdzie jej dotknęłam. Nie

zachowałam należytej ostrożności i poprosiłam ją o wybaczenie. – Na pewno jest wiele szkatulek w rękach tych wszystkich umarłych. Skąd mogę wiedzieć, czy ta jest wyjątkowa? – burknęła, tuląc obolałe ramię.

Ja jednak wiedziałam. Spojrzałam na polerowaną powierzchnię, na wzór wijących się, skręconych, wygiętych traw na wieczku, na nóżki w kształcie szponów, na maleńki, pocętkowany złotem zameczek.

– I co? Otwórz! – zachęciła mnie Pociecha.

– Mam otworzyć? Kohinur powiedziała, że szkatułka należy do niej. Może nie mam prawa jej otwierać.

– W takim razie ja to zrobię. Daj spokój, nie możesz się sprzeciwiać. Nie chcesz wiedzieć, co jest w środku? Nie powiedzieli ci niczego, co powinna wiedzieć królowa. Co jesteś im winna?

Spojrzałam ostro na dziewczynkę z lśniącymi czarnymi tatuażami i nagim brzuchem.

– Myślałam, że spałaś.

Uśmiechnęła się ukradkiem, jej włosy spływały wokół bystrej jak u wilka twarzy.

– Otwórz – namawiała.

Co miałam zrobić? Otworzyłam. Wsunęłam płomyk jednego cienkiego paznokcia do zamka i przekręciłam, słuchając szczęku krwawnikowych zapadek. Wieczko uchyliło się lekko i podniosłam je ostrożnie. Latarnia wyjrzał zza posągu młodego mężczyzny zabijającego jelenia, a Pociecha stanęła na palcach, żeby zerknąć do środka.

Otworzyłam szkatułkę. Leżała w niej kobieta nie większa od palca, cała zrobiona z trawy, jej włosy były masą zbitych nasion, jej ciało splecione ze źdźbeł. Łąkowe oczy miała zamknięte,

maleńkie trawiaste ręce złożone na sukni z trawy i światła. Ona sama nie świeciła tym światłem, srebrnym i spokojnym, które zbierało się na dnie skrzynki w kałuży, jakbym trzymała czerwoną świecę w ręce.

– Zbudzi się? – zapytała Pociecha.

– Nie wiem – odparłam. – Nie mam pojęcia, dlaczego Kohinur chce ją mieć.

Z niezmierną ostrożnością wsunęłam palec do skrzynki i pogłodziłam dymem twarz kobiety-trawy. Odwróciła się ku niemu jak dziecko ssące pierś matki i odetchnęła czernią mojej skóry. Otworzyła leniwie oczy; były zielone jak pastwisko. Usiadła w skrzynce, włosy-nasiona spadły jej na plecy, i spojrzała w twarze dżinna, ptaka ognistego i zaciekawionej dziewczynki.

– Och – jęknęła – dajcie mi spać...

– Wybacz – powiedziałam cicho, żeby nie zranić jej delikatnych uszu – ale to bardzo ważne. Kim jesteś?

Odwróciła twarz w moją stronę, trawiaste oczy błysnęły żałością.

– Teraz nie jestem już nikim. – Westchnęła jak step na nocnym wietrze. – Już nie...

OPOWIEŚĆ O SZKATUŁCE Z KRWAWNIKA

Upadek był długi, z Nieba na ziemię. Upadek był długi, w ciemności, a przestrzeń pomiędzy jest zimna.

Nie mam do niej żalu. Obwinianie nie leży w moim charakterze. Ale nie chciałam iść. Wszyscy inni wybrali, zostać albo spaść, płonąć albo tlić się i ciemnieć. Ja nie mogłam wybrać. Gwiazda chodziła wśród nas z nogami jak słupy ognia, przed tkaniem, przed czerwonym miastem, i zostaliśmy wyrwani z miękkiej czerni, wyrwani z ziemi, która jest Niebem. Zastanawiam się, czy Gwiazda w ogóle widziała, jak nas gniecie, czy widziała, że spadamy. Tak wielu zostało stratowanych i strzaskanych tego dnia, tak wielu spadło w drżących odłamkach, fragmenty nas przemykały z wyciem po Niebie jak szklana ulewa, ale ja miałam szczęście. Straciłam tylko stopy, gdy na mnie nadepnęła, i spadłam mniej więcej cała, moje uszy słyszały krzyki innych Gwiazd Traw, strzyżonych w nicość, ich światło bryzgało na pola.

Wiem, że gdyby pozwolono mi zostać, ten czarny byt, który mnie zrodził, byłby powrócił. Matki zawsze wracają. Dla niej postanowiłam być trawą, postanowiłam leżeć na spodzie Nieba, żeby widziała, jaka jestem pokorna, żeby mogła zobaczyć, że chcę być tylko tym, co sprawi jej przyjemność. To wolno mi było

wybrać, i gdybym mogła zostać, w końcu poczułabym nad sobą jej łagodną twarz, podniosłabym ręce do jej ciemnych policzków. Płakałabym – dzieci zawsze płaczą – ale chciałabym jej powiedzieć: Widzisz, matko, czekałam na ciebie. Wiedziałam, że nas nie porzucisz. Wiedziałam, że wciąż nas kochasz. Wiedziałam, że jeśli będę wierna, wrócisz do domu. A ona pocałowałaby mnie i powiedziała, że jestem jej najukochańszą córką, a ja poznałabym jej zapach i jej skórę, wiedziałabym, jak wygląda, poznałabym swoją matkę na końcu wszechrzeczy. Ale nie pozwolono mi zostać.

Wylądowałam na wielkim polu trzciny cukrowej i moje połamane kikuty spaliły łodygi. Trzcina gniotła się i syczała pode mną, dym i cienie skakały z połamanych, wrzących liści. Przepraszam! – krzyczałam, gdy szłam; płakałam, gdy szłam, i zaczęłam krzyczeć, bo wszędzie, gdzie szłam, wszystko paliłam, wszystko popieliałam pod sobą, wszystko stawało w płomieniach w kontakcie z moją skórą. Przepraszam! – zawodziłam, bo mój żar obracał ich w nicość, w popiół i w cienie, a oni mieli wybór nie większy niż ja. Próbowałam stąpać lekko, próbowałam biec, ale cienie i dym podrywały się przy każdym moim kroku, aż w końcu potknęłam się o niemy kamień i skuliłam pod poszarpanym urwiskiem, zapłakana i przerażona, niczego nie paląc, tam zamieszkałam, bojąc się ruszyć, żeby nie spalić niczego pod sobą, aż nawet kamień szerniał w lśniące, sparzone szkło, a światło we mnie przygasło i się ukryło.

W takim stanie mnie znalazł. Kiedy skończył opowieść, nazwał mnie Li, a jeśli miałam wcześniej jakieś imię, nazywał mnie Li tak często, że je zapomniałam.

Na ramionach miał udrapowaną tygrysią skórę, z jej skrajów zwisały szpony jastrzębia i pazury jaszczura. Był wielkim

mężczyzną, ale twarz miał młodą, czystą i przejętą, i drżały mu usta.

– Nie skłamał! – zdumiał się. – Nie okłamał mnie! Jesteś tutaj, prawdziwa i żywa, i moja!

– Nie dotykaj mnie! – wrzasnęłam.

Odsunął się, zraniony.

– Oczywiście, jeśli zabraniasz.

– Spłonąłbyś – mruknęłam.

– Przecież jesteś moim życzeniem! Nie mogłabyś mnie skrzywdzić!

– Mogę, zapewniam cię. Czego sobie życzyłeś?

Mężczyzna uśmiechnął się z taką radością i nadzieją, że na ten widok ścisnęło mnie w gardle.

– A czegoż by innego? Życzyłem sobie żony...

OPOWIEŚĆ O TYGRYSIEJ HARFIE

Czyż nie jest to piękny kraj? Mogłabyś być tu szczęśliwa. Zbuduję ci dom z witek i dachówek, przyniosę ci worki puchu rzecznych gęsi na pierzyny. Zrobię dla ciebie jedno i drugie, i wiele więcej.

Kiedy byłem mały, ojciec nauczył mnie polować, poruszać się bardzo cicho, dusić kuropatwy i otwierać jelenie w sposób, który nie za bardzo je boli. Kiedy dziewiętnaście zim zostawiło mnie przy życiu, zabiłem tygrysicę. To bardzo trudne, gdyż tygrysy są mądre, i mój ociec był ze mnie dumny. Sprawił ją i dał mi jej serce do zjedzenia, parujące czerwono na śniegu. Było wilgotne i miękkie; smakowało starymi grotami strzał i szpikiem. Potem dał mi jej wątrobę, potem kości do ssania. Powiedział, żebym nazwał tygrysicę, którą zabiłem, i zapamiętał jej smak, i jaka była wielka, i ile kociąt obserwowało nas z paproci. Powiedział mi, żebym codziennie przez rok robił coś z jej ciała, żebym poznał ją lepiej niż cokolwiek w naszym domu: zupę i płaszcz, kiełbasy i grzechotki, pieczenie, rękawice i struny do liry. Zrobiłem to wszystko i więcej. Pracowałem przez cały rok i oplakiwałem moją tygrysicę.

Zwałem ją moją tygrysicą Li. To pospolite imię w tym kraju. Po roku od śmierci mojej tygryscy zobaczyłem w naszej wiosce dziewczynę piękniejszą niż tygrysi atrament. Włosy miała jak

czarne pręgi, oczy czarne jak kot, ręce miękkie i zwinne; tkła piękne rzeczy, a smakowała jak cytryna i ciepłe kamienie. Jej matka hodowała krokusy i handlowała bezcennym szafranem zbieranym z ich kwiatów. Jej ziemia była szeroka, prawie bezkresna. Dziewczyna miała na imię Li. Mówiłem ci, to pospolite imię. Li była bardzo bogata, więc myślałem, że nigdy jej nie poślubię, ja, chłopiec, który znał niewiele poza tajemnym smakiem tygrysięgo serca. Ale kochałem krokusową dziewczynę, nawet gdy polowałem bezgłośnie i miło, nawet gdy mój ojciec zmarł z przeziębienia, a moja matka z gorączki, nawet gdy sam dbałem o dom i starałem się, by każdy zabity przeze mnie tygrys przetrwał rok w zupach i płaszczach, w kiełbasach i grzechotkach, w pieczeniach i rękawicach.

Nadszedł dzień, gdy moje szafki zrobiły się puste, poszedłem więc do brzoź i paproci na polowanie. Tropiłem barczystego tygrysa, poruszając się jak tancerz, i usłyszałem obok siebie kroki równie doświadczone. Kiedy natknąłem się na zwierza, który warczał, jak warczą koty, drugi myśliwy wyszedł na polanę i zanim zdążyłem napiąć łuk, strzała z piórami wrony uderzyła prosto w tygrysię serce.

Nie będziesz zaskoczona, gdy powiem, że była to Li. Stała w rozkroku, włosy miała proste i nieruchome, w rękach trzymała łuk. Odwróciła się do mnie z uśmiechem.

– Jak powinnam nazwać swoją ofiarę? – zapytała. – Czy mam nazwać go Lem? To wydaje się sprawiedliwe.

– Tak – rzekłem – nazwij go Lem.

Razem otworzyliśmy białe futro na jego brzuchu i dałem Li serce do zjedzenia, wilgotne i miękkie. Powiedziała, że smakuje jak jej własna skóra. Dałem jej wątrobę i kości, i razem

zanieśliśmy zwierzę do mojego domu, gdzie pokazałem jej, jak robić tygrysią zupę.

Matka Li nie była bardzo zła, ale ponieważ nie spytaliśmy jej o zgodę, nie użyczyła swoich krokusów na nasze wesele. Choć się z tym pogodziłem, przeskoczyłem przez jej kamienny mur i skradłem jeden żółty kwiat dla Li, by wpięła go we włosy, moja krokusowa dziewczyna, moja tygrysia dziewczyna. Li robiła tygrysią zupę w moim domu, i płaszcze z tygrysa, i tygrysią kiełbasę, i tygrysie grzechotki, tygrysią pieczeń bogatą jak ciasto, i grała na tygryziej harfie pieśni tak słodkie i dziwne, że w ciepłe noce przed progiem gromadziły się dzikie, pręgowane stworzenia, ciekawie węsząc w powietrzu i poruszając długimi białymi wąsami.

Li nie była szczęśliwa. Po miesiącu przestała ze mną polować, po dwóch nie chciała robić tygryziej zupy.

– O co ci chodzi, ukochana, mój krokusie, mój kotku? – zapytałem, tuląc jej głowę w ramionach.

– Tygrysy przychodzą do drzwi słuchać mojego śpiewu. Nie mogę gotować gulaszu na ich kościach, bez względu na to, ile dam szafranu, tymianku i korzeni nagietka. Kochają moją pieśń na tyle, by gromadzić się wokół domu tych, którzy ostrzą strzały, żeby przeszywać pręgowane ciała.

– Nie muszę polować tylko na tygrysy, Li. Jelenie są łatwiejszą zdobyczą. I króliki, i niedźwiedzie.

Żona zwróciła ku mnie twarz o szerokich policzkach.

– A co będzie, gdy zrobię zupę z jelenia, zupę z królika i zupę z niedźwiedzia? Co się stanie, gdy będę grać na harfie z jelenia, na harfie z królika, na harfie z niedźwiedzia?

Tak więc nadal polowałem na tygrysy i sam robiłem zupę. Ale Li wciąż grała na harfie i tygrysy wciąż się gromadziły.

Pewnego wieczora, kiedy niebo było fioletowe jak krokusy, przyniosłem jej drewnianą miskę zupy z tymianku i nagietka, bez mięsa tygrysa. Wypiła ją, a potem wzięła harfę z kości i jelit. Otworzyła drzwi naszego domu – chciałem ją powstrzymać, ale przepędziła mnie ze śmiechem. Patrzyłem z okna, jak Li siada na pieńku wśród krokusów, które jej matka w końcu przysłała nam długi czas po zaślubinach, i gra do księżycy i paproci.

To było straszne, co grała. Struny szarpane w tęsknocie, melodia obca, dzika i zębata. Słuchanie sprawiało ból. Li odchyliła głowę, księżyc lśnił na jej włosach. Nie znałem jej w tej chwili, nie znałem kobiety, która nocami spała obok mnie z policzkiem na mojej piersi.

Powoli zeszyły się tygrysy. Było ich dziewięć, pamiętam. Ich pyski białeły upiornie w ciemności. Ich pręgi cięły noc na kawałki. Li grała, a one słuchały z przekrzywionymi głowami, ze sztywnymi ogonami. Jeden po drugim zadzierały głowy i wyły. Powiesz, że koty nie wyją, tylko wilki to robią; koty skrzeczą albo syczą, ale nie wyją. Mylisz się. Koty mogą wyć, a dziewięć kotów może wyć jak chór demonów. Ich głosy łączyły się dziko z dźwiękami strun, ich kły połyskiwały żółto, ich gardła lamentowały, a łapy miażdżyły setki krokusów.

Li płakała. Przestała grać, patrząc w zdumieniu i uniesieniu na tygrysy. Jeden po drugim przestawały wyć i patrzyły bacznie na moją żonę. Otworzyła do nich ramiona, a ja ją rozumiałem – nigdy mi nie mów, że nie rozumiałem żony. Otworzyła ramiona, błagając o wybaczenie, błagając o kocią łaskę, o łaskę, jaką mogą dać tygrysy.

Skoczyły razem w jej ramiona i pożarły ją: jej serce, jej wątrobę, jej kości. Nie przetrwała roku.

OPOWIEŚĆ O SZKATUŁCE Z KRWAWNIKA, CIĄG DALSZY

– Przykro mi – powiedziałam słabo.

– Miesiącami jadłem tylko krokusy. Upolowałem wszystkie dziewięć tygrysów i ugotowałem ich serca. Nie pomogło. Widziałem, jak ją jedzą, i nie mogłem się otrząsnąć. – Lem mówił chrapliwie, głosem tak zdartym, jakby nigdy nie poznał końca płaczu. – Ale teraz już dobrze. On nagroził mnie nową żoną i jesteś tutaj!

– Nic mi nie wiadomo o żadnych złożonych ci obietnicach. Nie jestem twoją żoną.

– To nie była obietnica, to było życzenie. I jesteś tutaj. To piękny kraj. Możemy być tu szczęśliwi. Zbuduję ci bezpieczne legowisko, z dala od wody i sztormów. Będę ci robił tygrysią zupę. Będę dla ciebie jak trawa, pokorna pod twoimi stopami.

Spojrzałam mu w oczy. Nie powinnam odchodzić od mojej skały, ale nie wiedziałam nic o świecie, byłam sama. Nie wiedziałam, że nie powinnam patrzeć mu w twarz, taką przejętą i pragnącą.

– Nie mogę chodzić. Mam połamane stopy. A tobie nie wolno mnie dotknąć, bo spłoniesz.

– Moja kochana, moja Li, zrobię ci nowe stopy z czystego, bladego srebra, i nie poproszę o twój dotyk.

– Nie jestem Li. Nie jestem nią. Spójrz na mnie. Jestem zrobiona z trawy i światła. W niczym jej nie przypominam.

Wzniósł na mnie smutne, wielkie ciemne oczy wyżęte do sucha przez tęsknotę.

– To pospolite imię w tym kraju.

Nie chciał napotkać mojego spojrzenia i patrzył na skałę u swych stóp, mówiąc bardzo cicho, głosem drżącym jak maleńki wróbel.

– Wiedziałem, że jeśli zaczekam, jeśli będę wierny, powrócisz. Żony zawsze wracają. Gdybym zachował wielki spokój, siadał na leszczynowym pniaku i grał na widmowej harfie, przyszłabyś do drzwi, a ja znowu czułbym w rękach twoją łagodną twarz. Przyłożyłbym dłonie do twoich ciemnych włosów. Płakałabym – wdowcy zawsze płaczą – ale mógłbym ci powiedzieć: Widzisz, moja żono, czekałem na ciebie. Wiedziałem, że mnie nie porzucisz. Wiedziałem, że wciąż mnie kochasz. Wiedziałem, że jeśli będę wierny, wrócisz do domu. A ty pocałowałaśbyś mnie i powiedziała mi, że jestem twoim drogim mężem, a ja poznałbym twój zapach i twoją skórę po tylu latach; poznałbym znów swoją żonę, na końcu wszechrzeczy.

Po długiej chwili patrzenia na jego spuszczoną, skruszoną głowę, westchnęłam.

– Wiem coś o tym.

Mimo to płakałam, gdy szliśmy, i trawa płonęła pod moimi łzami.

Jego dom był niski, z mocnym dachem. Stałam przed progiem i nie chciałam wejść, bo spaliłabym mu strzechę. Byłam dzieckiem swojej matki, nie mogłam dotknąć niczego, żeby nie wyrządzić krzywdy. Ze wszystkich okien i z

trawiastego dachu, z krokusów w ogródku mrugały do mnie jaszczurki, maleńkie jaszczurki niebieskie, zielone i czarne.

– Co to? – zapytałam.

Zaśmiał się z roztargnieniem, wplatając palce w swoje gęste włosy.

– To moje jaszczurki. Nawet polowanie na tygrysy jest czasami nużące, a dowiedziałem się od jednego z wujów... – zarumienił się – pamiętasz, kochanie, tego, który nigdy się nie ożenił i trzyma te chude psy – dowiedziałem się, że jaszczurki są miłe i zjadają owady. Ale on nie wiedział tego, co ja, że znaczki na ich grzbietach są dziwne i skomplikowane. Jeden z samców ma zakłęcie wypisane na łuskach. Na razie jest jedyny, ale nie tracę nadziei. Oto jak wyraziłem swoje życzenie, jak go wezwałem.

– Kogo wezwałeś?

– Kaszkasza. On mi cię oddał. Błogosławiona jego broda! Pewnego dnia zabiorę mojego jaszczura do królowej i pokażę jej cuda na jego skórze, ale jeszcze nie jestem gotowy. – Uśmiechnął się nieśmiało. – I muszę zajmować się żoną.

Tak więc wszedł do swojej chatki i zaczął przygotowywać zupę z mięsa tygrysa, z tymianku, szafranu i korzeni nagietka, szczęśliwy jak kwoka na grzędzie. Ja zostałam na zewnątrz i drżałam na chłodzie. Moje ukryte srebro nawet wtedy wsączało się w ziemię, w pień, w jaszczurki, które zgromadziły się wokół mnie jak przy wodopoju, i światło wypływało ze mnie na ich łuski. Zanim noc się skończyła, odważyłam się wejść, niczego nie paląc, ku zdławionej radości mężczyzny. Wciąż miałam w sobie światło, ale było wtedy zimne i rzadkie. Zjadłam zupę pomarańczową z drewnianej miski. Nie mogłam zdecydować, czy nie żałuję, że chata nie stanęła w płomieniach.

Byłam w niej zamurowana. Tej zimy Lem, wierny danemu słowu, zrobił mi nowe stopy, całe ze srebra, i wsunął moje zielone, połamane kostki w zagłębienia. Próbowałam zrobić mu zupę ze światła, ale nie chciał jej tknąć, podsuwając mi kocie mięso. Pragnęłam wierzyć, że czekanie na ziemi jest równie dobre jak w Niebie.

Ale nie byłam szczęśliwa. Nie chciałam polować na pręgowane koty. Nie chciałam się uczyć gotowania zupy. Nie chciałam się uczyć gry na harfie – jeleniej harfie, króliczej harfie, niedźwiedziej harfie, nawet tygryziej harfie, której Lem nie pozwalał mi dotknąć. Wcale nie chciałam jej dotykać. Przesiadywałam w ciemnych kątach domu, próbując czuć się jak na bezkresnych nocnych pastwiskach nieba. Nie lubił tego i namawiał mnie, żebym podeszła do paleniska, do krzesła i do łóżka, ale nie chciałam iść. Płakałam i drapałam trawiaste ciało ramion, i w jego żalu zapomniałam swojego imienia.

Pewnego wieczoru dotknął mojej twarzy dużymi, delikatnymi rękoma, które zrobiły się śliskie od światła, i zapytał:

– O co chodzi, Li, umiłowana, mój krokusie, mój kotku?

– Jestem nieszczęśliwa.

– Jak możesz być nieszczęśliwa? Robiłem dla ciebie tygrysią zupę i przyjemnie podsyciałem ogień, i miazdzyłem kwiaty tymianku w pościeli, żeby słodko pachniała. Dbam o twoje krokusy, są jasne jak świeczki w glebie. Co więcej mogę zrobić?

Nic nie powiedziałam, uparta i ponura. Dlaczego zostałam? – możecie zapytać. Dlaczego nie zostawiłam go z jego mętną zupą i jego srebrnymi stopami? – zapytacie. Jestem przyzwyczajona do leżenia w bezruchu i czekania, odpowiem. Ale jak matka

mogłaby mnie zobaczyć na dole, na ziemi, wśród krokusów i jaszczurek?

Tej samej nocy Lem wyciągnął niebieskiego samca jaszczurki z wysokiej szafki, gdzie obgryzał butelkę starego wina, i wyszeptał słowa wypisane na jego grzbiecie, czarne i kręte słowa, które oferowało łuskowate ciało. Oczy jaszczurki rozbliły i łuski się otworzyły, ujawniając straszne szkarłatne węgle, dym rzygnął z biednego pyszczka.

– Lem! Czemu mnie dręczysz? Dlaczego wyciągasz mnie z mojego rajy sześciu wież, gdzie muzyka dzinnów godzina po godzinie brzdąka gwiazdami na wietrze, i znów pakujesz mnie w swoją śmierdzącą, plugawą jaszczurkę? To nie jest dla mnie odpowiednie naczynie!

– Wybacz, Kaszkaszu! Jestem w wielkiej potrzebie! Byłeś taki miły i mądry, gdy ostatnio rozmawialiśmy, i wysłuchałeś moich narzekań, i powiedziałeś mi, gdzie znaleźć żonę skuloną pod urwiskiem! Znalazłem ją i jest tutaj, w moim domu!

– W takim razie dlaczego mi przeszkadzasz? – Jaszczurka oblizwała gałkę oczną na znak braku zainteresowania. Skrzywiła się, jej smak był mniej niż apetyczny.

– Ona jest nieszczęśliwa, a ja nie mogę jej pomóc. Nie odzywa się, nie robi tygrysiej zupy, nie kocha pachnącego tymiankiem łóżka! – Lem zaczął błagać żałośnie. – Chciałbym, żeby jej pragnienia nie były takie wielkie, żeby nie była taka ogromna i pusta jak dół, w który wlewa się moja miłość, a jednak nie budzi echa. Chciałbym, żeby jej potrzeby były mniejsze i słodsze. Obawiam się, że niedługo sięgnie po harfę, i co się wtedy stanie ze mną?

Jaszczurka się zastanowiła.

– Spełnienie tego życzenia z pewnością jest dość łatwe dla mnie, który może objąć ramionami wszelkie możliwe rzeczy, a nawet zmiążyć Gwiazdę i wcisnąć ją do domu za małego dla jej najmniejszego palca. Ale czemu miałbym to robić?

– Ponieważ o nią zadbam! Będzie u mnie bezpieczna, a ja będę ją kochać, będę jak trawa pod jej stopami i nigdy nie pozwolę tygrysom jej dotknąć, przysięgam, szlachetny Kaszkaszu! – Lem ujął w ręce maleńkie pazurki jaszczurki.

– Nie dotykaj mnie, ty brudny pogromco tygrysów. Nie dbam o to, ale niech ci będzie. I ostrożnie z tą jaszczurką. Nie lubię być wzywany. Wolę pojawiać się w dostojności dymu i płomienia tam, gdzie mam ochotę.

– Oczywiście, Kaszkaszu.

– Idź do swojej żony i zobacz, co dla ciebie zrobiłem.

– Tak, Kaszkaszu.

Płomienie pod skórą jaszczurki zgasły i łuski zamknęły się z sykiem pary.

Chciałabym powiedzieć, że to czułam, ale nie czułam. Kiedy Lem podbiegł do mnie, z twarzą znów pełną uwielbienia i potrzeby, z twarzą znów przejętą i nawiedzoną, byłam nie większa niż jego dłoń. Czekałam, by okazał przerażenie, by przeklął imię swojej jaszczurki, ale wykrzyknął z zachwytu i zatańczył w swoim lichym domu. Przytulił mnie do policzka.

– Teraz nigdy mnie nie opuścisz, nigdy, i będziemy szczęśliwi, Li, zobaczysz!

Ale nie byłam szczęśliwa. Nienawidziłam tego, że stałam się małą, że nie mogę jeść ani dotknąć, ani zobaczyć niczego bez pomocy Lema, który był zadowolony jak syty tygrys. Wyrzeźbił dla mnie łóżeczko z wiśniowego drewna i zasłał je mięciutką pościelą. Zrobił dla mnie maleńkie noże i widelce. Płakałam, ale

co więcej mogłam zrobić? Z biegiem lat zaczął się o mnie bać, bo przecież byłam bezradna. Zakazał mi wychodzić z domu, gdyż mogłam stać się ofiarą przelatującej sowy, a potem zakazał mi wychodzić z łóżka z wiśniowego drewna, bo jakaś mysz mogła mnie zjeść. Leżałam w łóżku i się nie ruszałam, i to mi nawet odpowiadało, bo o nic nie dbałam, i patrzyłam w ciemność, próbując sobie wyobrazić, że jestem w domu.

Tak się stało, że Lem zdjął niebieską jaszczurkę z grzędy przy kominie i raz jeszcze wyszeptał zaklęcie, które było nabazgrane na łuskach. Leżałam w łóżeczku i patrzyłam, jak biedne zwierzę znowu puchnie od ognia i bucha dymem, i wspominałam zapach płonącej trawy, wspominałam trawę, którą byłam.

– Lem, nie lubię cię. – Jaszczurka beknęła. – Dlaczego znów mnie wzywasz? Wolę się ukazywać z własnej woli.

– Kaszkaszu, wysłuchaj mnie! Nie mogę znieść stanu mojego życia – co będzie, jak ona, moja kochana Li, moja dziewczyna-krokus, moja kotka, zostanie pożarta przez niemądrego oposa albo szczura, albo sokoła? Nie mogę zawsze nad nią czuwać! Nie spałem od wielu dni.

– O co mnie prosisz? Nie nadążam za twoim bełkotem.

– Chciałbym, żeby została ze mną na zawsze, bezpieczna, zdrowa i cała. Chciałbym mieć pewność, że nie spotka jej krzywda do końca moich dni i dłużej!

Płonąca jaszczurka się zastanowiła.

– W swoim szaleństwie, Lem, wiesz, że ona nie jest twoja, prawda? Nigdy nie obiecałem, że oddam ci starą żonę, a to, co sprokurowałem, jest nieskończenie lepsze niż jakaś nijaka hodowczyni kwiatów.

Biedny Lem, łagodny Lem patrzył pustym wzrokiem na jaszczurkę, nie rozumiejąc.

– Ona jest Gwiazdą, Lem. Spaliła ziemię, gdy przyszła, i gdybyś chciał mnie zrozumieć, powiedziałbym ci, że sam wyskoczyłem z dymu przypalanego przez nią stepu. Dlatego masz tę głupią jaszczurkę, która bezmyślnie skubała spaloną trawę, gdy spadła Gwiazda. Dlatego przychodzę do ciebie, choć naprawdę wcale tego nie pragnę. Każde stworzenie chce zobaczyć, jak miewa się jego rodzina. – Jaszczurka uśmiechnęła się szeroko, ogień wyskoczył z jej gardła. – A jeśli chodzi o twoje życzenie, zrobię, co trzeba – i nikt nie będzie mógł powiedzieć, że nie byłem pierwszy, że nie byłem najlepszy i najpierwszy ze wszystkich dzinnów! Kochany Lem, grzeczny chłopiec. Ona będzie bezpieczna, obiecuję. Ale to twoje ostatnie życzenie.

Lem zmarszczył brwi nad zaczerwienionymi, przygaszonymi oczyma.

– Dlaczego? Bo miałem trzy? Słyszałem, że jest takie prawo.

– Nie, ponieważ uważam, że jesteś męczący. Odejdź.

Jaszczurka buchnęła ogniem i zamknęła łuski. Wysunęła długi różowy język, a na nim leżała szkatułka cała ze skrzącego się krwawnika, rzeźbiona w kręte, rozkołysane trawy, z maleńkim zameczkiem lśniącym z boku. Była wielkości mojego łóżka.

– Och – sapnął Lem. – Tak.

OPOWIEŚĆ O KLATCE Z KOŚCI SŁONIOWEJ I O KLATCE Z ŻELAZA, CIAĞ DALSZY

– Zamknął mnie w niej – powiedziała mała Gwiazda Trawa – i przekręcił klucz w zamku. Leżałam na jego kominku, dopóki nie umarł, jego najpiękniejsza własność, jego dzieło sztuki, jego ideał piękna, nieskazitelnego, wiecznego. Leżałam, lizana przez jaszczurki i głaskana przez człowieka, który miał ręce szorstkie od mieszania zupy. Kiedy zmarł, jego stara teściowa zabrała szkatułkę do swojej rodziny, gdzie przechodziła z pokolenia na pokolenie, i przypuszczam, że ktoś musiał zabrać ją do tego czerwonego, upiornego miasta, pewnie postawił na komodzie jakiejś księżnej i nazwał ślicznym bibelotem – nie wiem. Zasnąłam, nic mnie nie obchodziło. W ciemności znalazłam spokój i mogłam udawać, że jestem w domu, że matka widzi mnie lśniąca, nawet przez tę okropną skrzynkę. Że wie, iż nigdy nie chciałam niczego spalić. Pozwólcie mi zasnąć. Pozwólcie mi wrócić w ciemność. Wyszłam do sucha i skurczyłam się w śmiesznego ludzika, wciśnięta do skrzynki przez stulecia leżącej na parapecie. Dość zrobiłam.

Słuchałam ze zgrozą.

– Ale... mogłabyś wrócić, teraz, gdybyś chciała – powiedziałam.

– Jestem zmęczona – odparła i jej oczy z nasion rozbłysły.

– Jestem dzinnem, wiesz. Pochodzę, cóż, prawdopodobnie nie od ciebie, ale od jakiejś innej płonącej Gwiazdy. Nie jestem pewna, naprawdę; inni jeszcze nie określili mojej rozpałki. Ale można powiedzieć, że jesteśmy dalekimi krewnymi.

Gwiazda Trawa spojrzała na mnie kamiennym wzrokiem i nic nie powiedziała.

– Oparzona – odezwała się Pociecha, patrząc na mnie błagalnie. – Nie możesz jej im oddać. Najlepsze, co zrobią, to postawią ją znowu na jakimś kominku.

– Babciu – zaczęłam powoli, choć Gwiazda Trawa zrobiła gniewną minę, słysząc to miano – pozwolisz, bym cię zabrała? Tylko na trochę.

– Czy kiedykolwiek ktoś dał mi wybór?

– Teraz, wypuszczę cię. Ja, Oparzona z żadnej szczególnej rodziny, królowa dzinnów Rozżarzony Węgielek. Ponieważ, wiesz, ciemność... – podniosłam garść pokrytych sadzą włosów – jest naszą obsesją.

Wzniosłyśmy się jak dym. Mój ogon włókł się za mną, moje srebrne kosze się trzęsły, uderzane przez wiatr. Li się nie odzywała, skulona w swojej szkatułce z krwawnika. Widziałam koniuszki jej srebrnych stóp wystające spod sukni z trzciny. Powietrze się ochładzało, gdy wzlatywałam coraz wyżej, do szczytu wieży syren, której wyciągnięte palce sięgały do wierzchołka Adżanabh. A potem wzięłam w rękę delikatną, zieloną Li i dotknęłam nieba, które wydawało ostatnie tchnienie ciemności przed świtem, dotknęłam jednym gorejącym palcem. Zapach spalonego powietrza wypłynął z przebicia i nie mogę powiedzieć, czy to dlatego, że mój ogień jest straszny, czy

dlatego, że pragnęłam tego tak gorąco, że chciałam, by odpoczęła, by znalazła się jak najdalej od Kohinur i wojsk królów i królowych, by wróciła do domu, by płonęła gorąco jak życzenie, nie wiem dlaczego, ale ciemność otworzyła się wokół mojego palca jak kwadrat jedwabiu rzucony na świecę i wsunęłam rękę w płonącą noc, poszerzając i rozciągając ciemność wokół siebie. Była jak skóra, i dławiłam się, płakałam, moje gardło zamarzło. Ale wyjęłam ze szkatułki Li, jedną z miliona rozsianych Gwiazd, i ułożyłam w nocy jak dziecko w łóżeczku.

Spojrzała na mnie niedowierzająco, bez uśmiechu. Szkoda, że się nie uśmiechnęła. Chciałabym wiedzieć, że dobrze postąpiłam. Ale ona tylko odetchnęła głęboko i zamknęła oczy, a wokół niej zamknęła się ciemność.

W OGRODZIE

Dawno minęła północ, pochodnie wciąż płonęły i roztopiony śnieg spływał po ich polerowanych trzonkach, szybki jak wrony skaczące do wodopoju. Księżyc zaszedł i poza poblaskiem ognia było ciemno jak we śnie. Na najdalszych krańcach ogrodu panował spokój, nie mąciły go ani żaby, ani gęsi, ani wyjące wilki. Kwiaty były martwe i lodowate, drzewa nagie i twarde. Gwiazdy milczały na śniegu.

Dziewczynka otworzyła oczy. W chwili, gdy to zrobiła, ich czerń zniknęła z gardła chłopca, który urwał w połowie zdania.

– Chodź – powiedziała. – Chodźmy stąd. Nie chcę być w ich pobliżu, w pobliżu twojej rodziny, twojego ojca. To prawie koniec. Wiem.

– Jesteśmy bezpieczni – zapewnił chłopiec, wskazując przez falujące gałęzie na dalekich tancerzy, dalekie dzieci, które ze śmiechem obrzucały się nasączonymi w likworze zielonymi winogronami.

– Nie. Chodź do ogrodu, chodź na skraje, chodź do śniegu i żelaza.

– Jeśli tego chcesz.

– Tak.

Zdjął jej diadem i woal spadł na lód. Dziewczynka otrzepała ręce z płatków śniegu i podniosła ciężką spódnicę, odwracając

się od światła i dźwięku za konarami kasztanów. Chłopiec ujął jej dłoń.

– Czekajcie – powiedział ktoś za nimi. Była to Dinarzad w długich żółtych woalach, z każdym palcem w pierścieniu ze szmaragdem, z talią opasaną czerwienią. Dzieci odwróciły się ku niej. Dinarzad się nie odezwała. Podniosła Woal i spojrzała na dziewczynkę z niemym błaganiem, z rozpaczą w ciemnych oczach. Dziewczynka puściła rękę przyjaciela i podeszła przez śnieg do młodej kobiety. Spojrzała w jej twarz jak w lustro i ujęła długie, błyszczące palce amiry w swoje spierzchnięte, zimne dłonie. Wzięła głęboki oddech, przestraszona jak zając, który nie jest pewien, czy widział strzałę we mgle, czy może mu się zdawało.

– Myślę – zaczęła ciszej niż światło – myślę, że pewnego ranka papieżyca zbudziła się w swojej wieży i jej koce były takie ciepłe, i słońce było takie złote, że nie mogła tego znieść. Myślę, że się zbudziła i ubrała, i umyła twarz w zimnej wodzie, i wytarła ogoloną głowę. Myślę, że chodziła wśród swoich sióstr, i po raz pierwszy zobaczyła, jakie są piękne, i je pokochała. Myślę, że zbudziła się pewnego ranka i stwierdziła, że jej serce jest białe jak jedwabnik, a słońce czyste jak szkło na jej czole, i uwierzyła wtedy, że może żyć i trzymać pokój w swej ręce jak perłę.

Ciepłe łzy wdzięczności spłynęły po ślicznej twarzy Dinarzad, usta jej zadrzały. Przytuliła dziewczynkę jak matka i pocałowała jej zamarznęte włosy. Wypuściła ją z objęć, opuściła żółty woal i odeszła ku kaplicy – ale co rusz zerkała przez ramię w ciemność i gałęzie, w głąb ogrodu.

Dziewczynka wplotła ręce w żelazną bramę. Spojrzała w głęboki las za terenami pałacowymi, gdzie nigdy nie miała odwagi się zapuścić. Jej palce były blade jak grzyby i nie czuła lodu. Cienie kłuły gęstwę za bramą, cienie i światło gwiazd przesiewane przez bezlistne gałęzie i sztywne czarne igły.

Zamknęła oczy i spróbowała uciszyć serce. Odwróciła się w stronę chłopca, jej czarne powieki płonęły.

– Śmiało, powiedz mi, jak to się kończy – szepnęła.

OPOWIEŚĆ O KLATCE Z KOŚCI SŁONIOWEJ I O KLATCE Z ŻELAZA, CIAĞ DALSZY

Karnawał Brzasku śpiewał setkami otwartych gardeł w łagodnych cieniach łokci Symeona. Kiedy wróciłam na dziedziniec Orfei, Pocięcha i Latarnia już odeszli; musiałam sama znaleźć drogę. To nie było trudne. Prowadziły mnie dźwięki bębnów i fletów, trąbek i lir, piszczałek i krzyku, gwar wielu głosów. Okrążyłam wysoki słup latarni z głowicą w kształcie ryby, która tryskała z ust pianą światła w powietrze – pod nią brukowana ulica roiła się od ludzi, roiła się od adzańczyków, kolory chwytaly moje oczy jak haki.

Żonglerzy wyrzucali w powietrze żelazne pogrzebacze, szkarłatne kwiaty i czasami dziecko; połykacze ognia połykali ogień; aktorzy przywdziewali i zdejmowali maski – zobaczyłam Ariosa, który ku zachwytowi młodego chłopca pociągał skraj twarzy szakala, ale nie mogę powiedzieć, co kryło się pod spodem. Malarze skakali jak szaleni po plecach Symeona, obrzucając go pigmentem z zapamiętaniem czapli w okresie godów, oszalałe pędzle jeżyły się w ich dłoniach. Syreny muskały skrzydłami mur, pisząc własnym niebieskim tuszem:

Nawet w pokucie jest piękno; błogostawieni wszyscy utopieni przez ocean!

Śpiewacy stali w gromadach wokół trębaczy i flecistów, wysokie i niskie głosy niosły się echem wśród wycia, lamentowania i szczekania niezliczonych stworzeń. Kobieta w papuziej zieleni i ze szkarłatną głową krakaniem oznajmiała godzinę, a mężczyzna z maleńkim wilkiem na ramieniu wył z nią w duecie. I tancerze – och, tancerze! Wszyscy tańczyli, kłęb rąk i nóg, skoki, jakich nie mogłam prześledzić w tłumie, i Agrafena, Agrafena tańcząca i grająca wśród tego tłumu. Była jednak skromna i wielu innych grało głośniejsze, tańczyło szybciej. Obok fontanny, gdzie woda sączyła się z ust kobiety o lisiej twarzy, dziewczyna cała w czerwieni tańczyła z mężczyzną w zielonym płaszczu, który miał nogi gazeli, i oplatała długie czarne paciorki wokół jego szyi, a on delikatnie kęsał ją w policzek. Czerwony lew hasał u ich boku. Pająki skakały z lampy na lampę, wlokąc za sobą opalizujące sieci. Czy jeden miał igły zamiast nóg? Nie widziałam.

Pośrodku placu królował Latarnia, jego ogon jaśniał i płonął, a w trzaskających wstążkach płomieni tańczyła Pocięcha, z oczami zamkniętymi w ekstazie, stąpając zwinnie pomiędzy pomarańczowo-czerwonymi piórami, wyrzucając wysoko ramiona, zadzierając głowę, jej czarne tatuaże lśniły wilgotno i jasno w blasku światła ojca. Kiedy Agrafena przystanęła, żeby odciąć postrzępioną nić włosów, oboje skorzystali z chwili odpoczynku i Pocięcha podbiegła do mnie, mokra od głowy do biodra. Włosy oblepiały jej czaszkę, okręcały ją w długich sznurach. Skórę miała lśniącą i śliską. Popatrzyła na siebie i zachichotała.

– Folio ją zrobiła, dlatego się nie palę. Pachnie trochę kwaśno i gorzko, jak stare piwo, ale dobrze mi służy. Jestem tylko lekko zaróżowiona, gdy kończę. Kiedyś miałam okropne pęcherze.

Pokazałam jej pustą szkatułkę, a ona pokiwała głową. Sądzę, że mogłabym tam zostać, mogłabym chodzić po karnawale z nią za rękę, jeść jabłka oblane winem kardamonowym i mówić jej, jak kiedyś, kiedy byłam bardzo młoda, widziałam królową tańczącą w swej samotnej sali, z węgielkami czerwonymi jak krwotok, i wtedy myślałam, że jest taka piękna. Myślałam, że musi być szczęśliwa. Mogłabym tak zrobić. Mogłabym odmówić powrotu przez ręce Symeona i przetrwać oblężenie z adzańczykami, chowając się w krętych jak korkociąg uliczkach – ale nagle ogłuszający huk rozpętał wichry, a zaraz potem drugi rozdarł ostatnie nici niebieskiej nocy i wpuścił słońce, wpuścił ogień – bo ogień przybył, ryczący pod murem, czarny, szkarłatny i wielki, z hukiem oceanu. Oświetlił twarze nas wszystkich, wyszorował je do białości. Pociecha wtuliła buzię w moją talię. Rozbrzmiał kolejny straszny dźwięk, trysnęła kolejna fontanna ognia, strzelająca w górę jak narodzony smok. A potem usłyszeliśmy jeszcze gorszy dźwięk, krzyk, sapanie, straszny szloch, gdy Symeon zaczął krwawić, zaczął płakać, zaczął wołać do Agrafeny, przerażony i samotny.

Agrafena podniosła smyczki i zaczęła grać powolną, melodyjną kołysankę, cała błękitna, srebrna i życzliwa, i wcale nie płakała, wcale a wcale. Adzańczycy runęli przed siebie, wyciągając ręce do Symeona, by szeptać, głaskać go i przytulać policzki do jego pleców. Ja też do niego podeszłam i przyłożyłam dłonie, rozszczepione przez płynny ogień, do wnętrza jego kciuka.

– Wypuść mnie – szepnęłam i jego palce się rozsunęły, pozwalając mi przejść.

Po drugiej stronie muru ujrzałam wojska z dumnymi pióropuszami, ich krucze i łabędzie hełmy, ich konie o piersiach

przepasanych i okutych brązem, ich tarcze z tysiącami herbów i pieczęci, których nigdy nie spamiętam. Zobaczyłam przestraszone mosiężne oczy Symeona, gdy próbował nie płakać głośniej, niż już płakał. Kohinur niedaleko ode mnie siedziała na wielkiej salamandrze. Mamy niewielki wybór, jeśli chodzi o wierzchowce, a salamandry są słodkie jak kocięta. Nie mają nic przeciwko dymowi i z wdziękiem noszą siodła. Jej świdrujące oczy wędrowały pomiędzy jej panią i mną, jej skóra lśniła jak natarta olejem. Obok Kohinur stali wszyscy inni, Chaamil, król Paleniska z jednym lśniącym okiem, król Rozpałka i królowa Hubka z płonącą żółto twarzą, król Krzesiwa i Stali z iskrami trzaskającymi na wietrze. Za nimi zobaczyłam biały dym kapłanów Chajghal, spodziewających się wymierzenia kar przed końcem dnia. Katapulty kiwały się leniwe, puste. Władcy byli rozgniewani; nietrudno to poznać, choć dzinn często wygląda na złego, nawet gdy śpi. Uznałam, że niemądrze będzie pozwolić im na rozpoczęcie kazania albo egzekucji, dlatego przemówiłam pierwsza; przemówiłam, stojąc na strzaskanej terakocie, zbryzganej oleistą, kleistą mazią, która płonęła jak włosy królowej.

– Mam! – krzyknęłam i podniosłam szkatułkę w obrzeżonej oranżem ręce.

Kohinur wytrzeszczyła oczy.

– Skąd ją masz? Adzańczycy nigdy by jej nie oddali!

– Adzańczycy nie wiedzieli, gdzie jest, ty stare palenisko. Ale mam ją, i oddam ci, jeśli przestaniesz krzywdzić biedny mur i wrócisz do domu jak kot, który bawił się całą noc, a teraz słyszy dzwonek na śniadanie.

Królowa Popiołu zmrużyła oczy w szare i dymne szczeliny.

– Daj mi to, a zobaczymy.

Nie byłam królową dość długo, żeby ją przechytrzyć. Pchnęła salamandrę do przodu, jej włosy powiewały za nią jak płonące drzewa. Włożyłam czerwoną, lśniąca szkatułkę w jej ręce; odwróciła się plecami do innych, jakby chciała zachować ją tylko dla siebie, by zajrzeć do niej pierwsza i nie dzielić się z nikim zaszczytem.

Nie zawyła z wściekłości, nie rzuciła klątw na moje imię, nie uderzyła mnie czarnymi pięściami. Nawet na mnie nie spojrzała.

– Gdzie ona jest? – zapytała cicho.

– Odeszła. Jest w domu. Nie należy do nikogo, ani do ciebie, ani do Lema, ani do Kaszkasza, ani do żadnego warczącego tygrysa. Jest bezpieczna.

Kohinur pokręciła głową.

– Jak mogłaś? – wyszlochała. Ból przeszywał jej głos jak igła suknię.

OPOWIEŚĆ KRÓLOWEJ POPIOŁU

Czy wiesz, co trzeba mieć, żeby zostać królową Popiołu? Jak ty masz swoje włosy, a Chaamil swój niski, piękny głos, harmonijny jak dwa słowiki śpiewające razem? Nic.

Nie możesz mieć w sobie ognia. Nie możesz mieć iskry ani tchnienia szkarłatu, ani najłżejszego drżącego westchnienia rozżarzonych węgli. Musisz być zimna, szara i pusta. I taka byłam. Bez końca chuchałam w ręce, mając nadzieję na światło, mając nadzieję na ciepło. Nie chciałam być królową, chciałam płonąć. Zawsze drżałam, byłam chudą sierotą, wypaloną, wyrzuconą gałęzią.

Czy wiesz, że bez ognia nie można spełniać życzeń? Wątpię, czy choćby o tym myślałaś. To prawda. Życzyłam sobie tak mocno, kiedy byłam dzieckiem... życzyłam sobie wszystkiego, co przyszło mi na myśl – ale najczęściej życzyłam sobie ognia. W końcu, w swej rozpacz, życzyłam sobie tego, czego nie ma w księdze Chajghalu: życzyłam sobie ptaka do kochania, do trzymania w ręce, z błękitnym łebkiem i skrzydłami z lodu. Życzyłam sobie najkrótszego życia spośród wszystkich dzinnów. Życzyłam sobie matki, prawdziwej matki, z ogniem w oczach.

Ale wciąż byłam sama i skrobałam w popiele, podczas gdy inne dzieci płonęły na berylowym bulwarze jak świetliki. Ktoś zauważył smugę czerni na murze z krwawnika i zostałam królową, zanim skończyłam dwa lata. Nie miałam konkurencji –

od lat nie narodził się dzinn bez płomienia. Siedziałam sama w swoim alkazarze, przysuwając się do ognia, próbując zapalić choć rękaw.

Chaamil też został koronowany niedawno. Nie miał pojęcia, co zrobić z ogromnym paleniskiem, którym była centralna sala jego pałacu, i próbowałam mu pomóc, bo ci urodzeni do ognia zwykle są w tym do niczego. Pomagałam mu czyścić ruszt z popiołu, podsycać ogień, żeby się rumienił, usuwać czarne smugi z mosiężnych filarów. On opowiadał mi niestworzone historie o swoich życzeniowych wyczynach: Na północy pokochał kobietę z końskimi kopytami i obdarzył ją niewyczerpanym sadem limet; znienawidził mężczyznę, który ukradł trzy zielone owoce, i rzucił na niego klątwę nienasyconego głodu. Rumieniłam się na czarno z zazdrości; drwił ze mnie, szydził z mojego pecha. Opowiadał mi o dzinnach wiatru i dzinnach wody – a ja nie miałam pojęcia, o co mu chodzi.

– Kto cię wychował, dziewczyno? Dzinnowie, którzy pochodzą od spalonych przez Gwiazdy wiatrów, dzinnowie, którzy wyparowali ze sparzonych przez Gwiazdy oceanów. Wszyscy mamy swoje plemię, każdy to wie, a teraz, gdy mamy biblioteki dla siebie, możemy stwierdzić dokładnie, kto jest kto. Wyobraź sobie! Mogę poznać imię wiatru, który nosił moich dziadków!

– Nikt mnie nie wychował – mruknęłam. – Moja matka wypaliła się, gdy mnie nosiła. Mój ojciec zażyczył sobie, żeby umrzeć zaraz po niej.

Chaamil zrobił wielkie oczy.

– To nie jest przyjęte!

Uśmiechnęłam się cierpko.

– Co mogą mu zrobić?

– Cóż, dowiedzmy się zatem, kim jesteś. Skąd pochodzisz. Genealogia jest wielce zabawna.

Zaskoczył mnie pomysł, że ślęczenie nad starymi księgami pokrytymi warstwą kurzu grubszą niż kartki może być zabawne. Dla nich prawdopodobnie było. Bawiła ich podniecająca świadomość, że w każdej chwili zbłąkany kosmyk włosów może wzniecić pożar w całej bibliotece. Ale pod moimi palcami stronice pozostały zimne i walałam je czernią. Poszłam z nim do podziemi mojego alkazaru, bo gdzie lepiej przechowywać takie łatwopalne archiwa, jak nie w zimnie i w czerni, w salach mojego domu? Mieliliśmy obsesję na punkcie archiwów – czy mogło być inaczej? Żyliśmy tak krótko, i łatwo było zapomnieć.

W bibliotece hulały przeciągi, sufity sięgały wysoko jak najwyższe gałęzie drzewa sandałowego. Krokwie były przyczernione przez zapomniane ognie, pokryte odciskami rąk dzinnów, którzy wydrążyli to miejsce dawno temu, gdy Kasz zbudowany był z gliny i plecionki, nie z krwawnika i mosiądzu. Te ślady przypalenizny drwiły ze mnie z wysoka, wywrzaskując szyderstwa zgrzytliwymi głosami białoookich szczurów. Nie było tam półek, tylko żelazne ruszty, które mogłyby podtrzymywać wieczorny ogień, ale zamiast tego trzymały książki, stare i martwe. Dżinnowie nie pisali wymyślnych opowieści ani poematów epickich o męstwie i poświęceniu – czy pochłanianie jednego płomienia przez drugi przynosi chwałę? Nie większą niż spalenie stosu drewna i skrzesanie iskry. Kaszkasz zakazał nam pisać o wyczynach, wyjąwszy te, których sam dokonał, i poeci szybko się tym znudzili. Dlatego nasze książki są nieliczne i bardzo cenne. Przeciągałam po nich palcami i starałam się nie

zwracać uwagi na obelgi krokwi. Kartki były delikatne jak popiół, ze skóry salamander, a słowa na nich wypisane węglem.

Chaamil krążył nade mną, gdy czytałam, bawiąc się rękawem. Założyłam za ucho kosmyk dymnych włosów i przeglądałam księgi, wstecz i wstecz, rodzice i dziadkowie o imionach, które ledwo umiałam wymówić, podczas gdy Chaamil pokrzykiwał z rozkoszy, gdy natknął się na powiązanego z nami dżinna, kuzyna setnego stopnia. Gdy ślęczałam nad księgami, zszytymi z popiołu i sadzy, zobaczyłam, że moi przodkowie kurczą się, stają się coraz bardziej wysuszeni, płoną goręcej. Zobaczyłam, jak przemieniają się w trawę, widziałam, jak rodzą nasiona i falują na pachnącym pszenicą wietrze. I zobaczyłam upadającą Gwiazdę ze złamanymi stopami, i zobaczyłam, jak kuśtyka z płaczem przez pole, i zobaczyłam cienie umykające spod jej stóp.

Chaamil zrobił wielkie oczy. Łzy spływały mi po twarzy – niema słońca woda, nie płomień, nie płomień. Nie mogę nawet płakać jak dżinn.

– Przecież to księga Kaszkasza, jego rodowód. Pochodzisz od tego samego oparzenia, od tej samej Gwiazdy. Myślę, że to czyni go...

– Niczym, to czyni go niczym! Nie słuchałeś króla Krzemienia i Stali? Kaszkasz jest niczym, był płonąca plamą oleju na śmieciach naszych wież szadukiańskich, i ja jestem niczym jak on!

Zatrzasnęłam księgę. Nie chciałam wiedzieć. Nie prosiłam o wiedzę. I w następnych dniach Chaamil nauczył się nie pytać mnie o to. Tak, brakuje mi płomienia, ale mogę obrócić w popiół ogień każdego z nich. Tylko raz podniósł rękę do moich włosów

i powiedział mi, że ma ogień dla nas obojga, który sprawi, że zapłonę. Wsunęłam rękę w jego dym, a wtedy poczuł moje zimno, poczuł miękkość popiołu spadającego na swoje serce i zadrżał, i nie ponowił propozycji.

Ale gdy sunęłam po swoich salach i moje kolumny szarzały od popiołu, nie mogłam zapomnieć Gwiazdy Trawy, jaka smutna wydawała się na iluminacjach, okolona ogniem na stronie, z oczami pełnymi płomienistych łez, prawdziwych łez wrzącej lawy, i z biednymi, kalekimi stopami krwawiącymi na trawie. Pochodziłam z jej krwi czy z łez? Czy pochodziłam z jej połamanych kikutów? A może pojawiłam się później, gdy ten mężczyzna ją wyżył i ściemniała jak ja – czy dotknęła jakiegoś mało znaczącego źdźbła trawy żalospną resztką światła i w ten sposób została moją babcią? W moich snach Gwiazda Trawa splunęła na męża i jej ślina zwinęła się w blade, bezkrwiste dziecko, które płakało za nią, choć ona go nie słyszała, i ja byłam tym żalospnym dzieckiem. Kiedy nie śniłam, szukałam jej w księgach na rusztach w wietrznych podziemiach – gdzie leży teraz, nieśmiertelna Gwiazda z zarania świata?

Chaamil martwił się o mnie. Jego płomienie złagodniały. Podczas gdy ja spałam na poparzonych podłogach krypty i ślepe, siwołape gołębie dziobały moje włosy, krążył nade mną jak babcia, skręcając brodę w rękach.

– Kohinur – zagadnął mnie pewnej nocy, gdy klęczałam przy ruszcie z pazurzastymi nóżkami, pokrytymi czerwoną rdzą jak ogień serca – pozwól, że ci pomogę. – Szeroko otworzył piękne, płomieniste oczy. – Pozwól, że wyrażę dla ciebie życzenie i przyjmę karę, jaką kapłani Chaighalu znajdą w swoich białych ogonach. – Ujął moje ręce i spojrzałam mu w twarz, jasną i

przejętą jak pysk młodej salamandry pod swoim pierwszym siodłem.

– Ja tylko chcę ją poznać, Chaamilu. Powinna być tutaj, w Kaszu, ze swoimi dziećmi, siedzieć na poduszce z jedwabiu jak błękitny ogień, słuchać ich głosów śpiewających nowe pieśni, pieśni, od których płoną uszy. Powinna nosić czerwone klejnoty i jeść czerwone owoce, i trzymać na kolanach dzinny, którzy ją kochają. Położyłaby na mnie ręce, a ja bym zapłonęła, jej srebrny ogień lizałby moje zebra i śpiewałybyśmy razem o ciemnościach na początku świata.

Moje oczy spłynęły strasznymi słonymi łzami, mokrymi, bezbarwnymi i bezużytecznymi. Chaamil złożył malowane dłonie i wzniosł oczy ku krokwiom. Szczury uciekły z piskiem – i na złotym ruszcie, którego wcześniej nie widzieliśmy, leżała księga w takich kolorach, że w tym przyczernionym miejscu wyglądała jak paw pośród wróbli. Oprawiona w jagnięcą skórę i malachit, z kartkami zapisanymi tuszem z małży, zawierała historię szkatułki z krwawnika, przekazywanej z pokolenia na pokolenie w rodzinie hodowczyni krokusów. Ale kwiaty mają kiepską pamięć – księga wiedziała tylko, że szkatułka opuściła swój kraj rodzinny i trafiła do jakiegoś dalekiego, zaniedbanego miasta na dnie świata, gdzie wieże były czerwone i okropne, do miasta, które na nią nie zasługiwało. Nazajutrz Chajghal zabrał oko Chaamila.

OPOWIEŚĆ O KLATCE Z KOŚCI SŁONIOWEJ I O KLATCE Z ŻELAZA, CIAĞ DALSZY

Kohinur spiorunowała mnie wzrokiem znad szerokiej, nakrapianej głowy salamandry.

– Adzańczycy nigdy mi nie odpowiedzieli. Książę nie odpisał na ani jedno pismo. Kiedy kapłani Chajghalu zbadali sprawę, odkryli degenerację miasta i zdecydowali, że Kaszkasz nie zostawiłby muchom takiego bogatego trupa na pustyni. Choć uzyskali informacje ze zdrady, której Chaamil dopuścił się w dobrej wierze, doszli do wniosku, że powinniśmy dokonać podboju. W ten sposób miałam ją odnaleźć. Miałam jej dotknąć.

– Głos królowej Popiół zamienił się w psie warczenie. – A wtedy zmarła stara królowa i jej miejsce zajął ciemny węgielek z rynsztoka, który nie dba o historię bardziej niż promień o zapalkę.

– To nie ma znaczenia – powiedziałam. – Ona odeszła.

– Ona była moja – szepnęła Kohinur z błaganiem w siwych oczach. – Jak mogłaś mi ją odebrać?

– Nie była twoją matką. Ani moją. Dżinn powstał z jej kroków tylko przypadkiem. Nie miałaś do niej prawa.

– Ani ty!

Zwiesiłam głowę, starając się wyglądać jak najbardziej pokornie.

– Wracajmy do domu, Kohinur. Wracajmy do naszych alkazarów, pijmy wino węglowe i śpiewajmy nowe pieśni. Pieśni o Adżanabh, o Gwiazdach, o tygryśkich sercach.

Potrząsnęła włosami, a jej salamandra zatupała suchymi stopami.

– To jej miasto. Zajmę je i będę żyć w cieniu jej kroków, ukryta wśród tych czerwonych kamieni jak ona, i będę wspinać się na każdą wieżę do nieba, dopóki się nie dowiem, gdzie ją schowałaś, dopóki nie spojrzę jej w oczy, dopóki nie znajdę swego ognia, a ona swoich dzieci.

Wyprostowałam się i wsparłam ręce na wiszących u bioder koszykach.

– Ten ciemny węgielek z rynsztoka sądzi, że tego nie zrobisz.

– Czyżbyś za długo przebywała w tłustych palcach tego olbrzyma i rozum ci odjęło? To decyzja królów, królowych i Chajghalu! Nie możesz się sprzeciwić.

Próbowałam się uśmiechnąć, jak wedle moich wyobrażeń uśmiechnęłaby się królowa w pełni władz umysłowych. Przypuszczam, że mój śmiech zabrzmiał jak chore warknięcie, jak syknięcie kotka na lwa. Ale nie mogłam pozwolić, by adżanńczycy spłonęli. Nie mogłam.

– Mogę wypowiedzieć życzenie – oznajmiłam.

– Nie wolno ci! – ryknęli kapłani Chajghalu. – To zabronione! Nie można życzyć sobie niczego, czego nie ma w naszych księgach! Kaszkasz nigdy nie życzył sobie klęski, nigdy nie życzył sobie przegranej bitwy, utraty miasta! Sprawimy, że język uschnie ci w ustach, zanim zdążysz wypowiedzieć bodaj jedno słowo!

– Ale gdybym mogła – powiedziałam ostro, podnosząc ręce; pomarańczowe i czarne płomienie oświetliły pyski szkarłatnych salamander Chajghalu – gdybym mogła życzyć sobie tego, co dozwolone, gdybym mogła życzyć sobie tego, co sam Kaszkasz wyciągnął z brody z taką radością, że niebiosa zapłonęły w odpowiedzi, czy zostawilibyście mój język w ustach, czy pozwolilibyście, żeby moje życzenie poruszyło powietrzem?

– Nie możesz życzyć sobie ocalenia tego miejsca – odparli. – Nic w twoim życzeniu nie może sprzeciwić się naszej woli.

– A jednak?

– Jeśli życzenie jest w naszych księgach, wtedy wolno. To prawo Chajghalu. Jesteśmy księgowymi, nie senatorami.

Wtedy się uśmiechnęłam, mogłam się uśmiechnąć. Moje zęby zapłonęły rozżarzone do białości i ścisnęłam dłonie.

– Moje życzenie jest proste. Kaszkasz spełnił je dla pewnego mężczyzny w małej chacie tak dawno temu, że drzewa, które były świadkami tego wydarzenia, obróciły się w proch. Życzę sobie... – mój uśmiech się poszerzył – żony.

Byli zaintrygowani, ich jasne brody migały błękitnie i żółto. Kohinur przewróciła popielatymi oczami. Chaamil uniósł okaleczoną brew. A potem dziwny dźwięk dobiegł z taboru, chrzęszczący, dudniący, niepohamowany, jak koła katapulty miażdżące ziemię. Salamandry nerwowo przestępowały z nogi na nogę, Kohinur szarpała wodze.

Kiedy nadeszły, nigdy nie widziałam niczego bardziej promiennego. Słońce lśniło na ich czołach, w ich oczach, na ich ramionach, gdy otoczyły frontowe szeregi, wszystkie moje żony, żywe i idące do mnie, mężczyźni i kobiety z kamienia: szmaragd, rubin i turkus, turmalin, hematyt i granit, granat, topaz i jaspis, diament i mosiądz, srebro i kwarc, miedź i

malachit, i krwawnik, tak wiele czerwonych twarzy z krwawnika połyskiwało o poranku. Podchodziły do mnie kolejno i całowały moje policzki, i gdy przyszła pięćdziesiąta, gdy przyszła setna, i było ich więcej, i więcej, płakałam, moje policzki zwilgotniały od płomienia. Całowały mnie i zajmowały miejsca wzdłuż muru, o co je prosiłam, tworząc bajeczną osłonę dla Symeona, dla jego biednej krwawiącej piersi, dla jego biednego miasta.

– Sprawa jest prosta – powiedziałam. – One was nie wpuszczą, bo przecież miłość żony jest absolutna, wieczna, nietykalna jak oddech. Podejdźcie, a zdławią wasz ogień kamieniem.

Kohinur patrzyła na mnie z miną skrzywdzonego dziecka.

– Ona była moją matką. Chciałem tylko jej dotknąć – szepnęła. – Pewnie nie zrozumiesz. Przeszukałam moje podziemia, szukając ciebie, twojej rodziny, trawy, wiatru, wody czy kamienia. Nie ma cię tam. Jesteś niczym i nikim. Wpadłaś do Kaszu jak śmieć i tylko przez przypadek zostałam królową. Jesteś dymem i niczym więcej.

– Jak my wszyscy, siostró. – Ręce moich żon ścisnęły moje dłonie. Chciałabym powiedzieć, że dzinnowie się rozproszyli, zanim dzień się skończył, że armia królów i królowych wróciła do domów pełnych kotar i do swoich wielozębnych koron. Ale minęły tygodnie, zanim zdecydowano, że moje żony się nie ruszą, a Chajghal nie znajdzie precedensu, by uchylić moje życzenie. Pracowali powoli i kłęli. A w dniu, gdy pola Adżanabh zrobiły się puste i suche, Symeon otworzył ramiona i wpuścił moje strojne w klejnoty żony, lękliwe jak małe dzieci, wyciągające ręce do uczestników karnawału, by dotknąć ich i poznać ich imiona. Pozwoliłam im odejść, pozwoliłam

wędrować. Tak naprawdę nie były moje. Z początku tuliły się do mnie jak lisięta do lisicy, ale szybko przybrały imiona i potykając się, spróbowały po raz pierwszy zatańczyć, i dopytywały o pięknych faunów i chórzystów, których widywały.

Kiedy znalazły dziedziniec Orfei, były podekscytowane jak stado kłócących się gęsi. Przykładały palce do oczu posągów, potrząsały kamiennymi ramionami, próbując je zbudzić, wołały do kamiennych postaci, błagały je o odpowiedź, błagały o oddech. Płakały i drżały na widok tego lustrzanego rodzeństwa; nie rozumiały. Próbowałam je uspokoić, ale niełatwo uspokoić setki kamiennych osób, które myślą, że stoją na polu rzezi.

Trzymałam na kolanach głowę niepokieszanej kobiety z lapis-lazuli, a młody mężczyzna z obsydianu leżał chory u moich stóp. Zza piaskowcowego popiersia chłopca ze skrzydłami pszczoły zaterkotał cichy głos:

– Proszę, posłuchajcie mnie.

Kamienne żony podniosły głowy i oczy wilgotne od skrzących się, usianych miką łez. Przed nimi stała Godzina z pochyłą głową, jej serce-zegar tykało, gdy ścisnęła opancerzone ręce jak dziewczynka, która zapomniała lekcji.

– Oni nie są jak my. Jeśli posłuchacie, pomogę wam dorosnąć, powiem wam wszystko, co musicie wiedzieć o życiu.

Skupiły się wokół niej, z wielobarwnymi oczyma pełnymi nadziei i ciekawości. One też grzecznie złożyły ręce i czekały. Wysoka, lśniąca kobieta stała bardzo spokojnie.

– Dawno, dawno temu – zaczęła Godzina – żyła sobie panna w zamku...

OPOWIEŚĆ O PUSTKOWIU, CIĄG DALSZY

– Żyło mi się w Adżanabh dobrze jak gęsi w stadzie. Ale nie minął rok, jak myślę, gdy wrócili kapłani. Nie sprowadzili wojska. Nie przynieśli swoich ksiąg. Przynieśli klatkę. Nie dlatego, że życzyłam sobie swoich żon – w tej sprawie nie mogli nic zrobić – ale ponieważ porzuciłam swój alkazar i zostawiłam Kasz bez jednej z królowych. – Dżinnica parsknęła gorzkim śmiechem weterana. – Zaniedbanie obowiązku. Wylali na mnie swój dym, kotłujący się i biały, a kiedy się rozwiął, jego miejsce zajmowała klatka. To nie żelazo, jest zrobiona z kości dżinnów i nie mogę ich stopić, tak jak nie mogę oddychać na dnie morza. Nie mogę prześliznąć się pomiędzy prętami. Trzymają mnie tutaj, na pustkowiu, i poza wami miałam tylko jednego gościa w moim więzieniu z kości, piasku i szaławii.

Lamparcica i jej pani czekały, cierpliwe jak kamienie.

– Przyszła, gdy spędziłam tu całe lato, i moje serce wyschło niczym kora cedru. Podeszła do mojej klatki, jakkolwiek niezbyt blisko.

„Przykro mi, że tak postanowili – powiedziała. – Ale to nie potrwa długo. Jesteś już stara, długo nie pociągniesz. Ja też nie – popiół zawsze jest starszy niż płomień”.

Odegrałyśmy scenę, jaką odgrywają złe, skwaszone kobiety: drwiłyśmy, uśmiechałyśmy się szyderczo, rzucałyśmy pogroźki. To nie ma znaczenia, naprawdę. Stałyśmy długi czas, kiedy słowa się wyczerpały, w milczeniu, patrząc na siebie.

„Dlaczego przyszłaś?” – zapytałam.

„Ona była moja”. – Kohinur westchnęła, jakby już dawno straciła wiarę w siebie. – „Kto teraz napełni mnie płomieniem?”

Rozumiałam. Nie byłam długo królową, ale rozumiałam. Siostry, nawet takie błazeńskie jak my, rozumieją pewne proste sprawy. Są to sprawy najprostsze. Wysunęłam z klatki drugą rękę, a ona podeszła do moich palców. Sięgnęłam w jej dym, w jej gardło, w jej oczy i płomień z moich dłoni, z moich nadgarstków, z czubków moich palców wniknął w nią, rozświetlając ciemność jej kości w promieniste złoto, czerwone płomienie rozkwitły pod jej brzuchem jak pogrzebowe kwiaty, spływając z pępka. Korzonki jej włosów rozjarzyły się i królowa Popiół zapłonęła na pustyni.

„Och, tak” – szepnęła. – „Tak”.

Rozpłakała się wtedy, prawdziwe łzy z płynnego ognia ściekały i parzyły ziemię. A potem jej ciało rozpadło się w popiół, prawdziwy popiół, i jej ostatnie tchnienie sparzyło wiatr.

– Dziękuję – powiedziała lamparcica, siadając na baczność. – Jesteśmy wdzięczne za tę opowieść, choć zaniepokojone... a raczej ja jestem zaniepokojona w imieniu mej pani.

Zawołowana kobieta załamała ręce i błagalnie spojrzała na nią dużymi czerwonymi oczami. Oparzona zwinęła kosmyk włosów i na chwilę przysłoniła twarz, przybita wspomnieniem starej królowej.

– Dlaczego? – powiedziała zza tego woalu. – To moja opowieść, nie powinna was niepokoić, nie ma z wami nic wspólnego, to opowieść demona zamkniętego w klatce.

Rozdarta zmarszczyła brwi i drapnęła łapą ziemię, spragniona. Zamruczała cicho.

– To niezupełnie prawda...

OPOWIEŚĆ O TRĘDOWATEJ I LAMPARCICY

W Urimie wszystkie okna obwieszane są kirem.

Nie jest to takie monotonne jak może się wydawać – odcienie czerni różnią się jeden od drugiego jak czerwono-brunatny i kobalt. W naszych długich czarnych sztandarach są niezliczone desenie, spirale i aureole o widmowym, skomplikowanym wzorze. Lud Urimy kontempluje te sztandary w wysokich cytadelach, i to niesie mu spokój.

Albowiem Urima jest miastem zarazy.

To miasto nieuleczalnie chorych i ci, którzy ciężko zachorowali, są jego kapłanami i jego mieszkańcami. Trędowaci i chorzy z innymi dolegliwościami, licznymi niczym przyprawy w Adżanab, zbierają się tam tysiącami, lecząc jeden drugiego jak mogą, pocieszając jeden drugiego jak mogą i umierając w swoich ramionach. Kwiaty polne otaczają miasto szerokim zielono-różowym kręgiem, jak okno kościoła, a na polach sadi się, hoduje i zbiera wszelkiego rodzaju leki. Niektóre są słodkie jak jabłka, inne gorzkie jak korzeń figowca. Większość nic nie daje. Ale mamy nadzieję, zawsze mamy nadzieję. W swoich chorobach urimianie są braćmi i w żadnym mieście nie ma tylu łagodnych, wyczerpanych wielkodusznych ludzi.

Wyrwali język mojej pani, gdy przybyłyśmy, i przykuli mnie do niej, gdy leżała zbita na ulicy.

Ale spieszę się zbyttnio. To koci nawyk. Podskakujemy i zostawiamy opowieść daleko w tyle, kiedy powinniśmy trzymać ją pomiędzy łapami i obgryzać do kości. Powinnam przeszyć opowieść dwoma pazurami. Ruina znalazła mnie na trawiastym stepie. Byłam zimna i szara jak błoto śniegowe.

Czy wiesz, jak rodzi się lampart? Jesteśmy mułami o miękkich nosach i długich ogonach. Moja matka była lwicą, mój ojciec był lampartem o wielu kolorach, jego futro wyglądało jak sztandar wojenny. Spotkał ją w dzień łowów, z pyskiem wilgotnym od krwi antylopy, i wbrew zwyczajowi obu kocich plemion parzyli się w blasku wrzeszczącego słońca. Każde poszło swoją drogą, jak to koty. Moja matka urodziła tylko jedno młode, martwe jak antylopa, jak rodzą się wszystkie lamparty. Nasze matki muszą dyszeć w nasze nozdrza albo nasi ojcowie w nie ryczeć, inaczej nie zaczerpnjemy życia. Ale nowy lew z grzywą spletanego złota przyczłapał do stada mojej matki i nie dbał o młode, których sam nie spłodził. Zostawiła mnie w słonych krzakach, bez matczynego tchnienia, bez ojcowskiego ryku.

Tak znalazła mnie moja pani. Szare łapki unosiły się ku słońcu jak stare grzyby, cętki przypominały plamy błota, język nigdy nie posmakował światła ani mięsa. Nawet w swym tragicznym stanie, kobieta, którą poznałam pod imieniem Ruiny, uklękła przy przemoczonym, maleńkim kocie, z futrem wciąż sztywnym od wód płodowych, i nie wiedząc, co robi, spojrziała z bliska w moje na wpół zamknięte ślepka i dmuchnęła w mój cętkowany pyszczek.

Zbudziłam się. Zobaczyłam ją. Nie była lwem ani lampartem. Pomiedzy rozsuniętymi woalami widniała jej twarz: policzki zarumienione, oczy szkarłatne jak wnętrze jelenia, skóra łuszcząca się niczym papier, warstwa po warstwie, jak stronicie rozpadającej się księgi. Chwyciłam łapkami jej palec i w swej niecierpliwości przebiłam jej skórę, lecz krew nie popłynęła.

– Nie możesz mnie skrzywdzić, maleńka – powiedziała głosem szorstkim jak język. – I skoro jesteś całkiem żółta i czarna, nie łuszczysz się ani nie przemieniasz w kamień, myślę, że ja nie mogę skrzywdzić ciebie...

OPOWIEŚĆ O DOBREJ CÓRCIE

Miałam imię przed śmiercią, wiem, że miałam. Czuję jego smak na języku niczym ducha cukru. Ale nie mogę go sobie przypomnieć. Stałam się Ruiną i jestem Ruiną. Mój ojciec mówił, że byłam aniołem, seraficznym, świętym jak mirt. To nieprawda, choć bardzo się starałam, starałam się dla niego, ale cała jestem Ruiną.

Nasz dom był pełen pęczków korzeni, krwawnika, cynamonu i papryki, jasnoczerwonych kwiatów kurkumy powieszonych przy oknach. Mój ojciec, który nosił czerwone szaty, nauczył mnie nalewać lodowatą wodę do naszej chrzcielnicy i wplatać we włosy kwiaty dzikiego selera o tak gryzącym zapachu, że szczypały mnie oczy. W naszym świecie wszystko było czerwone. Czerwień, mówił ojciec, jest barwą nieba, barwą spadających Gwiazd. Czerwień była barwą pobożności, więc przybrał nią moją kołyskę i moje ciało, gdy wstałam z kołyski. Nie znałam niczego, co nie było czerwone.

Czy zatem dziwne, że nie odstępowałam czerwonych rzeczy w Domu Czerwonych Korzeni? Czy to pobożność, nigdy nie wychodzić z cienia własnej pościeli? Codziennie kąpałam się w lodowatej chrzcielnicy i nauczyłam się, po długim dzwonieniu i klekotaniu zębami, kochać zimną wodę na skórze, która nie była czerwona, która niczym nie przypominała czerwieni. Pod łóżkiem zgromadziłam zielone rzeczy: trawę, nefryt, zielny

jedwab, koniczynę. Białe rzeczy: kredę, alabaster, kurz, stokrotki. Niebieskie rzeczy: lazuryt, błękitną krynolinę, skrawki papieru ze sklepów farbiarzy indygo, lód. Lód zawsze się topił, ale trzymałam go w fiolkach z kryształu, a w odpowiednim świetle one też były niebieskie. Zbierałam te rzeczy, w nocy tuliłam je do piersi i śniłam o wodzie, która jest ciepła jak serce.

A potem pola zaczęły umierać. Nie rozumiałam dlaczego – byłam taka młoda, niewinna, nie znałam niczego na zewnątrz naszego domu, nie umiałabym nawet dopasować pończoch, gdyby wszystko, co miałam, nie było czerwone. Ale z okien wieży przysłoniętych szkarłatem patrzyłam, jak pola więdną i umierają, i chciałam zobaczyć ich zieleń, biel, błękit, złoto i fiolet, zanim znikną. Chciałam leżeć we wszystkim, co nie byłoby czerwone, i czuć, jak kolory przepelzają nade mną w swej ucieczce od świata.

Wyszłam z domu ojca z modlitwami ciężącymi mi na nadgarstkach. Naciągnęłam ziemię na siebie jak kaptur. Czekałam. Korzenie tręcały moje łokcie, zagłębienia pod kolanami – i coś głęboko we mnie stwardniało w kamień. Tkwiło we mnie, rozprzestrzeniając się i żując, i zamknęłam oczy w ziemi. Nie widziałam czerwieni, tylko czern.

Tak bardzo bolało. To wszystko, co pamiętam. Wciśnięto mi buty na stopy i to miejsce we mnie, które było pumeksem i piaskowcem, skrzyło się z bólu. Moja skóra zmiękła, krew odpłynęła w ciało, wlokąc za sobą noże. Moje kończyny stały się ciężkie na marach, mrowiące jak zapomniany palec. Nie mogłam nawet jęknąć. Nawet gdy się zbudziłam i stanęłam nad ojcem, zmęczonym i wyzbytym z pobożności, krew we mnie

ryczała, rozwścieczona, że już nie jest kamieniem ani czernią, że na powrót musi być czerwona. Każdy krok w sękatych, poskręcanych cynamonowych butach przepełniały jasne, przeraźliwe krzyki mojej krwi, krwi, która pamiętała, że była kamieniem, która wyła, żeby stać się nim znowu.

A buty szeptały przez to wycie. Szeptały o świetle w dalekich zakątkach miasta, szeptały, że nie będzie bólu, jeśli tylko zacznę poruszać się szybciej, jeśli tylko zatańczę, jeśli tylko świat zawiruje wokół mnie dość szybko, by unieść wszystkie kamienie.

Buty kłamały. Tańczyłam, tańczyłam co noc i nie chodziłam na żadne nabożeństwa, nie trzymałam czerwonej świecy, dopóki ojciec nie zawlókł mnie przed ołtarze i nie związał mi nóg w kostkach pod moimi czerwonymi spódnicami. Tańczyłam bez końca i każdy krok, każdy obrót wrzeszczał. Gdy tańczyłam, kamień mnie opuścił, zostawiając mnie pustą, ale ważne, że przepadł. Moje włosy znów stały się długie i jasne, moje policzki rumiane, moje nogi zwinne. I pewnej nocy, kiedy prawie nie czułam bólu, tylko natrętny, zgrzytliwy ciężar w brzuchu, gdzie zrodził się kamień, zgubiłam swoje buty.

Nie chciałam ich zgubić. Choć kłamały i podążały własną ścieżką, były dobre i śliczne. Nie czułam, kiedy zsunęły się z moich pięt. Nie wróciłam ich szukać po krzakach i w ruinach dworskich orchidei stratowanych przez hulaków. Może ma je jakaś inna dziewczyna, a ja jestem uzdrowiona, pomyślałam. Ale gdy leżałam w swoich czerwonych kocach, w moim łóżku podobnym do mar, to coś we mnie, co stało się kamieniem, gdy leżałam w ziemi, znów zaczęło mrowić i trochę stwardniało, jak zaciśnięta pięść.

Ojciec powiedział mi, że mam się nie przejmować.

– Nie myśl o tym – powiedział – a przeminie, jak wcześniej.
– Wcześniej – mruknełam – miałam swoje buty, czerwone i zakurzone.

– Powinnaś znów podjąć ablucje – rzekł, surowy jak kamień – Może to twoja kara za bezceństwa, których dopuszczałaś się w pałacu księcia.

– Mówiłam ci, ojcze, tylko tańczyłam.

– Przeszukam miasto i znajdę święty but, który pasuje na twoją stopę – oznajmił i choć się sprzeciwiałam, odwrócił się plecami i zwołał heroldów.

Ale zrobiłam, co kazał, bojąc się tej rzeczy we mnie, twardej jak pestka w śliwce. Próbowałam wyszorować ją w czystej porannej wodzie, szorowałam gorączkowo, by roztopiła się z powrotem w krew. Ojciec patrzył z przyjemnością na moje wysiłki i podtrzymywał moje włosy, gdy drżałam. Trzymałam czerwoną świecę przy ołtarzu, a ojciec po jakimś czasie zdjął moje pęta. Wiezorami wcierał czerwone przyprawy w mój brzuch i mieszał je ze łzami. Przyprawy paliły, zostawiały pęcherze, spływały z brzucha na pościel.

I przez cały czas wszyscy szewcy w Adżanabh, oczywiście mniej liczni niż ongiś, przybywali do Domu Czerwonych Korzeni. Przynosili swe najpiękniejsze obcasy i sznurowadła, buty ze skręconych korzeni tamaryszku z kokardkami z aloesu, buty z figowca z postrzępionymi noskami, buty z cedru i z drewna granatu, z palmy daktylowej, z drewna sandałowego i z kamfory, i wilgotne imbirowe buty, które parzyły mnie w podeszwy stóp. Przynosili delikatne buty z lasek wanilii i wonne buty-maydi, buty z muszkatołowca, buty ze strączków kardamonu białe jak perły. Przynieśli nawet burty

cynamonowe, zakurzone jak moje własne, ale nie pomogły i mój brzuch wciąż twardniał.

A moja skóra zaczęła się łuszczyć. Spadała ze mnie jak łuski cebuli. Kamień chciał wyjść, jak ja pragnęłam, by niszczał. Zbudziłam się rano, moje ciało wyliniało w nocy, skóra pod nim była nowa i wrażliwa. Ojciec zawołał, że zostałam uzdrowiona, musiałam wyzdrowieć, to cud świecy i ołtarza. Skóra leżała wokół mnie, przejrzysta i martwa. Ale z biegiem dni ta spodnia skóra też się złuszczyła, a pod nią nie było nowej skóry, czerwonej i jasnej, tylko dalsze łuski, cienkie i straszne, jak łupinka pestki, odpadające, zniszczone. Ojciec posłał do starego pałacu księcia po wszystkie wyrzucone buty, po każdą służkę, która tańczyła, lecz buty przepadły, zniknęły, rozdarte na strzępy, by nadać smak herbacie jakiejś piękności, albo roztańczone na kawałki na podłodze, którą znałam tak dobrze jak własne łóżko.

A moja skóra wciąż się łuszczyła. Zdawało się, że nie będzie końca ani dla mnie, ani dla łuszczenia. Mój brzuch, twardy i zimny, czeka na wyłonienie.

OPOWIEŚĆ O TRĘDOWATEJ I LAMPARCICY, CIĄG DALSZY

– Pewnego dnia, bosa wśród tuzinów par butów, powiedziałam do ojca: „To się musi skończyć. Jestem martwa, ojcze. Jestem martwa, ty chcesz mnie z tego uleczyć, lecz tutaj nie ma lekarstwa. Pójdę do Urimy, gdzie na półkach z obsydianu i perły leżą wszelkie możliwe leki. Pójdę do bladego białego morza, które omywa rąbek Urimy solą całego świata. Martwi będą chodzić po pustyni – nasze miejsce nie jest w mieście”.

Tak więc poszłam, kotku, łuszcząc się i zrzucając skórę jak wąż. Owinęłam się w czerń, żeby nikogo nie wystraszyć, i tak brama Urimy poznała mnie jako zarażoną. Kamień we mnie jest teraz bardzo ciężki. Wszystko, czego dotykam, twardnieje. Każdy, kogo dotykam, staje się dziełem sztuki, staje się rzeźbą. – Ruina zaśmiała się cierpko. – Może znalazłam swoje powołanie. Ale ty przebiłaś moją skórę i widziałaś, że nie zostało we mnie krwi, że mam w sobie tylko kamień, a jednak jesteś miękka, słodka i cętkowana jak zawsze.

Zakaszlałam; było to kaszlnięcie maleńkiego kotka.

– Odetchnęłaś we mnie. Nie... nie jestem lampartem, nie jestem żywa. Moja matka nie dała mi swego tchnienia. Ty to zrobiłaś, trup chodzący po świecie. Dlatego, myślę, jestem martwa, martwa, jaka się urodziłam, martwa jak ty. Razem

jesteśmy martwe. Jak mogłabyś mnie skrzywdzić? Czy wierzysz, że w Urimie jest dla ciebie balsam?

Ruina popatrzyła na mnie spokojnie, z pogodą w czerwonych oczach.

– Nie. Ale zawsze mamy nadzieję.

Nieśmiało trąciłam jej dłoń.

– Zabierz mnie ze sobą. Mam twój oddech; jestem twoim lampartem. Nie możesz mnie zostawić. Musisz mnie nazwać i kochać, i lizać moje futro, żeby się ułożyło. To konieczne.

Zaśmiała się.

– Nie przeszkadzają ci moje oczy, linienie mojej skóry?

– Jak mogłyby przeszkadzać? Jesteś pierwszą kobietą, którą widziałam.

Tak więc poszliśmy razem i moje nogi stały się bardzo długie, złote, czarne i zylaste. Kochałam moją panią i raz, tylko raz, gdy nasze ognisko przygasło i patrzyła na puste równiny pomiędzy Adżanabh i Utimą, położyłam zmierzwioną głowę na jej kolanach, a ona wylizała moją sierść do połysku.

Przybyliśmy do Urimy w nocy i wszystko w mieście było czarne. Miasto odprawiało żałobę po sobie i jakże ciemne były jego szaty! Weszliśmy; strażnicy nie strzegły bram. Nieczęsto ktoś przybywa do Urimy. Wszystko spało, więc usiadliśmy pośrodku miasta, czekając na świt przy cokole wielkiego posągu: śnieżnobiały mężczyzna spoczywał na marach, ze szczęśliwą twarzą. Na brzegu płyty biegł rzeźbiony napis:

WYBACZ NAM, ALBOWIEM BYLIŚMY W POTRZEBIE

Skuliłyśmy się pod tym bezimiennym mężczyzną i jego bezimiennym łóżem; ja owinęłam zad ogonem, a niebo obracało się nad naszymi głowami. Przed wschodem słońca z

dalekiej drogi przyszła dziwna istota, stopami szurała po bladym bruku. Była to kobieta cała z wikliny, z jeżyn i patyków, z leszczyny i czerwonej witwy, z zielonej i giętkiej wierzby. Poruszała się gładko i wdzięcznie, i ukloniła się nam nisko.

– To niewygodne miejsce do spania – powiedziała głosem suchym jak łamane gałęzie. – Ale może daje wam nadzieję? – Jej oczy, soczyste pączki kwiatów, były różowe i wilgotne.

Ruina poruszyła się i szybko poprawiła woale, zasłaniając policzek.

– Czekamy dnia i urimian, aby powiedzieli nam, jak żyć tutaj. Jesteśmy... w potrzebie.

– Jak my wszyscy – odparła wiklinowa kobieta. – A on... – wskazała posąg – może ją zaspokoić.

OPOWIEŚĆ O HANDLARZU BYDŁA I JABŁKU

Każde biedne, zagubione stworzenie w Urimie zna tę opowieść, gromadzi się wokół tej bladej trumny w nadziei tak gorącej i jasnej, że spaliłaby każdego, kto nie wie, że sama Urima płonie z takiej nadziei, że nie można patrzeć na miasto i nie oślepnąć.

Dawno temu żył sobie człowiek, który miał trzy córki. Człowiek ten mieszkał w kraju nad morzem tak słonym, że pieniało się bielą na piasku, w kraju soczystej trawy i pochmurnego nieba. Handlował trzodą i jak wszyscy handlarze w owych czasach, podróżował często do Szadukiamu. Przy jednej z tych okazji, kiedy potrzebował takich rozmaitości, jakich pragną kupcy: tkanin, klejnotów, jedzenia, które nie rośnie w ich krajach, zapytał córki, co chciałyby z wielkiego miasta.

– Suknię, która lśni jasno jak ostatni księżyc zimy! – zawołała pierwsza córka, która miała na imię Ubalda i kochała piękne stroje.

– Złotą piłkę, śliczną i okrągłą jak pierwsze słońce lata! – zawołała druga córka, która miała na imię Uzmila. Ojciec patrzył na nią ze ściągniętymi brwiami przez długą chwilę, zanim wyraził zgodę.

– Jeśli mogę cię prosić, ojciec – powiedziała spłoniona trzecia córka, która miała na imię Urima – chciałabym dostać jabłko.

– Nic więcej? – zdumiał się kupiec, który przecież nie wychował córek, by prosiły o takie niemądre, zwyczajne rzeczy. Kupiec spodziewa się pewnego smaku po swoich dzieciach, więc ojciec nie krył rozczarowania.

– Nic więcej – odparła dziewczyna, która miała włosy bardzo czerwone, czerwone jak skóra najrzadszej salamandry, i oczy bardzo niebieskie jak najdroższa skóra delfina.

– Dobrze – zgodził się handlarz i ruszył na poszukiwanie skromnych fortun, jakie Szadukiam oferuje cudzoziemcom: dość, by ich zwabić, ale za mało, by chcieli zostać.

Jak to często bywa w przypadku kupca z jedną potulną córką i dwiema wyniosłymi, fortuna nie uśmiechnęła się do handlarza trzodą. Pędził stado, owce z takim runem, o jakim twoja matka mogła słyszeć tylko w najstarszych znanych historiach, i kiedy wszedł do Szadukiamu, został napadnięty przez drobnych urzędników i pozbawiony swojego stada. Jego gardło krwawiło do Varilu jak owca zarżnięta na kolację i płakalibyśmy nad nim, gdybyśmy nie mieli dość własnych nieszczęść do oplakiwania.

Gdy ciało handlarza trzodą płynęło w nurcie pod wieżyczkami z diamentu i pod altanami róż, z krwią wołającą do rekina, i gdy księżyc wstał milczący i gęsty jak mleko, zbliżyło się jedno z jego dzieci. Było bardzo wysokie i cienkie jak kartka papieru. Skórę i płaszcz miało koloru księżycy – nie romantycznej luny kochanków, ale podobne do prawdziwej geografii lunarnej: szare i dziobate, pełne tajemnych kraterów, zamarznętych szczytów i spalonych przestrzeni. Jego oczy nie miały koloru, wyjąwszy punkciki źrenic jak rany po ukłuciu

wrzecionem – reszta była czysta, mleczna, księżycowo biała. Z uśmiechem pochyliło się nad zabitym handlarzem trzodą.

Może słyszałaś o Yi. Zazdrościmy im – jak bardzo chcielibyśmy zrzucić nasze ciała, kiedy kurczą się w dzioby i kratery. Ale nie możemy.

Człowiek Odziany w Księżyc włożył ciało handlarza trzodą jak inni ludzie wkładają płaszcz zimowy, i odszedł, ciepły i zadowolony w tej nowej postaci. Ponieważ Yi są perfidni, bawiła go jazda wozem kupca z miasta Szadukiamu z suknią jasną jak ostatni księżyc zimy, ze złotą piłką śliczną i okrągłą jak pierwsze słońce lata, i z jabłkiem, zwyczajnym jabłkiem. Znalazł pamięć o tych rzeczach w kościach nóg handlarza, w żyłach jego palców.

Córki powitały go pocałunkami i okrzykami zachwytu, bo okręcił gardło szalikiem, a jego skóra wciąż była mniej więcej cała i różowa. Zignorowały lekko szarą bladość, jak to córki, które pragną prezentów. Yi dał Ubaldzie suknię ciemnoniebieską i srebrną, a Uzmili złotą piłkę, i kazał jej się bawić, po czym teatralnym gestem wyjął, zwyczajne jabłko dla ślicznej małej Urimy z włosami czerwonymi jak zagraniczne słońca i oczami niebieskimi jak zagraniczne morza.

– Ojczy, to nie jest jabłko – powiedziała dziewczyna, marszcząc słodkie czoło.

– Ach, ale w Szadukiamie to nazywa się jabłkiem – odparł Człowiek Odziany w Księżyc.

Był to rubin, ciemnoczerwony jak prawdziwe jabłko, ze szmaragdowym liściem przy hebanowym ogonku, dość cienkim, by trzepotać na wietrze.

– Jak mam je zjeść, ojczy? – zapytała Urima.

– Wbij w nie zęby, dziecko, jak wilk gryzący policzek jelenia.

I dziewczynka tak zrobiła. Smakowało, powiedziała, likworem, cydrem i najczerwieńszymi jagodami, jakie знаła. Ponieważ była dobrym dzieckiem, podzieliła się owocem z siostrami, i wszystkie się zgodziły, że jest piękny, a ich ojciec to najlepszy ze wszystkich możliwych ojców. Zjadły tylko połówkę, resztę zachowały na ponurą zimę. Ale zagraniczne produkty rolne nie zawsze służą prowincjonalnym córkom handlarzy trzodą. Dziewczęta się pochorowały, klejnoty w ich brzuchach kłuły ciało, nie chciały się rozpuścić.

A przez cały czas choroby ich ojciec szarzał, srebrzą! i pokrywał się dziobami, zamrożone szczyty wyrastały na jego policzkach, kratery na ramionach, jego oczy zrobiły się białe, białe jak słońce morze ich ojczyzny. Córki tego człowieka, choć osłabione przez chorobę, nie były słabej woli i razem miały dość rozumu, by poznać, że ich ojciec nie jest ich ojcem i że Szadukiam równie często jak daje, zabiera, zabiera i zabiera. Uzmila, która bardzo lubiła książki, rozpoznała znaki Yi na ojcu. Ubalda, która bardzo lubiła ostre przedmioty, nożyczki, noże i diamenty, przyniosła swoją kolekcję do sióstr. Zdecydowały, że Urima o włosach czerwonych jak skórka jabłka i o oczach niebieskich jak poświata księżyc odkryje prawdę. I tak bystre dziecko zaniósło ojcu oszczędzoną połówkę szadukiańskiego jabłka, lśniąca i wilgotną.

– Ojczy, jestem chora i bliska śmierci – powiedziała Urima z twarzą bladą jak spalone słońcem pustkowie.

Człowiek Odziany w Księżyc uśmiechnął się łakomie.

– Cudownie – powiedział.

– Chyba nie mówisz poważnie, tato! – krzyknęła dziewczyna.

– Oczywiście, że nie, kochanie. Wybacz staremu, jego umysł czasami błąka się samopas.

Urima spuściła oczy i opłakała ojca.

– Nie podzielisz się ze mną jabłkiem? To przyniesie mi pociechę w moim umieraniu, bo choć mnie skrzywdziło, nigdy nie smakowałam niczego równie słodkiego.

Twarz Człowieka Odzianego w Księżyc trochę złagodniała, bo Yi dobrze znał chciwość młodych dziewcząt, i zamknął Urimę w ramionach.

– Z rozkoszą, moja ukochana córko.

Urima odkroiła ćwiartkę jabłka dla dziobatego Yi, a on zjadł poczęstunek z lubością, jak aligator wysysający kości zięby. Ale niebawem zaczął się krztusić i kaszleć, bo Urima zatrzymała swoje cudzoziemskie jabłko. Córki handlarza trzodą, Ubalda i Uzmila, wybiegły z cieni i skoczyły na szaroskóre stworzenie, tnąc je wieloma ostrzami – ale nie zdołały zabić. Nie miały szponu gryfa, nie mogły liczyć na zadanie śmierci. Urima cięła policzki szlifowanymi krawędziami jabłka, krzywiąc się dziko w twarz, która niegdyś należała do jej ojca.

– Niech nikt nie mówi, że córki handlarza trzodą nie wiedzą, jak powalić zwierzę! – krzyknęła.

OPOWIEŚĆ O TRĘDOWATEJ I LAMPARCICY, CIĄG DALSZY

– Te dziewczęta były sprytne jak stado hien – powiedziała kobieta z wikliny. – Nie zabiły Yi, ale otworzyły mu skórę i zeszkrobały najcieńsze wióry z kości – ależ musiały lśnić, jak odłamki samego księżyca! – i Urima kazała siostronom położyć je na językach. Kości wyparowały i dziewczęta zostały uzdrowione, ostre jabłko-klejnot w ich brzuchach roztopiło się bez śladu. A Urima, mądre dziecko, nie pozwalała ojcu powrócić do pełni życia. Zbierała jego krew do szklanych słoików, których używali do owczego mleka, i włożyła jego ciało do trumny z białego kamienia. – Ruchem głowy wskazała posąg. – Miasto urosło wokół trumny, na brzegu białego i słonego morza, i kiedy mieszkańcy byli w potrzebie, ostrożnie strugali jego kości, kładli je na językach i znów zamykali trumnę. Po stu latach Człowiek Odziany w Księżyc przestał krzyczeć. – Kobieta spuściła głowę zawstydzona. – Miasto Urima, nazwane po tej mądrej dziewczynie, która chciała dostać tylko jabłko, stało się sławne. Przybywało coraz więcej potrzebujących. Ja przybyłam. Moje gałęzie wyschły bardziej niż czaszka lwa na pustkowiu, kiedy wreszcie stanęłam u bram. Moja skóra zniknęła, zostało tylko to, co widzicie. Nieważne, jak do tego doszło – czy początek choroby pamięta się tak wyraźnie

jak czyraki, krew i połamane, bolące kości? Nikt nigdy nie pamięta. Jestem cierpiąca, podobnie jak my wszyscy. Kiedy się tu zjawiłam, byłam pewna, że Urima zamknie mnie w swoim czarnym uścisku, spojrzy na mnie szarymi matczynymi oczami i muśnie ustami moje czoło. Że da mi jabłko i strużynę kości. Że odejdę stąd cała i zdrowa. Ale w dzisiejszych czasach niewiele lekarstwa pozostało w Urimie. Kości Yi nie są nieskończone. Są cenne. Nie wszyscy na nie zasługujemy.

Ziewnęłam. Oczywiście, moja pani zasługiwała na wszystko.

– Zaczekasz z nami na świt? – zapytałam biedną, pustą kobietę.

– Oczywiście.

Mówiłam ci, co się stało. Nadszedł świt. Trędowaci w czarnych szatach, kuśtykający o jesionowych i leszczynowych laskach, usłyszeli, że zjawił się nowy członek ich społeczności, i objęli nas jak siostry. Kładąc ręce na woalach Ruiny, powiedzieli, że nas kochają, że wetrą kwiaty w nasze rany, że ołtarze już czekają na nasze kolana. Jeśli będziemy miały szczęście, jeśli okażemy się godne, może dostaniemy skrawek kości. Jednonogi trędowaty wyciągnął zgniłe ręce do twarzy Ruiny, jego oczy płonęły z radości.

– W Urimie nie nosimy woali, moja droga. Pokaż nam swoją chorobę – nie dbamy o piękno.

Ze zduszonym krzykiem ulgi Ruina zdjęła woal z twarzy, a z nim spadło parę łusek skóry jak stronice wydarte z książki. Trędowaci się wzdrygnęli.

– Nie jesteś trędowata! – krzyknął któryś, zakrywając usta rozkładającą się ręką, z zieloną pleśnią sprężystą i grubą pomiędzy palcami.

– Ona jest martwa – szepnął ten pierwszy. – Jest martwa, już martwa, i jej śmierć rozejdzie się wśród nas jak zaraza.

Trzeci, z ziejącą czerwoną jamą w miejscu nosa, syknął:

– Nie dostanie kości! Są nasze! Nie możecie ich mieć!

Czwarty zastanowił się, czy może moja pani nie jest Yi z kośćmi dla ich języków.

Trędowaci dobrze wiedzą, że nie należy dotykać chorych – objęli Ruinę z myślą, że jest jedną z nich, ale nie mogli ryzykować zarażenia się przyniesioną przez nią chorobą. Zbili ją laskami i wycięli jej język, żeby nie mogła podać nocy ich imion.

OPOWIEŚĆ O PUSTKOWIU, CIĄG DALSZY

– Warczałam, skakałam i próbowałam ich gryźć, ale jestem tylko kotem, do tego wychowanym nie do polowania, tylko do chodzenia z nią po pustkowiach. – Rozdarta zakryła oczy łapą. – Przykuli mnie do niej, więc gdybym się miotła, tylko skrzywdziłabym moją panią. Zostawili nas poturbowane pod białą trumną. Zabrali jej język, ostrożnie, w rękawiczkach, żeby sprawdzić, czy można uwarzyć z niego lekarstwo. Po długim czasie moja pani się poruszyła, jakby we śnie, i zabrałam ją z miasta. Jest martwa, nie krwawiła. Ja jestem prawie martwa, tak bardzo prawie, że wśród lampartów nie czyni to różnicy; nie krwawiłam. Stwierdziłyśmy, że srebrny łańcuch nam odpowiada. Jesteśmy związane, ona i ja, i teraz idziemy do domu, do Adżanabh, gdzie są czerwone korzenie i nie ma leków, gdzie Ruina będzie mogła położyć się na ziemi i odpocząć, a ja opłakać moją matkę. Kiedy zupełnie przemieni się w kamień, zaniosę ją na grzbiecie do miasta i położę przed Domem Czerwonych Korzeni, i wróble będą mieszkać w jej włosach, a ja zamieszkać u jej stóp.

Ruina płakała, jej łzy zmywały drobiny ciała. Rozdarta patrzyła na nią dużymi czarnymi oczami pełnymi kociego żalu.

Dżinnica też spojrzała na kobietę w czarnych woalach, jej czerwone oczy przygasły z rozpacz.

– Nie mogę oddać ci języka – powiedziała, odgarniając włosy od płonącej twarzy – ale mogę cię uzdrowić. Moje dni życzeń się skończyły, Chajghal o to zadbał. Ale jeśli mnie uwolnisz, spróbuję.

– jak mogłybyśmy otworzyć taką klatkę? – zapytała lamparcica.

– Przypuszczam, że jeśli twoja pani dotknie krat, obróć się w kamień, a wtedy będzie można wyłamać je jak każdy inny kamień.

– A co zrobisz, jeśli cię uwolnimy? – Lamparcica niepewnie drapała ziemię.

Oparzona popatrzyła na wschód nad spękaną ziemią z jej zniszczonym złotem i pomykającymi myszami.

– Kohinur miała rację. Jestem już stara, mam niemal czternaście lat. Nie przetrwam długo. Ruszę do domu, do Adżanabh, i porozmawiam ze swoją przyjaciółką pajęczycą, i zatańczę z syrenami, i zapłonę w ogniu Latarni, i pozwolę, by moja ręka raz czy dwa razy opadła na włosy Pocięchy. Będę patrzeć na karnawał i codziennie rano słuchać Agrafeny, gdy słońce będzie zdobić jej smyczki. Zobaczę, jak radzą sobie moje żony. Opowiem Godzinie historię, taką historię! – Królowa dżinnów zamknęła okolone ogniem oczy. – Będę pływać w Vareni, słuchać bicia dzwonów, a kiedy wszystko się dokona, przytulę policzek do palców Symeona i odpocznę.

Z powodzią łez w kaprawych oczach Ruina podniosła ramiona i odrzuciła czarny kaptur. Włosy pod nim miała rzadkie, a skórę jak strużyny kości. Czaszka prześwitywała przez czarne pasma, policzki miała zapadnięte, przejrzyste.

Była zrobiona ze szkła, ze szkła, które powracało w piasek. Usta miała suche, białe i spierzchnięte, i choć je otworzyła, nie popłynął z nich żaden dźwięk. Gdy kościstymi rękoma musnęła klatki z kości dzinnów, kościane pręty zrobiły się czerwone i porowate, jaskrawe jak bazyliszek. Śmiech wybuchł z ust Ruiny i zmieszał się z jej rozdzierającymi krzykami. Klatka zadrżała, czerwona, czerwona jak dom Ruiny, jej buty, jej ojciec. Gdy puściła pręty, Oparzona przyłożyła do nich rozżarzone dłonie i kraty roztopiły się w płynnej białości. Dżinnica wyszła, jej dymne włosy rozlały się wokół niej swobodnie jak woda, bo kosze ich nie więziły.

– Co jej zrobisz? – szepnęła nerwowo lamparcica, podchodząc do swojej pani.

– Drogi kocie. Odetchnę w nią i wróci do życia. Nie ma takiego kamienia, który nie stopiłby się jak krowi tłuszcz w ogniu, jeśli ogień jest dostatecznie gorący.

– Czy będzie ją bolało? – Rozdarta opuściła cętkowaną, złotą głowę niespokojnie ku ziemi.

– Bardzo.

Oparzona wzięła długi oddech i zdawało się, że migoce w niej pustynia, jej pierś trzasnęła i pod czarną skórą węgielki rozbłysły z jasnością dwóch słońc, rozjarzyły się w jej ramionach, w jej policzkach. Zapłonęła ze wstrzymanym oddechem, jej malowane dłonie fosforyzowały. Wypuściła powietrze, a wówczas wiatr i ogień jej oddechu, białe jak Gwiazda pośrodku nieba, zalały Ruinę światłem. Rozdarta stchórzyła i odskoczyła z przypalonym ogonem. Ruina płonęła, czerwona świeca na spalonym pustkowiu i nawet gdy Oparzona ze świstem wyrzuciła z siebie ostatnie płomienie, martwa dziewczyna stała z ramionami uniesionymi ku niebu, jej ciało

łuszczyło się w płonących pasach jak popiół, który unosi się nad letnim ogniskiem.

Kiedyś na pustkowiach pomiędzy Urimą i Adżanabh trzy długie cienie padały na spragnioną ziemię, której czarne szczeliny rozwidlały się we wszystkie strony jak winorośl szukająca najmniejszej strużki wody. Trzy długie cienie kładły się, czarne i suche na tę spękaną pustynię. Kobieta, dzinnica i lamparcica popatrzyły na siebie nad tą złotą ziemią, i kobieta upadła na kolana, jej ciało było poparzone, różowe i pokryte pęcherzami, ale całe. Włosy jej spłonęły i łysa głowa lśniła w ostatnich promieniach słońca, gdy podniosła żywe, jasne od krwi ręce do miękkiego brzucha i krzyknęła ku ziemi – krzyczała, śmiała się i płakała.

W OGRODZIE

Zbliżał się świt. Widmowo niebieskie światło kładło się na dzieciach nakrapiane gwiazdami. Długie cienie leżały na śniegu, ogniska pogasły w centrum ogrodu, a w koszach przy bramie mrugały dymiące węgielki. Dworzanie wrócili do pałacu, z brzuchami pełnymi rogu nosorożca i wina cynamonowego, psy z dzwonkami na obrożach skakały u rąbków sukien swoich pań. Przecięto koronkowe sznury, które nadawały kasztanowcom kształt kaplicy, i uwolnione gałęzie z ulgą wróciły do swoich zwykłych rozwidlonych form. Za bramą w lesie ciemnym i głębokim śpiewały słowiki i szpaki, dziobiące śnieg w poszukiwaniu słońca. Jezioro z zamrożonym sitowiem było spokojne, spokojne jak świat przed brzaskiem, niepewny zając sprawdzał przednią łapką grubość lodu.

Chłopiec i dziewczynka siedzieli razem, przytuleni, bo tak było cieplej. Świat przed brzaskiem jest bardzo spokojny, ale też bardzo zimny, i wydawało się, że wszystko zostało podbite przez błękit, nawet drżące usta dziewczynki.

– To wszystko – powiedział chłopiec. – Nie ma nic więcej.

Dziewczynka otworzyła oczy. Włosy miała wilgotne od stopionego śniegu, jej szkarłatna szata czerniała w ciemności. Uśmiech rozkwitł na jej twarzy jak lilia.

– To była cudowna opowieść.

Chłopiec zmarszczył brwi, przez co nagle wyglądał doroślejsz i bardzo poważnie.

– I nie będzie innych, dziwniejszych i bardziej cudownych. To koniec.

Dziewczynka delikatnie dotknęła jego twarzy, kładąc zimne ręce na policzkach.

– Czy żałujesz, że tamtego dnia mnie zapytałeś dlaczego moje oczy są ciemne jak jezioro przed świtem?

– Nie... ale myślałem... myślałem, że coś się stanie. Może błyskawica i grzmot albo potężna kolumna dymu, z którego wyjdzie coś strasznego.

– Nie wiem. Nigdy nie wiedziałam, co się stanie.

– Może nic się nie stanie – szepnął chłopiec gorliwie. – Będę mógł przychodzić do ciebie codziennie, dopóki nie zostanę sułtanem, a wtedy ty będziesz mogła przychodzić do mnie, do pałacu, i siadać przy moim stole bez woalu.

Dziewczynka zamknęła oczy i wielka czerń jej powiek zalśniła w niebieskim świetle śniegu. Powieki, na których już nie tańczyły litery, były ciemne, gładkie i puste, jak pomalowane tuszem. Sowa przeleciała nad głowami dzieci, wracając do domu z nocnych łowów.

– Może – powiedziała dziewczynka. – Zawsze jest chwila, gdy opowieść się kończy, i chwila, gdy wszystko jest niebieskie, czarne i milczące, i narrator nie chce wierzyć, że to już koniec, i słuchacz też nie wierzy, i obaj wstrzymują oddech z gorączkową nadzieją pielgrzymów, że to nie koniec, że są kolejne opowieści, niezliczone, połączone razem jak ogniwa długiego łańcucha. Wstrzymują oddech; drzewa wstrzymują oddech, i powietrze, i lód, i las, i brama. Ale nikt nie może bez końca wstrzymywać

oddechu i wszystkie opowieści się kończą. – Otworzyła oczy. – Nawet moje.

– Tak, moja droga, nawet twoje – rozbrzmiał łagodny, szeleszczący głos, jak ocierające się pióra gęsich skrzydeł.

Po drugiej stronie bramy, po drugiej stronie wykutej z żelaza bitwy z lodową armatą, stała zgarbiona staruszka ze splątanymi srebrnymi włosami i długim haczykowatym nosem. Dziewczynka wstrzymała oddech jak jelonek na widok wilka, i ręce jej zadrżały.

– Jesteś tu... jesteś tu, by mnie osądzić!

– To byłaby surowa interpretacja – odparła staruszka z chytrym uśmiechem.

Duże ciemne oczy dziewczynki wypełniły się łzami, lśniącoymi jak śnieżynki w blasku ognia.

– Jestem dobra? – Zagryzła wargę. – Czy byłam dość dobra? Czy jestem dobrym dzieckiem? Nie jestem zła, jak mówią. Nie jestem demonem, przysięgam. Czy byłam dość dobra dla ducha? Tak bardzo się starałam nie być zła, ani rozzłoszczona, ani zgorzkniała, nawet gdy noc była bardzo zimna.

Staruszka wsunęła za ucho srebrny kosmyk włosów.

– Pamiętasz mnie? – zapytała, jakby jej nie słyszała.

Dziewczynka otarła łzy rękami.

– Tak, przyszedłeś, gdy byłam mała, tak mała jak jedna z moich siodlatych gęsi. Powiedziałaś mi o opowieściach. I dałaś mi nóż.

– Wyciągnęła go z fałdów szkarłatnej sukni, mały, zakrzywiony srebrny nóż z kościaną rękojeścią.

Stara kobieta pokiwała głową.

– To mój nóż. Ale lepiej, że ty go masz. Byłaś częściej głodna niż ja.

– Jak to się kończy? Jaki będzie mój koniec? Czekałam tak długo.

Staruszka wplotła ręce w martwe, suche korzenie ogrodowych róż.

– Och, moje drogie dziecko – szepnęła grubym głosem. – Wiem, że czekałaś.

OSTATNIA OPOWIEŚĆ

Kiedyś był prom na samotnym szarym brzegu samotnego szarego jeziora. Poskrzypywał na burzach i wietrze, jego cuma się napinała. Człowiek z garbem na plecach pływał nim tam i z powrotem, odziany w łachmany.

Kiedyś była samotna wyspa na samotnym jeziorze, a na tej samotnej wyspie mieszkała kobieta z zielonymi łuskami lśniącymi na skórze, i chodziła po brzegu, i płakały nad nią oczy, które mrugały na szarej plaży. Ale kobieta nie płakała. Wykręcała palce, patrzyła w mgłę i zastanawiała się nad wieloma rzeczami, bo umysł jej był wielki jak samo jezioro. Od czasu do czasu przychodził do niej młody mężczyzna o skórze czerwonej jak piękne drewno i gładził jej zielono-czarne włosy. Nic jednak nie mogło przynieść jej pociechy. W końcu stanęła na spękanych deskach pomostu i otworzyła usta, żeby przywołać prom. Wołała, aż jej głos skonał na wietrze, suchy jak roztopiona skóra. Proszę!, wołała. Proszę, wróć!

Przewoźnik się nie przejmował wezwaniami mieszkańców jeziora. Ale usłyszał krzyki kobiety-wąż i kiedy przeminęły burze, zostawiając mu mokre kości i rozdrażnione jaszczurki, pozwolił promowi dryfować, jak chciał – bo czasami w swej samotności wierzył, że prom jest żywy jak on, i mówił do niego, i słuchał jego

skarg, które wiązały się głównie ze skorupiakami i glonami. Ale teraz prom mówił o głosie kierującym nim niczym tyczka i pragnął popłynąć ku temu głosowi, ku tej węzowej pieśni, która trzepotała językiem na biedną tratwę we mgle. Popłynęli na wyspę z plażą pełną oczu, gdzie stała kobieta o lśniącej zielonej skórze, z długimi włosami, mokrymi i przyklepionymi do bioder, z oczami ciemnymi i pełnymi potrzeby.

– Chcę ją zobaczyć – powiedziała, zanim przewoźnik skończył cumowanie.

– To niemożliwe.

– Tak, możliwe. Przewozisz każdego, jeśli uiszcisz zapłatę. Ja zapłacę. W świecie, w Słońcu, w pełnokrwistym świecie moja córka oddycha, je śniadanie złotym widelcem i śmieje się z żartu, który powiedział jej kucharz. Chcę ją zobaczyć. – Oczy kobiety przygasty od bezbrzeżnego błagania. – Tylko raz.

– Czym zapłacisz?

– Przyjąłeś ogon huldry.

– Przyjąłem.

– A weźmiesz moje włosy?

Przewoźnik się zastanowił. Nie chciał tego robić. To było niestosowne, nie leżało w jego zwyczaju. Ale może powinien na samym początku odmówić przewiezienia dziecka, teraz przestrzeganie zasad wydawało się małostkowe i bezsensowne. Opłaty w tych czasach były dziwne, a widział ich więcej niż w latach spędzonych na świecie. Pomyślał, że jest już zmęczony tymi niezliczonymi monetami i tymi ostatnimi groteskowymi amputacjami.

– Wezmę – rzekł powoli. Jego głos nie budził echa w gęstej mgle. – Ale musisz przystać na moje warunki.

Kobieta czekała, jej zieleń krzyczała pragnieniem w szarości.

– Wezmę twoje włosy jako zapłatę za podróż w obie strony, tam i z powrotem. Nie wolno ci iść do świata, jak poszła kobieta-gęś, by żyć, jeść chleb i tańczyć. Musisz wrócić. Nie jesteś taka jak ona. Pójdiesz do swojego dziecka, tylko raz, i wrócisz do mnie, do samotnego jeziora i samotnego brzegu. Tylko to jest słuszne i właściwe.

Kobieta pokiwała głową i zebrała w rękę długie, lśniące zielono-czarne włosy. Ostrą krawędzią kości skrzydła przewoźnika obcięła je przy szyi i weszła na prom. Westchnął pod nią, rad w taki sposób, w jaki mogą być rade gwoździe i drewno. Wypłynęli na jezioro i Zmieja obejrzała się na brzeg, gdzie dwóch młodych mężczyzn o skórze czerwonej jak kadłub statku patrzyło za malejącym promem. Podniosła rękę i mgła się za nią zamknęła.

Stała nad łóżeczkiem swojej córki. Pokój był piękny, z ogniem w marmurowym kominku, z butelką gorącego wina na szklanym stoliku. Łóżeczko było cedrowe, kocyki śnieżnobiałe jak brzuch gołębic. Mała dziewczynka z gęstwą ciemnych włosów zaciskała w piąstki czerwone paluszki, jej maleńkie czoło marszczyło się, gdy śniła. Zmieja otworzyła okno, żeby wpuścić światło Gwiazd, światło Księżyca, ciemność Nieba. Cętki srebrnego światła padły na buzię dziecka.

– Smutku – szepnęła. – Mój Smutku, moja miłości.

Łzy wezbrały w jej oczach, łzy światła, światła Węża i światła Gwiazdy. Zmieja rozświetliła pokój jak kandelabr, jej srebro wlewało się w kąty. Od czasu, gdy zabrał ją Król Dzik, nie знаła takiego światła w swej skórze. Wypełniło jej gardło, aż nie mogła oddychać. Zapomniała, jak to jest być taką jasną. Uklękła przy łóżeczku, jej postrzępione, obcięte włosy ociekały światłem jak

krwią, i uśmiechnęła się do swojej córki. Chciała zostać. Chciała włożyć woal na włosy i zabrać dziecko na dół, do wirującego świata dworu, i patrzeć, jak rośnie. Chciała dopilnować, żeby zawsze były z nią Gwiazdy i Księżyc. Chciała przytulić dziecko, jak na samotnej wyspie, i czuć jej żywe usta przy piersi.

Powoli wyciągnęła rozjarzony palec i z niezmierną ostrożnością popieściła powieki dziecka – było to pierwsze i ostatnie dotknięcie Gwiazdy i córki w świecie poza jeziorem.

Skóra pod jej palcem szerniała i buchnęła parą, i cienie wyskoczyły z dymiącego ciała. Smutek zaczęła płakać. Gdy przybiegła przejęta piastunka, Zmieja rozgoryczona wstąpiła w cienie i gwiazdne światło.

Kiedyś był prom na samotnym szarym brzegu samotnego szarego jeziora. Skrzypiał na burzy i wietrze, jego cuma się naprężała. Człowiek z garbem na plecach pływał nim tam i z powrotem, cały odziany w łachmany. Zobaczył kobietę idącą brzegiem. Włosy miała krótkie i zmierzwione, oczy czerwone od płaczu. Weszła na prom i popatrzyła na niego kamiennym wzrokiem.

– Chciałam tylko dotknąć jej żyjącymi rękami, moje żyjące dziecko. Tytko raz.

– Wystarczyło? – zapytał przewoźnik. Zmieja milczała przez długi czas.

– Tak – odparła w końcu i weszła na prom.

POZA OGRODEM

– Zostawiła na twoich powiekach, Smutku, moja gołąbko, moja miłości, moja gąsko, twoją historię, wijącą się i splątana – powiedziała stara kobieta. – Były tam twoje dzieje, historia twoich narodzin, twojego życia, kołysząca się do przodu i w tył jak kadzielnica; macki dymu sięgały przed siebie, na boki i w siebie niczym zwoje węża, tropiąc tych dziwnych, różnorodnych bohaterów z wytrwałością Gwiazdy. Są to opowieści o wszystkich, którzy sięgnęli w srebrne cienie i wyciągnęli cię na świat: o twojej matce, którą była zamordowana Gwiazda; o twoim ojcu, samotnej istocie, która pokochała tratwę i stała się drzewem, które stało się czerwonym statkiem; o liściu herbaty, który znalazł drogę do tamtego świata i ożywił łono martwej kobiety; o dziewczynie, która go tam zniosła; o chłopcu, który zapłacił za przewiezienie cię przez wodę; o kobietach, które odepchnęły twoją matkę od śmierci; o bazyliuszku, którego okaleczyły trzy kobiety, żeby przemówić przed śmiercią; o niedźwiedziu, który został przemieniony; o dzinnicy, która narodziła się z twoich powiek płonących pod ręką matki i wpłynęła w świat przed tobą. – Staruszka uśmiechnęła się, zmarszczki pocięły jej twarz, oczy wezbrały łzami. – I może nie najmniej ważna opowieść o kobiecie, która wniosła cię na prom, która kiedyś była gęsią, która zrobiła magiczną sztuczkę – zabrała dziecko z kołyski i

zostawiła ciebie – która czuwała nad tobą i dała ci nóż, żebyś była wolna od grodu i bezpieczna, jej własny nóż, którym zabiła czarnoksiężnika, gdy była bardzo, bardzo młoda. Masz na imię Smutek, moja ptaszyno droga jak diamenty, i byłaś kochana przez wszystkie swoje dni.

Dziewczynka szlochała rozdzierająco. Płacząc, osunęła się na śnieg. Orle Gniazdo otworzyła bramę i wzięła dziewczynkę w ramiona. Gładziła jej włosy. Szeptala do niej i osuszała jej łzy. Chłopiec patrzył z otwartymi ustami, próbując przypomnieć sobie wszystkie opowieści i zapominając je równie szybko, jak wzbierały w jego sercu – umykały mu niczym złota rybka, która nie chce zostać.

Z lasu wyszła dziewczynka. Bardzo piękna, nosiła zwiewną czerwoną suknię, wprost stworzoną do tańca. Wzdłuż jej prawego boku biegł tatuaż, roztańczony czarny płomień. Towarzyszył jej wielki ptak ognisty, czarny, dymiący dzinn i mały brązowy pajęczek ze lśniącymi nogami. Dziewczynka podeszła powoli do Smutku, która wyplątała się z ramion Orlego Gniazda i stanęła przed nią. Pocięcha lekko dotknęła jej powiek i powiodła wzrokiem po cichym białym ogrodzie.

– Więc tutaj bym mieszkała, gdybym nie została córką ognistego ptaka. Podobało ci się?

Smutek się zarumieniła.

– Nie – szepnęła. – Nocami było zimno. Myślę... myślę, że płaciłam za twój ogień moim smutkiem, odkąd przyszłyśmy na świat.

– Przykro mi. – Pocięcha objęła dziewczynkę ramionami tancerki i pocałowała ją w policzek. Są bardzo podobne, pomyślał chłopiec, gdy tak stały, jedna z twarzą wtuloną w ramię drugiej, z przemieszanymi czarnymi włosami. – Ale teraz

będziemy siostrami – oznajmiła Pocięcha wesoło, odgarniając włosy Smutku z twarzy. – I nauczysz się ze mną tańczyć, obiecuję.

Dżinnica podpłynęła bliżej i Smutek mogła zobaczyć w jej oczach, jaka jest stara, starożytna. Wciąż wyglądała młodzieńczo jak każdy płomień, brzuch miała napięty i czarny, dłonie świecące, lecz była bardzo znużona.

– Myślę – zaczęła, unosząc jedną brew – że w pewien sposób jesteś moją matką. Przynajmniej na tyle, na ile jesteś siostrą Pocięchy. Orle Gniazdo próbowała mi to wyjaśnić, lecz nigdy nie byłam dobra z historii. Ale wygląda na to, że jestem jedynym dżinnem, który pochodzi z oparzonego ciała, i warto było dowiedzieć się o tym przed zgaśnięciem.

– Dlaczego zostawiliście mnie na tak długo?! – krzyknęła Smutek. – Byłam taka samotna! Tak bardzo się bałam! Mogliście przyjść w każdej chwili! Na co czekaliście?

Orle Gniazdo popatrzyła na nią z powagą.

– Świat jest szeroki, a wychowanie dzieci to delikatna sprawa. Ale, serce mojego serca, wiedziałam... – i z fałd spódnicy wyjęła długie złote pióro – że wszystkie opowieści się kończą. I ja, i wszyscy pozostali chcieliśmy się tu zjawić, gdy nadejdzie czas, żeby rozpocząć twoją.

– Chodź z nami – powiedziała Pocięcha.

– Bo... boję się! – wyjąkała Smutek. – Nigdy nie wyszłam za bramę, nigdy! Pragnęłam tego wiele razy, ale bardzo się boję!

Orle Gniazdo ujęła w dłonie ciemną twarz dziewczynki. Jej roześmiane oczy były czarne jak ptasie.

– Chodź, Smutku. Chodź w świat, chodź do krainy poza granicami pragnień, gdzie, przysięgam, są prawdziwe cuda: niezliczone gryfy, modląca się papieżyca, odnalezione

zagubione dziewczęta i satyrka śmiejąca się w domku nad morzem.

Pociecha odwróciła się w stronę Latarni; oboje mieli wesołe i konspiracyjne miny. Pajęczycyca w milczeniu postukiwała igielnymi nogami. Ptak ognisty poruszył skrzydłami i coś długiego, lśniącego zsunęło się z jego grzbietu. Pociecha złapała w locie płaszcz ze złotych piór, otuliła nim drżące ramiona siostry i ułożyła jej włosy na kołnierzu.

– Chodź – powiedziała. – Pokażę ci wiele dziwnych i cudownych rzeczy.

Chłopiec pisnął, choć zamierzał wydać bardziej męski dźwięk. Nie wiedział, czego chce, nie wiedział, co powiedzieć. Był przerażony, usta mu drżały – dzielnie próbował nie płakać.

– Nie zawsze byłaś sama – wykrztusił. – Nie zawsze.

A dziewczynka, jego dziewczyna, patrzyła na niego długo, spokojna i dziwna jak zawsze, jej ciemne oczy wyglądały surowo w pierwszym bladym brzasku, który jak śnieg srebrzył czuby drzew. Stała, trzymając malowaną rękę Pocięchy, z dzinnicą u boku, z ptakiem ognistym za plecami, z pajęczycą u stóp, z dłonią sędziwej babci na ramieniu. Chciał do niej podbiec, ale nie miał odwagi. Powinien wracać do pałacu, siedzieć tam samotnie na twardym tronie. Ale gdy słońce rozbłysło jak perła na zimowym niebie, Smutek spojrzała na chłopca, swojego chłopca, i uśmiechnęła się z oczami jasnymi jak pióra.

– Opowiedz mi historię. Opowiedz mi, jak się poznaliśmy, gdy byliśmy dziećmi, jak szliśmy przez ogród i ty się mnie nie bałeś, i jak poszliśmy w świat, gdzie ujrzelśmy rzeczy dziwniejsze i cudowniejsze niż te, o których mogliśmy marzyć w obrębie ukwieconych murów. Opowiedz mi historię, jakiej nigdy nie

słyszałam, o chłopcu i dziewczynce, i o długiej, szerokiej drodze.

Smutek wyciągnęła bladą, chudą rękę, lśniąca o poranku niczym obietnica.

Chłopiec spojrział przez ramię na pałac, ale tylko raz. Splótł palce z jej palcami.

Gdy szli do lasu, Latarnia śpiewał jak poranne dzwony. Za nimi, w złotym świetle palącego słońca, fioletowa bransoleta powoli tonęła w śniegu.

PODZIĘKOWANIA

Na zakończenie książki, która rządziła pięcioma latami mojego życia, uchylam mocno teraz sfatygowanego kapelusza przed wieloma osobami, i są to:

Moja babcia Caroline, która czytała mi Biblię w dzień, a *Baśnie tysiąca i jednej nocy* i *Ramajanę* w nocy, w ten sposób przyczyniając się do powstania tegoż monstrum;

S.J. Tucker, moja wybuchowa siostra, która jednocześnie inspiruje i wytyka;

Świetlana sieć ludzi ze wszelkiego rodzaju dziwacznych miejsc, ludzi, którzy nie szczędzili mi wiary, miłości, zachęty i zapasowych sypialni, a przede wszystkim Delia Sherman, Rose Fox i Josh Jasper;

Wilhelm i Jacob Grimm, Hans Christian Andersen, Aleksander Afanasjew, Husain Haddawy i wszyscy inni święci przekładu, tradycji ustnej i konserwacji rękopisów;

Juliet i Michele, bliźniacze kruki, które wciąż siedzą na ramionach tej książki, znacznie mądrzejsze niż ja;

Na koniec i na zawsze – Dmitri i Melissa Zagidulinowie, bez których niezłomności i przenikliwości ta książka po prostu by nie zaistniała.

Dziękuję.

SPIS TREŚCI

<u>Strona tytułowa.</u>	<u>2</u>
<u>Księga burzy.</u>	<u>6</u>
<u>W ogrodzie.</u>	<u>7</u>
<u>W ogrodzie.</u>	<u>22</u>
<u>W ogrodzie.</u>	<u>51</u>
<u>W ogrodzie.</u>	<u>82</u>
<u>W ogrodzie.</u>	<u>131</u>
<u>Poza ogrodem..</u>	<u>155</u>
<u>W ogrodzie.</u>	<u>184</u>
<u>W ogrodzie.</u>	<u>197</u>
<u>Księga popiołu.</u>	<u>198</u>
<u>W ogrodzie.</u>	<u>199</u>
<u>W ogrodzie.</u>	<u>223</u>
<u>W ogrodzie.</u>	<u>295</u>
<u>W ogrodzie.</u>	<u>342</u>
<u>W ogrodzie.</u>	<u>362</u>
<u>W ogrodzie.</u>	<u>393</u>
<u>Poza ogrodem..</u>	<u>399</u>
<u>Podziękowania.</u>	<u>402</u>